

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.



BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

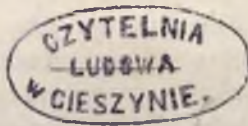
PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1863.

Tom trzeci.

POCZET NOWY, TOM III.



WARSZAWA.

W drukarni Gazety Polskiej,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

1863.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

WARSZAWA

1863

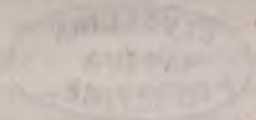
Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po
wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 18 Maja (30 Czerwca) 1863 r.

Cenzor, Paweł Lachmanowicz.

1863

WARSZAWA



WARSZAWA

Wydawnictwo

1863

BADANIA

W PRZEDMIOCIE HISTORII DZIESIĘCIN KOŚCIELNYCH W POLSCE,
SZCZEGÓLNIJ POD WZGLĘDEM TAK ZWANÉJ DZIESIĘCINY
SWOBODNÉJ I DZIESIĘCINY ODDAWANÉJ W GONITWĘ.

PRZEZ

Antoniego Zygmunta Helcla.

§ I. Powód niniejszej rozprawy.

Powód do ogłoszenia niniejszych studyów, podało mi za-
pytanie przez pana T. Ż. w numerze 48 tegorocznego
„Czasu” stawione: „Co znaczy wyraz Długoszowy „*in*
gonitvam”?

Pan T. Ż. prosi tych, którzy się kiedy odbieraniem
dziesięciny trudnili, aby go objaśnili w wątpliwości co
do sposobów pobierania onejże, z których jednym był
sposób ów, zwany *in gonitvam*. Sądzę, że pan T. Ż. myl-
nie w tę stronę zakołatał. Odpowiedź na jego pytanie
mogą mu bowiem tylko dać stare księgi i stare akta;
zaś tych, którzyby z własnej praktyki odbierania dzie-
sięcin, mogli byli przynieść objaśnienie o dziesięcinie
w gonitwę oddawanęj, chyba by już pod ziemią w kilka-
wiecznych grobach wyszukać można. Od kilku bowiem
już wieków właściwe znaczenie wspomnianej technicz-
nej nazwy przestało być praktycznie ważnem. Od dawna
i pierwotne znaczenie wyrazu *gonitwa*, i znaczenie dzie-
sięciny w gonitwę oddawanęj, poszło w kraju naszym

w zapomnienie; tak dalece, iż nawet autorowie o dziesięcinie piszący, albo zupełnie rzecz tę wątpliwą ominęli (jak Czacki i Miączyński), albo też na takie tylko o gonitwie zdobyli się dziwolągi, jakie nam podał ks. *Alojzy Duński* (1) w przytoczonym przez pana T. Ż. ustępie dzieła: „*Jure consultus in materia censuum et decimarum*” etc. w Poznaniu r. 1746 wydanego. Pisze Duński, iż *gonitwa* oznacza wojsko polskie goniące kupy Tatarów, któremu żołd dawany był z czteroletniego funduszu dziesięcin kościelnych za dozwoleń Klemensa VIgo papieża, a za prośbą Kazimierza Wgo. Nie byłby tak niedorzecznie błędny, gdyby był wiedział, iż już z r. 1233 statut synodalny arcybiskupa Pełki, i z r. 1262 statut synodalny arcybiskupa Janusza o dostarczaniu dziesięciny *in gonytham* mówi (2). Słusznie też więc pan T. Ż. wskazuje niedostateczną wiedzę Duńskiego, widząc *in libro beneficiorum* Długosza, że owa nazwa zagadkowa nie może się odnosić do celu, na który ją odbierano, lecz do pewnych okoliczności, które w związku były z oddaniem dziesięciny. Wspomina bowiem Długosz w jakimś miejscu *libri beneficiorum*: „*Ex quibus omnibus agris praedictarum villarum conducitur decima manipularis IN COMMUNE, alias IN GONITHAM*”.

Nie z wiadomości w praktyce wybierania dziesięcin nabytych, lecz z historycznych poszukiwań i zgłębiania praw kościoła polskiego, mając nazbierane w tekach moich różne szczegóły i do przedmiotu dziesięcin odnoszące się, a między innymi te także, które do wyjaśnienia dziesięciny w gonitwę składanej zmierzają, chętnie naukowym mym dobytkiem służę i panu T. Ż., i całej ludzi umiejętnych drużynie. Z zapasów moich jednakże wybiorę i w jeden zestawię wywód te wszystkie szczegóły, między którymi pewne historyczne zachodzi powinno-

(1) Przez omyłkę druku zapewne w BENTKOWSKIEGO *Hist. lit. polskiej*, II, str. 258 przypuszczany autor dzieła: „*Jure consultus*” i t. d. nazwany jest *Dańskim*. Lepiej go *Duńskim* nazwał w swój Bibliografii (T. III, str. 297) JOCHER; bo o rodzinie Duńskich herbu Zdar i o współczesnym sobie kanoniku poznańskim wspomina Niesiecki, gdy tymczasem o Dańskich wcale w nim wiadomości nie znajdujemy.

(2) Ob. moje *Starodawne prawa polskiego pomniki*, str. 344, 359.

wactwo, a które wreszcie do pożądanego rozwiązania zawięły kwestyi o dziesięcinie w gonitwę oddawaną, doprowadzić mogą.

§ II. Prawa ściśle kościoła w przedmiocie dziesięcin, i ustępstwa w nich czynione na rzecz świeckich, w krajach postronnych.

Dostarczanie dziesiątej części zarobionego przez każdego chrześcianina przychodu, na cele czei bożej, na wsparcie ubogich i podniesienie dobroczynnych zakładów, uważał kościół w pierwszych wiekach ery chrześciańskiej za rzecz pobożnej woli i sumienia wiernych, potrzebną do ich zbawienia (3). Nie od razu zagnął ich do tego środkami kościelnego rygoru; i dla tego też w krajach chrześcian wschodnich, dziesięcina nawet w późniejszych wiekach nie stała się normalną na rzecz kościoła daniną. Na Zachodzie jeszcze koncylium Turskie (*Turonense*) z r. 576, upominając wiernych o składanie dziesięcin, przecież ich do tego wprost klątwą nie zagnęła (4). Dopiero koncylium Makońskie z r. 585 nakazało dziesięcinę pod karą klątwy kościelnej, a umocnienie tego kościelnego nakazu przez władzę świecką, dopiero w r. 779 przez kapitularz Karola Wgo nastąpiło, obowiązując wszystkich właścicieli. W kapitularzu z r. 789 *de partibus Germaniae* (5) nakazuje Karol Wielki: „*ut omnes decimam partem substantiae et laboris sui, ecclesiis et sacerdotibus donent, tam nobiles, quam ingenui, similiter et liti*”. Sam król nawet uznał się obowiązany do dziesięciny w swym kapitularzu *de villis*. Składana ta dani-

(3) CYPRIANUS († 258) *de unit. eccles.* ORIGENES († 253) *homil.* P. 18. AUGUSTINUS, *Commentar. in Psalt.* 148, *in homil.* 48. Obacz też ustępy z HIERONYMA (r. 408) i AUGUSTYNA (r. 420) w *Can.* 65 i 66. *Causa XVI quaest.* 1 i w *Can.* 8 *Caus.* XVI, *qu.* 7. Porówn. LEZARDIÈRE, *Théorie des lois polit.*, II, 347, 348.

(4) Ob. Zbioru p. LABBÉ T. V, p. 868.

(5) Ob. *Capitular. regg. Francor.* w WALTERA *Corp. jur. german.* T. II, p. 59, cap. VII, pag. 104, cap. XVII. *Concil. Matiscon.*, II, cap. 5. Ob. w Zbiorze *Concilior. Galliae*, u SIRMONDA. T. I, p. 384.

na kościelna, już podług kapitulacza z r. 779 szła pod dyspozycyę biskupów (6); nie pod dowolną jednakże, tylko według przepisów kanonicznych; t. j. tak, aby z czterech jęj części, jedna szła na biskupa samego, druga na presbyterów, trzecia na ubogich, a czwarta na fabrykę kościoła (7). Mianowicie tęż i ta się norma ustaliła, iż dziesięcina z każdego okręgu parafialnego, przypadać musiała na rzecz własnego parafialnego kościoła (8). W ślad poczętej przez biskupów praktyki, późniejsze kanony bardziej jeszcze umocniły to prawo kościołom farnym, jako już wprost onymże należne, choć bez naruszenia części biskupom przypadającej (9). Mimo tego liczne z dziejów przykłady uczą, iż biskupi pod względem prawa swego szafowania dziesięcinami i dawania części właściwej plebanom, często jeszcze z wielką dowolnością postępowali.

W wielu znów krajach, zwłaszcza niemieckich i sło-
wiańskich, gdzie chrześcijaństwo później zaszczepiać się
poczęło, a ciężar dziesięcinny uważanym był, według pojęć
narodowych, za pewien niewolniczy haracz obcym dawany,
nie mogli biskupi owych ostrzejszych dziesięcinnych
przepisów z całą ścisłością przeprowadzać, które zresztą
i u Franków nawet, jeszcze zbyt świeżemi były. Musieli
się tedy stósować do okoliczności z taką oględnością, z ja-
ką sam Alkuin, ze względu na silne przeszkody, pisał do
Karola Wgo: „*Vestra pietas... praevideat, si melius sit rudi-
bus populis in principio fidei iugum imponere decimarum, ut
plena fiat per singulos domus exactio illarum. An apostoli quo-
que ab ipso Deo Christo edocti... exactiones decimarum coëgis-
sent?... considerandum est!... Scimus, quia decimatio substan-
tiae nostrae valde bona est, sed melius est illam omittere, quam
fidem perdere*” (10). Sam tedy już interes wiary nakazywał

(6) Ob. prócz tego cap. 13, X, *de decimis* (3, 30). *Concil. Turon.* III, an. 813, c. 16.

(7) *Capitul. II, Car. Mag. an. 805, c. 23 etc.*, WALTER, I. c., p. 207.

(8) *Capitul. I, Car. Mag. an. 813, c. 19.* WALTER, I. c., p. 258. *Concil. Arelat. VI, Can. 43, Cau. XVI, qu. 1.*

(9) Cap. 29 i 30, X, *de decimis* (3, 30).

(10) Ob. List 14 Alkuina z r. 798, w Zbiorze BOUQUETA V, 612.

często biskupom pobłażliwą względność na stosunki osób, czasu i miejsca.

Bez wątpienia też ta roztropność była powodem, iż biskupi chętnie patrząc na fundowane oddawna szcudro- bliwością świeckich monarchów i panów w dobrach ich kaplice, klasztory i szpitale, zarazem też przez szpary na to patrzeć musieli, iż świeccy tém samém owe fundowane oratoria, klasztory i hospicya w zupełnej swój prywatnej własności mieli, przychodami onychże przez siebie danemi wyłącznie dysponowali, a nawet całe te zakłady dowolnie alienować komu innemu mogli. Zdawało się rzeczą dosta- teczną, gdy panowie fundatorowie świeccy zobowiązaniem się uważali do naprawy budowli kościelnych, do nakładów na służbę bożą i kosztów na utrzymanie kapłanów (11). Właściciel i fundator takich kaplic i klasztorów, w stosun- ku do nich nosił tę samą nazwę *senior i patronus*, jaką w stosunku do lenników i poddanych swoich nosił pan i dziedzic (12). Z takiego zaś ich położenia, wcześniej już, bo już w VI wieku wysnuła się i ta ich prorogatywa, iż tak kapelanów swoich, jako i przełożonych klasztorów oni sami wybierali, biskupom ich tylko do nominacyi poda- jąc (13).

Te ustępstwa kościoła uczynione monarchom i moż- nowładcom w wiekach panowania rubasznój fizycznej prze- mocy, czyli tak zwanego prawa pięściowego, doszły do te- go kresu, iż nawet własne kościoła dobra i przychody, róż- nemi sposobami w ręce świeckie przechodziły. Mimo za- kazu licznych koncyliów, udawało się szlachcie świeckiej, popieranej przez monarchów, wymusić dla siebie wypu- szczenie w lenno, i to nawet w lenno dziedziczne, dóbr kościelnych. Karol Martel i Karloman, jako ich użył w po- trzebie na obdarzenie lennami swego wojennego rycer-

(11) Can. 35 i 36. Cau. XVI, qu. 7. LEZARDIÈRE, l. c. II, 54. 331—333.

(12) L. un. Cod. Theod. *ne colon. inscio dom.* (5. 11) L. un. Cod. Theod. *de colon. Thrac.* (11. 51).

(13) *Concil. Tolet. IX, an. 655.* Ob. w Can. 32. Cau. XVI, qu. 7. *Synod. Rom. an. 826.* Ob. w Can. 33 *ibid.* Nazwa patronatu przeniosła się później wyłącznie tylko na ten nowszy podawstwa (prezenty) stosunek.

stwa, aż nadto wiadomo: (14) a lubo Karol W. przyrzekł, tego bez zezwolenia biskupów nie ponawiać, przecież Karol Łysy często sobie takich obdarzeń pozwalał. Tym sposobem bardzo wiele, nietylko dóbr, ale i dziesięcin kościelnych przeszło w ręce osób świeckich, a duchownym niekiedy ledwo się szczupłe utrzymanie zostało. Często nawet i to się zdarzało, że sami biskupi, dla uzyskania potężnego opiekuna, lub też znacznej zbrojnej drużyny, której jako książęta państwa potrzebowali, dawali świeckim w lenno część swoich dziesięcin (15).

W wieku XI'tym wraz z powszechniejszą nieco oświatą, począł silnieć i kościół; a oswobadzając się od ucisku świeckich, ostrzej już na wielu koncyliach przeciw laikom posiadającym własności kościelne występował, a nawet im zwrot powziętych już takowych dóbr i dziesięcin pod klątwą nakazał (16). Chcieli też papieże dziesięcinę wyłączyć z zakresu rzeczy świeckiemu szafowaniu uległych (17); lecz pomimo tego, wiele bardzo dziesięcin pozostało w posiadłości i dyspozycyi książąt i szlachty. Dla tego to i III Laterańskie koncylium z r. 1179, poleciło jeszcze na nowo zwrot onychże do kościoła, i zakazało wszelkich dalszych pozbywań (18). Lecz skutek nie bardzo był i tym razem pomyslnym. Gdziekolwiek świeccy usłuchnęli; lecz największa część odmówiła zwrotu, jak tego dowodem są wypadki walnego sejmu państwa w Gelnhausen roku 1186. A gdy część pewna na wpeł posłuszna, zwróciła dziesięcinę klasztorom i dobroczynnym zakładom, lecz nie tym kościołom, do których pierwotnie należała; przeto wreszcie papieże zezwolili na takie faworyzowania klasztorów, włączając tylko biskupom ich prawo przychwalenia (19). Na-

(14) *Chron. Viridun.* u Bouqueta, III, 364. *Capitul. Carlom.* an. 743, cap. II, u WALTERA, II, 22.

(15) Ob. ARNOLDI LUBECENSIS *Chronie Lib.* III, c. 18.

(16) *Cencil. Remense*, an. 1094, c. 3. 4. *Concil. Lateranense II*, an. 1139, c. 10 i inne. Ob. *Cau.* 3 *Cau.* XVI, qu. 2 (r. 1059). *Can.* 1. *Cau.* XVI, qu. 7 (r. 1078). *Can.* 3, *eod.*

(17) *Cap.* 17, X, *de decim.* (3, 30), cap. 7, X, *de praescript* (2, 26). *Cap.* 9, X, *de rer. permut.* (3, 19).

(18) *Cap.* 19, X, *de decim.* (3, 30).

(19) *Cap.* 7, X, *de his q. fiunt a praelato.* (3, 10). *Cap.* 3, X, *de privileg.* (5, 33). *Cap.* 2, § 3, *de decim.*, in VIto (3, 13).

stępnie łągodząc przepis IIIgo Laterańskiego koncylium na drodze interpretacyi prawa, zezwolono w praktyce na to, aby dziesięciny z dawien dawna puszczone w lenno świeckim, przy nich pozostały; nowe zaś, po roku 1179 nigdy już na nich przenoszone nie były (20). Lecz gdy i na to nie wszędzie zważano, skończyło się na tém, iż wiele dziesięcin przeszło zupełnie w zakres prywatnego majątku świeckich, a to w charakterze jakoby prawnie nabytej gruntowej renty.

Co do dziesięcin przeznaczonych przez dziedziców ziemskich na rzecz fundowanych ich hojnością prywatnych kaplic i klasztorów, kwestya ich legalności później przez to bardzo się uprościła, iż w ciągu lat te prywatne kościoły zamieniły się najczęściej na ogólniejszego zakresu powszechne parafie. Wtedy straciły one charakter własności prywatnej świeckiego fundatora, a nabyły cechę kościołów tak uprawnionych, (mianowicie co do chrztu i grzebania zmarłych, i co do dziesięcin), jak niegdyś starożytne tylko parafie. Tylko co do prerogatywy prezenty proboszczów, były te nowe parafie pod patronatem dziedziców miejscowych.

Tak się rzecz miała z dziesięcinami w średnich wiekach w zachodnich i południowych krajach Europy, gdzie nadto, (zwłaszcza we Włoszech) prócz kościelnych dziesięcin, od prastarych czasów istniały snadź dziesięciny prawdziwie świeckiego źródła i początku, bynajmniej nie wyszarpięte kościołowi, a bądź monarchom, bądź dziedzicom szlachecie od poddanych składane (21).

Ten ile możności streszczony obraz stosunków posagu kościelnego i dziesięcin w postronnych krajach, przełożyć tu należało dla tego, aby się powinowate pojedyncze zarysy stosunków tychże w Polsce, jaśniej uwydatnić mogły przy świetle historycznym z sąsiedztwa także przebijającym.

(20) Cap. 25, X, *de decim.* (3, 30). Cap. 2, § 3, eod. in VIto (3, 13).

(21) Ob. J. M. F. BIRNBAUM, *Die rechtliche Natur der Zehnten.* Bonn. 1831.

§ III. Początki dziesięciny w Polsce, snadź nie znajdując
zbytńskiego oporu.

W czasach przyjęcia wiary chrześcijańskiej w Polsce, kościół rzymski nie małą już miał moralną potęgę w państwach. Przy fundowanych kościołach i biskupstwach, niewątpliwie zarazem i dziesięciny postanowione były. Lecz jako o ich zaprowadzeniu w ogólności żadnej bliższej owych czasów wiadomości poważnej nie mamy, tak też nie znajdujemy śladów trudności u ludu w tym względzie napotykanym. To co Długosz (22) o Mieczysławie I i Bolesławie Chrobrym powiedział, iż na wieczne czasy wszystkim bez braku krajowcom składanie dziesięciny snopowej w jednostajny sposób powagą świecką nakazał, jest tylko twierdzeniem na domyśle jego opartém, a ubarwioném przydaniami szczegółami, które Długosz, według dążności duchowieństwa w wieku XVtym skoncypował. Najbliższy Bolesławowych czasów Marcin Gallus (23) nie o takim nakazie dziesięcin nie wspomina, gdy mówi o czczonym przez króla tego kościele, o szanowanych biskupach i konferowanych beneficjach. Nie można zaiste przypuścić, aby dziesięcina kościelna nowo ochrzczoneму ludowi przyjemnym obowiązkiem była. Przecież to pewna, iż w Polsce, gdzie chrystyanizm nie przez obcych na ostrzu żelaza przyniesionym został, lecz się rozszerzył za powolnym wpływem współplemiennych i serdecznie świątobliwych apostołów, ani wiara sama, ani instytucye byt kościołów warujące, tak wstrętne przyjętemi być nie mogły, jak gdzieindziej. Nie byłci zresztą, pobór dziesięcin wtedy zaprowadzony u Polaków niesłychaną i zbyt rażącą zupełnie nowością: bo i w czasach pogaństwa swego Słowianie zachodni składali podobnego rodzaju obłacye kapłanom swych kontyn, jakoby na potrzeby obrzędów, i panujący u Słowian książęta podobną snadź odbierali z dawna od osadników dóbr publicznych ziemiopłodową daninę. Wszakże ów nawet, do najdawniejszych należący rodzaj

(22) DLUGOSZ, II, f. 96, 169.

(23) MART. GALLI *Chronic.* ed. *Bandtkie*, pag. 60. 61.

niewolnych wiejskich poddanych, który dotąd pod nazwą tylko łacińską *Decimi* jest nam znany, nie bez pewnego podobieństwa do prawdy, miał tę nazwę od przedwiecznego obowiązku składania w czasach nawet jeszcze pogaństwa daniny naturalnej produktów wiejskich, w ich $\frac{1}{10}$ części, panującej głowie (24) narodu.

(24) Kilkanaście wzmianek znanych nam dotąd z nadań i roczników dawnych o owych *Decimi* (z r. 1153 i 1173. Rzyszcz. III, 5, 9; z r. 1155, wypis w STENZLA *Urkkd. Samlg.*, pag. 66; z r. 1204 w STENZLA, *Uebersicht d. Arbeiten der Schles. Gesell. f. vaterl. Cultur.* r. 1841, pag. 37; z r. 1223 w BÜSCHINGA, *Leubus*, pag. 84; z r. 1240 i 1252? W RACZYŃSKIEGO *Cod. dipl.*, p. 20 i 38; z r. 1224 SOMMERSB. II, 830; z r. 1254. *Brevis Chronicae Polon. recapit.* SOMMERSB. II, 84) już nam niemal wszystkie tylko rozrywanie ich osad i zmianę ich stosunków poddańczych na nowe służebnicze obowiązki, tudzież dowolne przerzucanie ich z miejsca na miejsce okazują. Ztąd ani ich pierwotnych powinności, odpowiednich nazwie, ani nawet polskij ich nazwy dokładnie nie poznajemy dotąd. Taka też o nich do najnowszych czasów była nawet między uczonemi niewiadomość, iż nawet wielu wydawców źródeł, źle czytało lub przekręcało wspominanych wyraźnie w źródle tém i owém *decimos* na *decimas*, jakoby dziesięciny. Tak SOMMERSBERG, *Scriptt.* II, f. 830, tak RACZYŃSKI, *Cod. dipl.*, p. 20 i 38; tak nawet wydawca tomu III Rzyszczewskiego Kodeksu dyplomatycznego, pag. 56 (*qui aliquando decem (!) erant in Chrober*) i pag. 9 (*exceptis quatuordecimis (!) hominibus de Ki^a*), który po tém, co o *Decimi* pisali *Stenzel* i *Roepell*, mógł się być łatwo lepszego tekstu domyślić. Znajduje się on przecież w odpisie z oryginałów niegdys w archiwum kawalerów maltańskich w Morawii, a dziś w Anglii przechowywanych, (właśnie tych nadań Zagostskich, które są w tomie III Kod. dypl. Rzyszczewskiego), który udzielił mi niegdys nieboszczyk *Boczek*. Wszakże pomimo wszelkich ciemności i wątpliwości, to się przecież i z tych niewielu, jakie nas dotąd doszły, podań okazuje, iż *Decimi* należąc do rodu poddanych *adscriptitiorum*, albo *originariorum*, czyli tak zwanych *rodziców* lub *ojców*, osadzeni niegdys byli na pewnych osobnych żrebiach (*sortes*) gruntu, lub wsiach, które jednak nie miały nazwisk od poddańczego powołania lub nazwy *Decymów* pochodzących, lecz inne od tego niezależne. Dla tego to, choć przeliczne widzimy wsie nazwiska mające, od osadników ich dawnych (np. Koniary, Psary, Sokolniki, Ługiewniki, Żerdniki, Strzelce, Rutaje, Bobrowniki, Winniki, Skotniki, Świątniki i t. d.) nie znajduję (prócz może wsi *Dzieckowic*) żadnej starożytniej, z którejby polskie nazwisko *Decymów* oznaczyć się dało. Bezmała wszystkie wzmianki wskazują, iż byli pierwiastkowo w dobrach monarszych przy starych grodtwach zamieszkali, później dopiero niekiedy wraz z temi dobrami biskupom lub kościołom odstępowani, gdzieindziej przenoszeni, emancypowani nawet, lecz zawsze pod dyspozycją i sądem monarchy. Gdy zaś też same niemal wszystkie okoliczności przypadają zgodnie i na

Znajdujące się i u nas w nadaniach z XII i XIII wieku wzmianki o dwoistych dziesięcinach, t. j. o właściwej dziesięcinie (*decima*) i o dziewięcinie (*nona*), dla tego tak zwanej, iż po wzięciu piérwszej dziesięciny, brano drugi raz już $\frac{1}{9}$ część tego co pozostało (25), choć nie bezwzględnie, przecież często, tak u nas, jak i na Zachodzie, a najwięcej we Włoszech, są oznaką świeckiej kiedyś dziesięciny, (zwaniej *decimae regales, dominicae, salicae, infeudatae, profanae*, i t. p.), obok kościelnej. Jeśli świecki panujący lub dziedzic swoją świecką dziesięcinę z dóbr koronnych lub prywatno-dziedzicznych, niby czynszem ziemskim pobieraną, kościołowi darował, lub jeśli kościelne dobra pod warunkiem dziesięcinniej daniny przez samże kościół komuś puszczeniemi były, wtedy kościół dwoistą oraz pobierał dziesięcinę, *decimam et nonam*, o których też u nas częste znachodzimy wzmianki (26).

tę klasę poddanych, którą *Narocznikami* zwano; gdy ich często widzimy nietylko we wzmiankach obok siebie razem wymienionych, ale nawet zesądnieionych; gdy *Narocznicy* (jako to teraz coraz lepiej poznajemy, tak zwani od *Naroku*, to jest tyle co na Rusi od *Obroku*, a po łacinie niekiedy *Censini*), byli *mytnikami* myto w zbożu, a e też i w pieniądzach niemal zawsze księciu płacącemi; przeto wniość można, iż *Decimi* będący w powinowatym z *Narocznikami* stosunku poddańczych prestawij, $\frac{1}{10}$ część wszelkich swych gospodarczo-wiejskich pożytków w zbożu i inwentarzu żywym, a może i dziesiąty dzień osobistej pracy (np. *decima dies in clausura*, o której Rzyszcz. *Cod. dipl.* I, p. 9) panującemu, w którego dobrach mieszkali, pierwotnie składać obowiązani, od tego nazwę swą mieli. Dodajmy, że się takie ich osady łączyły może z pierwotną organizacją gminną dziesięciorodzinnych siól i z prastarym u Słowian obowiązkiem uzbrajania na wojnę jednego przez dziesięciu mieszkańców wojaka; a wreszcie i to, że i na Zachodzie znano włościan zwanych *decimarii* (*demers*), którzy do daniny dziesięcinniej pału swemu lub kościołowi ze wszystkiego obowiązani byli. (Ob. DUCANGE, v. *decimarii*).

(25) *C. 4 titular. Ludov.* a. 829, c. 10. Ob. też DUCANGE, v. *nona*.

(26) Dziewięciny u nas atoli oduoszą się najczęściej do danin i czynszów z targowego, z mennicy, z grzywien sądowych, z soli, z myta po-brzeźnego od statków, i z inwentarza żywego. Ob. nadania: z r. 1225. (MACIEJOWSKI *Dyplomata Tynieckie* p. 6); z r. 1148 (Rzysz. II. 2); z r. 1155 (Rzysz. I. 90); z r. 1214 (STENZEL, *Urk. Samml.* 275); z r. 1249 (Rzysz. I. 55); z r. 1253 (STENZEL, l. c. p. 331); z r. 1254 (Rzysz. II. 70). w którym to ostatniem nadaniu kopista nieuk przekręcił widocznie *decimam et nonam forum, decimam et nonam marcam*, na *decimumnonum f.* i *decimannonam m.*). Prócz tego wiele jeszcze innych podobnych jest o dziewięcinie wzmianek.

§ IV. *Ustępstwa kościoła polskiego. Ustępstwo pierwsze:
Dziesięciny w ręku świeckich.*

Lecz i ze strony kościoła domyślać się nam należy znacznej względności na stosunki nowo ochrzczonego polskiego ludu, przy nakładaniu obowiązku niemałej kościelnej daniny. Pojęciom i zwyczajom niektórym, utwierdzonym silnie w narodzie, kościół, jak widać, od początku samego zaprowadzenia dziesięciny, pewne ustępstwa poczynił. Późniejsze długowieczne spory między stanem duchownym a rycerskim w Polsce, miały swe źródło w tych właśnie danych, a później skracanych ustępstwach. Ztąd badanie onychże jest interesującym. Jedne atoli z nich są łatwe do wyrozumienia, i dość jasno przedstawiają się w dziejach; drugie pod wielą względami wątpliwe, z trudnością tylko przez skrzętne badanie rozmaitych stosunków, z ciemnic starożytną powłoką zamroczonych wydobyć się dadzą. Dociekanie tych drugich, zmusza nas do zwrócenia uwagi na kilka innych ważniejszych rodzajów ustępstw, które acz mniej zawile, przecież przez związek swjej treści, przyczyniają się do lepszego poznania innych więcej zagadkowych szczegółów. Tém-to niechaj będzie usprawiedliwionym, dalszy mój rzeczonych ustępstw przegląd.

Jako z początku głównieć tylko cudzoziemcami a mianowicie Włochami stolice biskupie w Polsce zapełnianemi być miały, tak też przypuścić można, iż dla samej ich niezajomości języka i obyczajów ludu, musieli się biskupi uciekać w poborze dziesięciny do podobnych ułatwień, jakiego się np. w kraju Obotrytów chwycił biskup altenburski Wagon, który za bogate pewne dobra powzięte od Biługa księcia Obotrytów, onemuż natomiast puścił cały swój pobór dziesięcinny w kraju, a owe dobra w administracyą powierzył (27). W tém samym więc było nie małe pierwsze ustępstwo biskupów od przepisów kościoła, już wtedy ostro postawionych, iż w ręce świeckich bądź dobrowolnie puszczano dziesięciny, bądź też milcząc, tako-

(27) Ob. HELMOLDA. *Chron. Slavor.* (ed. Bangerta I. cap. 14, p. 42.).

we wybierać pozwalano. Nie zbywało pod tym względem w czasach dalszych na licznych dokumentnie nam poświadczonych przykładach (28). Tak często przy osobach świeckich zostająca dyspozycya dziesięcin kościelnych, była zaiste w związku z tą okolicznością, iż nasi świeccy panowie uważali to za swoje prawo, by fundowane przez siebie kaplice i klasztory, (tak samo, jak to na Zachodzie bywało) w swęj prywatnej własności i dyspozycyi trzymać mo-

(28) Bolesław Wysoki książę szlązki r. 1175 dotacyą klasztoru lubieńskiego dziesięcinami przypisuje sobie, i biskupowi wrocławskiemu wspólnie: „*Ego et Episcopus Wrezlaviensis Ziroslaus dotavimus ecclesiam Lubensem decimis omnibus de novis villi., etc.*” W roku zaś 1201 już sam zwracając klasztorowi temu, to co mu przez syna jego księcia Jarosława biskupa wzięte zostało, daje „*mille mansos cum omnibus attinentiis, videlicet aquis, pratis, agris, silvis, mellificiis, decimis, ut prius fuerunt.*” W tymże roku sam papież Innocenty III potwierdził darowizny różnych dóbr darowanych „...a Nobilibus viris Boleslao Duce Slesie et II. ejus filio cum omnibus pertinentiis ET DECIMATIONIBUS SUIS. Prócz tego między dobrami darowanymi od innych panów świeckich, wymienia papież i *Decimam in Posirist.* (Ob. BÜSCHINGA, *Leubus*, p. 3, 24, 27). Papież Celestyn III, r. 1193 Augustyanom wrocławskim dał pozwolenie „*decimas et possessiones ad jus ecclesiarum vestrarum spectantes, que a laicis detinentur, REDIMENDI et legitime liberandi de manibus eorum*”, choć właściwie według praw Laterańskiego III koncylium, sami świeccy pod karami winni byli zajęte dziesięciny zwracać. (Ob. *Breve* z r. 1193 u mnie w kopii przepisane z dawnęj księgi przywilejów klasztoru Augustyanów wrocławskiego na Piasku). Synod prowincjonalny wrocławski kościoła polskiego, przez legata Jakóba archidyakona leodyjskiego w r. 1248 odbyty, narzeka na wielu polskich prałatów, konstatując fakt, iż: „*quiescentes in tabernaculis fiducie et in reque opulenti, tacent, nec se opponunt murum pro domo domini, venientibus ex adverso, ...dum decimas et possessiones alias, ac alia bona ecclesiarum.. vident a militibus, tam consanguineis suis, quam extraneis et aliis laicis violenter et indebite occupari.*” W § zaś 6 tychże synodalnych konstytucyj czytamy: „*Et interdum contingit, quod cum aliquis miles sic decimam aliquam renuerit multis annis, heredes ejus decimas illas dicunt ad se jure hereditario pertinere.*” (§ 1 i 6 synodu, w moich, *Starod. pomni.* p. 347, 348, 350) Władysław książę kujawski i sieradzki r. 1295 sam z własnej mocy uwolnił mieszkańców dóbr Wistka na lat 6 od dziesięcin; po których lat upływie, dziesięcinę małtratową a nie wtyczną polecił im składać dla plebana (Rzysz. II. 132). Dużo wcześnięj uczynił podobnie Henryk Brodaty w Szlązku, darując niektórym z swego rycerstwa dobra uległe dziesięcinie kościelnej i snadź uwalniając ich od niej, a dopiero późnięj po znagleniu go komplanacyjnym wyrokiem sędziów papieżkich, zobowiązał ich do placenia onęjże właściwym kościołom. (STENZLA, *Urkdbuch*, pag. 3). Ziemowit książę dobrzyński pobierał

gli. Również i tego liczne mamy dowody (29). Niemniej zaś udowodnić można, że duchowni konferowane im od świeckich takowe *beneficia*, acz nawet wcale nie wakujące, pod ekspektatywą chętnie przyjmowali (30).

Przy takich to starożytnych śladach prawa pobierania dziesięcin przez świeckich, nie zadziwią nas przykłady

snaż dziesięcinę w swęj ziemi, bo r. 1304 puszczając w lenno dobra makowskie Andzejowi z Krakowa, dozwolił, aby tenże *decimam praedictarum hereditatum ad suos usus convertat*". Dziedzice Dedzeńscy zwani Ost, dając we wsi Tlukawy sołtystwo niejakiemu Mikołajowi i Obiecanowi w r. 1372. warowali sobie od kmieci, prócz corocznego pewnego osepuz gruntów, jeszcze i cztery ówczesne grosze tytułem dziesięciny. Kazimierz W. w nadaniu z r. 1367 uposażając ufundowany przez siebie na duszne zbawienie ojca swego ołtarz św. Władysława „*in ambitu chori ecclesie (cathedralis) Cracoviensis ex opposito hostii sacristie*", przeznaczył sam według swęj woli dziesięcinę suopową z gruntów folwarcznych (*araturarum nostrarum*) dóbr królewskich Idzikowie, Trojanowic, Marszowic, Studziewiczno i Omieszniki. (Ob. nad. w kopii u mnie, między kapitulnemi krakows.). Przykłady trzymania dziesięciny kościelnęj przez świeckich za wyraźną ugodą z biskupami, przytaczam następujące: Sambor książę pomorski z Michalem biskupem kujawskim zrobił frymark za dziesięcinę biskupią całego terytoryum księcia, dając onemuż kasztelanią goraczyńską; dopiero późnięj książę Mściwój pomorski zwrócił dziesięcinę biskupowi Wojciechowi, a gród i terytoryum grodzkie r. 1282 odebrał. Gerward biskup kujawski r. 1315 podobny zrobił frymark, ale prynajmniej z klasztorem Norbertanek w Strzelnie. (Rzyszcz. II, 623 i 203).

(29) Bolesław Wysoki książę szlązki w przywileju z r. 1201 nazwał klasztor lubieński przez siebie fundowany, *meum cenobium*. (BÜSCHING. I. c. pag. 27). Henryk Brodaty zezwalając w r. 1222 na fundacyę klasztoru Cystersów w dobrach Henrychowskich, od księcia w żupę danych dożywotnie swemu pisarzowi Mikołajowi, objawił proszącym biskupom i szlachcie warunek, iż *sciunt praesentes et posteri, quidquid hic in Heinrichow actum vel factum fuerit, in nostra proprietate et hereditate consistere*. (Ob. STENZLA, *Liber fundationis claustrum in Heinr.* pag. 8). Papieżki legat Opizon r. 1254 potwierdzając klasztorowi czerwińskiemu posiadłość darowizn dóbr głównięj od świeckich darowanych wymienia między niemi: *Nasielsk et ejus capellam, Pomnichowo et ejus capellam. Scolatovo cum capella*. Kazimierz zaś książę kujawski i łęczycki w r. 1252 Cystersom sulejowskiemu darował *Dobrow cum omnibus pertinentiis suis ac ut litatibus universis, videlicet CAPELLA, piscatoribus, sanctuariis et villis etc.* (Rzysz. I. 63. 71).

(30) Wyżęj przytoczony już synod wrocławski odbyty r. 1248 pod Jakóbbem archidyakonem leodyjskim, zawiera w § 4 narzekanie i na to, iż duchowni w Polsce przyjmują dawane im od świeckich *beneficia nec de jure vacantia—nec de facto*.

podobne napotykanie nawet w XVI wieku, które przywiódł w swęj rozprawie *Miączyński* (31).

§ V. *Ustępstwo drugie: JUS DECIMANDI PLENUM zmienia się na MINUS PLENUM; a dziesięcina MAŁDRATOWA I PIENIĘŻNA dopuszczana coraz częściej miasto SNOPOWÉJ.*

Drugiego rodzaju tolerancya kościoła pod względem dziesięcin w Polsce odnosiła się do tego, iż mając za sobą prawo pobierania dziesięcin w ścisłym kanoniczném znaczeniu *decimationis plenae*, a przy zbożu, pobierania dziesięciny nie innęj, tylko snopowęj czyli wytycznej; przecież coraz więcj zezwalał na rozliczne wyjątki w przedmiotach ulegających daninie owęj, a mianowicie tęż coraz częściej przystawał na zamianę *snopowęj w osepową i piennęjną dziesięcinę*. Co do dziesięciny pełnej, t. j. nietylko ziemioplodowęj, ale i osobistęj, ta zdaje się u nas w pierwotnych czasach ściślęj wybierana była. W nadaniach z XII wieku jeszcze się wzmianki natrafiają o takich dziesięcinach. Lecz snadź zwolna ze zwyczaju wyszły; bo w dokumen-

(31) Ob. *Rozpr. o dziesięcinach*, pag. 75. MIĄCZYŃSKI przyznając bywanie dziesięciny w ręku świeckich, usilnie odrzuca wszelkie przypuszczenie dziesięciny pierwotnie świeckięj, będącej początkowo dochodem książeńcym. Walcząc przeciw ks. OSTROWSKIEMU. (Dz. i pr. koś. polsk. I. 70. 74) i NARUSZEWICZOWI, a więc tęż poniekąd i CZACKIEMU, głównięj na tēm się opiera, że Długosz mówiący o początkach dziesięciny, byłby tę okoliczność przytoczył, a za nim tęż wszyscy inni prawa kościelnego obrońcy. Zapomniał Miączyński, że Długosz w V wieków po Mieczysławie I żyjący, mógł bardzo łatwo nie znać tych prastarych stosunków, tēm bardzięj, jeśli Miączyński sam przyznaje, iż Długosz o ustawie dziesięcinnej Mieczysława I mówiąc, to tylko z domysłu powiedział, co widokom duchowieństwa jemu społecznego najdogodniejszēm było. Dla mnie wzmianka Kromera w edycyi 16j *Historji* jego (1555) o dziesięcinie wrzód świeckięj Mieczysława I nim ją darował duchowieństwu, jest właśnie nierównie ważniejszą skazówką jakięjs rzeczywiście do Kromera doszłęj o tēm tradycyi, wbrew odmiennęj relacji Długosza, niż poprawki i wyrzucenie owego ustępu z kilku edycyj następnycch, które Miączyński za słuszniesze, bo zgodniesze z Długoszem uważa. Ja je poczytuję tylko za skutek nacisku opini duchowieństwa ówczesnego, które snadź obawiało się przypuszczać świeckiego początku dziesięciu w Polsce. (Ob. Miącz. I. c. p. 54. 62).

tach od końca XIII wieku, już ich niemal wcale nie napytkamy. Świadczy też wyraźnie właściwego znawcy powaga, powaga biskupa Piaseckiego, (który w dziele swoim *Praxis episcopalis*, obszerniej o dziesięcinach traktuje), iż tak osobiste dziesięciny, jako też dziesięcina z traw, siana, drzewa i t. p. (32) nie jest już z dawna praktykowaną.

Co do przemian dziesięciny snopowej na osepę i piętne skupy, uważmy, iż już Helmold pawiada (33), że Henryk Lew książę saski przestrzegał, aby Słowianie nadelbańscy płacili biskupowiznę tak, jak ją Polacy i Pomorzanie płacą, t. j. trzy korce żyta i 12 pieniążków od każdej mniejszej słowiańskiej włoki, coby było skazówką, iż u Polaków dawno przed XII nawet wiekiem małdraty i okup dziesięciny był powszechnie używanym. Lecz gdy przy mnóstwie przeciwnych przykładów obowiązku dziesięcinnego, w całej podobno rozciągłości *juris decimandi plenius* dopełnianego, nie możemy inaczej sądzić, jak tylko, że szerokie prawo kościoła raczej regułą w zwyczaj wprowadzoną było; przeto osepę i skupy piętne dziesięcinne, wzmiankowane przez Helmolda, musiały z razu być tylko wyjątkiem od reguły. W późniejszych czasach wyjątki te tak dalece się mnożyły, iż koncessye w tym względzie czynione, stały się często rzeczą zwyczajem uświęconą. Od początku głównie XIII wieku sprowadzanie kolonistów niemieckich do ziem polskich, i nadawanie *juris teutonici* wsiołom nawet z czysto polskich mieszkańców złożonym, coraz silniej i coraz dalej się szerzyło. Gdzie weszli Niemcy, lub gdzie ich organizację wiejską i miejską gminną zaprowadzano, tam też wchodziły i ich zwyczaje. Tam przeto i pod względem powinności ten niemiecki nastawał zwyczaj, iż nie do wytycznej snopowej, lecz do małdratowej, t. j. osepowej i do piętnej tylko dziesięciny obowiązanymi się poczuli. W Szlązku, gdzie kolonizacyjna germanizacja ludu polskiego najpierw się zaczęła, wy-

(32) *Praxis episc.* II. cap. 4. art. 9. nr. 30 et 31.

(33) *Ut solverent redditus episcopales, qui solvuntur apud Polonos et Pomeranos, hoc est de aratro tres modios siliginis et 12 nummos monetæ publicæ. Modius autem Slavorum vocatur lingua eorum Kurice; porro slavicum aratrum perficitur duobus bobus et totidem equis* (HELMOLD, I. c. I. 202).

stąpiło tedy przeciw téj dziesięcinnéj prerogatywie Niemców duchowieństwo wyższe polskie z podwójną zaciętością, bo już w duchu narodowości polskiej. Długie i częste, przez cały niemal wiek XIII powtarzające się, ciężkie a nawet krwawe zatargi biskupów wrocławskich z Henrykiem Brodatym, Bolesławem II lignickim, Konradem II głogowskim i Henrykiem IV wrocławskim, które nam z dziejów i dokumentów szczegółowych są znane (34), głównie do tego przedmiotu się odnosiły. Opór biskupów, metropolity gnieźnieńskiego, synodów, legatów i sędziów papieżkich, często był skutecznym pod względem hamowania wszelką miarę przechodzącej gwałtowności książąt; lecz gdy i ci nieraz opierali się, bądź na zwyczaju długim użyciem usankcyonowaném (35), bądź na rzeczywistych i wyraźnych ustępstwach poprzednich biskupów, które cofnąć następcy usiłowali, przeto w koniec końców ta długa lukta przeciw się na ustaleniu ustępstwa kościoła skończyła.

Już w r. 1227 samego papieża delegowani sędziowie uznali w pewnych miejscach Szlązka za godziwą dziesięcinę osepową, zamiast snopowej dla Niemców; w innych miejscach miód tylko sam, w innych skórki wiewiórcze, a w innych wreszcie wiardunek z łanu poleśnej karczowizny, i to jeszcze „*excepto sexto manso vel ampliori, qui cesserit locatori*” (36). Wspomniany już nie raz synod prowincjonalny wrocławski z r. 1248, w § 7 swych ustaw narzeka na szlachtę niemiecką w Szlązku, iż osadzając kolonistami niemieckimi siedziby włościan polskich, ko-

(34) Ob. *Chronic. princip. Polonor.* w STENZLA, *Script.* I. p. 161; DEUGOSZ, VII. 745; HENEL, u *Somersberga* II. 149. W ogóle zaś wszystko razem najlepiej przedstawia STENZEL. *Urkundenbuch.* pag. XXXVI—LXXXI.

(35) Sądząc z zaboru wszelkich dochodów biskupich, który sobie po śmierci Tomasza I biskupa, *sede vacante* pozwolili Henryk IV wrocławski, Konrad II głogowski i Bolesław II lignicki (a pozwolili bezkarnie, skoro później następcą Tomasz II biskup na powróceniu mu już po jego obiorze zajętych dziesięcin i przychodów zupełnie poprzestali), przy puściłby nawet można, iż sobie panny jeszcze prastary obyczaj zabierania puściźn biskupich, jako *bona derelicta*, na rzecz swoją przypominali. STENZEL *Urkd. buch.* pag. 48, 49, 52.

(36) STENZEL, *Urkd. buch.* pag. 3 i 4.

lonistom tymże każdy szósty łan, jako zupełnie od dziesięciny wolny przyznaje, od szóstej części wszelkich innych dziesięcin uwalnia, obiecując ich bronić od pretensyj duchowieństwa. Skarży tę szlachtę synod, że biskupów i innych duchownych, którym się normalna dziesięcina należy, rzeczywiście groźbami i gwałtami od słusznych żądań powstrzymuje, a co gorsza, już nawet i tój tak znacznie umniejszonej dziesięciny nie pozwala od kolonistów w polu snopami wybierać, lecz tylko z gumien pewną liczbę miar, nierównie mniejszą od należnej, brać dopuszcza. Zakazuje tedy wprowadzić synod biskupom i innym duchownym, tych umniejszeń i zmian tolerować; wszelakoż dodaje ważny i bardzo łatwo rozciągliwy wyjątek, mówiąc: „*nisi forte urgens necessitas vel evidens utilitas hoc requirat*” (37). Taka zaś *urgens necessitas* wnet już w r. 1256 nastąpiła, gdy Tomasz Iszy biskup wrocławski więzieniem i kajdanami Bolesława IIgo lignickiego zmuszony, uznał w dyecezyi wrocławskiej zasadę zamiany dziesięciny wytycznej na małdratową i pieniężną, t. j. wiardunkową, z gruntów kolonistów niemieckich (38).

Takięj gwałtami sprowadzonej konieczności, nie widzimy wprowadzić w znanych nam dotąd historycznych źródłach po innych ziemiach polskich: gdyż tu, gdzie żywioł niemczyzny nie wpływał tak silnie na rozjątrzenie narodowego duchowieństwa, i gdzie spory dziesięcinne nie tylko między współrodakami, ale nawet (jak to widzieliśmy z § Igo synodu wrocławskiego), między pokrewnymi osobami szlachty i duchowieństwa toczyć się zdawały, tu też łacniej koncessye i porozumienia się do skutku przychodzić mogły. Lecz *evidens utilitas* musiała się dość często oddawna okazywać duchowieństwu, i w tych polskich dzielnicach, skoro biskup Wincenty Kadłubek już w r. 1215 obdarzając kościół katedralny krakowski, obok dziesięcin snopowych ze wsi 11tu, *dziesięcinę pieniężną* ze wsi 7miu w okolicy Czehowa położonych, onemuż z dochodów stołu biskupiego darował; w wieku zaś XIVtym nie bez zezwolenia zapewne paste-

(37) Moje, *Starod. pomn.*, pag. 350.

(38) Ob. notkę powyższą 34tą.

rzy, widzimy w tych stronach bardzo upowszechnione dziesięciny, po wsiach *juris teutonici* oznaczane w pieniężnym okupie, lub osepie zbożowym (39). Klemens biskup kujawski, pod powagą nawet i potwierdzeniem obranego sędziego polubownego metropolity swego Jarosława arcybiskupa gnieźnieńskiego, tak się ugodził z Władysławem księciem na Łęczycy i Dobrzyniu w r. 1348, iż całej ziemi dobrzyńskiej mieszkańcy, tytułem dziesięciny mieli tylko 4 skojce z każdego łanu płacić; za którą to wyświadczoną prowincyi dogodność, książę biskupstwu sto łanów w lasach zdatnych do wykarczowania i uprawy rolnej, darował (40).

Dla owój to koncessyi, co do przedmiotu dawanego w dziesięcinę uczynionej kolonistom niemieckim, już w XIIItym wieku utarło się takie uważanie rzeczy, iż dziesięcinę snopową płacić, zwano „*decimam more polonico persolvere*”; zaś w maldratach lub pieniądzech dziesięcinę, zwano daniem onejże „*more teutonico*” (41). Było to pojęciem już tak stałym i przez ówczesne duchowieństwo niezaprzeczanym, iż Henryk Vty książę wrocławski, w roku

(39) Ob. DŁUGOSZA, VI, 617, co do donacyi Kadlubkowój, którą widocznie z dokumentu autentycznego przywiódł: zresztą zaś nadania z r. 1351, 1352 i 1356 u Rzyszcz. I, 204, 206—214; nadanie lokacyi dóbr Olpiny *jure Teutonico* w r. 1349 przez Kazim. W. (kopia u mnie) i wiele innych takich.

(40) Rzyszcz. I, 197—200. Widać z tego, iż przepis §fu 7 konstytucyj synodu prowincjonalnego, pod legatem Gwidonem kardynałem w r. 1267 w Wrocławiu odbytego, jnż się stał niepraktycznym zakazem zamiany dziesięciny snopowój na pieniądze, chociaż go jeszcze późne z XVI i XVII wieku Zbiory konstytucyj synodalnych, jako wyciąg „*ex antiquis*” dosłownie przywodziły. (Porówn. moje *Starodaw. pomn.*, p. 361 i Zbiór konstyt. Karnkowskiego, p. 78).

(41) Nadanie z r. 1248 opata klasztoru św. Wincentego, w STENZLA *Urkunden-Samlg.*, pag. 311, 312. „*Decimam ville Polesniz, quam in campo MORE POLONICO percipiebimus, ... more Teutonico ejusdem ville incolis pro maldratis commutavimus*”. Nadania kapituly krak. z r. 1274 (u mnie w kopii) wydane przez Gerarda dziekana i całą kapitulę kośc. katedralnego w przedmiocie lokacyi wsi *Gerdlice jure Theutonico*, gdzie czytamy: „*...de agris paratis extirpatis vel prius aratis, ipsi omnes coloni sine aliqua dilatione decimam more polonico manipulatim et in agro, ei domino, qui consuevit in eadem villa decimam percipere, persolent. De illis vero terris, quas per extirpationem*” etc.

1298, w chwili, gdy miał nadzieję osiąść monarchię całej Polski, i stósowny do tego połączenia wydawał generalny przywilej praw i prerogatyw wszystkim wielkopolskim biskupstwom, w tymże wielkim swym przywileju, jako ogólnie przyjętą zasadę ogłosił: „*Volumus etiam, quod omnes, qui decimas tenentur, illas persolvant integraliter in campis, si villae juris polonici fuerint; si autem theutonici, Maldratas per modium (medium?) et argentum*” (42).

Już więc tylko w dobrach duchownych, tam gdzie biskupi lub przełożeni kościołów sami byli nadawcami *juris teutonici* osadnikom, zdarzały się w przywilejach zastrzeżenia płacenia dziesięciny snopowej, w polu wytycznej (43). Zresztą zaś upowszechniały się małdraty i okupy pieniężne, tak, iż w konstytucyi synodu prowincjonalnego piotrkowskiego IVgo (który bądź w końcu XVgo, bądź na początku XVIgo wieku (44) pod arcybiskupem Janem Łaskim przypadł), czytamy już przytoczony fakt, jako rzecz po prostu samo z siebie rozumiącą się, iż „*Quoniam quibusdam in locis decimae MANIPULARES, in aliis PECUNIARIAE, in plerisque vero penduntur IN GRANO, consuetudinem antiquam loci cuiuscunque servandam esse decernimus*”.

§ VI. Ustępstwo trzecie, co do dziesięcin z nowizn.

W starożytnej Polsce długo snadź biskupi trzymali się owęj pierwotnej kościoła praktyki, iż biskup był szafarzem, a więc też niejako właścicielem wszystkich dziesięcin kościelnych. Ztąd poszło, iż nawet wtedy, gdy nowe dekretały papieżów wyraźnie sprzyjały kościołom pa-

(42) Rzyszcz. II, 147.

(43) Nadania z r. 1317, 1334, 1349, 1364, w Rzyszcz. II, 208, 251, 285, I, 228.

(44) Nietylko w znanym Zbiorze Węzyka arcybiskupa konstytucyj prowincjonalnych (pag. 191), lecz i w dawniejszym zbiorze Karukowskiego z r. 1578 (pag. 79 *versa*) przytoczone są ustępy z praw IV piotrkowskiego synodu, bez przytoczenia daty onegoż. Zbioru Łaskiego, z któregooby może ta data się wykazała, w Krakowie nigdzie naleźć nie mogłem.

rafialnym a nawet klasztorom pod względem dziesięcin z *nowizn*, t. j. z gruntów nowo wykarczowanych i pod uprawę przysposobionych (45), biskupi nasi jeszcze sobie wciąż zbyt rozległe prawo do tychże nowizn rościli. Raziły zaś te ich roszczenia nie tylko plebanów i zakonników, lecz niemniej książąt i panów świeckich; raz ze względu na utrudnianie im przez taki ciężar wyzyskiwanie kolonizacyjne gruntów dzikich, drugi raz zaś ze względu na ich patronat i przywiązanie do kościołów, które od nich lub od ich przodków założonemi zostały. Ztąd spory, które również nam się na Szlązku najpierw między Henrykiem Brodatym a biskupem Wawrzyńcem I zjawiają (46), a w których proboszczowie i przełożeni klasztorów, często radzi nie radzi przemocy biskupa wręcz, lub za pewnym wynagrodzeniem ulegać musieli (47). Jako pod względem dziesięciny z *nowizn*, już w r. 1227, za wyrokiem sędziów papieżkich biskup wrocławski Wawrzyniec, Henrykowi ks. a raczej jego kolonistom w pewnych okręgach, do koncessyi skłonił się, zezwalając zamiast dziesięciny normalnej na wiardunek biskupi (48), tak w późniejszych czasach w samej już Wielkiej i Małej Polsce, po wyniesionych i zagodzonych sporach, biskupi znacznie od swych roszczeń odstąpić musieli. Spór o dziesięciny z *nowizn*, między królem Władysławem Łokietkiem, wraz ze szlachtą z jednej strony, za prawem duchowieństwa parafij swoich, a Janem biskupem krakowskim za prawami *mensae episcopalis* obstającym z drugiej strony, rozstrzygniony został arbitralnym

(45) Cap. 13, 27, 29, X, *de decimis* (3, 30).

(46) Henryk Brodaty skarżył się o to na biskupa przed papieżem, iż „*homines volentes, nemora et alia loca inculta inhabitare et deducere ad culturam, adeo gravat indebitis exactionibus nomine decimarum, contra terrae consuetudinem, quam observant Episcopi convicini, quod non solum ad incolenda et excolenda loca ipsa dubitant convenire, verum etiam hi, qui... ad aliqua jam convenerant excolenda, ea, propter difficultates, quas eis ingerit, deserentes, ad alias se transferunt regiones*”. (Pismo z r. 1226, w STENZLA *Urkundenbuch*, pag. 2).

(47) Ob. u STENZLA, l. c. dokumenta z r. 1251 i 1267, pag. 19, 31, 32.

(48) STENZEL, l. c., pag. 3, 4.

wyrokiem Janisława arcybiskupa gnieźnieńskiego (49). Postawił ów wyrok następujące zasady:

1^{mo}. Gdzie lasy lub ich części występujące z dawnych gruntów, na raz lub kolejnym ciągiem są karczowane, tam dziesięcinę z tych gruntów nowiznianych pleban parafialnego kościoła, lub inny duchowny tytułem swego *beneficji* pobierać będzie tak, jak ją pobierał z gruntów dawnych.

2^{do}. Gdzie zaś, choćby nawet w granicach wsi dawnej, w lesie, lub w gruncie albo łące wśród lasu położonej, nowa wieś jest założona, bądź pod nowem, bądź też pod starém dawniej a sąsiedniej wsi nazwiskiem, tam z nowizn jej dziesięcina do stołu biskupiego należeć będzie.

3^{io}. A gdzie wieś na prawie polskiem założona, z miejsca jednego przeniesioną jest na inne miejsce uprawne i orne, i jej mieszkańcy dawne grunta uprawiający, kolejno coś z lasów karczują; tedy z gruntów tych nowo wykarczowanych pobierać ma dziesięcinę ten, kto wprzód ją z dawnych gruntów pobierał.

Ten Janisława wyrok stał się odtąd najważniejszą podstawą do rozstrzygania późniejszych podobnych w tej materji zawikłań. Jakoż już w r. 1343 przy sporze Jana biskupa krakowskiego z Arnoldem proboszczem i innymi kanonikami kolegiaty św. Floryana w Krakowie, na owym Janisława wyroku oparł ową nową zagodę, w obec króla Kazimierza Wgo, arcybiskup Jarosław Bogorya (50). W roku 1395 biskup Bodzanta krakowski, w swęj ordynacyi dziesięcin, pod względem wątpliwęj własności dziesięciny z nowizn, na tych samych główniej opierał się zasadach (51). Gdy zaś w r. 1435 na zjeździe sieradzkim a potem piotrzkowskim, szlachta silnie przeciw jakoby bezprawiom duchowieństwa w rzeczach dziesię-

(49) Ob. ten wyrok ile możności najdokładniej podany w moich *Starod. pomn.*, pag. 405, 406, a bardzo mylnie w J. W. BANDTKIEGO *Jus polonicum*, pag. 22, 22.

(50) Obacz J. W. BANDTKIEGO, *Jus polon.*, pag. 22, 23.

(51) Obacz w J. W. BANDTKIEGO *Jus polon.*, pag. 164, 165, 166, artykuły III i IV, a szczególbniej VI.

cinnych wystąpiła, i szlachta mianowicie wielkopolska odwoływała się do jakiegoś (dziś nam nawet z daty nieznanego) przywileju arcybiskupa Jarosława w Poznaniu wydanego, mocą którego wszelkie po jego dacie wykarczowane nowizny nie miały już nadal składać snopowój, lecz tylko pieniężną dziesięcinę, zgromadzeni na zjeździe owym metropolita, biskupi i duchowieństwo, zaprzeczyli ważności owego Jarosławowego przywileju, a powołali się znów i do odmiennej praktyki kościoła wielkopolskiego, i do odmiennej ordynacyi Bodzanty biskupa krakowskiego z 1359 roku (52). Spór ten, w którym szlachta postanowiła areszt położyć na wszystkich dziesięcinach, aż dopóki duchowieństwo nie zrobi o nie nowych koncesyj, a przeciwnie duchowieństwo w takim razie szlachtę klątwą powszechną zagroziło, nie skończył się snadź wtenczas jeszcze. Prócz tego bowiem, co nam o staraniach zagodzenia sporów owych poświadczają *Lauda Cracoviensia* z r. 1447 ogłoszone w Bandtkiego *Jus polonicum* (str. 240), doszedł do naszych czasów zawarty w starym z XVgo wieku kodexie ciekawy bardzo akt punktów ugodnych duchowieństwa ze szlachtą, w roku 1440 napisany pod tytułem: „*Concordata dominorum laicorum cum praelatis ecclesiae*”, który będąc od biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego dla szlachty tylko małopolskiej wygotowany, lubo tylko na Małopolan zarzuty odpowiada, a o zarzucie Wielkopolan co do dziesięciny z nowizu milczy; przecież odwołując się do sporów zjazdu sieradzkiego, widocznie wskazuje, iż jak małopolska, tak też i wielkopolska szlachta, każda w swych właściwych pretenzjach jeszcze uspokojoną nie była (53).

Co do wyroku polubowego sądu arcybiskupa Janisława, to wreszcie dodać należy, że gdy i za Zygmunta Igo kwestya o nowiznianą dziesięcinę trudności wywoływała, papież Leon Xty na prośby króla i arcybiskupa Łaskiego, ogłosił w r. 1515 bullę, zupełnie według przytoczonego w niej Janisławowego orzeczenia, stosunki tej-

(52) Obacz o tém wszystkiem opowieść DŁUGOSZA, XII, 679, 680.

(53) O tych konkordatach wspominałem w moich „*Starod. pomn.*”, str. XXIV.

że dziesięciny powagą apostolską a wieczne czasy w Polsce regulującą, i jej wprowadzenie w praktykę rzeczywistą, osobnym pismem biskupom polskiej prowincyi polecił (54).

§ VII. *Ustępstwo czwarte, dla niewolnych poddanych.*

Koncessye kościoła polskiego, o których dotąd mówiliśmy, odnosiły się bądź do samego prawa korzystania z dziesięcin w ogólności, bądź do przedmiotów, w których dziesięcina składaną być miała, bądź wreszcie do miejsc i gruntów, z których się temu lub owemu jej właścicielowi należała.

Mówić nam jeszcze należy o koncessyach odnoszących się więcéj do samychże już osób dziesięcinę taką lub ową, w ten lub ów sposób, temu lub owemu właścicielowi uiszczających.

Tego rodzaju osobistą koncessyę dla kolonistów Niemców, już przywiedliśmy w związku z materyą o zezwoleniu na dziesięcinę małdratową lub pieniężną za snopową. Tu przeto pomijając tę prerogatywę narodowości niemieckiej (której zresztą nawet i co do obowiązku postu wielkiego doznali), weźmiemy na uwagę ustępstwa dla klass innych pewnych osób, a mianowicie klass społeczności, wówczas bądź bardzo nizko, bądź bardzo wysoko położonych.

Przykład uwolnienia od dziesięciny najbiedniejszej klasy poddanych wiejskich, widzimy w Szlązku dowodnie, choć nie na długie czasy. Poprzednicy Wawrzyńca biskupa wrocławskiego, a zatem przed rokiem 1207 na stolicy tej będący, uwolnili byli od dziesięciny zupełnie pewien najniższy rodzaj poddanych, których *Smardami* nazywano, a którzy do jakichciś cięższych osobistych wysług dworowi obowiązani byli ze swych gruntów. Prawda, że książę, ówczesny dziedzic owych Smardów, wyn-

(54) Te bulle często u nas ogłaszano; a mianowicie są w Zbiorze konstyt. synodalnych KARNKOWSKIEGO, p. 81—85. WĘŻYKA, 194—200. ZAŁASZOWSKI, *Jus R. P.*, II, f. 395, też je podał, i inni.

grodził biskupstwu ten ubytek dziesięciny, darowawszy za to biskupowi niektórych z tych poddanych, wraz z gruntami, na których siedzieli: właściwie więc książę ich uwolnił, a nie biskupi. Lecz i to uwolnienie nie długo trwało: biskup bowiem Wawrzyniec, mimo wynagrodzenia przez poprzedników otrzymanego, począł ją znów wymagać, i zmuszać owych Smardów książęcych do dziesięciny. Henryk Brodaty, między innymi i o to skarżył biskupa do Rzymu; lecz gdy sąd papieżki delegowany zjechał, uznał owszem dawne według zwyczaju uwolnienie wszystkich poddanych, zwanych *Smardami*, *Łazekami*, *Stróżami* i *Popracznikami*, za wielkie nadużycie, i nakazał, aby od nich, dziesięcina płaconą była, a poprzedni ubytek nawet przez Henryka ks. wynagrodzonym (55).

Nie baczę, żeby gdzie w innych dzielnicach starożytnej Polski, podobne w owych czasach uwolnienie niewolnego poddaństwa od dziesięciny dokumentnie się wykazało; ale i z samej natury rzeczy, i z podobnych koncesyj, jak twierdzą, w Niemczech dostrzeganych (56), a szczególnie z tego, iż nawet w późnych XVIgo i XVIIgo wieku czasach, uniwersały paborowe sejmów koronnych wspominają o wsiach będących tylko „na posługach”, i o „wsiach łowczych”, które choć nie na Rusi położone, wolnemi były od dziesięciny wszelkiej (57), wnieść można, iż u nas podobnych przypadków jak na Szląsku przed biskupem Wawrzyncem, musiało być więcej. Trudno bowiem było biskupom rachować na trwałą dań dziesięcinną od poddanych tego rodzaju, których prestacya dla dworu głównie osobisto-posłużną była, a których całe mienie i siedziba wręcz od dowolności dziedzica zależała. Później dopiero, gdy stan wolnych kmieciów pogarszać się, a natomiast znów stan ojczyców niewolnych polepszać i pod względem siedziby ustalać począł, w dalszym ciągu XIIIgo wieku, mógł być powód

(55) Ob. STENZEL, 1, c., pag. 2 i 3.

(56) GRIMM, *Deutsche Rechtsalterthümer*, p. 392, § 11, gdzie mówi, iż ani szlachta, ani niewolni ojczyce nie płacą dziesięciny; lecz na to żadnego dowodu nie przytacza.

(57) Przytacza te uniwersały IGNACY MIĄCZYŃSKI, w rozpr. O dziesięcizach, p. 71, 72.

nie oszczędzania od dziesięciny i téj mizerniejszój klasy włościan. Pomimo tego jednakże, do późnych bardzo czasów, zawsze się jeszcze dość liczne znajdowały wyjątki siół, dziesięciny kościelnej nie płacących. Tu należą mianowicie także wsie zwane „*Villae vagabundae*”, w ustawie synodu chełmskiego z r. 1717 (58) wspomniane.

§ VIII. *Ustępstwo piąte, dla szlachty, co do dowozu dziesięciny.*

Stalsze nierównie i powszechnie były pod względem obowiązku dziesięcinnego koncessye pewne dla szlachty w starożytnój Polsce. Jest to rzecz tém bardziej uwagi godna, iż koncessye te, o których mam mówić, trwale się przez kilka wieków utrzymujące, u nas są dokumentnie wydatne i jasne; gdy tymczasem za granicą onychże wyraźnie i dowodnie wskazać nie mogę, nie mogąc poprześć na prostém twierdzeniu tego lub owego autora, nie popartém żadnemi dowodami (59).

Prerogatywy szczególnój dla szlachty polskiej pod względem dziesięciny, dwa głównejsze widzimy punkta, które, jak się zdaje, już do czasów odległych, zaraz po ustaleniu się wiary chrześcijańskiej i przepisów kościoła w Polsce, odnieść należy.

Jednym z tych punktów było, iż szlachcic wolny od opłat i danin, jakoby osobistego pogłównego, a mianowicie denara Świętopietrza, kolędy i dziesięciny konopnej, również i dziesięciny z gruntów dworskich należnej, nie był obowiązany odwozić do jój duchownego właściciela, jak to czynili włościanie, lecz że duchowny sam sobie po nią miał posyłać, lub jój téż odstąpić komubądź zechciał.

Dowóz dziesięciny i wspomniane rodzaje daniny stanowiły w istocie pewną osobistą wysługę i oznakę podległości: a z dawien dawna, właśnie to było cechą rycerstwa

(58) Obacz ustęp wypisany u MIĄCZYŃSKIEGO, l. c., pag. 75.

(59) Ob. GRIMM, *Deut. Rechtsaltth.*, w miejscu przytoczoném w powyższej notce 56 i str. 277, § 6.

i szlachty, iż stan ten w owych czasach do żadnych osobistych służb i obowiązków, prócz służby rycerskiej i wojennego przewodu zobowiązany nie był. Wszak nawet owe późniejsze dwa grosza *podatku łanowego* na rzecz skarbu, które szlachta na siebie *in recognitionem coronae* przyjęła (r. 1374), z ról kmiecych przez kmieciów szlacheckich opłacane były. Co do wolności od dowozu dziesięciny, była ona rzeczą tak powszechną opinii odpowiadającą, iż snadź przez długie wieki nikomu nawet na myśl nie przyszło, szlachtę o to nagabać. W najdawniejszych sporach o różne dziesięcinne kwestye, nie widzimy też kwestyi o to wszczynanej. Natomiast widzimy dowodnie z nadania kapituły krakowskiej, przez biskupa Pawła w r. 1273 wydanego (60), iż dziesięcinnych snopów na polu, (dopóki ich sobie nie wytknie duchowny), nie zostawiać, lecz swobodnie je zwieźć do swęj dworskiej stodoły i tam ją przechować wiernie, by sobie ją sam duchowny całkowicie bez wszelkiego trudu strony odebrał, zwano „*decimam jure militari solvere*”.

Jak dalece zobowiązanie stanu rycerskiego do dowozu dziesięciny jakimubądź duchownemu musiało być niepodobnym, już to samo dowodzi, iż Kazimierz Wielki, (jak się zdaje około r. 1349, gdy go biskup Bodzanta przez Baryczkę exkommunikował), rozporządził: aby nawet kmiecie i inni włościanie, w dyecezyi krakowskiej żadnemu duchownemu dziesięciny do jego gumna nie odwozili, jako zwykle byli dawniej. Odwołał wprawdzie król w r. 1352 ten zakaz, pogodziwszy się z Bodzantą; lecz tak przez zakaz poprzedni, jak przez nowy nakaz wydany wyraźnie dla samych tylko włościan, dowiódł, iż szlachty ani od dowozu wprzód uwalniać, ani później do niego jęj zobowię-

(60) ... „*Quod sepedictus miles, qui de agris suis in Lossosovicze JURE MILITATI DECIMAM SOLVEBAT, de agris etiam commutatis in Krzysovicze, quos bobus suis exarabat, ipse decimam tali modo dabit, quod collectis annonis suis, decimationem non exspectabit, nec decimator in agro decimam ejus accipiet vel signabit; sed ipse miles libere annonas suas in horreum deducet, et decimam ibidem fideliter componet et sequestrabit; et dominus decimae illius villae Krzysovicze... intergraliter decimam illam accipiet, absque ulla molestatione militis memorati*”. (Oryginał tego nadania w kapitule krakowskiej; kopia u mnie).

zywać nie potrzebował i nie mógł, od którego z dawien dawna ze zwyczaju krajowego wolną była (61).

My też nie potrzebujemy na tém tylko wnioskowaniu poprzestawać, gdyż mamy na to inne wyraźne dowody.

Gdy w r. 1435 szlachta na wspomnianym już przez nas zjeździe sieradzkim i piotrkowskim z zarzutami uzurpacyi główniejsz dziesięcinnych, przeciw duchowieństwu wystąpiła, odpowiadając na te zarzuty duchowieństwo, między innymi w tych się wyraziło słowach, które Długosz, snadź według leżącego przed nim aktu, dosłownie przytoczył: „*non posse rusticum sine gravi scelere, decimam reddi solitam Archiepiscopo, Abbati, vel Canonico, de agris desertatis vel in araturas nobilis translatis, DECERNERE LIBERAM; ET REM ALIENI JURIS IN ALIUM TRANSFERRE. ANNUERE TAMEN libenter, UT IN NOBILIS ET RUSTICI DISCRIMEN, miles agrum, rustico deposito, colens, neque decimam canapi solvat, NEQUE EAM PROPRIIS CURRIBUS DOMINO DECIMAE IN HORREUM, MORE RUSTICORUM INFERAT*” (62). W przytoczonych zaś już przezemnie punktach konkordatu szlachty z duchowieństwem z r. 1440, co do tego szczegółu czytamy: „*Ad hoc autem ut in sua libertate domini nobiles cognoscantur, primo id admittimus, quod cum alias de jure inferri debëatur decima ad horreum Levitarum, prout scribit Malachias propheta, quidem generaliter ponitur, quod decima non conducatur per heredem depositorum kmethonum, sed per illum, ad quem spectat decima.*”

Ustawa synodu piotrkowskiego IV (1495? 1510?), w tym samym przedmiocie mówi (63): „*Colono ex agro discedente, nobilis eundem agrum colens, decimas et proventus ecclesiasticos pro consuetudine pendat. Quod si non exstet in illo territorio aliqua ejus rei consuetudo, solvat eadem onera, quae colonus solvebat; illis tamen exceptis, quae ex rusticitate*

(61) Aktu poprzedniego zakazu nie znajdujemy dotąd nigdzie; zapewne staraniem duchowieństwa zatarto teksty i kopie jego. Lecz akt odwołujący dawniejsze wzbronienie, jasno treść zakazu wspominający, jest w oryginale w archiwum kapituły krakowskiej, a ze starego kodexu i zapisu w księgach metryki koronnej, ogłosił go BANDYKIE w *Jus polonicum*, pag. 154.

(62) DŁUGOSZ, XII, 681.

(63) Zbiór stat. synod, KARNKOWS., p. 79. WĘŻYKA, p. 190.

in nobilitatem indigne transferrentur, VELUTI, UT DECIMAM DUCAT, DENARIUM S. PETRI, CANAPALES, strennam, quae vulgo KOLEDA vocatur, solvat, nisi in istis aliter se habeat consuetudo."

Uważmy, iż te wszystkie trzy ostatnie orzeczenia od zwierzchności duchownej pochodzące, odnoszą się nawet do gruntów pierwotnie włościańskich i obowiązkwowi dowozu podległych, a dopiero później pod uprawę dworską dziedzica wziętych. O ileż więc bardziej szanowaném być musiało prawo rycerskie dziedziców w gruntach z dawien dawna dworskich? Nie ma więc pod tym względem żadnej wątpliwości, iż ta prerogatywa od niepamiętnych czasów, aż do późniejszych wieków w praktyce się w Polsce wszędzie utrzymywała, a to z mocy prawa zwyczajowego, o którym i sławny ów projekt statutów ziemskich za Zygmunta Starego, przez tak zwanych korektorów a mianowicie Taszyckiego, Maciejowskiego, Myszkowskiego i Izbińskiego ułożony, opiewa: „*Coloni villae sub eodem testimonio, decimam relictam de agris suis etiam conducere tenebuntur; ad quam conducendam nobiles de agris praediorum suorum, ex antiqua consuetudine non obligantur*” (64).

Zwyczaj ten, co do gruntów folwarcznych dziedziców stanu rycerskiego, że był we wszystkich ziemiach starożytnej Polski powszechnym, wniesć łatwo z tego, iż był uświęconym wyraźnym konkordatowym aktem i w Mazowszu, w czasach owych jeszcze, gdy ta dzielnica pod osobnym udzielnych książąt rządem zostawała. Aktem tym jest głośny, bo nawet w późniejsze ustawy synodów prowincjonalnych przejęty dosłownie przywilej Władysława księcia mazowieckiego i ruskiego, dziedzica na Płocku, Rawie, Sochaczewie, Gostyniu, Wiźnie i Bełżu, z r. 1446, którego ustęp właściwy brzmi jak następuje: „*Nobiles vero de agris PRAEDIALIBUS ac aliis, quos suis duntaxat propriis colunt aratris, ipsorum plebanis, quorum curae jure subsunt parochiali, decimas manipulares in grano quolibet... et semine, prout moris est atque juris, annis singulis dabunt effective; non tamen ad ductum earum tenebuntur (SICUT) CMETHONES. POTERINT TAMEN PLEBANI EASDEM DECIMAS LIBERE, SI VO-*

(64) Ob. TASZYCK. *Statuta et consuetudines*, fol. 7.

LUERINT, AD HORREA SUA CONDOCERE AC (AUT?) DE IPSIS PROUT IPSIS EXPEDIERIT, DISPONERE (65).

Przy takich jawnych dowodach służącego szlachcie niezaprzecznego prawa wolności od dowozu dziesięciny, przykre na umysłach wrażenie sprawiać musiała, w istocie niesłuszna tendencya duchowieństwa, już nawet w wieku XV widoczna, zaprzeczania tego prawa obywatelstwu, lub przynajmniej uwłaczania onemuż. W wieku XV bowiem, już w przytoczonych przezemnie kilka razy owych *Concordata dominorum laicorum cum praelatis ecclesiae* na mocy znanych słów Malachiasza, iż dziesięcina ma być wnoszoną do stodół Lewitów, usiłowało duchowieństwo przekonać szlachtę, iż przedtém kościół używał z owych gruntów służebności dowozu i tylko teraz z łaski ustęstwo czyni (66). Prócz tego Długosz, nie w innéj myśli w szczegółach przytacza, (jak gdyby go na własne oczy oglądał) edykt Mieczysława I, nakazujący wszystkim bez wyjątku mieszkańcom Polski, jakiegobądź stanu, dziesięcinę wszelkich rodzajów ziemiopłodów i innych przychodów, nie tylko dawać kościołom biskupim, farnym, kolegiackim (!), i klasztornym, ale ją nawet bez wyjątku niczyjego odwozić (67). W późniejszych zaś wiekach obrońcy jakoby nadwerężonych praw kościelnych, (jak np. „Ziemianinem” się nazywający bezimienny autor dziełka: *Pravda i sprawiedliwość istotna o dziesięcinach i t. d. roku 1765 wywiedziona*), mając przed oczyma wszystkie powyżéj przytoczone przez nas historyczne dokumenta i niektóre z nich nawet w miejscach im potrzebnych przytaczając, przecież je wręcz ignorują umyślnie w innych miejscach, gdzie jawne zwyczajowe prawo świeckich jest przyznane i rzecz tak przedstawiają, jakoby dopiéro od czasów wniesienia do Polski herezyi Lutra, kościół w Polsce dał się zgnęć do pewnych ustępstw pod względem obowiązku dziesięcinnego, a mianowicie téż i obowiązku dowożenia dziesięciny przez szlachtę (68).

(65) Ob. Zbiór konstyt. synod. KARŃKOWSKIEGO, pag. ver. 84. Zbiór WĘŻYKA, pag. 202.

(66) ... „*Ubi considerent, quia prius ecclesia habuit de istis agris servitutem conducendi; a qua recedimus*”.

(67) DŁUGOSZ, II, f 96.

(68) Ob. w przytoczoném owém dziele „*Pravda*” i t. d., pag. 134.

§ IX. *Ustępstwo szóste, dla szlachty, co do dziesięciny swobodnej.*

Drugi punkt szczególnej dla stanu rycerstwa, oczywiście więc i dla panujących książąt, prerogatywy, którą im kościół przez długie czasy nietykalną zachowywał, był ten, iż tak książęta, jako i szlachta dziedzice dóbr, dziesięcinę z gruntów pługiem dworskim uprawianych składać mogli do upodobanego im kościoła, altaryi, klasztoru lub dobroczynnego zakładu. Z powodu tej swobodnej dyspozycyi dziesięciną z gruntów własnych folwarcznych, która atoli zawsze na rzecz i cele tylko duchowne beneficjaryuszom oddawaną była, zwaną ona była *dziesięciną swobodną*, (*decima libera*). Książęta i szlachta od dawna przeznaczali ją na uposażenie przez siebie założonych domów Bożych, a w każdym razie tych, w których były ich groby i w których święte przyjmowali sakramenta. A jeżeli poprzednio (w §. IV) wskazaliśmy wiele przykładów dziesięcin, którei książęta i szlachta dysponowała, to ich takowe dyspozycye niezawodnie w związku były najczęściej z prerogatywą szlachecką, o której tu mówimy. Wchodziła ona w zakres tak zwanego ogólnego *juris militaris* (albo *militalis*), i wyraźnie do niego odnoszoną była w dokumentach.

Najdawniejsze dokumentnie nam przechowane ślady owych stosunków *dziesięciny swobodnej*, są w nadaniach szlązkich z r. 1213, 1223 i 1227.

W pierwszym mówi Henryk Brodaty (69):

„DECIMAM *in Legeniz de toto campo Złafno Sancte Marie in Lubens*, LIBERAM *in perpetuum pro remedio anime nostre contulimus; ita duntaxat, ut sive nostra, sive filiorum et successorum nostrorum, seu quorumcunque aliorum aratura ibi fuerit, eadem semper decima Lubensi cenobio ex integro persolvatur.*”

Raz dziesięcinę tę dawszy, chciał ją już na zawsze ustalić przy klasztorze ojcowskiej i swój fundacyi, choćby nawet grunta podległe obowiązkowi dziesięciny, wyszły z pod uprawy pługa dworskiego, a z folwarcznych stały się włościańskimi kolonistów gruntami; przez co właściwie przy-

wilejny charakter dziesięciny téj powinienby był upaść. Dla tego to zapewne ostatniego zastrzeżenia, książę uczynił wzmiankę o *doradzie i zezwoleniu* biskupa wrocławskiego.

Drugie nadanie z r. 1223 Wawrzyńca biskupa wrocławskiego, wyjaśnia i samą rzecz lepiej i tłumaczy konsens biskupi dany przy osnowie dopiero co wspomnianego nadania z r. 1213. Czytamy w niém między innemi:

Et ne in LIBERIS DECIMIS quas... ecclesie Sti Salvatoris in Ribnich quidam MILITES DE VOLUNTATE PROPRIA CONTULERUNT, ipsa ecclesia quoquomodo possit defraudari, ipsas eidem ecclesie.... dignum duximus confirmare decimas; scilicet Vincentii et Pribislai, Crisani et Johanis, Gassonis et Alberti, Alexandri et Ztresconis, Vincentii et fratrum ejus, Suentossii et Michaelis, Eustachii et Wisimiri, Wratizlai et Grimizlai (70).

Trzeci dokument jest wyrok często już przezemnie wspomniany sądu komissarzy papieżkich, w zająsci Henryka Brodatego z biskupem Wawrzyńcem z r. 1227. Ustęp właściwy brzmi:

„*Preterea (Dux) milites suos, qui villas solutione decimali dignas ab ipso a tempore concilii Lateranensis obtinuerant, vel adhuc obtinere poterunt, decimas ecclesius solvere coëgit, quibus de JURE debebantur; JURE TAMEN MILITALI, qui de talibus PRO VOLUNTATE SUA, IN DAMNUM ALIARUM ECCLESiarUM, QUIBUS VOLEBANT, CONFEREbant*” (71).

Już te trzy ustępy wyjęte z dokumentów początku XIII wieku, wyjaśniają naturę prawa szlacheckiego pod względem tak zwanéj *dziesięciny swobodnéj (libera)*. Z późniejszych czasów tegoż wieku i następnych coraz więcej się mnożą dowody takowe tychże samych stosunków, tak w Szlązku, jako i w innych dzielnicach polskich. Co do Szlązka przytacza je obficie z treści lub textu, szlązki historyk *Stenzel* (72), podając mianowicie akta długiego sporu między duchowieństwem a szlachtą dziedzicami, o dziesięciny należéc mające do kościoła kościmłockiego, z któ-

(70) Ob. WATTENBACH: *Codex diplom. Silesiae*. (Br. 1857), pag. 1.

(71) Ob. STENZLA, *Urkundenbuch*, p. 3.

(72) Ob. tegoż *Urkunden-Sammlung*, p. 55; i *Uebersicht d. Arbeiten d. Schles. Gesellschaft f. vaterl. Cultur*, p. 14—23 i *Urkundbuch*, p. XVIII, XXVII, LXXXIV, 52.

rych widać, iż szlachta z gruntów kmieciom odjętych zezwalała niekiedy wprawdzie dawać dziesięcinę sнопową *more rusticorum*, lecz silnie upierała się przy prerogatywie *juris militalis*, aby z gruntów ich rzeczywiście dworskich, była dawana dziesięcina swobodna.

Co do innych ziem polskich, przytoczyć możemy przepis synodu prowincjonalnego pod arcybiskupem Pełką, w r. 1233 w Sieradzu odprawionego, gdzie czytamy:

„*Quia vero, licet ecclesia Poloniae, sive per toleranciam, sive per concessionem, militibus Poloniae permiserit solvere decimas ad ecclesias, quas elegerint, quidam hac concessione abutentur fraudulentibus ipsas decimas et non integre persolventes, statuimus, ut si quis miles probatus fuerit fraudem in HOC FECISSE, ET NON integre decimam persolverit, cedat ab hoc jure, quod militibus est permissum, et solvet decimam, sicut illi, qui privilegium milicie non habent*” (73).

Arcybiskup Jakób Świńska ogłosił w r. 1309 zapadłą na poprzednim synodzie uchwałę następującej osnowy:

„*...statutum declaramus sentencialiter, ut sicut non licet officia divina alienis parrochianis impendere, sic etiam utputa DECIMAS MILITALES ET LIBERAS recipere ab eisdem non liceat, maxime de dyoecesi aliena; nisi forsan super his certis et determinatis privilegiis fundatae sint, et hoc de dyoecesani processerit voluntate*” (74).

W § 17 konstytucyi synodu prowincjonalnego uniejowskiego, w r. 1326, pod arcybiskupem Janisławem odbytego, którego to § nadpis w dawnym synodyku podany jest: „*De decimis militaribus*”, rzecz odnosi się do:

„*...milites seu heredes ac temporales domini aliquarum possessionum, quorum MAJORES LIBERE AD QUAM VOLEBANT ECCLESIAM, DECIMAM SOLVEBANT EX PRIVILEGIO MILITALI*” (75).

Taż sama prerogatywa widocznie się objawia w artykule V ordynacyi dziesięcinnój biskupa Bodzanty, która najlepiej dotąd podaną jest w Bandtkiego *Jus polonicum* (76).

(73) *Moje Starodaw. pomn.*, p. 344.

(74) *Tamże*, p. 389.

(75) *Tamże*, pag. 403.

(76) *Ob. Jus polon.*, pag. 165.

Że prerogatywa ta, którą Długosz „*spontanea redditio decimae*” zowie, była również między innymi przedmiotem sporów duchowieństwa ze szlachtą w r. 1435, to już i z tego widać, cośmy o sporach względem nowizn wyżej (77) przytoczyli, i z tego co o tém Długosz obszerniej wspomina (78). A wreszcie jest o niej mowa, tak w konkordacie z r. 1440, jako też w przywileju Władysława księcia mazowieckiego z r. 1446, jak to wnet obaczymy.

§ X. *Dalszy ciąg. Dziesięciny swobodnej prerogatywę, duchowieństwo usiłuje ukrócić.*

Jeżeli z przywiedzionych tych ustępów wyjaśnia się istnienie i znaczenie *dziesięciny swobodnej* szlacheckiej, (która w okólniku Jakóba Świnki z r. 1309 nazwaną też jest *decima liberalis*), toć się niemniej i z nich już okazuje wstręt, z jakim się na tę dawną koncesyję zapatrywało duchowieństwo. Wyznać należy, iż wstręt ten był bardzo naturalnym, a poniekąd i słusznym: bo z taką dowolnością płacenia dziesięciny przez najzamożniejszą właśnie klasę ziemianinów, łączyć się koniecznie musiało niepodobieństwo kontroli onejże przez kościół, a zatem też niepewność coraz większa głównego funduszu beneficjów parafialnych i innych fundacyi prywatnej kościołów, a wreszcie niebezpieczeństwo upadku służby Bożej i wsparcia ubogich w chrześcijańskich przybytkach. Prócz tego, dla zasad nawet nauczanych przez polski kościół, iż dziesięcina jest nieuchronną koniecznością, a jej zaniedbanie występkiem (*scelus*), nie mogła być miłą sama nawet egzystencya dziesięciny swobodnej, która już z nazwy i z charakteru swego, podobną była raczej do pobożnej prostej oblacy, której uchybić można było bez grzechu, niż do nieuchronnej powinności. Nie dziwny się tedy, że już wcześniej, bo też już w początkach XIII wieku widzimy obmyślane przez duchowieństwo środki, ukrócenia coraz większego tej prerogatywy szlachty.

(77) Ob. wyżej przy odsyłaczu do notki 62.

(78) DŁUGOSZ, XII, 679, 680, 681.

Konstytucya synodalna Pełki z r. 1233, jako to widzieliśmy, poczyna od tego środka, iż szlacheć przenie-
wierzający się co do ilości i rodzaju dziesięciny, którą
upodobanemu kościołowi lub kilku kościołom mógł ofia-
rować, miał tracić swój przywilej, i podpaść pod regułę
pospolitą. Na mocy tego przepisu, gdyby go ściśle prze-
prowadzać chciano, łatwoby się była liczba tak uprzywi-
lejewanych dziedziców o znaczną część zmniejszyła.

Na synodzie wrocławskim prowincjonalnym, legat
papieski kardynał Gwidon r. 1267 prezydujący, zastrze-
gał w art. 6 swych konstytucyj (79), iż tak szlacheć, ja-
ko i prosty człowiek świecki, z gruntów nawet własnym
pługiem uprawianych, całkowitą dziesięcinę ma składać:
*„nec propria voluntate, immo potius praesumptione eas cuiquam
alteri ecclesiae vel personae conferat, sed illas absque ulla con-
tradictione percipiat, qui de eodem loco decimas percipere con-
suevit.”* Oczywiście cudzoziemcowi legatowi zdawało się,
iż wydany przez niego z synodu przepis wręcz przeciwny
dawnemu zwyczajowi, napotka u szlachty w skutkach ta-
ką samą pokorę, z jaką bez wątpienia też polska szlachta
całowała rękę wysłańca Ojca Świętego. Że się omylił,
okazały długie późniejszych czasów doświadczenia, a mia-
nowicie stan rzeczy taki, który jeszcze przez dwa wieki
późniejsze wymagał do tegoż celu dążących, lecz kolejno
i zwolna skutkować mających, innych zaradczych ustaw
synodalnych. Bo szlachta dużo też bardzo ceniła zwy-
czaje i prawa swoje. Słowa Gwidonowego przepisu
z wiatrem uleciały, właśnie dla tego, iż chciał jednym za-
machem obalić zwyczaj i prawo długim użyciem ustalo-
ne. Środki przez duchowieństwo polskie później przed-
siębrane skuteczniejszemi zaś były, dla tego iż zwolna
podkopywały prerogatywę, która się zdawała dobru ko-
ścioła zagrażać.

Po tém tedy rozporządzeniu, które jak widzieliśmy,
synod z r. 1233 postanowił, drugi stopień powolnego
ukrócenia *swobodnej dziesięciny* orzeczony został na syno-
dzie sieradzkim z r. 1262 pod arcybiskupem Januszem.
Przepis jego w artykule 6tym objęty, to rozporządza, iż

(79) *Moje Starod. poma.*, str. 361.

z gruntów, które nie swobodną, lecz według pospolitej reguły dziesięcinę dają, jakimkolwiekby tytułem i do kogobądź następnie przeszły, a mianowicie choćby przeszły w posiadanie i uprawę osoby przywilej szlachecki mającej; przecież ten nowy posiadacz i uprawiacz ma dziesięcinę temu dostarczać duchownemu, komu z dawien dawna zwyczajnie oddawaną była (80). Odnosiło się to więc do gruntów włościańskich w sposób i miejsce z dawna przepisane, dziesięcinę składać zobowiązanych, chociażby je następnie dziedzic szlachcic do swych folwarcznych gruntów wcielił. Ten przepis rzeczywiście wszedł w praktykę, gdyż jego wykonanie widzimy już w akcie Grona i Bogusza dziedziców Dobroszowskich na Szlązku w r. 1291, mocą którego zobowiązali się względem klasztoru św. Wincentego, iż z gruntów wsi tej odebranych chłopom będą składać dziesięcinę *more rusticorum*, a tylko z gruntów pod dworskim pługiem będących, dostarczać ją będą *libere jure militali* (81). Później zaś widzimy tę samą zasadę przyjętą, nie tylko w ordynacyi dziesięcinniej Bodzanty (art. V), i w rozprawach duchowieństwa ze szlachtą w Piotrkowie r. 1435, i w konkordatach krakowskich z r. 1440, ale też w przepisie synodu piotrkowskiego IVgo, z początku XVIgo wieku, który powyżej w § VIII przy odsyłaczu 63cim przytoczyłem, a który później we wszystkich następnych synodykach powtarzano, uwalniając tylko szlachtę od obowiązku dowozu.

W rozporządzeniu synodu przez arcybiskupa Jakóba Świńkę, w r. 1309 ogłoszoném, któreśmy powyżej przytoczyli (82), widzimy przeciw *swobodnej dziesięcinie* użyty środek zakazu zwierzchniej władzy biskupiej dla duchownych beneficjaryuszów wydanego, aby się bez zezwolenia biskupa nie ważyli przyjmować *dziesięciny swobodnej*, którąby im szlachta ofiarować mogła. Wielka władza biskupów nad duchowieństwem niższém, a nawet nad zakonnikami konwentami, dając możność karcenia w różny sposób duchownych wykraczających przeciw zakazowi

(80) Tamże, pag. 359.

(81) Ob. STENZEL, *Uebersicht* i t. d. z r. 1841, pag. 16.

(82) Przy odsyłaczu 74.

temu, domyślać się każe, że i ten środek, aczkolwiek przeciwny interesowi pojedynczych beneficjaryuszów, skutecznym być musiał.

Wnet jednakże, krom wszystkich poprzednich, nowe jeszcze ścieśnienie dziesięcin swobodnych przez umniejszenie liczby osób uprzywilejowanych nastąpiło w przepisie synodu uniejowskiego i pod arcybiskupem gnieźnieńskim Janisławem w r. 1326 odbytego. W artykule 17 ustaw tego synodu uchwalono: „iż gdy się okaże większe rozrodzenie szlachty, i dziedziców świeckich, których przodkowie *dziesięcinę swobodnie* do upodobanego im kościoła dostarczali, według przywileju szlachectwa, tedy najstarszy tylko, lub jeden ma ją *swobodnie* dawać; a inni wszyscy mają ją składać temu kościołowi lub prebendzie, którym dziesięcina onejże wsi lub posiadłości (t. j. dziesięcina innych mieszkańców wsi, włościan) *jest przypisana*; gdyż inaczej, przy rozdrobieniu danin dziesięciny swobodnej różnym miejscom danym, prawo nowego kościoła lub prebendy, i służba w nim Boża zmarnionemiby zostały” (83). Prócz tego, do owego nowego rozporządzenia dołączono nowe powtórzenie dawniejszych dwóch ograniczeń: „iż uprzywilejowany szlachcic utracą prerogatywę swobodnej dziesięciny, jeśli jej w należnej zupełności nie daje; tudzież gdyby szlachcic jakimkolwiek tytułem przyszedł do własnej possessyi i uprawy gruntu, który do osób niższego stanu należąc, dziesięcinę z powinności (*ex debito*) pewnemu kościołowi lub prebendzie dostarczał, tedy i ów szlachcic temuż samemu kościołowi *dziesięcinę* *powinną* ma dawać; gdyż wiadomo, że grunt wraz z ciężarami swemi w ręce nabywców przechodzi”.

Toż samo rzeczywiście orzekały, (jak widzieliśmy) synody sieradzkie z r. 1233 i 1262. Lecz w rozwinięciu przepisu tu na ostatku podanego, statut synodu uniejowskiego, postąpił jeszcze o jeden krok dalej, a krok nie małej wagi, a to nawet z pominięciem konsekwencyi własnej swej zasady.

Jeżeli bowiem statut przyjął zasadę, że grunta przechodzą na nowego nabywcę wraz z swemi ciężarami

i powinnościami, to należało wynikłe uznać, że też i z prawami a prerogatywami swemi do tegoż nabywcy przechodzą. Byłoby to zgodne z zasadami prawa powszechnego rzymskiego (84), którego się ustawodawcy kościoła zwykle wiernie trzymali. A jednakże mimo tego w statucie Janisława przydano takie dalsze rozciągnięcie statutu Janusza z r. 1262, iż:

„gdyby posiadłość lub wieś, którą posiadał szlachcic z prerogatywą *swobodnej dziesięciny*, przeszła tytułem sprzedaży, zamiany, donacyi, lub jakim bądź innym, na własność innej niższego stanu osoby, tedy ta osoba ma płacić dziesięcinę temu kościołowi lub prebendzie, którym dziesięcina ze wsi owęj lub posiadłości jest przypisana”. Prawda, że przepis artykułu owego 17go nie został zaraz przyjętym i w praktykę wprowadzonym; bo na oryginalnym pergaminowym akcie synodyku ręka współczesna przy tym artykule dopisała: *Ista (t. j. constitutio) non est approbata* (85); lecz mimo tego utrzymały się orzeczenia jego w praktyce późniejszej zupełnie, i popłacały wszędzie przynajmniej *de jure*, choć snadź nie wszędzie folgowała im *de facto* szlachta, skoro jeszcze w r. 1435 przeciwko temu protestowała w Piotrkowie.

Rzeczywiście nie odstąpił już od owych zasad kościół polski w późniejszych czasach. Biskup Bodzanta w ordynacyi dziesięcinnej w artykule V tym nie tylko toż samo pod względem wzięcia gruntów włościańskich na rzecz dworu, i znów dworskich na posiadłość włościan, powtórzył, ale nadto choć niby wprost nie usuwał prerogatywy szlacheckiej co do *dziesięciny swobodnej* z gruntów pod uprawą dziedzica będących, przecież pośrednio i tę już zamienił na nie swobodną, skoro, unikając nawet wyrazu

(84) Ob. L. 1, § 43. Dig. de *acqua quotid.*, (43, 20) L. 3, § 1. Dig. de *censib.* (50, 15). Jeżeli uważano swobodną dziesięcinę za *privilegium personale* szlachcica, to należało ten przywilej szanować bez względu na poprzednie pochodzenie gruntów posiadanych przez niego; bo „*privilegium personale personam sequitur*”. Ob. rog. 7 de *regul. juris in VI* (5, 13). Jeżeli zaś je uważano za *privilegium reale*, za *immunitas* do gruntu przywiązaną, to należało ją przyznać i chłopom grunta takie posiadającym od dziedzica.

(85) Ob. Moje *Starod, pomn.*, p. 403, notkę 7.

decima libera, postanowił, iż: „jeżeli szlachcic drugiemu równemu sobie szlachcicowi dziedziczne swoje dobra zastawi, i wierzyciel w nich grunta uprawiać będzie, tedy dziesięcinę z płodów gruntowych temu ma dawać kościołowi, któremu ją szlachcic dający zastaw zwykł był z dawna dostarczać”. Już to więc przestała być dziesięcina swobodna, (choć grunta i własnością uprzywilejowanego szlachcica i possessyą zastawną drugiego podobnie uprzywilejowanego były), skoro tenże drugi już nie miał wyboru upodobanego kościoła, lecz miał sobie wskazany stanowczo kościół ten, do którego dziedzic właściwy z dawna ją był składał.

Po takim wystąpieniu Bodzanty, nie dziw, że w piśmie „*Concordata*” do szlachty małopolskiej wystósowaném, widzimy już *dziesięcinę swobodną* poczytaną za rzecz wręcz niegodziwą. Tak się bowiem w tém piśmie biskup Zbigniew i duchowieństwo krakowskie wyraża: „*Domini nobiles volunt dare decimas de agris (ab ipsis) cultis, ubi placet, ad hoc respondetur, quod uti tali libertate, sine detrimento salutis, non possunt. Dolendum enim esset, propter nobilitatem, jura alterius confringendo, aliquem velle aeternaliter perire. Quare dignentur attendere, quod velle esse liberum in danda decima, etiamsi non sit vaga, sed assumpta, aut alias ad certum beneficium pertinebat, nec est pro salute nobilium, nec pro honore et memoria ipsorum; sed est pro destructione ecclesiarum et desertatione beneficiorum et minoratione honoris domini; omniaque beneficia ecclesiastica, quorum decimae sunt in villis nobilium, nullum unquam habebunt stabilimentum.*” W dalszym zaś ciągu dowodzi biskup obszerniej, iż *dziesięcina swobodna* przynosząc uszczerbek kościołowi, pociąga za sobą grzech śmiertelny i przeszkadza dusznemu zbawieniu, tudzież, że narażając na niepewność egzystencyą farnych i innych kościołów przez szlachtę fundowanych, tém samém podkopują zaszczytne pamiątki przez przodków zostawione, i swoje własne nawet nowe fundacye na podobny los w potomności narażają. Wreszcie zaś co do tego punktu:

„*Si vero (decima fuerit vaga, certe) fuerit vaga de FACTO, non tamen de JURE; quod vagari non potuit, quin alicui pertineret ab antiquo tempore, cujus non exstat me-*

moria, nec fuerit alicubi assignata, quod absque peccato non erat. Amore dei imponant finem huic errori, ut amplius decimae hujusmodi non claudicent; et placeat ipsis ad Episcopum accedere et devotionem suam exponere super aliquo pro memoria beneficio fundando, sicut altari vel prebenda, et Dominus Episcopus tamquam pater, faciet, prout ipsorum devotioni videbitur expedire”.

W tych uwagach kościoła krakowskiego było wiele prawdy; a obawa o upadek kościołów farnych mogła być słuszną w tych czasach, gdy właśnie herezye Husa i Wiklefa w Polsce rozszerzanemi być poczęły. Uważmy prócz tego, iż odpowiadające szlachcie duchowieństwo, choć historycznie mylić się mogło, przecież szczerze z tego przekonania wychodzić zdawało się w swych wnioskach, iż w Polsce pierwiastkowo każda bez różnicy i wyjątku piędź ziemi, winną była płacić dziesięcinę pospolitą pewnemu jakiemuś ściśle oznaczonemu kościołowi.

Dla tego to w późniejszych zbiorach a raczej zwo-
dach konstytucyj synodalnych prowincjonalnych, po-
cząwszy od synodyku arcybiskupa Trąby, przyjmowano
już bez ogródki nie tylko zasady wspomnianej ordynacyi
Bodzanty, nie tylko powtarzano rozporządzenia synodu
Janisławowego z r. 1326 (§ 17), które jak wspomnie-
liśmy, z razu nie były approbowane; lecz nawet owe
dawne legata papieżkiego kardynała Gwidona, z r. 1267
przepisy synodalne (§ 6, 7 i 8), o których niepraktyczno-
ści również mówiłem wyżej (86).

§. XI. *Ciąg dalszy; o prerogatywie dziesięciny swobodnej,
którą szlachta z czasem w niepamięć puściła.*

Wnosząc z oporu, który szlachta jeszcze w połowie
XV wieku stawiała duchowieństwu pod względem *dziesię-
ciny swobodnej* (87), i z gorszego jeszcze oporu, którego od

(86) Ob. Statuta synod. Trąby, str. (niezliczb.) 69—71. Zbiór
KARNKOWSKIEGO, p. 76—78. Zbiór WĘŻYKA, pag. 186 i nast. Tu jednak
wypuszczono konstytucyą Janisława.

(87) Że spory podobne trwały jeszcze w r. 1447, 1454 i 1458,
na to mamy jawne dowody w Laudach krakowskich, w Statucie Kazimiersa

teższe szlachty doznało duchowieństwo w połowie wieku XVI, gdy się wyznanie Lutra i Kalwina tak nadzwyczajnie rozszerzyło, i gdy szlachta liczna tego wyznania, wręcz już zaprzeczyła, duchowieństwu prawa wszelkiego do dziesięcin (88), łatwo przypuścić można, iż pomimo usiłowań duchowieństwa do podobnych zagodzeń, jak *Concordata* z r. 1440, *Lauda* krakowskie z r. 1447 i te które Kazimierz

Jagiellończyka niezawskim i w jego statucie *contra sustinentes excommunicationem*, które w owych różnych trzech latach postanowione, czytamy w *Jus pol.* BANDTKIEGO, p. 240, 275 i w Łaskim, fol. 66—68.

(88) Już JAN OSTRORÓG (*Monumentum pro ordinatione reipublicae congestum*. Warszawa, 1831), w połowie XV wieku, tak odzywał się o dziesięcinach (Cap. XVI), jak późniejsi w Polsce akatolicy nie uznający innych, prócz pierwotnego kościoła przepisów, iż się nie należą z prawa, tylko z pobożności. O tém późniejszym zaś przeciw dziesięcinom na sejmach, na ewangelickich zbiórach i w pismach występowaniu nowatorów, wspomina CZACKI (*O dziesięcinach*, p. 63, 66. edyc. poznańsk.) mówiąc, iż niemal wszystkie od roku 1550 do 1570 sejmowe Dyaryusze świadczą o tém, iż Górkowie, Ostrorogowie, Filipowski i Rej z Nagłowic główniejszą się miotali z tém na sejmach; i że Malecki, Solitaryusz i Trepka kaznodzieje luterscy na zborach, a nieco później (r. 1631) Zbrożek w dziele „o kompozytach”, znów z uczonemi występowali dowodami przeciw duchowieństwu. Dla mnie uczącym jest rękopiśmienny Dyaryusz sejmu piotrkowskiego z r. 1565, na którym przemawiający imieniem posłów ich marszałek Mikołaj Siennicki, po kilka razy te rozwija zasady częścią heretyckim i historycznym fałszem, częścią duchem namiętniej partyi nacechowane: 1. Że synodalne statuta świeckich nie wiążą; 2. że Bodzanty biskupa i Janisława arcybiskupa ordynacye, choć w statuta świeckie przejęte, też wiązać nie mogą, bo orzeczone choćby przez króla Kazimierza W. są bez zezwolenia panów i szlachty; 3. że prawo kanoniczne jest sędziemskim prawem nie obowiązującym Polaków; 4. że nie można przyznać dziesięcin księżom katolickim, bo przez to samo przyznaćby musieli ich nad sobą jurysdykcyą, skoro i to przy dziesięcinach mają warowane sobie księża, iż ich dochodzić mogą prawem duchowném. Prócz tego zaś przy owój jurysdykcyi, już dziesięciny nikomu nie będzie można dać, tylko „papieżnikom”, a wtedy czemuż ewangelickich ministrów opatrywać się będzie? 5. że dziesięciny i inne dochody duchowne przeznaczone były pierwotnie także i na wsparcie ubogich i na utrzymanie szkół dobrych. Jednak ubóstwa pełno, a w szkołach polskich nie ma się czém młodzież zajmować; muszą ich rodzice drogim kosztem ślać po naukę za granicę. Nawet łaciny u nas nie ma, tylko taka, z której się indziej śmieją. Nie dotrzymując tedy tych warunków i powinności księża, nie mają też prawa domagać się dziesięcin; 6. że ani owe papieżów Bonifacego i Jana bulle, potwierdzające przywilej przez obcych cesarzów na korzyść swobód kościoła dany, ani też przywilej Władysława Jagielly

Jagiellończyk w statucie nieszawskim (art. X), podjąc po skończeniu wojny obiecywał, pomimo bezwzględnych już przepisów podanych w zbiorach synodalnych konstytucyj, nie mało jeszcze szlachty musiało trwać w dawnym umyśle ocalenia swych prerogatyw, i że powszechnej zgody na żądania duchowieństwa, nigdy właściwie nie było.

Jednakże w najznacniejszej części dóbr szlacheckich, duchowieństwo dojść musiało do swych celów, już dla tego samego, iż dawne przez prywatnych fundowane kaplice i inne prebendy, do których nabożeństwem, familijnemi grobami i trwale powtarzającemi donacyami i dziesięcinami szlachta przywiązała się i nawykła, zamieniły się na parafialne kościoły. Interes tedy rodowego przywiązania do pamiątki po praojcach, złączywszy się z celami duchowieństwa, nie miał już podniety praktycznej do opozycji, i do obstawania jakoby teoretycznego tylko przy prerogatywie *juris militaris*. Dla tego to, jak się zdaje, już Władysławowi mazowieckiemu księciu, łatwo przyszło w jego znanym nam przywileju z r. 1446 powiedzieć: „*Nobiles vero de agris praedialibus ac aliis, quos suis duntaxat propriis colunt aratris, IPSORUM PLEBANIS QUORUM CURAE JURE SUBSUNT PARROCHIALI, decimas manipulares in grano quotlibet, ut praemissum est, et semine, prout moris est atque juris, annis singulis dabunt effective: non tamen ad ductum earum tenebuntur, (sicut) cmetones*” (89). Snadź bowiem

z r. 1433 i Kazimierza Jagiellończyka z r. 1457, które bocznemi drogami w statut Łaskiego (fol. 59—63 i 66—68) weszły, nie znajdując się wcale w dawniejszém wydaniu statutów, nie obowiązują szlachty. Pierwsze bowiem są obce; drugie zaś na królach bez wiedzy rycerstwa, a nawet bez należnego udziału panów rad wyfortelowane i długi czas nawet tajemnie trzymane. Szlachta zaś dowiedziawszy się późno o nich, protestowała się przeciw nim i nigdy ich nie uznała i t. d. (Dyaryusz w rękopiśmie niegdyś Świdzińskiego). Przyłuskiego też we współczesnym niemal (z r. 1553) statutowém dziele, fol. 111 uwagi, tą samą tchną teorią, choć nieco oględniej wypowiedziane.

(89) Zbiór sybod. KARNKOWSK., p. 84 versa. Zbiór WĘŻYKA, pag. 202. W dalszym ciągu tego przywileju jest ustęp o dziesięcinach szlachty, który i licznym późniejszym w wieku XVIII sporom, i niemalym między uczonemi wątpliwościom dał powód, jak o tém przekonać się można z rozpraw CZACKIEGO (pag. 41 i 42) i MIĄCZYŃSKIEGO (pag. 109—121) „*O dziesięcinach*”. Ustęp ten orzeka, iż z wszelkich gruntów soltyśich

szlachty nie raziło, iż ją zobowiązywano składać dziesięcinę swoim niegdyś kapelanom a później plebanom, którym składali ją i przedtém z dawien dawna, lubo nie z powinności, lecz przywiązania do domów Bożych i prebend, ufundowanych przez pobożnych ich przodków. W ogóle zdaje się, że jakiegokolwiek jeszcze w dalszym ciągu wieku XV zachodziły spory dziesięcinne między duchowieństwem a szlachtą, zaczynały one przenosić się raczej na inne już pole; a spór o *dziesięcinę swobodną* od tak dawna prowadzony, coraz więcej ucierać się, bo i na ważności tracić począł. Dla czci i prerogatywy stanu szlacheckiego, zdawało się to dostatecznym zadosyć uczynieniem, co w Laudach Krakowskich z r. 1447, w artykule XXIV szlachcie zape-

i wójcich prawem chełmińskim nadanych, a położonych w ziemiach mazowieckich księcia, które do dyecezyi poznańskiej należą, dziesięcina ma być przez sołtysów i wójtów płaconą biskupowi poznańskiemu, lub innym duchownym właścicielom w ten sam sposób, w jaki ją płacą inni włościanie rolę uprawiający, choćby nawet sołtys lub wójt był szlachcicem. Wyjęci jednak od tego są szlachta, którzya książę za ich wysługi, pewne grunta (*snadź* sołtystwa i wójtostwa) we wsiach i dobrach swoich prawem dziedzicznym szlacheckim *nobilitari*, czyli raczej *militari*. („*bo nobilitati*” w drukach przywileju jest jawną omyłką), nadal (nie uważając ich bynajmniej za sołtysów lub wójtów) i ktorzy też sądowi samego księcia podlegają, a nie według prawa niemieckiego odpowiadać mają. Ci tedy, jak się wyraża ów ustęp, „*nobiles, decimam more aliorum nobilium terrarum nostrarum Masoviae praedictarum dare sunt adstricti*”. W zbiorach synodów DZIERZGOWSKIEGO prymasa (z r. 1557), KARNKOWSKIEGO i WĘŻYKA w końcowych słowach tych ustępu, czy przez prostą omyłkę druku, czy przez fałszywe pojęcie przelęczacza redakeyi, dopuszczono się zmiany niegodziwej, podając zamiast „*dare sunt adstricti*”, jak słusznie brzmi oryginał, „*dare non sunt adstricti*”. To *non sunt adstricti*, albo *sunt adstricti*, było za Augusta III powodem do długich processów duchowieństwa ze szlachtą w Mazowszu, które dziedzice za *non sunt* będący, wygrali. Lecz gdy rzecz dalej poszła do trybunału, Andrzej Zamojski kanclerz zajrzał w oryginał i według niego rozstrzygnął. Podobność to wszyscy i wówczas i później, równie też CZACKI, jak MIĄCZYŃSKI (p. 121) za dziwaczne przeciwieństwo uważali, mówiąc: „Jakże można powiedzieć: ekscypują od dawania dziesięciny szlachtę zasłużoną i zaraz w drugim wierszu. ba nawet w kontynuacyi tej samej myśli wyrzec: „*a zatém niech dadzą jak drudzy*”? Lecz ci co w tém kontradykcyę widzieli, nie poznali rzeczy dość dokładnie. Nie widzieli różnicy między rzeczywistym sołtysiem z prawa teutońskiego, który choćby był szlacheckiego rodu, zawsze był uważany za pełniącego *officium servile* (Ob. Stat. wiślicki), a rzeczywistym szlachcicem, ktoremu tylko *beneficium* wójtostwa lub sołtystwa,

wniono (90), a co podobnież i później, z lepszym jeszcze wyszczególnieniem uwolnienia od kolędy i Świętopietrza, jak to już wyżej w § 7 przytoczyliśmy, potwierdzono na synodzie piotrkowskim IV (91).

Później przy końcu wieku XVI i początku wieku XVII zdaje się, nie wiedziano już nawet w powszechności, czém była owa dawna tak zwana *decima libera* i czém była względem niej długo zachowywana prerogatywa szlachty *ex jure militari*. Być może, że autor pisma wydanego w obronie praw świeckich przeciw żądaniom duchowieństwa o dziesięciny głównież i jurysdykcyę duchowną na

tojest grunta w daninę dał monarcha, jako lenno lub później królewszczyzną za wysługi, lecz go bynajmniej soltysiem wsi nie czynił, i w jurysdykcyę teutońską nie wplatał. Szlachcie soltys, *more rusticano* tedy musiał dawać dziesięcinę. Szlachcie zaś tylko gruntami soltysiem obdarowany, *more militari*, czyli jak mówi przywilój, „*more aliorum nobilium terrarum*”, jak ogół ziemskiej szlachty mazowieckiej dziesięcinę miał dawać. A jaki to był ten obyczaj szlachty składania dziesięciny, to już wprzód orzekł przywilój, że „*ex agris, quos suis propriis colunt aratris*”, mają dawać dziesięcinę snopową *swoim własnym* tylko plehanom i to bez obowiązku dowozu. Lecz MŁACZYŃSKI i tego nie wiedział, eoby znaczyły *agri, quos nobiles suis propriis aratris colunt*; i sądził, że to mowa o gruntach tych biednych szlachetków, którzy kmieci nie mając, orali grunta swemi pługami (pag. 119—120). Wnosił więc dalej, że grunta szlacheckie kmiecyem pługiem uprawiane, wolne były od dziesięciny snopowej. Myląc to zdanie: bo wszakże książęta i królowie w nadaniach przez nas wyżej cytowanych mówili o gruntach własnymi ich pługami uprawianych. Były to grunta folwarczne wprost na rzecz dworu zagospodarowane; i te były tylko uprzywilejowane prerogatywą *decimae liberae*, lecz wszelako od dziesięciny nie uwolnione.

(90) „*In signum tamen nobilitatis hujusmodi nobilium, qui dictos agros, qui quondam erant kmetikonum, araverint, has praerogativas dictis nobilibus reservamus. Primo, quod hujusmodi nobiles de talibus agris decimam propriis curribus non debent conduere. Secundo, quod dominus decimae non eligat capeta, sed decimum, quod ex ordine progressivo invenerit, pro decima tollat; nisi forte decimum foret vitiatum vel destructum, quo casu tollat immediatum praecedens, secundum, aut tertium. Tertio, quod hujusmodi nobiles de dictis agris non teneantur ad solvendam decimam canapi, ad quam kmetihones de ipsorum agris obligantur*”. Obacz w BANDTKIEGO *Jus polonicum*, str. 254, drugą połowę artykułu XXIV, w której wyrazy tu grubszym pismem odznaczone przez Bandtkiego mylnie inaczęj odczytane, poprawilem według będącego mi pod ręką kodexu niegdys Sierakowskiego.

(91) Obacz powyżęj § VIII przy odsyłaczu 63.

sejmie z r. 1585 złożonym, upominał się o *decimam liberam*, której nazwę w dawniejszych aktach i przywilejach widział. Lecz czy wiedział dokładnie czém niegdyś były te *swobodne dziesięciny*, i czy przypadkiem nie rozumiał przez to zupełnej szlachty od dziesięciny wolności, do której właśnie wtedy już nowatorowie wiary wręcz dążyli (92), tego trudno na domysł odgadnąć, skoro mi to pismo jego znane jedynie ze wzmianek, jakie o nióm czyni żarliwy onegoż oppugnator, w dziele: „*De controversiis inter ordinem ecclesiasticum et secularem in Polonia... tractatio in qua refellitur libellus quidam famosus et mordax contra querimoniam et postulata, cleri in Comitibus Regni anno 1585 Regi Regniq[ue] Ordinibus publice oblata conscriptus.*” To pewna, że WAWRZYNIEC ARTUR (Anglik Jezuita w Polsce zamieszkały), który ma być autorem owego dzieła: „*De controversiis*”, rzeczywiście już nie musiał wiedzieć znaczenia *decimae liberae*, skoro, zamiast wykazania przeciwnikowi, iż *dziesięciny swobodne*, acz egzystowały, przecież tylko pewne ułatwienia przynosiły szlachcie, a bynajmniej od obowiązku nie uwalniały, raczj zaprzeczył istnienia kiedykolwiek *dziesięcin swobodnych*, a przypuścił tylko istnienie *nieswobodnych*; mówiąc:

„*Nescio, quale sit, nec ego tale statutum reperio usquam. VOCEM QUIDEM ILLIBERAM invenio in eodem Casimiri et Bodzantae decreto; ex ea tamen nobiles liberas et arbitrias solvisse decimas, sane non colligo*” (93).

Porównawszy wreszcie to, co o zjeździe piotrkowskim w sporach szlachty z duchowieństwem w r. 1435 przytoczył bliski owych czasów Długosz, a o czém już wyżej mówiliśmy, z tém, co o tój samej okoliczności krócej mówi

(92) O pojęciu autora, przeciwnika praw duchowieństwa do dziesięcin, jakieby mógł mieć o *dziesięcinie swobodnej* jedynie z następujących słów Artura sądzić możemy: „*Jam vero quod contendis, (polemizuje Artur przeciw autorowi, którego zawsze oszczercą nazywa) etiamsi hae leges (Bodzantae et Jaroslai) legitimae habeantur, nulla tamen ratione universos obligare; quoniam Bodzantae lex invenitur, quae innuit nobiles pendisse DECIMAM LIBERAM, alios vero illiberam: nescio quale sit*” etc. (Ob. tamże pag. 80).

(93) Ob., zaraz idący dalszy ciąg słów w powyższej nocie przytoczonych; l. c., p. 80.

Kromer, a za nim Bielski (94), widać, iż nawet ci dwaj pisarze mniej już dokładną mieli wiedzę o właściwem znaczeniu dziesięcin swobodnych. Czerpiąc swą wiadomość z Długosza, wiedział dobrze Kromer, iż chodziło w r. 1435 szlachcie o dziesięcinę swobodną, o *spontanea redditio decimae*, jak się Długosz wyraził; a przecież tę *spontanea redditio* tak sobie tylko wytłumaczyć umiał, iż szlachta chciała, aby „*quem agrum quisque eques, agresti et ascriptitio depulso, sibi ipse coleret, ut INDE PAROECO SUO decimam penderet, quamvis aliis prius ea pendi solita esset*, że jednakże duchowieństwo na to nie przystało. Za Kromerem podobnie tłumaczy sobie rzecz Bielski. Obadwaj błędzą, bo nie szlachta, lecz właśnie duchowieństwo do tego rzecz przyprowadziło, żeby szlachta już z powinności plebanom swoim tę dziesięcinę dawała, którą dawniej *upodobanemu, raz temu, drugi raz owemu dawać mogła kościołowi*. Szlachta zaś żądała tej ostatniej swobody obdarowywania któregoś kościoła, według dawnego zwyczaju *juris militalis*; i to jest, czego im duchowieństwo według Długosza odmawiało. Jeśli zaś Kromer i Bielski w tym względzie błędzili, to ich błąd ztąd poszedł, iż już za ich czasów zapomniano na czém zależała niegdyś *libera decima*, albo *spontanea decimae redditio*.

§ XII. O dziesięcinie oddawanéj w gonitwę.

Znaczenie *dziesięciny swobodnéj, decimae liberae*, o której dotąd mówiłem, ściśle łączy się ze znaczeniem tego, co w starodawnych czasach nazywano oddawaniem dziesięciny w *gonitwę, (in gonitvam)*. Oddawać dziesięcinę w gonitwę, było bowiem przeciwieństwem tego, co swobodnie z prerogatywy szlacheckiej dawać ją temu lub owemu kościołowi według upodobania. Okazuje nam się to z następujących wzmianek:

1. W konstytucjach synodalnych arcybiskupa Pełki z r. 1233, artykuł trzeci brzmi:

(94) Ob. CROMER. *Hist.*, fol. 316 (ed. Kolon. 1589); Bielski (ed. Gałęz. Zbioru pisarz. polsk. Tom XIV, p. 165.

„Item praecipimus, quod omnes, cujuscunque sint conditionis, decimam ex integro persolvant IN GONYTHWAM, licet sint aratores militum. Quia vero licet ecclesia Poloniae..... militibus Poloniae permiserit solvere decimas ad ecclesias, quas elegerint, quidam hac concessione.... abutentur, fraudantes ipsas decimas et non integre persolventes, statuimus, ut si quis miles probatus fuerit fraudem in hoc fecisse, et non integre decimam persolverit, cadat ab hoc jure quod militibus est permissum, et solvet decimam sicut illi qui privilegium militiae non habent” (95).

2. W konstytucjach synodalnych arcybiskupa Janusza z r. 1262, artykuł 6ty opiewa:

„Statuimus insuper, quod ad quemcumque terrae decimam IN GONITHWAM solventes quocunque titulo devenerint, possessor et cultor ipsarum terrarum, ei de ipsis terris decimam persolvat, cui ab antiquo solvi consueverunt, nulla consuetudine, vel privilegio nobilitatis obsistente” (96).

3. W konstytucjach synodu uniejowskiego w roku 1326, pod arcybiskupem Janisławem odbytego, czytamy w artykule 17tym:

„.....Statuimus: ut si milites seu heredes ac temporales domini aliquarum possessionum, quorum majores libere, ad quam volebant ecclesiam, decimam solvebant ex privilegio militari multiplicari contingat, senior aut unus eorum eam libere solvat, alii omnes et singuli ecclesiae seu praebendae, CUI DECIMA ILLUS HEREDITATIS seu possessionis ascripta est, solvere teneantur..... Adicimus insuper, quod milites seu heredes hujusmodi, quibus privilegium hoc competit, ut dent ecclesiae cui volunt, eam ipsi ecclesiae decimam..... integre solvant, nihil de eadem suis usibus applicando. Quod si quispiam repertus fuerit, aliquid de ipsa pro se retinuisse fraudulenter, privilegium perdat.... Porro, si acciderit, quod possessio seu hereditas, quam miles tenebat decimam de ea libere solvendo, in inferioris personae..... dominium pervenerit, persona hujusmodi decimam solvat ecclesiae SEU PRAEBENDAE, CUI IPSIUS HEREDITATIS SUI POSSESSIONIS DECIMA EST ASCRIPTA. E contra vero, si miles aliquis gaudens pri-

(95) Obacz moje *Starodawne pr. pomniki*, str. 344.

(96) Ob. moje, *Starod. pr. pomn.*, str. 359.

vilegio hujusmodi militali, possessionem seu hereditatem aliquam, in qua personae inferiores residebant, decimam ecclesiae seu praebendae alicui ex DEBITO solvendo.... assequatur, decimam illuc teneatur solvere, ubi eam personae hujusmodi hactenus persolverunt; cum res transire cum suo onere dinoscantur” (97).

4. W artykule piątym ordynacyi dziesięcinnój biskupa krakowskiego Bodzanty, z r. 1359, czytamy:

„*Item decrevimus quod ubique aliquis nobilis alteri nobili sibi aequali... hereditatem suam obligaverit, et creditor agros coluerit in ea, decimam frugum de agris suis solvat illi ecclesiae, cui is, qui obligavit, solvere consueverat ab antiquo. Sed si forte labores suos dictus creditor voluerit ampliare, repellendō kmethones et excolendo agros eorum, de agris kmethonum quos colit, decimam IN GONITWAM solvere tenetur. Etiam si nobilis kmethoni vel alteri similiter hereditatem obligaverit, idem IGNOBILIS DECIMAM ILLIBERAM, CUI DE JURE DEBUERIT, de agris quos colit, dare sit adstrictus” (98).*

„Skazujemy, iż gdziekolwiek który szlachcic drugiemu szlachcicowi sobie równemu, gdy będzie potrzebą przyciśnion, dziedzictwo swe zastawi, a ten, który na zastawę dał, będzie rolę orał, tedy dziesięcinę zboża z pól swych niech płaci onemu kościołowi, któremu ten, który zastawił, płacić był zwykł z starodawna. Ale jeśli przerzeczony zastawnik chciałby roboty swe rozszerzyć, zganiając kmiecie, a orząc pola ich, tedy z pól ornych kmieci, które orze, będzie powinien płacić dziesięcinę w gonitwę. Chociażby téż szlachcic kmieciowi, albo komu innemu dziedzictwo zastawił, tenże nie szlachcic dziesięcinę która jest nie wolna, komu z prawa będzie powinien, z pól które zasiewa, będzie powinien dać.” (Tłumaczenie Herburta, w jego dziele: *Statuta i przywileje koronne* i t. d. Kraków, roku 1570, fol. 144).

Te cztery, z ustaw kościelnych wyjęte miejsca, z sobą wzajem porównane i w ich łączności rozstrząszone, podają w summie następujący rezultat:

A). Wszyscy i wszystkiego powołania mieszkańcy (ziemscy), powinni dawać całkowitą dziesięcinę w gonitwę. Wyjęci od tego szlachta, która przez koncesyję kościoła, może dawać dziesięcinę upodobanemu kościołowi. Lecz i szlachcic, jeżeli przez nadużycie koncesyji na krzywdę upodobanego kościoła, utraci przywilej szlachecki do dzie-

(97) Ob. moje, *Starod. pomn. pr.*, str. 403.

(98) Ob. BANDTKIEGO, *Jus pol.*, str. 165, 166.

sięciny swobodnej, staje się obowiązany do dawania *dziesięciny w gonitwę*.

B). Przeciwnie znów, jeśli na gruncie jakim był pierwotkowo ciężar *dziesięciny w gonitwę*, tedy ten grunt nie uchyli się już od tego ciężaru, *choćby* przeszedł w ręce uprzywilejowanego do *dziesięciny swobodnej* szlachcica.

C). Wierzyciel szlachcic biorący w zastaw dobra od dłużnika szlachcica, płacić ma *dziesięcinę nie w gonitwę*, lecz tam, gdzie ją dłużnik dziedzic według prerogatywy swój z dawna zwykł był dawać.

D). Lecz jeśli ówże wierzyciel w dobrach zastawnych wypędziwszy kmieci, grunta ich weźmie sam w folwarczną uprawę, tedy z tych gruntów pokmiecych ma dawać *dziesięcinę w gonitwę*.

E). Podobnie też i kmieć, lub inny prosty człowiek, jeśli mu szlachcic dłużnik dobra swe zastawi, obowiązany będzie do *dziesięciny niewolnej (decimam illiberam)*, temu kościołowi, któremu się z prawa należy, czyli do *dziesięciny w gonitwę*.

F). Z licznój uprzywilejowanej rodziny szlacheckiej, jednemu tylko przyzwolono *dziesięcinę swobodnie dawać (libere solvat)*: drugim już tego odmówiono przywileju; muszą tedy dawać *illiberam decimam*, bo już do tego oznaczonego kościoła, któremu *dziesięcina* dóbr owych jest przypisaną (*ascripta*).

G). Gdy dobra posiadane przez uprzywilejowanego szlachcica przejdą do osoby nieszlacheckiego stanu, tedy ta osoba nie będzie już dawała *dziesięciny swobodnie*, lecz temu oznaczonemu kościołowi, któremu jest przypisana.

H). Jeżeli na odwrót, od osoby niższego stanu posiadzie dobra jakie szlachcic, tedy ten, pomimo służącego mu osobistego przywileju, nie będzie z tych dóbr nabytych dawał *dziesięciny swobodnie*, lecz z powinności (*ex debito*), tak samo i tam, jak i gdzie ją dawała poprzednio owa niższego stanu osoba.

Z ciągu tych wyłuszczonych tu stosunków, których pojedyncze szczegóły nawzajem się uzupełniają, jasno się tedy to okazuje, iż oddawanie *dziesięciny w gonitwę*, było przeciwieństwem dawania swobodnego *dziesięciny*; że więc było oddawaniem *dziesięciny właściwej*, przypisanej ko-

ściołowi pewnemu stale oznaczonemu, dziesięciny obowiązkowej, poniewolnej: *decima ecclesiae adscripta, ex debito solvenda, illibera* (99).

Dziesięciną w ogóle powszechną i normalną była *dziesięcina w gonitwę* oddawana. *Dziesięcina swobodna*, była przywilejnym dla szlachty wyjątkiem od pospolitej reguły. Cała ogromna masa gruntów zostająca pod gospodarczą uprawą ludzi wszelkiej kondycyi, niższej od rycerskiego stanu, zobowiązana była do dziesięciny *w gonitwę*; przedewszystkiem tedy włościanie wszelkiej kategorii. Ci bowiem w czasach najdawniejszych, jak z mnogich dziejowych widać źródeł, bez mała wyłącznemi byli bezpośredniemi pożywaczami i rolniczemi wyzyskiwaczami (exploatorami) gruntów, gdy dziedzice z razu bardzo małą tylko część pod własne swe gospodarstwo brali, przestając na daniach i mytach kmieciów, tudzież na przeróżnych osobistych służbach poddaństwa, wystarczających sownie ówczesnym jeszcze zbyt prostym potrzebom pańskim. Później dopiero, pod koniec XIII wieku, za danym pierwszym przykładem wzorowego własnego gospodarstwa zakonników klasztornych (zwłaszcza Cystersów), coraz częściej dziedzice folwarki dworskie własnym zachodem uprawiane rozszerzać poczęli (100); lecz zawsze, gdy największa masa gruntów włościańskim uposażeniem była, największa też masa dziesięcin oddawaną była *w gonitwę*.

(99) Ten stosunek dziesięciny *swobodnej* i *w gonitwę* dawanej, już STENZEL chciał oznaczyć w *Urkundenbuch d. Bisth. Bresl.*, pag. XVIII: mówiąc: „*Daher setzten schon die Provinzialstatuten des Erzbischofs Fulco von Gnesen 1233 fest, auch die Bauern der Ritter sollten den vollen Zehnt in gonijthoam entrichten; d. h. von kleinen Stücken eben dahin, wohin der Zehnt von den grösseren gegeben würde*”. Sam początek artykułu przytoczonego *trzeciego* statutu Pełki, który jawnie dziesięcinę *w gonitwę* dawaną za zwykłą normalną, a *swobodną* (już dla samej natury każdego przywileju) za wyjątek poczytuje, przekonać nas może, że zdanie Stenzla nie jest trafnem. Wszak nawet grunta włościańskie razem wzięte, nie były mniejszym, lecz właśnie większym obszarem, niż dworskie wówczas.

(100) Prerogatywa dziesięciny *swobodnej* od owego czasu, jeśli się dla szlachty cenniejszą nie stała, to zawsze dla duchowieństwa obmierzejszą. Od owego więc też czasu poczęły się coraz większe onejże ograniczenia przez kościół.

Poznaliśmy tedy co znaczyło oddawanie dziesięciny w gonitwę. A gdyby jeszcze kto miał wątpliwość, to niech porówna ustęp tak zwanych TASZYCKIEGO statutów, w którym słowa Bodzantowej ordynacyi o składaniu dziesięciny w gonitwę, są w innych wyrazach oddane (101); a znajdzie, iż tam gdzie Bodzanta mówi: „*de agris kmethonum quos colit, decimam in GONITVAM solvere teneatur*”, tam w Taszyckiego księdze czytamy: „*de agris (COLONORUM) eisdem, decimam instar aliorum colonorum illius villae solvere teneatur.*”

§ XIII. Dlaczego oddawanie dziesięciny w GONITWĘ tak się nazywało?

Lecz poznawszy rzecz, o którą głównie chodzi, mimo tego, nie łatwo jest odgadnąć, dlaczego takie oddawanie nazywało się w *gonitwę*, i co w szczególności ten wyraz *gonitwa* przed sześcią wiekami u nas znaczył?

To pewna, że w stosunkach, w których nazwę tę użytą widzimy, nie mogła oznaczać ani *wyścigów*, ani *turniejów*, ani *pogoni* i t. p., do których ją późniejsze naszego języka zabytki przywiązują (102). Nie miałyby to najmniejszego związku z oddawaniem dziesięciny.

Jeśli zważymy, że oddawanie swobodne było tylko wyjątkowem, było odosobnieniem się szczególnego dawcy, od ogółu normalnego innych dawców; to musimy przypuścić, iż wyrażenie: w *gonitwę* oddawać dziesięcinę, musiało się wiązać z owym cechującym stosunkiem wspólnego oddawania dziesięciny.

Wątpię bardzo, aby wyraz *gonitwa* oznaczał kiedy *miejsce* pewne składowe, n. p. wspólną stodołę pewnego duchownego okręgu, do którejby dziesięcinę zwożono. Bo naprzód *stodoły* polska nazwa już dawno w wieku XIV utartą była, którą znajdujemy w aktach owego wieku. Prócz tego, gdyby to było takiego rodzaju miejsce

(101) Porówn. TASZYCKIEGO *Statuta et consuetudines*, fol. 7 verso, z ustępem Bodzanty powyżej tu pod L. 4 przytoczonym.

(102) Ob. LINDEGO Słownik, v. *gonitwa*.

zbiorowe, toby w łacinie nie pisano o „*decima persolvenda in gonitvam*”, jak to czytaliśmy wyżej; lecz pisanoby *cunducenda ad gonitvam*. Podobnież i w polskim języku tłumacze z XVIgo wieku ordynacyi Bodzantowej nie byliby mówili o dziesięcinie w *gonitwę* płaconej, lecz *do gonitwy*. Bo choć już może mniej dokładnie samą rzecz znali, to przynajmniej zachować musieli formę językową, która się im o uszy nie obijać nie mogła, według tradycyi starych ludzi. Wreszcie nie może gonitwa oznaczać *miejsca* wspólnego *składowego dla pewnego okręgu*: bo szlachta dziesięcinę nawet z tych gruntów, z których ją w gonitwę dawać była winna, nie była obowiązana w żadne inne miejsce odwozić, lecz tylko w własnym gumnie przechować.

W braku starożytnych języka naszego zabytków co do wyrazu *gonitwa* w słownikach naszych, jeśli się udamy do zabytków innych języków słowiańskich, poszukiwanie nasze nieco pomyślniejszem się okaże. W starożytnych, choć szczupłych, jednakże bardzo ważnych wokabularzach czeskich z XIVgo wieku, które wydał Hanka (103), znajdujemy:

Najprzód w wokabularzu *Rozkochanego*, że:

parrochia, zwie się po staroczesku *osada* (104), zaś *dyocesis*, *honytwa*.

Daliej w *Catolicon magnum latino-teutonico-bohemicum*, że:

Territorium, ((Sębiet) znaczy *honytba*.

Nakoniec w Glossach do Psalterza drugich, że

patria, znaczy *honytwa*.

Mamy więc wyraz *gonitwy* najprzód w znaczeniu *dyecezyi*, a potem w znaczeniu *terytorjum* i *ojczyzny*, które snadź wszystkie w jedno znaczenie pewnego ziemskiego okręgu, pewnej prowincyi, zlać można, tém bardziej, że i *dyecezyi* pierwotne znaczenie jest *prowincya* lub *okrąg* pewien kraju.

(103) Ob. HANKY, *Zbjrka neydawnęsich słownjku* i t. d. (Praga 1833), pag. 78, 177 i 256.

(104) Podobnież i w starożytnej polszczyźnie *osada* znaczy *parafią*. Ob. Świętosława z Wocieszyna tłumaczenie statutów wiślick. art. 22 w moich *Starod. pomn.*, str. 66.

Dycecyzi w ścisłym znaczeniu biskupiej nie można tu przypuszczać; bo dokumenta, które przytoczyliśmy, mówią wyraźnie o dziesięcinie w *gonitwę* odnośnie i do innych kościołów, którym *ex debito* przypisaną była, a nie zaś koniecznie do samych kościołów biskupich. Nie można też przypuszczać parafii w dzisiejszym znaczeniu; bo na oznaczenie tejże, byłby był użytym prastary wyraz *osada* z dawna popłacający i u nas, i u innych Słowian. A nadto już z tego, co powyżej w punkcie C) powiedzieliśmy, widać, iż gdy wierzyciel zastawny, szlachcic, płacący dziesięcinę do kościoła, (najczęściej farnego) do którego ją dłużnik zastawiający szlachcic, zdawna zwykł był dawać, nie był uważanym za płacącego w *gonitwę*, przeto też fara czyli parochia nie mogła być zwana *gonitwą*.

Tu więc nierównie prędzej da się pogodzić pojęcie dziesięciny dawanej w okrąg krajowy, w prowincję, t. j. *dziesięciny okręgowej, prowincjonalnej*, czyli z całego pewnego okręgu wybieranej. W istocie w wielu dokumentach dawnych znajdujemy wzmianki, o dziesięcinie z licznych włości całej pewnej obszerniej okolicy, z kasztelanii całej, a nawet ziemi, *razem* do jednego kościoła należącej (105). Tak samo się też rzecz miała i w postronnych krajach, a mianowicie w Niemczech, gdzie widzimy

(105) Ob. u BÜSCHINGA, (Leubus) nad. z r. 1175, str. 9: „*dotativus ecclesiam... decimis omnibus de novis villis que nunc sunt in potestate Legnicensi*”; i nad. z r. 1218, str. 64—67. U WATTENBACHA, *Cod. dipl. Siles. I*, pag. 1, nad. z r. 1223: „*decimae villarum in Castellatura de Tassin*”. U STENZLA, *Liber foundationis clau. in Heinrichów*, p. 17 i 18, gdzie o dziesięcinach *territorii de Kołaczów*; tegoż Stenzla *Uebersicht d. Arbait. d. Schles. Gesellsch.*, z r. 1841, pag. 17, gdzie świadczy o całej kraju znacznej okolicy, płacącej dziesięcinę do Kościemłota. Ob. też nadania jędrzejowskie z r. 1154 i 1210, w mojej rozprawie „o klasztorze jędrzejowskim”, str. 11—13 i 16—19, gdzie dotacya klasztorów mnóstwem dziesięcin z siól obszerny okrąg zajmujących. Przykładów takich zresztą znaczną ilość namnożyćby można. Widać to szczególniej we wszystkich dobacych dziesięcin, które biskupi nowo fundowanym kościołom i klasztorom czynili. Łatwo wnieść przeto, o ile większemi jeszcze były okręgi wspólnie dziesięcinę dające samymże już biskupom. Czego zresztą jawny przykład nam podaje ordynacya biskupa Bodzanty w artykule III i IV. (*Jus pol.*, str. 164, 165).

dziesięcinę *riedweise* wybieraną (106), t. j. z pewnych całych okręgów, które *Ried, Riet, Reut, Rod*, według różności prowincjonalnych dyalektów niemieckich nazywano (107).

Według tego, dawać dziesięcinę w *gonitwę*, byłoby to dawać ją w *okrąg*, czyli dawać ją wspólnie z mieszkańcami całego pewnego okręgu.

Wnioski te bliżej się jeszcze zdeterminować dadzą, jeśli weźmiemy na uwagę wzmiankę Długosza, którą pan T. Ż., z jego *Libri beneficiorum* przytoczył. Długosz wymieniwszy tam snadź pewną ilość wsi, powiada: „*Ex quibus omnibus agris praedictarum villarum conducitur decima manipularis in COMMUNE, alias in gonithwam.*” Więc *gonitwa* znaczy według tego pewną łączną spółkę, pewną ogólną zapewne większego lub mniejszego okręgu składkę, w którą razem dziesięcina snopowa z owych wsi zbierana była. Wiadomo nam, że i w krajach postronnych zbieranie i łączenie w jedno pewnych podatków lub danin publicznych nazywano technicznym wyrazem *Commune*, albo też *compensum*. Przytacza dowody DUCANGE (108), iż *Commune* jest to: *pensitationis species tam a clericis, quam laicis pro sustentatione et defensione securitatis et pacis publicae..... fieri solita..... Sic porro appellata, QUOD IN COMMUNE ET AB OMNIBUS EA pecunia conferretur..... Observat auctor historiae Delphinatus..... pecu-*

(106) Józ. HELFERT, w dziele: *Von dem Kirchenvermögen*. T. II, p. 53, mówi: „*Hat jemand dargethan, dass er als allgemeiner Zehnherr in einem ganzen Bezirke, oder wo der Zehnte RIEDWEISE erhoben wird, wenigstens als Partikular-Zehnherr in einer GANZEN RIED das Zehntrecht habe; so hat er die rechtliche Vermuthung für sich, dass ihm das Zehntrecht auch über den zwischen anderen zehntbaren Gründen dieses Bezirks oder dieser Ried liegenden Grund gebühre*” i t. d.

(107) Najczęściej *Ried* i inne formy tego wyrazu oznaczają pewną bądź pierwiastkową bagnistą, bądź z lasu wykarczowaną ziemię. Często jednakże bez względu na to, tak nazywano wszelkiego rodzaju mały okrąg. *Riedzehnte* i t. p. znaczyło często tylko dziesięcinę z nowizn: ale też i w ogóle z okolicy pewnej, jak widać z noty poprzedzającej. Ob. Słowniki niemieckie ADELUNGA; a zwłaszcza *Schmellera Bayerisches Wörterbuch*, III, p. 56, 163, 166.

(108) DUCANGE. *Glossar, latin. med. aevi*, v. *Commune*; także v. *Compensum*.

niam ex hujusmodi pensitatione coactam in ecclesiis cathedralibus servatam fuisse; ad compensationem damnorum, quae passi fuerant ii, qui..... exsolverant: quamobrem haud raro dicebatur COMPENSUM PACIS." Możemy tedy to przekonanie powziąć, że jak owe przez Ducangea opisane *commune*, tak też i *gonitwa* u nas, jednoznacznie z *commune* przez Długosza wspomniana, dla tego się tak zwała, iż w tym lub w owym okręgu *we spółek i od wszystkich*, (wyjąwszy uprzywilejowanych) w jedno zbieraną była.

Rzeczą podobną do prawdy jest, że jako dziś mówimy: *zgromadzać, skupiać coś w jedno*, tak dawniej można było mówić *zganiać coś w jedno*. Ztąd podziśdzeń nazwę noszą, znane w gumienném gospodarstwie niedomłotki, *zgoniny*: ztąd i wyraz *zgon* niegdyś nie oznaczał, jak dziś, samego tylko *skonu*; lecz znaczył tyle co *zeganie do kupy, skupienie, spędzenie, zmiot* lub *zbiór* jakichcś rzeczy różnych w jedno; *compulsio, coactura*. Co większa, używany tak samo u innych słowiańskich narodów, wyraz *zgon* przybiera w ruskim i czeskim starym języku formę *shonem, згономь* (*zgonom*), znacząc wtedy tyle, co *wszyscy razem* (109). Czyż więc nie godzi się przypuścić, że starodawne u nas dawanie dziesięciny w *gonitwę* jest toż samo co dawanie onejże, w *zgon* lub *zgonem*, to jest przez wszystkich okręgowych razem?

Sądzę zaiste, że to przyjmując zdanie, przynajmniej nie daleko od prawdy będziemy. Badacze dziejów i kształtów języka naszego, filologowie, będą mogli zdanie to ze swój strony krytycznie zgłębiać. Z drugiej zaś strony historycy wertując usilniej źródła stare, prędzej czy później najdą gdzieś przecie zupełnie tak jasne wytłumaczenie stosunków dziesięcinnych, że już nie tylko rzecz sama, (która dla mnie przynajmniej już dziś wątpliwą nie jest), ale i samo znaczenie *gonitwy*, i zastosowanie tego wyrazu do dawania dziesięciny, najmniejszej wątpliwości nie ulegnie. Być może, że same już nawet z druku oczekiwane Długosza *Libri beneficiorum*, jeżeli z należną troskliwością z oryginalnego kodexu wydane będą,

(109) Ob. LINDEGO i JUNGMANA Słownik, pod. wyr. *Zgon* i *Shon*.

posłużą do dopięcia owego celu, i zupełnego zaspokojenia życzeń pana T. Ż.

Wyglądając tedy owego wydania z upragnieniem, tymczasem zamykam rzecz moję tą ostatnią uwagą: że jako w ciągu XVIgo i XVIIgo wieku, dawna prerogatywa *dziesięciny swobodnej* zapomnianą została, tak też naturalnym trybem rzeczy, i osobna techniczność nazwy oddawania dziesięciny w goniwę, stracić musiała swą praktyczność. Nie było już po co dziesięciny normalnej odróżniać osobną dawną nazwą, skoro i wyjątek od tej normy przestał być w użyciu. Zapomniano tedy zwolna, tak o tém, czém była *decima libera*, jako też i o tém, czém *decima in goniwam solvenda*. Z tego to powodu, na wstępie oświadczyłem, iż nie najdzie już dziś nikt ludzi takich, którzyby z własnej praktyki odbierania dziesięcin mogli wiedzieć, czém była dziesięcina w goniwę oddawana.



PRZYSŁOWIA UKRAIŃSKIE

W PIEŚNIACH.

I.

Czomu czort ne orau, sijaty ne bude.

Gdzie bies wśród Bożego gniewu,
Nie przeorał skiby,
Tam nie będzie swego siewu
Rzucać bez pochyby.

Gdy człek pracy szczerój przyda,
Bóg łaską przyświeci:
Ziarno zejdzie i plon wyda,
Choć na kamień zleci.

Więc gdy kiedy życia droga
Zwichnie tve zamiary,
Gdys je począł w imię Boga,
Nie trać w skutek wiary.

II.

Obiciau pan kozuch, i słowo joho tepłe.

Łaska pańska do poroha.
Z panami ne wdawajsia.

Pan obiecał mi kozucha,
I słowo tak grzeje,
Że człek sobie w palce dmucha,
Od zimna kostnieje.

Łaska pańska wiele warta,
Lecz tylko do progu,
Ej! tę łaskę rzuć do czarta,
A poleć się Bogu!

I z panami się nie brataj,
Bo to często plami,
Własną pracą biedę łataj,
A znajdą cię sami.

III.

**Swiata Warwara, noczi ukrała.
Piszło, jak z Petrowoho dnia.**

Wiedz, że co roku Barbara święta,
Gdy uroczystość dnia jój przypadnie,
Nad ludzką biedą litością zdjęta,
Zawsze choć trochę nocy nadkradnie.

I za jój sprawą, coraz to mniejsze
Noce nadchodzą, i prędzój lecą,
A coraz dłuższe, coraz jaśniejsze,
Dnie, ludzkim oczom i ziemi świecą.

Aż znów Piotr święty, co u bram nieba
Stoi z kluczami, nocom rozkaże,
Zwolna się zwiększać, ile potrzeba,
By świat, w słonecznym nie zginął skwarze.

IV.

Ne teper, to w czetwer.

Zmiłowania Twego, Boże.
Pośród cierpień czekam co dnia!
Gdy nie dziś, to jutro może,
Albo w innym dniu tygodnia.

Ufny zawsze w Twój opiece,
Dźwigam ciężkie trosk mych brzemię,
I do ciebie myślą lecę,
Choć łzą krwawą rosę ziemię.

Dałeś Panie próby trudu,
 Próby pokus, naigrawania;
 Jam nie godzien Twego cudu,
 Ale czekam zmiłowania.

V.

Dumka za morami, a smert' za plecyma.

Czego sobie człek nic roi?
 Za morzami, za górami
 Buja chęcią i myślami,
 A śmierć za plecyma stoi!

Tak, lecz pragnąc, działać trzeba,
 Bóg nas stworzył na śmiertelność;
 Lecz dał wolę, ducha dzielność,
 By przez życie dojść do nieba.

Więc z ufnością, bracia moi!
 Niech nam praca, jak nic złota,
 Dzierzga każdy dzień żywota,
 Choć śmierć za plecyma stoi.

VI.

Ne jiden pes hniwka

Nietylko pies szczeka,
 I gniéwliwie warczy,
 Często głos człowieka,
 Za szczekanie starczy.

Chociaż pies się wścieka,
 I kaleczy zradnie,
 Częściej człek na człeka,
 Jak pies wściekły wpadnie.

Ależ pies, to zwierze!
 A ludzie wyrodni!
 Ach! powiedzmy szczerze,
 Często psa niegodni!

VII.

Kum, ne kum, w horoch ne liż, łopatok ne psuj.

Żeś mi kumem, panie kumie,
Samem o tém wiedział;
Lecz się przeto nie rozumie;
Byś w mym grochu siedział.

Któżbo znowu tak nie w porę,
Młode strączki psuje?
Trzeba czekać, niechaj zbiorę:
Może potraktuje.

Takto często kum w przygodzie,
Kumostwem się składa,
Gdy zanęci się w ogrodzie,
Lub gdzieindziej skrada.

VIII.

**Bohaczi, jidiat kołaczi, ałe ne splat' w deń, a mało
i w noczi.**

Chociaż bogacze,
Jedzą kołacze,
I chodzą strojnie;
Lecz cudza bieda,
Często im nie da
Usnąć spokojnie.

A my biedacy,
Po ciężkiej pracy,
Z serca pociechą,
Choć chłodni, głodni,
Śpiemy swobodni,
Pod niską strzechą.

IX.

Kto ne wazyt', cej ne maje.

Kto się na nic nie odważy,
Ten nic nie pozyska:
Śmiało, śmiało, co Bóg zdarzy,
Świat ten nie kołyska.

Mama kaszki nie gotuje,
Na pasku nie wiezie;
Kto sił własnych nie poczuje,
Marnie zginie w biedzie.

Raz się odważ tylko śmiało,
Zbudź się z odrętwienia,
Lub z tryumfem, wyjdiesz cało,
Lub, skończysz cierpienia.

X.

Boh ne skoren, ałe łuczen.

Bóg, choć nieprędko wysłucha,
Kto życia bolesne próby
Znieść zdoła z pokorą ducha,
Tego ochroni od zguby.

Niekiedy przez długie lata,
Człęk sprawiedliwy, krzyż nosi,
Poniżon w obliczu świata,
A w końcu tryumf odnosi.

Niekiedy w troskach umiera,
Ale za grobową deską,
Tu, hołd należny odbiera,
A tam, nagrodę niebieską.

Jan Prusinowski.

PIEŚNI,

PODANIA, BAŚNIE, ZWYCZAJE I PRZESĄDY LUDU

Z MAZOWSZA CZERSKIEGO.

ZEBRAŁ

Kornel Kozłowski (*).

Z małego zakątka naszej ziemi, nie jeżdżąc, ani chodząc, ani gdzie daleko poszukując, prawie z domu się nie ruszając, udało się przecież zebrać zbiorek pieśni i podań ludowych niepośledni, w którym oprócz pieśni śpiewanych w całej niemal Polsce a znanych z wielu dotychczas wyszłych na widok publiczny zbiorów znajdują się i takie, których nigdzie dotąd napotkać się nie dało.

Prawda, że się zbierało pilnie a ustawicznie lat parę; miejscowość wszakże pieśni tych, ledwie w promieniu dwóch mil od starożytnego miasteczka Czerska nie przechodzącym oznaczyć można.

Ta okoliczność, iż w tak szczupłej przestrzeni, znalazło się przecież taką liczbę pieśni, podań i melodyj, powoduje mnie, iż puszczając w świat niniejszy zbior, pragnę zwrócić uwagę czytelników na ważność w tej mie-

(*) W jednym z poprzednich zeszytów naszego pisma podaliśmy krótką wiadomość o szacownej tej pracy; teraz podamy z niej kilka ustępów, które wskażą jej wartość i zarazem potrzebę ogłoszenia całości wraz z pieśniami i melodyjami,

Przyp. red.

rze poszukiwań w obrębie pewnych miejscowości zamkniętych.

Grzebiąc w niezmierném bogactwie naszej poezyi ludowej i wyczerpując jęj utwory, okolicami, ziemiami od parafii do parafii, od wsi do wsi chodząc i podsłuchując, to w karczmie, to na polu, to przy robocie, to rozlicznym uczestnicząc obrzędom, uroczystościom smutnym albo wesołym od pierwszego kwilenia dziecka aż do pobożnej pieśni towarzyszącej trumnie wieśniaka; tym jedynie sposobem zestawiając prace pojedyncze, dojść możemy do ogólnego zbioru pieśni naszego ludu, a z czasem do nader pożądanego w przyszłości zbioru pieśni ludów słowiańskich.

Dzieło monumentalne, na dokonanie którego ani praca, ani wiek pojedynczego człowieka wystarczyłyby nie potrafiły, a do którego tylko drobnemi usiłowaniami na wzór obecnego dojśćby można.

Ztąd łatwo zrozumieć, jaka jest wyższość zasługi zbiorów pieśni ludowych, szczególnych okolic, nad zbiorami nie mającemi kresu, a rozstrzelonemi bez celu po obszarach, których wyczerpać nie potrafią; dziś tém bardziej, kiedy potrzeba poznania ogólnego ducha poezyi ludowej, pieśni ludów szczepu polskiego, a nawet w ogóle ludów słowiańskich, już oddawna jest zaspokojoną staraniem wielu autorów i badaczy tak naszych, jak i pobratymczych nam ludów, Czechów, Rusi i Serbów.

Praca takowa w zakresie swoim nieograniczona, dzisiaj już mimo obudzonego zamiłowania do rzeczy swojskich ludowych, musi zmarnieć bez celu, ani też owocu pożądanego wydać nie potrafi. Doszliśmy dzisiaj do tego, że o potrzebie poznania pieśni i podania ludowego rozwodzić się nie potrzebujemy, jako o rzeczy powszechnie i dawno uznanęj; nie potrzebujemy nawet, jak sądzę, mówić o ogromnej zasłudze, jakaby wyświadczyło dzieło monumentalne, o którym tylko co wspomnieliśmy; ile byłoby pożytecznem dla historyka filozofa i myśliciela, w ogóle dla badacza zgłębiającego losy, dzieje, naturę charakterów, wędrówki i przemiany, przeszłość i przyszłość Słowiańszczyzny.

Dziś nawet dalej jeszcze jesteśmy od czegoś podobnego, ależ do nas należy starać się i gromadzić materiały.

Z tego też względu uważam niniejszy mój zbiorek i wszelkie jemu podobne za pożyteczne i publikacji godne, jako będące krokiem wprawdzie małuczkim, ale zawsze krokiem na drodze prowadzącej do celu pożytecznego.

Wbrew ustalonemu powszechnie przekonaniu i dla zachęty tych, którzyby chcieli trochę zbywającego im czasu poświęcić dla dobra nauki i kraju, powiemy tu, że nie jest bynajmniej rzeczą trudną zbierać pieśni i podania ludowe: zasługa tu jest większa od wyłożonej na to pracy i zachodu; potrzeba tylko zamiłowania i stósownego wzięcia się do rzeczy.

Wprawdzie rozumiemy to dobrze, jako rzeczy te szły z ogromnym oporem i trudnością tym, którzy jak Chodakowski, puszczała się na wędrowki po kraju, jeszcze gorzej tym, którzy jak Łukasz Gołębiowski starali się poznawać lud z książek.

Wieśniak nasz z położenia swojego socyalnego, z charakteru wiekami wyrobionego, jeśli mało ma zaufania do swojego proboszcza lub dziedzica, nie ma go wcale do człowieka, którego nie zna, a którego podejrzywa, że może być *szlachtą*, albo panem.

Jakże od niego żądać, żeby się wynurzał i otwierał przed każdym z wędrowców, chciwych jego pieśni, jego *serdecznego słowa*?

Rodzimy klejnot, ta poezya, owa pieśń ludowa, zbyt jest rzeczą szacowną i drogą, uczucie serca, z którego płynie nazbyt święte, ażeby niemi poniewierać i rzucać każdemu z przechodniów.

Potrzeba z ludem żyć, z nim cierpieć i z nim się radować, złą i dobrą dolę z nim wspólnie ponosić, ażeby się do niego zbliżyć i serce jego pozyskać.

Nie dla każdego rzeczą to jest łatwą i możebną, ale dla nas, dla wieśniaków-obywateli, którzy codziennie z ludem obcujemy, na których życie i sprawy codzienne wieśniak ustawicznie patrzy i z nami przestaje, przy dobrej woli, możeby nie było zbyt trudno wejść powoli

z tym ludem w zażyłość i obudzić jego zaufanie do tyła, ażeby się przed nami nie krył z tajnikami swojego serca lub wewnętrznym nastrojem swój duszy.

Nie mówi się o chwili obecnej, ani też o okolicznościach pobocznych przeciwnie temu działających, a od woli naszej niezależnych; ale że tak jest, albo, że tak może być w stanie normalnym, dowodzić tego nie potrzebujemy, gdyż o tém mówią fakta, dziś niezbyt liczne, ale jednak tu i ówdzie się zdarzające. Młodzi ludzie, synowie dziedziców powracający ze szkół do domu, często bardzo przed rozpoczęciem swojego zawodu mający najwięcej czasu swobodnego, którym dowolnie rozporządzać mogą, jeśli nie nazbyt w oddaleniu trzymają się od swoich włości, ci najwięcej i najprędzej mogliby przyłożyć się do złożenia jednego wielkiego zbioru, którego wartości, gdyby tylko był kompletnym, dość wypowiedzieć nie można.

Przed niemi wieśniak chętnie i piosenkę zaśpiewa i bajkę opowie i na wesele poprosi i do chałupy rad przyjąć.

Pożądanémby było, gdyby kiedy młodzi miłośnicy kraju i rzeczy swojskich, powodowani myślą, którąśmy dopiero co wyrazili, z różnych stron naszej ziemi pomiędzy sobą się znieśli i pracę tę wspólnemi siłami prowadzili. Przy dzisiejszych dążnościach i zrozumieniu prawdziwych potrzeb kraju, głos ten może nie będzie głosem wołającego na puszczy.

Pożytek pracy takowej rozumnie poprowadzonej, byłby tém większy, że nie posiadamy dotąd w literaturze naszej żadnego zbioru pieśni i podań ludowych, któryby zadaniu swemu w zupełności odpowiadał.

Zbiory takie, jak Waclawa z Oleska, jak Zejsznera, Konopki, Żegoty Pauli, bardzo są szacowne i pożyteczne; ale na wzór tamtych prowadzone dzisiaj i obok tamtych nie miałyby wartości i byłyby pracą daremną.

Ducha pieśni naszego ludu poznaliśmy dosyć, jakoteż i nauczyliśmy się cenić wartość tego rodzimego źródła Helikonu, zawsze pełnego świeżości i życia.

Dowiedli tego już pisarze złotój epoki naszej literatury, jak Kochanowski, Zimorowicz, Klonowicz i poci

czasów ostatnich, jak Mickiewicz, Zaleski, a nawet Słowacki i muzycy, jak Szopen, którzy dziwnie się lubowali w pieśni gminnej, przejmowali jej tony i z niej czerpali wątek i natchnienie.

Pod tym więc względem, pod względem zobrazowania ducha wiejącego w pieśniach polskiego ludu, w ogóle od ujść Wisły do brzegów Dniestru i szczytów Karpat, dosyc, jak nam się zdaje, dalekośmy już postąpili (1).

Ale obecnie szukamy czegoś więcej, szukamy wspomnień przeszłości, starych tradycyji przedhistorycznego życia, pamiątek wiary, obyczajów, charakteru, stosunków rodzinnych i społecznych śladów naszych wędrówek i dawnych siedzib, dawnego braterstwa, czy też wspólności rodu, szukamy naszej kolebki, którą dziś z pieśni i tradycyi gminnej odgadujemy.

Mysł nie dzisiejsza, którą, że nie mówimy o czasach dawnych, podniósł jeszcze Kołłątaj w r. 1802, nakreślając plan do dzieła, któregoby zadaniem był lud, jego tradycye, pieśni, obrzędy, zabawy, ubiór, zwyczaje, gusła, zabobony i t. d.

Tą samą myślą powodowane w r. 1828 ówczesne warszawskie Towarzystwo przyjaciół nauk ogłosiło nawet konkurs na dzieła treści podobnej.

Dziś więc może, jak wtedy czujemy ważność i potrzebę studyów podobnych, w jakiejże to nieocenionej wartości byłby zbiór kompletny, wyczerpujący przedmiot i dający zupełną możność dla badacza, rozejrzenia się w skarbach podania i pieśni, które nam lud nasz dochował.

Potrzeby tej nie zaspokoją zbiory derywce, na wzór Wacława z Oleska lub Konopki, bez ostatecznego możliwego wyczerpania przedmiotu, bez planu, ani też bez ścisłego oznaczenia miejscowości prowadzone (2).

(1) W naszej literaturze największą ma pod tym względem zasługę K. Wł. Wójcicki, którego zbiór pieśni gminnych wydany w Warszawie r. 1836, najdokładniejszy ze wszystkich, zawiera w sobie pieśni z rozlicznych okolic naszej ziemi. Pod tym względem zbiór Wójcickiego ma niezaprzeczoną wyższość nad innemi.

(2) Większej nierównie wartości pod tym względem jest późniejszy od tych zbiór Oskara Kolberga, w którym miejscowość pieśni ściśle jest

Co do nas, zbioru naszego nie podajemy wcale za dobry; jedyną naszą zasługą mogłaby być jego zupełność wyczerpująca okolice, w której przedsięwzięliśmy naszą pracę, ale i za takową ręką nie możemy.

Zbierała się wprawdzie lat parę, ale z doświadczenia to wiemy, że nie lat dwa, ale dwadzieścia potrzebaby śledzić, chcąc wszystko wyczerpać i uczynić zbiór zupełnym.

Nie mieliśmy czasu ani sposobności po temu, jakkolwiek przecież może tu dużo brakować, możemy zapewnić, że to jest pierwszy zbiorek, który z tak małego zakątka, tak znaczną liczbę pieśni potrafił w sobie zgromadzić.

Jak każdą pracę, tak samo i krzątanie się około zbiorów pieśni ludowych należałoby zapewne prowadzić systematycznie, należałoby dla pieśni potworzyć pewne działy, zastosowane do ich dawności charakteru, miejscowości i t. p.: jednem słowem potrzebaby wprowadzić pewien ład do pracy, ażeby z niej osiągnąć rzeczywisty pożytek i nie marnować daremnie czasu i starania.

Dzisiaj jednakże rzeczą to jeszcze jak mi się zdaje jest niemożliwą, i pozostanie takową dopóty, dopóki nie przyjdziemy do jednego ogólnego zbioru naszych pieśni.

Pojedynczym usiłowaniami trudno jest narzucać formy, któreby tamowały swobodę i działalność i któreby przez to przynosiły szkodę nie pożytek; pierwiej trzeba zgromadzić materyały, a dopiero zestawic je podług jednej myśli, któraby wskazywała rzeczywisty ich cel i pożytek.

Zanim jednakże na to zdobyć się potrafimy, zdaje mi się, że z pomiędzy pieśni ludowych, wyróżnić należy przedewszystkiem jeden dział tychże, może najważniejszy i najwięcej pewno interesujący, dział pieśni opiewających pewne zdarzenia i wypadki, niejasne, ciemne, tajemnicze, gdzieś w głębi czasów prastarych zamierzchłe, w nieokreślonej przestrzeni krain słowiańskich rozpierzchłe, których początek sięga może pierwszych czasów słowiańskiej społeczności i które u nas może właściwie zająćby powinny dział zachowany gdzieindziej, dla pieśni historycznych, gdyż u nas są może tradycją czasów tych, kiedy lud a nie

podaną; wszakże Oskar Kolberg głównie poświęcił swą pracę zbieraniu melodyj i w tym względzie jest pierwszym i do tego czasu jedynym.

klasa tworzyła społeczność narodową; są pewno tradycją taką jakimi były w starożytniej Helladzie rapsody te, które się złożyły z czasem na Iliadę; są tradycją tak starą, iż się zmieniły w bajkę.

Historja nie zapamięta czasów wspólnej i wielkiej Słowiańszczyzny, ani też nie tworzy sobie jasnego pojęcia o tém co było na tych obszarach, na których się później zorganizowała Ruś, Polska, Czechy, Serbia i inne rozliczne podziały narodowości; idea taka jest dziś chimera, a jednak też same i jedne fakta, też pieśni w jednym i tym samym układzie, w jednych często wyrazach choć w różnych narzeczach, opiewa lud w Polsce, na Rusi, w Czechach i w Serbii.

W pośród tej wielkiej Słowiańszczyzny osiadł lud obcy plemieniem i mową, który jednakże od niepamiętnych wieków ocierał się codziennie o Słowian, z któremi się w końcu zbratał i zjednoczył: lud litewski.

Jednakże pieśni tego ludu nie mają nic wspólnego z naszymi, tysiąc lat codziennych stosunków i wspólnego pozycia, nie zostawiły wspólnych wśród gminu tradycyj. Coś tam jest więcej w tém błakaniu się ludowych pieśni jednych i tychże samych po Słowiańszczyźnie, więcej jak sąsiedztwo i familijne stosunki: jest to wspólność kolebki, tradycya, dzieje kiedyś wspólne...

Wprawdzie przeciwko temu powiedzieć można, że w pieśniach, o których mowa, niema nic coby było wspomnieniem z życia politycznego, publicznego praojców naszych Słowian, nic bohaterskiego, historycznego, dziejowego: są to po największej części opowiadania zdarzeń domowych lub wypadków, które co najwięcej w obrębie małego kółka, w granicach siola lub gminy, mogły wrazenie wywierać.

Wyobraźnia ludu, fantazyja, która zwykła rzeczy w oddaleniu będące potwornie powiększać, drobne fakta podnosić do wysokości czynów bohaterskich, tutaj zupełnie nas zawodzi.

A jednak owe drobne na pozór fakta, zdolne za ledwo poruszać szczupłe kółka domowe, utrwały się w pamięci ludu na całym obszarze niezmierniej owej Słowiańszczyzny.

Albo wyobraźnia ludu przywykłego kiedyś żyć w gromadkach, w gminach, rzeczy ogólnego i wielkiego znaczenia ściągała do ciasnych granic gminy i stosowała do pojęć tych w jakich żyć przywykła; albo też może podług tego, faktu wielkiego i powszechnego znaczenia przyoblekała allegoryą, dziś dla nas niezrozumiałą i niepojętą.

W każdym razie pamiętać należy, że gromady kiedyś Słowian jakkolwiek liczne, nieprzeliczone, nie stanowiły nigdy ciał jednolitych, narodowości organizowanych; że pojęcia towarzyskie, które pomiędzy niemi potrafiły kiedyś stworzyć co najwięcej gminę, niezdolne były wydać bohaterskiego poematu, na wzór greckiego epos: po za granicami domowej zagrody lub sioła, kończyło się dla nich życie publiczne i wzajemność stosunków.

Poemat słowiański o Igorze, rękopism Królodworski, poemata serbskie, są płodami czasów daleko późniejszych; powstały wówczas, gdy przepadła starosłowiańska gmina, a Słowianie ugruppowali się stanowczo w oddzielne narodowości, wyrabiające sobie organizacją nieskończenie rozleglejszą od gminnej.

Ten sam jednakże rozwój dziejowy, który tworzył gdzieindziej poemat bohaterski, wiadomo, że dziwnie u nas utonął w niepamięci i milczeniu.

W nieprzebranem mnóstwie naszych pieśni ludowych, niema ani jednej któraby była historyczną, któraby opiewała fakt jakiś dziejowy, czyn bohaterski, wypadek powszechnego dla kraju znaczenia, walkę lub zwycięstwo.

Wątku do takich pieśni u nas nie brakło, było go pewno więcej jak na Rusi, w Czechach albo Serbii; od najdawniejszej epoki historia nasza przedstawia szereg ciągłych walk, zwycięstw i ofiar, szereg wypadków i czynów zdolnych rozbudzić pieśń wieszczą godną pamięci ludu.

Takiem było w samych zaraz początkach panowanie naszego Bolesława Chrobrego, którego czyny i żywot rycerski, wspaniałość, potęga i wielkość, mogłaby dostarczyć treści jak najbogatszej dla pieśni i poematów; takimi były ciągłe walki i ucierania się to z Tatarami, to z Rusią, to z Niemcami, to ze Szwedem, to z Turkiem.

Naród odnosił najświetniejsze tryumfy, przechodził próby najcięższe, chwile najkrytyczniejsze, w których lud

nie mógł pozostawać widzem obojętnym i nieczynnym; albowiem te bezpośrednio jego samego dotykały, jak wezasie najazdu Szwedów, patrzył lud z boleścią na upadek ojczyzny, biegł sam pod Kościuszkę na pole bitwy, ratować kraj z upadku, a jednak o tém wszystkiém w jego podaniach i pieśni głucho: synowie nie wiedzą co się za życia ojców działo, a cóż dopiero za dziadów albo pradziadów.

Sympatyczne dla ludu wiejskiego panowanie Kazimierza Wielkiego, którego piśmienne podania aż *królem chłopków* nazwały, w pamięci ludu ani nawet śladu nie zostawiło po sobie.

Jaka była tego przyczyna? Czy lud był u nas zawsze tak martwym i obojętnym?... a raczej czyli to milczenie jego pieśni i tradycyi ma dowodzić obojętności zabójczej i smutnej?...

Jest w tém pytanie do dziś nierozstrzygnięte, ale nad którym warto się zawsze najmocniej zastanawiać; pytanie, z którym się może łączyć w przyszłości kwestye najżywniejsze...

Wiadomo, że Polska jako naród uorganizowała się przez szlachectwo, że egzystencya dawniej Polski, była nieczem inném, tylko egzystencyą polskiego szlachectwa, albowiem lud wiejski nie funkcyonował, w organizmie tym który go zamykał w ciasnej niewoli rolniczej pracy i też jego pracę na swoją korzyść eksploatował.

Ale nie zgadzam się na to, ażeby jak utrzymuje wielu, to smutne niegdyś socyalne położenie naszego ludu wiejskiego, znalazło tego rodzaju odbicie się w usposobieniu moralném, wywołując dziwną jakby negacyę w jego milczeniu i niepamięci.

Milczeniem nie wiele można wyrazić, lud prędzejby narzekał, skarżył, jak milczał, a przytém pamiętać należy, że nie tylko chłopci, ale i szlachta tworzyła kiedyś to, cośmy przywykli dziś determinować mianem ludu.

Szlachty nie tworzyło bynajmniej kilkuset magnatów i dygnitarzy; były tego w kraju krocie, ubogiej ciemnej niczem nie różniącej się od chłopów, prócz swego indygenatu i posiadania małego kawałka ziemi na własność.

Ta więc szlachta, którą uważając za klasę, przywykliśmy z tego powodu może za bardzo dzielić od ludu, nie

tylko, że materyalnie niczém się nie różniła od chłopów, ale nawet przez swoją liczebną masę, stanowiła rzeczywistoście stan liczny, silny i przeważny, który już za Zygmunta I, mogąc w 150,000 zbrojnego meża gromadzić się na zawołanie królów, jak to miało miejsce r. 1537, w czasie wojny Kokoszej pod Lwowem, była rzeczywistoście masą, była ludem godnym większej uwagi od obojętnego i bezsilnego włościństwa: lud to był pełen życia i siły.

To więc co powiadają o ludzie wiejskim, iż żyjącemu w ucisku obojętne były losy walk i koleje, przez jakie naród przechodził, jako będące bez wpływu na jego stan upośledzony, tego do szlachty stosować nie można.

Dlaczego jednak ten lud szlachecki, jak to dziś jeszcze widzimy, nie miał ani innych tradycji, ani zwyczajów a przynajmniej bardzo mało różne od chłopów; dlaczego lud ten miałby być tak samo na wypadki krajowe obojętnym? a przecież i lud ten tak samo jak lud wiejski nie stworzył u siebie ani pieśni, ani żadnej tradycji historycznej.

Massa drobnej szlachty zaludniająca niegdyś kraj, następnie kolejną wypadków tak dalece zmalala, iż tego zniknięcia nagłego inaczej wytłumaczyć nie można, jak tylko przez pomieszanie się z chłopstwem.

Wiadomo, że w społecznym organizmie dawniej Polski, szlachectwo nie było czém inném, tylko gruntem, na którym rosło i utrzymywało się możnowładztwo. Z upadkiem tego politycznego gmachu, zniwelowanego przez oligarchię, skonał duch szlacheckości, drobny szlachcic więcéj jeszcze może jak możny, pozostał dziś czémś niezrozumiałém, niepojętém, niepotrzebném, jest prawdziwą anomalią obecnego czasu i ducha.

Dopóki mógł utrzymać najdrobniejszą choćby fortunę, póty się trzymał swojej szlacheckości, swojej szlacheckiej ambicyi, mając się za coś wyższego nad chłopą (1);

(1) Razu pewnego byłem świadkiem charakterystycznej kłótni ubożego szlachcica z bogatym chłopem. Chłop zarzucił szlachcicowi jego goliznę, chwając się, że sam jest tyle zamożnym, iż mógłby czapką ruble mierzyć. Na to ambitny szlachcic odpowiedział: „Choćbyś ty chłopie nie czapką, ale ćwiercią ruble mierzył, to wiedz, że z dziada pradziada jam zawsze szlachcic, a tyś cham!”

skoro wypadki losowe, lub nędze wyгнаły go z ostatniego kawałka ziemi, rzucał szlachectwo, szedł w służbę za parobka, a jego dzieci traciły wszelką pamięć dawnego pochodzenia (1).

Ogromna massa szlachty przeszła tym sposobem w chłopów i z nimi się pomieszała: są w kraju okolice niegdyś zaludnione prawie wyłącznie zaściankami, jak okolice Czerska i Góry, w których dziś nawet nie posłyszysz o zagonowym szlachcicu.

Gdzież są resztki, albo wspomnienia, jakie pozostały po nich w pieśni lub w opowieści ludowej tradycyi? spuścizna jeżeli była jaka, przeszła do ludu wiejskiego.

Żyjają wreszcie szczątki ostatnie tego społeczeństwa, czekając rychłej zagłady, i możemy przekonać się naocznie, że takowe w domowem pożyciu, w obyczajach, niczem się nie różnią od chłopstwa, ani też prócz szlacheckiej ambicyi niczego z przeszłości nie zapamiętały.

Nie wyprowadzamy wniosków, a wskazujemy na fakt, który jak wszystko, musi mieć swoje przyczyny.

Podług tego jednakże przekonywany się, że nie tam gdzie dotychczas ale gdzieindziej szukać należy powodów braku pieśni historycznej ludowej; nie w rozwoju dziejowym narodu, nie w wadliwości jego organizmu towarzyskiego, ale może raczej w wewnętrznym rozwoju ducha narodowego, w charakterze, usposobieniu sielskiem, przywiązaniu do strzechy rodziny i zagonu. Dom i rodzina były zawsze ideałem szlachcica i chłopka polskiego, do

(1) Mieszkając obecnie w okolicy, w której się jeszcze dosyć zaścianków utrzymało, widzę tego liczne i codzienne prawie przykłady.

Drobny szlachcic żyjący w nędzy i ciemnocie, dopóki ma choć parę morgów własnej ziemi, zachowuje całą starszlachecką ambicyę, która ogłosiła że i szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie.

Przyszedszy do ostatniej nędzy, skoro już utrzymać swego kawałka nie może, wyprzedaje wszystko cokolwiek posiada, nie siebie, nie orze, wyprowadza ostatnie ziarno, ostatnią słomkę do ludzi, plot pali, dach ze stodoły obdziera i dopiero spuściznę swoją sprzedaje, zostawiając następcy tylko niebo i ziemię. Wówczas wynosi się o mil parę na komorne, dopóki ostatnia potrzeba nie zmusi go wejść w służbę i przemieni w chłopą. Nędza i ciemnota w połączeniu z szlachecką hardością doprowadza tych ludzi do występku, stosunkowo częściej jak chłopów.

nich zmierzał, o nich marzył w dalekich bojach i wyprawach: jeden i drugi spoczynek domowy uważał jako największe dobro.

Wszakże to, co było u nas powodem braku pieśni bohaterskiej, było znów główną przyczyną rozwinięcia się na tak ogromną skalę liryzmu; lud, który milczeniem zbywał najważniejsze wypadki narodowe, w ciasnym ognisku domowym stworzył dla siebie prawdziwy dramat, uroczystości weselne, a na zewnątrz ulotną piosenką wyrażał uczucia serca i wrażenia, jakie odbierał ze świata zewnętrznego.

Pod tym względem lud nasz posiada niewyczerpane bogactwa.

Wspomnieliśmy wyżej, że z pomiędzy pieśni ludowych, wyróżnić należy przedewszystkiem takie, które niewątpliwie są zabytkiem czasów najdalszej starożytności, czasów starosłowiańskiej przeszłości i pogaństwa.

Pieśni takowe, jako będące pozostałością czasów odległych, bajecznych i ciemnych, lubo nie doszły do nas może i w dziesiątej części swojego pierwotnego układu i brzmienia, wszakże musiały cósłkolwiek przecież dochować z czasów tych, których są dzisiaj pozostałością.

Że takich pieśni pomiędzy naszym ludem jest dużo, dowodzić nie będziemy, gdyż rzecz sama mówi za sobą, a każdy bacznie przysłuchujący się tymże dojdzie do tegoż samego przekonania.

Za takie właśnie uważamy pieśni te, które śpiewane są w różnych narzeczach po całej niemal Słowiańszczyźnie; a również i takie które przystosowane do pewnych dorocznych uroczystości, świąt i obrzędów chrześcijańskich, nie mają na pozór nic wspólnego z temi a natomiast opiewają albo jaki czyn rycerski, albo wypadek, zdarzenie niezwykle, lub zwyczaj, gusła i wiarę z czasów niechrześcijańskich, albo wreszcie używając metafor takich, o jakich lud dziś zapomniał, a do odgadnięcia których znajdujemy klucz w religijnych pojęciach dawnych Słowian. Pod tym względem im więcej przysłuchujemy się owym pieśniom, im bardziej przybliżamy się do znaczenia ich symbolicznego, szukającego w świecie zewnętrznym zobrazowania wewnętrznego stanu du-

szy i uczucia, tém bardziej uczymy się poznawać i cenić piękność, świeżość i niezmierne bogactwa tej poezji, a nadto uznajemy całą jej ważność i pożytek dla przyszłego badania dziejów przedchrześcijańskiej Słowiańszczyzny, jako niewątpliwiej pozostałości staro-słowiańskiej społeczności.

Lubo więc nie zaprowadzamy przedwcześnie żadnego systematu w zbiorach pieśni ludowych, wszakże podług naszego przekonania, w zbiorku tym starałem się oddzielić pieśni, które są niewątpliwie pozostałością staro-słowiańskiej przeszłości, od pieśni będących utworami czasów późniejszych.

Cały dział pierwszy, wyłącznie powieściowy jest właśnie takim; dużo znajduje się pieśni podobnych i w dziele drugim; dział trzeci zawierający w sobie pieśni dorożne i obrzędowe, najwięcej może stosunkowo ma w sobie pieśni, będących owocem zabobonu, przesądów lub zwyczajów pogańskich.

Na trzynaście pieśni kolendowych słyszanych przezemnie w Czerskiem, zaledwie kilka ma na sobie cechę religijności chrześcijańskiej; pozostałe są niewątpliwie z czasów naszego pogaństwa. Jak bowiem sama uroczystość tak i wyraz kolenda *kolada* znany był i obchodzony u Słowian, a jak utrzymuje W. A. Maciejowski (1), uroczystość ta przypadała właśnie w czasie zimowego obrotu ziemi około słońca, i była podziękowaniem bóstwu za szczęśliwie ukończone zniwa.

Odbywano wówczas pewne igrzyska narodowe, opiewano znakomite czyny społecznych bohaterów i t. p.

Po wprowadzeniu religii chrześcijańskiej, duchowieństwo nie mogąc zwyczaju tego wytepić, starało się go zamienić na chrześcijański, korzystając z przypadającego około tego czasu święta Bożego Narodzenia, układali więc księża sami piosenki, tworzyli jasełka.

Lud to przyjął lecz nie zapomniał zwyczajów dawnych, utworzył więc dziwną mieszaninę, i ztąd powstały kogutki, koniki, wilki, i t. p. obrzędy ludu, będące przy-

(1) Polska i Ruś III 230, 241, 246,

pomnieniem dawnych dziwów i wiary Słowian w ludzi przemieniających się w zwierzęta.

Tym sposobem przy uroczystości świąt Wielkanocnych, przechowała się i uroczystość pogańska, tak zwany Gaik, w którym Słowianie obchodzili uroczyste powrót wiosny, a co lud zachował dotąd nie wiedząc nawet znaczenia tego.

Pogańskiemu także uroczystościami były: Sobótka a więc i pieśni przy tej okazji śpiewane; dożynki, a również i cała uroczystość weselna.

A lubo powiada Maciejowski: że „gdy poczyna gmina zawsze ulegała przeistoczeniu, gdy dla tej przyczyny wątek jej utracił historyczną zasadę, przystając do nowszych i coraz nowiej wydarzających się zdarzeń, i oprócz odgłosu wydarzających się zdarzeń, i oprócz odgłosu narodowych uczuć, nie miał w sobie nic dawnego; przeto ani dla języka, ani dla dziejów nie może ona dostarczyć zasobów pewnych:” to jednakże odpowiemy, że lubo język się zmieniał, ciemnota i zabobony ludu długo, bodaj że nie do dziś pozostały też same, wątek zaś pieśni opiewających zdarzenia i czyny, gdzieś tam w pogaństwie wyrosłe, musiał pozostać tym, jakim był początkowo, inaczej nie moglibyśmy zrozumieć wspólności wielu pieśni, w wielu narodowościach słowiańskich, które potworzyły się jeszcze przed rozdziałem owych narodowości.

Lud nazbyt jest samodzielny i wielkim artystą, raczej tworzy a nie przerabia; dlatego można powiedzieć, że wiele bardzo z dawnych pieśni uległo zapomnieniu, ale nieprzerobieniu, że pozostałe uległy przemianie języka ale nie treści, która będąc tak bardzo starożytną, jest tém samym bardzo szacownym źródłem do historii mającej wystawić poczęcie naszego życia i organizmu narodowego.

Mówiąc o pieśniach niepodobna jest przemilczeć i o tak zwanych baśniach ludu naszego, których tu małą zaledwie próbkę z okolic Czerska załączam, a których posiadamy już kilka obszernych i dawno na widok publiczny wydanych zbiorów.

Dochowały one wątku starożytnego więcej jeszcze zapewne od pieśni i są rzeczywiście niejako obrazem pojęć wiary, przekonań, społecznego organizmu i praw staropogańskich Słowian; należy tylko oddzielić w nich to, co wpływ cywilizacyi, zmiana religii i sama odległość czasów mogły obcego przymieszać.

Rzeczą to nie jest trudną, a nawet powiedzieć można, że w baśniach tych niezmiernie mało jest rzeczy będących plodem rozwiniętej cywilizacyi i wyobrażeń chrześcijańskich; bo rozszytując się w nich uważnie, łatwo dostrzegamy brak wszystkiego, coby miało jakikolwiek stosunek z późniejszymi pojęciami o prawie, o układzie społecznym jaki istnieje lub istniał, z tradycjami dziejów, z tradycjami, jakich nas uczy religia; cały ich wątek, rozwinięcie, poczerpnięte jest ze świata dla nowszych pojęć chrześcijańskich, politycznych i narodowych, obcego: wszystko w nich z małemi bardzo wyjątkami oparte jest na cudowności, na ubóstwieniu natury i stworzenia, wreszcie na idei będącej podstawą najstarożytniejszych religij, to jest na wierze w przechodzenie dusz czyli metempsychozie (1).

Bóstwa starożytne pomiędzy ludźmi przestające, nie zostały w baśni wygnane, zmieniły i przybrały tylko nazwiska świętych chrześcijańskich; ale z temi samemi przymiotami, z tymże charakterem występują w baśniach dziś, jakie niegdyś lud w nich czcił, i za charakter boski w nich poczytywał.

Widny jest wszędzie dobroczynny wpływ jednych, a szkodliwy drugich na ludzkość, wszędzie niewinność, słabość uciśniona, moralność, cnota, jakkolwiek uciemnione, z pomocą bóstw biorą nakoniec górę.

W ciągłym passowaniu się dwóch pierwiastków, dobrego i złego, pierwsze zostaje zawsze wywyższone, gdy drugie otrzymuje zasłużoną i nigdy niechybną karę. Ale jak przewaga i nagroda dobrego, tak pognębienie,

(1) Zalecić tu można interesującą i sumienną pod tym względem pracę p. Józefa Grajnera p. t. *Studia nad podaniami ludu naszego*, umieszczoną r. 1859 w Bibliotece Warszawskiej, w zeszytach za miesiąc maj, czerwiec i lipiec.

i kara złego, nie mają w baśniach tych nic wspólnego z pojęciami, jakie wyrobiło w nas dzisiaj chrześcijaństwo. Świat stary nie odrywał się od ziemi, żył silniej życiem organicznym, i dla tego niezdolnym był do abstrakcyi; wierzył wprawdzie w jakąś nieśmiertelność, w jakieś życie istniejące po za śmiercią, ale idei téj nie czerpał ze sfer, o jakich naucza chrześcijaństwo: przeciwnie, ściągał on duchowość do materyi, nadprzyrodzone tajemnicze siły stosował do zmysłowości, i według tych pojęć tworzył sobie wyobrażenie dobrego lub złego, a tak samo i wyobrażenie nagrody lub kary.

Cudowność i potworność ludowych baśni, nie powinna nas przeto zbyt dziwić: były one płodem idei, które dziś dla nas zostały obce; ale właśnie cudowność ta, jest cechą odległej i bardzo odległej starożytności.

Drugą też niewątpliwą i takąż samą cechą ludowej baśni jest niejaka wspólność tradycyi o bóstwach, o bohaterach, potworach i tym podobnych dziwach, z religijnymi tradycjami ludów najstarożytniejszych.

W baśniach naszego ludu opowiedziane jest mnóstwo faktów, odpowiednich tym, jakie znajdujemy w bohaterskich dziejach i w mitologii Greków.

Bardzo wiele możnaby wnioskować z tego błakania się u ludów różnoplemiennych, jednych i tychże samych prawie tradycyj, a w każdym razie baśni ludowych przyjmować nie możemy za czysty utwór fantazyi: mają one niewątpliwą podstawę nietylko w ideach, ale zapewne i w dziejach staropogańskich i bajecznych.

Jeżeli jedne i też same tradycye usiłowano tłumaczyć gdzieindziej z pomocą historyi i wykazywano, że to co uchodzi za baśń i wymysł fantazyi, mogło wziąć początek z faktów w rzeczywistości kiedyś istniejących (1);

(1) Jeszcze w wieku zeszłym, uczony francuzki l'abbé Banier usiłował mitologią grecką i wszelkie podania religijne innych ludów tłumaczyć przez historją.

Wydał w tym przedmiocie obszernie dzieło: *La mythologie et les fables expliquées par l'histoire par M. l'abbé Banier de l'académie des Inscriptions et Belles-Lettres. Paris. 1764.*

jeżeli cykl bohaterski starożytnéj Grecyi, przeszedł następnie z całemi swojemi bajecznemi i fantastycznemi dziejami do podań religijnych, mogło być tak samo i w Słowiańszczyźnie.

Jakkolwiek nie będziemy usiłowali dowodzić rzeczy, dla której dowodów nie ma i która co najwięcej może być prawdopodobném przypuszczeniem, ale nie prawdą absolutną; to przecież już to samo, że w baśniach ludowych odnajdujemy wyobrażenie i rysy społeczności i idei naszych staropogańskich, już to samo czyni z owych baśni bardzo szacowną pozostałość i materyał do studyów niezmiernie ciekawych i ważnych.

Winiennem zakończyć wzmianką, że zbierając i zapisując pieśni a zwłaszcza baśnie ludowe, miałem na uwadze nie tylko zachowanie w piśmie sposobu wymawiania ludowego jak w pieśniach, ale nawet sposób opowiadania, czyli dykcją starałem się jak w baśniach wiernie o ile możności zachować, pisząc nie z pamięci, ale tuż zaraz za opowiadającym.

Jedno i drugie, może kiedyś posłużyć jako ważny materyał albo zabytek przeszłości.

(Dokończenie nastąpi).



JANKO HAJDUK.

WSPOMNIENIA Z TURCYI.

Na końcu lata 1854 r., podczas gdy wojska sprzymierzone, wysłane przez Francją i Anglią na pomoc Turcyi, oczekiwały w obozie pomiędzy Warną i Szumłą, rozkazu rozpoczęcia kampanii, podróżowaliśmy z wolna drogami nieubitemi, ciągnącemi się wzdłuż koryta Dunaju. Nasz poczet składał się z dwóch oficerów sztabu wyższego stopnia, mających polecenie zdjęcia planów strategicznych z okolic Ruszczuka i Sylistryi, z autora tej opowieści podróżującego z nimi w stopniu tłumacza, z dwóch *kawassów* tureckich służących za przewodników i z trzech czy czterech żołnierzy ordynansów, służących nam do usługi, oraz prowadzenia koni jucznych. Mielśmy oprócz tego rodzaj straży czyli eskorty z dziesięciu turkomańskich jeźdźców z Anatolii, pod dowództwem ich szauha, danych nam przez Ismaela Baszę, podczas naszego przejazdu przez Szumłę, w celu udzielania nam pomocy przeciw furazerom kozackim, zalegającym jeszcze Dobruczę.

Pułkownik D... był człowiekiem najzdolniejszym do wykonania w zupełności podobnego zlecenia. Zamieszkując od lat kilku Turcyą, gdzie był odkomenderowanym jako oficer instruktor w służbie sułtana, znał gruntownie położenie kraju, miał czas obznajomić się z obyczajami Turków i nieźle poznać ich język. Towarzysz jego, major M., był oficerem sztabu, pracowitym i doskonałym topografem. Nasza mała karawana miała jeszcze jedną osobę posiadającą pewne swoje znaczenie: był to zuaw Tomasz

z 2go pułku, ordynans i *faktotum* pułkownika, który oprócz tego był kucharzem karawany. Nie mogę zanilczeć o Turku Mahomedzie, jednym z naszych kawassów, typie starego Osmanizmu, poważnym, ceremonialnym i fanatycznym, postaci muzułmańskiej i mojego ordynansa Machomeda ben Mylud'a z pułku Turkusów, rodzaju ulicznika arabskiego, mieszańca krwi murzyńskiej i kabylskiej, łączącego w swojej osobie, próżniactwo, niedbalstwo i wesołość tych trzech ras afrykańskich.

Przejechawszy Totrakan, stanowisko wojskowe Bulgaryi, położone na urwistych skałach naprzeciw wioski wołoskiej Ottenicy, gdzie Turcy i Rossyanie znajdowali się jeszcze lubo rozdzieleni jedną z najgłówniejszych odnóg rzeki, weszliśmy w krainę górzystą i bagnistą zarazem, której podgórze przedłużało się w swych pochyłościach aż do Czarnego morza, składając zacząwszy od Sylistryi, rozległe doliny Dobruczy.

Po śmiertelnym marszu siedmio lub ośmio godzinnym, w pośród gęstych zarośli karłowatych dębczaków i dzikich grusz powycinanych ustępami i świeżo wykarczowanych wyrębów, wysforowaliśmy się wąską groblą naprzeciw wsi bułgarskiej, nazwanej przez naszych przewodników Srebrnią. Gdy nasi żołnierze zajmowali się rozbijaniem namiotów i służbą obozową, zostawiwszy majora M... w poważnej rozprawie z Tomaszem, tyczącej się składu naszego obiadu, pułkownik i ja zarówno ciekawi wszystkim się przypatrzeć, choć w celu zupełnie różniącym się od siebie, skorzystaliśmy z pierwszej wolnej chwili, ażeby uskutecznić podczas *rasztaku* małą wycieczkę. Wieś, jeżeli można dać tę nazwę skupieniu lepianek zbudowanych tu i ówdzie, bez innego planu prócz potrzeby sąsiedzowania, zdała nam się większą niż można było sądzić z pierwszego wejrzenia, z przyczyny swojego położenia w głębinie doliny wydrażonej w kształcie lejka. Tłum kobiet i dzieci, któreśmy spotykali ugrupowanych przed domami, świadczył, że pomimo wojny, wioska nie była opuszczoną przez mieszkańców. Wszystko tu miało powierzchowność dostatku i czystości bardzo rzadkiej w Turcyi. Nad parkanami każdej zagrody dobrze otynkowanymi i pobielonemi wapnem, wznosiły się piękne grusze,

których gałęzie uginały się pod ciężarem dojrzałych owoców. Mieszkanie popa odróżniało się od innych rodzajem piętra improwizowanego na facyacie za pomocą deszczek przybitych i upstrzonych jaskrawemi kolorami, jak domy Bosforu. Obejrawszy przechodząc cerkiew bardzo lichą, w której znajdowała się jednakże dosyć wielka ilość srebrnych lamp pięknego wyrobu, postanowiliśmy udać się do baggola, czyli kupca korzennych towarów, osoby używającej pewnego znaczenia w wioskach bułgarskich, jako Greka, i jedyne go przedstawiciela cudzoziemskiego przemysłu pomiędzy ludźmi przyzwyczajonemi sami sobie podotywać w swych potrzebach. Znaleźliśmy go zajętym spieszniem uprzątnaniem kuf stojących przed domem, w których się znajdowały płody jego handlu. Zrozumieliśmy zaraz, że się dowiedział o naszym przybyciu i że się obawiał szczególnie dla swych towarów, obecności nieregularnych jeźdźców Anatolii. Zapytując się, jak mu idzie handel, staraliśmy się dowiedzieć o użytecznych dla nas wiadomościach krajowych, ale pytania nasze były nadaremne. Odpowiedział nam tylko, że pochodził z Burgass, z rodziny greckiej zajmującej się handlem, że się nazywał Stefano; że w tej wsi od lat trzydziestu trzymał sklep korzenny i że się przytem trudnił felczerstwem; że zaledwo zarabiał na swoje utrzymanie, ponieważ wioska podupadła od czasu gdy zaprzestano zajmować się kopalniami srebra i ołowiu, znajdującemi się w sąsiedztwie, i nareszcie że terazniejsza wojna zupełnie zniszczyła mieszkańców i wystawiała ich z jednej strony na rabunki kozaków, a z drugiej na zdzierstwa i złe obchodzenie się baszybuzuków, co zmusiło większą część ludzi zdolnych do pracy, do opuszczenia kraju, zostawiając go tymczasem opiece Boskiej i ich żon i dzieci. Wszystkie te objaśnienia były wymówione z nadzwyczajną szybkością przez chytrego Greka, w niezrozumiałym tureckim języku, i przerywane westchnieniami zwykłemi rajahom, gdy rozinawiają z Turkami lub cudzoziemcami. Pułkownik który nie lubił plotek, uciął krótko rozmowę, rozkazując Stefanowi tonem imponującym, żeby nas natychmiast zaprowadził do czorbadzego, rodzaju wójta wioski.

Usłyszawszy ten rozkaz, twarz Greka zmieniła się. Spojrzał około siebie i odpowiedział głosem tajemniczym: „JW. Panowie nie znajdują w całej wsi jednego człowieka noszącego brodę oprócz mnie. Czorbadzego nie masz u siebie, a choćby i był, możeby nie było roztropnem z panów strony spotkać się z nim. Nie dla tego, żeby Janko (tak mu na imię), miał być złym człowiekiem. Ja go znam od dziecka. Pochodzi z dawniej rodziny chrześcijańskiej i jest bogatym jak aga. Był on najweselszym i najlepszym młodzieńcem z okolicy; lecz od roku przeszłego jak się ożenił, lubi samotność, gdyż gdzie się tylko obróci, niesie ze sobą nieszczęście. Widzisz, panie effendi, dodał Stefano głosem tak przytłumionym, że go zaledwie dosłyszeć można było, pomiędzy nim i Turkami jest krew, krwina jak mówią tutejsi mieszkańcy.”

— Cóż za krzywdę wyrządzili mu Turcy? zapytałem, czy zabili kogo z jego rodziny, czy go wyzuli z posiadłości, że szuka zemsty nad nimi?

— Więcej jak to wszystko, effendi: odebrali mu szczęście domowego życia; z nikim się nie widuje, do nikogo nie mówi: nie można nigdy wiedzieć czy jest w swoim domu. Wchodzi i wychodzi ze wsi, a nikt się nie śmie zapytać gdzie idzie i co robi, ale się nie trudno tego domyślić. Zemsta mu ciąży, chwytą on więc każdą sposobność, ażeby się jęj pozbyć. Sąsiedzi mówią to i owo, a każdy sądzi podług swego widzimi się. Mnie się zdaje, że musiał on wykonać przysięgę, przed którąby zadrzał nie jeden, gdyby ją znał; ale lepiej o tem nie mówić. To jednak jest pewnem, że przeszło od roku zamordowano więcej niż trzydziestu Turków w Szumli, Rasgradzie, Rusztuku i Sylistryi, jako też w okolicach tych miast, i że ręka która ich dotknęła nie wstrzymuje się dotąd; nie masz jednego osmanlego na sto mil w okrąg, któryby dziś nie zadrzał na samo imię Janka hajduka; gdyż panowie muszą wiedzieć, że tak nazywają tych, którzy sobie sami wymierzają sprawiedliwość nad Turkami za pomocą swych karabinów. Mówią, że w Konstantynopolu naznaczono dziesięć tysięcy piastrów nagrody za jego głowę; lecz się jeszcze dotąd nikt nie znalazł tak odważny, żeby się o nią pokusił.

Pułkownik ruszył ramionami.—Pójdź z nami, rzekłem do Stefana, a przekonasz się, że oficerowie francuzcy nieobawiają się podobnego rozbójnika.

— Ja mam iść z panami do tego domu! zawołał z przestachem Stefano, nie poszedłbym, gdyby nawet szło o zbawienie mej duszy. Nie idź tam, panie effendi, na imię Boga! nie wchodź do tego domu, bo w nim śmierć zamieszkuje.

— Prawda, że podobna gospodyni jest zdolną oddalić chcących odwiedzić dom Janka, zawołałem zabierając się do wyjścia. Jak myślisz, pułkowniku? lecz tobie, któryś się z nią tak często spotykał, myślę, że nie będzie przykre odnowienie znajomości.

— Co za obrzydłe obyczaje! zawołał pułkownik, jakby do siebie mówiąc. I my się tu znajdujemy dla opiekowania się narodem, który codziennie wyrządza podobne okropności przeciw swym współkrajowcom, a to jedynie dla tego że są chrześcianami.

Tak rozmawiając, przybyliśmy przed pomieszkanie dawnego czorbadzkiego. Był to rozległy dom zbudowany w sposób bułgarski, mający bardziej uczciwą powierzchowność wiejskiego pomieszkania, niż jaskini rozbójników; lubo że parkan był mocno zbudowany i otoczony zewnętrznym rowem, chroniącym go od napadu, spostrzegliśmy z zadziwieniem, że furtka prowadząca do ogrodu, jako też wjazdna brama były otwarte, co nam dozwalało widzieć z jednej strony grządki jarzynu starannie uprawione, a z drugiej różnego rodzaju drób na gnoju, jak w normandzkim folwarku. Wszystko oznajmiało obecność gospodarzy, jakimibądź oni byli i miało powierzchowność spokoju i dostatku gościnnego, co mi dało do myślenia, że opowiadanie Stefana mogło być bajką. Już mieliśmy wejść, gdym usłyszał kogoś idącego za nami od strony małego rynku. Obejrzałem się i spostrzegłem jednego z naszych kawasów, który zatrzymawszy się raptem przed drzwiami kościoła, dawał nam do zrozumienia energicznym gestem, że byśmy nie szli dalej i nie wchodzili do domu Janka. Zawołałem na niego, żeby się zbliżył, co uczynił z widocznym wstrętem i wahaniem się.

— Czego chcesz, Mehmedzie? rzekłem do niego, czy cię major przysyła?

— Machallah! odpowiedział mi, przewracając przestraszonymi oczyma na wszystkie strony, czy ty wiesz, że tu idzie o twoje życie Tordżuman Beju, i o życie baszy francuzkiego, jeżeli wejdziecie do tego domu. To jest dom Janka hajduka, jednego ze synów Eblisa, wcielonego diabła, którego kule niosą śmierć gdzie mu się podoba i od których nikt się nie może uchronić. Nic nas tu dobrego nie czeka. Powiedz Mizalałowi, że odpowiadam za niego na moją głowę Ismailowi Baszy, niech więc wraca natychmiast do obozu, jeżeli nie chce być przyczyną nieszczęścia biednego człowieka.

— A więc to jest prawdą co mówią o Janku? rzekłem do pułkownika, który słuchał nierozumiejąc przestachu kawassa, to tém bardziej trzeba wejść, żeby się przekonać co się tam dzieje. Pójdź z nami i nie zabieraj nam czasu tweimi banialukami. Jeżeli, jak się tego obawiasz, możemy narazić nasze życie, to nie trzeba żeby mówiono, że osmanli opuścił w niebezpieczeństwie swych wiernych sprzymierzeńców; jeżeli zaś w tém wszystkim jest tylko trochę kuglarstwa, to wiedz o tém, że posiadamy nieomylnie tajemnice zrywające wszelkie czary.

Mehmed, który należał do Turków stariej daty, ujęty tym sposobem w szlachetnych uczuciach, poniósł poważnie rękę do czoła poddając się naszym rozkazom, niewymówiwszy ani słowa. Weszliśmy wszyscy trzej na dziedziniec: był on rozległy i porządnie wybrukowany płaskimi kamieniami. Wewnątrz wznosił się główny budynek (koliba), służący za pomieszkanie; obok niego szopa z dachem, pod którą się znajdowały kufy i prassa służąca do wyciskania wina, jako téż inne rolnicze narzędzia. Z drugiej strony domu były trzy czardaki czyli szopy, plecione z chrustu, służące za stajnię, oborę i stodołę; parkan z balasu oddzielał dziedziniec od ogrodu i składał pomieszkanie Janka. Wszystko to było schludne i porządnie utrzymane, wszędzie się przebijał dostatek i spokój życia rolniczego. Pierwszy jednak przedmiot, który nas uderzył, wchodząc, był koń osiodłany i omunsztukowany, przywiązany za lejce do słupa szopy. Był to przepyszny ogier gniadój maści, ubrany z turecka w czaprak z czarnego sukna, haftowany wkoło złotym jedwabiem. Zdawał nam się

należć do nieoszacowanej rasy bałkańskiej, z kąd Bułgary sprowadzają swoje konie, mające nieomylnie nogi kozła dzikiego i grzbiet silny i nerwisty muła. Pułkownik, który był znawcą, wskazał mi, że choć boki konia były zupełnie spokojne i jego lśniąca się sierć nie była wcale spoconą i zakurzoną, miał jednakże nozdrza bardzo roztwarte i grzebał ziemię nogą: znak nieochybny, że przebiegł z szybkością długą przestrzeń. A jednak tak w domu jako też wokoło panowała zupełna cisza. Żaden głos, żaden ruch nie oznajmiał nam, że ten dom był zamieszkanym i że nas ktoś wyprzedził. Wielkie też było nasze zadziwienie i zawód, gdy wszedłszy pod szopę, znaleźliśmy dwie kobiety spokojnie siedzące, a które nam zasłaniała dotąd winna latorośl gęstemi okryta liśćmi. Jedna z tych kobiet nachylona nad małemi krosnami, co służą w Bułgarii do tkania aba, to jest ordynarnego sukna służącego do odzieży męskiej, była zupełnie zajęta swoją robotą. Miała na sobie szarą wełnianą sukmanę i zdawała się być podeszłą w wieku, lubo rodzaj kaptura z białego płótna wiszący na głowie i ramionach zakrywał nam jej oblicze. Druga ściągnęła zupełnie naszą uwagę jaskrawością i strojnością wieśniaczą swego ubioru podług mody krajowej. Była ubrana w zubun czyli tunikę z zielonej jedwabnej materii z bardzo wyciętym stanikiem na piersiach i rozciętymi rękawami aż do łokcia, dozwalającemi widzieć białą koszulę drobno fałdowaną i wyszywaną czerwonym jedwabiem. Na tém ubraniu była druga wierzchnia tunika, czyli raczej rodzaj spodnicy z czerwonego sukna, rozcięta z dwóch stron aż do bioder i obszyta srebrną frendzlą. Ubiór ten właściwy wieśniaczkom bułgarskim nazywa się *opregacza*. Jest on zwykle wyrabiany z sznureczków różnobarwnych pozszywanych razem i wystrzępionych na dole. Kształt tego ubioru przypomina niedokładnie krój tuniki lacedemońskiej. Kibić ścisnął mosiężny pozłacany pasek; bransolety z tegoż samego kruszcu ozdobiły jej ręce. Miała włosy splecione wstążkami w szerokie kosy przeplatane złotemi blaszkami, składające kształt dyademu spiętego około głowy długimi srebrnymi śpilkami. Pończochy z cienkiej białej wełny i skórzane brunatne sandały, przywiązane nakrzyż aż nad kostkę

czerwoną taśmą, składając koturny, uzupełniały ten strój zarówno bogaty jak oryginalny. Młoda kobieta była zajęta w tej chwili karmieniem dziecięcia, które trzymała na kolanach i tak pilnie zajmowała się tém macierzyńskim staraniem, że nie podniosła nawet głowy za naszym wejściem. Gdym do niej przemówił w narzeczu bułgarskiem, wcale się nie wylękała; lecz zwracając z wolna ku nam swój wzrok, okazała nam twarz, której piękność byłaby z pewnością zdolną wzbudzić nasze podziwienie, gdyby razem nie odpychała naszego wzroku piętnem nieszczęsnego wypadku lub ohydnej zwierzęcości. Jedno oko zdawało się być, gwałtownie wyrwanem i nie pozostawiało innego śladu, prócz zapadłej siniej blizny najstraszniejszego widoku. Jednak ta blizna szpecąc w sposób niepowetowany jedną z najcudniejszych postaci kobiecych jakieśmy napotkali pomiędzy Bułgarkami, nie zdołał jej odjąć, ani doskonałości rysów, ani nieskazoności konturnów, ani lazuruwej przezroczystości jedyne go oka oglądającego światło, ani téż tej gracyi więcej wartującej niż piękność.

Dorozumiewałem się, że to żona Janka. Zapytania które jej robiłem zostały bez odpowiedzi. Niepewny usmiech błakający się po jej ustach, jako téż obojętność prawie dziecinna jej oblicza, dały mi poznać, że jest w stanie idyotyzmu, w który ból i cierpienia pochłonęły jej rozsądek; lecz nie zdołałem opisać okropności jaką przejęty zostałem, gdym spostrzegł po niewyraźnym dźwięku, który usiłowała dać słyszeć pieszcząc swoje dziecko, że nieszczęśliwa kobieta miała ucięty język przez swych oprawców. Była niemą: tak więc gwałt i zbrodnia były zupełnemi. Mamżeż wyznać, że w tej chwili zrozumiałem po biciu mego serca, zemstę nieubłaganą, jaką mąż tej kobiety powinien zaprzysiądz zabójcom, którzy mu zarazem wydarli sławę, spokój i nadzieję całego życia.

— I cóż! pułkowniku, zawołałem, ludzie, którzy są zdolni popełnić podobne okropności, czy są warci żyć? a to wszystko, czy nieuniewinnia dostatecznie krwawych odwetów, jakich Janko zdaje się być uprawnionym w swoim przekonaniu spełniać na Turkach za pomocą swój strzelby, w braku praw mogących pomścić zbrodnię ohydną!

— Myśmy to samo robili w XVI stuleciu z Hugonotami, — odrzekł pułkownik, — wznosząc ramiona. Zapytaj się tej starzej kobiety, może się od niej dowiemy, jak mamy sądzić o tém zdarzeniu.

Przybliżyłem się do staruszki. Ciągłe przy swoich krosnach, nie ruszyła się z miejsca, odwróciła tylko głowę, gdyśmy weszli. Oblicze jej nie wyrażało ani trwogi, ani zadziwienia, tylko potulność i odrętwiałe poddanie się rajaha bułgarskiego, przywykłego uważać obecność cudzoziemców, jako zwiastunów gwałtów i zdzierstwa.

— Nie obawiajcie się niczego, matko, rzekłem do niej w narzeczu bułgarskiem. My nie jesteśmy Turkami, lecz oficerami francuzkami, podróżującymi w waszym kraju dla własnej przyjemności. Weszliśmy do Janka czerbadzkiego, wiedząc, że cudzoziemscy goście zawsze byli dobrze przyjęci w jego domu. Powiedz nam czy twój pan jest u siebie, lub nie?

Staruszka spojrzała smutnie na nas, nie odpowiedziała na zapytanie, tylko poniósłszy rękę do ust, dała nam zrozumieć gestem rozdzierającym, że jej także język ucięto i że mówić nie mogła.

— Domyślałem się tego, zawołałem, odwracając oczy. Barbarzyńcy zmuszeni byli zamknąć na wieki usta świadkowi, jak je zamknęli ofierze. Serce się wzdryga na podobne okrucieństwa. Ta kobieta widziała zbrodnię, a jest zmuszoną zagrzebać w swój pamięci straszne zdarzenie, nie mogąc go oznajmić w obliczu ludzi inaczej, jak łzami i jękami. Zdaje mi się godniejszą politowania jak tamta, gdyż to zmuszone milczenie musi być dla niej udręczeniem, które się tylko z jej życiem skończy”. Raptowny wykrzyk kawassa zwrócił naszą uwagę w jego stronę.

— Allah! Allah! co to jest, zawołał, wskazując dziecko, które młoda matka przestawszy karmić, kołysała zwolna na kolanach. Zarazem pokazał nam palcem małą istotę z tym samym gestem okropności i obrzydzenia, jak gdyby spostrzegł węża.

— O co idzie, Mehmedzie? zawołałem, idąc ku niemu.

— Patrz, Tredjuman Beju, patrz na talizman, który dziecko giaura, — niech przekleństwo Allaha będzie nad nim! nosi na szyi. Wah! To być musi guwelbejaban (wilkezarownik), który utworzył ten naszyjnik z resztek swej straszliwej uczty.

Dziecię, któremu się jeszcze nie przypatrzyłem, wyglądało na mające pięć lub sześć miesięcy zaledwie. Ciało zupełnie nagie zdające się być silnie zbudowane, było żółtawego koloru, zdradzając dostatecznie pochodzenie tureckie, gdyż godnym jest uwagi, że w ogólności dzieci bułgarskie rodząc się mają sadziastą cerę, która się później rozświetnia mimo skwarów, a szczególnie w płci żeńskiej. Więc srogi Janko dozwalał żyć pod swym dachem owocowi swojej hańby. Nachyliwszy się jednak, żeby się przypatrzeć dziecku, ujrzałem około szyi dziecka, że wisiał w kształcie naszyjnika sznurek jedwabny, na którym były nawleczone szczątki ciała ludzkiego kształtu, których niepodobna mi było nie poznać; były to palce ucięte, jedne z nich już zupełnie skostniałe, inne powleczone jeszcze wyschłymi ścięgaczami i skórą, lecz co było najokropniejszem, że dwa lub trzy z tych łupów, jeszcze świeże, walały piersi dziecka krwią spiekłą i zgniłym cielskiem.

Oslupiałem prawie przed temi trofeami ludożerstwa. Było widocznem, że jeżeli Janko nie udusił przy urodzeniu tej bękarciwej latorośli nieprzyjacielskiej rasy wszczepionej w jego rodzinie, wskazując ją tym sposobem na wieczną zagładę, nie było to przez litość, lecz dla tego, żeby mieć ciągle przed oczyma rękojmię zakładu swej nieubłaganej zemsty przeciw Turkom, i żeby ściągnąć tym sposobem cały ciężar przekleństw wywołanych przez niego na ich głowy.

Podczas tych spostrzeżeń Mehmed nachylony nad młodą matką, która się zdawała nieczułą na wszystko, co ją otaczało, przypatrywał się zblizka, mrużąc imię Allaha, okropnej ozdobie zawieszonj na szyi jej niemowlęcia.

— Patrz, Terdjuman Beju, rzekł do mnie, ocierając obfity pot ze swego ogorzałego czoła; wszystkie te palce

wykonywały namaz (ofiarę) i były oczyszczone abdestem (ablucyą, myciem): to są palce osmanlisów.

— A po czémże to poznajesz? zapytałem go z niejaką ciekawością.

— Po paznokciach, effendi: Orumsy (Grecy) mają palce śpiczaste i paznokcie w kształcie migdała; Bulgarowie mają je płaskie, twarde i czworograniaste, a końce ściśnięte, jak ziarno lebleby: osmanlisy tylko mają paznokcie z długim korzeniem podobne do okrągłych dachówek mocno wmurowanych.

Widząc, że się pułkownik niecierpliwił chcąc wyjść, stara niema stanąwszy szybko przed nami, prosiła nas błagalnym gestem, żeby wejść do domu.

Domyśliłem się, czego żąda i rzekłem do pułkownika trochę zdziwionego tym niespodziewanym napadem. Dobra staruszka mniema według przesądu krajowego, że nieszczęście spadłoby na jej dom, gdybyśmy wyszli ztąd, nie przyjąwszy choć małej oznaki gościnności, którą Bulgarowie poczytują za najświętszy obowiązek względem tych, których przyjmują pod swoim dachem. Nie wiem, czy cudzoziemiec nosi gdziekolwiek bądź indziej, jak w Bulgaryi piękniejszą nazwę prigatela (przyjaciela); a za-
tém sprawiedliwem jest, ażeby nie odmawiał mniemanego szczęścia gospodarzowi, łamiąc się z nim chlebem, choćby tylko przez samą przyzwoitość.

— Ach do djabła! co powie na to M., odpowiedział pułkownik, patrząc na swój zegarek, gdy się dowië, żeśmy zapomnieli o godzinie obiadowej dla pokosztowania bulgarskiej kuchni?

Izba, do której weszliśmy, dosyć obszerna, mogła pomieścić pięćdziesiąt osób, była świeżo wybielona wapnem. Proste maty okrywały tu i owdzie podłogę z ubitej ziemi. Nie widać było innych mebli prócz dwóch wielkich dębowych stołów i takichże stołków. Na ścianach wisiały myśliwskie narzędzia nadzwyczajnej wielkości, w około zeszlë laurowe wieńce, dwa czy trzy instrumenta muzyczne dziwnego kształtu i różne kuchenne narzędzia z mosiądzu i miedzi. Ogromny kaflowy komin zajmował prawie jedną stronę izby. Obok niego znajdowały się małe drzwi prowadzące do tylnych komnat.

Pierwszy stół przeznaczony dla gości, był okryty białym obrusem lamowanym wokoło wystrzępioną frendzlą z wyrobu Bulgarek, a w którym bardzo celują. Trzy wielkie półmiski z kutego żelaza były napełnione, jeden baraniną duszoną z kaszą owsianą, drugi mamałygą pływającą w masle, a trzeci leguminą z kukurudzy zabijaną śmietaną i jajami, okazując oku i powonieniu próbkę bułgarskiej kuchni, a która mimo drwin pułkownika wcaleby nie była obojętną samemu nawet majorowi M. Dwa bukłaki pełne słodkiego różowego wina, podobnego nieco do win Archipelagu i butelka śliwowicy dopełniały ucztę. Nakoniec talerze z fajansu wiedeńskiego, *brytwy* (noże) z drewnianymi wyrzynanymi i mosiądzem i miedzią nabijanymi trzonkami z ostrzem sinem, lecz wybornego hartu składały nakrycie oznajmiające zamożność bardzo rzadką u biednych wieśniaków naddunajskich.

Gdyśmy kosztowali tych potraw, mniej dla zaspokojenia głodu, jak przez ciekawość, hałas dochodzący nas ze dworu zwrócił naszą uwagę i spostrzegliśmy twarz ogorzałą osmana szauha i pięciu czy sześciu jeźdźców z naszej eskorty, którzy nam przesyłali poufale oznaki przyjazne przez drzwi. Maruderując i błakając się po wsi podług ich zwyczaju nasi baszybuzuki, znalazłszy drzwi otwarte od zagrody Janka, weszli bez ceremonii. Ci hultaje rozmawiali w tej chwili ze staruszką tonem przyjaznym i prawie pieścizotliwym, którego umieją użyć Muzułmanie względem rajahów, nim dojdą do gróźb i bicia. Zdawało mi się stósownem uprzedzić niezadowolone pułkownika, ostrzegając szauha, że najmniejsza krzywda wyrządzona przez niego lub jego podkomendnych w domu Janka, spadnie natychmiast na niego. Turkoman uśmiechnął się, pokazując długie białe i śpiczaste zęby, jak u drapieżnego zwierza, który obawiając się bata swego poskromiciela, łąsi się przed nim. Potem powiedział surowo kilka słów do swoich towarzyszy broni i rabunków i wszyscy usiedli na ziemi, ażeby wygodniej pożywać placki kukurudzane, sér bawoli i ogórki, których im skwapliwie przyniosła dobra staruszka. Co się tyczy godnego Mehmeda, pozostał na boku, pogardzając uczest-

niczeniem w uczcie. Jako osmanlis, gardził on temi wałęsającymi się żołnierzami z Anatolii, których kampania 1853 roku ściągnęła z ich pustyń aż nad brzegi Dunaju; wojsko bez żołdu, którego usługi kosztowały więcej państwo ottomańskie, jak utrzymanie regularnej armii mimo trofeów Kalafatu i Giergiewa.

Pułkownik spojrzawszy powtórnie na zegarek, chciał wychodzić, gdy ujrzelśmy małe drzwi na pół osłonięte kominem otwierające się przed człowiekiem, którego niespodziewana obecność wzbudziła w nas najżywszą ciekawość.

— Z Bogom ostajcie! rzekł do nas nowo przybyły, podług zwykłego ukłonu Bulgarów, poniosłszy następnie rękę do ust i do czoła.

— U dobry czas poszał! odpowiedziałem mu. Był to Janko Hajduk, człowiek w całej sile wieku, mający 30 lub 35 lat, średniego wzrostu, ale postawy krzepkiej, zwiastującej olbrzymią siłę. Ubrany, jak prosty wieśniak bulgarski w sukmanę z brunatnego sukna z szerokimi spadającymi rękawami i obszernymi szarawarami, na głowie miał wysoką baranią czapkę, za obuwie służyły mu opaski (apostoły) przywiązane rzemykami około kostki aż do łytki. Koszula z białego cienkiego płótna haftowana na kołnierzu i mankietach czerwonym jedwabiem i kamizela z zielonej jedwabnej materii szamerowana sznurkami i srebrnymi guzikami, okazywały wyszukanie i staranność w ubraniu człowieka wyższego znaczenia. Koszula otwarta z przodu, podług krajowego zwyczaju odkrywała szerokie piersi tak obrosłe, jak futro dzikiego zwierza. Na wierzchu nosił szeroką opończę z białej wełny, ściśnięty pasem z bawolej skóry, przy którym oprócz ładownicy wisiały dwa szerokie olstra z żółtego safianu, wyszywane niebieskim jedwabiem, zawierające cały arsenał broni zaczepnej, to jest: kilicz rodzaj pałasza zakrzywionego z fabryki Damaszku w czerwonej safianowej pochwie, bułat z wyrobu Njausty, trzy lub cztery kindzały różnej długości i kształtu i dwie par pistoletów, z których najmniej ozdobne zwróciły jednak natychmiast naszą uwagę, gdyż to były przepyszne rewolwery sześciorurkowe niemieckiej fabryki. Miał oprócz tego za-

wieszony na plecach na czerwonym flintpasie żłobkowany sztuciec, bezwątpienia tego samego pochodzenia. Pod tém ciężkiem wojenném ubraniem, które nie zdawało się wcale przeszkadzać swobodzie jego ruchów, można było domyślać się nietylko żelaznej woli człowieka gotowego bronić do ostatka swojego życia, lecz jeszcze śmiałości i zręczności bandyty będącego w ciągłych zapasach z groźnemi nieprzyjaciołmi. Oblicze tego człowieka było jeszcze szczególnie uderzające. Rysy choć nieregularne, miały tę piękność męską i marsową, jaką często spostrzegamy u Węgrów, Serbów, Wołochów i wszystkich plemion na pół wojowniczych wschodniej Europy; lecz były przyćmione smutkiem, który zdawał się robić wieczny rozbrat z uśmiechem. Siwe oczy iskrzące wśród gęstych brwi ożywiały jedynie to zimne i surowe oblicze, jak larwa bronzowa: były ruchliwe, niedowierzające, prawie dzikie, przypominające mimowolnie oczy dzikiego zwierza, czującego, że jest wytropionym przez myśliwych. Ogromne rude wąsy zakrywały całą spodnią część twarzy, a kędziory czarnych twardych włosów spadających nakształt grzywy na kark jego muskularny, nadawały jego obliczu jakieś niekreślone podobieństwo ze lwem. Jednakże mimo postaci prawdziwie przestraszającej, widać było w tonie, gestach i obejściu się tego człowieka potulną i dobroduszną powierzchowność, charakteryzującą rajaha bułgarskiego.

Nowo przybyły nie zdając się spostrzegać naszej ciekawości, usiadł za drugim stołem stojącym wewnątrz izby w przykątku komina o parę kroków od drzwi, któremi wszedł. Uważaliśmy, że nie złożył swój broni i nie zaniebował żadnej ostrożności mogącej go uchronić od niespodzianego napadu. Dobra staruszka przyniosła mu natychmiast jedzenie, lecz nie spojrzał nawet na nią ani się odezwał do niej. Chociaż się zdawał zajęty jedynie zaspokojeniem głodu, widać było, że całą uwagę zwrócił w tej chwili na podejrzanych gości, stojących jak gromada psów zgłodniałych przy drzwiach swego pomieszkania.

— Jeżeli to co nam opowiadano, jest prawdziwem, zawałam przerywając mileczenie, to ty jesteś Janko Czorbaczy, ten którego dziś nazywają Jankiem Hajdukiem?..

— Tak, gospodynie, odpowiedział mi nachyliwszy z lekka głowę: jestem Janko.

— Życzyliśmy sobie widzieć cię, dodałem, żeby usłyszeć z twoich własnych ust nadzwyczajne zdarzenia, które nam o tobie opowiadano. Jesteśmy oficerowie cudzoziemscy, podróżujący wzdłuż Dunaju dla zasięgnięcia wiadomości o stanie kraju, a ludzie których widzisz są jeźdźcy redifu, dani nam przez baszę Szumli za eskortę.

— Pokój z wami pod moim dachem, rzekł Janko, lecz tu nie widzę, tylko mir-alaia (pułkownika) francuzkiego i ciebie. Gdzież jest bimbaszy (major) co rysuje drogi, a którego sztuciec trafia do celu na 1000 kroków? Dlaczegoż został pod namiotem?..

— Ponieważ wiesz kto jesteśmy i w jakim celu przebiegamy ten kraj, rzekłem wpatrując się w niego, powinienem cię uprzedzić, że najmniejszy zamach z twój strony, przeciw nam lub ludziom którzy są z nami, ściągnąłby na ciebie straszną karę, a na którą niedługobyś czekał. Jakimbądź sposobem dowiedziałeś się kto jesteśmy i czy twoje zamiary są złe lub dobre, wiedz że masz do czynienia z ludźmi, którzy od swych nieprzyjaciół, ani nie żądają niczego, ani się nie obawiają.

— Choćbyście nawet nie pożywali byli mojej soli, rzekł Janko z prostotą, dostatecznym jest dla mnie że jesteście Francuzami, żebyście mi byli tak świętymi i nie-tykalnymi jak mój ojciec i matka, i te razem anatolskie włości. Nie pierwszy to raz was spotykam. Widziałem was trzy tygodnie temu w Rasgradzie, gdzie się dowiedział kto jesteście; widziałem was powtórnie w Samalarze, nie ma jeszcze trzech dni. Wiem że przyjeżdżacie z obozu Omera baszy z Ruszczuka i że jedziecie do Sylistryi. Powiedz mir-alaiovi, gospodynie, że jestem przyjacielem Francuzów. Wszysey ich tu kochamy w moim kraju, bo są dobrymi jak my chrześcianami, walecznymi jak żelazo, i nieprzyjaciołmi niesprawiedliwości. Widziałem obóz francuzki pod Warną, a moje oczy nie mogły się nasycić jego widokiem. Jest to wielki naród. Niech mu Bóg kiedy natchnie myśl bronienia sprawy Bułgarów, jak to uczynił, jak mówią dla Olahsów (Wolochów) z tamtej strony Dunaju.

Ponieważ nasza rozmowa toczyła się w bułgarskiem narzeczu, którego pułkownik ani jednego słowa nie rozumiał, przetłumaczywszy mu ją naprędce ażeby uspokoić jego niecierpliwość, rzekłem do Janka po turecku:

— Jak to być może, że mówiąc po chrześcijańsku i jak człowiek roztropny, nie wahasz się jednak popełniać czynów które Bóg i prawa potępiają i sumienie nagania; gdyż nam powiedziano że porzuciłeś życie uczciwe ażeby dogodzić twojej żądzy zemsty, i że nie u naszesz innego prawa nad twój sztuciec?

Na to zapytanie, cała postać Janka zdrząła. Oczy rzucały błyskawice a ponura twarz przybrała tak straszny wyraz, że mimowolnie uchwyciłem za kolbę mego pistoletu zatkniętego za pasem. Jednak zdołał powstrzymać dzikie wzruszenie i odpowiedział spokojnie:

— Francuzie! ty pierwszym jesteś, który śmiesz dotknąć téj rany, która się ciągle krwawić i jątrzyć będzie; lecz się nie gniewam na ciebie, ponieważ, gdyby nawet ta rana sama zdołała do ciebie przemówić, tobyś jeszcze nie zrozumiał boleści jakąś mi zrządził. Tak! powiedziano ci prawdę. Jestem wielkim grzesznikiem. Odebrałem życie ludziom w obliczu Boga, a ta ręka będzie ciągle krew przelewać dopóki zakład krwi niezostanie wypłaconym aż do ostatniej kropli. Lecz dlaczego mię zapytujesz?.. Czy skradziono ci honor twojego łoża, światło twych ocz, połowę twój duszy? Czy cudzoziemiec, czy samowładzca jaki skalał twój dom jedną z tych plam, której nie zmazać nie zdoła? Czy jego ręka ośmieliła się wydrzeć ci to, co się nawet najnędnieszemu niewolnikowi pozostawia?.. Czy ci zabrano jak mnie, więcej jak połowę twojego życia?... Jeśli tak nie jest, nie zdołasz pojąć, jak wysoko wznosić się może dług krwi, którego mam prawo żądać wypłaty od osmanlich, ani jak wiele mi jeszcze potrzeba kul, dopóki nie skończę z nimi rachunku i nie powiem sobie „dosyc”.

Zaledwie Janko wymówił te słowa, gdy spojrzenie jak błyskawica zapaliło jego oczy, jakby zdruzgotać chciało niewidzialnego nieprzyjaciela, zarazem schwytał za pistolet który nosił za pasem; lecz nim zdołał odwieść kurek, odgłos wystrzału przy naszych prawie uszach,

zagrzmiał i ujrzelśmy Mehmeda z osłupiałemi oczyma i najeżoną brodą, grożącego Jankowi.

—P sie giaurze! krzyczał głosem przyduszonym wściekłością. Odbierz zapłatę od osmanlego i niechaj będzie ostatnią.

Pułkownik zerwał się i stanął pomiędzy dwoma przeciwnikami. Mehmed wystrzelił z takim pośpiechem, że jego kula dotknęła zaledwo włosów Janka i splaszczyla się na murze. Jeden rzut oka był dostatecznym dla niego, żeby się przekonał że niespodziewany atak, którego o mało że nie padł ofiarą, był z nienawiści osobistej kawassa i żeśmy nie mieli w tej zasadzce żadnego udziału. Panując nad sobą z dziwną siłą, zamiast odpowiedzieć wystrzałem przeciwnikowi, położył pistolet na stole z zimną krwią, jakby był zupełnie obcym temu wypadkowi. Z ich strony baszybuzuki wyrwani ze snu na odgłos wystrzału i zawsze gotowi do popłochu, w jednem mgnieniu oka zerwali się na nogi i wpadli do izby trzymając się zdala i udzielając sobie wrażenia hałaśliwemi wykrzyknikami.

Pułkownik był strasznie zagniewany.

— Powiedz pan tym łotrom, że wpakuję w łeb kulę pierwszemu z nich, który się dotknie swęj broni. A ty, mówiąc do kawassa, zasłużyłeś żeby ci rękę ucięto za to, żeś się ośmielił strzelić bez mego rozkazu i w mojej obecności do człowieka, którego jesteśmy gośćmi, dopóki jesteście pod jego dachem. Wiedz, że nie jesteś teraz w służbie baszy, żebyś wymierzał sprawiedliwość po turecku, lecz pod rozkazami oficera francuzkiego, którego powinienes czekać rozkazów pod karą śmierci. Idź precz i podziękuj swojej niezręczności, żeś nie otrzymał lepszej nauki.

— Machallah! słyszeć, to być posłusznym, odpowiedział potulnie Mehmed wznosząc rękę do czoła.

— Odpraw pan tę hołotę, rzekł do mnie pułkownik wskazując baszybuzuków. Widzisz, rzekł do Janka, że możesz nam zaufać, jak my tobie ufamy. Miałbym prawo zapytać się o twoje postępowanie, ponieważ jestem sprzymierzeńcem Turków, a tém samem twoim nieprzyjacielem; lecz zdajesz mi się być rozsądnym człowie-

kiem, popchniętym ku zbrodni przez zemstę a nie prawdziwym przestępcą. Zresztą jestem tu twoim gościem a nie sędzią; jeśli jesteś jeszcze zdolnym, jak mniemam usłuchać głosu twego sumienia, jemu pozostawiam karę.

— Posłuchaj, baszo, rzekł Janko wyciągając rękę uroczyscie, i ty także Teraliuman Beju, słuchajcie obadwaj co wam powiem, i ważcie słowa człowieka, który was niemyśli oszukać... Znajdziecie je sprawiedliwemi i jasnemi jak złoto. Jesteście Francuzami, w waszym kraju istnieją prawa chroniące sławę ludzi i skromność kobiet, karzące gwałt i zdradę, oddające sprawiedliwość słabemu i karcące niesprawiedliwość możnych. Barbarzyńcy nigdy nie przyszli, żeby wam wydrzeć wasze żony z łóża małżeńskiego lub zabrać wasze córki z łona ich matek, ażeby zbezczęścić co jest najczystsze w oczach ludzi. Nigdy tortury tych smutnych ofiar nie okryły waszych domów żałobą wstydu, ani splamiły waszych ognisk krwią niewinną. Owoc gwałtu i spodlenia poczęty w ich łonach nie wypiętnował na waszych rodzinach wiecznej hańby, nie splamił waszego nazwiska, nie poniósł śmierci w wasze serca nim bić przestało. Cudzoziemcy! oto co mi Turcy wyrządzili. A teraz bądźcie sędziami pomiędzy mną i nimi i zważywszy zbrodnię, oszacujcie sumienie cenę wykupu.

Urodziłem się w tej wsi, lecz moja rodzina jest z Tarnowa świętego, stolicy naszych ostatnich królów. Mój ojciec lubo najdawniejszy potomek chrześcian z kraju, był puszkarzem i mieszkał nad rzeką Jantrą toczącą złoto w swych piaskach. Zręczny i wyćwiczony w swoim rzemiośle był nadewszystko sławnym w topieniu kruszców. Basza Widyniu dowiedziawszy się o tem, sprowadził go, żeby mu oddać zarząd nad górnikami w kopalniach ołowiu i srebra, istniejących wówczas w Srebreniu. Dorobiwszy się majątku i będąc jednym z najpierwszych rajahów w kraju, nie myślał o czem innem, jak tylko żeby mię wolnym i niepodległym uczynić. W tym celu, zamiast mię wychowywać w mieście, gdziebym się tylko płaszczył pod despotyzmem tureckim nauczył, zaledwo zdołałem rozróżnić rękę lewą od prawej, wysłał mię do klasztoru Karlików, w pobliżu

Plewienia, gdzie więcej nad trzystu mnichów żyło świątobliwie podług rytuału bułgarskiego. Zostałem tam aż do ośmnastego roku, uchroniony przed nieprzyjaciołmi mojej religii i mojego plemienia, nierobiąc wielkich postępów w teologii i grammatyce, lecz za to ćwicząc się w używaniu wszelkiego rodzaju broni i uśmierzaniu koni pasących się na pastwiskach nad brzegami Witu, najdzielniejszych z Turcyi. Mój ojciec widząc że nie miałem powołania zakonnego stanu, dał mi zarząd wielkiego folwarku nad brzegami Karahany blisko Rasgradu, gdzie zajmowałem się hodowaniem pięknej stadniny składającej się ze stu klaczy z ich źrebiętami i ogierami. Tam przepędziłem kilka lat zupełnie panem u siebie i wolnym jak powietrze, nieznając ani uciech ani udręczeń domowego pożycia. Nie czułem wówczas dla Turków ani zemsty ani uszanowania, nie mając z nimi styczności, tylko na jarmarkach w Szarkeninie, Giunie i Karsu, gdzie jeździłem sprzedawać konie. Po dobitym targu odbierałem pieniądze nie troszcząc się czy pochodziły od chrześcianina lub muzułmana i wracałem do moich pastwisk. Jednak odwiedzali mię czasami młodzi ludzie, moi rodacy i zabierali mię z sobą do sąsiednich włości. Podczas żniw spotykaliśmy żniwiarzy naddunajskich a wieczorami piliśmy i bawili się razem w pośród stert snopów. Lubo już byłem dorosłym mężczyzną, nie lubiłem innych zabaw, nieświadomy że istnieją na świecie inne namiętności. Jednak gdy śpiewałem popiewki bułgarskie wtorując sobie na teorbanie, czegom się nauczył od cygana bardzo zręcznego w leczeniu koni, spostrzegłem że dziewczęta z Rasgradu chętnie mię słuchały; a gdy przychodziła na mnie kolej prowadzenia koła, mogłem bez obawy odmowy wybierać pomiędzy najpiękniejszymi moją kołowadice. Pewnego dnia, córka jednego z ajanów (starszy) przybyła na podobną zabawę, i gdy się tylko okazała, zapomniałem o wszystkich innych kobietach. Patrząc na nią, moje oczy były zachwycone jej pięknoscia, a gdym z nią mówił, serce szło w wyścigi za mojemu oczyma. Dowiedziałem się nareszcie co to jest miłość. Lepszémby było, żeby to serce wówczas bić przestało! Byłbym

żyć przestał dotknawszy za ledwie kielicha szczęścia, niewychyliwszy aż do dna trucizny, pomieszanej z jego rozkoszami. Lecz byłem młody i nieznając życia i jego kolei, chciałem go tylko wesolo przepędzić. Maryca miała wtenczas lat piętnaście. Była piękną i dumną jak panagia (madona), kochałem ją całą wiarą, jaką miałem w przyszłość. Ona mię także pokochała i uznała mię za swego władzcę; przysięgliśmy sobie złączyć się węzłem małżeńskim, i używaliśmy przez lat kilka anielskiej rozkoszy. W tym czasie umarł mój ojciec obciążony laty, a ja powróciłem do Grebni do matki i zająłem miejsce naczelnika rodziny; wkrótce wybrany zostałem przez ajanów gminy na czorbadzego (wójta). Wtenczas to po raz pierwszy poznałem Turków i zmierzyłem odstęp rozdzielający rajaha od osmanlisa. Delegowany przez gminę do uiszczania podatków muhassifiemu (po-borcy) Sylistryi, i przedstawiania zaskarżeń przed meh-kemet (trybunał) baszy, wiele często ucierpiałem z ich niesprawiedliwości, wiarołomstwa i gwałtów. Zobaczyłem jasno to, co wy, chrześcianie Frankowie nie zdołalibyście nawet pojąć, że prawo zwycięzcy nad zwyciężonemi trwa ciągle w naszym kraju, i jest ciągle jedynem prawem Turków względem biednych chrześcian bułgarskich. Lepiejby było dla nas być w stanie niewolnictwa; gdyż niewolnik jeżeli jest bitym i przywiązany jak pies do swego właściciela, to jest przynajmniej żywionym przez niego: człowiek wolny żyje ze swojej pracy pod opieką prawa; lecz my, biedne rajahy, żyjemy w ciągłej obawie nie będąc niewolnikami, oddani sobie samym bez wolności, używamy dzisiaj owoców naszej pracy, pozbawieni nadziei, że ję jutro używać będziemy mogli, nie mogąc nabyć żadnej posiadłości, którejbyśmy mieli pewność być właścicielami..... I tak, jesteśmy dziećmi wydziedziczonemi w rodzinie narodów chrześcijańskich.

Pola, które karczujemy do nas nie należą. Za ledwo, że je użyznimy naszym potem, bej je zabiera, ponieważ jest Turkiem, a my jesteśmy chrześcjanami. Jego kiahia (intendent) jest panem nałożyć na nas nowe warunki, lub zerwać idjaret (kontrakt) w czasie, kiedy dojrzewają

kłosa i wolno mu je zebrać i oddać nasze pola innemu dzierżawcy, nie zostawiwszy nam nawet kawałka chleba; nasze ręce do nas należą wtenczas, jeżeli ich służba bejlika nie wymaga. Najmniejszy z jego oficerów ma prawo wygnać nas z naszych domów. Nasze bawoły i konie są zawsze na ich rozkazy i służą do przewozu żywności i furazu, czasami o sześćdziesiąt mil, a żony i dzieci nasze patrzą ze zgrozą na urodzaj roczny gnijący na pniu z przyczyny braku rąk. Jeżeli się żalimy, to nas lżą i biją, jeżeli uciekamy to palą nasze wozy i ścigają nas, jak dzikie zwierzęta. Nie masz dla nas litości; nie ma nawet sprawiedliwości. Jesteśmy niewiernymi gaurami, jak nas zowią ci nędzni bałwochwalczy. Widzę, cudzoziemcy, że zaledwo chcecie temu wierzyć: a jednak! wszystko to jest jeszcze niczem w porównaniu, co chrześciance, bracia wasi lubo tylko biedni wieśniacy bułgarscy często znoszą. Nie potrząsajcie głowami, nie zamykajcie ucha na jęk prawdy, dla tego, że to usta hajduka mówią. Opowiadam wam moje przygody, lecz to są także zdarzenia innych ofiar, które się już żalić nie mogą, ponieważ śmierć jest niema. Ah! cierpieć cielesnie jest niczem, dopóki dusza jest wolną, dopóki jest panią siebie samej, swych wspomnień, swych nadziei, swojego przywiązania; lecz widzieć wydarte zdradą te dobra, o które się stoi więcej, jak o życie, ponieważ bez nich nie wartoby żyć, utracić w rozpacz, we wstydzie, w upodleniu istnienia nietylko szczęście, ale aż do życzeń szczęścia, oto co woła o zemstę, oto co wznieca gniew ludzi i przekleństwo boskie na tę rasę bezbożną i lubieżną, która niedosyć zadowolona, że nas obdziera ze wszystkiego, hańbi nas w tém, co mamy najdroższego i najświętszego: skromność naszych żon, niewinność naszych córek, czystość naszej krwi.

Żadne słowa nie są zdolne opisać wyrazu fizyognomii Janka, gdy wypowiadał te żale z dziką wymową. Jego oczy iskrzące się jak rozżarzone węgle, nozdrza rozszerzone pogardą, oburzeniem, zemstą, nadawały mu postać rozgniewanego lwa. Jego głos to głuchy i przytłumiony wzruszeniem, to znów rozlegający się gwałtownie, odbijał się o nasze uszy, jak echo dzwonu. Było coś strasznego w tym wybuchu duszy dzikięj i energicznej,

oburzonej i uniesionej namiętnościami bez granic przeciw swoim ciemiężycielom. Pod postacią naddunajskiego wieśniaka zdawało mi się słyszeć ofiary starożytnego fatalizmu rzucające swe skargi i poświęcające swą zemstę nieubłaganemu przeznaczeniu.

— To co moje oczy widziały. Cudzoziemcy! mówił dalej, mój językby się zużył opowiadając; lecz w dniu sądu ostatecznego, kości znieważone ofiar, poniosą tego świadectwo. Nigdy zaraza nie pozostawiła tyle rodzin w żałobie, ile zwierzęce bezczelności popełnione przez Turków i rozsiane wszędzie po ich przechodzie, jak bicz boży. Widziałem porwania, gwałty, i różne rodzaje zbezczeszczenia, niosące zniszczenie i rozpacz pod nasze strzechy; matki nie chcące być pocieszonymi, mężczyźni spragnieni zemsty, opuszczający lemiesz i chwytający za strzelbę, domagając się w pośród gór nieprzystępnych za pomocą kul, wypłaty krwi. Lecz dopóki wierzyłem w szczęście mi przyrzeczone, za ledwo znajdowało się miejsce dla litości w mojem sercu, a nie istniało jeszcze dla gniewu lub zemsty. Jedna tylko namiętność zapełniała go całe. Nie widziałem nic w świecie oprócz tej, którą kochałem, nie żyłem tylko przez nią i w niej. Zaslepiony! w tém to właśnie miałem zostać dotkniętym nieszczęściem sto razy straszniejszym, jak sama śmierć.

Żałoba po moim ojcu, obowiązki mojego urzędowania i moje własne interesa zatrzymały mię dłużej roku w Srebrnii, nie mogąc się widywać z moją narzeczoną. Nareszcie przeszłego lata, drugiego dnia świąt wielkanocnych pojechałem z moją matką do Rosgradu w celu żądania jej ręki i zawiezienia jej rodzinie zadatku ślubnego. Wkrótce potem Maryca i ja zostaliśmy złączeni przed Bogiem. Zaraz po ślubie wsiedliśmy na koń i do wozów otoczeni przez wielu krewnych, przyjaciół i zaproszonych udaliśmy się do Srebrnii, gdzie się miało odbyć wesele. Lecz za naszym przybyciem zamiast być radośnie przyjętymi, zastaliśmy mieszkańców przerażonych. Żołdactwo tureckie przebiegało wieś, wybierając jęczmień, słomę i podwoły dla służby bejlika. Za ledwie przybyliśmy do domu, gdy kwatermistrze weszli, żądając

u mnie kwaterunku dla baszy jadącego z Widynia do Sylistryi.

Choć mię to niezmiernie zmartwiło że musiałem pożegnać moich gości w podobnym zdarzeniu, nie mogłem się jednak upominać w obawie, żeby nie ściągnąć na nich jakich nieprzyjemności lub obelg.

Oddałem więc Turkom moje pomieszkanie wraz ze wszystkiem co było przygotowanem na wesele, nie myśląc jak tylko o tém, żeby ukryć moją żonę przed ich oczyma. Na nieszczęście basza przybył do domu ze swoją świtą w chwili, gdyśmy się wybierali w drogę.

Piękność Marycy, którą spostrzegł bez welona w pośród nas, zadziwiła go i zapaliła w nim chęć posiadania jęj. Jednak zdołał to ukryć, a dowiedziawszy się o tém, że jestem czorbadzem, zatrzymał mię przy sobie pod pozorem dania mi swoich rozkazów, ścigając wzrokiem namiętnęj żądzy moją towarzyszkę. Nie potrzebowałem zalecać jęj ostrożności i opiece mojej matki i krewnych, jednak gdy przyszło do rozstania, zadrżałem, widząc ją oddalającą się i to rozstanie bez pożegnania na progu małżeńskiego domu ścisnęło mi serce złowrogiem przecuciem.

Basza rozkazał zaraz zawołać bimbaszę dowodzącego oddziałem i nakazawszy rozpisać ilość jęczmienia i słomy, jaką można było znaleźć we wsi, jakoteż podwód potrzebnych do przewiezienia, rozkazał mi samemu odprowadzić ten konwój aż do Sylistryi i zdać z tego rachunek pod utratą głowy, baszy komendantowi twierdzy. Tłumaczyłem się mu, że nie będąc sam obecnym przy ładowaniu rekwizycyi, nie mogę odpowiadać, tylko za ilość podwód powierzonych mojej straży, a nie za ładunek. Rozśmieł się tylko na to i kazał mi natychmiast wypełnić swój rozkaz. Przedstawiałem mu pokornie, że nie mogę opuścić moich gości przybyłych ze mną z Rasgradu, spodziewając się tym sposobem odwrócić prawdziwą przyczynę mego niepokoju. Nie wiem, czy nędznik domyślił się tego, lecz się jeszcze bardziej śmiać zaczął, dodając, że służba sultana była pierwszą nad wszystko i że będę miał czas za powrotem zająć się mojemi interesami. Pojechałem więc, przeklinając Turków i moją

nieszczęśliwą gwiazdę, która mię prowadziła w tę matnię. Jeżeli radość towarzyszyła mi do Srebrnii, w tej podróży smutek tylko był moim udziałem. Myśląc o skarbie, który zostawiłem, byłem przejęty niecierpliwością i rozpaczą. Konie postępowały zwolna, a jabym był chciał przebyć tę przestrzeń lotem ptaka.

Przybyłem nareszcie z moim konwojem do Sylistryi i natychmiast udałem się do magazynów rządowych spełnić moje zlecenie. Jak tylko zostałem wolnym, kupiłem od armenijskiego kupca, turkomańskiego ogiera lekkiego jak wiatr i puściłem się na nim całym pędem ku Srebrnii. Orzeł nie szybuje hyżej ku swemu gniazdu, jak ja pod dach, pod którym zostawiłem to co najwięcej kochałem. Nie mierząc przestrzeni, przebiegłem ją w jednym dniu i przybyłem do wsi o pierwszej w nocy. Tentent szalony mojego konia rozbudził jedynie ciszę panującą w okóło. Przybywszy do parkanu mojego domu, zadziwiłem się, znalazłszy drzwi otwarte. Ostatnie ściśnięcie ostróg rzuciły mojego dzielnego bieguna w środek dziedzińca, lecz zaledwie z niego zsiadłem, padł jak kamień na ziemię. Jednym skokiem znalazłem się przy drzwiach, uczułem, drżąc, że się otwarły za mojem pchnięciem: nie były zamknięte. Postąpiłem ku izbie i zatrzymałem się, nie śmiejąc iść dalej. Lampa nie świeciła się jak zwykle: ciemność była tak wielka, że mię przestraszała. Nadstawiłem ucha i nie usłyszałem prócz bicia mojego serca w piersiach. „Oszalałem, pomyślałem sobie: wszyscy spoczywają o tej godzinie” i znów postąpiłem parę kroków, hałaśliwie uderzając naumyślnie w stół, przy którym siedzicie. Zawołałem po imieniu na służące sypiające zwykle w sąsiedniej izbie: nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Cofnąłem się ku drzwiom, nie odwracając się i z ręką na rękojęści mojego puginału, jak gdybym się myślał bronić przeciw tej straszliwej ciszy. Myśli krzyżowały się w mej głowie, a nie mogłem żadnej uchwycić: byłem, jakby opity. Znów chciałem zawołać, lecz język był sparaliżowany; pomyślałem obudzić wolarzy, ale nogi nie chciały mi służyć; próbowałem znaleźć krzesiwo, które przy sobie nosiłem, lecz ręce były martwe. Oparłem się o drzwi, żeby nie upaść. Cudzoziemcy! nie wi-

działem, nie wiedziałem jeszcze o niczem, a jednak byłem dotknięty w serce, jakby już dla mnie nie było żadnej tajemnicy.

Wtém nagle przedłużony jęk pochodzący ze środka izby odbił się o moje ucho: wstrząsnęłem się przestraszony... Wyteżyłem słuch... był to głos mojej matki... a jednak, nie był to jej głos zwykły, lecz coś okropnego jak chrapanie konającego, lub krzyk wydobyty złym snem. Krew mi w żyłach zastygła i uczułem że martwieję.... Jednak nadmiar przestachu zwrócił mi siły. Podeszedłem ku środkowi izby wołając całą siłą na matkę i żonę. Podobny jęk pierwszemu odpowiedział mi... Nie było już wątplenia: to był głos mojej matki... Rzucić się ku kominowi, grzebać popiół moim sztyletem, wydobyć kilka iskier a wkrótce dość ognia, ażeby zapalić lampę znajdującą się pod ręką... jak to wszystko wykonałem? nie mogę tego powiedzieć; lecz pierwsze promienie lampy nie były szybsze od moich ócz. Ujrzałem moją matkę przykucniętą w zakątku komina, z osłoniętą głową welonem spadającym jej aż do kolan. Odsłoniłem welon, który trzymała przy ustach: był krwią zboczony. Drżącą ręką szukałem rany, lecz nim ją znalazłem, jej wejrzenie zawiadomiło mnie o wszystkim.... Zbrodnia do niewierzenia została dokonana przez Turków i była niepowetowana: moja matka była niemą!.. Barbarzyńcy, żeby jej uskarżać się zabronić, ucieli jej język. Szalony bólem i przestachem uchwyciłem za lampę i rzuciłem się do sąsiedniej izby, wołając rozpaczliwie na Marycę. Moja matka dobyte resztę sił i przyczołgała się na kolanach aż do mnie. Nie mogąc mówić, wzniosła swe ręce ku niebu jakby go chciała wziąć za świadka strasznej rzeczywistości... Lecz w tej chwili ręka Boga samego nie byłaby mię wstrzymała. Wszedłem do izby odepchnawszy gwałtownie drzwi... Tak prawdziwie jak Chrystus zmartwychwstał!.. Ujrzałem Marycę moją narzeczoną, moją małżonkę, światło mych ócz, połowę mojego życia, rozciągniętą na łożu małżeńskim, łożu boleści... zboczoną krwią, poranioną, zbeszczeszczoną, nieprzytomną, w zapasach z boleściami ciała i duszy... ujrzałem ją i moje serce umarło w moich piersiach.. W miejscu tej, którą kochałem, znalazłem zeszepeczone obli-

cze, ciało skalane, istotę bez rozsądku.... Maryca była niemą!... Maryca oszalała!... Cudzoziemcy! brakuje mi wyrazów, żeby wam dać uczuć to, czego może żaden człowiek prócz mnie nie ucierpiał.... Zdobyłem się jednak na siły ażeby żyć, lecz jedynie dla tego, żeby zemsta wyrównała zbrodni. Widzieliście tę niewinną ofiarę zwierzęcości i okrucieństwa Turków, której przysiągłem wierność przed ołtarzem, a którą nie śmiem i nie mogę nawet nazywać moją żoną; ponieważ nasz związek został zatrutym w samym zarodku i przyniósł tylko owoc przekleństwa i hańby. Biedna istota nie wie o mojem i swoim nieszczęściu; lecz zdołałem dowiedzieć się o tém przez inne nieme usta: moja matka odkryła mi wszystko. Po odjeździe konwoju, który zmuszony byłem poprowadzić do Sylistryi, basza rozkazał swoim szaucom szukać Marycy po wszystkich domach wsi; ujęli ją gdy wyjeżdżała do Rasgradu ze swoimi krewnymi i przyprowadzili do mojego domu. Moja matka znalazła w sobie dosyć odwagi, żeby jej towarzyszyć. Basza rozkazał swojej eskorcie, ażeby się udała naprzód w drogę, niezatrzymując przy sobie, tylko swoich służących, niewolników jego woli. Ani on ani jego współpracownicy nie mieli się czego obawiać: nie pozostał nikt we wsi, oprócz zgnębionych kobiet i przestraszonych dzieci. Użył z kolei względem Marycy próśb i pogrózek, żeby ją nakłonić do zerwania zemną związku małżeńskiego i przejścia na religią mahometańską, przyrzekając jej pierwsze miejsce w swoim seraju. Lecz nic nie zdołało nakłonić odważnej dziewicy do złamania mi wierności. Uniesiony chucią namiętności, udał się do gwałtu. Dwie biedne kobiety napróżno usiłowały walczyć przeciw swoim oprawcom; związane je rozkazem baszy i zmuszono do wiecznego milczenia: ucięto im języki. Nakoniec, czemu wy chrześcianie nie chcielibyście dać wiary, gdybyście nie widzieli śladu oskarżyciela, mszcząc się za opór jaki mu stawiała Maryca, miał tyle okrucieństwa, że dopełnił zbrodni ostatnim występkiem. Wepchnąwszy swój przeklęty palec w jej oko, wyrwał go ze swego oczodołu.

Oto co gesta i wzrok mojej matki oznajmiły mi, oto jest tajemnica mojej zemsty. Czas wyleczył dwie nie-

szczęśliwe ofiary z ich ran; lecz ta, którą noszę w głębi mojego serca, jest niewyleczoną....

Od tego fatalnego dnia, przestałem żyć z mojami bliźniemi. Jak człowiek dotknięty złem wejrzeniem (ureszi) unikałem ich, żeby im nieszczęścia nie udzielić. Ciągłe na koniu, ciągle błakający się w pośród najsamotniejszych puszczy unikałem ich towarzystwa, czyli raczej uciekałem przed sobą samym. Życie stało mi się nieznośnym ciężarem, a jednak nie mogłem się go pozbyć; gdyż już nie byłem panem mojego przeznaczenia. Miałem krew do wykupienia; lecz jaka jej miała być ilość? To, czego nie śmiałem jeszcze oznaczyć, w obawie uczynienia zawiele dla sprawiedliwości a nie zadosyć mojej zemście. Nakoniec ostatnia niedola, zniewaga dopełniły miarę moich nieszczęść. Po kilku miesiącach dowiedziałem się, że Maryca nie wiedząc nawet o tém, wkrótce będzie matką. Wówczas to wykonałem przysięgę, o której nie śmiem sam pomyśleć, żeby niezadrzyć. Słuchajcie cudzoziemcy!... Zaprzysiągłem na chlebie i soli, na krzyżu Zbawiciela i sztylicie, na popiołach mojego ojca, na sławie mojego rodu, na mojem wiecznym zbawieniu, że zbrodnia osmanisów będzie odkupioną w stójnasób i wziąłem za świadków téj przysięgi wszystkie potęgi nieba i piekła. Moja dusza jest związaną tym strasznym ślubem, a moja ręka jest mu poświęconą aż do dnia zupełnego wykonania. To niedosyć na tém.... Przysiągłem, że palec, świadek i wykonawca zbrodni i gwałtu dokonanego na oczach ofiary, poniesie storazy świadectwo méj zemsty na szyi przeklętego potomka, wychodzącego z ich krwi, a ten ślub będzie wykonanym jak pierwszy.

W tém miejscu, Janko przerwał po raz drugi swoje opowiadanie i zdawał się rozmyślać w duchu, gdy jego wzrok wpatrywał się badawczo w nas z widoczną niespokojnością.— Cudzoziemcy! mówił dalej, gdy ten wyrok zaprzysiągłem na głowy moich nieprzyjaciół jako nie odwołany, pojechałem do Szumli, gdzie się już zbierały w tym czasie wojska różnych narodów. Kupiłem na wagę złota, najlepszą broń jaką mogłem znaleźć w bazarach, lub za pasem dowódców Kurdystanu. Jeden oficer madziarski w służbie tureckiej sprzedał mi te rewolwery sześciorurko-

we i nauczył mię robić ładunków. Niemiec zamienił swój sztuciec żłobkowany za mojego turkomańskiego ogiera. Ztamtąd udałem się do mojego czyfliku (stadniny) Karahom, gdzie wybrałem pomiędzy dwudziestą żrebcami zdolnemi do ujeżdżania, młodego ogiera z rasy plewsińskiej, którego ujeżdżał i tresował przez trzy miesiące, ażeby był zdolnym do wykonania wszystkich ruchów i obrotów podług mojej woli. Jest to ogier, któregoście widzieli przywiązanego na dziedzińcu. Ma on nogi sarny, boki wilka i krzyż bawoła. Z takim koniem i uzbrojony jak jestem, mogę sobie żartować ze wszystkich tureckich jeźdźców, by mię uprzedzić zdołali w ataku, lub prześcignąć w biegu.

Moja zemsta miała się rozpocząć w Sylistryi. Mój wróg basza, niech dusza jego będzie na zawsze przeklętą, był jednym z głównodowodzących załogą. Działo się to niejaki czas przed przybyciem Rossyan nad Dunaj. Wielu oficerów cudzoziemskich pod dowództwem gubernatora Mussa baszy zajmowało się pracami fortyfikacyi. Przybywszy do Sylistryi, stanąłem w gospodzie Bułgarskiej w bliskości bramy Stambulskiej. Basza przejeżdżał często tamtędy z oficerami sztabu. Wieczorem uzbroiwszy się i okrywszy burką, wsiadłem na koń i wmieszałem się pomiędzy ostatnich jeźdźców eskorty przejeżdżającej jak zwykle. Gdyśmy przejechali bramę i przybyli pod mury fortecy, oficerowie tureccy podług ich zwyczaju puścili w wyścigi swoje konie. Basza który miał turkomańskiego rumaka, wkrótce ich wszystkich prześcignął; ja korzystając z nieładu puściłem się z wolna za nim. Gdy już nie byłem od niego jak o sto kroków, ścisnąłem mojego konia, rzuciwszy mu eugle na szyję. Przyzwyczajony być mi posłusznym za najmniejszym dotknięciem, przebiegl pędem nawałnicy około baszy, gdy ja tymczasem zerwałem go z siodła i rzuciłem przed siebie zgiętego we dwoje z głową i nogami zwieszonemi na łęk mojego siodła: ścisnąwszy całą siłą tą razą ostrogami mojego dzielnego bieguna, rzuciłem go naprzód. Uczuwszy bodźca, mimo podwójnego ciężaru, podskoczył jak wilk ścigany przez psiarnią i obiegłszy szalonym pędem kąt wystającej basz-

ty, w kilka minut znikł przed oczyma ścigających mię Turków.

Po półgodzinnym biegu w zawodach z wiatrem, zwolniłem pęd i skierowałem się ku stronie Dunaju. Przybywszy zmierzchem w miejsce nadbrzeża bezludne i właściwe do wykonania mojego zamysłu, zrzuciłem z siodła ciało baszy, które pozbawione życia potoczyło się w piasku. Zsiadłem z konia i związałem go sznurem... Jego zemdlenie trwało dość długo, świeżość nocy powróciła mu jednak przytomność. Gdy mię zobaczył stojącego przed sobą z założonemi rękoma, poznał mię, i zadrżał przerażony wyrokiem śmierci, który wyczytał w mojem spojrzeniu... — Czy mię poznajesz, baszo? rzekłem do niego; przypomnij sobie Srebrniją... przypomnij sobie Janka czorbadzkiego, którego gościnność zgwałciłeś zbrodnią, shańbiłeś dom, splamileś i zboczyłeś krwią łożę małżeńskie... Ja jestem tym człowiekiem!.. ja biedny rajah bulgarski trzymam teraz twoje życie w mém ręku, jestem panem osądzenia cię i ukarania... Gdybyś był takiego wyznania jak ja, najstraszniejsze katusze niezdolałyby cię zadosyć ukarać za boleść jakąś mi zrzucił; lecz ty jesteś nikiemnym bałwochwałcą, bez wiary i sumienia, a twoja dusza jest najprzód skazaną. Jeden więc tylko sposób jest godnym ukarania cię, to jest żeby pozostawić twoje cielsko na pastwę wilków i sępów.

— Psie niewierny, zawołał dumny Osmanlis, jeżeli mi przebaczysz, zasieję twoje pola piastrami, wzniosę twój dom wyżej nad wszystkich rajahów w kraju; uznam dziecię chrześcianki za swoje, a jeżeli będzie płci męskiej, zrobię je emirem i jak ja, będzie kiedyś baszą: jeżeli będzie dziewczyna, zrobię z niej ozdobę haremu padyszy. Zresztą będziesz jak ja potężnym, złoto i władza ścierają wszelkie plamy. Zgrzeszyłem przeciw prawom proroka, lecz pokusa była wielką i niezwalczoną. Rozwiąż mię i pozwól mi odejść spokojnie. Przysięgam na świętą Kaabę i grób proroka, że dotrzymam słowa. Jeżeli zaś czyhasz na moje życie, to mi go zaraz odbierz; Allah jest naszym twórcą i życie nasze do niego należy.

— Idź więc do piekła złączyć się z twoim fałszywym bogiem, zawołałem, topiąc trzykrotnie mój kandziar

w jego gardle i niech twój prorok będzie przeklętym, jak twoja lubieżna i nikizemna rasa. Krew jego polala się po piasku, lecz to były dopiero pierwsze krople potoku mającego zmyć moją zniewagę. Odciałem mu potem palce od prawej ręki i zostawiwszy cielsko na pastwę dzikich zwierząt, wsiadłem na konia i pojechałem szukać innych ofiar.

Z tej to przyczyny cudzoziemcy nazywają mię dzisiaj Jankiem hajdukiem. Od tego dnia moja broń stała się mojem jedynem prawem, a moja ręka nie zaprzestaje wykonywać sprawiedliwości. Od Widynia do Szumli i od Szumli do Sylistryi, na samo wspomnienie mojego nazwiska drżą i blednieją Turcy, jak na wyrok śmierci. Czują się zagrożonemi zewsząd niewidzialnym nieprzyjacielem, od którego ustrzedz się nie mogą. Ani ich podstęp, ani przemoc nie straszą mnie, ponieważ moja broń jest pewną, moja ręka niezwalczoną, moje oko nieochybne, a mój koń jedyny w całej Turcyi. Wychowanek tej krainy, nie masz domu, skały, drzewa, krzaków, którychbym nie zdołał użyć według potrzeby za schronienie lub zasadzkę. Gdy moi nieprzyjaciele są zajęci interesami lub zabawami, ja czuwam ciągle. Oni tracą sposobność, ja ich uniem wynaléże i z nich korzystać. Nie jednego z nich przesłałem bez boleści ze snu do wiecznego spoczynku; moje kule dosięgły innych w pośród szeregów żołnierzy i na otwartém polu: każdy dzień powiększa jedną śmiercią wyplątę mojej zemsty. Bodajby ten dług mógł być wkrótce uiszczonym w krwi ostatniej z moich ofiar”.

Tu skończył nagle swoje opowiadanie i podparłszy głowę na stole, zakrył oczy, jakby przygnieciony ogromem strasznego zadania, ciężącego na jego sumieniu. W tej postawie z grzywą swych czarnych włosów rozrzuconą i spadającą mu na ramiona, z powiekami napół przymkniętymi pod cieniem gęstych i najczonych brwi, miał podobieństwo do lwa nasyconego pożogą, spoczywającego i oczekującego nowego łupu. Pułkownik zajęty jeszcze tém, co usłyszał, wpatrywał się w niego zimnym i przenikliwym wzrokiem. Co do mnie, oddany wzruszeniu, pierwszy też przerwałem milczenie.

— Ty, który się chęłpisz być chrześcianinem, rzekłem do Janka, czy nie wiesz o tém, że nam nie wolno nawet za wyrządzoną krzywdę używać prawa odwetu i zbrodnią mścić się za zbrodnię? Twoja przysięga jest obrzydliwą i zamiast cię uniewinniać, potępia cię. Zabiwszy prawdziwego przestępcę, nie dosyć żeś został pomszczonym? Dlaczego poświęcać twęj zemście tyle ofiar? Gdyż mówiono nam i ty sam zeznajesz, że wielka liczba Turków padła już pod twemi ciosami; ileż więc ich zabiłeś?

Oczy Janka zaiskrzyły się dziką dumą; jednak nie śmiejąc ustnie odpowiedzieć na moje zapytanie, nie ruszając się z miejsca, podniósł tylko głowę wspartą na ręce i gestem niemym, lecz strasznym wzniosłszy po trzykroć w górę swoje otwarte ręce, potem raz jeszcze jedną rękę, oznajmił nam tym sposobem liczbę swych ofiar.

— Trzydziestu pięciu! zawołałem zdziwiony i przerażony zarazem.

Janko, skinieniem głowy odpowiedział, że tak.

— Cudzoziemcy! zawołał z energią, chcieliście się dowiedzieć o moich zdarzeniach, opowiedziałem je; chcieliście zgłębić rany mojego serca, odkryłem je przed wami nagie i krwawiące się jeszcze; błagałem was, byście mię nie sądzili bez wysłuchania, a teraz nie zapytujcie mię więcej. Co się stało, odstać się nie może. Moja przysięga ciąży całym ogromem na mojem sumieniu, czuję to; lecz mam przekonanie, że przed Boskim trybunałem zbrodnie Turków przeważą szalę sprawiedliwości: ręka więc moja zostanie wzniesiona nad niemi, dopóki nie otrzyma odkupu krwi aż do ostatniej kropli.

— Nie do ciebie należało stanowić liczbę ofiar, rzekł surowo pułkownik, lecz do sądu twojego kraju, który sam tylko posiada prawo ukarania winowajców.

— Sprawiedliwość sądu! zawołał z goryczą Janko, czyż ona istnieje w Turcyi. Kogo się o nią zapytać? i od kogo ją otrzymać? Prawa, my nie posiadamy innego prócz ich fałszywego proroka: jestto broń obosieczna, straszna w rękach możnych panów, lecz której słabi i biedni dotknąć się nie mogą bez zranienia. Poniosęż skargę przed mehkemet (sąd) baszy? On nigdy nie wymierza sprawiedliwości chrześcianom, tylko za świa-

dectwem muzułmanów, gdyż żaden chrześcianin świadkiem być nie może. Mamże się udać do medgersów (trybunał duchowieństwa)? zostanę oszukany, jak tylu innych przez grabieżnych ulemanów i cheiwych waladków (biskupi i księża greccy). Wzniosęż mój głos błagalny aż do padyszy Stambułu? Jakże zdołam być usłyszany przez to bożyszcze ciemne i głuche, ja biedny rajah bułgarski? Żadna cudzoziemska chorągiew nie ochrania mię swym cieniem; głos żadnego z konsulów nie zechce przebieć dla mnie murów dywanu; nie ma więc dla mnie przeciw osmanlim innego sędziego, jak ja sam; innego świadka, jak krew ich ofiar; innego wyroku śmierci prócz tego, który wypada z lufy mojego sztucea. Wy, co jesteście wojskowemi, pełnemi prawości, honoru i odwagi, raczcie odpowiedzieć na jedno zapytanie Janka hajduka: cobyście zrobili na jego miejscu?

Pulkownik otwierał już usta z odpowiedzią gdy jej przeszkodziło hałaśliwe przybycie niespodziewanego gościa.

Nowo przybyły miał na sobie ubiór albański: był to człowiek wysokiej postawy, chudy i wysmukły, jednak muskularne członki oznajmiały siłę i zręczność. Oblicze męzkiej i wyrazistej piękności, lubo w tej chwili odbijał się na niem dobry humor, miało wyraz jeszcze bardziej rażący niż zarozumiała duma osmanlisów. Wzrok był dumny i zachepliwy, uśmiech dziki, mowa ostra i ucinna. Nosił swobodnie, lecz w sposób nieco teatralny kształtny ubiór arnaucki, składający się z białej kurtki haftowanej zielonym jedwabiem z długimi spadającymi rękawami, z żółtej jedwabnej kamizelki, ozdobionej srebrnymi guzikami, z fezu (krymki) kształtu konicznego, nie dbale zasadzonego na obfitych czarnych włosach, z kamaszy z czerwonego sukna, i z fałdzistej z białego płótna spódnicy (sutanelli) ściśniętej około bioder czerwonym jedwabnym pasem, za którym była zatknięta broń różnego rodzaju. Pyszny ten żołnierz trzymał oprócz tego w ręce karabin, pięć stóp długości mający, z kolbą wysadzaną perłową macią i ozdobiony dziesięcioma bączkami (skówką) srebrnymi, na którym się wspierał z dziką obojętnością.

— Przez sól i chleb!.. zawołał, postępując zuchowato ku nam nieskłoniwszy się nawet, widzę że się tu wesolo bawicie w wilczej jamie, gdy tymczasem psy strażnicze zdychają z głodu. Kto jesteście cudzoziemcy? dodał mierząc nas bezczelnym wzrokiem, zkąd przybywacie?.. Co tu robicie?..

— Ty sam powiedz najprzód kto jesteś i jak śmiałeś wejść tutaj bez naszego pozwolenia?... odpowiedziałem, zdołając zaledwie utrzymać zimną krew; jeżeli nie chcesz być natychmiast ukaranym za twoją bezczelność!..

— Mohallah! zawołał śmiejąc się do rozpuku. Trzeba żebyście byli Francuzami, żeby coś podobnego powiedzieć... Tak, wy jesteście oficerowie francuzcy przybywający z obozu Omera baszy. Lecz niewypada, żeby waleczni ludzie kłócili się między sobą, chyba gdyby szło o krew. Francuzi i arnauci są braćmi i byli zawsze złączeni jak pięć palców ręki. Ja jestem agą dowodzącym oddziałem przy wąwozie Mostaru.. Nazywam się Pitzelio-Phrassari z pokolenia Karapleisia, nie taję się z tem przed nikim. Otrzymałem rozkaz od baszy Sylistryi, żeby uchwycić żywego lub umarłego, pewnego człowieka z tej wioski, rajaha bułgarskiego zwanego Junkiem, który poróżniwszy się z władzą stał się hajdukiem... Lecz trt. mrt, ja sobie kpię z ich pisma. Oto galem (pióro), którym podpisuję moje kontrakty, rzekł uderzając w kolbę swojego karabina. Za głowę tego giauraznaczono w Konstantynopolu 10,000 piastrow, możecie więc pojąć, że dla takiej zwierzyny potrzeba takiego jak jestem strzelca. Wskazano mi jego dom i powiedziano, że niedzwiedz często się wałęsa koło swojej jaskini, dla tego tu przyszedłem z pięcioma pandurami. A to kto jest? dodał spostrzegłszy raptem Janka siedzącego i nieruchomego jak posąg kamienny... Czy to jeden z ludzi waszej eskorty?.. gdyż we wsi spotkałem kilku z tych zgłodniałych szakali anatolskich plądrujących tu i owdzie żeby odszukać jaką kość do ogryzienia; lecz niech przekleństwo Allaha spadnie na mnie, jeżeli ten rabus nie jest czystym prosiakiem bułgarskim!.

— Powiedz raczej dzikiem, Phrassari ago, odrzekł zimno hajduk: ja jestem Jankiem hajdukiem.

— Ty!.. zawołał dowódzca arnautów, wydając prze-
razliwy śmiech, podobny do krakania drapieżnego ptaka...
Ach! jakżem ja głupi, zem cię po twoich kłach nie poznał...
Apherina! (brawo) nie spodziewałem się znaleźć cię w tak
piękném towarzystwie!.. Więc wiesz jaki masz rachunek
do obliczenia z Turkami, to mię wcale nie obchodzi; ty
masz tylko dla mnie wartość dziesięciu tysięcy piastrów:
ot wszystko. Jesteś więc zanadto cennym, żebym cię
spuścił z oka, nie usiłuj się nawet bronić, bo moi ludzie
są za drzwiami. Zresztą gdyby ci przyszło coś podobne-
go do głowy, musielibyśmy ci ją uciąć... a mimo tego
nie straciłaby ani jednego piastra z swojej wartości, ha,
ha, ha!...

Podczas tej rozmowy, pułkownik, który nie rozumiał
dokładnie z tej mieszaniny tureckiej o co idzie, zerwał się
niecierpliwie.

— Powiedz temu wielkiemu albańskiemu drabowi,
zawołał, że jeżeli się ztąd natychmiast nie wyniesie, wpa-
kuje mu jego przechwałki wraz z jego bezczelnym języ-
kiem w gardziel. Ja nie jestem oślim baszą tureckim,
żebym znosił podobne hałasy w mojej obecności.

Z wielkiem zadziwieniem, ta groźba, którą co do-
słownie bez obwijania w bibułę przetłumaczyłem adze,
zamiast go wzruszyć, podwoiła jego wesołość. Ah! Ah!
Apherin! zawołał, Francuzi lubią żarty jak i arnautci.
Niech Allah zniszczy Turków i tych wszystkich co im
są podobni!.. ha ha ha!...

— Psayde tchig (precz ztąd), aciladiag (zwierzyno
szubienicy), zawołałem zaczynając się unosić; wiedz, że nie
ma nic wspólnego pomiędzy Francuzami i ludźmi tobie
podobnymi: pamiętaj, że miralač nie żartuje. Jeżeli się
ośmielisz dotknąć jednego włosa głowy tego człowieka,
nie dałbym jednego para za twoje.

— Mahallah! więc to tak, krzyknął aga wnosząc
groźnie swój karabin: Francuzi, Turcy, lub diabli wiedz-
cie, że Pitzelio Phrassari, nie obawia się niczego, i od ni-
kogo nie odbiera rozkazów. Ten człowiek do mnie na-
leży, a ten któryby mi wzbraniał ująć go, mógłby za to
własną skórą zapłacić! Ale co tu rozprawiać.

— No, djanem, pójdź za mną jak baranek za owczarzem, jeżeli sobie nie życzysz żebym przesłał twoją duszę do nieba gjaurów.

Wymówiwszy te słowa, aga arnautów poniósł rękę do ust i gwiznął przeraźliwie: na ten znak wpadło do izby pięciu ludzi uzbrojonych z dzikiem wejrzeniem, i zupełnie ubranych w bieli.

Położenie nasze mogło się stać krytycznym, postawa zaś nowo przybyłych zdawała mi się tak mało zapewniająca, że żałowałem że się nasi turkomańscy jeźdźcy oddalili, gdyż ich obecność mogłaby nam być użyteczną. Lecz pułkownik, który w Algierii więcej niż dwadzieścia razy stawiał czoło arabskim jataganom, nie zatrząwał się tak łatwo, niebezpieczeństwo zaś zdawało się podwajać jego przytomność umysłu.

— Mój drogi G.... rzekł do mnie z najzimniejszą krwią, pokażmy tym opryszkom, że oficerowie francuzcy umieją się kazać wszędzie szanować i łącząc czyn do słowa, dobył szabli i stanął rezolutnie przed Albańczykami wskazując im drzwi, rozkazującym gestem. Ja z méj strony odwiodłem pistolety, zdecydowany bronić do upadłego honoru imienia francuzkiego. Mimo jednak odwagi pułkownika i jego dokonanej doskonałości w szermierstwie, możeby się źle ta walka dla nas ukończyła, gdyby jej następstwa w mgnieniu oka nie były przewidziane nadzwyczajną przytomnością umysłu Janka. Chwytając i odwodząc dwajęcznie swoje groźne rewolwery, wymierzył je raptem w piersi agi, nim ten zdołał użyć swéj długiej strzelby i grzmiącym głosem, niedozwalającym ani wahania ani odpowiedzi zawołał:

— Złóż broń, lub po tobie! Słuchaj Phrassari ago, dał: twoje życie jako téż i te twoich towarzyszy są teraz w moich rękach i jesteście zamknięci jak mysz w szponach kota, a gdyby były nawet podwójne, i gdybyście ich nawet dwa razy wystawić zdołali, w tych pistoletach znajduje się dwanaście kul, które nigdy śmierć nie zawiodły. Gdybyś był moim osobistym nieprzyjacielem, byłbym cię zabił, nimby powietrze którym oddychasz zdołało przejść z piersi do ust; lecz ja często siadywałem przy ogniskach kleptejskich górali i zaprzysięgłem im

przyjaźni na chlebie i soli. Pomiedzy mną i arnautami nie ma wykupu krwi, nie chciałbym więc przelewać pierwszej kropli; lecz za najmniejszym poruszeniem z twój strony przeciw mnie lub moim gościom, wiedz o tem, że idzie o twoją głowę, a téjby ci nawet wszystkie piastry sułtana nie zapłaciły... Oddal się więc spokojnie, jeżeli nie chcesz żeby ci szlachetni cudzoziemcy sądzili, że twój rozsadek jest za krótki a twój język za długi. Zresztą, żeby was nawet stu było ubiegających się o nadgrodeę naznaczoną za moję głowę przez osmanlisów, ani ty, ani twoje pandury nie pochwycicie się nigdy, żeście ujeli Janka hajduka.

Trudnoby było oddać wrażenie wywarte na obecnych tą przemową wymówioną wśród zawieszenia broni w sposób bohaterów Homera. Dziki aga, jakby odurzony widokiem paszez dwóch rewolwerów wymierzonych w niego, zachowując jeszcze grozną postawę, zdawał się jednakże usposobionym usłuchać rady roztropności; gdy zaś jego towarzysze robili z cicha różne spostrzeżenia nad cudownym mechanizmem broni. Pułkownik nie wiedział, czy się ma gniewać, czy włożyć spokojnie szablę do pochwy; ja zaś przewidując pokojowy koniec téj burdy, spoglądałem kolejno na przeciwników więcej przez ciekawość, jak w wojowniczych zamysłach, nie zdołałem się powstrzymać od śmiechu. W oczekiwaniu koniec został przyspieszonym w samą porę przybyciem nowéj osoby, która wpadła jak bomba pomiedzy nas do izby. Było nasz kucharz Tomasz, w całej okazałości stroju swojej służby, to jest opasany około bioder zasmoloną ścierką, z rękawami zakasanemi aż do ramion i z uzbrojoną ręką kuchennym zbroczonym w krwi swych ofiar nożem. Zeby pojąć wrażenie sprawione na naszych przeciwnikach tą niespodziewaną odsieczą, trzeba było widzieć wiernego zuawa w tym ubiorze z zaciśniętymi muszkułarnemi członkami, jak u Herkulesa farnezkiego z Sokratyczną twarzą najeżoną rudą rozpościerającą się po karku nerwistym brodą, z małemi siwemi i jak stal przebijającemi oczyma, z ogoloną i jak kula armatnia okrągłą czaszką, na której unosił się za ledwie z niechcenia fez z kutasem spadającym mu na ramiona; trzeba go było nadewszystko widzieć przed nieprzyjacielem, zadziwiającego najodważniejszych

nawet swoją nadzwyczajną nieustraszoną i odwagą, nie tracącego nigdy stoicznej powagi i niezem niewzruszonej zimnej krwi, żeby dobrze osądzić różne wrażenia, jakie jego niespodziewana obecność wywarła na nas. Aga cofnął się, spostrzegłszy go, a na jego twarzy malowało się największe zadziwienie; pułkownik się uśmiechnął; pandury uszykowali się roztropnie pod ścianą, a Janko nawet przestawszy mierzyć w swego przeciwnika zdawał się mu przypatrywać z pewną ciekawością. Tomasz nie był sam, twarz miedziana turkosa Mohameda mego ordonansa, okazała się prawie zaraz we drzwiach o parę kroków za zuawem, a tuż za nimi ujrzałem kilku baszybuzuków rzucających w głąb izby zadziwione i dzikie wejżenia.

— Znajduję cię nakoniec! mój pułkowniku, rzekł szorstko stary wiarus, głosem ochryplym od prochu i wódki, pana tłumacza także. Chwała Bogu! Ale eréchien, nie bez trudności. Obiad już jest gotów od godziny; jeżeli teraz zimny, to nie moja wina. Major głowę stracił z gniewu, a ja widząc to, udałem się waszym tropem dopytując się gdzie jesteście, tych urwisów baszybuzuków których spotkałem pładrujących po wsi; ale te beduiny tureckie są tak durne, że nie rozumieją weale zuawskiego języka. Niech ich diabli wezmą z ich bilmen (nie wiem)! Nakoniec ten stary piernik, którego nazywają swym szauchem, przyprowadził mię do tój kambieczy (ciupy)... Ale jak widzę że się tu czubią bezemnie... Co to ma znaczyć?.. pistolety, pałasze, i inne narzędzia śmierci. Czy to nie te wielkie dragale w spodnicach, co tu chcą chwatów udawać? *C'est fameux par exemple*, i to przed oficerami francuzkimi! *milles tonneurs*, to prawdziwa fantazyja! Mój pułkowniku, włóż pałasz do pochwy i dozwól mi się z nimi zabawić, nauczymy ich tańczyć ja i Mohamed... Uwaga!... naprzód szakale i turkosy!

I łącząc do rozkazu przykład, Tomasz uchwycił do wódcę arnautów za pas, Mohamed zaś skoczył jak kot dziki do szyi jednego z pandurów.

Mimo swój atletycznej postawy, aga Phrassari musiał się uczuć zgniecionym pod niezwalczoną ręką zuawa; ujęty jakby pomiędzy zęby maszyny, ciało jego wstrząs-

nięte w całej wysokości, kiwnęło się dwa lub trzy razy, nogi podskoczyły i padł na ziemię z wielkim hałasem o kilka kroków od nas, zerwał się jednak szybko: spodziewałem się, że w odwecie użyje swój broni; lecz chytry Albańczyk obrachował jednym rzutem oka miarę sił naszych. Zamiast gniewać się za swój upadek, rozśmiał się hałasliwie, w czem widać jednak było więcej gniewu jak wesołości.

— Bono Fransoso! zawołał strzepując fałdy swojej spodnicy. Pomiędzy przyjaciółmi nie trzeba być zawistnym, gra szczerą zawsze być powinna, a ten co przegra, powinien zapłacić oczekując odwetu sposobnego. Serce mężne, język prędki, ręka silna: takiemi jesteśmy my arnauaci, z dobrą strzelbą w ręku kpimy sobie ze wszystkich praw i tych co je wymyślili, ha, ha, ha!...

— Co on mówi, zapytał mnie Tomasz z drwiącą miną, zdaje się że zagustował w lekeyi.. Matin! dodał spostrzegłszy raptem zasepioną twarz Janka.

A to mi drab uzbrojony, jak blokaus (forteczka), zdaje mi się, że musi być dowódcą bandy. Czy go trzeba zahaczyć mój pułkownik?

Uczciwy zuaw, jak wszyscy jemu podobni, tak się w Afryce przyzwyczaił działać bez komendy, że już położył swoją szeroką rękę na ramieniu Janka, nim pułkownik miał czas usta otworzyć lub wykonać gest wzbrańający tej nowej napaści. Wynik tej walki nie byłby może uwieńczył tą razą jego śmiałość, gdyż Bulgar z siłą przynajmniej równą jego, miał oprócz tego wyższość swój groźnej broni; lecz ten człowiek w zawodzie niebezpiecznym, w którym ciągle wystawiał swoje życie, tak umiał nad sobą panować, że zamiast stawić najmniejszy opór, nie zdawał się nawet uważać na to, wlepił tylko swoje przenikliwe oczy w pułkownika. Ten zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo groziło swojemu wiarusowi, gdyby nie przeszkodził temu natychmiast.

— Stój, Tomasz! zawołał surowo. Niech djabli wezmą zuawów i ich furę francuzką. Czy nigdy nie będziesz umiał czekać rozkazów twoich dowódców, stary laskarce? Daj pokój temu człowiekowi. My jesteśmy jego gośćmi

i gdyby nie on, bylibyśmy przepędzili przykrą chwilę z temi łotrami Albańczykami.

— To jest dostateczném, mój pułkowniku, — rzekł Tomasz trochę zmieszany, — żebym był wiedział, że to jest uczciwy człowiek!... Lecz trzeba prawdę powiedzieć, że nie wyglądają z miny na takich w tym przeklętym kraju.

Pułkownik się uśmiechnął: — No, już czas skończyć z tą hołotą... Idź przecz, dodał, zwracając się do agi arnautów i na drugi raz umiej szanować Francuzów, gdy ich znajdziesz na swój drodze.

— Francuzi, arnauci, — rzekł beczelnie Phrassari wychodząc za drzwi — byli zawsze złączeni jak pałasz z pochwą. Nie sobie niewinni i nic od siebie żądać nie mogą. Idźmy, moje anioły, rzekł do swych pandurów, i cierpliwości! kiedyindziej znajdziemy może wilka przy drzwiach owczarni.

— Cudzoziemcy! — zawołał Janko wstając raptem, nadeszła chwila rozstania. Świat jest wielki, a drogi, po których w nim chodzimy, są różne: może się już nigdy nie spotkamy. Lecz nigdy nie zapomnę honoru, jakiście zrobili mojemu biednemu domowi. Ja jestem tylko biednym wieśniakiem bułgarskim, a wy jesteście francuzcy oficerowie. Dzielać się jednak ze mną chlebem i solą, wasze oczy spotkały się z mojami i boleści mojego serca znalazły echo w waszych... Ręce tylko nasze zetknąć się nie mogą. Lecz gdy wybije godzina pomszczenia mojego kraju za zbrodnie Turków, z powrotem do Francyi, lub nad brzegami Dunaju, wspomnijcie o Janku hajduku. Bóg z wami.

I skłoniwszy się nam po raz ostatni, cofnął się, pochnął żywo małe drzwi znajdujące się za nim i znikł, jak wszedł bez hałasu.

Pandury, nie życząc sobie mieć dłużej rozprawy z dwoma naszymi Afrykańczykami, roztropnie się wynieśli z domu; baszybuzuki uradowani z przygody arnautów, rozpierzchli się znów po wsi.

Wychodząc z domu, nie znaleźliśmy tylko nieszczęśliwą żonę Janka zawsze siedzącą pod szopą na jedném miejscu, kołyszącą swoje dziecię na kolanach, jedyny przedmiot, który się zdawał przywiązywać ją do życia.

Dom hajduka służący przed chwilą za widownią najhałaśliwszych scen, stał się pustym i milczącym.

Napróżno pułkownik i ja szukaliśmy wzrokiem przepysznege bieguna, którego widok tyle nas zajął, wchodząc: znikł jak jego pan. Zaledwie jednak wyszliśmy za bramę, ujrzelśmy staruszkę wychodzącą z małych drzwi stajni, prowadzącą konia swojego syna za cugle; w tej samej prawie chwili Janko się ukazał. Rzucił szybkim wzrokiem około siebie i wskoczył na siodło, nie dotknąwszy się strzemienia. Zaledwo gniady ogier uczuł na sobie swojego jeźdźca, dał ognia z czterech kopyt po skalistym gruncie i ruszył z szybkością diabła pędzonego exoreyzmem.

Z powrotem do obozu znaleźliśmy rądle i kociołki powywracane. Major znudzony oczekiwaniem, poszedł się rozerwać w okolicy wypróbowaniem nowój strzelby arcydzieła Dewizma. I gdy zwodził głód i oczekiwanie, strzelając na wiatr, banda psów blakających się, które są istną zarazą tureckich włości, zwietrywszy zdaleka zapach naszej kuchni, nadbiegła, rzuciła się na nasze rądle i kociołki, w których gotował się zwolna obiad i z żarłocznością prawdziwie psiego głodu wszystko uniosła oprócz sucharów, na których sobie tylko zęby zaostrzyła. Ordynans majora ucziwy Beryszończyk, którego straży była powierzona kuchnia w nieobecności Tomasza, spał snem sprawiedliwego pod namiotem podczas tego napadu i obudził się właśnie, gdy już wszystko było pożarte. Psy tureckie nie szczekają, ale za to kłapiją jak wilki, biedny więc chłopiec miał dosyć do czynienia, żeby uniknąć losu Akteona.

Opisać rozpacz majora po powrocie ze spaceru byłoby rzeczą nad nasze siły. Nadchodząca noc położyła tamę jego narzekaniom, jakoteż komentarzom żołnierskim Tomasza i jego towarzysza Mohameda nad wypadkami upłynionego dnia.

Nazajutrz ze wschodem słońca, zwinąwszy namioty i zapakowawszy bagaże, wsiedliśmy na koń, opuszczając Srebrnią, drogą ku Sylistryi.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa obrazów. — Komedya pana Langlé „Un homme de rien.” — Sporuczonych o przedpotopowe kości. — „Cyklop” pana Autrau wedle Eurypide-sa. — „Joanna d’Arc” przez pana Villiamé. — Wiadomości literackie.

Tegoroczna wystawa malarska nie należy bynajmniej do najświetniejszych, jak głosiły naprzód dzienniki. Być może, iż właśnie to przechwalenie, jak każdej rzeczy tak i tej wystawie zaszkodziło nieco; ale, nie oczekujący nawet arcyciel przychodzień doznałby zawodu. Na pierwszy rzut oka całość wydaje się mierna i wielce zamieszana. Jak zwykle, przeważają drobne talenta zajęte drobnym wydziałem małego rodzaju: każdy dłubie swoją część szpilki osobno. Jeden ubiera i rozbiera zawsze też samą lalkę, Pompadurę; drugi greczyznę tłumaczy językiem szkolnym; trzeci maluje Madony... Loretańskie; czwarty Chrystusa z twarzą bulwarowego eleganta; ów, wiek Ludwika XIVgo układa w anegdoty; inny, ograniczył się na malowaniu samych głów, do których kolega tęrsy dorabia. Podział pracy stał się prawem sztuki, równie jak jest prawem przemysłu.

Wyborne kawałki, prawdziwe dzieła sztuki, gdzie-niegdzie jaśnieją na tém powszedniém tle, złożoném z blisko dwóch tysięcy obrazów; ale i w tych najlepszych dziełach uderza dziwna różnorodność smaku.

Spadkobierczyni wszystkich doktryn, które ją poprzedziły, szkoła francuzka zdradza nieustalenie pojęcia piękna: jest ona odbiciem wahających wyobrażeń na-

szęj epoki. Z powodu braku pewnego przeświadczenia, myśl straciła na wielkości i pogodzie; biegłość materialna postąpiła: nigdy nie malowano tak wiele, ale też nigdy talent malarski na drobniejsze nie był rozkruszony atomy.

Największą jednak wadą terażniejszych malarzy, wydaje nam się brak szczerości: nie kochają sztuki, chociaż jej się poświęcają. Malarz paryzki, z nader małym wyjątkiem, jak aktorka francuzka, zajęty więcej podobaniem się niż swoją sztuką, śpiewając hymn do Boga, poprawia sobie mankietki....

Jako spadkobierczyni wszystkich doktryn, szkoła francuzka nie wyrobiła dotąd oryginalności, jako zaś córka swojego wieku, niema zapału. Jestto szkoła umiarkowana, zbyt podległa prawom rozsądku, zbyt dbająca o to co umówiono się nazywać dobrym smakiem, ażeby mogła być poetyczną i wzlecieć na skrzydłach ideału. Trwać to musi dopóki nie przyjdzie geniusz, któryby ją ze szczupłego koła konwencyonalności wyrwał mocą potężniejszą od zbiorowej siły panujących przesądów, i odprowadził na wyżyny, z których tylko ku górze wolno iść kapłanowi piękna będącego splendorem prawdy.

Chociaż zazwyczaj, obrazy tak zwane oficjalne nie zasługują na uwagę artysty, przegląd nasz zaczynamy od *Magenty* Ivona, bo wyjątkowym trafem, nie tylko wola ministra artystycznie tu spełniona, ale ten obraz jako przedstawienie zasługi francuzkiego narodu, wydaje nam się najgodniejszym wzmianki.

Malowanie bitew takich, jakich dziś wymaga rząd i strategia, jest zupełnie nową sztuką. Dawniej malarze streszczając wojnę, wyrażali tylko jej wybitne i malownicze ustępy; bitwa dla nich była *zamieszaniem* sprzyjającym oddaniu dramatycznych położzeń i wymownych *expressyj*.

Rafaël w *Bitwie Konstantyna* odmalowanej w Watykanie przez Juliusza Rzymianina, wedle jego rysunków, narysował plan klasycznego boju, później przyjętego przez wszystkie szkoły. We środku Konstantyn jako posąg konny, góruje nad tłumem i grozi dzidą zwyciężonemu tyra-

nowi, który w wodach Tybru się pławi. Obok tego rumaka spiętego nad trofeami zbitego wroga, znaczącego zwycięstwo i przegraną dwóch wojsk nieprzyjaznych, roztacza się szereg grup pomniejszych, wyrażających za pomocą ruchów ciała: odwagę, rzeź, okrucieństwo, przestach i t. d.

Jestto starożytna bitwa, czyli pojedynek zbiorowy, nagromadzenie zapasów pojedynczych, w których sam tylko wybór wojska występuje. Każdy z Rafaelowskich rycerzy, jak demon w piśmie, jest wcieleniem legionu.

Juliusz Rzymianin rozrządza swoje bitwy jako adjutant Rafaela. *Bitwa Zamy*; *Przegrana Syfak'a*, świadczą, iż godnie walczył pod wodzą wielkiego mistrza; można nawet powiedzieć, że wymienione dwa kartony wyższe są od watykańskiego fresku rozłożeniem i logiką całości. Rzymianin w tych utworach rozwinął tyleż geniuszu wojskowego ile nauki malowniczej. Ale tam jeszcze wojna oddana jest w bohaterским streszczeniu. Dwa wojska biją się przez prokuracyą: uszykuj wszystkich wojowników tych dwóch olbrzymich kompozycji, dodaj do nich żołnierzy Konstantyna, a jeszcze nie zbierzesz dzisiejszego batalionu.

Rafaël i Rzymianin, duchem płaskorzeźb ożywiali starożytne boje; Salvator Róza w wielkim obrazie zawieszonym w Luwrze, przedstawił bitwę idealną, taką, jaką wyobrażenie pojmuje abstrakcyjnie, po za wszelką epoką historyczną. Wojownicy jego ubrani w pół bohaterskie a pół barbarzyńskie stroje, nie należą do żadnego narodu: walczą z wściekłością drapieżnych zwierząt zazerających się w cyrku. Jestto rzeź, nie bitwa: exterminacya jedynym celem tego zapamiętałego starcia. Krajobraz dostraja się do niego: góry wyglądają dziko... rząd połamanych kolumn osypuje się na walczących; na wzburzonych falach morza widać płonące okręty: niebo nawalnicą i pożarem czerwone, zdaje się być wyziewem krwi zafarbowane.

W XVII wieku, Lebrun w *Bitwy Alexandra* wciągnął obadwa powyższe sposoby. Obrazy jego najeżone hełmami o lwiej paszczy, puklerzami z Meduzą, jeźdźcami hasającymi na koniu Marka Aureliusza, albo na słoniach,

tworzą przerażający widok, ale sztuki wojennej nie przedstawiają: Alexander bije się jak malarz, nie jak wódz.

Van der Meulen może uchodzić za sławnego taktyka, ale roztoczone przez niego marsowe przepychy tak się różnią od nowoczesnej wojny, jak od wojny starożytnej. *Siège de Saint-Omer*, równie dalekie od oblężenia Troi, jak od oblężenia Sewastopola.

Późniejsze bitwy Casanovy są fantazyjami; w XVII wieku żołnierze jego biją się jak rycerze Aryosta: oko za oko, ząb za ząb; tratuje się konnica, mocują piechury, gryzą się konie, krzeszą ogień pałasze, przyłożone do piersi pistolety strzelają.

Pierwsze cesarstwo pomiędzy wielu rzeczami zaprowadziło także nową szkołę wojskową, praktyczniejszą, ale jeszcze idealną. Żołnierze Grosa mają jeszcze styl rycerzy Homera; pod mundurami znać torsy starożytne. Bitwy Grosa jak tragedye, wpuszczają na scenę tylko zwycięzkich bohaterów lub poetyczne ofiary: massa wojska stoi za kulisami.

Karol Vernet pierwszy lekkim ołówkiem naszkicował terazniejsze manewra i ruchy wojska; syn jego Horacy poszedł za tradycją ojcowską i ozdobił ją ustępami wymownej prawdy: od Horacego Verneta datuje się realizm wojskowy.

Dziś malowanie bitew stosuje się do programu przez wodzów nakreślonego: pędzel idzie za piórem raportów. Historia może kiedyś potwierdzi tę dokładność; sztuka atoli, skoro zbyt dokładnie wierności służy, napotyka nieprzełamane trudności. Wojna tegoczesna wymyka się malarzowi swoją nieosobistością i rozciągłością: zamiast bohaterów stawia liczbę, zamiast grup malowniczych geometryczną linię. Dramat odbywa się na scenie nieogarnionej okiem; pułk zastępuje postać człowieka; przepis mundurowy narzuca się palce i harmonią jej psuje.

Ztąd rodzaj nowy, niewdzięczny i nudny, zamknięty w planie przepisany, zmuszony do wojskowej karności, której buletyny przedstawia, a których prawie niepodobna sądzić wedle kodexu praw wielkiej sztuki.

Znakomici malarze, jak dowcipni obywatele *obchodzą* prawo i trudności do przełamania niepodobne. Tak uczynił Ivon, malując bitwę na ulicy Magenty, gdzie się przechyliła szala zwycięstwa na stronę Francuzów. Znając miejscowość mogliśmy stwierdzić, że oddana jest z dokładnością zupełną. W ciasną ulicę pehają się zuawy rażeni strasznie przez Austryaków strzelających celnie z każdego okna, z pod każdego czerwonego dachu, z poza każdej winogradowej kraty. Dowódzca zuawów na pierwszym planie niesie chorągiew: orzeł złoty w ręku zuawa zda się trzepotać skrzydłami, jak zwycięstwo w dłoni Pallady, bo i tu rozum męztwo prowadzi, oszczędzając drogiej krwi bohaterkiej, tej *aqua-vity* narodów.

Naprzeciw tego wodza, a raczej gromu zastępującego dziś symboliczne pioruny Jowisza, daleko w ulicy stoi na koniu austriacki generał, daremnie usiłujący zawrócić cofających się swoich żołnierzy. Na przodzie trwa jeszcze bój zażarty. Zuawy wdzierają się na taras dziko broniony przez Kroatów. Sliczny, winogradem obrosły ganek, rozkoszną powierzchownością dodaje grozy bezcennej rzezi. Francuzi trąbią do ataku, wygraną ich czuć w powietrzu, czuć, że już zadekretowana w górze i że Austryak napróżno przed Madoną załamuje ręce: nieodwołalne „*en avant!*”! zabrzmiało, — okrzyk magiczny, zwiastujący wrogom przegraną, bez appellacyi.

Ivon głębiej, niż inni pojął żołnierza francuzkiego. Zwykle malarze przedstawiają tylko jego stronę jowialną, zuchowatą, więcej może tradycjonalną, niż prawdziwą; dają mu wyraz marsowy, filuterny, wesoły, nigdy prawie poważny. Wiadomo, że bohaterstwo jest wesołe we Francyi, że dobry humor łączy się tu z odwagą. Ta mieszanina stanowi grunt charakteru gallickiego: z komentarzy Cezara przekonać się można, że lekceważenie niebezpieczeństwa było zawsze zaletą narodową Francuzów. Ta waleczność prosta, która się śmieje i robi kalem-bury pod kartaczowym ogniem, sprawia wrażenie na cudzoziemcach i wyróżnia z pomiędzy wszystkich wojsko francuzkie. Jednakowoż nie na tem koniec jego charakterystyki. Wojna ma strony poważne i okropne, które

żołnierz francuzki doskonale rozumieć, chociaż tego nie pokazuje. Zawód wojskowy wymaga poświęcenia codziennego, rezygnacyi w cierpieniach wszelkiego rodzaju, przyjęcia z góry wypadku śmierci, stoicyzmu praktycznego, ideału honoru, który wyrażać się musi inaczej, niż podparciem się w boki i junacką miną.

To wszystko Ivon doskonale pojął i odmalował żołnierza francuzkiego nie tylko jak zwyciężca, ale jak z rezygnacją znosi męki w sewastopolskim przekopie, jak się dzieli z biednym resztką żołnierskiego obiadu, jak rannego przeciwnika opatruje. Są w tych obrazach jego typy dziwnie łagodne i rzewne, nie przypominające w niczem postawy cyrkowej, którą im nadają zwykli malarze, a wyższe od tamtych sto razy. Inni przedstawili odwagę i dowcip francuzkiego żołnierza: Ivon jego serce przedstawił.

— Trzech znakomitych malarzy wzięło za przedmiot narodziny Wenery: Cabanel, Baudry i Amaury Duval. Venus pierwszego uważaną jest za arcydzieło tegorocznej wystawy: w istocie doskonałości szczytu dosięga.

Bogini leży na morzu pomiędzy lazurem niebios i lazurem wody; jedna jej noga wyciągnięta pływa, druga zgięta wdzięczną linią zakreśla; fala czyni jej z piany poduszkę, włosy złote splecione w warkocze, płyną z wodą jak girlandy kwiatów; jedna ręka nad twarzą zgięta, na wpół ocienia lica i zadziwione oczy, jeszcze pół senne. Przegięcie ciała uwydatnia doskonałą piękność bioder i delikatne obrysy stopy z palcami odwiniętymi, jak u nimf Corregia; lekki cień od ręki uwydatnia lubieżną miękkość całości: przezyste ciało posrebrzone morską pianą, czyni orzeźwiające wrażenie krynicy. Krew nie płynie jeszcze w żyłach tej nenufary, głowa tylko ma wdzięk niebiańskiej zalotnicy; w oczach jej i uśmiechu czytasz całą przeszłość mitologicznych zalotów.

Obraz ten byłby rzeczywiście arcydziełem, gdyby nie girlanda amorków unosząca się w górze; wrażenie byłoby daleko większe i poetyczniejsze, gdyby bogini ukazała się sama jedna pomiędzy niebem a morzem, jako panująca nad niezmiernością.

Venus pana Baudry nosi tytuł: „*La Perle et la Vague*” wzięta jest z bajki perskiej. Malarz przedstawił młodą, tłustą i rumianą dziewę widzianą z tyłu. Leży na wybrzeżu morskim, jak na dywaniku wyhaftowanym w kolące muszle. Nimfa niby ma być perłą, ale skoro już przemienioną została w kobietę, artysta powinien był koniecznie miększego wyszukać jej posłania. Powiadają, że pan Baudry naśladował Callypigejską Venus; nie widzieliśmy wzoru, ale przypuszczamy, że naśladowanie musiało się nie udać.

Venus trzecia, pana Amaury-Duval, stoi na morzu i wyżyma mokre warkocze. Ta Venus także prawdopodobnie nie otrzymałaby nagrody piękności od Parysa; jest zbyt długa, zbyt wymokła, nie ma ani majestatu bogini, ani rzeczywistości modelu; zbyt mało boska, nie dość ludzka, pół konwencyalności, a pół ideału: ni to marmur, ni ciało.

— Obejrawszy te trzy sławne boginie, odmalowane przez trzech uczeni Ingra, wróćmy jeszcze do czworobocznego salonu, gdzie zawieszono mistrzowskie dzieło czwartego ucznia twórcy *Stratoniki*, Hippolita Flandrin *portret Napoleona III*. Jestto niezawodnie najlepszy z mnogich wizerunków cesarza francuzkiego. Nadzwyczajnie podobny a uidealizowany nieco, ma piękność historyczną. Cesarz w mundurze stoi obok stolika z ręką na mappie Francyi opartą; za nim fotel; nad nim w półcieniu widać białe popiersie Cezara. Nie więcéj, a całość przepyszna! Głowa ma spokojną powagę rzymskiego popiersia; ileż życia pod pozornym spoczynkiem tych rysów! Rysunek tak pewny, iż wydaje się rzeźbą: w oczach wyraz nieopisany, rozwaga powściąga usta. Wszystkie wypukłości są otrzymane bez wysilenia, płaszczyzna wiąże się z niemi przejściami niezmiernéj delikatności; głowa dominująca w obrazie pochłania światło i uwagę widza: dopiero po długim jej podziwianiu spostrzega się resztę ciała: nie inną rolę powinny grać dodatki w portrecie wielkiego stylu.

Dwa lata temu, tenże malarz wystawił portret księcia Napoleona, który uważano za arcydzieło: portret cesarza

znakomitszym nam się wydaje. Flandrin jest niezawodnie pierwszym portrecistą francuzkim; w odosobnioném studyum głowy ludzkiej wyższość jego talentu wybija. Jego freski religijne są bardzo poprawne i uczone, ale uczoność nie jest geniuszem; brak im śmiałości, która tworzy arcydzieła. Specyalność portrecisty sławie Flandrina wystarcza. Leonard i Rafael pozostałiby nieśmiertelni, chociażby pierwszy był tylko odmalował *Jocondę*, a drugi *Skrzypka* pałacu Sciarra.

Naprzeciwno wizerunku cesarza zawieszono w jednakiem ramach portret cesarzowej przez Wintelhaltera. Jakże krzyżująca różnica pędzla! Tam pomnikowa powaga, tu kokieterya błaha i pochlebstwo niesmaczne. Na tym portrecie cesarzowa Francuzów ma lat piętnaście; ta wada wszystkich jej portretów z każdym dniem rośnie: postępując tak w odwrotnym stosunku do porządku natury, malarze niedługo przedstawiają kupidyńka na tronie.

Pomiędzy portretami kobiecemi, których mnóstwo, odznacza się portret Włoszki przez p. Amaury-Duval. Malarz nie mógł marzyć o rzadszym wzorze, jak ta głowa dziwna i czarująca: jako Edyp, miał do odgadnienia zagadkę niewieściego sfinksa. Młoda kobieta ubrana w suknię z czarnego atlasu, siedzi zamysłona, opierając łokieć na poduszce, a głowę na ślicznej ręce o wysmukłych palcach: siedzi, дума i patrzy z nieruchomą przenikliwością. Oczy jej jasne, na pół powieką przysłonięte, zdają się czytać w czarnej nocy jakiegoś serca. Jest wszystkiego po trosze w tém spojrzeniu przezroczyistością swoją maskującym głębokość, jest złośliwość i słodycz, rozrzewnienie i szyderstwo, wydziera tajemnicę, a chowa swoją. *Spaventa e piace*. Tę dewizę włoską możnaby wyryć na pieczęcie tej damy.

— Landelle wystawił śliczny wizerunek wiejskiej dziewczyny z Kampanii rzymskiej; Jalabert małą rozkoszną Włoszyczkę z bułką w ręku; Hebert spotkanie dwojga młodych Włochów u studni, niezmiernie efektowne. W ogóle każdy prawie malarz jakąś włoską postać do salonu dostawił: zaalpejskie twarze na tuziny się liczą. Znać wyzwolona Italia stała się siedzibą i kopalnią francuzkich

artystów: i natchnienie i kształt z niej biorą, co wreszcie rzecz bardzo naturalna, bo tam tylko sztuka na gruncie rośnie: w innych krajach jest tylko mozolnie hodowaną pod szkłem rośliną.

— Pan Puvis de Chavannes wystawił dwie wielkie kompozycje allegoryczne, zawieszona na pierwszym miejscu w honorowym salonie. *Praca* i *Spoczynek* są dopełnieniem malowideł dekoracyjnych, wystawionych przed dwoma laty, a przedstawiających *Pokój* i *Wojnę*. Radziłyśmy chwalić te ostatnie utwory znakomitego malarza, tak, jak chwaliliśmy pierwsze na tém miejscu, ale nie są one na wysokości poprzednich. Patrząc ze zbyt wysoka, pan Chavannes traci z oczu naturę; postacie pierwszych jego obrazów stały na ostatnim krańcu życia, wyobrażały jego najwyższe oczyszczenie; ostatnie przeszły po za te granice i wstąpiły już w mgły allegoryi, gdzie rzeczywistość musiały całkowicie zatracić. Są to już tylko cienie udające ruchy, jak owe w *Eneidzie*, które eskortują rydwany, lub cwałują na końskich widmach w półcieniu Pól Elizejskich.

Praca wydaje się sennym przypomnieniem znojęw ludzkich, naśladownictwem roboty dokonywanem przez letejskie lunatyki. We środku pięciu kowali śpi stojący obok kowadła; jeden z nich podnosi młot, jakby sybaryta podnosił maczugę Herkulesa; drugi spięty na palcach, trzyma szynę jakby jubiler klejnocik; na lewo drwal od niechcenia siekierą w pień drzewa stuka, zdając się mówić, jak ów pokutnik w czyscu do Danta: „*Piu non posso!*” W głębi chodzą widma wołów poganiane przez larwy oraczy: żadnego ożywienia, nigdzie czynnego ruchu, którego wymaga kompozycja przedstawiająca *pracę*. Tacy robotnicy miesiąceby obrabiali jedną belkę, a dzień cały jeden gwóźdź kuli. Daremniebyś szukał na tych rękach, wyprężonych mięśniach robotnika; a jednak artysta miał wkoło siebie wzory niezrównane: dość było przypatrzeć się jednemu pracującemu Francuzowi, co całą duszę w robotę swoją kładzie, ażeby odmalować pracę idealną w tym kraju urzeczywistnioną.

Spoczynek przedstawia też samą mieszaninę błędów i zalet. Stary pasterz pod drzewem opowiadający młod-

szym pokoleniom dawne myty, wydał nam się zbudowany zbyt pierwotnie; z potężnej ręki, którą w górę podnosi, Cuvier odbudowałby pewnie przedpotopowego olbrzyma.

Życia fizycznego najwięcej obrazom pana Chavannes brakuje. Skłonność ku upraszczaniu widoczna już w pierwszych jego obrazach, zwiększyła się: szuka stylu w pomijaniu kształtów, zamiast go znajdować w doborze typów i surowości rysunku. Jego postacie pozbawione organizmu wewnętrznego, stają się sylwetkami często nawet niezupełnie oznaczonemi; otaczająca je atmosfera szara, pogorsza ich suchoty plastyczne. Pisarz może czasem stworzyć arcydzieło, wypowiadając same myśli ogólne bezbarwnym językiem, ale malarz nie może obejść się bez szczegółów i wyrazu; uproszczenie jest mu dozwolone, ale abstrakcyja, nie; malarz musi wcielać wszystko co wywoła: dla niego sam Bóg nawet ma ciało i kości.

—Mitologia i historia starożytna dostarczyły mnóstwo przedmiotów malarzom i rzeźbiarzom; wyznać jednak musimy, że prócz Wenery Cabanela, bachantki malowanej pana Bouguereau i bachantki marmurowej Clesingera, nie spotkaliśmy tego roku dobrze pojętego przedmiotu starożytnego. Pana Bouguereau *Orestes ścigany przez furye*, wygląda, jak malowana tragedia, na zimno poczęta i słabo oddana. *Sąd Parysa* pana Schutzenberger'a nie lepszy. Parys podaje jabłko, jak mer nagrodę cnoty: Venus sięga po nią niezgrabnie zakłopotana, jak Roziera na burmistrzowskićj estradzie. Droczenie się takie nie ma sensu. Venus nie powinna być skromna: nie jestto ani jćj rzemiosło, ani charakter. Dla nićj nagość jest chluba; zrzuciwszy osłony, boskość swą objawiła synowi w Eneidzie. Ot, jak mówi Wirgiliusz:

„...Rzekła, i odsłoniła różowe ramiona, włosy jćj ambrozyjskie rozłaczając się, rozlały woń boską; szata jćj cała z jednego fałdu osunęła się do stóp, a chód ukazał ją boginią”.

—Pan Tabar odmalował na wielkie rozmiary ustęp z życia Heliogabala. Podanie mówi: „Psy swoje pasł gęsią wątróbką. Miał przy sobie lwy i lamparty, które za trzeciém daniem kazał nagle wprowadzać do sali, bawiąc się strachem, w jaki ten widok wtrącał gości”.

Szczegół ten wyjęty z historyi Augusta przedstawiał kolorystycznie szerokie pole. Purpura biesiadników, futra zwierząt, śmiech zalotnic i ryk bestyj; rozczochrane włosy i najeżone grzywy, przestrach płoszący rozpustę, okrucieństwo cyrku domieszane do lubieżności uczt... było co malować. Z tak pysznego przedmiotu malarz wyciągnął obraz jarmarczny.

— *Juliusz Cezar na czele X legii w Gallii*, obraz p. Boulanger przedstawia także wielki przedmiot ciasno wykonany. Legion przechodzi pokrytą śniegiem płaszczyznę; Cezar z gołą głową, w białej draperyi, idzie śmiało naprzód; czterech tibiacyńców z trąbami, kroczą przed nim; za nim otuleni w szkarłatne chlamidy maszerują zgięci wiatrem vexilery i centuryony: legia ciągnie długim sznurem i znika w oddaleniu. Kompozycya ładna, ale wykonanie nędzne. Figury, jakby z papieru wystrzyżone, draperye ubogie. Jessto inkrustacya archeologiczna bez życia i koloru.

Brutus pana Laurens, pracowicie wbija sobie w piersi miecz krótki. Cały zajęty tą operacyą, nie zdaje się myśleć o zasadach, a tém mniej wołać: „Cnoto! jesteś czczém słowem.”

Przysięga Brutusa pana Delaunay, jakby przez reżysera Odeńskiego teatru ułożona, niema ani zalety ani wady. *Patrokles u Amfidamasa* z wazy etruskiej zdjęty, nie więcej ma życia.

Po tylu niestrawnych epopeach i nudnych tragediach, błogo przeczytać kawałek Ewangelii. „Jezus przyszedł do nich chodząc po morzu. A ujrzawszy go chodzącego po morzu, zatrwożyli się i od bojaźni krzyknęli. I wnet mówił do nich Jezus, rzekąc: „Miejcie ufność, jam jest, nie bójcie się”. Ze słów tych zapisanych u Mateusza Śgo w rozdziale XIV, pan Jalabert ułożył śliczny obraz.

Jalabert jest dziś może jedynym Francuzem, umiejącym oddawać przedmioty religijne. Przez niego przedstawione *Zwiastowanie*, ozdoba Luxemburskiego muzeum,

ma wdzięk prawdziwie niebiański. Pojął on tę scenę inaczej, niż mnodzy jej przedstawiciele. Do skromnej izdebki, której całą ozdobą wazkie białe łóżecko i klęcznik roboty ciesli Józefa, wchodzi Anioł Pański i oświeca ją promieniami swemi. Marya zdziwiona nagłym zjawieniem, zamiast (jak zwykle) uchylić czoła przed Boskim posłem, cofa się w dziewiczym niepokoju ku ścianie... w skromności swojej sądzi się nie godną odwiedzin Aniołów Pańskich, i lęka się, czyto nie złudzenie kłamliwej wizyi. Anioł w śnieżnej szacie, mówi srebrnym głosem *Zdrowaś Marya*.

Taż sama światłość gwiazdowa i miękkość drogi mlecznej, która powyższy obraz czyni podobnym do sennego marzenia, oświeca *Łódź Apostołów*. Jasność nań pada od stąpającego po morzu Zbawiciela, który cały jasnością jest i na czarnych nurtach wzburzonego morza płonie jak tęcza niebo z ziemią wiążąca. Z łodzi miotanej falami, apostołowie ruchami przerażenia ujęci, wyciągają ręce do Chrystusa... Piotr tylko z niedowierzaniem patrzy, i znać, układa już w myśli postępek ku sprawdzeniu wszechmocy Pana, wnet Mu rzucony w tych słowach: „Panie, jeżeliś Ty jest, każ mi przyjść do siebie po wodach.”

Koloryt, rysunek i cała atmosfera tego obrazu przedziwna; wywołał jednak liczne dyskusyje w artystycznym świecie: chodzi o to, czy malarz pojmuje, czy nie, ducha religijnego w malarstwie? Różni różnie mówią. Większa część ludzi religijne obrazy do dziś dnia tylko na złotem tle sobie wyobraża. Ich zdaniem, figury świętych muszą być sztywne, bez żadnych ludzkich ruchów, koloryt zaś mocny, rażący, w byzantyńskim smaku. Podobnie pojmowali święte wizerunki weneccy mozaści, bracia Zuccati i Bocca. Szkoła ta rygorystów, nawet *Stabat* Rossiego potępia, jako nie dość surowy. Pojęcia takie słuszne zapewne, jeżeli chodzi o nowe ozdoby w starym gotyckim kościele, są zbyt absolutne z ogólnego stanowiska sztuki. Romansowość razi w religijnych obrazach, ale korząc się przed surowym majestatem Matki Boskiej Częstochowskiej, trudno nie przyznać piękności Rafaelowskiej Madonie *della Seggia*. Tak jednej jak drugiej wyobrażenie wypłynęło z Boskiego natchnienia.

— Gustaw Doré autor niezliczonych ilustracyj poematów sławnych, wystawił dwa obrazy „*Potop*” i „*Franceska z Paolem*.” Oba nie przynoszą chwały genialnemu rysownikowi. Pokazuje się, że obraz a winietta, to dwie rzeczy zupełnie różne. Doré jest mistrzem w pierwszej, uczniem w drugiej. Grupę ludzi jeszcze nie zalanych potopem, artysta postawił na skale zewsząd bitej rosnąciami falami. Matka z trojgiem dzieci, tuląc je do łona, patrzy z przerażeniem w odmęt, który je za chwilę pochłonie. Przy niej stoi tygrzyca z małym tygrzątkiem w paszczy. Wąż sprawca nieszczęścia, opasuje całą grupę. Ma to wyobrażać zgodę w obec wspólnego niebezpieczeństwa, rajskie pojednanie człowieka z bestyą, na progu śmierci. Myśl wyszukana, *conchetto*, z którego możnaby zrobić ładne zakończenie włoskiego sonetu. Tam byłaby zupełnie na swoim miejscu, tu razi, bo dowcip nie przypada do przedpotopowych rzeczy, pomniejsza je i studzi. Pojęcie scen pierwotnych, powinno być proste jak one: wyszukane, nie mają żadnego uroku.

Trzeba było zuchwalstwa nie lada, żeby po Ary Schefferze przedstawiać jeszcze Franceskę. Nie mając tamtęj na zawsze w pamięci odbitej, ta możeby się mogła podobać: ale ponieważ na tym świecie, skalą wszech rzeczy, porównanie, Francesca Dorego wydaje się jak przedrzeźnianie szczytnej harmonii. Nie z Dantejskiego Czysca, ale z Piekła Syxtyńskiego wychodzi ta barczysta kobieta, oświecona zimnym światłem. Jestto poganka: inaczej nie można sobie wyobrazić Pasifai w Tartarze. A jakże smutnie za nią wygląda Paolo! Rola jego w obrazie taka jak w balecie skoczków podtrzymujących powietrzne pozy prima donny. Paleta Gustawa Doré jeszcze bardzo wiele do życzenia pozostawia; lepiejby zrobił, żeby się trzymał ołówka, którym tak znakomicie włada.

— W rzędzie wystawionych tego roku utworów polskich malarzy, pierwsze należy miejsce obrazowi Leona Kaplińskiego. Przedstawił on w jednej czarnej ramie, dwa typy naturalnej wielkości, tak różne, choć od wieków w jednym kraju, prawie pod jedną zamieszkałe strzechą: Szlachcica i Chłopa Polskiego. Ci co widzieli *Klucznika* i *Miecznika* na krakowskiej wystawie, wiedzą jak p. Kapliński szczęśli-

wie uchwycił typ szlachecki, nie ów rębacko-pijacki, którego tak na lużyli pisarze i malarze polscy, ale ten nowszy, mniej znany a nieskończenie wyższy, skruszony i pokutujący. Twarz wieśniaka jak nowa ziemia bez historii, szorstka i nieuprawna, pod brunatną skorupą chowa skarby nietknięte... Cudzoziemcom dwie te połączone postacie przedstawiają tylko wymowny kontrast, nam one dobrą wróżbę zwiastują.

— Rodakowski wystawił portret podeszłej kobiety. Posiada on zwykle zalety tego znakomitego portrecisty; przypomniał nam nawet nieco, wizerunek *Matki* malarza, zaliczony do rzędu arcydzieł na wystawie Paryzkiej 1853 r.

— „*Kochanowski przy zwłokach Urszuli*”, zwracał uwagę Francuzów, chociaż pan Chlebowski przemówił do nich niezrozumiałym językiem liryzmu.

— Pan Straszynski wystawił „*Zabicie biskupa Leodium*” straszliwą scenę z romansu Walterskota *Krentyn Durward*. Kompozycya bogata, oświecona pochodniami niby łuną pożaru, nie jest wszelako jasną: bohatera z trudnością w tłumie wynaleźć można, co jest wielką wadą układu. Zresztą mnóstwo tu szczegółów zajmujących, które świadczą o żywej wyobraźni malarza.

— Pan Grabowski wystawił gipsową płaskorzeźbę, dość powszednią, przedstawiającą „*Złożenie Chrystusa w grobie*”.

Kończąc na dzisiaj tę pierwszą po salonie wędrówkę w obawie, żeby zbyt nie znużyła tych, co przez nasze oczy wystawę oglądać raczyli, dodać muszę słów kilka o expozycyi odrzuconych obrazów. Miała ona zawstydzić niesprawiedliwych sędziów, a zawstydziła tylko artystów. Adwokaci ich przypisują to temu, iż żaden ze sławniejszych nie chciał w wyproszonej za drzwi kompanii pozostać. Zły przykład dezercyi dała podobno dama należąca do paryzkiej arystokracji pieniężnej, której pastelowe marynarki, nie czuły na wdzięki Instytut, do salonu nie wpuścił. Pani w przedpokoju siedzieć nie chciała, nie korzystała więc z liberalnego rozporządzenia cesarza, a podrażniona przez czarta pychy, wyprowadziła tych właśnie, którzy mieli fałsz zadać przysięgłym.

Tak mówią, zwalając grzech pierworodny na nową Ewę, obrońcy wygnanych z raju artystów. Ile w tém pra-

wdy, nie umiemy powiedzieć, to tylko wiemy, że nigdy zbioru śmieszniejszych karykatur nie widzieliśmy w paryżkiej galeryi. Nigdy jednak wystawa nie była od tej użyteczniejszą: jestto nauka, która na zawsze położy koniec gorzkim żalom niezrozumianych geniuszów. Nie mieliżemy słusznosci obawiać się, żeby dzień wystawy odmówionych obrazów, nie był tém dla malarzy, czem dzień wolności druku dla nieudolnych pisarzy?

W udatnej komedyi graniej teraz z wielkiem powodzeniem na scenie paryżkiej, pod tytułem: „*Un Homme de Rien*,” pan Langlé przedstawił Ryszarda Sheridana, jedną z najciekawszych figur angielskich zeszłego wieku, tak obfitego w szczególne indywidualności. Życie Sheridana syna komedyanta, pisarza humorystycznego, członka parlamentu, było istnym Szekspirowskim dramatem, pełnym kontrastów i przygod.

Pierwsze wystąpienie jego jest niby pierwszą sceną komedyi: wykrada śpiewaczkę, żeni się z nią potajemnie we Francyi, wraca do Londynu i pojedynkuje się dwa razy z rywalem. Z tego wykradzenia, małżeństwa i pojedynku, układa komedyą „*Rywale*,” która pierwszego wieczora wygwizdana, drugiego pod niebiosy została wyniesiona. Po napisaniu *Szkoly Skandalu*, okrzyknięto Sheridana najpierwszym dramaturgiem w kraju. Miał wtedy lat 26. Ze sceny Drury-Lane przeszedł na obszerniejszą: Fox otworzył mu na rozcież widownią polityczną. W roku 1780 miasto Stattford obrało go członkiem parlamentu.

Improwizacya była udziałem lśniącego umysłu Sheridana. Zwerbowany do stronnictwa Wighów nie został nigdy jego naczelnikiem, ale wnet stał się jego wirtuozem. Olśniewał i dziwił izbę. Wymowa jego nosiła podwójną maskę dawniej sztuki: naprzemian rzewna, to szydercza, wysoka lub błazeńska, czyniła z trybuny teatr, na którym polityka grała dramat i komedyą.

Ze świetnego zawodu parlamentarnego Sheridana, zostało jedno tylko wspomnienie, ale może największe, z pozostawionych przez ówczesne zgromadzenia. Mowa

jego z 7 października 1785 roku przeciw lordowi Warren Hastings, jeszcze góruje nad trybuną angielską. Wiadomo z jakiej okazji wyrzeczona była.

Warren Hastings powrócił z Indyi okryty chwałą i zbrodniami, przynosząc w darze ojczyźnie świat podbity i ujarzmiony, powrócił zboczony krwią i obarczony skarbami dwudziestu milionów ludzi. Hastings, był to Alexander uzbrojony wagą i nożem Shylock'a, był to Verres powiększony do rozmiarów Azyi, Verres, który zrabował nie tylko świątynie, ale miasta, katował nie tylko obywateli, ale narody, a zamiast greckich posągów pokonfiskował królestwa.

Anglia z razu przyjęła zwycięzcę Indyi jako tryumfatora; ale skoro krew płynąca za jego okrętem, wezbrała; skoro z Benares doszło echo szlochającego świata, powstało wielkie oburzenie: Anglia, jak Hermiona Racina, wyrzucała swojemu prokonsulowi niemilosierne wykonanie swych rozkazów i zbrodnie popełnione w jej imieniu. Burke stał się tłumaczem wyrzutów angielskiego sumienia: zaproponował izbie dekret oskarżenia przeciw ciemności: wtedy Sheridan powstał i powiedział swoją sławną mowę.

Starożytni adwokaci ciągnęli poranionego klienta przed pretoryat; skoro lud zaczął się oburzać i rozczulać, rozdierali tunikę i pokazywali pierś jego przebitą morderczym żelazem. Sheridan też samo wrazenie sprawił czarowną wymową. Przywołał najprzód przed trybunał Izby, krwawe widmo Indyi; uwiadomił słowami kraj z tortur zdęty, dzwonił jego kajdanami i jego purpurowe odsłonił rany; obarczył Hastings'a wżgardą i przekleństwa, naprzemiany cisnął nań gromy i błoto. Kompania Indyjska w jego mowie wystąpiła w brudnej postaci kupca tyrana, łączącego chciwość z zuchwalstwem pirata; despotyzm z szacherką kramarską, przedstawił ją rujnującą prowincje dla dopełnienia dywidendów, oblegając miasta dla odebrania zapłaty listu zastawnego, składającą królów dla utrzymania równowagi rachunku, trzymającą w jednej ręce marszałkowską laskę, a drugą obrzynającą kieszenie...

Mowa sprawiła ogromne wrazenie! można je ocenić z okrzyków uwielbienia współzawodników. Burke oświad-

czył „iż to był najdziwniejszy wysiłek wymowy, jakiej tradycją przechowała historia”. Fox mówi „że wszystko co słyszał i czytał, porównane do mowy Sheridana znika”. Pitt przyznaje „że przeszedł wszystkie arcydzieła wymowy czasów starożytnych i nowożytnych”. Dla tego nawet zaproponował odłożenie *mocy* „żeby był czas wyjść z zaczarowanego koła”.

Następująca anegdota z owego pamiętnego posiedzenia, najlepiej wpływ wymowy Sheridana maluje. Logan, członek parlamentu, stronnik oskarżonego, nie chętnie słuchał oskarżyciela. Po upływie pierwszej godziny, szepnął na ucho koledze: „wszystko to deklamacye, bez dowodów”. Po upływie drugiej, rzekł: „na honor! zadziwiająca mowa!” W końcu trzeciej, zawołał: „postępowanie Hastings'a jest niegodne!” Po skończonej mowie, oświadczył „że ze wszystkich potworów nieprawości najbezpieczniejszym jest Hastings”.

Rzecz dziwna! Sprawivszy takie wrażenie, mowa Sheridana się ulotniła: wiatr uniósł ją, jak te które Demostenes gadał nad morzem; żadne pióro jęj nie spisało, żadna nie przechowała księga: zaledwie jęj szkielet pozostał w rejestrach rządowych.

Pomimo tysiąca funtów ofiarowanych sobie przez księgarza, autor nie raczył napisać swęj mowy. Może obawiał się ostudzenia, które ścina słowo padające z płomiennych ust na zimny papier. Może sądził, iż mowa jego nadzwyczajna, zyska jeszcze, skoro przejdzie jak meteor, co olśniwszy ziemię, gaśnie, zostawiając po sobie wspomnienie przez długie wieki.

Sheridan miał w życiu chwilę nader świetną. Arystokracya go przyjęła do swego łona; książę Walii wziął go za powiernika; stał na czele świetnego stronnictwa, był wyrocznią sceny angielskiej, przyjacielem wszystkich znakomitości, rozkoszą salonów... I wszystko dobrze szło dopóki majątku nie stracił...

.. „Wtenczas, po włosku: *Addio!*

Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów.

Okropne słowa! jeśli nie zabiją,

To serce schłoszczą tysiącami biczów”.

Upadek był równie szybki jak wyniesienie. Brakowało podstawy tej egzystencji na pozór tak świetnej: milionów. Sheridan żył ze zmiennej łaski gry grubiej i niepewnych dochodów pisarskich. Szczodry aż do szaleństwa, mawiał jak któryś z bohaterów Szekspira „że tylko żebracy pieniądze liczą”. W nieładzie żył jak ryba w wodzie; worek jego otwarty dla całego świata, zamkniętym był tylko dla kredytorów. Nieogłębność jego czasem wielkodusznością była. Pewnego wieczora kiedy siedział w parlamencie, luna oświeciła okna. Wołają że Drury-Lane się pali. Była to jego własność i całe mienie. Zaproponowano odroczenie sessyi, ale Sheridan powstawszy rzekł, iż kłeska prywatna, choćby największa, nie powinna ani na chwilę zakłócać spraw publicznych, że zatem, prosi o dalsze ciągnięcie zaczętych rozpraw.

Po sessyi usiadł przed kawiarnią na przeciw Drury-Lane i zażądał butelki porto.. pił i patrzył na pożar ze spokojem wschodniego fatalisty, a skoro ktoś począł mu wieszować zimnej krwi, odparł: „Czyż nie wolno wypić szklanki wina przy swoim ognisku?”

Po tej kłesce biedny właściciel Drury-Lanu nie podniósł się. Kłopoty pieniężne ujęły go w stalową siatkę i nie wyplątał się już z niej nigdy. Z Sheridanem bez grosza nikt wdawać się nie chciał. Biedny, opuszczony starzec, rozpił się.

Była to przywara ogólna w tej epoce. Wszyscy pili w burzliwej Anglii przez pierwsze lat piętnaście tego stulecia, jak majtkowie na kdręcie nawałnicą miotany: jedni chcieli się oszołomić, ruodzy rozzuchwalić, wszyscy pili, począwszy od sternika Pitta, aż do passażera Brumel'a. „Niech ten co nigdy nie był pijany, pierwszy szklankę na mnie rzuci!” mawiał Sheridan.

W tej to chwili zaćmienia lord Bajron poznał staroego Sheridana. Ze zwykłą sobie wspaniałomyślnością udał się pierwszy do niego: młody bożek zszedł z piedestału, żeby pocieszyć zwalonego atlete. W pamiętnikach swoich Bajron wspomina o tém poznaniu i mówi: „Biedny Sheil miał wszystkie pańskie instynkta, a nie miał fortuny, był z tych co się rodzą jak lilia pisma, a żeby nie prząść i nie pracować, a być przecież wspa-

niałej ubranemi niż Salomon w swęj chwale". A dalej powiada: „Potrafił rozrzewnić królewskiego prokuratora. Od czasów Orfeusza nie podobnego, ani nic cudowniejszego się nie stało”.

Anglia dozwoiliwszy umrzeć w nędzy Sheridanowi, sprawiła mu suty pogrzeb. Książęta krwi królewskiej, cała arystokracja i parlament, odprowadzali go do Westminsteru, gdzie mu okazały postawiono nagrobek.

Okrutną wonią są takie pogrzeby sprawiane nie raz ofiarom niewdzięczności narodu: jestto apoteoza po męczeństwie. „Biedny Sheridanie, woła lord Bajron, jakże wielką duszę zamroziło w tobie ubóstwo! I patrzeć teraz na tych pływających w złocie ludzi, których ciemne duchy on promieniem geniuszu swego rozjaśniał, na tych sybarytów, których sen zakłóciłby fałdek różanego listka, a którzy jemu pozwolili umrzeć na śmiecisku, szarpanemu przez mirmidonów sprawiedliwości! O! jest czém obrzydzić sobie ludzką naturę, a mianowicie obrzydzić sobie owych liberałów bez wspaniałości i bez serca”.

Ten krzyk wielkodusznego poety więcej uczył Sheridanana, niż jego monarszy nagrobek.

Pan Langlé ułożył romans ze świetnego rozdziału dziejów Sheridanana. Pierwszy akt żywy i nadobny, mięści innóstwo oryginalnych postaci i malowniczych szczegółów, pokazujących wzrost jego fortuny. W drugim akcie widzimy go już sławnym pisarzem, wydanym na zaloty pań angielskich: ówczesna społeczność angielska przedstawiona wybornie w tych ramach. Dalej sztuka ziębnie i traci prawdopodobieństwo; ale dwa pierwsze akty wystarczają, żeby komedią pana Langlé policzyć do najlepszych utworów scenicznych tego czasu.

Odkrycie pana Boucher de Perthes, które tak wielkiego narobiło hałasu w świecie naukowym, skutkiem zaprzeczenia uczonego Anglika Falconer'a, utraciło wagę, jaką doń w pierwszej chwili przywiązywano.

Człowiek przedpotopowy należy do rzędu wielkich zagadek, które prawdopodobnie nigdy nie zostaną roz-

wiązane, gdyż nie podobają się obydwom szkołom filozoficznym, które pomiędzy siebie nauki podzieliły. Uczeni broniący tradycyji biblijnych, niechętnie widzą odkrycie, któreby stworzenie człowieka daleko wcześniejszą oznaczało datą niż ta, którą w świętych księgach zapisano; któreby dowodziło, że człowiek żył już w téjże epoce, co wielkie zwierzęta czasów zarania kuli ziemskiej.

Z drugiej strony, wolnomyslni uczeni, ze wstrętem przyjmują dowód współczesności człowieka z potopem biblijnym, która to współczesność byłaby potwierdzeniem potopu azyatyckiego, takiego, jakiego podanie przekazał potomności święci pisarze i objawienie.

Ci którzy szukają tylko prawdy, nie zawisłe od żadnego systematu, są nader zakłopotani w chwili starcia zdań sprzecznych, jak to które wynikło z powodu kości ludzkiej wykrytej 23 marca w przedpotopowym pokładzie około Abbeville.

Zrobiwszy to odkrycie, pan Boucher de Perthes zawezwał na miejsce wielu geologów sławnych. Dziesiątego kwietnia udali się do Abbeville pp. Carpenter i Falconer, członkowie Towarzystwa królewskiego londyńskiego, pan Felix Garrigou członek Towarzystwa geologicznego francuzkiego, pan Quatrefages członek Instytutu, pan Brady z Londynu, i wielu innych mniej sławnych uczonych.

Wszyscy ci panowie nie wyjmując Falconera, potwierdzili zdanie pana Boucher de Perthes. Po wspólnej naradzie, oświadczyli jednozgodnie, iż znaleziona szczęka jest kopalną, człowieczą, że nawet nieco się różni od rasy istniejącej.

Dwudziestego kwietnia, pan Quatrefages złożył akademii nauk obszerny raport o wykopanej szczęce, oraz okolicznościach, które jej znalezienie poprzedziły. Raport zakończył zapewnieniem, iż nie ma żadnej a żadnej wątpliwości co do pochodzenia tego drogocennego szczątku przedpotopowego człowieka.

Nikt tedy nie wątpił. *Revue des Deux Mondes* wystąpiła z artykułem; inni snuć zaczęli nowe teorye z onęj kości, aż niespodzianie ukazał się 25 kwietnia w *Timesie* list pana Falconer'a, którego zdanie ma ogrom-

ne znaczenie dla uczonych. List ten przysłany redaktorowi *Timesa* z nagłówkiem „O niby kopalnym człowieku z Abbeville”, jest formalnym zaprzeczeniem odkrycia pana Perthes. Z tego dokumentu napisanego specjalnym językiem uczonych, przytaczamy tu część zrozumiałą powszechności.

Wymotywowawszy wątpliwość swoją co do wieku szczęki, zęba i kamiennych siekierek, znalezionych w tymże pokładzie, Falconer powiada:

„Panowie Ewans i Prestwich podejrzewali już autentyczność tych wykopalisk: przed moim przybyciem oświadczyli, że kamienne siekiery są świeżo zrobione. Udawszy się na miejsce, sam wydobyłem z czarnego pokładu trzy takie siekiery, mające pozór prawdziwości; ale za powrotem do Londynu, przypatrzwszy się im bliżej, znalazłem dowody, że były fałszywe.

„Siekier tych wydobyto co niemiara. Płacono za nie hojnie kopaczom: w miarę nagrody, zbiór siekier się powiększał. Ale wróćmy do szczęki. Jakżeż dojść jej metryki? Materiały porównawcze, któreśmy mieli w Abbeville, były bardzo ograniczone: zatem śledztwo nie mogło być kompletne. Pan Quatrefages powiózł do Paryża szczękę, ja powróciłem do Londynu z zębem z tej szczęki wyjętym, jej rysunkiem i pomiarem. Na miejscu uderzyło mnie to najwięcej, że owa kość niby kopalna, była bardzo lekka i weale kruszcową materią nie przesiąkła.

„Zająłem się badaniem, w którym mi dopomogli członkowie Towarzystwa królewskiego: pp. Busk i Somes. Bogaty zbiór pana Somes wnet wątpliwości nasze rozwiązał; w worku napełnionym szczękami ludzkimi, pochodzącymi ze starych cmentarzy londyńskich, wykryliśmy niektóre *zupełnie* takie, jak wykopana w Abbeville. Następnie wzięliśmy się do pilowania zęba znalezionego przed wydobyciem szczęki i przekonaliśmy się, że był *zupełnie świeży*, że nawet w nim nerwy jeszcze niezupełnie poschły.

„Nie było potrzeby zapuszczać się w głębsze badania; rezultat dokonanego jest następujący: 1. Siekiery kamienne przez znawów, jak pp. Ewans i Prestwich zostały

uznane za fałszywe. 2. Ząb wypadły z niby przedpotopowej szczęki, okazał się świeży. 3. Szczęka zwana kopalną niczém nie różni się od tych, które znaleźć można w starych londyńskich kostnicach.

„Z powyższych faktów wnoszę, iż robotnicy z abbewillskiego przekopu popełnili zręczne oszustwo, tak zręczne, iż komitet antropologów, chcący kogo wyprowadzić w pole, nie mógłby popełnić zręczniejszego. Wybór próbek był zapewne przypadkowy; rzecz niezmiernie dziwna, iż szczęka okazująca tyle połączonych właściwości, mogła być wybrana przez robotników bez nauki. Ta przygoda nie ubliża wartości dowodów rzeczywistych, ale powinna nas ostrożniejszemi na przyszłość uczynić.”

W tydzień po ogłoszeniu powyższego listu, kwestya człowieka kopalnego weszła w zupełnie inną fazę: wiarę zastąpiła zupełna niewiara. Kilku nawet uczonych, którzy z zapalem głosili odkrycie, po gruntowniejszym namyśle odwołali poprzednio objawione zdania. W Paryżu pan Milne Edwards potwierdził zdanie Falconera. Stronnictwo pana Boucher de Perthes trzyma się jeszcze, ale już słabo. Celem zbicia czynionych mu zarzutów, pan Quatrefages zabierał głos na ostatniem posiedzeniu akademii nauk. Przyznając, że wyrobownicy dopuścili się oszustwa co do siekier, bronił autentyczności tej, którą sam wydobył. Obstawał także przy prawdziwości kopalnej szczęki. Przyznał wszelako, że tylko badanie geologiczne i chemiczny rozbiór mogą znieść zarzuty poczynione tej kości przez zagranicznych antropologów.

Śledztwo rozpoczęte; skoro tylko z niego ostateczna pewność się wywiąże, nie zaniedbamy uwiadomić o niej czytelników.

Miłośnik literatury greckiej pan Autran, autor znakomitej tragedyi z greckiego naśladowanej „Córa Eschylesa”, autor „Poematów morza”, „Życia wiejskiego” i „Poematu pięknych dni”, wydał teraz „Cyklopa” wedle Eurypidesa wierszem napisanego.

„Cyklop” jest jedną z najoryginalniejszych a najmniej znanych sztuk starożytnego teatru, oraz jedyną

próbka, jaka pozostała z dramatów zwanych satyrycznymi od satyrów, którzy byli najweselszemi ich bohaterami. W dramatach satyrycznych Melpomena mniej dbała o draperye swój tuniki, czasami nawet bardzo bywała roztrzepana. Bogi i boginie puszyły się tam podobnie, jak w tragedyi, ale znosiły bez oburzenia mniej dostojnych sąsiadów, jak np. Centaurów, Cyklopów, Satyrów i inne popularne potwory. Intryga sztuk tych bywała poufała; dyalog składał się z namiętnych wybuchów i błazeństw, nie zawsze attycką solą osolonych. Sztuki satyryczne były naówczas tēm, czēm dramat nowoczesny dzisiaj; co dowodzi, że dramat nasz nie datuje się od Szekspira, jak to twierdzą niektórzy mędrkowie w przemowach do dzieł nieśmiertelnych, które pomarły.

Bajka o Cyklopie nader prosta, szczęśliwie jest przeprowadzona. Wojsko satyrów pod wodzą ojca Sylena, wyszło szukać Bachusa porwanego przez tyrreńskich piratów. Wyrzucone na sycylijskie brzegi satyry, stali się niewolnikami Polyfema. Wódz Sylen musiał chędożyć stajnie, synowie zaś otoczeni wojskiem olbrzyma, jeszcze do podlegszych zmuszani byli robót. Cała Sycylia, gdzie później rozkwitły sielanki Teokryta, brzmiała jękiem ujarzmionych satyrów.

Pewnego dnia Sylen ujrzał przyplływające okręty; nieznanymi z nich wysiedli i przyszli do osady, chcąc kupić żywności: był to Ulisses z towarzyszami. Od satyrów dowiedział się do jak fatalnego przybił brzegu, do jakiego potworu żyjącego krwią ludzką, zawiodły go nieszczęsne losy. Chcąc uciec co prędzej Ulisses zaproponował zamianę beczki wina za mięso: olimpijski pijak skosztowawszy onego wina, gotów był oddać zań królowi Italii wszystkie trzody Cyklopa, kiedy ten właśnie powrócił z polowania i nie dozwolił dobić targu.

Ulisses obok Polyfema wyobraża rozum obok siły zwierzęcej. Sylen żarłok i pijanica przedstawia plebs, zawsze gotów stanąć po stronie silniejszego z zamiarem korzystania ze zwycięstwa zrzeczniejszego.

Ulisses i towarzysze jego mają tedy już być pożarci przez Cyklopa, kiedy w chwili największego niebezpieczeństwa, bohater drogi Minerwie, zawezwał jej pomocy.

Zanim zjedzony będzie, prosi o pozwolenie wiania w gardło spragnionej potwory antalka swojego wina. Cyklop spojony wnet usypia: wtedy Ulisses rozpalonym rożnem wybił jedyne oko Polyfema.

Tym sposobem podstęp siłę zwyciężył: Ulisses wyszedł swobodnie z osady, uprowadzając z sobą satyrów.

Pan Autran nie tłumaczył Eurypidesa, ale tylko naśladował go z wielkim talentem. Dosłowny przekład byłby wepchnął poetę na nieprzebyte skały. Autor francuzki pojął, że pewne żarty dobrze przyjmowane w Atenach nie uszłyby w Paryżu; złagodził przeto wszystko co mogło razić delikatne ucho, ale dramatyczne kwiaty Greka odkwitły we francuzkim ogrodzie. Wiersz udatny ma surową czystość pięknych medali ateńskich i syrakuzzańskich, ma dźwięk i lekkość greckich poezyj.

Autor „Historyi rewolucyi francuzkiej 1789 roku” Villiaumé wydał w jednym tomie „Historyą Joanny d’Arc” prostującą mylnie o niej podania.

Na wstępie autor powiada, iż prawda zmusza go do wyznania, że Joanna nie była francuzką, ponieważ Francya ukonstytuowaną została ze śmiercią Karola V w 1380 r. Joanna d’Arc urodziła się w Domremi, wiosce należącej do Lotaryngii, z rodziców Lotaryngczyków: Jakóba d’Arc i Izabelli Romée. Ze stanowiska geograficznego nie jest więc Francuzką, była nią tylko przez natęczenie; pierwsza może miała widzenie jedności gallickiej, urobionej z połączenia rozbitych części jednego plemienia.

Autor zaczyna książkę rzutem oka na Francyą XV wieku; dalej kresli karierę wojskową Dziewicy orleańskiej, wykazując jej geniusz wojenny: „Joanna miała intuicyą wojny wychodząc z owczarni ojcowskiej, podobnie jak Hoche miał ją wychodząc z królewskich stajen wersalskich”. Następnie pan Villiaumé wyluszcza całą potworność procesu wytoczonego Dziewicy orleańskiej. Z dokumentami w ręku policzkuje sąd, w którym wszystkie zasady sprawiedliwości pominięto lub zdeptano.

Historya Joanny napisana przez p. Villiaumé pozyska niezawodnie uznanie powszechne i stanie się popularną, jako serdecznie przedstawiony najszczytniejszy ustęp dziejów Francyi.

Wydano pod tytułem: „Krytyka literacka za pierwszego cesarstwa”, zbiór artykułów pana Boissonade publicysty literata, filologa, poprzednika w Sorbonie, uczonego pana Eggier. Zbiór zawiera różnorodne artykuły umieszczane w *Journal des Débats* od 1803 do 1814 roku. Na każdej karcie tego dzieła znać krytyka sumiennego, który nic nie lekceważył.

— Pan Eggier członek instytutu wydał „Pamiętniki literatury starożytnéj”. W dziele tém autor wyświeca początki filozofii greckiej; przytacza i rozbiera dokumenta niezbędne do zrozumienia Herodota i Tucydidesa; roz-wodzi się nad Arystotelesem, uważając go, jako mentora Alexandra Wielkiego. Nie jestto wszakże dzieło jednolite: złożone z oderwanych studyów nie daje czytelnikowi dokładnego pojęcia o piśmiennictwie starożytném, ale niektóre jego fazy przedstawia jasno.

— Brothier wydał rzecz pod napisem: „*Ebauche d'un Glossaire du langage Philosophique*”. Książka mogłaby być pożyteczna. Porozumienie się co do znaczenia wyrazów jest ważną rzeczą w filozofii. Ale czy to porozumienie jest możebne? Nie sądzimy. Jakże się mają zgodzić na znaczenie wyrazów rozmaite szkoły, które jeszcze co do znaczenia myśli się nie porozumiały. Jedność wyrażeń zjednoczyłaby szkoły, na co nigdy nie zezwolą uczniowie.

— Za upoważnieniem cesarskiém Henryk Plon wydaje nową edycyą mistrzów języka francuzkiego. Nowe wydanie wyjdzie pod napisem: „*Collection des classiques français du Prince Impérial*”.

— Felicyan David pisze nową wielką operę. Verdi dorabia muzykę do kartagińskiej powieści Flauberta: *Salambo*. Gounod układa pięć aktów z trubadurskiego poematu Fryderyka Mistral p. t. „*Miréio*”. Teatr francuzki przedstawi téj jesieni czteroaktowy dramat Augusta Vacquerie pod tytułem *Jean Baudry*.

— Ustanowiono katedrę języka japońskiego: wykład poruczono młodemu professorowi p. Rosny.

— W Sorbonie dwaj professorowie rozpoczęli wykład drugiego semestru: pan Rosseuw-Saint-Hilaire historii, August Himly geografii.

— Ludwik Veillot wydał *Satyry* wierszem. Nazwisko autora i tytuł obiecują wiele, we śródku zawód czeka; muza zupełnie nie dopisała.



— Ustanowiono katedrę języka japońskiego; wykładowcą
 powołano niemieckiego profesora p. Hübnera.
 — W Sorbonie dwaj profesorowie rozpoczęli wy-
 kład drugiego semestru: pan Houssem-Saint-Hilaire i pan
 tyj August Himly uczyli.
 — Ludwik Vauillat wydał *Revue littéraire*; *Revue*
 de auteurs; *Revue de la littérature*; *Revue de la*
littérature française etc.

KRONIKA LITERACKA.

Biblioteka Ossolińskich. Poczet nowy. Tom drugi. Lwów, 1863, str. 463.

Drugi tom Biblioteki Ossolińskich, odznaczający się, tak jak poprzedni, wyborem artykułów, między którymi są prace zaszczyt literaturze naszój przynoszące, zawiera w sobie, oprócz kroniki Zakładu, z której pewne szczegóły do wiadomości literackich przydać się mogą, przedmioty odniesione do czterech działów: historii, literatury, umiejętności i krytyki. Co do tego podziału, zrobimy tylko uwagę, iż gdy krytyka sama przez się nie stanowi specjalności, przeto krytyczne prace, ze względu na ich przedmiot, tém bezpieczniej do jednego z trzech poprzednich działów zaliczyćby można, iż prace specjalne w powyższych działach zamieszczane nie wyłączają wcale krytycznego lub nawet polemicznego sposobu traktowania rzeczy. Na zaletę redakcyjnego planu zauważyć należy, iż każdy tom stanowi oddzielną całość, w której każdy artykuł, choćby najobszerniejszy, w zupełności się mieści; tym sposobem, wychodzące dwa razy na rok pismo, będąc zarazem peryodycznym i zbiorowym, może się rozpowszechnić drogą handlu księgarskiego, niezależnie od prenumeraty, która z powodu zbyt odległych terminów wyjścia pojedynczych tomów, nigdy nie będzie odpowiednią wartością pisma i nie zapewni mu takiego rozpowszechnienia na jakie zasługuje.

Rozpoczyna ten tom opowiadanie historyczne Karola Szajnochy o Hieronimie i Elżbiecie Radziejowskich, gdzie na podstawie wiarogodnych źródeł, a głównie opierając się na Pamiętnikach Albrychta Radziwiłła, których oryginał łaciński znajdujący się w Bibliotece Ossolińskich znacznie się różni od znanego prze-

kładu i na nie wydanym jeszcze Dyaryuszu Stanisława Oświecima, Szajnocha z psychologiczną ścisłością rozbiera charakter Hieronima Radziejowskiego i wykazuje dowodnie, że, zanim zdrajcą został, był już człowiekiem ciciwym, nieszczerym, intrygą dorabiającym się znaczenia i wpływu. Przeciwnie, trzecia żona Radziejowskiego Elżbieta Słuszcanka, *primo voto* Kazanowska, z którą Radziejowski ożenił się tylko dla zagarnięcia jej majątku, była to, według świadectw, kobieta dobrej sławy, uczciwych i skromnych obyczajów, którą niesłusznie, a poczęści z winy męża, o miłosne stosunki z Janem Kazimierzem podejrzewają. To obwinienie wzięło swój początek z przejętego przez króla listu Radziejowskiego do Maryi Ludwiki, gdzie ten oszczerca, pragnący przez denuncyacye pozyskać sobie względy królowej, rozpisał się, jak nam blizki świadek zdarzenia Stanisław Oświecim opowiada „o nieszczerności królewskiej, o niesposobności jego i nieumiejętności w regimentowaniu wojska, o radach lekkich i niestatecznych i o wielu innych rzeczach, sławę i reputacyą królewską tykających. Wspomniał i żonę swoją z wielką ku niej dyffidencyą i uskarżaniem się na nią o prywatne z królem, jako i inszemi pewnemi u dworu osobami korespondencye i porozumienia na szkodę małżeństwa i małżonka”. Owa niegodziwa wzmianka o żonie była tylko potwórczym dwuznacznikiem. Mogła z niej i królowa i cała dalsza publiczność najobelżywsze snuć podejrzenia; lecz w gruncie miała ona, według wszelkiego prawdopodobieństwa, myśl inną: oskarżała żonę nie tyle o miłostki, ile raczej o proste intrygi gabinetowe. Piszcie bowiem Radziejowski o prywatnych żony „z królem, jako i inszemi pewnemi u dworu osobami korespondencyach i porozumieniach”, w czém niepodobna przecież upatrzeć porozumień miłosnych, romansów skromnej przez tak długie lata kobiety z królem i wielu innymi panami, dworu. Nadto, dowodzi Szajnocha iż od lat przeszło 14 znaną była terażniejsza podkanclerzyna Radziejowska z codziennego pożycia Janowi Kazimierzowi. Przez cały ten przeciąg czasu patrzył młody królewicz obojętnie na młodą i piękną marszałkową nadworną (Kazanowską), żadnym a żadnym krokiem nie dając powodu do podejrzeń o skłonność dla niej, a dopiero podstarzawszy się, królem zostawszy, głośną z wdzięków i rozumu żonę pojąwszy, w tak ubłogostawioném stadle z nią żyjąc, miałby naraz zakochać się w znacznie już starszej, mniej nadobnej, po raz drugi zameżnej podkanclerzynie. Raczój więc o jakies

gabinetowe z królem i innymi urzędnikami porozumienia, nie zgadzające się z widokami królowej, chciał Radziejowski oskarżyć żonę, w czem nieszczęśliwa podejrzliwość królowej i skora do takich zmyśleń wyobraźnia gawiedzi uroiły sobie z łatwością sprawę sercową, nieznaną zgoła żadnemu świadkowi społecznemu. Wystawiwszy w prawdziwszém świetle postacie Radziejowskiego i Radziejowskiej, słusznie też i co do Jana Kazimierza uważa Szajnocha, iż charakter tego króla pełen jest najdziwaczniejszych sprzeczności, a całe jego życie uderza najsprzeczniejszymi zmianami i zawiera kilka nader różnej wartości epok. „Nie zważa na to, mówi dalej Szajnocha, świeżo w Warszawie wydany „Obraz historyczny” naszego króla i znaczną mu w tém krzywdę wyrządza. Zebrawszy bowiem z przeróżnych źródeł i czasów same prawie niepoehlebne rysy obrazu, zestawił je autor w jakimś ciemnym, ryczałtowém, martwym skupieniu, nie dającém żadnego wyobrażenia o różnobarwności następujących po sobie kolei i przemian życia. Tymczasem, między Janem Kazimierzem w pierwszych kilku latach po koronacyi a Janem Kazimierzem w latach po Beresteczku i dalszych, cóż za niezmiernie wielka różnica, acz nie trudna do dostrzeżenia. Jan Kazimierz w pierwszych latach panowania był królem rządnym, czynnym, śmiałym, szczęśliwym. Dopiero wzbronione królowi przez szlachtę dopomożenie do ścigania rozbitych nieprzyjaciół i odpowiedniego skończenia tém całej wojny zniechęciło serce królewskie, a dalsze skutki zawichrzenia beresteckiego, dalsza wojna ze straszną kłęską batowską, całkowite wreszcie odstępstwo narodu w wojnie szwedzkiej do reszty złamały króla. Miał on jednak swoje chwile świetniejsze, a jeżeli wolnym wyborem na tron wyniesiony, nie znalazł dobrym chęciom swoim poparcia i upadł wspólnie z narodem, czemuż w ogólném dziś ocenieniu tamtoczesnych grzechów i enót nie przyznać żadnego promyka zasługi królowi nieszczęśliwemu, który tak świetnie i pracowicie rozpoczął rządy, a umarł nie (jak w owym Obrazie historycznym) ośmdziesięcioletnim starcem w rozkoszach, lecz w 63 roku życia ze smutku na wiadomość o wzięciu Kamieńca przez Turków, tak spokojnie zniesioném przez całą konfederacyą gołąbską.”

Nie wdając się w krytykę źródeł z których czerpał Szajnocha, zaprzeczyć nie można iż opowiadanie o Radziejowskim, (od str. 1 do 110) odznaczające się, tak jak inne jego prace historyczne, rzadką równowagą rozsądku i imaginacyi, erudycyi i uczucia, technie nadto jakąś przekonywającą wytrawnością sądu

moralnego i politycznego, któremu sam sposób zapatrywania się autora na dzieje i życie powagę nadaje. Nie kusi się Szajnocha na historyczne niespodzianki i wynalazki, głównie mu idzie o oświecenie przedmiotu takie, żeby szczegóły same przedstawiły się czytelnikowi w właściwej proporcji i z kolorytem naturalnym, a jeżeli uznaje za potrzebne, przyjęte i powtarzające się sądy prostować lub uzupełnić, przystępuje do niego z dowodami w ręku i ze skrupulatnością cechującą dobrą wiarę i szczerą przekonania. Wcale zaś nie hołduje Szajnocha i nie sprzyja, jak to i z tej ostatniej jego pracy widać, owemu popędowi niektórych pisarzy do trawstacyi historycznej, do skwapliwego korzystania z jakichkolwiek, często podrzędnej wartości lub źle z ciągiem dziejów zestawionych szczegółów, by zasłużone osobistości poniżyć, a niegodne rehabilitować.

Wacław Potocki i jego *Argenida*, studjum do literatury i rzeczy narodowych XVII wieku (str. 111—196). Pod tym tytułem p. Ludwik Nabelak, którego nazwisko, acz dawno już nie spotykane, dziejom naszej literatury nie jest obce, dał krytyczny rozbiór poematu nie tyle przełożonego, ile przerobionego z łacińskiej powieści prozą: *Argenis*, której autorem jest Jan Barclay, z rodziny szkockiej we Francji urodzony i wychowany. Wspomniona powieść po raz pierwszy wydana w Paryżu 1621 r., jest allegoryą polityczną, odnoszącą się do czasów wojny domowej poprzedzającej wstąpienie na tron francuzki Henryka IV. Już więc w czasie wyjścia *Argenidy* przedmiot nie był współczesnym i pomimo niezaprzeczonego talentu autora nie mógł obudzać żywego zajęcia; oprócz tego, w samym pomysle tkwiła pewna wada estetyczna, osłabiająca poetyczne znaczenie utworu, mianowicie brak prawdy estetycznej. Allegorya wyłącza wszelkie złudzenie; czytelnik przezierający alluzje nie przeniesie się całą duszą w świat poety, skoro ten świat nie tchnie życiem rzeczywistym, ale jest tylko symbolicznym wizerunkiem życia. Nie wdzięcznego więc chwycił się przedmiotu Wacław Potocki, i rzeczywiście, gdyby mu szło tylko o tłumaczenie *Argenidy*, nie możnaby tego inaczej nazwać jak marnotrawstwem talentu. Ale i w tak niekorzystnych warunkach rodzimy talent naszego poety umiał zachować oryginalność. Łaciński tekst *Argenidy* służy mu tylko za ramy, które rozszerza i zapełnia według upodobania wsuwając w nie liczne ustępy i obrazy z rzeczami krajowemi związek mające. Są to po większej części ustępy refleksyjne i moralizujące, albo satyry obyczajowe i polityczne, godne uwagi

nietylko ze względu na energiczne i obrazowe wystowienie, na wersyfikacją śmiałą i dobrze wyrobioną, ale jeszcze bardziej ze względu na świadectwo jakie dają o pojęciach, zasadach i obyczajach współczesnej Wacławowi Potockiemu epoki. Dawniejsza literatura nasza, jak słusznie mówi p. Nabelak, nie jest wcale bogata w zabytki pamiętnikowe; a jakże to rzecz ważna mieć obrazy z życia tak poruszonego, jak było życie publiczne w Polsce za Jana Kazimierza i to obrazy piórem Wacława Potockiego kreślone. Być może że p. Nabelak przecenia nieco wartość Argenidy, której zdaniem naszym nie można stawiać na równi z Wojną Chocimską tegoż autora; w każdym razie jednak p. Nabelakowi należy się uznanie zasługi i wdzięczność, za wydobycie z zapomnienia utworu w swoim czasie bardzo cenionego i zasługującego na bliższe poznanie. Przytoczymy próbkę stylu i pojęć Wacława Potockiego. Przypisując pogorszony stan sprawy publicznej długiemu pokojowi i zbytkom, tak dalej mówi, zwracając mowę do króla:

Więc jeśli niebo, z którym trudno się nam siepać,
 Nie z gruntu nas zagubić, tylko chcąc przetrzepać,
 Zdarzy postawić w porcie uciszonym nawę;
 Wyżeń z niej wszystkie zbytki, choćby dać na strawę.
 Przedtem za naszych przodków i starych żołnierzów,
 Co przy sukni baranięj, rysich się kolnierzów
 Nie wstydzali, lwem serce, lub do pojedynku
 Lub do szyku odziane: broń Boże! na szynku
 Wino komu przedawać, krom jednej apteki,
 I tylko do kościoła, i na same leki...
 Dziś niechaj syn koronny mocno temu wierzy,
 Że chociaż nie szynkuje i łokeiem nie mierzy,
 Jeśli nie będzie wojny w młodem leciu służył,
 Ani odda na co się rodzęcy zadłużył,
 Szlacheicem być nie może i szczyć się herbem,
 Nie synem bywszy matce lecz podłym pasierbem.
 Cudowna wolność! łokeia bronią im i kwarty,
 A do wszystkiego złego gościniec otwarty!
 Niech tylko przez ucziwie bliźny będzie w krzesła
 Przystęp, a kogo enota i godność wyniesła,
 Niech się żaden nie waży honoru napierać,
 Aż się pierwej za matkę nauczy umierać...

Od Wacława Potockiego przejdziemy do Karola Balińskiego, autora poematu pod napisem: Męczeństwo Zbawiciela, z którego 7 ustępów: 1. Zbawiciel w Ogrójcu, 2. Zdrada, 3. Pojmanie, 4. Zabiegi wrogów, 5. Jeruzalem, 6. Annasz, 7. Sąd Kaifasza,

w rozbieranym przez nas tomie Biblioteki Ossolińskich (od str. 197 do 256) znajdujemy. Poeta z wieku XVIIgo i poeta z wieku XIXgo dobrze obok siebie stać mogą. Są to natury sympatyczne, jedna i druga dopełniające się wzajem na podstawie wspólnych uczuć i dążeń, a pod względem poetyckiego ducha i talentu, w ostatnim swoim utworze Baliński tak wysoko stanął, iż postawienie go obok Wacława Potockiego temu ostatniemu nie ubliży. Dla obezpanych z ostatnim okresem dziejów naszej poezyi jestto po części niespodzianka, nie dawno bowiem wydany przekład dramatu Kalderona: *Kochankowie nieba*, mógł raczej służyć za wskazówkę kierunku pojęć Balińskiego, jak za miarę jego talentu, a dawniejsze jego poezye miały niewątpliwie wartość raczej okolicznościową jak rzeczywistość. Tymczasem, w poemacie o Męczeństwie Zbawiciela taką widzimy dojrzałość talentu, taką miarę i namysł w układzie, tak naturalne i jakby jasnowidzące ożywienie przedmiotu, taki wreszcie wdzięk stylu, iż nie wahamy się zaliczyć ten poemat, skoro do końca równie pomyślnie doprowadzonym zostanie jak został zaczęty, do znakomitszych ozdób naszej literatury.

Ścisłe biorąc, wybór przedmiotu mógłby ulegać zarzutom: zdawałoby się, iż przedmiot czei nie łatwo może być zarazem materyałem dla fantazyi twórczej, chybaby przypuścić w czytelnikach wielką pierwotnych wieków wiarę, albo téż przeciwnie usposobienie zupełnie indyferentyczne, poszukujące samych tylko artystycznych wrażeń. Oprócz tego, zadanie jest utrudnione wymaganem natężeniem ducha, jednostajnie utrzymanem wśród całego szeregu wrażeń wywołanych ruchem obrazów i przenośni, a nadto, potrzebą ścisłego zawarcia się w granicach tradycyi, której text literalny dopuszcza tylko poetyczną parafrazę, a i tę czyni zbyteczną, chyba że ją szczególnie zalety wspierają. Skoro jednak malarstwo i muzyka biorą nieraz za przedmiot tajemnice religii chrześcijańskiej, nie można się dziwić że i poezya do tego samego się porywa, chociaż, przy wielkich nawet usiłowaniach, skutek nie zawsze odpowiada wyekspensowanemu na podobne przedsięwzięcie siłom ducha, jak tego mamy przykład znakomity na Messyadzie Klopsztoka, utworze tak dzisiaj zapomnianym, pomimo wielkiej potęgi pomysłu i wykonania. Nie wiemy czy poemat Balińskiego będzie szczęśliwszy, to jednak pewna, że czyta się z pewnym urokiem, że zachowując proporcye powieści ludzkiej, łagodnie i nieustannie pociąga myśl i podnosi ducha czytelnika. Mimowolnie nasuwałoby się porównanie z Przenaj-

świętszą rodziną B. Zaleskiego, ale utwór Balińskiego innéj jest natury, pozornie mniej artystyczny, w rzeczywistości zaś większego polotu i znaczenia. Przytoczymy, prawdziwie na traf, kilka wierszy z ustępu Igo, gdzie poeta opisuje pokusy, jakie szatan stawił Zbawicielowi w ciągu modlitwy Jego w Ogroju:

Wszystkie następnych wieków szkarady
Do końca dziejów, do końca świata,
Z ludzkim obliczem najbrzydsze gady
Przed Zbawiciela szatan wymiata.
„Objąłem, woła, czasów krawędzie,
Takim był człowiek i jest i będzie”.
W blasku szatańskich onych płomieni
W przestrzeni światów, wieków przestrzeni,
Przez niezliczonych zbrodni ciemnicę
Dostrzeżę Pan wreszcie swoją winnicę.
Ciężą ku ziemi gr na jój święte,
Tak pełne! jednak jakby nietknięte!
A sok niebiański co sam z nich płynio,
Nie w serca wsiąka ale w pustynię.
Bo tuż w około pustynia, stępy,
Piaski spalone od skwaru słońca,
A po tych stepach ciągnie tłum ślepy,
Tłum niezliczony, zda się bez końca.
A wszyscy, wszyscy, szukają zdroju,
Bo choć zgłodniiali, bardziej niż chleba
Dusze ich spiekłe pragną napoju.
Dziwna ślepotą wszystko spostrzega,
Oczy ma jasne i wszystko widzi,
Prócz tego tylko czego jój trzeba!
Z winnicy Pańskiej służba wybiega,
Wejście wskazuje, napój ogłasza,
I całym sercem wzywa, zaprasza,
A tłum się na nią złości, i szydzi
I kamionuje! i w strasznym śmiechu,
Dalej w gwałtownym dąży pośpiechu,
Aż wycieńczony w skwarnej tęsknicy
Pada i kona, krok od winnicy!
Spalony skwarem, w okropnym znoju,
Ginie z pragnienia o krok od zdroju!

Tak świetnie reprezentowany w tym tomie Biblioteki dział literatury zakończyła Pindara Oda Olimpijska I, pięknie przetłóżona przez Wiernikowskiego, poczem następuje z działu umiejętności rozprawa dra. Wojciecha Urbańskiego, pod wspólnym z rozprawą w I tomie umieszczoną tytułem ogólnym: *Zdobycze fizyki nowoczesnej*, rozbierająca tak nazwane *perpetuum mobile* czyli

wieczyste rucho, tak bowiem, za świadectwem autora, spolszczył ten wyraz Piotr Kochanowski. Po szczegółowym wywodzie prawa Helmholtz'a o zachowaniu siły, i uwagach nad siłą czyli pracą nagromadzoną (którą nie wiemy czy trafnie p. Urbański nazywa pracą naspiżoną, *emmagasinée*), autor przytacza mniemany pewnego Amerykanina wynalazek, który przed kilkunastu laty narobił wiele hałasu w Europie. Projekt jego był następujący: Wiadomo, że przy goreniu wodoru w czystym tlenie powstaje znaczna ilość ciepła. Tém ciepłem można utrzymywać w ruchu małą maszynę parową, która dostarczy siły mechanicznej, mogącej obracać przyrząd elektromagnetyczny, a elektryczne strumienie tego przyrządu rozkładać będą wodę na jej pierwiastki: tlen i wodor. Skoro się zaś te dwa gazy ustawicznie z wody wywiązują, nie zabraknie materiału palnego do zamienienia wody w parę wysokości sprężystości, a tém samym do ciągłego utrzymywania maszyny parowej w ruchu. Ta zaś, poruszając dalej magnesy, wywoływać będzie w drutach należycie zamkniętych strumienie elektryczne, które, przez ciągłą elektrolizę wody czyli rozkład jej na tlen i wodor, nie przestaną zasilać paliwem maszynę parową, i tak dalej bez końca. A że, za włożeniem kawałka kredy lub wapna niegaszonego w płomień gorejącego wodoru, w czystym tlenie rozwija się światło (Drummonda) prawie tak jasne jak słońce, więc można tym sposobem mieć także zarazem i wspaniałe oświetlenie. Pomysł Amerykanina dosyć był pozorny, ale nie mógł się ostać w obec udowodnionego już dzisiaj twierdzenia, że w całej nawet naturze, jako całość uważanej, wieczyste rucho nie istnieje. Ostateczne rozstrzygnięcie w tej arcyważnej i wielce ciekawej sprawie, stanowiące epokę w postępach fizyki nowoczesnej, nastąpiło dopiero około połowy bieżącego stulecia i jeszcze nawet do szkół się nie przedarło. Przytoczywszy prawo Karnota o przemianie ciepła w pracę mechaniczną tylko przy różnicy temperatury, p. Urbański rozwija następnie twierdzenie Klauzyusza orzekające równoważność ciepła i pracy, objaśnia wnioski Redtenbachera i Thomsona dotyczące się żywój siły światła słonecznego i ruchu eteru, a w końcu następującą, bez wątpienia wielce ciekawą zamieszcza uwagę: „Znając prawo Karnota i prawo stateczności czyli zachowania siły, metamorfozującej się ciągle tak rozmaicie w przebiegu zjawisk fizykalnych, chemicznych, mechanicznych i fizyologicznych, musimy dziś nazwę „wieczyste rucho” odmówić samą nawet wielkiej naturze, jako całości świata, który przez nie na

wieczysty spoczynek jest skazany. Zaiste! podziwiać należy bystrość umysłu Thomsona, który z liter małego, dawniej już znanego zrównania matematycznego, orzekającego tylko związek między ciepłem, objętością i ciśnieniem ciał, umiał wyczytać wniosek tak wielkiej doniosłości i na podstawie ścisłej nauki ogłosił wyrok śmierci dla całego świata!"

Z kolei nie możemy pominąć bez wzmianki znany już z kądinąd, acz niedokładnie, a teraz z francuzkiego rękopismu dostawiony przez p. Xawerego Godebskiego przełożony Pamiętnik księcia Józefa Poniatowskiego o wojnie 1792 roku. Pomiedzy papierami pozostałymi po znakomitym badaczu naszego języka, ś. p. generale Mrozińskim, których część przegchowana u jednego z księgarzy lwowskich przeszła na własność Zakładu imienia Ossolińskich, znalazł się Pamiętnik księcia Józefa Poniatowskiego, w języku francuzkim: *Mes souvenirs de la campagne de 1792*. W 1821 r. Mroziński powierzył swój rękopism Franciszkowi Grzymale wydawcy *Sybilli nadwiślańskiej*, który umieścił go w dzienniku swoim, ale obrobiony w sposób jaki mu miejscowe nakazywały względy, a więcć podobno jeszcze cześć powszechna, jaką sobie wódz polski bohaterskim zgonem swoim zjednał w narodzie. Jakkolwiek krótki ten pamiętnik (od str. 297 do 317) nowych nam faktów nie podaje, jednak dokonany przez p. Godebskiego nowy i dokładny przekład, tém bardzićj zasługuje na uznanie, iż bez ubliżenia pamięci ulubionego wodza, dało się od zapomnienia ochronić autentyczne świadectwo jego czynów i przekonań, do biografii księcia Józefa jako materyał posłużyć mogące.

W artykule pod tytułem: kościelne sprawy na Rusi za rządów Kazimierza Wielkiego, p. Izidor Szaraniewicz opisuje jednoczesne prawie usiłowania naszego króla i wielkiego księcia litewskiego Olgierda, tyżące się urzędzenia hierarchii kościoła greckiego na Rusi Czerwonej i w państwie litewskim, w porozumieniu z patriarchą konstantynopolitańskim.

Wincentego de Dominico listy o Polsce pisane do senatu genueńskiego r. 1483 i 1484, odnoszą się do wypadku dotąd w historyi naszej niewspomnianego. Opanowanie Kaffy i innych portów genueńskich przez Turków spowodowało zbliżenie się do nas rzeczypospolitęj genueńskiej za Kazimierza Jagiellończyka i usiłowanie zawiązania z nami stosunków ściślejszych, w celu podniesienia wojny przeciw Turkom wspólnemi siłami. Świadectwem tych stosunków są dwa listy posła genueńskiego, znajdu-

jące się obecnie w zbiorze kawalera Fryderyka Stefaniego w Wenecyi, a udzielone w odpisie redakcyi Biblioteki Ossolińskich przez hrabiego Włodzimierza Bröel-Platera. Do textu, obok polskiego przekładu, dołączone są niektóre objaśnienia.

Wreszcie, na zakończenie wspomnieć należy o obszerniej pracy p. Augusta Bielowskiego (od str. 351 do 432) pod tytułem: Mistrz Wincenty i jego kronika polska. Do tej pracy, w której z wielką jasnością, erudycją i biegłością krytyczną p. Bielowski swój pogląd na kronikę Wincentego wyklada, zachęciło go dokonane w Krakowie w roku zeszłym, staraniem hr. Alexandra Przeddzieckiego, wydanie z przekładem polskim Kroniki Mistrza Wincentego, zwanego zwykle (mylnie podług p. Bielowskiego) Kadłubkiem, według textu rękopismu szczęśliwie odszukanego przez hr. Przeddzieckiego w bibliotece wiedeńskiej, pisanego niegdyś w Polsce przez Mikołaja kanonika poznańskiego a nazwanego przez wydawcę kodexem Eugeniuszowskim, z powodu iż należał do księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, który go miał od Leibnitza. Oddając zupełną sprawiedliwość zaletom i użyteczności tej publikacyi, p. Bielowski utrzymuje, a raczej z nieprzepartą oczywistością dowodzi, że rękopism wiedeński uważać można za jednoczesny z rękopismem Kuropatnickiego, niedbale i nieumiejętnie w r. 1824 przez Kownackiego wydanym, że obaj skrypcorzy, na początku XIVgo wieku przepisujący, mieli przed sobą jeden i ten sam rękopism, który daleki był od tego, iżby mógł za autograf uchodzić. Oba te pergaminowe kodexy (wiedeński i Kuropatnickiego) zdaniem p. Bielowskiego mogą być korzystnie użyte w pracy filologicznej około kroniki Wincentego, ale same w sobie uważane, nie mogą służyć za podstawę dobrego wydania, albowiem podają nam text jęj częstokroć gorszy niż ten, jaki w późniejszych, papierowych kodexach kroniki tej znajdujemy.

Pozostawiając specyalnej krytyce ocenienie trafności wywodów przez p. Bielowskiego już poprzednio w Krytycznym Wstępie do dziejów polskich podanych, a tu powtórzonych, w przedmiocie poprawnego czytania imion starożytnych, według którego najdawniejsze podania kroniki Wincentego odnosiłyby się nie do wybrzeży duńskich, lecz do dalmackich, przyznać możemy, iż rękopism wiedeński nie rozstrzyga wątpliwości co do wariantów p. Bielowskiego, które według przyznania ś. p. Lelewela uchylają niezgrabności tekstu Mateusza, donniemanego autora pierwszj

księgi kroniki Wincentego. Osobny rozdział poświęca p. Bielowski odpowiedzi na niezręczną recenzją przez p. Jülg profesora języków wschodnich w uniwersytecie krakowskim, w pismach wiedeńskich umieszczoną, w której ten orientalista, z kronikami średnio-wiecznymi nieobeznany, powołuje się na powagę niejakiego p. Alfreda Gutschmid, w rozprawie swojej o Wincentym Kadłubku, nadającego podaniom naszym allegoryczne znaczenie: *Erkenne ich im Popiel eine Personification der Sommerhitze!* Tu się krytyka niemiecka nie popisała.

G. E.

Pamiętniki z wojny amerykańskiej 1862 r. Ludwika Żychlińskiego. Poznań. Nakładem N. Kamieńskiego i spółki. 1863 r., w 8-ce, str. 16.

Dnia 1 lutego 1862 r. opuszcza autor Londyn, i na statku żaglowym trzy-masztowym *Hemisphere*, płynie do Nowego-Yorku. Wytrzymawszy kilka straszliwych burz, po żegludze pięcio-tygodniowej, z rana 9 marca, powitał wybrzeża Nowego Świata. Nazajutrz już był w Nowym-Yorku, i bezwłocznie z listami polecającymi, udał się do pułkownika Feliksa Confort Francuza, który tworzył pułk pod nazwiskiem „*Les enfants perdues*,” składający się z Francuzów i Niemców. Niemogąc otrzymać stopnia oficera, w randze podoficera chorążego wszedł do tego pułku i dnia 28 marca wyruszył na pole bitwy pod fortecę Jorktown w południowo-wschodniej Wirginii, mocno obwarowaną i bronioną przez trzy dywizye Stanów Konfederackich Ameryki Południowej.

Zajmujące podaje nam autor wiadomości o tworzeniu się armii Stanów Północnych.

„Prezydent Stanów Zjednoczonych wydaje rozkaz do gubernatorów rozmaitych Stanów, aby formowali pułki potrzebne do wojny, a minister wojny, podług ludności rozdziela sumnę ogólną potrzebnego żołnierza, na rozmaite Stany i prowincye. Każdy gubernator musi pewną liczbę wolontaryuszów ze swego Stanu, rządowi do Waszyngthonu dostawić, i w ten sposób zaczyna formować pułki. Daje przez fawor, przyjaźń lub protekcyą jakimubądź adwokatowi lub kupcowi, pozwolenie formowania pułków i nominuje go pułkownikiem: ten tak nominowany pułkownik każe druko-

wać plakaty i po gazetach donosi, że odebrał pozwolenie formowania pułku, obiecuje w artykułach po gazetach pisanych złote góry żołnierzom; sam szuka najpierw podpułkownika, który mu daje pewną sumę na kosztą rekrutowania, lub zapewnia, że mu dostawi 100 lub 150 ludzi: tak samo nominuje majora i każdego kapitana. Kapitan, chcąc mieć nominacyą, musi dostawić 75 ludzi, lub stosowną sumę zapłacić na kosztą rekrutowania: taki kapitan, musi zatém szukać porucznika i podporucznika. Porucznik daje mu 400 dolarów, lub 40 ludzi dostawi, podporucznik 20, lub 200 dolarów na kosztą rekrutowania kapitanowi dać musi, jeżeli chce nominacyą otrzymać.

„W ten sposób każdy oficer ma swoje własne biuro rekrutowania, a mając dostateczną liczbę wolontaryuszów, podaje żądanie do pułkownika o swoją nominacyą; od téj chwili przysięga na wierność Stanom Zjednoczonym i jest płatny od głównego rządu, a nie od Stanu w którym rekrutował. Z tego powodu oficerowie chodzą po szynkach, po oberżach i zwiedzają nowo przybyłe statki; tam obiecankami skłaniają człowieka do zaciągnięcia się: rozpajają lud prosty, aby w ten sposób uzyskać jego podpis, i stawiać go przed komisyją na to wyznaczoną, gdzie przysięga na wierność głównemu rządowi, na trzy lata służby, lub na tak długo, jak wojna potrwa. Mając takiego żołnierza, nazywają go wolontaryuszem, ubierają go, żywią i w koszarach lub w polu pod namiotami trzymają, aż cały pułk się nie uformuje. Pułkownik uzbierawszy 1000 ludzi, to jest 10 kompanij, odbiera rozkaz udania się do Waszyngthonu; wsadzają pułk tak uzbierany na parowiec lub kolej żelazną i wysyłają: tam stanawszy dają mu broń i numer z kolei mu przypadający, odsyłając go do przeznaczonéj dywizyi prosto na pole bitwy.

Pułk zwykle formuje się 5 a czasem 6 miesięcy, ażeby dojść do liczby 1000 ludzi. W tym czasie mało ćwiczą żołnierza: dają dość dobre jedzenie i ubranie, aby nie zrazić innych do zaciągania się; lecz to się zmienia nagle kiedy pułk w komplecie wysłany na plac boju: tam uczą dopiero żołnierza poruszeń i armatami naganiają w ogień.

„Oficerowie są to ludzie bez żadnych wiadomości wojskowych. Każdy może zostać majorem, kapitanem, a nawet i pułkownikiem, jeżeli ma pieniądze na pierwsze rekrutowanie i znajomość miejsca gdzie rekrutuje: i tak często się zdarza, że szewczyk, kupczyk i krawczyk jest oficerem wykształconego człowieka, a zwłaszcza cudzoziemca co tu przybył z wiadomościami wojsko-

wemi z Niemiec lub Francyi w nadziei zostania oficerem. Pułkownik jest zwykle kupcem, uważa on formowanie pułku za spekulacją, tak samo jak wszyscy oficerowie w pułku“.

Podajemy ten ustęp dosłownie, jako wymównie charakteryzujący Amerykanów, a głównie Stany Zjednoczone północne, gdzie najszlachetniejsze powołanie obrony ojczyzny zagrożonej, spoczywa w ręku spekulantów.

Wysoka płaca wabi też nie mało, pułkownik otrzymuje miesięcznie 245 dolarów, podpułkownik 190, major 180, kapitan 145, porucznik 125, podporucznik 109 dolarów: pierwszy podoficer 22, drugi podoficer 20, zwyczajny podoficer 17, a wolontaryusz żołnierz 13 dolarów miesięcznie (1).

„Dla tej to płacy wojna się prowadzi, lecz bynajmniej nie dla patriotyzmu lub zniesienia niewolnictwa“ pisze Żychliński (2).

Żołd ma być płacony wolontaryuszom co dwa miesiące, lecz się zdarza, że i po 8 nie są płaćeni. Żołnierz po ukończonej wojnie ma prawo do 100 dolarów gratyfikacji lub do 160 morgów ziemi, to jest dziczyzny na stepach. Zaręczono pensye dożywotnie rannym lub niezdolnym do pracy oficerom i żołnierzom po ukończonej wojnie: „wiele tysięcy kalek (mówi Żychliński) po ulicach i drogach włóczy się i z głodu umiera, gdyż w prawie jest powiedziane, że dopiero po ukończonej wojnie pensye płaćić będą“.

„Organizacya wojskowa jest jak najgorsza, tak samo i administracya, gdyż obie są w ręku spekulantów i kupców, a nie ludzi sercem pełnym miłości ojczyzny“.

Pułk, w którym Żychliński służył, nie znał mustry. „Rozmawiając, pomyślałem sobie (mówi) patrząc na zdumiałych i zatrwożonych żołnierzów, pytających się, co mają robić, jeżeli rozkaz dostaną pójść w ogień. Byli tacy nawet co nie umieli nabijać karabina

(1) Dolar — złp. 8 gr. 22.

(2) Na r. 1863 w armii Stanów Północnych jest 74 naczelników sztabu, z których 4 należy do regularnej armii a 70 do korpusów ochotników. Każdy z nich pobiera na rok 5,000 dolarów i ma prawo wybrać dla siebie trzech asystentów z gażą po 1,500 dolarów. Brygadyerów sztabowych 284 po 4,000 dolarów rocznie ma po dwóch asystentów, tych pensya wynosi 852,000 dolarów rocznie. Naczelnicy sztabu regularnej armii mają pułkowników, majorów, kapitanów i t. p. należących do ich sztabu. Ogół pensyi tylko sztabów i oficerów przydzielonych do nich wynosi 3,000,000 dolarów, nie licząc samej armii, artylerji, ambulansów, służby lekarskiej, pociągowej i t. p. Dodajemy do tego złą i szarpiającą pieniądze rządu administracyą wojenną, a możemy mieć wyobrażenie, jakie skarby pochłania wojna teraźniejsza, oprócz przelanej krwi strumieni.

I nie znali użycia bagnetu, a co dopiero komendy naszego poczciwego pułkownika Confort, który nie umiał i słowa po angielsku, i nie mógł się rozmówić z Niemcami i Irlandczykami, których narodowości nasz pułk w połowie składały”.

Mówiąc o tworzeniu pułków, nasz autor pisze: „w Polsce nikt jasno tego szachrajstwa nie zrozumie, i spodziewa się sądząc uczuciem serca polskiego, że to z patriotyzmu formują wolontaryuszów i że takowe pułki składają się z Amerykanów kochających swój kraj i broniących swych praw i wolności”.

Tymczasem Amerykanin północny nienawidzi wojny, i niema w sobie odwagi żołnierskiej: całą myśl i uczucie zwraca wyłącznie na spekulację i „*tylko dla pieniędzy bić się będzie*”. Chcąc jednak utrzymać w całości Zjednoczone Stany i konstytucyą, zbierają cudzoziemców. Gdy jednakże już zabrakło Irlandczyków i Niemców, którzy najliczniej wypełniali na północy armie, rząd w potrzebie zagroził rekrutowaniem rodowitych Amerykanów przez losowanie. Ci, w obawie naciśnieni utworzyli komiteta i ogłosili, że dadzą na rękę po 100 dolarów temu, co się do wojska dobrowolnie zaciągnie; lecz gdy nadzieja ich omyliła, podwyższyli sumę do 200 dolarów nagrody i 100 dolarów po wojnie; ale ochotników nie znaleźli w dostatecznej liczbie przez rząd nakazanej.

„Inaczej (mówi Żychliński) stosunki się mają w *Ameryce południowej*, tak nazwanych Stanów Konfederackich: tam nienawiść osobista przeciwko Północy i obawa stracenia posiadłości, każdego pojedynczego obywatela, powoduje do schwycenia broni; tam walczą w szeregach synowie właścicieli i obywatele Ameryki południowej: tam każdy jest żołnierzem.

„Żony wyganiają mężów, matki synów, aby wypędzić najazd Ameryki północnej i bronić swojej własności; tam Stany południowe walczą o swoją niepodległość i niezależność od Stanów północnych Ameryki.

„Północne Stany są liczniejsze, gdyż składają 21,000,000 ludności, a Południowe 8,000,000 tylko i 4,000,000 murzynów niewolników. Północ jest bogatsza w produkta i żywność, ma flotę znaczną i teraz równającą się Francyi, liczniejsze wojska, *lecz nigdy nie przygnębią Południa*. Dowodem, że do dziś dnia zawsze i w każdej bitwie Północ traci tysiące żołnierzy, prowincye i wojska Stanów Zjednoczonych stoją w téj samej pozycyi, w jakiej stały na początku wojny”.

Takie zdanie daje nasz autor, żołnierz Północy, który zblizka poznał stan rzeczy na miejscu, a zdanie to popiera wielu

innych cudzoziemców, co także zbliżka ten przedmiot zbadali. Prezydent wszelako jak i rząd ze stronnictwem swoim inaczej widać sądzi, gdy z taką zaciętością pomimo klęsk licznych, krwawe walki ponawia i rok drugi prowadzi.

Kończymy na tém sprawozdanie o zajmującej broszurze Ludwika Żychlińskiego; ciekawy czytelnik szczegółów przygód wojennych naszego rodaka, znajdzie w niej opisane; z nich to tylko dodamy, że ów pułk z szumną nazwą: „*Les Enfants perdues*”, nie odpowiedział swemu zadaniu; żołnierz jako tako stał w ogniu, ale panowie oficerowie podczas bitwy tak potracili głowy i odwagę, że się pochowali po za drzewami i w dołach. „Myślałem, że ten lub ów ranny lub poległ; po bitwie jednakże wielu się poznajdowało i nawet mój kapitan, (pisze autor), Hiszpan się znalazł, skarżąc się, że padł przez drzewo kulą armatnią zgruchotane”. Armia Stanów Północnych była wówczas pod dowództwem generała Mac Clellana. Południowcy dzielnie zawsze walczyli i w każdej bitwie, jak odznaczeni się męstwem, tak dowódcy ich okazywali wysokie zdolności wojskowe.

Nasz autor lekko ranny, a następnie obłożną chorobą złożony, jako niezdalny do dalszej służby, 10 lipca dostał się szczęśliwie do Nowego Yorku. Pamiętnik swój datuje 1 listopada 1862 r. z Bostonu, gdzie śledzi pilnie rozwój wypadków wojennych i politycznych Stanów Zjednoczonych, przyrzekając składać o nich sumienne sprawozdania. Podzielając nadzieję, że pokój zostanie zawarty z powodu wyborów, w których partya demokratyczna brała górę; zakończy pracę swoją temi słowy:

„Zapewne wiadomo rodakom, że w Ameryce zawsze są dwie partye: republikańska, na czele której dziś prezydent, a demokratyczna, która pragnie pokoju, chce dać Południowi korzyści i nie jest za zniesieniem niewolników. Partya demokratyczna pragnie tylko utrzymania całości z zjednoczenia Stanów w całej Ameryce. Generał Mac Clellan jest dziś na czele tej partyi i ma w Zachodnich Stanach Ameryki tak w Pensylwanii, jako New York Stat (w Stanie Nowego Yorku) partyzantów, sprzyjających mu spekulantów i publiczność”.

Wybory wypadły w listopadzie roku zeszłego. Widzimy, że nadzieje autora były płonne, gdyż walka do obecnej chwili toczy się krwawa i zażarta, a myśl pokoju pomimo klęsk doznanych jest bardzo daleko w rządzie Stanów Północnych.

K. Wł. W.

Stanisław Staszic. Szkic biograficzny przez Władysława Zawadzkiego. Lwów. 1860 r. W drukarni Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich. W 8ce, str. 111.

Trudne u nas zadanie pisania życiorysów, czy to mężów stanu, czy wojowników, głównie z ostatniego stulecia. Powołani do prac krajowych, musieli znosić niemało ciosów, przełamywać zawady i nie raz w miejsce chlubnej obywatelskiej nagrody i uznania spotykała ich nienawiść współczesnych, słowo zniewagi nie-dojrzałych w potomności pisarzy, którzy nie umiając sądzić ludzi we właściwych ramach czasu, stawiają ich szanowne postacie przed trybunałem dzisiejszych pojęć i postępu, lżą bezuważnie, że wówczas nie postępowali, jak dzisiejsze wyobrażenia nakazują.

Trudność nietylko w tém leży, ale i w swobodzie słowa, które jest niełatwe u nas. Więcej mają pola po temu pisarze z nad Warty i z nad Dniestru i właśnie mamy mówić o biografii Staszica, które ogłosił drukiem Władysław Zawadzki.

Bogate miał przed sobą autor materiały, ale nie wszystkie znał i zbałał: dlatego też i ten *szkic biograficzny*, jak go sam nazywa, raczej także za materiał policzyć możemy, niż za zupełny życiorys. Najważniejsze zasługi *Staszica* wybijają w działaniach urzędowych; aby ocenić ich doniosłość, potrzeba znać dokładnie położenie ówczesne Królestwa i jego administracyą. Księstwo Warszawskie zubożone wojną i poświęceniem gorącym całego obywatelstwa, stan finansów opłakany, zagrożenie ruiną fortun ziemiańskich, przemysł i handel upadły: oto obraz stanu tej części Polski, która przybrała na kongresie wiedeńskim tytuł Królestwa, jakkolwiek w zmniejszonych i obciętych granicach. Królestwo straciło znaczną część Poznańskiego, straciło Kraków i żupy wielickie. *Staszic*, który żył i pracował, jako mąż pióra i rady za rzeczypospolitą, patrzył na jej ruinę, a następnie na odrodzenie się w małej części, pracował i radził rozumnie i uczciwie, stosownie do czasu swego.

Przekonania jego, jakie wówczas podzielał, nie dadzą się zaprawdę dziś zastosować, ale przypomnijmy sobie, że dzieli nas od niego z górą pół wieku, a w zmianie wyobrażeń i postępu, parę rzec można wieków.

Szkic Wład. Zawadzkiego, powtarzamy, może posłużyć tylko za szczupły materiał, bo życiorys *Staszica*, aby był dokładny i zrozumiany zasługa tak znakomitego męża, musi być rozwinięty

na tle narodu i społeczności ówczesnej. Pisząc o Staszicu, potrzeba postawić postacie ówczesne, co także władze administracyjne kraju w ręku dzierżyli i stawiali mu przeszkody, lub też pomagali.

Żywoć Staszica z wielu względów musi być badany: raz jako męża stanu, i to zadanie najtrudniejsze; powtóre, jako pisarza i szlachetnego dobroczyńcy, który zbierał, żył skromnie i skąpo, aby po swoim zgonie pokazać hojność dla sierót, biednych i włościan dóbr swoich.

Zadanie to trudne, ale sądzimy, że wkrótce znajdzie się biograf, który tym warunkom wszystkim godnie odpowiedzieć podała.

K. Wł. W.

Geografia Królestwa Polskiego podług najnowszych źródeł, skreślona przez B. Kotodzińskiego. Wydanie drugie poprawione i powiększone z mapą Królestwa Polskiego, Warszawa. Nakładem Alexandra Lewińskiego księgarza. 1863 r. w 8ce str. 78, i VI skorowidza.

Po utworzeniu Królestwa Polskiego na kongresie wiedeńskim w r. 1815, we dwa lata, krótką jeografią wydał ksiądz pijar Politowski w r. 1817: dzieliło się wówczas na ośm województw i ten podział trwał, aż po roku 1832. Zmieniono skład Królestwa na pięć gubernij następnie. Blisko pół wieku upłynęło, a dopiero się pojawia nowy opis geograficzny. Czemu przypisać brak starannego opisu téj części Polski? Od r. 1815 do 1831, źródła statystyczne łatwo były przystępne, ale nie było ochotnego pracownika: później chociaż nie jeden z pisarzy pragnął wziąć się do tego przedmiotu, źródła te zostały tajemnicą archiwów, i nikt ich nie znał.

Częstkowe wiadomości po pismach peryodycznych okazywały się od czasu do czasu: najważniejsze oddał w téj gałęzi usługi Ludwik Wolski. Mając dostępne materiały rządowe, ogłosił w Bibliotece Warszawskiej zajmujące wiadomości o jeziorach w Królestwie Polskiem, później w Kalendarzu wydawanym przez obserwatorium astronomiczne warszawskie, od r. 1857 podawał szczegółowe tabelle statystyczne, które pożądanem były źródłem, dla opisu Królestwa Polskiego. Od r. 1859 jako współpracownik *Encyklopedji Powszechnej*, w tém ważnem dziele drukował opisy statystyczne gubernij i powiatów, które pod właściwe przypadły litery. Oddawna też, jak wiemy, przygotowywa geografią Królestwa Polskiego, na podstawie materiałów urzęd-

dowych, które rok rocznie składają właściwe władze do Komisji Spraw Wewnętrznych; praca więc Ludwika Wolskiego, będzie najdokładniejszą, bo oparta na pewnych danych.

W b. Instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie professor Jastrzębowski, wykładał geografię Królestwa Polskiego. Po wysłuchanym jego kursie, każdy uczeń nabierał dopiero wyobrażenia o tym przedmiocie. Dziwnym był przecież egzamen, który składać musiał każdy wchodzący do tego Instytutu, z tej geografii, której zupełnie nie znał: co wiedział, to tylko z posłuchu a ciekawości, bo żadnego podręcznego dziełka do objaśnienia się nie miał, a opis księdza Politowskiego, raz że stał się rzadkością bibliograficzną, trudnym był do nabycia, a następnie po zmianie województw na gubernie, już przestał być użytecznym.

P. Kołodziński, po wydaniu Geografii Królestwa Polskiego, korzystając z uwag, i zbadawszy lepiej źródła statystyczne, pracą L. Wolskiego zebrane i ogłoszone, wydał drugą edycję, która jako książka podręczna w jednym obrazie, podając wiadomości skupione, jest pożądaną i potrzebną. Brak a potrzeba takiego dziełka pokazał pokup pierwszego wydania. W opisie miast, historyczna część gdziegdzie zaledwie dotknięta, lubo autorowi nie brakło w tym przedmiocie pomocy łatwej, jaką ma każdy, w *Starożytnéj Polsce* M. Balińskiego i T. Lipińskiego. Pojmujemy, że szczupłe ramy nie dozwoliły mu rozszerzać się nad opisem historycznym miast naszych, ale godziło się przy każdym, chociaż wiek wskazać, w którym już było grodem: czuł tę potrzebę autor, i przy niektórych mówi o wieku ich powstania, w innych zupełnie stronę historyczną omija. A przecież to rzecz nie obojętna w geografii Królestwa. Co do opisu rządu, autor w dziele p. n. *urzędu i władze*, w 18 wierszach je zbywa, suchém wyliczeniem tytułów, które niczego nie uczą i nie objaśniają. Każdy *Rocznik urzędowy* mógł być posłużyć tu autorowi, do dokładniejszego ich obrazu. W żadném miejscu p. Kołodziński nie wspomniał, choćby w lekkim zarysie o *ludzie* zamieszkującym tę część dawnéj Polski. Charakterystyka jego w takim dziele nie jest obojętną: różnica Mazura od Krakowiaka i Sandomierzaka wyraźna, a znów wielki przedział pomiędzy nimi a polskimi Rusinami, którzy zamieszkują powiat hrubieszowski i krasnostawski (w dawném województwie lubelskiém) a powiaty bialski i radzyński w dawném województwie podlaskiém. Arkusz lub dwa druku dodane, uzupełniłoby te niedokładności rażące, a pracy autora dodałoby nie mało wartości: ale widać że te przedmioty są mu obce. Niegodziło się opuścić i zaścianków szlacheckich, lubo rzadszych jak przed r. 1831, których mieszkańcy zasługują na uwagę. Mapka załączona, pomimo zbyt drobnéj skali, starannie wykonana.

W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

Miesiąc Maj 1863 roku.

DZIEŁA.

Encyklopedia Powszechna. Tom XIII. Zeszyty 116 i 117. Warszawa, nakł. i druk S. Orgelbranda, 1863, 8-ka, str. od 673—768, 749—880. (Kalendarze-Kancelerstwo). Okł. druk. Zeszyt kop. 35.

Żywot św. tego Ojca Franciszka z Assyżu Patriarchy trzech zakonów. Z kroniki braci mniejszych Kapucynów wyjęty, z przedmową ks. Prokopa tegoż zakonu w Prowincyi Polskiej Exprowincyała. Warszawa, nakł. A. Dzwonkowskiego, 1863, druk J. Jaworskiego, 8-ka mniej, str. XXXII, 802, XVIII, z wizerunkiem Śgo Franciszka. Okł. druk.

Nabożeństwo na cześć Boga i na honor Śgo Bonifacego Męczennika, którego św. kości z Rzymu sprowadzone, złożone są w kościele Czerniakowskim księży Bernardynów. Warszawa, druk K. Kowalewskiego, 1863, 12-ka, str. 56, z wizerunkiem Śgo Bonifacego.

Osiecki Józef ks. Trzy prawdy dla ludu wiejskiego. O stworzeniu świata, człowieku i religii. Warszawa, nakł. J. Kaufmana i Hösick'a, 1863, druk A. Ginsa, 12-ka, str. 94, okł. druk.

Opowiadania starego nauczyciela, przydatne dla czytelników wiejskich, oraz dla dzieci wszelkiego stanu. Warszawa, nakł. Redakcyi Ruczników gospodarstwa krajowego, 1863, druk Gazety Polskiej, 8-ka, str. 115.

Kołodziński B. Geografia Królestwa Polskiego, podług najnowszych źródeł skreślona. Wyd. 2gie poprawione i powiększone, z mapą Królestwa Polskiego. Warszawa, nakł. A. Lewińskiego, 1863, druk A. Liefeldt, 8-ka, str. 78, VI, okł. druk.

Geometry Polskiego, zabawa o arytmetyce albo rachowaniu. Wyjątek z dzieła, Geometra Polski, wydane w Krakowie r. 1683, przez *Stanisława Solskiego*. S. J. Wydał *Julian Bayer*. Warszawa, druk K. Kowalewskiego, 1863, 8-ka, str. 31.

Czytania wieczorne. Książeczka Śta. Niedole i Pocięchy, powieść z angielskiego F. J. Smitha. Obrazek ziemiański przez bezimienną autorkę. Warszawa, 1863, druk J. Krokoszyńskiego, 8-ka, str. od 215—293.

Pachulski L. Klasyfikacya gruntów, czyli sposób odbywania klasyfikacyi i wyznaczenia gruntem ornym, łąkom, pastwiskom właściwych klass. Warszawa, druk S. Lewental, 1863, 8-ka, str. 24.

Das Müller-Röschen oder die sonderbare Erbschaft. Eine wahre Geschichte, welche sich vor der Schlacht bei Jena zugetragen hat. Warschau, Druck und Verlag v. A. Liefeldt, 1863, 8-ka mniej, str. 27.

DZIEŁA ZBIOROWE.

Rocznik leśniczy. Dzieło zbiorowe. T. IV. Część I. Warszawa, czcionkami A. Liefeldt, 1863, 8-ka, str. 141, II, zawiera:

Wyciąg ze sprawozdania i czynności zakładu rządowego praktyki leśnej w leśnictwie Brok za rok 1862. Pobudka do pracy, czyli rozmowa dwóch młodych ludzi o życiu, p. *Wojciecha Jastrzębowskię*. O pędzeniu smoły, przez *S. Kochawicę*. O własnościach niektórych drzew, krzewów i podkrzewów w użyciu lekarskiem. O potrzebie znajomości praktycznej sadownictwa i pszczolnictwa w zawodzie leśniczym. Rozmaitość poglądów na ochronę lasów. Przegląd literatury leśniczęj, rok 1862—1863. Rozmaitości. Do przyrody, wiersz.

Rocznik urzędowy Królestwa Polskiego na rok 1863. Warszawa, druk J. Jaworskiego, 12-ka, str. nielicz. 14, liczb. 676, 362. CLXI. Tab. I, zawiera prócz spisu władz i urzędów, tudzież genealogii monarchów:

Ważniejsze postanowienia rządowe wydane w roku 1862. Wykonanie praw o Radach miejskich i powiatowych. Tablicę obejmującą wyrachowanie tymczasowego okupu prawnego za robocizną odbywaną przez włościan. Budżet dochodów i wydatków Królestwa Polskiego.

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Przegląd Katolicki. M. maj 1863. NN. 18-- 21, zawierają:

Brève potępiające dzieła Frohschammera. Tajemnica grzechu pierworodnego i nauka o człowieku, (dok.). Syberya jako część Archidiecezyi Mohilewskiej. Odpowiedź na jedno złe zdanie pewnej gazety o Ojcu św. i biskupach Meksykańskich. Kardynał Dom Pitra. Historyczny rys biskupstwa Kamienieckiego, p. ks. *M. Ostrowskiego*. Obecny stan kościoła pod panowaniem angielskiem. Tajemnica Weielenia, ognisko światła. List ze Wschodu. Korrespondeneye. Kronika kościelna, krajowa i zagraniczna. Bibliografia.

Zwiastun Ewangeliczny. M. maj 1863. NN. 9—10, zawierają:

Zesłanie Ducha Świętego. Konfirmacya. O świątyniach chrześcijańskich. Stowarzyszenie misyjne hamburskie, (dok.). Postępy chrześcijaństwa w Labradorze. Bóg w Trójcy Świętej. O dowodach prawdy objawionej według Pisma Świętego. Jan Ostrorog. Powstanie Taipingów w Chinach.

Przegląd Europejski. M. maj 1863. Zeszyt XI, str. od 257—498, zawiera:

Wyjątek z pamiętników życiorysowych Jana, Piotra i Józefa Franków, spisanych przez samegoż *Józefa Franka*, tyczący się ich bytu w Wilnie, przekład z autentycznego w języku francuzkim rękopismu, p. *Dominika Chodźkę*, (c. d.). Hiszpania pod względem politycznym, skarbowym, administracyjnym i intelektualnym, do końca roku 1862. Ignacy hr. Scibor Marchocki, opowiadanie *Bożydara Szaszora*. (Gwido Liwingstone, p. *Jerzego Alfreda Lawrence*, przekład z angielskiego *A. J.* (c. d.). Korrespondencya z Krakowa, p. *J. S.* Przegląd rzeczy potocznych, p. *J. H.* Przegląd polityczny, p. *J. I. Kraszewskiego*.

Roczniki gospodarstwa krajowego. Okres III. Tom VI. Poszyt II. M. maj 1863, str. od 177—347, tab. 1, zawiera:

System finansów Lawa i jego zwolennicy, p. *Piotra Falkenhajen Zaleskiego*, (dok.). Przymus i dowolność w nauce elementarnej, p. *A. A. K.* Przegląd dzieła: „Rolnik Polski,” p. *Zygmunta Gawareckiego i Albina Kohna*. Znaczenie plodozmianu na roli, jego wpływ na nią, z uwagą o ile ściółka leśna jest zbyteczną, p. *Dra Hanstein*. Rozmaitości. Bieżące wiadomości rolnicze. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. kwiecień 1863.

Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego Warszawskiego. Serya IV. T. III. Zeszyt 4 i 5. M. kwiecień i maj 1863, str. od 227—394, okł. druk., zawierają:

Cel i dążność sekcji utworzonych w gronie Towarzystwa lekarskiego Warszawskiego. Nieczułość skóry ogólna, zaniemnienie, porażenie częściowe zmysłów, spostrzeżenie opisane, p. *Jakóba Nowaka* lek. Uwagi Redakcyi nad powyższym artykułem. O gimnastyce higienicznej i lekarskiej, p. *Dra J. Fiałęckiego*. Przyrząd gipsowy przerywany do złamań powikłanych z poranieniami, owrzodzeniami i t. p. p. *Dra Korzeniowskiego*. Kronika lekarska zagraniczna, p. *Juliana Kulskiego*. Wyciągi z literatury zagranicznej. Rozmaitości. Przegląd czasopismów lekarskich krajowych. Czynnności Towarzystwa lekarskiego Warszawskiego.

Tygodnik Lekarski. M. marzec, NN. 9—12, kwiecień N. 13, zawierają:

Jawurek: Listy z Wiskitek. *Neugebauer*: Wspomnienia z zakładu położniczego w Medyolanie. *Zieleniewski*: Treść sprawozdania o Krynicy za rok 1862. *Jakubowski*: Notatki praktyczne o tyfusie, a w szczególności o tyfusie brzuszny. *Eborowicz*: O naczyniach. *Korsak*: Nadzwyczajne wczesne rozwinięcie się narzędzi płciowych. *J. D. F.*: W przedmiocie perforacyi. *Zieleniewski*: Zakład zdrojowo kąpielny w Latoszynie. *Rolle Józef*: Nieład ruchów postępowy. Posiedzenia Towarzystwa lekarskiego Warszawskiego. Posiedzenie oddziału nauk przyrodzonych i lekarskiego Towarzystwa naukowego krakowskiego. *Eborowicz*: Wiadomości z pism zagranicznych. Spostrzeżenia meteorologiczne. Nowe dzieła.

Kółko Domowe. M. maj 1863. Posz. II, str. od 33—64, okł. druk., zawiera:

Krzyż na Litwie, p. *Sewerynę Pruszkową*. Żywoć i prace naukowe wieloletniej *Maryi Antoniny*, p. *F. Majejkę*. Odroże hadacza przyrody po środkowej Afryce. Dwie *Anny Mazowieckie* książne, p. *Aleksandrę z Chomętowskich Borkowską*. Sezygielek swatem, powiastka morawska, tłum. z czeskiego, p. *A. Borkowską*. Powieść o dwóch miastach *Dickensa*, p. *Władysława Chomętowskiego*. O ubiorach.

Przyjaciół Dzieci. M. maj 1863. NN. 109—113, zawierają:

Dzieje narodu polskiego, p. *Leona Rogalskiego*, (c. d.). Herkules, p. *J. Ł. Podróże i odkrycia*, p. *J. Warmińskiego*, (c. d.). O biednym muzykusie i o lichu które siedziało u niego za piecem, powieść *Wacława Szymanowskiego*, (c. d.). Sroka złodziej Stanisław Kontecpolski, p. *W. Nabożentwo Majowe*, p. *Aleksandrę z Chomętowskich Borkowską*. Historia święta, p. *Michała Szymanowskiego*. Pierścień Kunegundy, czyli odkrycie żup solnych bocheńskich, legenda historyczna. Walek z lasu, powieść *Józefa Dzierzkowskiego*. Rozmowy ojca z dziećmi. Poezye. Myśli i zdania. Rozmaitości. Anegdota. Szarada.

Tygodnik Mód. M. maj 1863. NN. 18—22, zawierają:

Domowe sprawy króla Jana Sobieskiego, (c. d.). Mrówin i Trock powieść p. *Paulinę z L. Wilkońską*, (c. d.). O wyrobach siodlarskich. Kronika literacka i artystyczna. Przysłowia ukraińskie. Poezye. Gwiazdka. Mody. O ubiorach męskich. Nowości zagraniczne. Szarady. Opisy ryćcin mód, form i deseni.

Jutrzenka. Tygodnik dla izraelitów polskich. M. maj 1863. NN. 18 do 22, zawierają:

Ś. p. *Gabryel Rieser*. Nowy skład Dozoru Bóżnicznego Warszawskiego. Listy żydowskie. Szkołka sobotnia dla pięci żeńskich. Projekt dostawy mięsa koszerne, p. *Adama Schwarzensteina*. Mięso koszerne. O niewolnictwie, p. *J. Rosenblatta*, (c. d.). Trzy pierścienie, z *Lessinga*, tłum. *Rozalii z Feliksów M. S. Zakon Mojżesza*. Recenzja tłumaczenia *Pięcioksięgi*, p. *M. Jastrowa* i odpowiedź na recenzję. Korrespondencye. Przegląd pism krajowych. Wyjątki z dzieł rabinicznych. Wiadomości bieżące.

Tygodnik Ilustrowany. M. maj 1863. NN. 188—192, zawierają:

Konie arabskie w Warszawie. Brzeg, miasto w Górnym Szlązku. Książd Piotr Skarga, przez *Wojciecha Grochowskiego*, (dok.). Jarema, studjum z wewnętrznych dziejów Galicyi, p. *Jana Zacharyasiewicza*, (c. d.). Ludwik Bierkowski, p. *P. Girsztowta*. Płowce. Kościół w Starem Mieście pod Koninem. Chrystus Pan, rzeźba allegoryczna z XIII wieku. Kościół N. Pauny Maryi w Piotrkowie. Żółkiew. Bazar w Poznaniu. Tekla z Bielińskich Łubińska, p. *Sewerynę z Ż. Pruszkową*. Obrzędy weselne ludu w Wilkomierskiem, p. *Mściława Kamińskiego*. Dawne ubiory i uzbrojenia. Pomnik Stanisława Malchowskiego w kościele św. Jana w Warszawie. Machina rachunkowa, p. *Israela Abrahama Stoffel*. Willanów, p. *Kazimierza Władysława Wójcickiego*. Jerzy Lubomirski, dramat historyczny, napisał *Józef Szujski*, recenzja *Kazimierza Kaszewskiego*. Bun. Spirydion Ostaszewski, p. *Kaz. Wład. Wójcickiego*. Poezye. Przegląd polityki zagranicznej. Kronika tygodniowa. Korrespondencye. Rozmaitości. Szachy. Rebusy.

Wędrowiec. NN. 14—20, zawierają:

Neapol i jego mieszkańcy, (dok.). Walka Kondorow. Instynkt słoniów, p. *Merego*. Szkice z życia zwierząt. Wieś Brock w Hollandyi. Lampa podwodna. Góra Montblanc i jej okolice. Montbéliard. Tkaniny i ich falszowanie przez fabrykantów. Werbena. Grota Egeryi. Góra Aiguille. Lanie dzwonów. Trilla. Moloch. Nowa Kaledonia. Gród rzemieślniczy w Mulhouze. Bruk żelazny. Skielec olbrzymiego jelenia. Don Benito Juarez. Wyspy Orkadzkie i Szetlandzkie. Pompeja. Studnia i wahadło. Żegluga. Robert O'Hara Burke. Rozmaitości. Dahomej. Wodociąg w Salerno, legenda o krawcu. Niedźwiedź Bernenski. Wiek dziecinny *Wiktora Hugo*.

Kmiotek. M. maj 1863. NN. 18 - 22, zawierają:

Opowiadania Goralezyka z historii polskiej. Sąd Salomona. Historia o Katarzynie złej służce. Uzdrawienie kaleki przez św. Piotra Apostoła. Zli sąsiedzi. Święty Jan Nepomucen. Jako pana Mucieja strachy mężczyły, jak się ich pozbył i jakie to były strachy one. Zesłanie Ducha Świętego. Kto się w opiekę poda Panu swemu. Jaszczołd, stary utan, Święta Julia męczenniczka. Nie porzucaj szaty ojcowskiej. Wiersze. Różności.

Czytelnia Niedzielnia. M. maj 1863. NN. 18—22, zawierają:

O Krzysztofie Kolumbie. Siemcho i Marcha, powiastka z dawnych czasów. Zjawiska powietrzne. Swaty z potrzeby, powieść. Zdrowe napoje. Przepisy do urzędzenia apteczki domowej. Marek Jakimowski. Tamowanie krwotoków zewnętrznych. Narody i kraje starożytne. I z groszy tworzą się tysiące, czyli kassy oszczędności groszowe przy Ochronach. Wiatry czasowe i niestałe. Wiersze. Różności.

Gazeta Warszawska. M. maj 1863. NN. 99—121, zawierają:

Moja powieść, przekład z angielskiego *Sir Edwarda Lytton Bubvera*, (c. d.). Młoda nauczycielka, dzieło poświęcone zakładowi wychowania płci żeńskiej, p. *Antoninę Machczyńską*. Kopernika tudzież innych astronomów polskich w geografii zasługa, przez *Joachima Lelewela*. (Przeglądy). Odpowiedź *Jana Radwańskiego* na recenzją dziełka jego p. t.: O roku założenia wszechznicy krakowskiej etc. O ranach w ogólności, skreślił Dr. Ludwik Januszkiewicz. Wywód pojęcia filozofii przez *Henryka Struve*. (Rozbiory). Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie, artystyczne.

Gazeta Polska. M. maj 1863. NN. 99 - 121, zawierają:

Przegląd rolniczy (dok). Podróż powietrzna po Afryce, (c. d.). O kanalizacyi miast w ogólności. Listy Ypsylona. Kilka uwag o oświacie klasztorów w klasztorach, przez terminatora *J. S.* Szkoły konfesyjonalne żydowskie, (dok). Bez imienia, powieść *Collins'a*, przekład z angielskiego. Konie rasy wschodniej. Kronika paryzka, p. *Z. W.* Przegląd naukowy. Cheidery wzorowe. System gminny w Stanach Zjednoczonych, p. *K.* Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie i artystyczne.

Kuryer Warszawski. M. maj 1863. NN. 99—121.

Kuryer Niedzielnny. M. maj 1863. NN 17—21, zawierają:

Przeglądy: polityczny, brukowy, literacki, gazet i pism czasowych. Korrespondencye.

Dziennik Powszechny. Pismo urzędowe, polityczne i naukowe. M. maj 1863. NN. 99—121, zawierają:

O marynarce polskiej, p. *Łukusza Gołębionoskiego*, (c. d.). O ruchu pocztowym w Pocztańcu Warszawskim w m. styczniu 1863 r. Wiadomości statystyczne o handlu w Grecyi. Handel Gdański w r. 1862. Rewolucyonisci i patrycyusze w Polsce, p. *J. A. Miniszewskiego*. Srodki przyjęte przez NAJJAŚNIEJSZEGO PANA dla Królestwa Polskiego. Opisy zabytków starożytności, przez delegacyę wystaną z polecenia Rady Administracyjnój Królestwa zebrane, (c. d.). Postanowienie Rady Administracyjnój, w przedmiocie podatków szczególnych na starozakonnych oddzielnie małżonych. Kilka słów o soli i administracyi solnej w Kró-

lestwie Polskiem do r. 1855, (dok.). Zniemczeni Słowianie w Królestwie Hanowerskiem. Prace statystyczne w Cesarstwie Rossyjskiem dokonane, (c. d.). Urządzenie szkół rzemieślniczych w m. Warszawie. O wychowaniu publicznem w Stanach Zjednoczonych i w Anglii. Bibliografia warszawska, rossyjska, francuzka i niemiecka, za m. kwiecień r. b. Persya i Herat. O ruchu pocztowym w Pocztaśmie Warszawskim w m. lutym r. b. Studya nad kodeksem karnym 1818 r. i późniejszymi prawami kryminalnemi, p. *Romualda Hube*. Postanowienie Rady Administracyjnój o delegacyach czynszowych zastępczych. Rozporządzenia Dyrektora Główn. Prez. w Kom. Rząd. S. W., tyżące się urzędników nie zasługujących na zaufanie i środków policyjno-wojskowych na czas rozruchów. Finlandya. Sprawozdanie Banku Polskiego za rok 1862. Jurisprudenca. Wiadomości z nauk ścisłych. Wiadomości literackie. Wiadomości rozmaite.

Warszawska Gazeta Policyjna. M. maj 1863. NN. 99—121.

Warschauer Zeitung. M. Mai 1863. NN. 98—120, zawierają:

Die Theilung der Arbeit (c. d.). *Gespenster in den Ardennen*, *Novelle v. Levin Schucking*. *Correspondenz Napoleons I.* *Litterarisches. Lokalbericht. Vermischtes.*

Korespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. M. maj 1863. NN. 31—38, zawierają:

Chów pastwa domowego, a mianowicie kur i kogutów, (c. d.). O paszy i jej pierwiastkach pożywnych. O nawozach. Kopacz parowy. O obchodzeniu się z gnojówką przez Nessler. Żniwo mechaniczne na Ukrainie 1862 r. i żniwiarki na wystawie w Londynie, p. *Władysława Mentzel*. Używanie torfu jako nawóz. Nawozy z szlamu przez Nerve Mangon. Wartość lubinu jako nawóz zielony, w porównaniu z nawozem stajennym. Które gatunki kur chować? Przystosowanie nawozów. Żywnienie bydła, p. *P. Lehman*. O składzie i wartości pożywniej słomy. Żywnienie i obchodzenie się z krowami, ażeby te znaczną ilość mleka wydawały. Sztuczne wylęganie kurcząt. Owady śpichlerzom szkodliwe, mianowicie o wółkach zbożowych i o środkach na ich wytepienie służących. Wiadomości handlowe.

Gazeta Rolnicza. M. maj 1863. NN. 18—21, zawierają:

O wierzbach polskich, p. *Józefa Gluzińskiego*. O roślinach ląkowych. Skutki wycieńczenia gruntów. Wstęp do ostatniego wydania chemii rolniczej *Justusa Liebiga*. Kozy Angorskie, p. *Aleksandra Jasińskiego*. Chlebarka *Stevensa* czyli maszyna do wyrabiania ciasta chlebowego. Życiorys *Michała Fryczyńskiego*, p. *Tomasza Snarskiego*. Maszyna do trzepania lnu. List *Zygmunta Dungra* do redaktora *Gaz. Rol.* Nowe wrota. Korrespondenccy gospodarskie. Nowiny i ogłoszenia gospodarskie.

MUZYKALIA.

Teichman Antoni. Mój śpiew wiosenny z towarzyszeniem fortepianu, słowa *A. Maszewskiego*. Warszawa, nakł. J. Kaufmann i F. Hölsick, lit. W. Otto, sztych G. Gebethnera i R. Wolffa, str. 5, zlp. 1 gr. 15.

Clauss Szarvady. Arya Pergolesego z XVIII wieku. (Tre górni), ułożona na fortepian. Warszawa, nakł. J. Kaufmann i F. Hölsick, lit. W. Otto, sztych G. Gebethnera i R. Wolffa, str. 5, zlp. 1 gr. 15.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Czerwiec, 1863 r. — Do najważniejszych rozpoczętych prac, o których mamy wiadomość, należy *Historya Polska*, Juliana Bartoszewicza. Dzieło to obejmować będzie dzieje narodu od najdawniejszych czasów i złoży całość z pięciu lub sześciu tomów wielkich. Tom pierwszy daje obraz Słowiańszczyzny, czasy Piastowskie do śmierci Bolesława Krzywoustego. Oprócz dziejów, kręśli autor obrazy wewnętrznego życia, instytucyj politycznych: jak hetmaństwa, kanclerstwa, urzędy, i t. p. przedmioty, dotychczas albo mało dotknięte i rozwinięte, albo też mniej znane. Materyały potemu zbierał nasz badacz przez długie lata i studyował każdy przedmiot starannie i sumiennie: jeżeli w danych ramach systematycznie i umiejętnie przedstawi nam całość dziejów narodowych, w połączeniu ścisłym z Rusią i Litwą, o czém nie wątpimy, będzie to dzieło, którém autor uwieczni imię swoje w pamięci narodowej.

— Wacław Alexander Maciejowski wykończył tom V *Historji prawodawstw słowiańskich*, który zamyka całość dzieła z VI tomów złożonego. Po ukończeniu druku, zamierza dalej prowadzić dzieje piśmiennictwa polskiego do ostatnich czasów, do czego zbiera zapas bogatych materyałów.

— Jędrzej Kitowicz, autor znanych Pamiętników, pozostawił w rękopiśmie nader ważny materyał dla statystyki dawnj Polski p. n. „Wyciągnięcie rozmaitych percept i ekspens Królestwa Polskiego i Wielkiego Księztwa Litewskiego z proporcji tychże percept zrobionego szacunku całego tegoż Królestwa, jakoteż obszerności jego, wielkości miast i wsiów, a w nich kominów i ludności. Z tabelli JW. Moszyńskiego, sekretarza Wielkiego Księztwa Litewskiego, posła bractawskiego, stanom sejmującym w Warszawie, dnia 19 kwietnia roku 1790 do uwagi podanej, wypisane, a dla łatwiejszego czytania i pojęcia sposobem taryfy, czyli ordynaryjnych regestrów, nie tak jak tabella oczy i uwagę fatygujących, ułożone”. Jest to rękopism własnoręczny Kitowicza; postaramy się podać go całkowicie w jednym z następnych zeszytów naszego pisma.

— Wielki nasz historyk Joachim Lelewel, pod wpływem weselszej myśli, pisywał czasami wierszyki, tak w młodych jak i w sędziwych latach. Na parę lat przed zgonem, przesyłając swemu szwagrowi Janowi Majewskiemu, obywatelowi, zamieszkałemu we wsi Szydłowie, książkę złożoną z kilku broszur razem oprawnych, na której

grzbiecie był tytuł *Popury*, taki własnoręcznie na pierwszej karcie napisał wierszyk:

„Takie liche popury,
Ktoś mi „prawi: w Szydłowie
Zjedzą myszy i szczury:”
Niech im wyjdzie na zdrowie!
Byle Jan, dniem czy zmrokiem,
W oknie, czy przy kominku,
Braterskiem pojrzał okiem,
A przyjął w upominku”.

— Professor historii medycyny w Szkole Głównej Dr. Łuczkiwicz zajął się przełożeniem na język polski dzieła najślawniejszego lekarza starożytniej Grecyi, Hipokratesa z Kos, którego sprawiedliwie historya medycyny uważa za pierwszego mistrza i twórcę sztuki lekarskiej. Pracę swą rozpoczął Dr. Łuczkiwicz tłumaczeniem najważniejszych traktatów greckiego medyka, znanych w literaturze p. n.: *Aphorismi* (w siedmiu częściach), oraz *Prognostikon* w trzech częściach). Przekład tych obu traktatów jest już zupełnie ukończony i do druku przygotowany. Dokonał go tłumacz z tekstu greckiego, podanego w książce wyszłej roku 1784 w Paryżu, pod tyt. „*Hippocratis et Praenotionum libri recensuit notasque addidit Franciscus-Maria Bosquillon*”. Posługiwał się przytém najznakomitszemi przekładami i komentarzami uczonych niemieckich i francuzkich, jakich tylko literatura lekarska obu tych narodów dostarczyć mogła. Do tych przekładów dołączył także Dr. Łuczkiwicz tłumaczenie „Przysięgi” (*Oreos*), obowiązującej lekarzy starożytniej Grecyi. Przekład Dra Łuczkiwicza jest wierny, ale nie wyrazowy, co uważamy za zaletę; gdyż jeżeli chodzi nam o to, aby tłumaczenie nie było samowolném i fantastyczném, nie mniej i to jest ważnym warunkiem, aby było zrozumiałém dla czytelnika polskiego, bo inaczej na nichy się nie przydało przy całej wyrazowej wierności. Zachowanie średniej drogi jest nie małym kłopotem, ale i zasługą pisarza. Takię też drogę trzymał się Dr. Łuczkiwicz, któremu tym sposobem zawdzięczamy uposażenie literatury naszej w te dzieła mędrca Grecyi, w prawdy, które późniejsza nauka rozszerzyła, ale z których żadnej obalić nie mogła.

— Józef Korzeniowski wyjechał do wód zagranicznych, dla poratowania zdrowia. Pomimo sił nikuących, nie wypuścił pióra z ręki, a ostatni jego utwór dramatyczny, nad którym pracuje (wierszem rymowym), pokazuje zawsze młodzieńcze myśli i formę wysoko artystyczną.

— Szajnocha przygotował do druku *Dzieje Kozaczyzny*: będzie to dzieło w 2-ach tomach, obejmujące około 70 arkuszy druku.

— Henryk Szmít drukuje: *Dzieje konfederacyi barskiej* i tom IV i ostatni *Dziejów Polski* krótko opowiedzianych, doprowadzony do panowania Stanisława Augusta.

— *Karol Widman* wydaje Studya polityczne w 2 ch tomach, i Opis Galicyi geograficzny, topograficzny i statystyczny. Druk tomu trzeciego *pieśni Janusza*, już jest na ukończeniu w Lipsku.

— Muzyk, Albin Korytyński, do *Dum Widortowych* Wincen- tego Pola, dorobił melodyą i tę wydaje we Lwowie.

— W Krakowie, nakładem wydawnictwa dzieł katolickich, wyszło tłumaczenie ważnego dzieła do konfederacyi barskiej: „Wspomnienia, listy i raporta urzędowe, barona de Viomenil, wysłannika rządu francuzkiego do jeneralnej konfederacyi barskiej w latach 1771 i 1772.” Przekład ten wykonał Stanisław książę Jabłonowski.

— Władysław Wędrychowski wydał dramat w 5-ciu ośnowach p. n. *Pan Starosta na Wilczkach*. Treść wzięta ze znanego podania, które Szajnocha w *Szkicach* swych podaje. Przedmiot ten, z właściwym sobie talentem, w formie dramatycznej przedstawiła pani Seweryna z Żochowskich Pruszkowa i w seryi trzeciej swych „Rozrywek dla młodocianego wieku”, drukiem ogłosiła.

— *Biblioteki Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich*, druk tomu trzeciego już się rozpoczął. Na czele zawiera rozprawę ś. p. Alexandra Stadnickiego: „O osadnictwach na Rusi”.

— W Krakowie, w pierwszych dniach czerwca zapowiedzianem zostało pismo p. n. *Kronika*, dwa razy na tydzień, nakładem Jana hr. Załuskiego, pod odpowiedzialną redakcją Kazimierza Turowskiego, wydawcy *Biblioteki Polskiej* i redaktora *Niewiasty*.

— M. Gliszczynski ukończył tłumaczenie Historji literatury powszechnej Jana Scherra. Wkrótce druk tego ważnego dzieła ma się rozpocząć.

— Karol Forster ogłosił w 2-ém wydaniu znane swe prace: 1) Dzieło p. Thiersa: O własności, przekład z francuzkiego, poprzedzony rysem biograficznym p. Thiersa. Berlin, 1861. 2) Rzut oka na ostatnie pisma polityczno-filozoficzne p. F. Guizota. Berlin, 1862. Te powtórne wydania okazują, jak licznych autor znalazł czytelników.

— Nakładem Michała Glücksberga wyszła książeczka użyteczna i podręczna dla młodzieży naszej p. n. „Msza święta jak odprawiana bywa w kościele Bożym, co znaczy, i jak jej powinien słuchać pobożny chrześcianin katolik. Książeczka do nabożeństwa z przydatkiem potrzebnych modlitw i świętych pieśni w czasie mszy świętej używanych, z dodatkiem sposobu służenia do mszy”. Warszawa, 1862, w 18-ce z drzeworytami.

— Księgarz J. J. Okoński, ogłosił w drugim wydaniu: „Gawędy warsztatowo dla rzemieślników i robotników polskich. Opowiadania terminator. Część pierwsza. Warszawa, r. 1863.

— W pierwszym półroczu r. b. zaczął wychodzić *Wędrowiec*, pismo ilustrowane, nakładem J. Ungra, pod redakcją Władysława Anczyca, wyszło Nrów 25; w drugim półroczu wyjdzie Nrów 27: zbiór więc całoroczny obejmować będzie Nrów 52, a dwa tomy.

— Nakładem Leona Idzikowskiego, księgarza w Kijowie, wyszło dzieło Antoniego Nowosielskiego: „Pogranicze Naddnieprzańskie. Szkice społeczności Ukraińskiej w wieku XVIII, dwa tomy, w 8-co. O tej pracy znanego już pisarza, powiemy obszerniej we właściwym dziale kroniki literackiej.

— Wydawnictwo wileńskie, pisze Kurjer Wileński, ostatniemi czasy niemal zupełnie bezczynne, zdobyło się zaledwie na kilka broszur, małych objętością i nie wiele większych treścią. Księgarnia M. Orgelbranda wydała przełożony z francuzkiego „Katechizm Obrzędowy”, zawierający krótki opis sprzętów i szat kościelnych, wykład przepisów odbywania i znaczenia rozmaitych obrzędów zewnętrznych w kościele katolickim praktykowanych, oraz świąt dorocznych. Dzieł obszerniejszych w tym przedmiocie mamy kilka w języku polskim; pomimo tego obecna książeczka podręczna, sposobem katechizmowym ułożona, dobrze przydać się może dla ludu i młodzieży, którym dzieła obszerniejsze są niedostępne. Taż sama księgarnia wydała dwie nowo książeczki z obrazkami dla dzieci: „Bajarz stary” i „To i owo”, odznaczające się łatwością pióra i zastosowaniem się do pojęć wieku dzieciennego. Z drukarni A. Syrkina, wyszły „Uwagi i myśli ulotne, wzbudzone patrząc przez dziurkę od klucza wewnątrz świątyni przyrodzenia”, przez H. Szapira. Jest to rozprawa, czytana na sessyi kowieńskiego Towarzystwa medycznego, rzecz arcy przelotna, traktująca niewyczerpany wielotomowemi pismami przedmiot, ale z werwą i pocziwie napisana. Prócz tego, z tejże drukarni wyszły w powtórnie wydaniu dwie książeczki treści moralnej dla młodzieży p. t. „Obecność Boga” i „Anioł Stróż”, oraz „Tajemnica nowo odkryta nabycia doskonałej pamięci”. Ta ostatnia, nieudolnie tłumaczona, jest zbiorem przepisów higienicznych, dobrze zkądinąd wiadomych, a w końcu ma dodaną receptę na essencję, która, jeżeli mamy temu wiarę, cudowne ma posiadać skutki. Nakoniec księgarnia J. Krasnosielskiego, wyda także dwie książeczki. Jedna z nich, „Wiadomość o cudownych obrazach w mieście Wilnie”, z dodaniem wzmianek o koronacyi obrazów w innych miastach naszego kraju, jest krótką, naprędce spisytą kroniczką, w której jednak tu i owdzie nowy drobny szczegół dopatrzeć można. Szkoda, że wykonanie bardzo niedbałe, i o omyłki historyczne nie trudno: Lew Sapieha nazywa się książęciem, Lwów już w r. 1749 jest w Galicyi i t. p. Ostatnią na ten raz broszurą jest „powiastka”, a właściwie bajka ludowa p. t. „Przygody Jasia syna rybaka”, napisana przez p. J. Filipowicza i w powtórnej edycyi wydana. Dzieło własnej wybujałej fantazyi ludu, oddano mu z przyprawą morałów na pożytek zbawienny. Wkrótce ma się ukazać tom piąty „Podróży do Włoch” Kremera, „Pamiętniki o Śniadeckim” i „Księgi o gotowości wojennej”.

— Wkrótce ma wyjść z druku: „Zbiór przepisów o fabrykach kościelnych i o dozorach kościelnych parafij katolickich, obejmujący obowiązujące w Królestwie Polskiem postanowienia i instrukcyje w przedmiocie budowania, restauracyi i reparacyi budowli kościelnych i plebańskich, oraz utrzymania cmentarzy”. Użyteczna to praca, objaśniająca tych, których ten przedmiot dotyka.

Czekamy oddawna, na zebranie podobno przepisów, co do atrybucyi wójtów gmin, rozrzuconych tak po Dzienniku praw, jak w oddzielnych reskryptach. Dzieło to tém potrzebniejsze, i obchodzące ogół obywateli-ziemian, gdy ogłaszane dawniej przepisy określające dawniej atrybucye wójtów gmin, już są wyczerpane z obiegu handlu księgarskiego, a inne ukrywające się po archiwach władz rozmaitych.

— Znany pisarz Jan Prusiuowski przygotował zbiór przysłów ukraińskich, z wyjaśnieniem ich początku, oraz sposobu użycia. Sądzymy, że nie długo zapoznamy naszych czytelników z tą piękną i zajmującą pracą.

— *Zwiastun Ewangeliczny* pod redakcyą księdza Otto, po wydrukowaniu obszernego życiorysu Frycza Modrzewskiego, w równie obszernych ramach, rozpoczął biografię Jana Ostroroga.

— Nakładem J. Kaufmana i Hösick'a, wyszła książeczka p. n.: „Trzy prawdy dla ludu wiejskiego”, „O stworzeniu świata, człowieka i religii”, napisał ksiądz Józef Osiecki. W 12-ce, str. 94.

— Jednym z celniejszych obrazów na wystawie sztuk pięknych w Krakowie, jest: Matejki, Stańczyk na dworze Zygmunta I.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa, wyszła powieść Władysława Małyszewskiego: *Dziecię Żmujdzi*. Piękna ta powieść, a raczej obraz, pełen szlachetnych uczuć i myśli była poprzednio drukowaną w Tygodniku Ilustrowanym z drzeworytami. Wydanie obecne, w drukarni Ignacego Krokoszyńskiego, odznacza się starannością edycyi.

— Drukiem Józefata Ohryzki w Petersburgu, wyszły dwa zeszyty dziełka podręcznego, a nie mało użytecznego w obecnych czasach p. n. *O ranach w ogólności*. Zeszyt pierwszy obejmuje przedmiot: O podaniu pierwszej pomocy; drugi: O ranach strzałowych.

— Tom V i ostatni III seryi *Rozrywek dla młodocianego wieku*, pod redakcyą pani Seweryny z Żochowskich Pruszkowej, już jest pod pressą i wkrótce ukończonym zostanie. Tom ten jest w porządku tej użytecznej i pięknej publikacyi XV i zamyka całość wydawnictwa. Przy nim będzie spis rzeczy ze wszystkich XV tomów.

— W Poznaniu, nakładem J. K. Żupańskiego, wyszło ważne dzieło p. n. „Teologia dla użytku wiernych, pragnących gruntownej

nauki w rzeczach zbawienia”, napisana przez księdza J. B. Delerta penitencyarza i kaznodzieję arcykatedry poznańskiej. Tomów dwa.

— Posiedzenia Komissyi archeologicznej.— Na dniu 11 kwietnia i 11 maja odbyły się dwa zwyczajne posiedzenia Komissyi archeologicznej pod przewodnictwem rzeczywistego członka Mikołaja Malinowskiego, z powodu choroby prezesa hr. E. Tyszkiewicza. Po zagajeniu pierwszego posiedzenia, przewodniczący w wymownych słowach skróślił żywot Zacharyasza Niemczowskiego, profesora niegdyś b. uniwersytetu wileńskiego i wyliczywszy szereg jego prac i rzeczywistych zasług w wykładzie nauk matematycznych, dotknął w ogólnych rysach dziejów wszechnicy z owęj epoki. Zagaiwszy drugie majowe posiedzenie, prezydujący rz. cz. Malinowski, uwiadomił zgromadzonych członków o zaszyłym w dniu 23 kwietnia w Petersburgu zgonie rzeczywistego członka Towarzystwa J. E. arcybiskupa Wacława Żylińskiego, metropolity wszech rz. k. kościołów w cesarstwie, i z tego powodu w treściwym obrazie przebiegl zawód życia publicznego tego dostojnika kościoła. Następnie przewodniczący posiedzeniu wezwał sekretarza naukowego, aby odczytał początek i dalsze ustępy z drukującej się obecnie historycznej rozprawy jego o Stanisławie Łaskim, synowcu kanclerza koronnego za panowania Zygmunta I, znakomitym podróżniku i mężu rycerskiego ducha. W początkach tej rozprawy, mającej stanowić wstęp do wydrukowanej przed kilką laty z rękopismu muzeum wileńskiego „Nauki o gotowości wojennej”, którą powszechność Janowi Tarnowskiemu, hetmanowi koronnemu przypisywała, dziejopis nasz udowadnia, że autorem jej był nie kto inny, jak tylko Stanisław Łaski. Dalej podawszy ciekawe wiadomości o przodkach jego wiodących ród swój od Normanów, w szeregu zajmujących obrazów opisuje przewagi wojenne Stanisława Łaskiego pod Pawią w przybocznym orszaku Franciszka I króla francuzkiego, pod Neapolem i przy oblężeniu Budy, które wytrzymał, wspierając swym orężem Jana Zapolyę, obranego 1526 r. królem węgierskim; nakoniec czynny, obywatelskim sprawom rzeczypospolitej polskiej poświęcony żywot jego. Nieznanych dotąd szczegółów do tej pracy dostarczyły dziejopisowi naszemu: dzieło Bernarda Holtorpa p. t. „*De peregrinatione magn. ac gener. Dni Stanisłai a Lasco etc.*” w Królewcu 1548 r. wydane i „Mowa Stanisława Warszewickiego” pamięci przyjaciela swego Stanisława Łaskiego poświęcona, już po jego śmierci w Wittenbergu 1551 r. wydana; niemniej też metryki koronne przechowywane w archiwum głównem Królestwa Polskiego w Warszawie, oraz zbiory rękopiśmienne biblioteki ordynacyi Zamojskich. Praca ta na tak szacownych źródłach oparta i z prawdziwem zamiłowaniem dokonana, będzie nader cennym zabytkiem i uzupełnieniem dziejów XVI wieku, a chociaż skromnem mianem przedmowy nazwana, stanowi przecież pełną wdzięku i żywotną całość i zajmie pierwsze miejsce w rzędzie monografij historycznych. Druk tej pracy szybko się posuwa i będzie ukończony w przeciągu dwóch miesięcy.

Z kolei czł. współpracownik Tomasz Snarski odczytał skróslony przez siebie życiorys Wł. Syrokomli, napisany z rzewiem uczu-

ciem i przeznaczony do przyszłorocznego kalendarza wileńskiego. Nakoniec po odczytaniu protokołu przeszłego posiedzenia i załatwieniu spraw bieżących Towarzystwa, odczytany został spis ofiar w książkach i innych przedmiotach, które wzbogaciły zbiory muzeum w ciągu upłynionego miesiąca.

— Skończył się obecnie, jak donieśliśmy w poprzednim zeszyście, druk tomu XIII Encyklopedyi powszechnej, w którym zaczęła się jedna z największych liter naszego alfabetu, litera K. Sądźmy, że zajmie tomy XIV i XV a może część XVI. Po ukończeniu tej litery, większa połowa tego pomnikowego dzieła, wydana zostanie: o całości więc sądzić możemy, że obejmie od 28 do 30 tomów. Suplementa mają być dopiero wydane po ukończeniu całego dzieła, i ta myśl jest najpraktyczniejszą, bo potrzeba pierwój wydać całą Encyklopedyą, za nim dodatki przyjdą. Komitet redakcyjny jednakże nie spuszcza z uwagi potrzeby suplementów, i dlatego wszelkie uwagi, dopełnienia i sprostowania nadsyłane, przyjmuje chętnie i zachowuje, ażeby z nich we właściwym czasie użytek zrobić. Wydawca, obecnie dał nowy druk już w XIII tomie.

— Dziennik rosyjski *Siewiernaja Pczeta*, wychodzący w Petersburgu, podaje w odcinku obszernie wyjątki z drugiego wydania dzieła K. Wł. Wójcickiego „Niewiasty Polskie”. Objasniamy, że te ustępy, z przygotowanej do druku drugiej edycyi pomienionego dzieła, autor drukował w *Roczniku dla Polek* Dzwonkowskiego, i z tego *Rocznika Siewiernaja Pczeta*, przetłumaczyła je do swego pisma.

— Gazeta Polska ogłosiła wiadomość o śmierci Kornela Ujejskiego, jednego z pierwszych żyjących poetów. Wieść ta, ogólny smutek wywołała, bo strata byłaby nie nagrodzona; ale wkrótce też Gazeta odwołała, donosząc, że to brat poety, Kalikst, zakończył życie.

— Cesarskie Towarzystwo lekarskie w Wilnie, dnia 13 maja r. b. odbyło swoje posiedzenie, pod przewodnictwem profesora Adamowicza.

Wielu członków pomiędzy swoimi chorymi dostrzegli, że w tych czasach panuje wysypka, której charakteru są pośrednie między odrą i szkarlatyną. Rzadko ona przybiera postać groźniejszą, owszem często po przebiegu kilkodniowym, zupełnie znika. Przytém jeduozgodnie członkowie twierdzili, że w tej porze liczne gorączki przepuszczające natrafiać można. W nich nie ma ani objawów, ani też powikłań, któreby przebieg dłuższym robily i zwyczajnym sposobom leczenia opierać się zdawały.

Z przypadków pojedynczych, prof. Adamowicz, mówił o chorobie, znaczne zmniejszenie wątroby przedstawiającej (atrophia hepatis). A że z tego powodu chory doznawał wodnej puchliny brzucha, trzykrotne wypuszczenia wody stały się niezbędne i po ostatniej operacyi od kilku miesięcy utrzymało się stałe polepszenie.

Na tém posiedzeniu Dr. Korewa przeczytał rozprawę „O wartości względnej wód mineralnych, naturalnych i sztucznych”. Po zastanowieniu się nad pierwszemi, co do ich składu, działania i wypadków leczenia, uważał o ile drugie, chociaż nie dawno jeszcze znane, z przyczyny mnożących się zakładów, zaczynają przechodzić przez próbę doświadczenia.

P. aptekarz Ławecki przedstawił Towarzystwu mrówczan żelaza, starannie przez siebie przygotowany.

P. aptekarz Chróścicki pokazywał świeżo sprowadzony bandaż, klyzopompę nowego wynalazku i bincech, obejmujący pod małą objętością wielką liczbę narzędzi.

Dr. Rejkowski ofiarował do biblioteki Towarzystwa kilkaset tomów treści lekarskiej.

Dr. Wolfgang Ksawery, chcąc utrwalić pamiątkę, po ś. p. ojcu swoim, byłym profesorze uniwersytetu wileńskiego, jego zbiór liczny minerałów i książek do muzeum i do biblioteki Towarzystwa przetrzymał.

Dr. Sycyanko przysłał także do biblioteki dzieło bardzo kosztowne, pod tyt.: „*Traité des maladies des reins et des altérations de la sécrétion urinaire, par Mr. Rayer, en 3 volumes, 8-o, avec l'atlas in folio*”.

Towarzystwo przyjmując te wszystkie dary, miało za obowiązek oświadczyć dawcom szczerę podziękowanie.

Nareszcie posiedzenie zamkniętém zostało wybraniem jednogłośnym, p. Dra Sycyanki na członka czynnego Towarzystwa.

— W Pradze wychodzą podania ludowe Czechii i Morawii. Ogłasza je J. V. Grohmann. A jako uczony Dr. filozofii niemieckiej, skarżąc się, że zbieracze dotychczasowi podając je w szacie powieściowej, zatarli właściwą ich barwę, zamierza wydanie tych podań krytyczne, w celu, aby posłużyć mogły dla *mitologii niemieckiej*. Cel tak jasno położony, nie wiele daje rękojni. Cztery tomy całość złożą: dwa pierwsze tomy obejmą Czechy, dwa drugie Morawy.

— Piękny zamiar powzięło duchowieństwo Wielkiego Księstwa Poznańskiego, wydania starannego znakomitych kaznodziejów naszych, jak Wujka, Białobrzeskigo, Skargi, Wereszczynskiego, Birkowskiego i Antoniewicza. Czas też było pomyśleć o tém, aby młodym naszym kapłanom dać jedną z najpiękniejszych ksiąg, jakie przeszłość, dla wiernych sług ołtarza potomności zostawiła. Z tej księgi nauczą się młodzi lewicy, że ci wszyscy poprzednicy błogosławionej pamięci, będąc kapłanami, byli zarazem obywatelami. Przekonają się, że nie potrzebują uczyć się wymowy kaznodziejskiej od obcych, albo z tłumaczeń, ale w jasnym, prostym, ewangelicznem ojczystym słowie mają skarbiec nieprzebrany, który każdego mówcę kościelnego wykształcić może na narodowego kaznodzieję, i nauczyć dzielnie wadać ojczystym prawdziwie językiem. Obok wymienionych, nie znajdujemy wielce zasłużonego Woronicza; jego kazania i nauki parafialne, w tym zbiorze, niepoślednie powinny zająć miejsce: umiał ten

wielki mówca zarówno podnieść głos swój na wysokość przy wielkich uroczystościach i żałobie narodu, jak zniżyć do pojęcia prostaczków wiejskich. Dlatego z podziwieniem, tego *wieszczą-proroka*, jak go słusznie nazwano, nie wyczytaliśmy imienia, w tym gronie mówców kościelnych. Pragnęlibyśmy, ażeby życiorys biskupa Wereszczyńskiego był starannie i umiejętnie opracowany, bo to był typ jedyny, jaki widzimy w nim kapłana, obywatela i rycerza. Odjąć choć jeden z tych wydatnych w biskupie kijowskim przymiotów, a znikną charakterystyczne rysy znakomitego męża. Redakcja *Przeglądu Katolickiego* posiada nieznaną dotąd jego kazanie, które zamierza udzielić temu wydawnictwu. Ponieważ myśl takiego skarbcu wymowy kaznodziej-skiej, miała na celu poznanie i rozpowszechnienie pomiędzy młodemu naszym duchowieństwem, które do tego zawodu dąży, sądzimy, że wydawnictwo powinno bardzo umiarkowaną cenę położyć, a nakład łatwo się zwróci, gdy przez to, większą liczbę egzemplarzy rozprzeda.

Wartoby też pomyśleć o starannym zbiorze wymowy świeckiej, bo i w tej gałęzi, nie małe mamy bogactwo. Zatraciliśmy już bowiem tradycję nawet wymowy politycznej, którą tak wielce słynęli nasi przodkowie, która była zaletą całej klasy ukształconej. Jakkolwiek zmieniły się potrzeby narodu, jakkolwiek inno są dziś czasy i atmosfera, pomniki świeckiej wymowy, zawsze jako godne uwagi studia pozostaną. Idzie tylko o wybór stosowny: nie potrzebujemy bowiem ślęczeć nad mówcami co zasłynęli przy weselach, zaręczynach, pogrzebach, albo powitaniach przy wjazdach królów i dygnitarzy: ale potrzebujemy wyboru mów sejmowych, gdzie rzecz szła o sprawy narodu, i wymowy sądowej, abyśmy z nich nauczyli się wlaść ojezystą mową.

— Zeszyt za maj *Przeglądu Europejskiego* (jedenasty w porządku), wyszedł z druku i obejmuje: 1) Wyjątek z pamiętników życiorysowych Jana, Piotra i Józefa Franków. spisanych przez samegoż Józefa Franka, tyczący się ich pobytu w Wilnie. 2) Hiszpania pod względem politycznym, skarbowym, administracyjnym i intelektualnym do końca r. 1862. 3) Ignacy hr. Seibor Marchocki. Opowiadanie Bożydara Szaszora. 4) Gwido Liwingstone (z angielskiego). 5) Korrespondencya z Krakowa. 6) Przegląd rzeczy potocznych, przez J. H. 7) Przegląd polityczny, przez J. I. Kraszewskiego. W korrespondencyi z Krakowa, czytamy na czele wspomnienie o zgasłym przedwczesnie Mieczysławie Romanowskim.

„Romanowski (czytamy) był zarówno silny ciałem jak duszą, a starożytne przysłowie: w pięknem ciele, piękna dusza, sprawdziło się na nim w zupełności. Wzrost słuszny, budowa ciała kształtna i silna, postawa imponująca, a oko, owe zwierciadło ducha, błyskało promieniem poetyckiego natchnienia”.

Międzyrocznik wzmiankowany jest 867,6 razy w książce
1841-1842 w dniu 1841

TERMOMETR				BAROMETR			
w stopniach Celsjusza				w milimetrach słupkowych			
1	2	3	4	5	6	7	8
10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
10.1	10.1	10.1	10.1	10.1	10.1	10.1	10.1
10.2	10.2	10.2	10.2	10.2	10.2	10.2	10.2
10.3	10.3	10.3	10.3	10.3	10.3	10.3	10.3
10.4	10.4	10.4	10.4	10.4	10.4	10.4	10.4
10.5	10.5	10.5	10.5	10.5	10.5	10.5	10.5
10.6	10.6	10.6	10.6	10.6	10.6	10.6	10.6
10.7	10.7	10.7	10.7	10.7	10.7	10.7	10.7
10.8	10.8	10.8	10.8	10.8	10.8	10.8	10.8
10.9	10.9	10.9	10.9	10.9	10.9	10.9	10.9
11.0	11.0	11.0	11.0	11.0	11.0	11.0	11.0
11.1	11.1	11.1	11.1	11.1	11.1	11.1	11.1
11.2	11.2	11.2	11.2	11.2	11.2	11.2	11.2
11.3	11.3	11.3	11.3	11.3	11.3	11.3	11.3
11.4	11.4	11.4	11.4	11.4	11.4	11.4	11.4
11.5	11.5	11.5	11.5	11.5	11.5	11.5	11.5
11.6	11.6	11.6	11.6	11.6	11.6	11.6	11.6
11.7	11.7	11.7	11.7	11.7	11.7	11.7	11.7
11.8	11.8	11.8	11.8	11.8	11.8	11.8	11.8
11.9	11.9	11.9	11.9	11.9	11.9	11.9	11.9
12.0	12.0	12.0	12.0	12.0	12.0	12.0	12.0
12.1	12.1	12.1	12.1	12.1	12.1	12.1	12.1
12.2	12.2	12.2	12.2	12.2	12.2	12.2	12.2
12.3	12.3	12.3	12.3	12.3	12.3	12.3	12.3
12.4	12.4	12.4	12.4	12.4	12.4	12.4	12.4
12.5	12.5	12.5	12.5	12.5	12.5	12.5	12.5
12.6	12.6	12.6	12.6	12.6	12.6	12.6	12.6
12.7	12.7	12.7	12.7	12.7	12.7	12.7	12.7
12.8	12.8	12.8	12.8	12.8	12.8	12.8	12.8
12.9	12.9	12.9	12.9	12.9	12.9	12.9	12.9
13.0	13.0	13.0	13.0	13.0	13.0	13.0	13.0
13.1	13.1	13.1	13.1	13.1	13.1	13.1	13.1
13.2	13.2	13.2	13.2	13.2	13.2	13.2	13.2
13.3	13.3	13.3	13.3	13.3	13.3	13.3	13.3
13.4	13.4	13.4	13.4	13.4	13.4	13.4	13.4
13.5	13.5	13.5	13.5	13.5	13.5	13.5	13.5
13.6	13.6	13.6	13.6	13.6	13.6	13.6	13.6
13.7	13.7	13.7	13.7	13.7	13.7	13.7	13.7
13.8	13.8	13.8	13.8	13.8	13.8	13.8	13.8
13.9	13.9	13.9	13.9	13.9	13.9	13.9	13.9
14.0	14.0	14.0	14.0	14.0	14.0	14.0	14.0
14.1	14.1	14.1	14.1	14.1	14.1	14.1	14.1
14.2	14.2	14.2	14.2	14.2	14.2	14.2	14.2
14.3	14.3	14.3	14.3	14.3	14.3	14.3	14.3
14.4	14.4	14.4	14.4	14.4	14.4	14.4	14.4
14.5	14.5	14.5	14.5	14.5	14.5	14.5	14.5
14.6	14.6	14.6	14.6	14.6	14.6	14.6	14.6
14.7	14.7	14.7	14.7	14.7	14.7	14.7	14.7
14.8	14.8	14.8	14.8	14.8	14.8	14.8	14.8
14.9	14.9	14.9	14.9	14.9	14.9	14.9	14.9
15.0	15.0	15.0	15.0	15.0	15.0	15.0	15.0

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIM.

Maj. 1863.

Maj, 1863.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad
1°14'45",7 czyli w łuku 18°41'25",5

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		753.89	755.76	754.25	753.58	754.37	+50.6	+100.6	+100.1	+60.5	+80.20
2		753.59	754.47	754.92	755.59	754.64	6.4	8.3	12.9	7.8	8.85
3	☉	754.79	753.38	749.42	747.20	751.20	5.2	12.5	17.1	9.9	11.17
4		744.47	741.24	742.94	744.20	743.96	8.5	15.9	22.0	13.6	15.00
5		744.69	745.79	745.85	747.03	745.84	12.4	16.8	19.1	12.9	15.30
6	Perig.	748.63	750.68	751.92	754.34	751.39	11.0	16.2	17.0	9.5	13.42
7		756.81	755.44	753.47	753.11	754.71	5.8	12.6	17.1	11.2	11.67
8		753.56	752.26	753.62	757.20	754.16	8.4	16.9	15.2	4.5	11.25
9		758.64	757.94	754.72	754.07	756.34	3.9	9.9	14.6	10.4	9.10
10	☾	751.11	749.92	748.32	747.89	749.31	5.8	7.3	11.8	7.0	7.91
11		748.70	749.45	748.85	749.30	749.08	7.7	17.3	23.3	15.5	15.95
12	Rów.	751.38	751.20	751.60	751.93	751.53	10.8	15.7	20.2	14.8	15.37
13		751.47	751.00	748.31	748.27	749.76	12.0	20.7	26.0	17.7	19.10
14		748.26	748.66	747.01	749.20	748.28	15.0	22.2	24.4	15.4	19.23
15		752.47	753.57	752.55	752.71	752.82	14.1	17.3	22.8	16.4	17.69
16		752.51	752.53	750.89	751.30	751.81	15.0	21.6	26.4	20.4	20.85
17	☉	752.19	752.42	750.92	751.06	751.65	15.2	22.2	25.8	18.1	20.32
18		750.46	750.25	748.51	748.62	749.46	16.6	25.2	29.6	20.9	23.07
19		747.93	747.98	745.80	745.68	746.85	17.1	25.6	29.0	20.6	23.07
20		745.62	746.51	745.79	748.40	746.58	14.2	15.2	21.2	10.8	15.42
21		750.12	750.12	750.27	750.62	750.28	6.8	11.6	12.9	10.8	10.52
22	Apog.	750.43	750.32	749.00	748.39	749.53	7.5	12.5	15.8	11.8	11.90
23		747.48	747.20	745.88	745.35	746.48	10.7	15.5	18.5	11.5	14.03
24		742.64	742.04	738.67	736.77	740.03	10.6	12.0	19.9	13.6	14.02
25	☾	737.39	739.55	741.28	743.61	740.46	14.4	17.6	15.4	11.3	14.67
26	Rów.	745.75	747.56	749.87	752.19	748.84	9.5	10.7	12.9	9.7	10.70
27		753.48	754.05	753.41	753.94	753.72	9.9	16.2	17.1	12.0	13.80
28		754.81	754.52	754.55	753.46	754.33	9.2	12.9	10.6	7.3	10.00
29		754.08	753.51	752.24	750.67	752.62	7.1	12.9	14.4	11.0	11.35
30		746.21	745.77	746.93	749.81	747.18	12.9	13.9	12.0	8.0	11.70
31		751.17	751.26	752.46	750.88	751.44	6.7	11.2	14.4	9.7	10.50
Sr.		749.49	750.30	749.49	749.88	749.79	+100.18	+150.39	+180.40	+120.27	+140.06

Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiem.

ziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie
wschód względem południka paryzkiego.

Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim.		Wysok. wody na Wiśle	
	6	10	4	10	6	10	4	10	Z			
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.	dész-	śnie-	stop.	cali
86.7	pochm.	pochm.	pochm.	poch. dės.	Z1.	Z1.	PdW1.	PdZ1.	2.0		3	2
75.7	pochm.	pochm.	napól pog.	pogodny	PnZ1.	PnZ1.	Pn1.	Pn1.	2.5		3	2
65.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW3.	PdW2.	PdW1.			3	5
69.7	napól pog.	pogodny	pr. pogod.	poc. dės.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	Pd2.	5.7		3	7
66.7	napól pog.	pr. pogod.	napól pog.	pogodny	Z2.	Z1.	PdZ1.	PdZ1.			3	8
64.7	pr. pogod.	pochm.	napól pog.	pogodny	Z1.	PnZ3.	Pn1.	Pn1.			3	9
55.7	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW1.	W1.	PnW1.	—			4	1
59.2	pogodny	pogodny	napól pog.	pogodny	Z1.	Z2.	PnZ3.	Pn3.			5	1
49.0	pogodny	pogodny	pogodny	napól pog.	PnZ2.	PnZ3.	Pn3.	Pn3.			5	4
91.7	poch. dės.	dėszeż	pochm.	pochm.	Pn1.	PnW2.	Pd2.	Pd1.	3.5		5	1
63.7	pogodny	pogodny	pr. pogod.	pogodny	Pd2.	Pd2.	Pd2.	Pd2.			4	9
56.7	napól pog.	napól pog.	napól pog.	napól pog.	Pn2.	Pn2.	Pn1.	PnZ1.			4	9
55.2	pogodny	pogodny	pogodny	napól pog.	PnW1.	PdW1.	PdW2.	—			4	7
68.5	pogodny	pogodny	napól pog.	poc. dės.	PnW2.	Pd2.	PdW1.	Pn1.	4.0		4	3
65.7	pogodny	napól pog.	pr. pogod.	napól pog.	Pn1.	PnW1.	Pn1.	Pn1.			4	0
57.7	napól pog.	pr. pochm.	pr. pogod.	pogodny	Pd1.	PdW1.	PdZ2.	PnZ1.			3	9
62.2	pogodny	pogodny	napól pog.	pogodny	Pn1.	Pn1.	W1.	PdW1.			3	6
55.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdZ1.	—			3	5
50.7	pogodny	pogodny	napól pog.	napól pog.	PdW1.	Pd1.	PdZ2.	Z1.			3	3
67.0	napól pog.	pog. dės.	pogodny	napól pog.	PnW2.	PnW2.	PnW3.	PnW3.	2.3		3	2
61.0	napól pog.	napól pog.	pochm.	pochm.	PnW2.	Pn2.	Pn1.	Pn2.			3	2
55.7	napól pog.	napól pog.	pochm.	pochm.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	PdW1.			3	2
69.7	pochm.	napól pog.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pn1.	Pd1.	PdW1.	2.0		3	2
93.7	dėszeż	dėszeż	pochm.	dėszeż	PnW1.	W1.	PnW1.	Pn1.	31.8		3	3
88.0	poch. mgła	pochm.	poch. dės.	pochm.	Z1.	PdZ1.	Z1.	PdZ2.	2.3		3	4
74.0	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	Z2.	Z2.	PnZ1.	Pn1.			3	3
64.0	napól pog.	napól pog.	pr. pochm.	napól pog.	PdZ1.	PdZ3.	Z2.	Z1.			2	2
83.5	pochm.	pochm.	dėszeż	napól pog.	Z2.	PnZ3.	PnZ3.	Z2.	1.5		3	2
84.2	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ2.	PdZ2.	Z2.	PdZ1.			3	3
85.0	pochm.	pochm.	pochm.	napól pog.	Z3.	Z3.	Pn2.	PnZ1.	3.5		3	1
63.2	pr. poch.	napól pog.	napól pog.	pochm.	Pn1.	Pn1.	Z1.	PnZ1.			3	0
68.0									61.1		28.4	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.79	27	8.379
Najwyżej barometr dochodził d. 9 o g. 6 r.	758.64	28	0.302
Najniżej — — d. 24 o g. 10 w.	736.77	27	2.647
Średnia dzienna zmiana barometru	3.34		1.480
Największa dzienna zmiana barometru d. 3—4 o godz. 6 rano w czasie pełni	10.32		4.572
Średnia wysokość barometru jest większa o od stanu normalnego z 37 lat poprzedzających	0.68		0.302
	749.11	27	8.077
Średnia temperatura maja wynosi	+ 14° 06	C.	+ 11° 25 R.
Największe ciepło dochodziło d. 18 o g. 4 w.	+ 29.60	"	+ 23.68 "
Najmniejsze — — d. 9 o g. 6 r.	+ 3.50	"	+ 2.80 "
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.11	"	2.49 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 10—11 o godz. 4 wiecz. w czasie ostatniej kwadry	11.50	"	9.20 "
Średnia temperatura maja jest większa o od stanu normalnego z 37 lat poprzedzających	0.59	"	0.47 "
	+ 13.47	"	+ 10.78 "
Termometrograf wskazał: Maximum: + 30° 0 C. = + 24.0 R. d. 18 i 19 po połud.			
Minimum: + 1° 2 " = + 1.0 " d. 9 w nocy.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 68.0 biorąc 100 za zupełne nasyce-
nie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 8.33 gramów na jednym metrze
sześciennym powietrza; wilgotność ta jest prawie równa normalnej (68.1).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi: 61.1 mil. czyli 27.07 lin.
par.; więcej o 6.5 mil. czyli 2.88 lin. par. od ilości wody jaka zwykle u nas
w maju spada (54.6 mil. czyli 21.18 lin. par.).

Stan elektryczności atmosferycznej co do jej natężenia średni miesięczny jest:
20.5 stopni; największe natężenie siły elektrycznej dochodziło 58 stopni d. 10
o godz 10 rano w czasie drobnego deszczu.

Dni pogodnych było 8, napółpogodnych 15, pochmurnych 8.

Dni deszczu 11 (d. 1, 2, 4, 10, 14, 20, 23, 24, 25, 28 30).

— mgły 2 (d. 20, 25).

— błyskawic i grzmotów 3 (d. 4, 14, 24).

— błyskawic bez grzmotów 2 (d. 11, 19).

Wiatrów mocnych 8: (1 Pn, 2 PnW., 1 PdW., 1 Z., 3 PnZ.).

Wiatr panujący: Północny, częste także były wiatry: Południowo-Wschodnie
i Zachodnie.

Maj r. b. w początku i przy końcu był chłodny i napół pogodny, w środku go-
rący i suchy jak w porze letniej, w ogóle był pogodny i blisko o pół stopnia R.
cieplejszy niż zwykle. Cztery dni: 16, 17, 18, 19 były nie zwykle gorące d. 18
i 19 termometr w cieniu pokazywał 24 stop. R., a na słońcu blisko 26 stop. R.
Pięć dni: 1, 2, 3, 4 i 10 były chłodne, dnia 9 w nocy temperatura wynosiła tylko
1 stopni. Trzy dni: 12, 13, 14 św. Pankracego, Serwacego i Bonifacego, które
zwykle bywają chłodne, w tym roku przeciwnie były ciepłe; jednak dwa dni po-
przednie 9 i 10 były znacznie chłodne. Największa zmiana dziennej temperatury
9.2 stop. R. przypadła d. 10 na 11; druga znaczna zmiana 8,3 stop. R. przy zmia-
nie wiatru południowego na północny przypadła d. 19 na 20. Deszcze padały rzad-
ko ale obficie. Dnia 24 przy grzmotach i błyskawicach padał deszcz tak ulewny,
iż woda z niego wynosi co do wysokości 14.1 lin. par. to jest więcej niż połowa
ilości wody miesięcznej. Pod względem stanu nieba, miesiąc ten był pogodniejszy
niż zwykle, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół po-
godnych i pochmurnych jest jak: 5.8:13.1: 2.1; w r. b. stosunek tychże dni jest
jak: 8:15:8. Pierwsza połowa maja pogodniejsza była niż druga.

Na słońcu pokazywały się plamy, wyjąwszy d. 23, w którym słońce było czyste
i wolne od plam.

D. 17 podczas Nowiu przypadło zaćmienie słońca cząstkowe w Warszawie wi-
działne. Początek zaćmienia nastąpił o godz. 6, m. 57, sek. 7 wieczór, poczem słoń-
ce w części zaćmione pod poziom zaszło. Podczas zaćmienia widać było na tarczy
słońca kilka plam a szczególnie jedną wielką.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stóp 3 cali 8.4 n.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 9..... stóp 5 " 4 " "

" " najmniejsza " d. 31..... stóp 3 " 0 " "

POLSKA W ROKU 1646, A POLSKA W ROKU 1648.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

PRZEZ

Karola Szajnoche.

VII. Sejm.

Słyszeliśmy o owem „fatalném zleniwieniu” pokolenia na łonie szczęścia i błogich wczasów. Zwlekając pobór podatków, ruszenia pospolite, każdą sprawę publiczną, opóźniała ta niepoczesna przywara także drogę na sejm. Miał on trwać zwyczajnie, jak mianowicie w obecnym r. 1646, przez 6 tygodni, a znaczna część senatorów i posłów przybywała dopiero w trzecim, czwartym tygodniu. „Między najpierwszemi mieszanin sejmowych przyczynami”, czytamy w pewnym niedrukowanym projekcie naprawy sejmowania w tych czasach: „kłaść trzeba, że się późno i nie razem na sejm zjeżdżamy.... Któryby tedy z posłów najdalej trzeci dzień w sejm wstąpiwszy, nie przyjechał, a nie dał słusznej przyczyny opóźnienia, ma być ekskludowany. Niech wiedzą i uważają województwa, kogo obierają. Wprawdzie i na panów senatorów mogłoby się to rozumieć, ale iż niektórzy tytuły trzymają bez intraty, poseł co sejm to inszy, i mogą mu bracia na sejmiku koszt nagrodzić, senator zaś jako nieustający, trudnoby takiemu wydołać mógł kosztu-

wi, mając zadosyć, kiedy na jakikolwiek czas z dobrą ku ojczyźnie zjedzie żarliwości; niemóglszy zaś na całych bywać sejmach, opuszczalby wszystkie”.

Podobnie i na początek sejmu tegorocznego zjechało „bardzo nie wielu” posłów i senatorów. Zwłaszcza ci ostatni przybyli jeszcze mniej licznie niż zwyczajnie, a dziwnym acz zrozumiałym sposobem brakowało właśnie najżyczliwszych królowi. Przyszło bowiem stawać na sejmie w jego obronie, a ponieważ to podawało w niechęć u szlachty, przeto ocalano się późnym wyjazdem albo zupełną nieobecnością. Wszystkim przybyłym wskazali marszałkowie koronni i litewscy przeznaczone dla nich „gospody” w domach mieszczańskich, szczupła zaś liczba zjazdu nie przeszkadzała bynajmniej otwarciu sejmu. Zagajono go więc zwyczajnym trybem na zamku, w przeznaczonym dniu 25 października we czwartek, solennym nabożeństwem w przyległej zamkowi kolegiacie św. Jana. Po nabożeństwie zebrani w swoich górnych salach senatorowie witali króla, koło zaś poselskie w dolnych zajęło się tak zwanymi rugami czyli sprawdzeniem wyboru posłów i obraniem marszałka. W obecnym roku należała laska marszałkowska z kolei posłom litewskim, z pomiędzy których obrany został jednogłośnie stary żołnierz i prawnik, Jan Mikołaj Stankiewicz, pisarz ziemski księstwa żmudzkiego i cywun ejragski. Ten po oznajmieniu o tem królowi i otrzymaném odeń zaproszeniu „na górę”, zaprowadził nazajutrz całe koło rycerskie do senatu, gdzie długą, pochwalną przemową powitawszy króla w imieniu izby, i takąż z ust podkanclerzego Leszczyńskiego otrzymawszy odpowiedź, przystąpił z wszystkimi posłami do pocałowania ręki królewskiej. Na tem skończyły się wstępne *solennitates* sejmowe, a równe powszechne posiedzenie wszystkich trzech stanów, odbyte nazajutrz dnia 27 z rana, odczytaną przez w. kanclerza kor. propozycją królewską rozpoczęło szereg obrad właściwych.

Była propozycja królewska w każdym razie cennym płodem pióra Ossolińskiego, i w surowy lecz godny sposób odpowiadała na dotychczasowe postępowanie kraju z projektem wojny. Składało ją kilka różnej treści ustę-

pów, z których pierwszy kreślił w ogólnych rysach obecne położenie ojczyzny, dwa następne traktowały o dwóch głównych przedmiotach obrad, t. j. o wojennych zamysłach króla i o wynagrodzeniu niektórych uszczerbków ziemskich, niedawnem rozgraniczeniem Polski od państwa moskiewskiego sprawionych. Ustęp ostatni mniej ważne zawierał rzeczy, a przynajmiej o wiele mniej gorąco sejm obchodzące. Nierad zapewne, iż w tak szczupłym czytać ma zgromadzeniu, powstał w. kanclerz kor. swoim obyczajem żywo z krzesła ministrów, i przemówił w obec króla na tronie, w obec siedzących dwoma rzędami senatorów i nielicznego koła stojących pośrodku posłów, za którym w głębi nie wielka gromadka tak zwanych arbitrów czyli świadków.

„Osadzili eni Polacy w polach otworzystych swobodne królestwo swoje, samęj tylko miłości a jednostajnej między stanami konfidencyi murem otoczone. Wystawili w pośrodku wysoką majestatu królewskiego strażnicę, aby z niej najodleglejsze burze upatrującego jedynego Pana słyszeć mogli wczesnie przestrogi. Opasali strażnicę gronem sędziwych senatorów, chcąc aby przy przestroгах pańskich, czego rzeczypospolitej potrzeba, dojrzała a nie porywczą na wsze strony dawali radę. Sami do wojennego przypasani oręża, mężną i odważną na się wzięli funkcyą ochotnej publicznego bezpieczeństwa obrony. W tém postanowieniu trwa i trwać będzie, da Bóg nieporuszona całość, sława i ozdoba naszej miłej ojczyzny. Niesmakować jednak i mieszać usiłuje tak dobrze ordynowaną formę rządu pospolitego bezenna chciwość zysków prywatnych. Z wyuzdaną spiknąwszy się presumpcyą, osobliwie na ową celną zobopólnej konfidencyi szturmując twierdząc, jakby nieprzyjacielowi i jego fortelom odkrywając to dobro pospolite, mogła swojej niezbędnej tém snadniej dopiąć prywaty. Ztąd pochodzi czulego i dobrotliwego pana przestrogom powinnej ufności umykanie, i zapamiętałe, że niskąd obawiać się niebezpieczeństwa nie potrzeba, upewnianie. Ztąd pieczołowania gorliwego opaczne tłumaczenie, braterskiej senatu rady lekkie poważanie, a co najgorsza ztąd całej rzeczypospolitej zamieszanie, gdy się sejmy

z téjże padają przyczyny, a ojczyzna w nagłym razie bez wszelkiej odbieżaną bywa obrony. Boleje serce ojcowskie Jego Król. Mości Pana Naszego miłościwego na świeże przykłady, a tém bardziej boleje, im pewniej sobie obiecował, że za szczęśliwego króla J. Mości panowania wygnaną być miała na zawsze ta wichrowata dobra pospolitego nieprzyjaciółka”.

„Spłodzony bowiem będąc na łonie jednej wspólnej ojczyzny, z mlekiem prawa jej ustawy i obyczaje wysawszy, już w najpierwszej młodości Bogu i światu wiadome dokumenty gorliwej ku niej dawszy miłości, a na ostatek jednostajnymi wolnymi głosami za ojca raczej aniżeli za pana na tronie posadzony, stateczną wspierał się nadzieją, że nie tylko powszechną ku osobie swęj ale i zobopólną wszystkich poddanych swych miał się cieszyć miłością, zgodą i konfidencyą, za którą nie tylko w samej sobie szczęśliwą, ale jak nieprzyjaciółom straszną tak od przyjaciół podziwianą i uwielbianą, oddać snadnie mógł tę rzeczpospolitą następującej potomności. I teraz król J. Mość Pan N. Miłościwy bynajmniej nie desperuje, i owszem z ojcowskim affektem, jako przez posły swe po sejmikach, tak i teraz na sejmie niniejszego początku do téj miłości, zgody i konfidencyi upominać i pobudzać W. Mściów raczy, o sobie upewniając, że jakkolwiek niekiedy złośliwe a raczej płochę i płonne udawały pogłoski, nie znajdzie się w sercu króla J. Mości insza myśl, tylko ojcowska o całości, sławie, swobodach i wszelakiej tych enych narodów szczęśliwości pieczołowitość, z której i to pochodzi, że wczesnie W. Mściów na ten plac rad publicznych zwoławszy, prace i niewczasys swoje przy starganém niemi zdrowiu ofiarując, to wszystko W. Mściom przez propozycye swoje ogłasza, cokolwiek z owęj wysokiej strażnicy strasznego i niebezpiecznego ojczyźnie upatrzeć raczy. A naprzód od pogan”.....

Odtąd jako „pierwszy punkt” propozycyi następuje wyszczególnienie klęsk od Tatarów, z którymi stany sejmujące łatwiej dozwolić mogły wojny niż z Turcyą, a „których śmiałość tak dalece wzrosła cierpliwością rzeczpospolitęj”; opiewa dalej propozycya królewska, „że

ani na pakta, ani na sromotne od nich za haracz miane upominki, ani na Kozaków krwią szlachecką zahamowanie, ani na swoje od nich Kudaku zbudowaniem i osadzeniem uspokojenie niedbając, państwa króla JMci co-rocennie nawiedzają niezliczonemi szkodami i pożogami, więziami Krym i Budziaki napełniają, tych nie wspominając, których w wieczną zaprzędają niewolę. I tyle sobie w tém pozwalają, że i pod sam Jego Król. Mości bok, przed kilku miesięcy poseł ich szlacheica polskiego pana Zamojskiego, świeżo na Siewierzu pojmanego, w ciężkich kajdanach przyprowadzić i tu wolnej krwi szlacheckiej sromotny bazar zakładać śmiał, z niezmazaną hańbą narodów naszych, a nieutulonym Jego Król. Mości i wszystkiego dworu na to patrzącego żalem. Do takowego bezpieczeństwa przychodzi pogaństwu patrząc na szczupłe ku obronie granic rzeczypospolitej wojsko, które wprawdzie nie podało dotąd całkowiec na łup i zagładę miłej ojezyny, oddalić jednak klęsk wszelkich i niewoli od wielu miłych braci naszych ani mogło ani może, przy szerokich nader otworzystych tamtej granicy wrotach. A zatem gdyby (na co i wspomnieć wzdryga się umysł), strzeż Boże, powinąć się noga tak skurczonej obronie miała, w jakiej toni zostawałyby państwa tej rzeczypospolitej, na samych W. Mościów uwagę król J. Mość puszczać raczy”.

„Co wszystko upatrując Jego Król. Mość wysokim i przezornym rozsądkiem swym pańskim, a wczesnie tak srogiemu niebezpieczeństwu chcąc zabezpieć, wziął był przedsię jak najpotężniejszy wojsku rzeczypospolitej przysposobiwszy supplement z ostatka skarbu królewskiego i z przyjacielskiej pomocy, zwłaszcza gdy pogaństwo rozerwane wojnami inszemi posiłkowaćby się snadno nie mogło, taki za pomocą Bożą ojezynie naszej pokój sprawić, za jakimby już nietylko bezpiecznie ale i z chlubą spoczywać mogła. Lecz że nie wiem, jakim nieszczęsnem dla rzeczypospolitej zrządzeniem, przeciwne żądanie wyszpeciło tak świątobliwą Jego Król. Mości intencją, jakoby wojnę zaczepną bez wiedzy rzeczypospolitej podnosić, wojska cudzoziemskie w wnętrzości państwa wprowadzać, i coś (czego wiernego i pocziwego

poddanego o tak dobrotliwym panu usta wymówić nie mogą) knować przeciw Rzeczypospolitej umyślił; przeto zahamować gorliwość, którą pałał do tak wielkiego dzieła i ono sejmowi temu całe zachować raczył. Jakoż i teraz przykładem sejmu przeszłego dzieło swoje w ręce W. Mciów oddawa, po ojcowsku żądając, abyście na bok odłożywszy niechęci wolnym i spokojnym sercem a ważnym rozsądkiem w to wejrzeli, czego po W. Mciach wymaga chwała Boża, swoboda dusz Jego krwią odkupionych, pewność lubego pokoju, całość granic i sława tych cnych narodów, tém tylko samém niepoczuciwaniem się w oczach świata wszystkiego nieco zaćmiona”.

Kończy pierwszy punkt propozycyi oznajmieniem sejmowi dwóch przeciwnych żądań Krymu i Moskwy. Chan krymski domaga się „plugawych upominków trybutu”, którym „jeśli Orde na nowe szkody i kajdany braci naszej posilić”, albo jak wolnemu narodowi przystało, wzgardzić należy, sama Rzeczpospolita niech rozstrzygnie. Car moskiewski ofiaruje przymierze przeciw Tatarom, które mimo opacznych wieści nie stańło jeszcze dość mocno między obu państwami, aby go stany sejmujące nie mogły według woli swojej zatwierdzić albo odrzucić. Jaką zaś wagę miało to przymierze podówczas, okaże się najlepiej z własnych słów propozycyi. „Rozumie to Jego Król. Mość najwyższém szczęścia błogosławieństwem tej Rzeczypospolitej”, czytał kanclerz w obec króla i stanów, „za szczęśliwego panowania swego wynikajacém, że ten naród jadowitą dotąd nienawiść przeciwko nam okazując, tak dalece teraz zachodzi w przyjaźń i konfidencyą, czego wielki wojownik król ś. p. Stefan tak gorąco pragnał, i na tém oswobodzenie państw kor. od ustawicznej subyekcji tatarskiej pokładał. Taż była opinia wielkiego wodza z niewymownym króla J. Mci żalem i nieoszacowaną ojczyzny stratą w tym roku zmarłego, ale w wysokich cnotach, zasługach, tryumfach, na wieki żyjącego”.

Z tą ofiarą przymierza ze strony młodego cara Alexeo Michałowicza wiąże się drugi punkt propozycyi królewskiej, którym jest sprawa rozgraniczenia czyli tak zwane „dokończenie granic” między Polską a Moskwą,

rozpoczęte niebawem po ostatnim pokoju z carem Michałem nad Polanówką w r. 1634. Dawniejszym jeszcze rozejmem w Dywilinie r. 1619 odstąpiła była Moskwa Polsce między innymi ziemiemi także 15 milowy trakt Trubecki za Dnieprem, który Moskale w ciągu późniejszych traktatów o „dokończenie granic” wymieniać chcieli koniecznie za inną ziemię swojego carstwa. Po różnych bezskutecznych komisyjach ofiarowano nareszcie przed dwoma laty tak znaczny okup za Trubeck, iż Władysław IV w ostatecznej ugodzie z posłami moskiewskimi, w miesiącu wrześniu 1644 odstąpił w istocie Trubeck, i tém dopiero całą długoletnią sprawę „dokończenia” szczęśliwie zamknął. Ale powrót włości trubeckiej do Moskwy zafrasował równie jej posiadaczów dzisiejszych t. j. małoletniego potomka Gedyminów Jerzego Wiganda Trubeckiego, jego matkę Elżbietę i kilku pomniejszych posiadaczów w sąsiedztwie, jak przed wszystkiemi całe W. Ks. Litewskie, do którego Trubeck w czasie połączenia z Polską należał. Małoletni książę Trubecki nie chciał wraz z swoim gniazdem ojczyznem wracać pod panowanie moskiewskie, lecz domagał się od rzeczypospolitej albo dóbr innych, albo wynagrodzenia pieniędzmi; Litwa zaś podobnie chciała wynagrodzoną mieć stratę dochodów i siły zbrojnej z Trubecka. Należało więc uczynić zadość prawom Litwy i sierociego książątka, a jaki sposób najlepiej odpowiedziałby temu, pozostawia król zgodnej radzie stanów zebranych.

Téjże radzie poleca ostatnia część propozycyi kilka dawnych, na każdym prawie sejmie powtarzających się wniosków, między któremi na pierwszym miejscu ustanowienie komisyji do traktatów o pokój wieczny ze Szwecyą, obwarowanie reszty Inflant i Dynaburga, zapłata wojsku ukraińskiemu, obmyślenie sposobu zgodnego konkludowania sejmów, naprawa trybunałów i t. p. Przy wzmiance o wojsku musiała propozycya, stósownie do zwyczaju oddać publiczną pochwałę nowo mianowanemu hetmanowi wielkiemu Potockiemu; lubo ostatni jego postępek z królem, wzbronienie się od pochodu ku Kamieńcowi nie zjednał mu bynajmniej pochwały w sercu królewskiem. Dla nowo ukoronowanej królowej Maryi Lu-

dwiki żąda król takięj reformacyi czyli oprawy, jaką miały inne królowe polskie; dla siebie prosi o resztę niedopłaconęj jeszcze w niektórych województwach „wdzięczności”, dla skarbu zaś królewskiego o dawno już zarządzoną, ale niepodjętą jeszcze rewizyę owęj solnej wojewody krakowskiego wsi Swierczy. Zamyka propozycya przyrzeczeniem do wzajemnej gotowości spełniania wszelkich życzeń narodu. „Cokolwiekby stany koronne w słusznych od Jego król. mości postulatach zażądać chciały, na wszystko hojną i szcudrobliwą ręką z zwyczajnego affektu swego Jego król. mość zezwolić będzie raczył”.

Po skończonęj propozycyi przyszło zabrać głos senatorom odpowiadającym na przedłożenia królewskie. Rozpoczynali kolej senatorowie duchowni, dziś przydłuższą, ale całkiem niezrozumiałą mową sędziwy arcybiskup gnieźnieński Maciej Łubiński. Mówił jednak starzec tak cichym głosem, że nikt ani słyszeć go nie mógł, ani notować”, a gdy nadto i w kole poselskiem i w senacie bardzo niewielu było słuchaczów, odłożono dalsze wota senatorskie do poniedziałku. Ale i w poniedziałek tak mało jeszcze zjechało senatorów, że mimo zwyczajną długość ich wotów przeciągnęły się one zaledwie kilku ostatniemi głosami nad dzień dzisiejszy. Toż czego od dawna nie pamiętano, wotowali dziś dnia jednego dwaj biskupi, jeden wojewoda i jeden z kasztelanów, to jest ks. biskup chełmski z ks. podkanclerzym Leszczyńskim, wojewoda rawski Jędrzej Grudziński, kasztelan sieradzki Przemysław Bykowski. Nazajutrz zabierali głos kasztelanowie: gdański Stanisław Kobierzycki, radomski Pękosławski, brzeziński Piotr Charbicki, przemyski Zygmunt A. Tarło, sochaczowski Łajszewski z liwskim, wszyscy wielkim gniewem ku swoim nieobecnym kolegom poruszeni. Ponieważ bowiem nieobecność ich pochodziła głównie z obawy wynurzenia otwarcie sądu swego o wojnie i narażenia się tęp albo szlachcie, albo królowi, przeto spadał cały ciężar tęp otwartości na niewielu obecnych, wielce nim przygniecionych w istocie. Prawie każdy tęp w mowie swojej sarkał Kobierzyckiego słowami na tych „Ichmościów, tylko w domu wymownych, tu zaś w senacie nieobecno-

ścią swą oniemiałych”, a ks. podkanclerzy Leszczyński nazwał ich nawet sprawcami wszystkich nieszczęść ojczyzny. „Często i zawsze najpierwsza w stanie senatorskim bywa ta kwerymonia”, uskarżał się podkanclerzy u wstępu swojej mowy, „że z tak wielkiej liczby senatorów ledwie kilku albo kilkunastu na początek sejmu zjeżdża się, w czem główną winę nieszczęść Rzeczypospolitej pokładają. A zaprawdę pojrzawszy teraz na tę w senacie W. Król. Mości pustynię (okrom nas, kilku sług, urzędników i rezydentów przy boku W. Król. Mości, sam tylko J. Mość ks. arcybiskup z kilką ichmości przybył), słusznie każdy z nas tę zwyczajną kwerymonię ponowić i do nieszczęść Rzeczypospolitej policzyć może. A tym bardziej i słuszniej, że prywatnie siła się pokazuje być miłośnikami ojczyzny, stają śmieło w obronie swobód i praw ojczystrych, intencye W. Król. Mości różnie interpretując i na nas wiernych sług i urzędników W. Król. Mości oneę składają. Ale jako o nasze urzędy wszystkie nawałności uderzać się zwykły i my je znosić musimy, tak i tę inwidyą wolnego głosu na się bierzemy”.

A co głos wolny wymagał od śmiałych senatorów, tём oni według swego mniemania jak najgorliwiej przysłużyli się dobru pospolitemu. Wszystkie wota senatorskie wypadły niepomyślnie dla wojny, jak ją król Władysław zamierzał. Nie zaprzeczono mu wprawdzie zupełnem na nią niezezwoleniem, ale dozwolano tylko odporniej, obarczając ją nadto warunkami nad wszelką możność przyjęcia. Tylko dwóch kasztelanów w drugim dniu wotów: Zygmunt A. Tarło przemyski, i Piotr Charbicki brzeziński, nie pozwalali na żadną wojnę z ludami muzulmańskimi, jako w każdym razie zabójczą narodowi. „Być nam ślimakiem i nie wyściwiać lba ze skorupy”, zawołał pan przemyski, „jeżeli nie chcemy pożartemi być od téj hydry”. Wszyscy inni nie rozpaczali o ratunku ojczyzny, ale jedynie wojnę obronną w dobrze obwarowanych granicach kraju oczekiwaną, krajowem nie cudzoziemskim wojskiem podjętą. Posła tymczasem z oświadczeniem pokoju wyprawiać do Carogrodu, jak tego wszystkie instrukcyje sejmikowe żądają, poczytuje

mądry podkanclerzy w obec jawnych przygotowań wojennych w Polsce za wybieg bezskuteczny i ubliżający zarówno. Za to zdało mu się rzeczą potrzebną, a kasztelan gdański z innymi przywtórzył w tém głośno podkanclerzemu, aby nawet wojny obronnej nie dozwalać inaczéj, jak pod trzema warunkami nastépnéj treści: 1) aby nowemi konstytucyami wzbronione zostały królowi wszelkie zaciągi; 2) aby tegorocznych zaciągów nie płaciła rzeczpospolita; 3) aby król nie osobiście, lecz przez hetmanów prowadził wojnę.

Tym ostatnim warunkiem upadał cały zamysł wojenny. Cóż narodowi po wojnie toczonéj przez hetmanów tak przeciwnych wszelkim krokom nieprzyjacielskim, jak Potocki i Kalinowski? Zresztą tylko osobiście dowodząc całej wyprawie, mógł król Władysław spodziewać się niezbédnego wsparcia państw zagranicznych. Nie wojna więc jakakolwiek, lecz zupełne jej uniemożebnienie zwłokami i kondycyami było ostateczną treścią mów senatorskich. Taki, nie inny zamiar miały one we wszystkich dalszych ustępkach swoich. Każda uderzała gwałtownie na wprowadzone do kraju zaciągi cudzoziemskie, które jak najprędzéj licencyować należy. W każdéj odzywało się równéż oburzenie przeciw cudzoziemcom u dworu, jedynym teraz doradcóm i powiernikom królewskim, z krzywdą usuniętych od zaufania krajowców. Jak żołnierz cudzoziemski, tak i zawiązywane przez tych cudzoziemskich poufników przymierza zagraniczne nie przyniosą Polsce żadnéj korzyści. Dla Polski nie masz innego ratunku, mniemali bez wyjątku wszyscy oratorowie, jak dochowywać ściśle traktatów dawnych, przedewszystkiem z Turcyą acz wiarołomną, a według niektórych mowców i z Ordą, choćby kosztem trybutu. Nawet śmielsze jakies zdanie wyrzekłszy, cofali się panowie senatorowie natychmiast do upewnień o niewywoływaniu tém wojny, a gdy z uczonego Jezuity przychylny dworowi biskup chełmski Pstrokoński, w jednéj części mowy dowiódł był niedawnemi przykładami Szwecyi, Moskwy i Turcyi, że „lubo niekiedy przysięgi i pakta wielkiéj wagi zachodzą, nowego nas jednak obyczaju nowa uczy polityka”, przyszło mu zaraz w części nastépnéj dowodzić z Pisma Św., iż grze-

chem są wszelkie wojny zaczepne, bo pismo mówi: *dissipantes quae bella volunt*. I dworskich i szlacheckich względów zarówno lakomy Ossoliński, mając własnem zdaniem odpowiedzieć na punkta odczytanęj przez siebie propozycyi królewskiej, referował się w punkcie o wojnie do zdania ks. prymasa; ponieważ zaś starszek prymas tak eicho mówił, że go nikt nie rozumiał: przeto i zdanie Ossolińskiego pozostało zagadką. Dank wszystkij dzisiejszej i wczorajszej wymowy senatorskiej odniosła długa, śmiała, „gruntowna” mowa podkanclerzego.

Po skończonych wotach senatu przystąpił kanclerz w. kor. w pobliże króla i przemówił w krótkich słowach do posłów, wzywając ich do rozpoczęcia zwykłych obrad i czynności sejmowych. Pierwszém w tej mierze obowiązkiem izby poselskiej była przemowa jej marszałka do króla, upominająca się o rozdanie wakansów, z którą też wystąpił natychmiast marszałek izby Stankiewicz. Odpowiedziano posłom od króla, iż wszystkie wakanse już są rozdane i wymieniono obdarzonych nimi panów i szlachtę z wyjątkiem hetmana polnego Kalinowskiego, z którego wymienieniem sejmowi wstrzymał się król jeszcze dni kilkanaście. Na tém skończył szósty dzień sejmu, dopiero z dniem jutrzejszym wstępującego w główną sferę działania, bo w sferę wszechwładnych obrad izby poselskiej. Rozpoczęły one nazajutrz ciekawym dowodem dbałości posłów o ubezpieczenie swoich przyszłych uchwał od rozbicia się w zwykłych burzach sejmowych. Chciano temi uchwałami nie tylko obalić wojnę, ale oraz pozostawić w nich wiekopomne świadectwo gorliwości dzisiejszego pokolenia o całość swobód, uczynić je fundamentem coraz doskonalszej wolności nadal; a niestały tryb sejmowania w tych czasach sprawiał, że lada zamieszka w kole poselskiem, lada kontradycya jednego lub kilku posłów mogły obalić sejm, unieważnić wszystkie jego uchwały i zamysły. Nad terażniejszym zaś sejmem tém więcej wisiało niebezpieczeństw, ile, że oprócz zwyczajnej niesforności szlacheckiej groził mu jeszcze sforny, wyrachowany rozum strony przeciwnęj rządu, nielicznęj wprawdzie, ale zręcznęj fakeyi królewskiej. Cóż bowiem łatwiejszego dla króla, jak kilku ujętemi głosami zawi-

chrzyć i zerwać sejm, zniweczyć tém dalsze przeciwne sobie uchwały, odzyskać możność działania dalej po swojej myśli.

Dawała się więc uczuć potrzeba zaradzenia takiemu niebezpieczeństwu, czego nie można było dopiąć czém inném, jak skłonieniem izby poselskiej do uchwalenia sobie lepszego, sforniejszego porządku obrad. Uczul tę potrzebę najmocniej poseł sędmirski imieniem Szczucki, wielki zelant swobód republikańskich, gorący czciciel pamięci Zebrzydowskiego a przyjaciel jego potomków, niejednokrotnie pełniąca funkcją poselską obeznany dokładnie z niestatkami obrad sejmowych. Owóż lękając się go sejmowi terażniejszemu, wystąpił Szczucki przed wszystkiém z propozycją naprawy dotychczasowego trybu obradowania i przedłożył w tej mierze wnioski do ustawy w kilku punktach, które ze zwyczajną łatwością odczytać mu pozwolono. Należało według tych punktów: 1) materje sejmowe na dnie rozłożyć i one porządkiem traktować; 2) posłom i innym do króla suplikującym dzień naznaczyć; 3) lekkie materje słowem „podobają się”, albo „nie” kończyć; 4) co przytomni posłowie uchwalili, aby nadchodzący nie mogli wzruszyć; 5) marszałkowi przydać kilku deputatów do ułatwienia mu pracy. Już Szczucki kilka dalszych punktów odczytał, gdy naraz grono nieznanych osób weszło do sali, mając w pośrodku małe dostojne pachole z supliką w ręku. Była to sierota po zmarłym księciu Trubeckim, którą owym aktem regulacji granic między Moskwą a Polską poddano z całą ojeowizną Trubecką Moskwie, a która nie chcąc ponieść losu takiego, uprasza teraz Rzeczpospolitą o zwrot ziemi ojczystej.

Nim jeszcze wysłuchano do końca supliki pacholęcia, krzyknął starodubowski poseł Kotowski na całą salę, iż do niczego innego pierwej przystąpić nie da, aż póki wynagrodzoną nie będzie krzywda sierocie. Na to podsędek braclawski Kosakowski, zażądał upornie ze swojej strony, aby najprzód o rozpuszczeniu zaciągów cudzoziemskich radzono. Powstała ztąd żwawa sprzeczka między posłami, w której zapomniano całkowiec wnioski Szczuckiego. Byłby on i bez tej przeszkody nie osiągnął zapewne skut-

ku, gdyż i tegorocznemu sejmowi nie zbywało na posłach z tak przeciwnymi Szczuckiemu zleceniami, jak np. jeden z zeszłorocznych artykułów w instrukcyi sejmiku lubelskiego, zalecający posłom tamecznym, „aby na ten czas na żadne nowe sposoby, któreby zwyczajną formę deliberacyj publicznych znosić, i w większe niebezpieczeństwa i ciężary Rzeczypospolitą zawodzić mogły, nie pozwalali.” W tegorocznym jednak roznamiętnieniu serc i obrad sejmowych, musiała myśl Szczuckiego prędzej niż kiedykolwiek utonąć w odmęcie rozpraw, i lubo na wstępie kilku rozsądniejszych posłów pochwalnie ją powitało, nie już o niej nie słyszano więcej na sejmie. Wtomiast jakże głośno i coraz głośniej rozbrzmiewały owe dwie sprawy inne, którym ustąpił wniosek „republikanta” sedomirskiego. Zapełniwszy sobą resztę dzisiejszych obrad w sali poselskiej, odezwały się obie tém hałaśliwiej na posiedzeniu najbliższem w piątek 2go listopada, usiłując wyprzeć się wzajemnie z placu obrad.

Zaledwie marszałek izby zapytał, o czem radzić, porwali się posłowie braclawscy i czernichowscy do głosów za rozpuszczeniem wojska, smoleńscy za Trubeckim. Tamci mienili sprawę wojska ważniejszą od trubeckiej, jako publiczną, cały naród porównie obchodzącą, podczas gdy sprawa trubecka jedynie kilka osób dotyczy. Ci przeciwnie dawali pierwszeństwo sprawie trubeckiej, jako dawniejszej i dolegającej zarazem całemu W. Księztwu Litewskiemu, zkąd słuszna nazwać ją także w znacznej części publiczną. W końcu podobała się izbie rada jednego z posłów czernichowskich, Ponętowskiego, aby obradować z kolei, w jednym dniu o zniesieniu zaciągów, w drugim o restytucyi Trubecka. Dziś, jak zwyczajnie, wzięła górę sprawa bardziej prywatna; bardziej publiczną, o zaciągach łupieżkich, odłożono do jutra. W wyższym jeszcze stopniu publiczna trzecia, owa na sejmiku w Środzie zlecona posłom wielkopolskim rozmowa koła poselskiego z senatem, dla dwóch przyczyn najpóźniej na plac obrad wyjechała. Popierwsze, potrzeba było upatrzeć porę dogodną, w którejby ona najrzęczniejszą wprowadzoną być mogła. Powtóre miał ją przedstawić izbie najznamienitszy z posłów wielkopolskich Leszczyński, generalny starosta wiel-

kopolski, panię zarówno możnym imieniem jak i właściwą takim paniętom górnomownością republikańską miłe sejmikom, a takim, w ogólności jak wszystkim możliwym posłom i senatorom, pozwalał obyczaj bardzo późno na sejm się wybrać. Ztąd w niezrozumiały dla dzisiejszych wyborców sposób poczytywano za rzecz godziwą, gdy np. obrany w Opatowie generalny starosta krakowski Lubomirski, dopiero 4 listopada z wielką pompą stanął w Warszawie, obrany w Rosieniu na Żmudzi hetman polny litewski Janusz Radziwiłł dopiero około 20 t. m., młody zaś chorąży kor. Koniecpolski aż 26, t. j. późno w drugiej połowie sejmu.

Bogusławowi Leszczyńskiemu z poruczonem żądaniem rozmowy bratniej powiodło się zjechać wcześniej od innych, bo już w dniu 15 listopada znajdował się w izbie poselskiej. Aż do dnia tego, oprócz zwyczajnych każdemu sejmowi zajęć poselskich, jak np. słuchanie uchwał senatu, rachunki z podskarbiemi, udział w sądach sejmowych i t. p. zatrudniały izbę przez dwa tygodnie tylko one dwie sprawy, trubecka i zaciągów; z dniem 15 listopada na dalsze dwa tygodnie przybyła trzecia, domaganie się poufnej rozmowy posłów z senatem w nieobecności królewskiej. Każda z tych spraw obchodziła z wielu względów całe zgromadzenie sejmu tegorocznego. Z wielką fortuną książąt Trubeckich, obejmującą 1 zamek i 370 wsi w żyznym przestworze kraju kilkudziesięciu milowej długości i szerokości, łączyło się wiele innych fortun prywatnych, a potrzeba wynagrodzenia Litwie przez Polskę pewnych intrat z Trubecka, przenosiła całą sprawę na pole starodawnych zazdrostek i poswarków między Litwą a Polską. W żądaniu rozpuszczenia zaciągów skupiła się cała sprawa planów wojennych, dla którejby głównie zebrał się sejm. Zlecenie poufnej rozmowy szlachty poselskiej z panami senatorami płynęło ze źródła tak odległego i głębokiego, jak cała głęboka przeszłość narodu, pełna od wieku do wieku takich usiłowań przywrócenia czyto rzeczywiście czy pozornie nadwierzżonej równości i braterskiej zgody obydwóch stanów.

Nie dziw więc, że tak ważne rozprawy pochłonęły wszystką uwagę, wszystek czas sejmu. Powoli zbierając

się, w duchu owęj tegoczesnej *tarditatis*, powoli w obradach postępując, toczy on swoje szeroko ale płytko rozlane nurty najpierw dwoma, następnie trzema prądami wyszczególnionych tu spraw, aby je naostatek jednem łożyskiem połączyć z sobą, i bezowocnie wiele czasu i słów straciwszy, rzucić się z niemi nagle, jakby kilku wspaniałemi wodospadami do kresu pożądanęj konkluzyi, zakończyć kilku niezwyčajnej piękności historycznej scenami. Takim długo bezskutecznym, powolnym biegiem w trzech czwartych częściach przeznaczonęj sejmowi pory, a potem przynaglona niekiedy całodzienną i całonocną konkluzją pod koniec obrad, płynęły wszystkie sejmy owego czasu, nadużywając zarówno zwiezłości pospiesznem konkludowaniem w ostatnich dniach, jak swobody wielosławnego rozgadywania się o wszystkim w pierwszych i dalszych. O tej wielosłowności sejmów ówczesnych ileż najwymowniejszych dochowało się świadectw! Spytać o nią np. arcybiskupa gnieźnieńskiego Jana Wężyka, który w czasie elekcyi Władysława IV „na miłosierdzie Boże” upraszać musiał szlachtę sejmową o przystąpienie do czegoś więcej od słów, zaniechawszy odpowiadać sobie krzykiem i wrzaskiem, „który to zwyczaj, jeżeli górę weźmie, desperować przyjdzie o całości rzeczypospolitéj; w takięj bowiem liczbie, gdzie na 70 zgromadzonęj jest szlachty, jeżeli każdy zechce mówić według upodobania swego, nie otrzymawszy głosu, co za konkluzyi się spodziewać?”

Ale i w mniej licznych zgromadzeniach sejmów zwyčajnych podniosła się często tak sroga wrzawa przeciwnych głosów, iż mówiono i pisywano o nięj jak Radziwiłł o posiedzeniu sejmowem z dnia 17 marca 1635: „Miły Boże! któryż język opowiedzieć, które pióro opisać zdoła mowy i sprawy dnia tego!” Niekiedy wtórzono owszem surowemu zdaniu Tomasza Zamojskiego, który na sejmie w r. 1624 sarkał publicznie na tę wielosłowność posłów i senatorów: „Dość ma słów od nas Rzplita. Bo ledwo co nad słowa przynosimy jej na te sejmy. A z sejmów co za upominek przywozimy rzeczypospolitéj? słowa, słowa: tém zbywamy ojczyznę!” A rozczytując się w nieprzebranem mnóstwie ówczesnych mów sejmowych i sejmikowych, jakże często przypomnieć sobie musimy tę smutną

skargę, jak trudno pojąć tę wielomowność. Nie było żadnego aktu na sejmie lub sejmiku, któryby nie wymagał mowy solennej, a ta odpowiedzi podobnej. Zaczawszy od podniesienia laski przez dawnego marszałka aż do zamknięcia sejmu prośbą o pocałowanie ręki królewskiej, snuło się nieprzerwane pasmo z łacińsko polskich popisów krasomowczych, często po kilka godzin trwających, zwyczajnie mozolnie wyuczonych, nie raz bowiem przepasza mówca, iż nie miał czasu przygotować się należycie. Przygotowawszy się zaś, ileż skarbów wymowy, nauki, imaginacyi, umiał on wydobyć z każdej okoliczności, czy to biorąc laskę jako nowy marszałek, czy witając króla na czele izby, prosząc go o rozdanie wakansów, zwracając mu od kogoś urząd złożony albo niosąc komuś od króla godło nowego, przyjmując w izbie poselstwa od senatu, wojska, kozaków, czy to wreszcie żegnając izbę za postąpieniem na krzesło senatorskie lub przy złożeniu laski pod koniec sejmu.

Sejm tegoroczny nie same tylko słowa przyniósł ojezycznie, ale nie brakło mu także nadmiaru słów. Wszystkie trzy główne przedmioty jego narad wydawały ich codziennie w tak nieskończonej ilości, brzmiały niekiedy wszystkie razem tak dzikim chórem kontrydykei i swarów, iż mając mówić o nich wszystkich pospołu, nie łatwo moglibyśmy uniknąć zawilóści, nie popaść w niezrozumiałość. Dla tego opowiemy tu po krótko przebieg tych spraw z osobna, przystępując najpierw do przeważnie prywatnej, jako najprzód podniesionej na scenę i najdłużej radom ciężającej. Rozpoczęto ją na sejmie obecnym smutną obroną rządu przeciw wygórowanej sprawiedliwości trybunałów sądowych. Ustąpienie Trubecka Moskwie za Hadziacz wyszło z woli królewskiej i uchwały senatu, czem krok ten zupełnie prawnym się stawał. Mimo to poczytali go właściciele Trubecka i siół przyległych za gwałt publiczny, i do trybunału litewskiego zapozwali komisarzów królewskich, którym zlecono było wprowadzić Moskwę w posiadanie dóbr odstąpionych. Najwyższy trybunał litewski zawyrokował w istocie przeciwko komisarzom, a dopiero sądem sejmu teraźniejszego spadła z nich kara

bannicy i nastąpiło zniesienie wyroku trybunalskiego, wydany został rozkaz instygatorowi, aby zapozwał wzajemnie stronę przeciwną (1). Celem zaś wynagrodzenia młodego książątka i Litwy za włość trubecką zaproponował król z senatorami komisyję z deputowanych senatu i koła poselskiego złożoną, któraby się wynalezieniem środków uspokojenia stron zatrudniła.

Posłowie na posiedzeniu dnia 7 listopada zezwolili na komisarzów, ale jak zawsze pod warunkami, t. j. aby komisyja nie miała władzy ostatecznego wyrokowania, tudzież aby żaden z powołanych do niej senatorów nie był interesowanym osobiście w sprawie Trubeckiej. Stało się według życzenia izby, a gdy po kilkudniowych naradach komisarzów zażądano od nich sprawozdania w kole poselskiem, oznajmiła komisyja przez naznaczonego ku temu posła oświecimskiego, iż wynalazła trzy środki

(1) Wzmianka o tém w x. St. A. Radziwiłła: *Memoriale rerum gestarum in Polonia* rękp. Ossol., pod dniem 31 października 1646 r. Podobnież w polskim dzieła tego przekładzie pod tytułem: *Memoryal rzeczy znaczniejszych*, które się w Polsce działy od śmierci Zygmunta III od 1632 do 1652, podobnież rękp. Ossol. pod tymże dniem 31 paźdź. 1646. Poznańskie wydanie: „Pamiętników Alb. St. x. Radziwiłła” z r. 1839 tom IIgi str. 213 ma w tém miejscu szpetną mylkę druku czy też odpisu: „konkludowano, aby był zniesiony dekretem trybunału litew. dekret ferowany przeciwko tym”... zamiast jak w obudwóch rękopismach, zwłaszcza zaś polskim: „konkludowano, aby był zniesiony dekret trybunału litew. ferowany przeciwko tym”... Pełno takich myłek w poznańskim wydaniu *Pamiętników Radziwiłłowskich*. Powtórne ich wydanie musiałoby uleść najściślejszemu porównaniu z rękopismami, nie takiemu wszelako, jakiem na kartce tytułowej chwali się powtórne wydanie tak zwanój „*Historiji panowania Jana Kazimierza*”, ogłoszone w Poznaniu roku 1859. pod tytułem: „*Historja panowania Jana Kazimierza z Klimaktów Wespazyana Kochowskiego*, przez współczesnego tłumacza w skróceniu na polski język przełożona, wydana z rękopismu w r. 1840 przez Edwarda Raczyńskiego, teraz podług oryginału poprawiona i powtórnie wydrukowana”. W tej bowiem jakoby „według oryginału poprawionej” edycyi nie tylko żadnych śladów porównania z oryginałem nie widać, ale nawet jawne myłki drukarskie pierwszego wydania poznańskiego z r. 1840 są powtórzone, jak n. p. w tomie III na str. 7 w ustępie o śmierci Czarneckiego, gdzie ślepo za pierwszym wydaniem z r. 1840 „zasługując pana”, zamiast jak w oryginalu łac. „*domino compatiens, żalując pana*” i t. p.

nagrodzenia poszkodowanym. Pierwszym jest sprzedaż na rzecz sieroty wziętych od Moskwy za Trubeck włości Hadziackich, o które obecnie tak zawzięcie sporzy książę Jeremi Wiśniowiecki z chorążym kor. Konięcpolskim. Drugim, zezwolenie obywatelom województwa czernichowskiego, aby na posiadane przez siebie lenna kupili sobie prawo dziedzictwa, z kąd uzyskaną summą spłaconoby sierotę. Trzecim, przeniesienie jakiej królewskiej w Karonie, mianowicie dzierzonego przez Sapichów Czarnobyła nad Prypecią w województwie kijowskim, z prawa polskiego na litewskie, czém stałoby się zadość szkodzie litewskiej. Wszakże każdy z tych środków wywołał gorącą kontradykeją różnych województw. Jeden z posłów kijowskich zaprotestował przeciw pokrzywdzeniu Kijowa, przyłączeniem Czarnobyła do Litwy. Posłowie mazowieccy sprzeciwiali się zmianie posiadłości lennych w dziedziczne. Zaczęto obmyślać i proponować inne sposoby wynagrodzenia, jak n. p. częścią kwarty na mniej potrzebną armatę przeznaczoną, albo pierwszym wakującem starostwem, albo wreszcie summą na „uspokojenie świata” złożoną (nazywano tak niespotrzebowane dotąd pieniądze na podróż posłom polskim do Niemiec w celu traktatów o zakończenie wojny trzydziestoletniej). Na tak wybrednem przebieraniu w środkach zaradczych upłynął niestrudzonim mowcom dzień cały. Muziano odłożyć sprawę do jutra.

Jutrzejsze obrady wróciły do najpierw przez komisyją podanych środków. Chodziło głównie o skłonienie obecnego dzierżawcy Czarnobyła, księcia podkanclerzego lit. Kazimierza Sapielhy do zgody na inkorporacyą starostwa swego do Litwy. Aby zaś w razie odmownej odpowiedzi despekt ten nie spotkał całej izby poselskiej, poruczono marszałkowi Stankiewiczowi traktować o tém prywatnie z podkanclerzym. W skutek tego dowiedziała się izba od marszałka nazajutrz, iż książę podkanclerzy nie jest przeciwnym żądaniu posłów, ale dla różnych konsyderacyj wymaga kilku dni do namysłu. Korzystał z tego poseł kijowski, aby powtórna przeciw wcieleniu Czarnobyła wnieść protestacyą, od której ustąpił dopiero na wymowne remonstracye generała krakowskiego Lubo-

mirskiego. W końcu po wielu słowach uradzono zaniechać na dni kilka wszelkich publicznych traktatów o sprawie trubeckiej, próbując zastąpić je komissją z deputowanych prywatnych. Że atoli zmrok już zapadał, przyszło odwlec mianowanie deputacyi do jutra. Jutro zaś i dni następnych zamieszła nową komissją niezgoda deputowanych w wyborze miejsca do obrad. Deputaci izby poselskiej umyślili zebrać się u OO. Jezuitów, co gdy jakoś nie podobało się senatorom, doszła ich odpowiedź ze strony posłów: Mogą nie przyjść, tém lepiej bez nich. Gdy zaś nazajutrz stało się zadość senatorom i przeniesiono sessją od Jezuitów do pałacu arcybiskupa, wynikła ztąd uraza deputatów litewskich. Nieuwiadomieni bowiem o czasie schadzki w tém nowém miejscu, zeszli się tam wcześniiej od posłów polskich i nie chcąc czekać na nich, oddalili się bez powrotu. Na co nie zważając Polacy, sami późniiej sessją odbyli.

Nie wiele téż zdołano uradzić na niiej. Mając nazajutrz dnia 19 listopada zdać w izbie relacją z obrad prywatnych, nie umiał dopełniający téj funkcyi podsędek krakowski Chrzastowski nic lepszego z kilkudniowych przynieść posiedzeń, jak trzy nowe sposoby wynagrodzenia książątka Trubeckiego: 1) nadaniem najbliższego wakansu w ziem; 2) przydaniem nowéj wakancyi, gdyby pierwsza nie wystarczała; 3) tymczasem roczną prowizyę. Nie bez słusności ozwały się zdania przeciwné, najgłośniiej z ust pisarza lit. Zawiszy, bijącego na deputowanych Polaków, że od nóg nie od głowy, od prywatnéj krzywdy książątka, nie od publicznej W. Ks. Lit. przystępują do obrad. Minał znowu dzień cały w takich przymówkach i dnia jutrzejszego nie polepszył się w niczém stan rzeczy, lubo marszałek oznajmieniem dobréj nowiny rozpoczął sessją. Podkanclerzy lit. Sapicha zgadzał się na przeniesienie Czarnobyła do prawa litewskiego, byle tylko niektórym jeszcze przeszkodom zaradzono. Największej jednak, to jest protestacyom posłów kijowskich przeciw inkorporacyi Czarnobyła do Litwy nic zaradzić nie mogło. Ponowiły się one i teraz, wywołując coraz nowe wnioski i spory. Posłowie litewscy na widok bezskuteczności dotychczasowych układów publicznych i prywatnych żą-

dali dla Trubecka kongresu obu narodów. Posłom polskim słuszniejszą zdało się rzeczą obstawać przy obradach przez deputowanych prywatnych. Znowu więc całe posiedzenie na niczém speliło.

Nazajutrz dnia 21 listopada, jakby dla ukarania izby za oziębłe przyjęcie wieści wczorajszej, kazał książę podkanclerzy lit. oświadczyć posłom, iż cofa swój konsens na wcielenie Czarnobyła do Litwy. Zniechęceni tém w najwyższym stopniu posłowie polscy tracili już nadzieję uspokojenia na tegorocznym sejmie sprawy trubeckiej. Zdaniem najbardziej zatrwożonych pomiędzy niemi nie pozostało dziś nic innego, jak ustawą sejmową assekurować Litwie wynagrodzenie na przyszłym sejmie, po naradzeniu się o tém ze szlachtą na sejmikach, co nie mogło stać się w tym roku. Inni posłowie polscy mniemali krzywdę sieroty głośniejszą od litewskiej i z niej przed wszystkim oczyścić się radzili. Jeden wreszcie z posłów naddnieprskich Włostowski, poseł rzeczywisty, zdobył się na nowy sposób wynagrodzenia i wymieniając dwa miasteczka swego powiatu, Łojów i Brahyń, tanto jako starostwo, to jako włość dziedziczną w posiadaniu wojewody czernichowskiego, a od niedawna i hetmana polnego kor. Kalinowskiego, które oba jako dziedziczne prawu litewskiemu poddane, mogłyby zadość uczynić Litwie. Trafiło to do przekonania całej prawie izbie poselskiej i stawszy się nagle głównym przedmiotem obrad, zajęło niemi resztę dnia dzisiejszego i znaczną część sessyi jutrzejszej.

Dnia następnego w piątek 23 listopada, przyszła kolej na sprawozdanie deputowanych litewskich. Z tych Zawisza pisarz lit. w długiej perorze zaproponował, aby nie Łojowem i Brahyniem, ale Łojowem i Lubeczem (obie te ziemie należały, jako starostwa Kalinowskiemu) wynagrodzić W. Księstwo Litewskie. Co gdy się przesadnem zdało żądaniem, powstali posłowie polscy hurmem na Litwę, zarzucając jój zbytne uroszczenia cheiwości, zbywając ją samym Łojowem i t. p. Strawiono znowu część sessyi w takich poswarkach, które z dniem każdym nabierały goryczy i zawziętości. Przekonało o tém mianowicie posiedzenie jutrzejsze, zagajone przez marszałka

pomyślnem doniesieniem, iż kanclerz kor. Ossoliński blizki kolligat Kalinowskiego upewnia o jego zgodzie na połączenie Łojowa z Litwą. Wiadomość taka z ust marszałka Litwina zdała się tylko dowodem łakomego ubiegania się Litwy o tę piękną, warowną i nadzwyczajnie żyzną ziemię naddnieprską. Obrzucono tedy Litwinów skargami i wyrzutami, któremi zwłaszcza gorliwość jednego z posłów sędomierskich Abrahama Gołuchowskiego, dokuczyła braciom niemieckim. „Jeśli sejm nasz nie dojdzie”, zawołał uniesiony Sędomierzanin, „będzie to winą zbytńich zachceń litewskich, a my na przyszłym sejmie i tego nie damy, co dziś dajemy”. Wybuchła na to jeszcze gwałtowniejsza odpowiedź posłów litewskich, którą gdy sędomiersey koledzy Gołuchowskiego z równaż odparli gwałtownością, wszczął się między Litwą a Sędomierzanami bezprzykładnie srogi bój słów napróżno przez najstłynniejszego teraz w całym kole poselskiem mówcę, podczaszego kor. Mikołaja Ostroroga śmierzony.

Chociaż bowiem za odezwaniem się podczaszego umilkły pośledniejsze głosy litewskie, ozwał się w ich miejsce jeden z najpotężniejszych głosów całej Litwy i Żmudzi, hetman polny lit. Janusz Radziwiłł. Ten w ustąpieniu Trubecka upatrył dwie najstrozsze dla Litwy exorbitancye, obalające dwie główne zasady wszelkich swobód rzeczypospolitej, bo jedną „miestanowienia o mnie beze mnie”, drugą „osobistej wolności”. Wolność bowiem osobista nie tyleż, co własność osobista, a pozbyciem Trubecka pozbawiono kilku właścicieliów takiej własności i bez nich o nich postanowiono. Tyle zaś korzyści z ustąpienia Moskwie Trubeczezyzny zyskawszy, śmież Korona żałować jeszcze Łojowa Litwie! Nastąpiła na to również możnego pana w koronie generała krakowskiego Lubomirskiego odpowiedź, w której tenże z odniesieniem się do jednego z poprzednich wyrzeczeń mówców litewskich „kochajmy się jak bracia, rachujmy się jak żydzi”, wniósł projekt podobnież braterskiego przez Koronę i Litwę obdzielenia się królewsczezyzną łojowską, a to przyznaniem kwarty z Łojowa Litwie, służby zaś zbrojnej Koronie. Podobał się ten podział całej prawie izbie poselskiej z wyjątkiem nieubłaganych posłów kijowskich, tak

uporczywie wzbraniających Litwie swego Łojowa, iż musiano znowu rozejść się z niczém, do dalszej poniedziałkowej sessyi rzecz odłożywszy.

Nie przyszło wprawdzie do zgody ostatecznej i w poniedziałek, nie skleiła się ona jeszcze i na posiedzeniu wtorkowém, ale z niezmierném wielomówstwem, wyczerpując natrąconą przez Lubomirskiego kwestyę podziału, zbliżono się znacznie do rozwiązania. Po różnych innych wnioskach stanęło na tém, aby i Łojów i Lubecz odstąpić W. Księztwu, pozostawiając kwartę z nich przy Koronie, służba zaś zbrojna miała tylko w czasach spokojnych należeć Polsce, w wojennych Litwie. Sierocie Trubeckiemu i reszcie poszkodowanych odstąpieniem Trubecka obywatelów ubezpieczono wynagrodzenie na przyszłym sejmie, ksiąŜątku summą 180,000 zł., ziemianom za mniejsze straty kwotą 20,000. Pozostały jeszcze niejaki wątpliwości, spędziło na nich wiele jeszcze godzin sessyj następnych, uroczyste jednak poselstwo 8 senatorów od króla, przybyłych dnia 27 listopada z upomnieniem do przyspieszenia obrad przy niedalekim już końcu sejm, tudzież uspokajające przemowy tak poważanych powszechnie posłów, jak miecznika kor. Jabłonowskiego i podczaszego kor. Ostroroga, posunęły sprawę trubecką do takiej dojrzałości, iż postanowiono już skreślić o niej ustawę do ostatecznego przyjęcia jej w końcu sejm. Jakoż stanęła już w istocie konstytucya, acz mniej gruntownie i wszechstronnie czyniąca zadość pretensyom, jakby się spodziewać należało po tak długim przeciągu obrad. Gdyż polegając na owych przytoczonych powyżej warunkach zgody, czyniła zadość samej tylko szkodzie litewskiej, sierotę zaś i resztę poszkodowanych zbywała nadziejami przyszłego sejm. Rozporządzono w niej nadto Łojowem i Lubeczem bez wiedzy posiadacza, nie mając ku temu żadnego innego upoważnienia nad słowo kanclerza Ossolińskiego. Bądź jak bądź, poczytano węzeł trubecki za rozwiązany i z tém większym zapalem zajęto się owemi dwiema innemi sprawami sejm, które tymczasem podobnie dobiegły kresu, sprawą zaciągów cudzoziemskich i rozmowy koła poselskiego z senatem.

Pierwsza z nich rozpoczęła bieg swój jednocześnie z trubecką, druga nieco później przyłączyła się do niej i już z nią razem płynęła dalej. Najwcześniejsze hasło do taintej wyszło z ust podsędka braclawskiego Kossakowskiego na ostatniem posiedzeniu październikowém. Na pierwszém w listopadzie zgodzono się obradować jednego dnia o Trubecku, drugiego o zaciągach, rozpocząć zaś całą kwestyą wojenną udaniem się z prośbą do króla, aby rozpuścić raczył wojska zaciężne. Z powodu choroby królewskiej wypadło kołu poselskiemu poprzestać na żarliwych mowach przeciwko gwałtom żołnierskim i całemu zamysłowi wojny z pogaństwem, w czém mianowicie posłowie czernichowscy i braclawscy rej wiedli. Dopiero dnia 6 listopada przypuścił król izbę do siebie i wysłuchawszy jej prośbę o zwinięcie chorągwi, odpowiedział przez kanclerza w. Ossolińskiego, iż pozostawia to rozsądzeniu całej rzeczypospolitej, t. j. połączonemu zdaniu posłów, senatorów i króla. Niezadowoleni taką odpowiedzią posłowie, wrócili do izby z postanowieniem domagania się nowej audyencyi we czwartek, do której dla ciągłej słabości króla nie przypuszczeni, uparli się wzajemnie nie radzić pierwój o niczém inném, dopóki nie wyjdzie nakaz rozpuszczenia zaciągów. Na nieposłusznych takiemu nakazowi domagano się sądu i kar surowych: krajowcom w podobnym razie grozić miała kara infamii i konfiskaty majątku. Okrom tego zażądano uniwersału do hetmanów i starostów grodowych, obowiązującego ich do czuwania nad ścisłym wykonaniem nakazu. A wszystko to winno było nastąpić w najkrótszym czasie, aby już przed końcem sejmu ustały wszelkie gwałty i skargi.

Mimo wszelką jednak surowość pogroźek, nie przychodziło do żadnych kroków stanowczych. Sprawa trubecka co chwila w inną stronę porywała umysły; wyprawiony zaś do króla po audyencyą marszałek, wracał z większym dla siebie samego niż dla izby pożytkiem. Temi właśnie dniami podpisał mu król przywilej na 6 wiosek litewskich, co jakoby dla utajenia przed światem opuszczonem zostało w polskim dyaryusza Radziwiłłowskiego przekładzie. Izbie przynosił marszałek od króla toż samo za-

wsze odroczenie audyencyi dla słabości do dni następnych, a gdy mu izba przedłożyć kazala królowi prośbę o rozpuszczeniu zaciągów, doszła go w dniu 10 listopada z ust w. kanclerza kor. taż sama odpowiedź co i dawniej. Zalecał Ossoliński ponownie izbie poselskiej, aby się zniosła w tym względzie z senatorami, których spółka w terażniejszych obradach sejmowych nad zaciągami i wojną z dwóch mianowicie względów zdawać się mogła potrzebną, raz dla samej wagi przedmiotu, następnie dla dopomożenia w jakimkolwiek stopniu sprawie królewskiej. Wspólne bowiem narady posłów z senatorami, odbywane powszechnie w obecności królewskiej, zapewniały królowi w każdym razie większą łagodność zdań, niż rozprawy przez samych posłów toczone. Dawała to upewnienie nie mała zawsze garstka przychylnych królowi mężów w senacie, którzy wprawdzie nie spieszyli bynajmniej z publicznym okazaniem swojej przychylności dla dworu i z tej przyczyny zwyczajnie dopiero po wotach senatorskich przybywali na sejm, ale zjechawszy raz w mniejszej lub większej liczbie, i mniej publicznym sposobem złożywszy wotum swoje królowi, służyli w każdej wspólnej naradzie za przydatny hamulec zbyt nim uniesieniom posłów przeciw dworowi. Tegoż i w obecnym wypadku pragnąc, zalecał kanclerz w. kor. tak usilnie tę wspólność narad, a osobliwszy zbieg okoliczności daleko po nad wolę Ossolińskiego i króla potracił zalecenie.

Stanęli już byli w tym czasie posłowie wielkopolscy z swoją instrukcją średzką na sejmie, i oczekiwali tylko pory dogodnej, w którejby przedłożyć mogli izbie jeden z głównych artykułów owej instrukcyi, t. j. żądanie poufnej rozmowy posłów z senatem. Miał więc i ten artykuł wielkopolski i kanclerz w. kor. Ossoliński jedno i to samo życzenie, ale z wielką, wszystko zmieniającą różnicą: kanclerzowi chodziło o naradę posłów z senatorami zwyczajnym trybem, w obecności królewskiej; instrukcyja zaś wielkopolska domagała się rozmowy bratniej bez króla, dla podniesienia jej do tém wyższego stopnia swobody i niezawisłości głosów. Tym sposobem zostawały intencye obydwóch żądań w najzupełniejszej z sobą sprzeczności, ale same żądania najskuteczniej popierały się wzajem. Ztąd

gdy marszałek poselski za powrotem z ostatniej audyencji u króla oznajmił izbie odpowiedź Ossolińskiego, powiększyło się dawne niezadowolenie z przyczyny dalszego zwleczenia kwestyi wojskowej, lecz zawezwanie do wspólnej rady z senatem znalazło dość pomyślne przyjęcie. Tylko uporne obstawanie posłów litewskich przy obradach nad Trubeckiem zniewoliło izbę odroczyć uchwałę zniesienia się z senatem do poniedziałku, a w poniedziałek dnia 12 listopada i w dniu następnym znowu Trubeck wyłącznie zajął umysły. Dopiero we środę zdołano rozgadać się obszerniej o zaciągach, przyczem za sprawą coraz widoczniejszych już zabiegów Wielkopolan, wystąpiła w całym swoim znaczeniu kwestya poufnej rozmowy posłów z senatorami.

Po namiętnych rozprawach o potrzebie i różnych sposobach uwolnienia się od żołnierstwa, zaczął jeden z posłów polskich rzecz o rozmowie, żądając odbycia jej w nieobecności królewskiej. Taki rodzaj porozumiewania się obu stanów był oddawna niemiłym senatowi i możliwym panom, od których też znalazł natychmiast zaprzeczenie i w dniu dzisiejszym. Nie zaprzeczyły mu wprawdzie republikańską wielkopolszczyzną przejęte panięta wielkopolskie jak Bogusław Leszczyński; lecz ozwali się z niechęcią przeciw niemu możni panowie małopolscy, mianowicie generalny starosta krakowski Lubomirski, dziedzic mnogich ziem w stronach ruskich, i tamże osiadły podczasy kor. Ostroróg. Jerzemu Lubomirskiemu wydała się rozmowa z senatem wręcz niepotrzebną, mając tyle innych sposobów przypomnienia królowi jego obowiązków względem narodu, tak dostatecznie orzeczonych w paktach konwentach i tytu konstytucyach sejmowych i t. p. Podczasy kor. Ostroróg powstawał również przeciw chwytniu się środków niezwykłych, i przypominał szlachcie obowiązek szanowania reputacyi króla swego przed światem. Czemu kontradykując odzywali się niektórzy posłowie polscy z wyraźnym już usunięciem króla od rozmowy koła z senatem, a gdy marszałek wyznaczyć chciał deputowanych do zanieśienia królowi tych żądań izby, zerwało się całe zgromadzenie z okrzykiem, iż wszyscy hurmem chcą iść jutro do króla.

Wszakże i jutro, dnia 15 listopada nie mogli posłowie widzieć się z chorym monarchą. Natomiast czekał ich ważny przedmiot u siebie: wystąpił Bogusław Leszczyński z przywiezioną z sobą instrukcją średzką. Swojami surowymi artykułami o wojnie, o bezprawnym zaciąganiu żołnierza, obrażającym cały naród darzeniem cudzoziemców łaskami i zaufaniem u dworu, mianowicie zaś swoim zleceniem domagania się bratniej rozmowy bez króla, poruszył sejmikowy manifest Wielkopolan w niepowszednim stopniu umysły i swadę posłów. Ozwały się namiętne głosy za rozmową poufną w najkrótszym czasie, z łagodnością hamowane przez młodych mowców krwi senatorskiej, jak owi Jerzy Lubomirski i Mikołaj Ostroróg, usiłujących oszczędzić swoim ojcom zuchwałych upomnień szlachty poselskiej. Przeważył wniosek udania się nazajutrz całym kołem poselskim do króla, choćby chorego, z dwoma żadaniami ku jak najrychlejszemu spełnieniu: w szczególności z żądaniem zwinięcia nowo zaciągniętych chorągwi przez wydane w tym celu listy królewskie z wielką pieczęcią, i żądaniem rozmowy stanów senatorskiego z rycerskim w nieobecności królewskiej. Przez wyprawionego jednak z prośbą o audyencyę marszałka, wróciła nazajutrz tylko niewesoła wiadomość, iż miasto zaprosin izby do chorego wciąż króla, przybędzie za chwilę poselstwo z ważnemi Jego Król. Mości oświadczeniami, jakieni na teraz zaspokoić może król JMość podanych swoich.

Staęło też w istocie niebawem grono senatorów w izbie poselskiej, biskupowie poznański Szoldrski ze żmudzkiem Tyszkiewiczem, wojewodowie brzeski Szczawiński, pomorski Denhoff z mściławskim Abrahamowiczem, kasztelanowie sieradzki Bykowski i gdański Kobierzycki. Przewodnik całego grona ks. Szoldrski, zabrał głos w imieniu towarzyszków i z odkrytą głową oznajmił izbie, iż w najlepszych chęciach zamierzywszy w tym roku wojnę, która obecnie zda się prawom przeciwną, chce król JMość dobrowolnie rozpuścić wojsko, byle rzeczpospolita ze swojej strony obmyśliła obronę kraju. Inni senatorowie przedłożyli niektóre inne życzenia króla, między temi na pierwszym miejscu prośbę o zwyczajną reformacyą

królowej Maryi Ludwiki. Na co skoro marszałek uprzejmą dał odpowiedź, zażądali posłowie jednogłośnie od senatorów, aby im nadesłano niezwłocznie próbę listu otworzystego, za którymby rozpuszczone miały być wojska. Jakoż stało się tak po odejściu poselstwa, ale nadesłana próba uniwersału okazała się powszechnie nazbyt łagodną bez żadnych gróźb nieposłusznym. Zażądano przeto uniwersału innego surowszego, z zagrożeniem infamią i konfiskatą mienia w razie oporu. Krom tego domagano się osobnych pism do hetmanów i starostów grodowych z rozkazem czuwania nad ściśłym wykonaniem uniwersału. I nie napróżno czyniąc te postulata, otrzymali posłowie na jednem z dalszych posiedzeń dnia 19 listopada nowy, surowszy uniwersał, który za przyjęciem przez izbę miał być wyprawionym zaraz do wojska. Gdy atoli marszałek zapytał posłów, czy się zgadzają na wysłanie uniwersału, zerwał się jakiś poseł litewski z protestacją przeciw traktowaniu kwestyi wojskowej, zalecając wtomiast trubecką. Trubecka też sprawa zajęła w tej porze całą uwagę izby przez ciąg dni kilku.

Dopiero we czwartek, dnia 22 listopada poruszyli Wielkopolanie na nowo rzecz o wojsku i rozmowie poufnej. Najpierw ozwał się znowu generał wielkopolski Leszczyński, wzywając izbę do udania się po raz któryś do króla o rozmowę z senatem. Po nim inny poseł sejmiku w Środzie, kolligat poety Samuela, Andrzej z Skrzypiny Twardowski rozwiódł się nad dalszemi punktami instrukcyi średzkiej, mianowicie nad artykułami o autorach planów wojennych, o ligach z państwami zagranicznymi, o posłach cudzoziemskich u dworu, złej dystrybucyi wakansów, potrzebie dotrzymania paktów z Turcyą, składania upominków Tatarom i t. p. Wystąpił znowu przeciw obudwom podczaszy kor. Ostroróg i sam z ojca Wielkopolanin, lecz na Rusi osiadły i jak wszyscy panowie rusczy znaczuie zobojętniały dla wielkopolszczyzny republikańskiej, zbijał całą instrukcyę wielkopolską, zwłaszcza rozmowę, odradzając bardzo wymownie lubo napróżno. Zaprzeczył mu bowiem wszelkiemi siłami podsedek krakowski Chrzastowski, surowy cenzor stanu senatorskiego, któremu w żarliwej mowie wyrzucał nie-

szczerść postępowania. „Inaczej mówicie z nami w oczy, prawil Chrząstowski, „inaczej po za oczy. My jednak potrafiny szczerze i otwarcie upomnieć się o nasze prawa, i dla tego chcemy rozmowy”. „Rozmowy bez króla i uniwersalów na rozpuszczenie wojska”, poparł go wymowny poseł z Zadnieprza Ponętowski, „uniwersalów dla pocieszenia braci od wojska uciemieżonych, rozmowy dla przywrócenia zgody w narodzie, gdyż jeśli król, stan jeden, mógł zakłócić tę zgodę, czemuż my, dwa stany nie moglibyśmy wskrziesić jej wbrew królowi!” Zaczém o rozmowę i zwinięcie chorągwi stanęło prosieć jutro gromadnie króla, a gdy i jutro, w piątek 23 listopada przeszkodziła temu choroba, postanowiono czekać tylko do przyszłego tygodnia; gdyby zaś i wtedy jeszcze nie można było uprosieć audyencyi, zgodzili się wszyscy nie prosieć więcéj, lecz tylko zprosta oznajmieć przyjscie i ruszyć kupą do króla.

W przyszłym tygodniu, we srodę dnia 28 listopada byl król juz zdrowszym i przewodniczył sądom sejmowym. Poslowie skreślonej juz konstytucyi o Trubecku czekajac, przygotowywali się do audyencyi, na której do żądań zwinięcia zaciągów i rozmowy zgodzono się przydać jeszcze kilka innych życzeń drugiego rzędu. Zebrało się ich razem na przeznaczonej do oddania królowi, a odczytanej teraz przez marszałka suplice, sześć, t. j. oprócz owych dwóch znanych, jako punkt 3) komisarszów do wojska dla tém ścisłejšej egzekucyi uniwersalów wyprawie; 4) aby powiększoną ostatniemi czasy gwardyą królewską do mniejszej przywieść liczby; 5) kozakom wypraw na morze wzbronic; 6) listów przypowiednich pod prywatną pieczęcią nie wydawać. Z którymi to punktami na tak długo oczekiwana wybrawszy się audyencyą, zostali poslowie jeśli nie od króla, tedy przynajmniej od kanclerza Ossolińskiego z widocznym powitani niesmakiem. Przyjął ich w. kanclerz kor. bez zwołania senatu tak „szorstko i niedyskretnie”, jak się tego spodziewać można było po człowieku „gorącym i porywczym” jak Ossoliński, gdy ujrzał przed sobą tylu potwarczych prześladowców imienia swego w tym roku. Nie innym też duchem tchnęła odpowiedź na odczytane

królowi żądania izby poselskiej. Przechodząc je z kolei, odparł pan kanclerz sucho: iż uniwersały już wyszły; gwardyi tyle król trzymać będzie, ile okaże się potrzeba; z Kozakami porozumie się hetman; nowych listów przypowiednich nie wydawano; rozmowy z senatem w nieobecności królewskiej dozwolić król nie może i nie dozwala. Z tą odpowiedzią przyszło posłom wrócić do izby.

Wrócili oni tam w srogiem niezadowoleniu serc, zamieszaniu umysłów. Najpierw wybuchła burza gwałtownych uniesień gniewu, dumy obrażonej, mściwości. Hasłem do niej stała się deklaracya podsędka z Braclawia Kossakowskiego, iż nie da radzić o niczem, dopóki wojska król nie rozpuści. Tegoż zdania był i poseł z przeciwnych kończyn Polski a później i również przeciwnych usposobień umysłu, bo przychylny wówczas dworowi następcy Radziejowskiego, podkanclerzy i kanclerz Koryciński. Obecnie zaś dopiero stolnikiem krakowskim będąc, uczuł on tak głęboko zniewagę audyencyi dzisiejszej, iż uderzając za to w mowie swojej na króla, porównał go z tyranem Wschodu, Xerxesem. „Zwołano nas na sejm”, prawil pan stolnik, „jak Xerxes radę swoją zwołał w obozie, gdzie zażądawszy od niej zdania o wojnie, upomniał ją w końcu słowami: Pamiętajcie wszelako, żeście tu do posłuszeństwa, nie do rady przybyli”. Zaczem gdy od króla nie można uprosić rozmowy z senatorami, kazał Koryciński udać się z prośbą o nią do zastępcy króla w nagłej potrzebie, do ks. arcybiskupa, a po naradzie ze starszą bracią okaże się, co dalej czynić. Zdanie to znalazło nie mało zwolenników, ale na szczęście i wielu adwersarzów, doradzających iść jeszcze raz z prośbą o rozmowę do króla, a wiedzionych w tém dwoma weale różnemi pobudkami. Jedni, pomiędzy tyimi, głównie miecznik kor. Jabłonowski, podczaszy kor. Ostroróg i poseł nowogrodzki Obuchowicz, przyjaźniejsi dworowi, pragnęli oszczędzić mu kłopotu a może i niebezpieczeństw, jakieby go nabawić mogło zbytne roznamietnienie rozmową w nieobecności królewskiej. Innym, a na ich czele, owemu autorowi naprawy trybu sejmowania, Szezuckiemu, chodziło głównie o zachowa-

nie obrad od zbytniej burzliwości i zerwania tém sejmu, coby królowi możność dowolnego postępowania wróciło.

Przy wszelkiem więc zniechęceniu posłów audyencyą dzisiejszą, nie przyszło do niczego groźniejszego dworowi w izbie, jak do niezmiernie zgiełkliwej sprzeczki, w której jedni radzili iść z prośbą o rozmowę do arcybiskupa, drudzy do króla. Wzmogła się jeszcze bardziej wrzawa obradna, gdy wśród najdziwniejszej różnaitości zdań, ozwał się ktoś z wątpliwością, co czynić, jeśli i arcybiskup nie zechce zezwolić na rozmowę. Po nieśmiałym zdaniu podezaszego kor. Ostroroga, iż w takim razie pozostałoby jedynie pocieszać się surowym wyrokiem potomności przeciw postępkowi arcybiskupa, dał się słyszeć tém zuchwalszy głos posła czernichowskiego Ponętowskiego, który w takim razie kazał wziąć pakta konwenta z księgą praw w rękę, i stanawszy z niemi przed arcybiskupem, powołać go na świadka złamanych przez króla paktów i praw, a potem postąpić sobie według konstytucyi *de non praestanda obedientia*, o wzbronieniu posłuszeństwa krzywoprzysiężcom. W tak rozbujającym zamęcie zdań nie umiał marszałek poradzić sobie inaczej, jak odłożeniem obrad do jutra, gdy wtém zręcznemu zabiegowi nie mowcy lecz dworaka powiodło się utrzymać izbę w szrankach umiarkowania. Sprawił to zasiadający w izbie podkomorzy litewski Felix Pac, ulubieniec czyli ówczesnym wyrazem „kochanek” króla, wraz z kuchmistrem kor. Mniszchem do nadślugiwania najzdrożniejszym jego zachceniom skory. W obecnym razie powtórzył on tylko wczorajszą radę Jabłonowskiego, Ostroroga, Obuchowicza i „republikanta” Szczuckiego, aby jeszcze raz spróbować prośby o rozmowę u króla, ale potrafił ją tak pochlebnie przedstawić izbie, ująć jej tyłu przyjaciół i popleczników w kole poselskiem, iż całe koło zgodziło się pójść za jego słowem „na górę”.

Oczekiwało je tam nierównie pomyślniejsze przyjęcie niż w dniu wczorajszym. Król żałował wczorajszej popędliwości kanclerza, i chciał ją wynagrodzić dziś izbie. Najprzód tedy postanowiono naprawić wczorajszą nieobecność senatu, który dziś owszem pierwsze wyrzec miał zdanie o przedłożonych królowi żądaniach posłów. Od

króla przygotowano im łaskawą ale nie we wszystkiem dogadzającą odpowiedź. W ogólności potrzeba było skłonić się w tej porze do pewnego stanowczego kroku w sprawie wojennej. Większa niż się spodziewano niechęć całego sejmu przeciwko wojnie, odstępcza małoduszność nie wielu życzliwych dworowi senatorów, coraz widocześniejsza oziębłość sprzymierzonych państw włoskich w popieraniu Władysławowych zamiarów wojny, której własny jego naród tak się sprzeciwiał, sama wreszcie opóźniona pora zimowa, wszystko to nie pozwalało teraz myśleć o innym kroku stanowczym, jak tylko o czasowej przerwie wszelkich planów wojennych, na jednym już tylko środku bardzo wątpliwego ocalenia wiszących. Było tym środkiem zerwanie sejmu przez ujętego w tym celu posła, i zachowały się nawet pewne z różnych stron wiadomości, iż niektórzy z najprzyjaźniejszych królowi senatorów, doradzali mu wyzwolić się tym sposobem z pęt zawisłości od sejmu; ale bądźto własna szlachetność duszy królewskiej, bądź połączone z tą ostatecznością niebezpieczeństwa wojny domowej, wzbronily Władysławowi tak niegodnego wyjścia z cieśni obecnej. Wolał przeto ustąpić z czystym sumieniem konieczności, zaspokoić posłów zezwoleniem na wszystkie ich żądania w przedmiocie wojny, a w jedyne wynagrodzenie swojej ofiary oprzeć się temu z ich żądań, które bardziej od zrzeczenia się wojny ubliżało powadze tronu, mąciło bratnią zgodę obu głównych stanów narodu, w coraz niebezpieczniejszą zuchwałosc wzbijało izbę poselską, żądaniu rozmowy z senatem w nieobecności królewskiej.

Po taką zaś na wpół pomyślną, na wpół odmowną odpowiedź idąc do króla, wychodzili posłowie nareszcie z tej ciemnej matni dotychczasowych swarów i hałasów sejmowych, która ich tak długo bez żadnego skutku więziła. Teraz rozścieliła się przed nimi krótka już, lecz widna, otwarta droga reszty obrad sejmowych, pełna zajmujących widoków, pamiętnych scen historycznych, z których właśnie pierwszą dzisiejsze posłuchanie koła rycerskiego u króla. Odbyte w czwartek, dnia 29 listopada w obec senatu, rozpoczęło się ono znowu odczyta-

niem owych sześciu żądań o wojsku, rozmowie, komisarzach, gwardyi, kozakach i listach przypowiednich. Po odczytaniu żądań izby poselskiej zawezwano senatorów do wyrzeczenia o nich zdania swojego, co nie mało czasu zabrało. Po wotach senatorskich nastąpiła odpowiedź kanclerza Ossolińskiego, przywiązująca główną wagę do spełnienia życzeń narodu w przedmiocie wojny. Ztąd też zagaił ją kanclerz szumną przemową w następujących słowach: „Przyozdobił Bóg dziwnemi tryumfami rządu Jego król. Mości, dziś zaś nową na głowę jego włożył koronę, gdy po tak wielu zwycięztwach siebie samego zwyciężył i poddał się w moc i ręce poddanych swoich. Kazał bowiem rozpuścić wojsko, dał listy do hetmanów i starostów, da jeszcze komissarzów i to wszystko wykona, czego WW. mościowie żądacie”. W dalszym ciągu przyrzekł kanclerz w imieniu króla umniejszyć gwardyą i powściągnąć kozaków, a rozesłaniu nowych listów przypowiednich zaprzeczył. Co do rozmowy kazał Władysław odpowiedzieć: „Jaką formę rzeczypospolitej król zastał, taką chce zachować i zostawić potomkom. Na żadne jednak nowości nie zezwoli”; a ponieważ za nowości takie uchodzić mogło, iż posłowie żądali mieć rozmowę w nieobecności królewskiej i wymienić nie chcieli, o czém w niej będą rozprawiać, dla tego nie pozwala jej król.

W obec wielkich ustępstw w sprawie wojennej była to odmowa podrzędnej wagi. Nie wiele też o nią dbali posłowie i (jak o tém świadek naoczny) „wesolo do domu odeszli, kontenci z responsu królewskiego”. Bolała tylko obraza honoru poselskiego, najboleśniej z cierniów każdej tamtoczesnej odmowy, w niniejszej zaś dotkliwszy niż w którejkolwiek. Poniósł ją bowiem cały naród szlachecki, a zdawien dawna nawykł on z mądrym biskupem Piaseckim wierzyć o swoim królu, iż to miodonośny król pszczoł, „który nie ma żądła żadnego”. Czémże więc zawinił mu tak dalece naród szlachecki, aby jego pszczoła królewska znachodzić miała w sobie żądło przeciwko niemu, urażać naród tak bolesną rekuzą, jak dzisiejsze wzbronienie rozmowy bratniej. Jeśli dziś „wesolo” z audyencyi wyszedłszy, nie wrócili posłowie dla późnej nocy

do narad w swojej izbie i nie mogli już w dniu dzisiejszym uzalić się na doznaną od króla wżgardę, toć potrzeba jedynie kilku serc hardych, aby na posiedzeniu najbliższem podniosła się za ich podniętą sroga burza o rozmowę przeciw królowi, aby potargano więzy mniemanej samowoli Władysławowej. Przewidywał to król, przestrzegali o tém życzliwsi dworowi senatorowie i lubo im samym nie smakowała rozmowa, spieszyli doradzać ją królowi, jedni dla odwrócenia dalszych zatargów z sejmem, inni dla ujęcia sobie do reszty affektu braci szlacheckiej, schlebionej już znacznie dzisiejszą łaską królewską w sprawie wojennej. Już sama radość z tej łaski ukoila poniekąd boleść z niedozwoloniej rozmowy, odjęła w pewnej mierze chęć dalszego ubiegania się o nią; gdybyż król jeszcze w dopełnienie łaskawości dzisiejszej dozwolił posłom ucieszyć się tak już znieudolnioną rozmową, straciłaby ona swój ostatni przysmak zakazanego owocu, straciłaby ostatni ślad nieporozumień między królem a szlachtą.

Rady podobne trafiały zapewne daleko łatwiej do przekonania Władysława IV, niż polityka owych ksiąg Macchiavella, o których wypożyczenie z biblioteki podkanclerzego litewskiego Sapiehy, upraszał król osobnym listem w tych czasach. Jak rozpieszczony wolnością naród utworzył sobie jakąś właściwą teorią polityczną o miodonośnej bezżądłej naturze swoich królów, tak i postępowanie tych królów nawykło wzajemnie zastósowywać się do tych pojęć i wymagań szlacheckich. Z taką łatwością na dzisiejsze ustępstwa w sprawie wojennej zezwoliwszy, wiedząc, iż żadnym nadmiarem łaski nie uwolni się od srogich przeciw sobie uchwał w konstytucyach sejmu tegorocznego, nie czuł król Władysław żadnej trudności w przyjęciu owych rad dozwoleń posłom rozmowy i kazał marszałkowi sejmowemu Stankiewiczowi oświadczyć izbie na posiedzeniu najbliższem, iż zezwala na poufną rozmowę posłów z senatorami w nieobecności królewskiej. Uczynił to marszałek dnia 1 grudnia w sobotę, wzywając zarazem do ułożenia głównych punktów rozmowy, której ze względu na blizki koniec sejmu, spodziewają się panowie senatorowie już w dniu dzisiejszym.

Ale dziś wcale inny sentyment ogarnął izbę. Publicznie denegowana, prywatnie dozwolona rozmowa straciła wszelkie dla niej znaczenie. „Prywatnym deklaracyom nie podlega koło poselskie”, zawołał gorliwy republikanin Szczucki, i radził odrzucić tak niegodną izby rozmowę. Zaprzyjaźnionego Szczuckiemu imienia poseł krakowski Zebrzydowski ganił ją, jako nowość bezużyteczną. Inni twierdzili, że sama wielkość ustępstw królewskich w sprawie wojennej niapotrzebną czyni rozmowę. Podśędek krakowski Chrzastowski widział w niej próżną igraszkę ani użyteczną, ani szkodliwą.

Czemu wszystkiemu kontradykowała równie żarliwie strona przeciwna, mniemając sromem dla izby, a złym przykładem dla potomności, najprzód dobijając się o coś tak długo, a potem nie chcąc z tego korzystać. Przemawiali w tym duchu mianowicie podczaszy kor. Ostro-róg, łowczy nurski Stanisław Jabłonowski i poseł Rej. Posłowi sędomierskiemu Gołuchowskiemu zdała się rozmowa jedyną kotwicą ratunku w tak ciężkim razie, dla której gotów był wszystko poświęcić. Najprzeciwiejsze mniemania uderzały o siebie, jednomyślna onegdaj żądza rozmowy zawichrzyła się dziś najdziwaczniejszą sprzecznością zdań. Jakby w zastosowaniu do onęj rady wiśni-kiej założono „kontradykęją za fundament wszystkiemu” i kontradykowano sobie w ten sposób przez kilka godzin. Pozostało bez skutku poselstwo senatu z oznajmieniem, iż oczekiwane jest przyjsie posłów na rozmowę z senatem. Napróżno też upominał ich sam król Władysław, aby nie powstrzymywali tymczasem sądów sejmowych, które król odprawić ma z senatem. Miecznik kor. Jabłonowski z kilką innemi posłami radził już prosić króla i senatorów o przystąpienie do sądów, gdyż posłowie nie przyjdą już na rozmowę. Jak wszystko tak i ta rada znalazła natychmiast zaprzeczenie w kole poselskiem, a gdy w tej samej chwili przybył ktoś od senatorów z pogroźką, że już w istocie czekać dłużej nie będą, jakiś nieznanego imienia poseł dał wnioskiem i przykładem niespodziewanie hasło do wyjścia. „Na górę! do senatu!” ozwało się za nim sto głosów i jakby w dopełnieniu miary dzisiejszego kontradykowania sobie samym, ruszyli wszy-

scy na zobojetniałą już wszystkim rozmowę. Nie przeszkodził jej ani brak dostatecznego porozumienia się posłów co do treści rozmowy, ani ciągły opór kilku najzawziętszych jej przeciwników, którzy jeszcze na schodach usiłowali skłonić kolegów do powrotu. Pociągając owszem ze sobą kontradycentów, stanęło koło poselskie za chwilę w sali senatu, gdzie w jaki sposób uszykowało się naprędce całe zgromadzenie poważne, ujrzymy najlepiej w również pobieżnym opisie pewnego naocznego świadka tej sceny Oświecima.

„Byli na tém *colloquium* w senacie po jednej stronie ksiądz arcybiskup gnieźnieński, ks. kujawski, ks. łucki, ks. chełmski, ks. żmudzki, ks. kijowski, ks. kamieniecki, ks. smoleński, pp. wojewodowie rawski, mściślawski, malborski i pomorski, pp. kanclerz i podkanclerzy litewscy i p. podskarbi litewski. Po drugiej stronie ks. arcybiskup lwowski, ks. poznański, pp. wojewodowie brzeski, podolski i podlaski, panowie (kasztelanowie) sieradzki, łączycyki, płocki, podlaski, elbiński, radomski, brzeziński, sanocki, chełmski, sochaczewski, warszawski, wiski i lwowski, p. marszałek kor., p. kanclerz kor., p. marszałek nadworny korony. Panowie senatorowie siedzieli wszyscy na swoich miejscach zwyczajnych, jako przy królu J. Mci. Panowie posłowie jedni stali, włożywszy swe czapki na głowę, drudzy na tém miejscu, kędy dwór stawa przed królem J. Mcią. Tamże i ci, którzy mieli krzeselka, na krzeselkach. Siedzieli i na inszych miejscach, którzy mieli swoje składane stolki, siedziało ich siła i na senatorskim drążku; którym się siedzieć nie dostało, stali. Skoro wszyscy usiedli na swoich miejscach, chciał p. stolnik krak. i p. podsędek krak. żeby się to *colloquium* odprawowało *in conclavi*, przy samych senatorach i posłach. I już byli poczęli pp. marszałkowie nieposłów wyganiać, ale się drudzy posłowie oponowali przeciwko temu”.

Stała się więc jawną rozmowa, zagaił ją marszałek poselski Stankiewicz krótką perorą, w której podziękował panom radom kor. za dozwoloną z sobą rozmowę i wynurzył nadzieję, iż za wspólną pracą obydwóch stanów zagoją się rany ojezyny. Po nim uprosił sobie głos przyszły kanclerz kor. a terazniejszy stolnik krakowski Kory-

ciński, aby w surowych słowach wyrzucić senatorom, w czem od nich temi czasy ucierpiała ojczyzna. I oto na-przód nie oparli się dość stanowczo królewskim zamiarom wojny, lecz owszem pospołu z królem pozwolili sobie sta-nowić prawa bez zniesienia się z stanem rycerskim, jak te-go świeżym dowodem komissya moskiewska o granice, któ-ra przeszłemu i terażniejszemu sejmowi tyle trudności sprawiła. Zkąd nieodzowném wypływało następstwem, iż król nakoniec bez senatu rządzić się począł, bez wiedzy senatorów zaciągnął wojska, z zadniedbaniem rady koron-nój cudzoziemców do poselstw i rad zażywa, ze wzgardą praw pod pieczęcią pokojową listy przypowiednie wydaje. Z której to ostatniej exorbitancyi niech obecni tu panowie pieczętarze sprawę uczynią, dla czego zaraz w początkach nie ostrzegli o tém narodu, nie podali tego listami do wia-domości sejmikom, obojętnie czekając aż się stan rycerski dowie o tém prywatnie. A coby więcej pozostało do wy-pomnienia, zakończył stolnik krakowski, to inni posłowie według swoich artykułów sejmikowych przypomną pa-nom kanclerzom i senatorom.

Lecz pierwszy po Korycińskim następca w głosie, podsędek krakowski Chrzastowski, kalwin, o tak niewła-ściwej zgromadzeniu dzisiejszemu materyi, bo o krzy-wdach i żądaniach dyssydentów rozprawiać zaczął, że mu po niewielu słowach przerwano, oddając głos staroście wielkopolskiemu Leszczyńskiemu. Ten w bardzo umiar-kowanej mowie wyszedł od zapewnienia o sobie i całej braci stanu trzeciego, jako ani zacnych i dobrotliwych za-miarów króla w podejrzenie podawać nie chce, ani roz-mowy dzisiejszej placem walki z senatorami nie czyni. Stają tu bracia młodszy jedynie jako pacyentowie ciężkich uraz publicznych, z których najpierwszą i najcięższą są wojska cudzoziemskie bez wiedzy rzeczypospolitej zacią-gnione. Pragnie uwolnić się od nich za pomocą panów senatorów stan trzeci, a ku tém mocniejszemu ubezpiecze-niu przyszłości żąda, aby rozpuszczenie tych wojsk oso-bną konstytucją sejmową obwarowaném zostało i do księgi praw weszło. Przyczynią się też bracia starsi do zastrzeżenia ustawą, aby legacye i pakta zagraniczne dzia-ły się tylko za wiedzą stanów i przez krajowców. Wreszcie

i pokojowej pieczęci aby do ważnych spraw bez wiadomości panów kanclerzów nie zażywano, a cudzoziemcy, aby się nie opiekowali rzecząpospolitą. W czém gdy życzenia obu stanów spełnione będą, zamyka p. generalny starosta przemowę swoją: „stanie w miejscu pokojowej pieczęci siła tysięcy gotowych pieczętować krwią i zdrowiem swoim wiarę winną królowi panu swojemu”.

Po głosach krakowskim i wielkopolskim podniósł się ruski, słynnego z wymowy Ostroroga. Niechcąc jednak powtarzać co już słyszano, ograniczył się podczaszy kor. na krótszą niż zwykle mowę, w której podał trzy rady. Pierwszą, aby zaciągnionemu przez króla wojsku zapłacić przed rozpuszczeniem; drugą, aby Tatarom upominków nie wzbraniać; trzecią, aby wkrótce nowy, dwuniedzielny sejm złożyć. Tożsamo na rzecz pokoju zalecał po Ostrorogu miecznik kor. Jabłonowski, w obronie zaś praw i wolności szlacheckich przemawiali gorąco po mieczniku poseł wielkopolski Orzelski, pisarz kaliski, i jeden z posłów litewskich, wojski mozyrski. Po którymto wszystkich prawie ziem polskich odezwaniu się swoim głosem w tej powszechnej rozmowie bratniej, odpowiedział posłom w imieniu senatorów sędziwy arcybiskup gnieźnieński Maciej, chwalać gorliwość stanu rycerskiego w obronie swobód i radząc zaspokoić żołdem wojsko zaciężne. Cichą i ledwie zrozumiałą mowę prymasa uzupełnił głośny w całym kraju z staropolskiej hojności i prawdomówności biskup kujawski Gniewosz, z tém większém upodobaniem słuchany teraz przez posłów, że im wszelką pomoc senatu przyrzekł w ich żądaniach u króla. Mieli mówić po nim inni biskupi, ale przerwało im wołanie o głos dla posła pewnej ziemi koronnej, która dotąd słyszana jeszcze nie była t. j. dla wschodnio-południowych stron Polski, z kąd teraz zażądał mówić jeden z posłów zadnieprskiej Czernichowszczyzny, gwałtowny zelant złotej wolności, Ponętowski i z prawdziwie kozacką wybujałością imaginacyi przemówił na cześć dzisiejszego tryumfu swobód.

Mowa jego wzgardziła przeszłością i obecnością, a przeniosła się w przyszłość. Rozwazał Ponętowski przyszłe następstwa wojny, gdyby ją dano było stoczyć królowi. Byłyby one w każdym razie szkodliwe, czyby król

„Mość zwycięstwo odniósł, czy klęskę. Ogromu klęski któż sobie wyobrazić nie zdoła? i ze zwycięstwa wszelako nie przysłoby się nam cieszyć. Chciał bowiem król opędzić tę wojnę cudzą pomocą i własnym kosztem, a takimi środkami opanowany szczęśliwie Konstantynopol czy-jażby stał się zdobyczą? czy prywatną króla i jego sprzymierzeńców, czy publiczną rzeczypospolitęj. Jużci prywatną, a wtedy radziłbyśmy byli królowi tak przemocnie spotęznionemu? I gdyby nawet podzielił się król zdobyczą swoją z narodem, cóż za różnica między Polską a ludami nowo z nią złączonemi! Nowo opanowane, do niewoli nawykłe, nagięłyby się łatwo do posłuszeństwa, i pozyskałyby tém większą przychylnosć króla, nam zaś padłby los owych Macedonów Alexandra W., którzy wolnymi wyprowadzeni przezeń na wojnę, byłiby wrócili niewolnikami, gdyby nie umarł był Alexander. I nie sąto próżne widziadła, które wyrzucacie zwyczajnie wielomownym obrońcom swobód. Dawa się to wyczytać z prywatnej pieczęci tych listów przypowiednich, które nam prywatną przynieść mogły niewolę. I od takichto niebezpieczeństw nie spieszyli panowie senatorowie bronić rzeczypospolitęj, albo bronili jej bardzo oziębłe. Niechże przynajmniej na przyszłość będą o to dbalszymi, i dopomogą do wyjednania assekuracyi pisaném prawem u króla, aby niebezpieczeństwa takie nigdy więcej ni: zagrażały ojezynie.

Dopiero po głosie Ponętowskiego dostało się przemówić innemu z senatorów duchownych, biskupowi poznańskiemu Szofdrskiemu. Usłyszeli odeń posłowie nową pochwałę swojej gorliwości obywatelskięj z obietnicą przedłożenia królowi wynurzonych tu skarg i żądań poselskich. Wystąpił po biskupie kanclerz kor. Ossoliński zgadzając się podobnież na wszystkie żądania stanu trzeciego. Z czynionych mu zarzutów uniewinnił się zapewnieniem, iż o paktach z książęty zagranicznymi nie wiedział, a pieczęć pokojowa nie od niego zależy, koronnej zaś pieczęci odmówił listom zaciężnym. Toż samo powtórzyli obaj podkanclerzowie, koronny biskup Leszczyński i litewski Kazimierz Lew Sapieha, ten ostatni w swego też nieobecnego kolegi Radziwiłła imieniu. Poczem nastą-

piło jeszcze kilka dodatkowych głosów uzalenia się na ucisk swobód od dworu, bądźto z ust surowych w tej mierze posłów jak stolnik krak. Koryciński i Szczucki, bądź wtorzącego im senatora, wojewody brzeskiego Szczawińskiego, któremu izba poselska dopiero na posiedzeniu najbliższem zawdzięczyć miała jedną z najśmielszych mów tego sejmu. Tymczasem uniesiony prądem wyrzekania, wyrwał się w końcu pan starosta grabowiecki Sarbiewski, rodzony brat poety, z tak niepoczesną skargą na oppressyą expektatywami za życia possessorów wydawanemi, iż mu powszechnym okrzykiem „do izby” głos odebrano i do zamknięcia rozmowy przystąpiono. Zamknął ją marszałek poselski wynurzeniem senatowi nieskończonych dziek za łaskawe przyjęcie upomnień i życzeń izby poselskiej ku wiekopomnej chwale dnia dzisiejszego, któremu dano było patrzeć na tak zgodne zmiesienie się braci młodszych z starszymi, bez ciężającej obecności królewskiej.

Za powrotem do swojej sali po wysłuchaniu gratulacyjnej mowy marszałka i hałaśliwych skarg podsędku krakowskiego i starosty grabowieckiego na despekt odebranych im głosów w czasie rozmowy, przypomniało sobie koło poselskie, iż dzień dzisiejszy jest piątym przed końcem sejmu, w którym według przepisu prawa należy iść do króla z przygotowanemi konstytucyami. Ale że się jeszcze nie całkiem przygotowano, że do tego późna była już pora, nazajutrz niedziela następowała, przeto odłożono wszystko do sessyi poniedziałkowej, przeznaczonej stać się przez to najpamiętniejszą z scen tego sejmu. Za ledwie bowiem zgromadziło się w poniedziałek koło poselskie, wniósł generał wielkopolski Leszczyński, aby dzisiejsze stawienie się posłów przed królem połączyć z przyobiecana przez senatorów egzekucyą rozmowy, t. j. ze wspólnem od senatu i rycerstwa przedłożeniem królowi traktowanych i przyjętych w rozmowie punktów. Dopiero tym aktem mogło urosć znaczenie uposledzonej ostatniemi okolicznościami rozmowy, na którą już w sobotę szli tak obojętnie posłowie, a która od czasu odbycia się jeszcze bardziej upadła w cenie, osobliwie po za obrębem sejmu. Dziś jednak za niewątpliwem przychyleniem się króla do wspólnie przez oba stany przedłożonych mu

żądań, miały te żądania w oczach całej ojczyzny, jednym z najwspanialszych aktów w dziejach sejmowania polskiego, przejść nakoniec w spełnienie, stać się prawem pisanem, z bogacie niepoślednio skarbiec wolności narodowych.

Jakoż z niezwyčajnym pochopem przystali posłowie na wniosek Leszczyńskiego i usunąwszy na bok wszystkie drobniejsze sprawy i sprawki, zajęli się skreśleniem orzeczonych sobotnią rozmową punktów. Tymczasem wyprawiono do arcybiskupa i do marszałków kor. z oznajmieniem, iż cała izba niebawem dla dopełnienia rozmowy przyjdzie na górę. Arcybiskup przyrzekł swoją obecność, marszałkowie zaś złożyli się niemożnością wprowadzenia posłów na górę, gdyż odbywa się tam właśnie w obec króla i senatorów sprawa niezmierniej wagi. Był nią ów szeroco rozgałęziony zatarg między wojewodą ruskim Jeremią Wiśniowieckim a młodym chorążym kor. Koniecpolskim o przeszło 40 wsi i miast Hadziaczeczyzny za Dnieprem, o którym była już wzmianka poprzednio, a który teraz właśnie rozsądzać miano w senacie. Ale ku tém głośniejszemu rozślawieniu dzisiejszej sceny sejmowej musiała tym razem sprawa prywatna ustąpić z podziwem wszystkich publicznej. „Nie ma ważniejszej sprawy nad sprawę całej rzeczypospolitej”, kazali posłowie odpowiedzieć marszałkom, i uwiadomiwszy ich o swoim przyjsciu niezwłocznem, ruszyli w istocie przed południem, 3 grudnia całem kołem na górę.

Panowało tam dziwne w tak uroczystej przedchwili zamieszanie. Przygotowana do sądu sala senatu nie miała stósownego pomieszczenia dla posłów. Musiano ją więc urządzić spieszenie na nowo, w czem kto mógł, dopomagał. Za chwilę przybył król, zasiedli dostojnicy senatu, usadowili się „z trzaskiem” posłowie. Nie tracąc czasu, powstał z miejsca swego arcybiskup gnieźnieński i zbliżywszy się z powitaniem do króla, powrócił do krzesła swego, gdzie stojąc z całym senatem, nawet z chorym na nogi kanclerzem litewskim Radziwiłłem, miał najpierw przemówić w kilku słowach do króla, a potem odczytać mu wręczone sobie przez posłów punkta. W przemowie swojej upewniał arcybiskup Władysława o tak

spokojném, tak pełném uszanowania dla niego odprawieniu rozmowy onegdajszej, iż sam król bez urazy mógł ją być słyszeć. W podanych zaś prymasowi do złożenia u tronu punktach żądali posłowie, co następuje: 1) rozpuszczenia zaciągów; 2) nieużywania pieczęci pokojowej w sprawach publicznych; 3) ścisłego zachowania dawnych paktów z państwami zagranicznymi, a niezawierania nowych bez wiedzy całej Rzeczypospolitej; 4) oddalenia cudzoziemców od boku królewskiego; 5) aby poselstwa i rezydencye zagraniczne odprawiane bywały jedynie przez obywatelów krajowych; 6) aby gwardya królewska umniejszoną została do dawniej liczby; 7) aby komissye rozgraniczenia nie były stanowione bez wiedzy sejmu; wreszcie 8) aby kozaków powstrzymano od wypraw morskich. Zakonkludował arcybiskup prośbę o spełnienie słusznych żądań narodu.

Po wysłuchaniu mowy arcybiskupa nastąpić miała odpowiedź króla. Wtém przeciw powszechnemu oczekiwaniu musiano dozwolić głosu jednemu z świeckich panów senatu, wojewodzie brzeskiemu Szczawińskiemu, mężowi wielu zasług na polu zarówno marsowém, jak sejmowém, z których wszelako żadna tyle nie przyniosła mu chwały, co dzisiejsza mowa do króla. Wystąpił z nią wojewoda po sędziwym arcypasterzu jedynie dla obalenia pozorów, jakoby samo duchowieństwo czuwać miało nad bezpieczeństwem ojczyzny, tudzież dla gruntowniejszego oświecenia króla o przyczynach dzisiejszej niedoli kraju, aby jej tém łatwiej zaradzić mógł dobrocią serca swojego. Przy tym ustępie mowy należało królowi obyczajem czasu okazać wdzięczność pochwale i towarzyszącym jej głębokim ukłonom mówcy, co powszechnie uchyleniem kapelusza czyniono, senatorowie zaś w znak uszanowania stojąc słuchali. Poczém cofnąwszy się do pierwszych lat rządów Władysławowych, przypomniał mówca z zapalem owe błogie lata zwycięstw i szczęścia, w których „nie innego nie było słyhać po kościołach i domach, jak tylko wesołe koncenty: „niech żyje król Władysław”! (Tu król po raz któryś czapkę uchylił, a wielu senatorów znaki przyzwolenia dawało). „Ale dziś”, ciągnął mówca

dalej zmienionym głosem, „radość nasza zamieniła się w smutek i gorzkość, bo pan nasz podniósłszy nas, zepchnął nas nisko! Dziś wszędzie tylko płacz, ucisk, przekleństwo ubogich ludzi, drapieżnością żołdactwa cudzoziemskiego znękanych”.

Snadno pojąć przykre zdziwienie króla i senatorów: król zmarszczył brwi, senatorowie pouśladali. Perorujący wojewoda nie zważał na to, i nie przestając swoich głębokich przy sposobności ukłonów, żadnym jednak ruszeniem czapki królewskiej nie wywzajemnionych już odtań, przystąpił do wskazania królowi przyczyn dzisiejszego pogorszenia się czasów. Pierwszą z nich było faworyzowanie u dworu cudzoziemców, którzy żadnym węzłem spółczucia niezwiązani z narodem, własnych tylko zysków szukając w Polsce, najzgubniejsze rady podszeptują królowi. Drugą przyczyną mniemał wojewoda niestosowną dystrybucją łask i urzędów, dozwołaną królom polskim dla większej powagi majestatu, bez obawy urosnięcia kiedyś tak srogiego łakomstwa w kraju, iżby jeszcze za życia possessorów napierać się miano ich dzierżaw i zaszczytów, nie brzydząc się z poetą „szpetnym sprzedawaniem niepodległości swojej za złoto”. Sprzedajność zaś prowadzi mowę do trzeciej, najgwałtowniejszej przyczyny złego, do posła weneckiego Tiepola, który dopiero wczoraj zdał sprawę z legacyi swojej, a tak długo bawi już w Polsce, tak długo obietnicami złotego myta doświadcza uczciwości szlacheckiej, aby zakupiwszy sobie sprzedajnych, zwalić cały ciężar wojny tureckiej z Wenecyi na Koronę. Ztąd gorące prośby o jak najprędze oddalenie Tiepola i wszystkich cudzoziemców od dworu, o również szybkie rozpuszczenie zaciągów cudzoziemskich, których ucisk nieznośny tém srożej boli, że pochodzi od wrogów, przyjaźną ręką sprowadzonych na zgubę kraju.

Przy powtórnym wspomnieniu plagi żołnierskiej zaczęła mowa wojewodzińska coraz więcej goryczy przybierać i gwałtowności. Wojewoda brzeski Szczawiński osiadłym był w Kujawach, a województwa pruskie i przyległe brzesko-kujawskie ucierpiały właśnie najbardziej od drapieżności zaciągów. Oprócz łupieży w majątno-

ściach musiała szlachta, według mowy wojewodzińskiej, znosić jeszcze ciężkie od żołnierstwa obelgi, sromotne urągania dumie szlacheckiej. pogróżki przytarcia jej rogów niebawem, przeistoczenia jakąś nową alchymią szlacheica w chłopa, chłopa w szlacheica. Jakże więc (woła mowca) nie boleć, nie sarkać, nie wznosić rąk do nieba, patrząc na te złočynyłstwa zaciężnej zgrai, widząc jak ona snopy po stodołach dworskich wymłaca, kłódki od piwnic i spichlerzów odbija, domy szlacheckie i dwory pańskie zalega. Dlatego nim się miarka cierpliwości przebierze, prosimy Cię, miłościwy nasz królu, racz nas uwolnić od tego jarzma, a zaspokojeni w naszych żądaniach, nie omieszkamy wzajem uczynić wszystkiego dla Ciebie i miłościwej małżonki twojej królowej naszej. „A że z onym wielkim kanclerzem i hetmanem Zamojskim tę lichą mowę moją zawrę”, kończy łagodniejącym tonem pan wojewoda, „gdy nas tak Wasza Król. Mość jako i przodkowie Waszej Król. Mości przodków naszych miłować będziesz, nie zejdziesz ztąd, jeno syt dni żywota i pełen chwały, a potomek Waszej Król. Mości potomkom naszym panować będzie”.

Ostatnie te słowa przeniknęły głębiej serce Władysławowe, niż może zamierzały. Lubo nie ze wspomnień po roku bieżącym pozostałych, z jednego przecież w rok po sejmie zasłyszanego z ust Władysława wyrazu, widać, że chęć pozostawienia korony polskiej swojemu jednemu sześćioletniemu synowi Zygmuntowi Kazimierzowi, wpłynęła znacznie na terażniejszą gotowość króla do odroczenia a może i całkowitego zaniechania wojny tureckiej. Nazbyt mnogie jednak przeszkody stały jej w drodze, nazbyt wiele innych nieprzełamanych hamulców nie dopuszczało Władysławowi spełnienia zamierzonej zasługi względem przeszłości i przyszłości, aby w tej jednej chęci ojcowskiej upatrzeć całkowitą przyczynę niepomyślnego rozwoju zdarzeń. Jakoż nie obecną dopiero chwilą do ustąpienia przemocnym życzeniom narodu pobudzony, miał król teraz bardzo łaskawą odpowiedź dla upraszających go stanów obudwóch. Odpowiedział im w imieniu Władysławowem wielki kanclerz kor. Ossoliński, iż król tém chętniej na wszystkie przedłożone punkta

zezwała, im większą wspólność i zgodę w przedłożeniu onych przez obadwa stany postrzega. Zaczem tak co do zaciągów jak i sojuszów dawnych i nowych, co do pieczęci pokojowej, cudzoziemców u dworu, poselstw i rezydencyj postronnych, gwardyi, komissyj granicznych i kozaków, postąpi sobie król we wszystkim według woli narodu, i pozwała te postanowienia swoje umocnić konstytucyą osobną.

Czegoż więcj mógł żądać naród! Stanąwszy nagle w celu wszelkich życzeń, śmiano zaledwie dowierzać rzetelności osiągnionėj fortuny. Jedyném téż dalszém życzeniem panów sejmowych pozostało uniewątpiwić sobie zupełne jej uiszczenie. Mógł temu zadość uczynić sejm w bliskim czasie złożony, na którym w razie niedotrzymania obietnie możnaby pociągnąć króla do odpowiedzi, i wbrew zwyczajnym skargom na częste sejmy, zaczęto domagać się upornie sejmu nowego. Królowi przeciwnie za zupełny upadek zamysłów wojny, za odmówienie wszelkiego udziału stanów w poczynionych na nią wydatkach, przyszło chyba tego jedyne go spodziewać się wynagrodzenia, iż Rzeczpospolita głównej wierzytelle kosztów wojennych, królowej Maryi Ludwice, nie skąpą wyznaczyć zechce oprawę. Chodziło zwłaszcza królestwu o wyznaczenie takiej oprawy, jaką przed kilką laty zaopatrzono pierwszą małżonkę Władysławową, Cecylię Rakuszanke, i jakiej teraz domagał się Władysław dla Ludwiki. Uchwalenie więc reformacyi i sejmu w najbliższym czasie było dwoma sprawami, które jeszcze żywo zajęły uwagę sejmu, już tylko trzy doby trwać mającego. Obie główne sprawy sejmowe, wojenną i trubeką, miano za całkiem już rozwiązane; wszystek zaś nawał innych, zwykleszych, coroczném powtarzaniem się spowszedniałych, jak n. p. zapłaty wojsku ukraińnemu, rachunków z podskarbimi, wymagań dyssydentów, komissyj rozgraniczenia i t. p., nie wiele zwyczajnie kłopotów sprawiał sejmowi, załatwiany powszechnie albo częściowym tylko konsensem, albo odroczeniem do przyszłych obrad, albo właściwą ówczesnym pokoleniom biegłością w dopełnianiu potocznych czynności parlamentarnych.

Z t \acute{e} m wszystkim całe posiedzenie jutrzejsze upły-
nęło w tych czynnościach potocznych, bez dotknięcia
owych dwóch spraw ważniejszych, sejmu nowego i re-
formacyi. Musiał przeto król Władysław na posiedze-
niu następn \acute{e} m, w przedostatnim dniu sejmu, osobn \acute{e} m
poselstwem senatorski \acute{e} m przypomnieć posłom należą-
cą się każd \acute{e} j now \acute{e} j królów \acute{e} j reformacyą, ale i to przypo-
mnienie nie odniosło skutku ani dziś, ani nawet naza-
jutrz. Wszczęte owszem w tym przedmiocie rozprawy,
przywiodły mowców nareszcie do tak gwałtown \acute{e} j sprzecz-
ności zdań, iż dwaj najzawziętsi przeciwnicy już sobie
wzajemnie zagrozili zerwaniem sejmu, jeden w razie
uchwalenia oprawy, drugi w razie jej nieprzyjęcia. Pierw-
szym z nich był znany nam kontradycent zadniepr-
ski Ponętowski, drugi starosta łomżyński Radziejowski,
znany nam jako uczestnik owych przed półrokiem taj-
nych zmów senatorskich przeciw wojnie, a t \acute{e} m sam \acute{e} m
przeciwnik króla; ale jako urzędnik now \acute{e} j królów \acute{e} j, gdyż
był j \acute{e} j krajczym, cheiwy łaski i zaufania sw \acute{e} j pani, a prze-
to najzarliwszy popieracz reformacyi. Opowiada o nich
obydwóch dyaryusz kanclerza Radziwiłła w opisie dzi-
siejszego posiedzenia, we wtorek, 5 grudnia: „starosta
łomżyński Radziejowski prosił o czytanie konstytucyi,
z tym dokładem, aby reformacya królów \acute{e} j nie była eklu-
dowana. Tego się (prawi) domagam nie jako officya-
lista królów \acute{e} j, ale jako wolny szlachcic, bo inaczej ani
ta konstytucya nie stanęłaby ani drugie.” Na co Ponę-
towski: „jezli żadnego pożytku nie spodziewać się z tego
sejmu, aż chyba reformacya królów \acute{e} j konkludowana bę-
dzie, to ja wzajemnie mówię, że wolę krzywdę cierpieć
od żołnierza cudzoziemskiego, i wolę niech się sejm rwie,
niżeli zostawić taką pamiątkę, iż Polacy nie mogli być
uwolnieni od żołnierza przeciwko paktom wprowadzo-
nego, aż musieli zezwolić na reformacyą królów \acute{e} j”.

Dalszy ciąg sporu jeszcze bardziej roznamiętnił
sporzących. Zrywali się coraz dostojniejsi mówcy do
głosu, od głosów zrywano się już do wyjścia. Gdy miecz-
nik kor. Jabłonowski przeciw zaproponowanemu prze-
jęciu od oprawy do czytania konstytucyj się ozwał, dal-
sze owszem traktowanie oprawy radząc, zarzucił mu

generał wielkopolski chęć przeszkodzenia konkluzji sejmowi, i z generałem krakowskim Lubomirskim gniewnie opuścił salę. Przestraszony marszałek koła Stankiewicz, z obawy rozejścia się całej izby, zamknął czemprowadź sęssyą, zapowiedziawszy gwoli uspokojeniu umysłów, iż jutrzejsze posiedzenie ostatnie czytaniem konstytucyj się zacznie. I stało się tak w istocie, przystąpiono z upodobaniem do słuchania rozciąglejszych niż kiedykolwiek uchwał na korzyść swobód; wszakże lubo dziś spory o reformacyą ucichły, nasunęła się inna zawada konstytucyom. Wystąpili posłowie dyssydenty z żądaniem swoich spółwierzów, popartemi groźbą zaprotestowania przeciw wszystkiemu, jeśli się im zadość nie stanie. Ponowił się więc po raz setny srogi gwar głosów, które nie stale od przedmiotu do przedmiotu przechodząc, a nad każdym wiele słów trwoniąc, zmarnowały większą część dnia. Nad wieczorem stanął w izbie sekretarz w. kor. z zawezwaniem od króla, aby panowie posłowie według przepisu prawa szli dla zamknięcia sejmowi na górę. Koło poselskie nie chciało nieposłusznym być prawu, i o wczesnym zmroku grudniowym, przy zapalonych już świecach, znalazło się w obec króla i senatorów w senacie, u wstępu jednej z owych ostatnich sęssyj całego sejmowi, które uroczystym połączeniem wszystkich trzech stanów, zwyczajną długością swojego czasem od mszy dzisiejszej do jutrzejszych niesporów trwania, dziwnym wysilaniem się ministrów i senatorów na różne środki przejednania kontradycentów, swoją wreszcie burzliwością niekiedy, liczyły do najdramatyczniejszych chwil publicznego życia narodu.

Dziś jednak nie było powodu do zajść burzliwych. Zagajono posiedzenie odczytaniem gotowych już konstytucyj, a konstytucyę sejmowi tegorocznego, zaczynając się od owych rozmową bratnią uchwalonych a od króla przyjętych punktów, tak srodze krępujących ostatki władzy królewskiej, to owczesnym sercom szlacheckim najśłodszy ze wszystkich miódów, jakie im pszczoła królewska wysączyć mogła. Z niezwyčajnym też zadowoleniem przysłuchiowano się następującym po sobie artykułom o rozpuczeniu zaciągów, o gwardyi, o cudzo-

ziemcach, z których mianowicie pierwszy widocznie „przygrubym i przykrym” zdał się królowi. Za to jakże niezmiernie smakowały te punkta posłom, powtarzającym o nich słowa swego nowogrodzkiego kolegi Obuchowicza, zapisane tuż po sejmie na cześć dwóch pierwszych punktów w jego dzienniku: „Chwalebne konstytucye! Jest co czytać wolnemu obywatelowi!” Pod łagodzącym zaś wpływem radości łagodniała także kontradykcyjna żarliwość serc, uciszeni posłowie przystawali dziś snadnie na wiele rzeczy, które w innym czasie niezłomny spotkałby opór. I tak gdy po odczytaniu konstytucyj wybuchła znowu wczorajsza kontrowersja między różnawiercami a zbijającą ich żądania stroną przeciwną, powiodło się prośbom ministrów i senatorów uciszyć różnawierców obietnicą, iż sejm najbliższy wyrządzi im sprawiedliwość. Podobnie łatwymi do uproszenia okazali się dziś kontradycenci i w innej jeszcze okoliczności.

Miało się już ku północy, a nie tknięto jeszcze wielu spraw ważniejszych. Mianowicie konstytucya o Trubecku, kwestya sejmu nowego, zapłata wojsku ukrainnemu, reformacya, opatrzenie zamków granicznych, wszystko to leżało nieodeczone, nieuradzone. Taki nawał przedmiotów nie mógł być załatwionym do rana. Zaniósł więc kancierz w. kor. prośbę do posłów, aby przynajmniej o jeden dzień sejm przedłużono. W obecnym jednak roku podlegało to większym niż kiedykolwiek trudnościom. W wielu instrukcyach sejmikowych powtarzał się artykuł instrukcyi lubelskiej z dnia 2 stycznia r. 1645, „aby sejmu tego ani jedną godziną nie prolongowano, nocy nie czekając” — a tegoroczna instrukcyja lubelska kończyła punktem opiewającym: „artykuły nasze w r. 1645 uchwalone w zupełności reassumujemy, do których pp. posłowie wę wszystkiem referować się mają”. Przez co nie wolno było właściwie zezwalać na prolongacyą, lecz powszechne zadowolenie dzisiejsze, w spółce z chęcią niepozabawienia się uzyskanych dotąd korzyści sejmu, rozgrzeszyło sumienie posłom. Zgodzono się na przedłużenie o jeden dzień, do jutrzejszego piątku 7 grudnia. Nazajutrz zaś jakby dla ukarania posłów za przestąpienie instrukcyi, trącił sejm niespodzianie o tak niebezpieczny acz niepokaźny szkopuł, iż

u samego już kresu przyszło mu ujrzeć się za chwilę pozabawionym wszelkich korzyści z prolongacyi wczorajszej, wszelkiej owszem nadziei zakończenia.

Padło to niebezpieczeństwo sejmowi, zdaniem najzabobonniej w diabła, gusła i czary wierzącego kanclerza Radziwiłła, za sprawą złego ducha, „który częstokroć przeszkadza dokończeniu spraw dobrych.” I zgodzimy się wszyscy na to twierdzenie, dawszy Radziwiłłowskiemu djabłu nazwę tej potęgi piekielnej, którą wszystkie zaniejsze głosy bieżącego stulecia, zaczawszy od ks. Skargi aż do tegorocznej propozycyi królewskiej, uznają głównym źródłem tegoczesnych nieszczęść ojczyzny, nazwę prywaty. A w obecnym zdarzeniu stała się ta potęga piekielna tem straszniejszą sejmowi, iż szło o prywatę dwóch wielkich panów: księcia podkanclerzego lit. Kazimierza Sapiełę i księcia hetmana polnego lit. Janusza Radziwiłła, toczących dalej swoje dawną walkę rodową, tym razem o fraszkę, o kaprys pański. Wakowało temi czasy pisarstwo nowogrodzkie, o które oba książęta ubiegali się u króla dla dwóch „ubogich (wyrazem Radziwiłłowskim) ślimaków” domu swojego: książę podkanclerzy dla podstarościego z Słonimia Kiersznowskiego, książę hetman polny dla dworzanina swojego Protasowicza. Jeden i drugi otrzymał przyrzeczenie królewskie, lecz w dniu wczorajszym podarzyło się stryjowi księcia Janusza, kanclerzowi w. lit. Radziwiłłowi, przywieść króla do stanowczego oświadczenia się za sługą Radziwiłłowskim Protasowiczem, który rzeczywiście posiadał pisarstwo; co tak żywo ubodło podkanclerzego, iż polecił kilku oddanym Sapieżyńskiemu domowi posłom, aby na jutrzejszym posiedzeniu sprzeciwili się sprawie trubeckiej.

Choćż bowiem odczytano już w izbie projekt ustawy o Trubecku, znalazła się jeszcze pewna wątpliwość do rozwiązania. Wynagradzając W. Księztwo Lit. starostwami łojowskim i lubeckim, przyznano najwyższą zwierzchność nad obojgiem W. Księztwu, kwartę z nich Polsce, służbę zaś wojskową w miarę potrzeby bądź jednemu bądź drugiemu krajowi. Pozostała przecież niepewność co do osoby terazniejszego starosty, hetmana polnego kor. Kalinowskiego, jakiemu podlegać ma ona prawu, polskiemu li, czy

litewskiemu? W zagajonej o to na ostatniem piątkowem posiedzeniu rozprawie oświadczył kolligat i zastępca hetmana polnego, kanclerz kor. Ossoliński, iż w sprawach o ziemię odpowiadać będzie Kalinowski sądom litewskim, w sprawach osoby dotyczących sądom koronnym. Przystali na to posłowie polscy, nawet wielu litewskich już zezwoliło, gdy wtém zerwali się Sapieżyńcy, żądając koniecznie osoby Kalinowskiego dla Litwy. Było to rzeczą bardzo trudną do osiągnięcia, gdyż działający w imieniu swego kolligata kanclerz kor. działał właściwie bez żadnego pełnomocnictwa, i nie mógł w tym razie rozporządzać ostatecznie jego osobą. Zaczem trwały dalej hałasy najętych kontradycentów, nikt nie umiał wskazać wyjścia z tej matni, zanosło się już na niemożność skończenia obrad, na zeszłoroczne rozbicie sejmu. W tej naglącej potrzebie odważył się kanclerz kor. na dziwnie dowolny postępek ze swoim kolligatem i bez żadnego upoważnienia poddał jego osobę Litwie. Wszyscy uznawali wprawdzie wyrządzoną Kalinowskiemu dowolność, ale byli radzi usunięciu trudności. Subordynaci Sapieżyńscy nie śmieli się już odezwać; konstytucya trubecka przeszła bez dalszej protestacyi.

Dany jednak przez kontradycentów trubeckich przykład rozbudził na nowo żądania uciszonych wczoraj różnowierców, nie dających dziś uspokoić się pierwój, aż im osobną konstytucją ubezpieczono zadośćuczynienie na przyszłym sejmie. Nastąpiło zatem odczytanie uchwały tegoż sejmu nowego, który miał być tylko 3 tygodniowym, a rozpocząć się 2go maja, jak zwyczajnie we czwartek. Do tegoż sejmu nowego odłożono także kilka innych spraw tegorocznych, mianowicie zaopatrzenie murów smoleńskich, już teraz współ z kamienieckimi ruiną zagrożonych. Aby i nierostrzygniętej jeszcze reformacyi królowej nie spotkał ten sam los odroczenia, podniósł kanclerz w. kor. z kilką przedniejszemi senatorami po raz ostatni prośbę za nią do izby, a czy to z wdzięczności za jego świeżą przysługę w sporze trubeckim, czy z innych przyczyn wysłuchała go izba nadspodziewanie przychylném uchem. Zgodzono się w końcu na reformacyą, wprawdzie nie tak bogatą jak upraszana przez kanclerza opra-

wa pierwszej małżonki Władysławowej Cecylii, lecz jak owa niegdyś matki królewskiej Anny. Czemu tém mniej dziwić się należało, gdy i w daleko bliższej sercom szlacheckim sprawie, w uchwale zapłaty wojsku ukraińnemu, nie odstąpiono od tego raczej skąpstwa niż oszczędności. Dopiero najusilniejszym naleganiom ministrów, senatorów i wyrozumiałej połowy izby poszczęściło się wymóżyć na posłach wielkopolskich, aby zezwolili na dwie kontrybucye dla wojska, z któremi wzbraniały im wrócić do domu instrukcye sejmikowe, a do których oni przychylili się jedynie pod tym warunkiem, jeżeli ich sejmiki na to się zgodzą. Wojsku, murom fortecznym, królowej, królowi, wszystkim wszystkiego skąpił sejm tegoroczny, tylko nie wolności złotój sobie samemu.

Syt mów i uchwał ku jój wzmocnieniu, zakończył on po całonocnych rozprawach o 4 godzinie z rana, pożegnawczym głosem marszałka i odpowiedzią ks. biskupa podkanclerzego. Pożegnano się zaś nie dla czczej ceremonii, lecz aby w istocie rozjechać się czémprędzej. Jak powoli zazwyczaj zjeżdżano się na sejm, tak przeciwnie z pośpiechem wracano z sejmu. Działo się to głównie w chęci zaoszczędzenia wydatków, dla których narzekano zawsze na sejmy, jako na wielce kosztowny ciężar obywatelski. Ztąd i po tegorocznym sejmie nie wiele minęło dni, a rozpuszczone zostały zaciągnięte na czas sejmu orszaki pańskie, zawitali panowie senatorowie i posłowie w swoich progach domowych, wróciła do dawniej powszedniości opróżniona ze sejmowych i jarmarcznych tłumów stolica. Wszystko do swoich dawnych porządków i trybów życia wróciło, ale z jakże odmienném wszystko obliczem! Za sprawą sejmu tegorocznego każda z owych głównych postaci, które się nam przesunęły w obrazie wypadków tegorocznych, czy to indywidualne króla Władysława i weneckiego powiernika jego Tiepolo, albo kanclerza w. kor. Ossolińskiego, czy zbiorowe stanów senatorskiego i rycerskiego, albo wreszcie dzwigającą się pod swojemi nowemi wodzami kozaczyzny, każda z końcem sejmu i roku doznawa stanowczej zmiany swych losów, widzi się złamaną lub zachęconą w swoich za-

mysłach, obiera sobie dowolnie lub poniewolnie jedną z kilku wcale różnych dróg przeznaczenia.

Królowi Władysławowi przyszło rozstać się z myślą całego życia, myślą wyzwolenia Polski i chrześcijaństwa od pogan. Od takiego celu nie odwraca się nikt bez chwilowych złudzeń nawrotu; toż i o królu Władysławie opowiadano, iż bezpośrednio po sejmie i nieco później zrywał się do nowych zaciągów wojska, nowych sojuszów wojennych z Francją, Szwecją i t. p. Ale żelazna ręka rzeczywistości jedném dotknięciem hamowała każdy krok taki, kresliła królowi Władysławowi ów wyrok bezwładności zupełnej, który wyczytujemy w pozostałych o nim z tego czasu słowach relacji Tiepolowej: „Nie mogę już liczyć na pomoc króla polskiego, ponieważ władza królewska nietylko ograniczoną, ale prawie odjętą mu została”. Zamiast więc o nowych planach wojennych, godziło się myśleć raczej o zatarciu ostatniego śladu dawniejszych, zwinąć ostatnie rotę zaciągów. W kilka niedziel po sejmie były one całkiem już rozpuszczone, ucihły przesadne skargi na ich złoçynystwa, pozostał tylko ogromny ciężar zaciągnionych na akcyje długów królewskich. Napróżno domagał się Władysław od stanów, aby przynajmniej należącą się królowej Ludwice summe dłużną przyjęto na skarb publiczny. Niefortunna próba takiejj próby nabawiła króla tylko najniepocześniejszej obrazy, jaką może kiedy ubliżono któremukolwiek z monarchów. Królowi Władysławowi tylko jedna ulga, jedna pozostała pociecha, świadcząca o jego niezmiennem zawsze przywiązaniu do kraju. Znaną jest sroga odpowiedź króla Stefana Batorego, gdy mu na łożu śmiertelnem doradzał marszałek kor. Ossoliński, aby synowca swego Zygmunta zalecił narodowi do następstwa po sobie: „Takiegoż młodzieńca, na takie jatki radzisz mi wydać!” Nasz Władysław przeciwnie, nie znachodził w niczem tak słodkiego ukojenia terażniejszej niedoli swojej, jak w nadziei pozostawienia synowi korony polskiej.

Najserdeczniejszymi bowiem węzłami przyswojony Polsce Władysław, podzielał o niej zdanie swojego powiernika Tiepola, wraz z Władysławem złamanego do gruntu tegoroczną burzą sejmową. Jak jego ukorono-

wany przyjaciel, nie mógł on zbyć się odrazu złudzeń pomysłniejszego obrotu rzeczy; zabawił jeszcze kilka miesięcy w kraju, i dopiero najboleśniejszemi doświadczeniami nowego sejmu przekonany o zupełnej bezskuteczności swoich zabiegów, opuścił po dwuletnim pobycie Polskę. Mimo wszelki przecieź żal do narodu, nie zapoznawał on jego rzeczywistęj wartości i żegna go słowami relacyi swojej: „Polacy byliby światu straszniemi, gdyby się nauczyli porządku i posłuszeństwa”. Jeśli zaś zniechęcony ku Polsce cudzoziemiec tak górne o niej powziął mniemanie, słuszną się dziwić, iż własni jęj synowie w równie wysokiej cenie się kładli, nie mając nawet owych dwóch cnót Tiepolowych? Cnoty to cudzoziemskie, mniemała szlachta, tylko panu kanclerzowi Ossolińskiemu do smaku, wolnemu narodowi zabójcze. Dla tego wraz z królem i posłannikiem weneckim uległ także Ossoliński tegorocznym szturmom sejmowym, i lubo tak dwuznacznie dopomagał królowi w planach wojennych, tak żarliwie wszelkięj o nich wiadomości zapierał się na sejmie, czerniał on odtąd coraz bardziej w opinii szlachty, coraz powszechniej głównym wrogiem swobód szlacheckich okrzykiwany.

Od surowszēj kary sama swoboda go ocaliła. O odjęciu mu dostojenstwa nie pozwalały myśleć ani prawa szlachcica, ani tegoczesny duch wzajemnego pobleżania sobie szlachty we wszystkiem. Sam zresztą świeży tryumf swobód na sejmie wydał się szlachcie tak wielkim, iż żadne pojedynczych ludzi zamachy naruszyć go łatwo nie mogły. Gotowa przeto korzystać dalej z rozumu Ossolińskiego w sprawowaniu pieczęci, rozkoszowała szlachta po sejmie przedewszystkiem w dumnym uczuciu swego zwycięstwa, chwalać się i dziękując Bogu z Obuchowiczem: „Dosyć zaprawdę zrobiło się tego sejmu! O czem niech wie potomność, na jak cienkim rzemyku zawieszono były swobody wolnego narodu. Zkąd, że wojna domowa nie wypadła, jest za co dobroć i miłosierdzie boskie wysławiać”. Przy tém niezmiennie zawsze czuwającym nad Polską miłosierdziu, ani domowęj teraz, ani postronnęj wojny lękać się szlachcie, wolnej już od owego ostatniego ciężaru doli szlacheckięj, który pozostał jeszcze

od elekcji Władysławowej, a odtąd chyba za jednomyślną wolą saméjże szlachty może ją przygnieść. Czegóż zatem więcej do szczęścia, dobrej myśli, zuchwałego rozumienia o sobie, które w istocie nie sięgnęło nigdy tak wysoko, jak teraz, lekceważąc wszystko prócz siebie, osobliwie zaś królowi upokorzenia nie szczędząc. O czém gdzież smutniejsze świadectwo nad postępek owego „ślimaka” Sapieżyńskiego, któremu książę Janusz Radziwiłł dla swego własnego chlebojedcy umknął pod koniec sejmu pisarstwo nowogrodzkie u króla.

Miał król do zniesienia za to najpierw żal podkanclerzego lit. Sapiehy, który wzmiankowaném pisarstwem dogodzić chciał swojemu podstarościemu z Słonimia, Kiersznowskiemu. Następnie zagroziła królowi odnowiona tém nieprzyjaźń między podkanclerzym Sapietą a hetmanem lit. Radziwiłłem, rzecz nie rzadko tak szkodliwa sprawom publicznym, iż musiano użyć wielu starań w imieniu króla, aby powaśnionych książąt jak najrychlej przywieść do zgody. Nareszcie sam podstarości Kiersznowski postanowił odplacić się królowi, i będąc posłem z Nowogrodka na przyszłym sejmie, czekał tylko jakiej drażliwej dla króla sprawy, w którejby mu boleśnie oddał wet za wet. Najdrażliwsza podarzyła się na ostatniem posiedzeniu sejmowém w obecności króla w senacie, gdy wniesioną została prośba królewska o zapłacenie długu po zaciągach zeszłorocznych pozostałego. Zaprzeczyli prośbie najpierw możni panowie, jak wojewoda poznański Opaliński, podczaszy kor. Ostroróg i t. p.; po głosach pańskich wyrwał się z krótką podstarościńską mówką Kiersznowski: „Przeciwno paktom wojska były zebrane. Wiedział to król, a przecież tak uczynił. Nie daj Boże, abyśmy do zapłaty pociągnięni być mieli!” Poczém do ministrów obróciwszy się, przydał: „Oto tobie królu pisarstwo!” Poruszony tém z miejsca Władysław kazał upomnieć do konkluzji obrad i sejmu. Był to ostatni z sejmów za jego panowania, mówka podstarościńska była ostatnim głosem poselskim do Władysława, ani przez marszałka, ani opinią nie pokaranym. Za toż innym wybrykiem terazniejszej zuchwałości tryumfatorskiej po sejmie z r. 1646 o ileż sroższe padło skarcenie!

Dopuszczano się ich teraz głównie przeciwko Kozaczynie i jej spodziewanemu wodzowi Chmielnickiemu. Przedsejmowe zamysły króla odwróciły ją szczęśliwie od spisków z Ordą; sejm tegoroczny zamknął jej dalszą drogę do pojednania się rycerskim obyczajem z ojczyzną, zepchnął kozaków nazad w ciemną ucisk, nienawiści i zdradczych knowań. Ponieważ Kozaczyna służyć miała królowi za jeden z głównych środków uiszczenia zamysłów wojny tureckiej, czyli według opinii zamysłów ujarzmienia narodu, dla tego poczęła teraz przesładować ją za to sroższa, niż kiedykolwiek niechęć szlachecka, gotując jej dawne jarzmo schłopienia, naigrawaniem zaostrzając ciemiężstwo. Teraz ilekroć pokrzywdzone Kozactwo odgrzało się poszukiwaniem sprawiedliwości królewskiej, szydzący z króla podstarościowie i starostowie odpowiadali mu podwojeniem ucisku, przydawali uciskowi słowa natrząsania się z jego pogrożek: „Otóż wam król! a pomożeź wam król, owacy synowie!” Takich słów, takich uciążen doznawał dziś mianowicie Bohdan Chmielnicki, z projektowanego wodza morskiego znowu tylko setnik czehryński, coraz zuchwałej przesładowany odtąd od swego dawnego nieprzyjaciela. podstarościęgo z Czehryna Czaplńskiego. Po nadziejach czci i władzy hetmańskiej przyszło Bohdanowi ujrzyć 10letniego syna swego śmiertelnie pobitym od drabów podstarościńskich, siebie samego naprzód na zdradzieckie wystawionym zasadzki, nakoniec z rozkazu panów w więzieniu, owszem w obawie utraty życia.

Tém dla króla Władysława, dla obudwóch stanów narodu, dla ludu kozackiego, zamknął rok 1646. Co ztąd wkrótce wyniknęło dla całej Polski, obaczmy w obrazie roku 1648.



I. SIEWCA.

A piosenki, z méj lirenki,
Jak garść żyta z siewca ręki
Rozsypały się po świecie;
Dużoż ziarenek tam zmarnieje,
Dużo wicher mroźny zwieje,
Lód, kamienie, dużo zgniecie.

Któż co sieje nie zgaduje,
Że się wiele ziarna psuje;
Ledwo setne gdzie wystrzeli,
W szmaragdowy liść wyrośnie!
Ileż to się sieje w wiosnie?
Zbiorem, iluż się obdzieli?

Im bogatsza ziemia Boża,
Tém czystszeżo trzeba zboża;
Ziarno winno być przebrane,
Jak łąca czyste, zdrowe, jasne,
Nie z zamorza, ale własne,
Na swéj ziemi hodowane.

O przekłéci! ci co sieją,
A wpierw chwastów nie wywieją:
Bo chwast prędko zazielenia,
Trudno go już wpleść zroli:
Po niewczasie serce boli,
A tu ziemia się wyplenia.

Kto chwast w własną ziemię ciśnie,
Nie wart ziemi téj posiadać!
Nad nim Boży piorun błysnie,
I nie będzie z tymi siadać,

Kiedy stoły każą wnieść,
 Gdy chleb zdrowy będą jeść,
 Plony między braci dzielić,
 Przy okrężnem się weselić.

II.

Z A W Ó D.

Całe się życie z zawodów składa,
 Z samych pożegnań bez końca,
 Odkąd jutrzienka zaświta błada,
 Do chwili zachodu słońca:
 Cały dzień znojny tego żywota,
 Pali nas upał, moczy nas śłota!
 Gdy dzień przy schyłku, smutni wędrowce,
 Zwracając za siebie głowę,
 Na drodze same ujrzym grobowce,
 Splecione w wieńce głogowe!
 A choć gdzie gwiazdka mignie czasami,
 To okupiona gorzkimi łzami.
 Śnimy o szczęściu w życia rozkwicie,
 Świat błyszczy barwami tęczy,
 A tak się cudnie maluje życie,
 A tak się uroczo wdzięczy;
 Takie tam rajskie i tajemnicze
 Roztaczają się wkoło słodycze!
 Że młodzian oczy na wpół przymyka,
 Skacze do łodzi żywota,
 Nie dba o wiosło ani sternika,
 Bo przed nim tęcza słni złota!
 Lekko prześliznie po życia głębi,
 A jego wiary nic nie wyziębi!
 Gdybyż tak było, gdybyż tą wiarą
 Świętą miłością, nadzieją,
 A nie piołunów goryczy czarą,
 Którą ci duszę zaleją,
 Człek był pojony; mógłby żeglować,
 Lekko swą łodzią ślizgać, kierować.
 Ale gdy z twego marzeń ogrodu,
 Listek po listku opadnie,
 Gdy serce zziębnie od wichrów, chłodu,
 Gdy wiara w szczęście przepadnie;

Kiedy ci rozpacz duszę przepali,
 Ciężko żeglować po życia fali.
 A jednak trzeba płynąć i płynąć,
 Choć i łódź wolnie i słabnie w biegu:
 Trzeba jęj bronić, skały ominąć,
 Aby z nią przybić przecie do brzegu,
 I w przystań wsunąć, cichą, wspaniałą,
 A tam odpocząć na wieczność całą!

Kazimierz L.



STAROŻYTNY I NOWOŻYTNY MEXYK.

PRZEZ

Michała Chevalier,

Członka Instytutu francuzkiego.

Wyprowa Francuzów do Meksyku i bohaterska obrona Puebli, wzbudziła powszechne zajęcie dla téj krainy. Przypomniano sobie jej dawną świetność, jej bogactwa za czasów poprzedzających odkrycie Ameryki i wyprawę Fernanda Korteza, jej stan za panowania Hiszpanów, jej długą walkę o niepodległość, jej nieustanne wstrząśnienia i domowe niezgody, od czasu jak pozbywszy się zwierzchnictwa Hiszpanów, nie może urządzić się i korzystać z dobrodziejstw cywilizacyi i tak drogo okupionej wolności. Zadosyć czyniąc rozbudzonej ciekawości i wspomnieniom, Michał Chevalier znakomity statysta francuzki, znany z opisu swojej podróży do Stanów Zjednoczonych, wydał dzieło p. t. Starożytny i nowożytny Meksyk (Tom jeden 621 str.). Zamieszczamy najważniejsze wyjątki z téj książki, w treściwym i całość tworzącym zarysie. Badacze przemian doli rodu ludzkiego, rozwoju i usterków cywilizacyi, walk przez długi czas prowadzonych między Hiszpanią a jej osadami w Ameryce, nareszcie obecnych stosunków między starym światem europejskim, a jego nowemi współzawodnikami za oceanem Atlantyckim, tak szybko wzrastającemi, znajdą w tym artykule, przynajmniej tak się spodziewamy, rzeczy godne ich uwagi.

* * *

Wyprawa śmiałego Fernanda Korteza do Meksyku i zdobycie tej krainy przez zuchwalców hiszpańskich, są to rzeczy mniej więcej znane każdemu, a przynajmniej co do głównych faktów. Wypadki te opowiedziane podług oryginalnych listów Korteza do Karola Vgo i współczesnych opisów, utworzyć mogą bardzo zajmującą powieść, a dla Hiszpanów posłużyłyby nawet do narodowej epopei. Lecz nie możemy rozwódzić się nad niemi i zostawiamy je pismom, więcej popularność niż naukę na celu mającym. Zaczynamy zatem nasze sprawozdanie z dzieła pana Chevalier, od zarysu starożytnej cywilizacji meksykańskiej.

Kortez i jego towarzysze, płynąc do Meksyku, mieli, że tam znajdą takie same pokolenia krajowców, jakie poznali na wyspach Hispaniola (St. Domingo) i Kuba, plemię spokojne, łagodne, wátłe, nie znające sztuk i rzemiosł, które łatwo będzie ujarzmić, chociażby nawet najliczniejszém było. Postradali to złudzenie, gdy wylądowali na ląd meksykański przy skałach Saint Jean d' Ullua i doznali mężnego oporu ze strony mieszkańców. Zakonnik hiszpański, wyrzucony na brzeg półwyspu Jukatan, został tam przez lat ośm w ciężkiej niewoli i nauczył się języka krajowców: lecz nie był to język Meksykanów. Jedna z kobiet wziętych w niewolę w tymże kraju, umiała po meksykańsku i za pośrednictwem tych dwóch tłumaczy, Fernand Kortez i jego towarzysze, powzięli pierwsze wiadomości o krainie, którą umyślili zdobyć. Podług opowiadania Jukatanów, w Meksyku mieszkał naród niezmiernie bogaty i potężny. Astekowie, panujące plemię pośród Meksykanów, ponieśli oręż aż o parę set mil od Tenochtitlanu (tak się zwało terazniejsze miasto Meksyk), zdobyli obszernie kraje i rozpostarli sławę swojego oręża. Ich cesarz Montezuma, wrażał uszanowanie połączone z jeszcze większym przestraczem. Z jakim tylko kacykiem spotkał się Kortez, zapuściwszy się w głąb kraju, każdy mu powiedział, że jego władcą jest Montezuma, że nie ma krajów i ludzi, nad któremiby Montezuma nie panował.

Kiedy poraz pierwszy cesarz Asteków dał posłuchanie Kortezowi, w swoim pałacu w stołeczném mieście Meksyku, rzekł do niego: „Twoi przyjaciele zapewne ci powie-

dzieli, że jestem podobny do bogów, że mieszkam w pałacach zbudowanych ze złota, srebra i drogich kamieni; jak widzisz, są to bezzasadne wieści. Moje pałace są z kamieni i z drzewa, jak mieszkania wszystkich ludzi, moje ciało składa się z kości i z mięsa tak jak twoje. Zaiste, odziedziczyłem po moich przodkach niezmierne państwa, mam obszerną ziemię, złoto i srebro; lecz mimo tego opierając się na starożytném podaniu, uznaję że twój monarcha panujący daleko za morzami, jest prawym panem naszym. A że jesteś od niego przysłanym, podzielę się z tobą i z braćmi twoimi wszystkiém, co tylko posiadam."

Lecz nie opisując dalszych działań Korteza, skreśliliśmy w jakim stanie były sztuki i umiejętności w dawném państwie meksykańskiem, jakie w niem panowały pojęcia religijne, jaka organizacja polityczna i towarzyska.

Mexyk starożytny obfitował w ludność, tę podstawę wszelkiego bogactwa. Powszechnie mówiono, że Montezuma trzyma pod zwierzchnictwem swoim trzydziestu kacyków, z których każdy może wyprowadzić do boju sto tysięcy ludzi. Zdaje się, że w tych zachodnich krajach, hyperbola nie mniej była we zwyczaju jak na Wschodzie, i tak nie wierzę w trzy miliony żołnierzy Montezumy, jak w milion ludzi, z któremi Xerxes przepawił się przez Hellespont. Jednakże, co chwila napotykamy w listach Korteza i innych współczesnych kronikarzy, wzmiankę o trzydziestu do pięćdziesięciu tysiącach żołnierzy meksykańskich. Wszystko to wykazuje, że kraj ludniejszym był niż jest teraz, a w niektórych prowincjach miasta stały jedne przy drugich. W około jezior, na sławnej płaszczynie Anahuak (1), piękniejszej i żyzniejszej jak za naszych czasów (2), stało dwadzieścia miast, o których wspaniałości dotrwało wspomnienie, i przepyszna stolica, wychodząca jak Wenecya, z łona wody. Były tam miasta Tezcucó

(1) Tak się zowie dotąd, obszerna i wywyższona równina, składająca znaczną część teraźniejszego Meksyku. Wyraz ten znaczy *Sąsiad wody*, z powodu jezior znajdujących się w jej środku.

(2) Hiszpanie chcąc zabezpieczyć miasto Meksyk od zalewn, znacznie osuszyli jeziora, które otaczały to miasto. Odkryli przez to wielką przestrzeń ziemi nsiąklęj solą, na której nie się nie rodzi.

i Tlacopan, stolice monarchów; Iztapalapan, lenność brata cesarskiego; Chalco, Xochimilco, Xoloc, Culhuacan, Popotla, Tepejacac, Ajotzingo, Teotihuacan i t. d., dziś niższe do stopnia nędznych wiosek. Miasto Meksyk miało więcej jak 300,000 ludności i było daleko obszerniejsze od teraźniejszej stolicy, a posiadającej teraz 150,000 mieszkańców. Inne miasta, powyżej wymienione, miały od 150,000 do 60,000 ludności.

Takie nagromadzenie ludzi, jest niezawodnym znakiem postępu cywilizacji. Nie obejdzie się tam bez rozwoju rolnictwa i przemysłu, bez postanowień, praw i przepisów policyjnych. Żeby utrzymać w spokoju takie mnóstwo ludzi, potrzeba porządku i roztropności, a te dwa przymioty są dowodem trudnej sztuki rządzenia.

Rolnictwo, ta nasza pierwsza sztuka, karmicielka państw, kwitnęła u dawnych Meksykanów. Osobliwym darem natury, grunt meksykański zdalny jest do wszelkiego rodzaju płodów; pod gorącą między-zwrotnikową strefą, łączy na przestrzeni niezbyt wielkiej, ciąg wszystkich klimatów, od spiekłych płaszczyzn nad brzegami oceanu, aż do gór wiecznym śniegiem pokrytych: a gdy z ich szczytów zapuszczamy wzrok w ciepłe doliny, mamy tuż pod sobą rośliny Islandyi i zatoki Hudsonskiej. Flora meksykańska jest bardzo bogata: mieszkańcy hodowali rozmaite rośliny stosowne do ich potrzeb; kukurydza i banany były podstawą ich pożywienia. Posiadali także kakao i robili z niego tak ulubioną potęgę i rozpowszechnioną w Europie czekoladę, której nazwisko z ich języka pochodzi; cukier wydobywali z łodyg kukurydzy; mieli także rośliny lekarskie i farbiarskie, jako to: jalapę, wanilię, a na kaktusach hodowali koszenillę. Bawełnę uprawiali na bardzo wielki rozmiar; palili i zażywali tytoń; lecz zdaje się że to była przyjemność zostawiona samym tylko bogaczom. Najbardziej zajmowali się uprawą pewnego gatunku aloesu, zwanego u nich *maguey*, z którego wyrabiali ulubiony i upajający trunk zwany pulque. Maguey jest to roślina, która dopiero po dziesięciu, lub dwunastu latach wydaje kwiat, a gdy już ta chwila nadchodzi, ścinają ten kwiat jeszcze w pąku będący. Wtedy słodki sok wytryskuje obficie, zbierają go,

przywodzą do fermentacyi i mają trunek, który zastępuje wino i piwo. Z rośliny téj, nie sam tylko napój odurzający wydobywają. Z jej liści zmielonych na masę, można robić papier, a z włókien nici, sznurki i liny, jak ze lnu i konopi. Jej kolce służą dla ubogiego ludu za szpilki i goździki; całkowitych i grubych liści używają do pokrywania dachów, a korzeń daje smaczne i posilne jadlo. Maguey był skarbem dla starożytnych Meksykanów i dotąd z szczególném zamiłowaniem hodują tę roślinę. Pulque dziś jeszcze piją wszyscy krajowcy, nie tylko ubodzy lecz i średniego stanu. Nopal czyli kaktus, jest drugą rośliną odznaczającą wyżyny meksykańskie. W nieuprawnych częściach kraju, na niezmiurzonych przestrzeniach, rosną same tylko magueye i nopale, pojedynczo albo kępami. Dziwne te i smętne rośliny, nie poruszają się i nie wydają szmeru za powiewem wiatru, i z takiego milczenia mógłby wnosić podróżny, że przejeżdża przez jakąś krainę, o której czytał w czarodziejskich powieściach i gdzie gniewny geniusz całą przyrodę w kamień zamienił.

Rolnicy meksykańscy znali sztukę nawodniania pól i łąk; kanały w wielu miejscach przez Hiszpanów zaniedbane, rozpościerały nadzwyczajną żyzność na obszernych gruntach. Nawodniania znajdujące się w około Choluli i Puebli, zasięgają epoki Azteków, a może jeszcze ich poprzedników. Ludy te znały także sztukę leśnictwa. Surowe przepisy nie dopuszczały wycinania lasów w dolinie meksykańskiej. Rządzący tego kraju uznali, że lasy łagodzą upały lata i utrzymują strumienie do skrapiania roli potrzebne. Hiszpanie ciemniejsi od nich pod tym względem, wytępiłi drzewa, powodowani zakorzenioną nienawiścią przeciw lasom, którą odziedziczyli po ludach pasterskich, przodkach swoich. Teraz, brakuje w Meksyku drzewa do wydobywania srebra z kopalni, i wynaleziono sposób, w którym działanie ognia zastąpiono czynnikami chemicznymi, a głównie merkuruszem.

Rolnictwo meksykańskie posiadało wielkie bogactwa roślinne i pod tym względem wyższe było od europejskiego, lecz cierpiało na zupełny brak bydła. Nie było

w Meksyku żadnego zwierza do pług i do przewozu ciężarów; wołów, koni, osłów i wielbłądów nie posiadali. Dawni Meksykanie nie mieli nawet alpaka, który w Peru służy do przewożenia pomniejszych ładunków, nie znali także kóz i baranów. Nie łatwo ludziom obejść się bez tych zwierząt, mianowicie też bez większych, których praca i siła jest jednym z najważniejszych środków postępu ludzkości. Od czasu podbicia Meksyku, muły, osły i konie, uwolniły mieszkańców od pracy tak ciężkiej i ponizającej.

Mięsnego pożywienia dostarczały im łowy i niektóre przyswojone zwierzęta. Do tych zwierząt należy pewien gatunek psa zwanego *techichi*. Wiemy że Chińczycy także jedzą psie mięso. Lecz głównym zasiłkiem Meksykanów, były indyki, których niezmierne mnóstwo hodowali. W ich języku ptak ten zwał się *totolin*. Fernand Korteż opowiada, że w gospodarskich podwórzach pałacu Montezumy, widział ich kilkanaście tysięcy, a Bernal Diaz pisze, że codzień dawano dwieście indyków na karm dla dzikich zwierząt menażeryi cesarskiej. To pożyteczne ptastwo domowe, sprowadzono z Meksyku do Europy; a że wówczas Amerykę zwano Indyami, przeto dano mu nazwisko niezgodne z jego pochodzeniem.

Do otrzymywania wiadomości i wydawania rozkazów, były stałe biegnące, prawie tak szybkich jak nasze konie pocztowe.

Przez wdzięczność dla przyrody, za to że ich kraj obdarzyła bogactwem roślinnym, Meksykanie niezmiernie lubili kwiaty, utrzymywali wspaniałe ogrody i w nich nagromadzali wszystkie kwiaty odznaczające się wonią i świetnością barwy; do nich dołączali lekarskie rośliny systematycznie zasadzone i krzewy wydające piękne kwiaty i doskonałe owoce. Ogrody te urządzali na pochyłości wzgórzów. Wodę prowadzili z dalekich wodociągów i robili z niej kaskady, albo też napełniali obszerne wodozbiory zapełnione rybami. Tajemne altany kryły się w gęstwinach, posągi stały wśród kwiatów. Różne gatunki zwierząt, które utrzymujemy w naszych naukowych ogrodach, powiększały ozdobę tych miejsc, służących do rozrywki cesarza albo możnowładców.

Tam były ptaki z pięknymi piórami, zamknięte w klatkach tak wielkich jak domy, dzikie i leśne zwierzęta, a nawet i węże.

W współczesnych dziełach o zdobyciu Meksyku, z podziwem czytamy opisy ogrodów króla Nezahualcoytl w Tezcozincó, zawieszonych na stoku wzgórza, do których prowadziła pochyłość o pięciuset dwudziestu stopniach i gdzie na samym szczycie był wodociąg, arcydzieło sztuki hydraulicznej, dostarczający wody do trzech niżej położonych sadzawek. Dziś jeszcze, podróżny przechadzając się w Chapultepec pod cieniem olbrzymich cyprysów, zwanych drzewami Montezumy, lecz jeszcze dalszej zasięgających epoki, i deptając te miejsca niegdyś przeznaczone na groby cesarskie, pojmuje czego mógł dokazać monarcha Azteków, przez połączenie działań podzwrotnikowego słońca i czystej wody, która obficie z podnóża skał wypływa.

Nietylko monarcha, lecz i najniżsi jego poddani mieli zamiłowanie w kwiatach. Kiedy Kortez wkrótce po wylądowaniu wszedł do miasta Cempoalla, mieszkańcy wyszli naprzeciw niego, niosąc bukiety i girlandy, któremi ozdobili szyję konia, a szyszak wodza otoczyli różami.

Inną osobliwością były także pływające ogrody po jeziorach. Z powodu szczupłości ziemi, a natłoku ludzi, Aztekowie robili sztuczne pływające wyspy, długie na 80 do 160 łokci, a szerokie o czwartą część długości, z pęków sitowia powiązanych ze sobą, z gałęzi, i pokrywali je warstwą ziemi. Wyspy te służyły do hodowania warzywa i kwiatów, które sprzedawali na targach. Były nawet tak mocne, że dosyć spore krzaki rosły na nich, a nawet budowano tam lekkie szałas. Przytwierdzano je do brzegu żerdziami, albo też je odpychano niemi na drugą stronę jeziora. Widok takich pływających ogrodów, przeslicznymi pokrytych kwiatami, zadziwił Hiszpanów: mniemali, że znajdują się w jakiejś czarowanej krainie, podobnej do tych, której opisanie czytali w sławnym ówczesnym romansie *Amadis z Gallii*.

Sztuki i rzemiosła dawnych Meksykanów, nietylko im dostarczały przedmiotów niezbędnie potrzebnych do życia, lecz nawet i zbytkowych. Zręcznie umieli tkać bawełnę

i włókna aloesu; robili z bawełny kirysy a raczej kaftany, których strzała przebić nie mogła; znali różne farby mineralne albo roślinne; użycie koszenilli im wiśni jesteśmy. Wypalali naczynia gliniane dla domowego użytku i wyrabiali miski i łyżki z drzewa, pokryte pokostem. Nie mieli żelaza, lecz podobnie jak Egipcyanie lub Grecy, zastępowali je zahartowanym bronzem. Używali także zeszkłonej substancji mineralnej, twardszej od szkła i znajdującej się w pokładach wulkanicznych, zwanj *iztli*. Cięli na ostro to szkło naturalne i robili z niego noże i brzytwy; bo chociaż nie tak gęsto zarastali jak my, jednakże potrzebowali golarzy. Tęże szkłem obsadzali końce strzał i włóczni. Z kopalni, prostym sposobem wydobywali ołów, cynę, miedź, srebro i złoto. Umieili wyrabiać kruszce i różne ozdoby. Naczynia złote i srebrne, które Korteż otrzymał w darze od Montezumy i te, które później zdobył w Meksyku, były spajane, wyrabiane rylcem, ozdobione rytami kamieniami i emaliowane z sztuką godną najcelniejszych europejskich złotników. Z tego powodu możemy uczynić uwagę, że w Meksyku, tak samo jak we wszystkich krajach Azji, praca massy ludu służyła do wygody i zbytku małej liczby. Cywilizacya meksykańska miała przepych i świetność, a częstokroć brakowało jej najpierwszych przedmiotów do życia. Toż samo wykazuje nam inny rodzaj sztuki, bardzo rozwiniętej w tym narodzie, tkania materji z piór ptasich. W tym kraju podzwrotnikowym, jest mnóstwo ptaków pięknem piórem pokrytych. Z piór sztucznie powiązanych nitkami bawełny, a nieraz połączonych z sierścią zwierząt, robili tkaniny najrozmaitszych i najpiękniejszych kolorów, bardzo regularnego rysunku, na suknie dla bogatych, na pokrycie ścian świątyń i pałaców. Przemysł ten zajmował wiele rąk, a jego wyroby mocne uczyniły wrażenie w Europie.

Naczelnik wojska, przywdziewał w dzień bitwy płaszcz z piór utkany i kładł go na kirys złoty; na głowie nosił szyszak z kitą pierzastą z drzewa, skóry lub srebra, wyobrażający groźny łeb zwierza, które było godłem jego rodziny. Na rękach miał bransoletki, naszyjnik ze złota

i drogich kamieni spadał mu na piersi. Wielu z nich nosiło puklerz rzeźbiony i wkoło ozdobiony piórami. Bronią ich były proce, pociski, strzały, piki i miecz zwany *macuahuitl*, którym obiema rękami uderzali, długi na półtora łokcia, obosieczny, z ostrego kryształu, umocowany na sztabie drewnianej. Częstokroć końce strzał i piki były miedziane. Wojsko ustawiało się w kolumny i oddziały i umiało dość porządnie manewrować. Europejczycy ujrawszy po raz pierwszy takich przeciwników, mniemali że ich nie łatwo pokonają; ale broń palna i widok koni zjednały im zwycięstwo.

Dochowały się znakomite zabytki budownictwa Azteków. W Meksyku znajdują się rozmaite kamienie wulkaniczne bardzo trwałe. Tak zwany *tetzontli*, najczęściej używany, jest dziurkowaty, a tém samém lekki, przez co jest bardzo dogodnym do budowli, a przytém nie ulega uszkodzeniu i rozbiciu. Do rzeźby używali porfirów czarnych, albo pstrych; wyrabiali wiele posągów, ale potwórnego kształtu, jak Indianie i Chińczycy. Ich pałace były obszerne, lecz prawie wszystkie o samym tylko dole i składały się z wielu pomieszczeń stykających się z sobą w obszernym obwodzie, co je czyniło podobnemi do pałaców chińskich. Ściany wewnątrz wykładano wonnym drzewem, zręcznie wyrzeźbioném; zewnątrz zaś białym i mocnym tynkiem gipsowym, przez co świeciły się od promieni słońca. Gdy po raz pierwszy Hiszpanie ujrzeli miasto meksykańskie, jeźdźcy z przedniej straży zwiedzeni tym pozorem i własną wyobraźnią, donieśli towarzyszom swoim, że domy są pokryte srebrnymi blachami. Apartamenta możnych ozdobione były wewnątrz marmurem i porfirem, albo kobiercami z piór utkanemi. Ich świątynie były to wielkie piramidy z cegieł ususzonych na słońcu, albo poprostu usypane z ziemi, lecz wyłożone kamieniami; na ich szczycie były przybytki i wieże ozdobione postaciami bogów: tam bez ustanku palące się ognie wśród ciemnych i długich nocy podzwrotnikowych, nadawały tym gmachom tajemną i uroczystą postać. Zdumieni się Hiszpanie nad ogromem tych świątyń i pałaców, do których przydać trzeba murowane groble zapuszczone w jezioro. Kortez w raporcie do

cesarza Karola VIII, mówiąc o mieście Iztapalapan, przez które przeszedł do stolicy, napisał, że są tam pałace wyrównywające najpiękniejszym w Hiszpanii; a gdy uporczywa obrona Gwatimozina, zniewoliła go do burzenia domu po domie w Meksyku, doniósł cesarzowi, że to uczynił z ciężkim żalem, bo to *miasto jest najpiękniejsze na całym świecie*.

Mechanika była jeszcze u nich w dzieciństwie; jednakże umieli poruszać wielkie ciężary, chociaż nie tak olbrzymie, jak u Egipcyan. Takim był kamień zodyaku, teraz osadzony w ścianie kościoła katedralnego Meksyku, a ważący około 1,200 centnarów naszej wagi.

Zakonnik Torribio, który opisał Meksyk niezwłocznie po zdobyciu téj krainy, takie daje wyobrażenie o przemysle Meksykanów. „W ogólności umieją wszyscy, czego im potrzeba do robót na polu i w mieście. Żaden Indyjanie nie zażąda cudzej pomocy do zbudowania domu, albo dla wystarania się o potrzebne materyały. W każdym miejscu znajdują czego im potrzeba, do związania, przekrajania, szycia i do zapalenia ognia. Dzieci już znają nazwiska zwierząt, drzew, traw i korzonków, któremi się żywią. Każdy umie obciąć kamień, zbudować dom, ukreślić linę. Znają wszystkie rzemiosła, do których nie potrzeba bardzo delikatnych narzędzi, a gdy w nocy deszcz ich zaskoczy, natychmiast zbudują szałas.”

Jakie było mnóstwo płodów przemysłu Meksykanów, widać to z wielu opisów targu, który co pięć dni odbywał się w mieście Meksyku. Było plac otoczony krągami, dwa razy większy od miasta Salamanka, jak pisze Korteż: 60,000 ludzi mogło tam wygodnie handlować. Utrzymanie porządku w takim tłumie i prędkie załatwianie sporów, są najmocniejszym dowodem wysokiego stopnia ich oświaty.

Pieniądze mieli złote i cynowe. Złote były w proszku nasypane w rurki od piór i tym sposobem oznaczali jego ilość. Cyna była w ulanych sztukach w formie litery T. Rzecz dziwna, że obok zręczności w wyrabianiu naczyń złotych i srebrnych, nie zaprowadzili bitych pieniędzy. Ale i Chińczycy dziś jeszcze nie są bardziej

posunięci pod tym względem, co Aztekowie przed trzystu czterdziestu laty.

Ich rachuba opierała się na liczbie dwadzieścia, którą wyobrażała chorągiew; inne znaki wyobrażały dalsze potęgi liczby 20: jako 400, których znakiem było pióro; 8,000 czyli 20 razy 400, wyobrażano przez sakiewkę. Jestto metoda niższa od tej, którą przyjęliśmy od Indyan za pośrednictwem Arabów, lecz nie ustępuje metodzie Rzymian i Greków.

Mexykanie posiadali trojaki rodzaj pisma. Nietylko używali znaków *hieroglificznych*, lecz podobnie jak starożytni Egipcyanie, mieli znaki *fonetyczne* wyobrażające już nie przedmiot jaki, działanie albo ideę, ale dźwięk. Od takiego pisma do właściwego alfabetu, już tylko jest krok jeden, lecz Mexykanie woleli używać znaków postaciowych czyli symbolicznych. Ztąd wynikło, że pamięć musiała bardzo dopomagać pismu. Ich książki składały się z kart jak nasze, nie zaś ze zwojów i tworzyły księgozbiory. Na nieszczęście prawie wszystkie spalono. Pierwszy arcybiskup meksykański dokonał tego zniszczenia. Ten kapłan gorliwie bronił krajowców przeciw drapieżtwu i okrucieństwu Hiszpanów, lecz uniesiony gorliwością religijną, zawział się na zniszczenie wszelkich naukowych pomników dawnego Meksyku. W całym kraju kazał wyszukiwać rękopisma i uroczyście je palił na wielkim placu miejskim. Inni księża poszli za jego przykładem. Lud ten posiadał bardzo dokładne wyrachowania astronomiczne, tak dalece, że ich rok różni się tylko o trzy minuty i trzy sekundy od kalendarza gregoryańskiego.

Posiadali historyczną i polityczną literaturę, tworzyli ody i pieśni. Miasto Tezcuco odznaczało się zamiłowaniem nauk. Tam najczystszy językiem meksykańskim mówiono, tam posyłano młodzież z całego kraju na naukę poezyi, filozofii moralnej, teologii, astronomii, medycyny i historii. Ruch literacki i naukowy rozwinął się za panowania Nezahualcoyotla (1), który na sto lat przed przy-

(1) Wyraz ten znaczy *lis głodniały*, wskazuje przebiegłość tego władcy i ciężkie koleje, których doznał w młodości.

byciem Hiszpanów odzyskał tron ojcowski, wydarty mu przez przywłaszczyciela. Utworzył on zgromadzenie uczonych, które z czynnościami literackimi łączyło administracyjne i polityczne. Królowie meksykańscy byli członkami tego zgromadzenia i zasiadali obok ludzi najoświecieńszych w narodzie, bez względu na ich urodzenie. Była to razem rada cenzuralna, która albo zakazywała ogłaszania dzieł, albo też po ogłoszeniu karała autorów. I w niej także znajdujemy przykład srogości ustaw karnych tego kraju: za kłamstwo historyczne popełniane rozmyślnie, karano śmiercią. Było nareszcie radą wychowania publicznego, wydawało dyplomata profesorom i czuwało nad sposobem nauczania.

Król Nezahualcoyotl ubiegał się z uczonemi o nagrody akademickie i był najznamięnitszym poetą owego czasu. Z wielu stron podobny jest do króla Dawida i do Kalify Haruna Al-Raschida. Jak Dawid, podźwignął monarchią; jak Harun, był wspaniałomyślnym; jak oni oba, urządził administracją i prawodawstwem w państwie swoim. Mówią, że za jego panowania nie było roli odłogiem leżącój. Lubił przebrany chodzić po ulicach miasta i natrafiać na rozmaite przygody. Kilka jego poezyj dochowało się w przekładzie hiszpańskim; nie są one tak wzniosłe, jak psalmy króla proroka, lecz zasługują na uwagę, tchną bowiem smętną i łagodną filozofią. Jego maksymy zebrał i spisał z mnóstwem szczegółów o jego życiu, Indyanin nazwiskiem Ixthlixochitt, który wprost od niego ród swój wywodził, był chrześcianinem i pisał po hiszpańsku. Maksymy te są bardzo piękne. Idee religijne przypominają św. Pawła albo Platona.

Jeżeli chcemy poznać ducha jego poezyi, oto jest wyjątek z jednéj jego ody, chociaż pozbawiony pierwotnego kolorytu, przez dwukrotne tłumaczenie.

„Przemijająca wspaniałość tego świata, jest jak te zielone wierzby, które chociaż do późnego wieku dojdą, naostatek ogień je strawi. Topór je zetnie, huragan obali, a nas starość i zgrzybiałość popycha i zasmuca.

„Wszystkie rzeczy ziemskie skazane są na zatrąę. Pośród największego przepychu, pośród uniesień i rado-

ści, wpadną w niezblaganą niemoc i w proch się rozsypią.

„Świat nasz jest grobem; co tylko żyje na jego powierzchni, wszystko musi być zagrzebane w ziemi. Rzeki, potoki i źródła biegną na dół i nigdy nie wrócą się do tych miejsc drogich, z kąd wzięły początek.

„Spieszą się, jak gdyby im pilno było zatonać w bezdennej otchłani Tluloca (boga morza). Co było wczoraj, tego dziś nie ma; a z tego co dziś istnieje, któż może wiedzieć co pozostanie jutro?

„Zgnilizna grobów składa się z ciał, które niegdyś ożywiała żyjąca dusza potężnych monarchów, przewodników zgromadzeń, dzielnych hetmanów, zdobywców państw czczonych od ludzi, przejętych marną dumą i nienasyconą żądzą panowania.

„Lecz wszystkie te zaszczyty rozproszyły się jak dym groźny wyrzucany z krateru Popocatepetli, a to co pozostało z ich tak okazałego życia, ogranicza się na kawałku grubiej skóry, na której kronikarz kilka linii nakreślił.”

Następna strofa przywodzi na myśl piękny wiersz Juwenalisa:

Expende Annibalem quot libras in duce summo:

Połóż szczątki Annibala na szali,
Ileż zaważy ten wielki wojownik?

oraz te słowa, któremi chrześcijański kapłan odzywa się do każdego z wiernych, w dzień popielcowy:

Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

„Niestety, gdybym zaprowadził was do tych ponurych grobów monarszych i zapytał się, gdzie są kości potężnego króla, który był pierwszym wodzem Tolteków i Necaxecmitla czciciela bogów; gdybym żądał żebyście mi pokazali gdzie są szczątki cesarzowej Xiuhtzal, niezrównaną pięknnością obdarzonej i spokojnego Topietziua ostatniego monarchy Tolteków; gdybym zażądał od was żebyście mi pokazali gdzie są święte popioły naszego pierwszego ojca Xolotla, wspaniałego Nopaltzina i wielkomyślnego Tlotzina, a nawet gdzie są nieostygłe jeszcze szczątki mojego ojca, sławnego i nieśmiertelnego, pomimo tylu nieszczęść; gdyby wam też same pytania zadano

o wszystkich dostojnych przodkach waszych; cóżbyście odpowiedzieli i ja razem z wami? *Indipochdi, Indipochdi!* „Nie wiemy! Nie wiemy!” bo pierwsze i ostatnie zmieszaly się z sobą w łonie ziemi. Co się z niemi stało, toż samo stanie się z nami i z temi co po nas nastąpią.”

Kończy tą pocieszającą nadzieją:

„Lecz miejmy odwagę i ufność, szlachetni naczelnicy, i wy także wierni przyjaciele i prawi poddani. Dążmy do nieba gdzie wszystko jest wieczne i nie ulega zgniliznie; grób i jego okropność jest kolebką słońca, a żalobne cienie śmierci są zaślepiającem światłem w gwiazdzystych przestrzeniach.”

Ciemne to wyrażenie ma sens mistyczny, stosuje się do idei Meksykanów o przyszłym życiu. Umieszczali oni swój raj w punktach słonecznych.

* * *

Historia starożytnego Meksyku składa się z dwóch okresów, bardzo różnych, albo raczej bardzo odrębnych. W pierwszym kraj ten należał do Tolteków, w drugim do Azteków, z któremi łączymy plemiona tegoż samego rodu, przez nich ujarzmione. Była jeszcze nie dość odznaczona i krótko trwała epoka Chichimeków, którzy wyparli częścią ku północy, częścią w góry Tlaskala, tchnęli ciąglą nienawiścią przeciw swoim potężniejszym sąsiadom, z czego Korteż umiał korzystać. Okres Tolteków zasięga 698 roku naszej ery, a kończy się w XIIym wieku; okres Azteków ciągnął się od 1200 aż do podboju Korteza. Lecz ściśle biorąc rzeczy, nie możemy uważać go za ukończony, bo Aztekowie czystej czy mieszanój rasy, stanowią podstawę ludności meksykańskiej.

Za Tolteków zjawia się cywilizacya. Zkąd przybyli, o tém nikt nie wie; lecz tylko jest podanie, że przyciągnęli od północy, z tajemniczego miejsca, które zowią Tullan. Nie wiadomo także zkąd powzięli wiadomości i sztuki, które z sobą przynieśli. Założyli stolicę władzy swojej w północnej stronie doliny meksykańskiej w Tula, gdzie towarzysze Korteza znaleźli ślady obszernych budowli. Było to plemię łagodne, lecz nie takie gnuśne i słabe, jakie Kolumb zastał na wyspach Antyl.

skich. Toltekowie mieli duch czynny i przedsiębiorczy: oni uprawili ziemię i zaprowadzili hodowle kukurydzy i bawełny; zbudowali miasta i drogi, wzniesli pomniki. Cywilizacya, którą posiadali ich następcy Aztekowie, od nich bierze początek. Przepisy ich religii tchnęły ludzkością. Sławny Humboldt, biegły dostrzegacz zjawisk natury i politycznych faktów, mniema, że pochodzili od ludu, który był doznał wielkich nieszczęść.

Między pamiątkami panowania Tolteków w Meksyku, najznamiensze są piramidy podobne do egipskich w Sackarach, w wyższym Egipcie, tak samo zbudowane z gliny albo z cegieł wysuszonych na słońcu, pokryte kamieniami; podzielone na tarasy o kilku piętrach. Ich cztery ściany odpowiadają także czterem głównym stronom świata. Ich budowa nie wymagała wielkiej znajomości i sztuki, znacznie są niższe od egipskich, chociaż przy podstawie mają prawie tę samą obszerność. Dla czego i kiedy skończyło się panowanie Tolteków? Przez emigracyą jak twierdzą uczeni; ale dlaczegoż opuścili tak piękną krainę? Czy wojna, czy głód, czy też morowe powietrze zmusiło ich do tej ostateczności? Tego nikt z pewnością nie oznaczy. Zdaje się rzeczą podobną do prawdy, że wyruszyli na południe, i że wielkie budowle i zwaliska znalezione w Palenke, w Uxmal i Mitla w środkowej Ameryce, są ich dziełem.

Inny był lud Azteków, ponury, surowy aż do okrucieństwa, i mający upodobanie w krwi rozlewie. Posiadał ducha panowania i podbojów, i silnie urządził władzę swoją na obszernym przestworze kraju. Aztekowie nie zniszczyli do szczeru instytucyi Tolteków, lecz zmienili je stosownie do swego charakteru i przydali inne. Ztąd pochodzą dziwne uderzające sprzeczności w cywilizacyi Meksykanów, którymby wiary dać nie można, gdybyśmy nie znali, że w umyśle i sercu człowieka, mieścić się mogą najprzeciwniejsze rzeczy. Niepojęta mieszanina łagodności i barbarzyństwa, wdzięk połączony z okropnościami i obmierzłymi obyczajami: krótko mówiąc ofiary z ludzi i ucztę ludożerców, połączone z hodowlą kwiatów i z obrzędami pełnemi szlachetności i wytworu; taki to widok przejął zdumieniem Korteza i jego towarzyszków.

Państwo meksykańskie składało się ze związku trzech królestw, zamieszkałych przez ludy jednego rodu; ich stolicami były Meksyk, Tezcúco i Tlakopan. Początkowo zajmowały samą tylko meksykańską dolinę, która nie ma więcej jak 400 kilometrów obwodu. Z czasem rozciągnęły panowanie swoje nad obszernymi prowincjami i ludami. Najpotężniejszym z nich było państwo Azteków, które nad dwoma innymi wywierało niezaprzeczoną przewagę. Organizacja polityczna była wojskowa i teokratyczna, lecz tem różniła się od Indyi i dawnego Egiptu, że naród nie był podzielony na kasty. Było kilka stopni szlachty, ale wielkie dostojenstwa nie przechodziły na synów prawem dziedzictwa; a nawet w rodzinie cesarskiej, jeżeli syn zmarłego monarchy był za młody, oddawano rządy jego bratu. Szlachcic mógł zajmując się przemysłem bez uszczerbku swojej godności. „Zajmij się, mówił szlachcic do syna swojego, robotą w polu, albo rzemiosłem. Tak czynili twoi przodkowie, bo jakżeby mogli wyżywić siebie i swoją rodzinę.” Szlachectwo nikomu nie wystarczało na utrzymanie życia, a każdy ktokolwiek odznaczył się na wojnie, otrzymywał szlachectwo. Monarchowie meksykańscy ustanowili znaki szczytne, podobne do orderów rycerskich, mających swoje własne godła i przywileje. Był nawet, jak się zdaje, niższy stopień, który trzeba było poprzednio otrzymać, zanim kto mógł nosić jakiegobądź ozdoby. Dopóki go nie uzyskał, musiał chodzić w grubiej odzieży utkaniej z włókien aloesu. Nawet członkowie rodziny cesarskiej ulegali temu powszechnemu prawu. Wszyscy, bez różnicy urodzenia, mieli prawo do tych rycerskich orderów.

Wiele zwyczajów nosiło u nich cechę rycerskiego ducha, który ożywił Europę w wiekach średnich. I tak, podczas zawziętych wojen między Aztekami a Tlaskalanami, szlachta Azteków posyłała panom tlaskalańskim bawełnę, sól i kakao: bo tych produktów nie wydawała ich ziemia, a z powodu wojny nie mogli ich sprowadzić. Takim przysługom towarzyszyły uprzejme słowa, a mimo tego zabijano się wzajemnie na polu bitwy.

Już wspomnieliśmy, że nauki i handel miały u nich należne poważanie; lecz u starożytnych Meksykanów, największa część ludności była pogrążona w ciemnocie i poniżeniu. Wynikało to z zupełnego braku zwierząt do pracy rolniczej i do przewozu ciężarów. Wszystkie prace wykonywali rękoma i przynosili na grzbiecie swoim; nie było dróg dla wozów, których nawet nieznano, tak samo jak dziś jeszcze w krainach Azji i Afryki, dokąd nie doszło panowanie Europejczyków. Duch ludzki nie zdoła oprzeć się takiemu poniżeniu i pod nawałem znojów fizycznych, traci pojętność i uczucie. Starożytni mówili, że gdy człowiek popadnie w niewolę, Jowisz odbiera mu połowę jego duszy. Wyrażali przez to, nie tylko samo obmierzłe uprzedzenie przeciw niewolnikom, lecz w tych żałosnych słowach kryła się prawda: ciężkie bowiem prace niewolników tępiły ich umysł i pozbawiały aż do pewnego stopnia, świętego tchnienia bóstwa.

Część trudności wynikającej z braku zwierząt gospodarskich, szczęśliwie przełamali Meksykanie przez założenie stolic swoich nad brzegami albo raczej na środku jezior. Tenochitlan (dawny Meksyk) zewsząd otoczony był wodą; téj korzyści już nie ma terazniejsze miasto, chociaż na tém samym miejscu zbudowane. W epoce Azteków miasto było przecięte kanałami zamiast ulic, łatwo zatem mogli członkami dowozić większą część ciężarów. Tenże sam powód wyjaśnia, dlaczego ludność nagromadzała się nad brzegami jezior.

Niewola istniała u Meksykanów, lecz tylko osobista i nie spadała na potomstwo. Niewolnik zachował dwa prawa cywilne, które uważamy jako niezgodne z niewolą w ścisłym znaczeniu tego wyrazu: własność i rodzinę. Można było popaść w niewolę na mocy wyroku w sprawach karnych, za nieopłacanie podatków i przez dobrowolną sprzedaż. Rodzice mogli sprzedawać dzieci swoje, lecz prawa opiekowały się niewolnikami, panowie obchodzili się z nimi jak z członkami rodziny i bardzo rzadko odprzedawali ich w trzecie ręce. Jeńcy wojenni stawali się niewolnikami, jeżeli ich nie spotkała sroższa dola, o której wkrótce powiemy.

Prawa opiekowały się własnością, ogłaszano je porządnie, a sądy podług nich sądziły. Były trzy stopnie

sądowe: pierwszy i drugi wybieralny, ostatni zaś mianowany przez monarchę. Był jeden dożywotni sędzia na każdy okrąg, od jego wyroku już nie można było odwołać się do nikogo, nawet do panującego. Wyroki śmierci wykonywano ze szczególną uroczyścią.

Prawo karne było niezmiernie surowe; niemal za każde przestępstwo karano śmiercią, jako to: za cudzołóstwo, za kradzież pewnych wyszczególnionych przedmiotów, za naruszenie znaków granicznych na polu, za pijaństwo, za marnotrawstwo ojcowskiego majątku. Straszliwy Drakon był niezmiernie łagodnym prawodawcą w porównaniu z owym dobrym i łaskawym królem Nezahualcoyotl, autorem prawa karnego, które ustanowione w Tezcucó, przyjęte zostało przez sąsiednie państwa. To krwawe piętno tego prawa, jest dowodem, że cywilizacya meksykańska, mimo świetnej strony swojej, nie wyszła z pieluch barbarzyństwa. Jednakże możemy ją przypisywać posępnemu duchowi Azteków i okolicznych pokrewnych plemion. Nie tylko w tym jednym przedmiocie zobaczymy ich cywilizacyą, zmazaną potokami krwi ludzkiej.

Rząd pilnie zaopatrywał potrzeby mieszkańców; pobór podatków odbywano ściśle i surowo. Opłaty wnoszono w produktach i mieszczono je w obszernych spichrzach i składach.

Biada temu kto nie wniósł oznaczonej opłaty; niemiłosierny poborca kazał go sprzedać w niewolę. Podatki były z początku umiarkowane, lecz za ostatniego z cesarzów, a głównie za drugiego Montezumy, w epoce kiedy wylądował Kortez, stały się bardzo uciążliwemi, bo monarchowie potrzebowali na zbytki i na utrzymanie wojska. Ostatni Montezuma troskliwy o stan i dolę żołnierzy, założył instytucyą podobną do tej, którą Ludwik XIV uposażył Francyą, to jest dom inwalidów.

Rząd był samowładny, lecz łagodzony rozmaitemi przepisami, potęgą arystokracji i duchowieństwa. Poddani nie zostawali w takim poniżeniu jak u ludów Azji i uległość nie niszczyła osobistej godności człowieka. Pewne obrzędy miały ten cel, żeby wpoić w duszę władzców uczucie ich obowiązków względem poddanych. W zbiorze pamiątek meksykańskich znajdujemy następujące wyrazy,

któremi przemawiano do monarchy: „Bóg wyrządził ci wielką łaskę, stawiając cię na miejscu swoim, a więc powinienes Go czcić i Jemu służyć. Nabądź odwagi, nie wąp' że ten potężny pan, który nałożył na ciebie tak ciężkie obowiązki, dopomoże ci do otrzymania korony chwały, jeżeli nie ulegniesz wpływowi złych ludzi.”

Pewne obrzędy wpajały w duszę władców ich święte obowiązki względem poddanych. Przyszłego następcę tronu wprowadzano do oddzielnej części świątyni, gdzie zostawać musiał na pokucie przez rok lub dwa lata. Siedział na gołej ziemi przez dzień cały, a sypiał na macie; w nocy, w oznaczonych godzinach chodził do kościoła, żeby tam palił kadzidła a w pierwszych czterech dniach spał ledwie kilka godzin. Przy nim stali strażnicy, którzy gdy zasypiał kłuli go po nogach kolcami, mówiąc do niego. „Obudź się; nie powinienes spać, ale czuwać nad dobrem twoich poddanych. Nie na to obejmujesz władzę, żebyś gnuśnie spoczywał. Sen powinien odbiegać z oczu twoich; masz je trzymać otworem i czuwać nad twoim ludem.”

Polityczna i towarzyska organizacya Azteków była już na tak wysokim stopniu, że Korteż daje o niej następujące zdanie w liście do Karola Vgo: „Posłuszeństwem dla monarchy i trybem życia, ci Indyanie prawie podobni są do Hiszpanów i tyle jest u nich porządku co w Hiszpanii. Jeżeli zastanowimy się nad tem, że lud ten jest barbarzyńskim, pozbawionym wiadomości o Bogu i wszelkich stosunków z innemi krajami, tem bardziej dziwić się powinniśmy ich mądrój administracyi.”

* * *

Obyczaje Meksykanów nie były rozwiozłe. Prócz naczelników, którzy mieli po kilka kobiet, każdy miał tylko jedną żonę, a w ich prawie napisane było: „kto zbyt ciekawie spogląda na niewiastę, ten cudzołoży oczyma”. Małżeństwo obchodzono uroczyscie, z zachowaniem opiekuńczych formalności. Rozwód mógł tylko w pewnych przypadkach nastąpić, a głównie za wyrokiem trybunału, wyłącznie przeznaczonego do rozstrzygania kwestyj, ze związku małżeńskiego wynikających. Cudzo-

łóstwo karano śmiercią; nawet rodzina królewska podlegała téj karze. Społeczne stanowisko niewiast zbliżało się bardzo do tego, w jakim są kobiety w Europie. Nie zamykano ich w haremie, nie kaleczono im nóg, jak w Chinach. Chodziły z odkrytą twarzą, bywały na uroczystościach i biesiadach. Ile możności uwalniano je od ciężkich robót, czego nie ma u wielu europejskich ludów. Miały udział w czynnościach kapłańskich; były w Meksyku kapłanki, lecz usługę główną spełniali sami kapłani i to najznakomitsi. Doszły do nas rady ojca udzielone synom i rady matki udzielone córce: są one zbiorem bardzo zdrowych zdań i przestróg moralnych.

Mexykanie wierzyli w Boga najwyższego, Stworzyciela i pana świata i w modlitwach swoich nazywali go Bogiem, przez którego żyjemy, który jest wszędzie, zna wszystko i wszystkimi dobrami rozrządza; albo téż zwali go Bogiem niewidzialnym, niecielesnym, doskonałością i czystością, pod którego skrzydłami znajdujemy spoczynek i najbezpieczniejszą ochronę. Pod tym Bogiem najwyższym, było trzynaście wielkich bóstw i więcej jak dwieście mniejszych, a każde miało dzień poświęcony dla siebie i odbierało cześć właściwą. Aztekowie przede wszystkim czcili boga wojny Huitzilopochtli i wizerunek jego nieśli przed sobą, jak Hebrajczycy skrzynię przymierza, podczas długiej wędrówki z Aztlanu do Tenochitlan. Ten straszny bóg zwał się także Mexitli i od niego pochodzi nazwisko Meksyku. Główna świątynia w Tenochitlan, z przyległemi budynkami tworząca gmach ogromny, poświęcona była na cześć tego boga.

Między bożyszczami mexykańskimi, było jedno, o którym często wspomina historia zdobycia téj krainy, był to bożek powietrza Quetzalcoatl. Przebywał na ziemi i nauczał uprawy roli, wyrabiania kruszców i trudniejszej nad wszystko sztuki rządzenia; zatykał sobie uszy, kiedy mu wspomniano o wojnie. Według mitologii mexykańskiej, ludzie tak byli szczęśliwi pod jego panowaniem, jak w złotym wieku mitologii greckiej. Za jego czasów ziemia bez uprawy sama rodziła kwiaty i owoce; człowiek ledwie mógł podźwignąć jedno źdźbło kukurydzy; bawełna rosła na drzewach ubarwiona najrozmaitszemi kolorami.

mi; powietrze napelnione było najmiłszą wonią, a ptaki krasno-pióre bezustannie wydawały tkliwe śpiewy. Jednakże ten bóg tak dobry dla ludzi, ściągnął na siebie nienawiść potężniejszego bóstwa i musiał opuścić tę krainę. Idąc na wygnanie, zatrzymał się w mieście Chololan, gdzie mu potem usypano ogromną piramidę ze świątynią na jej szczycie. Doszedłszy nad brzeg zatoki meksykańskiej, rozstał się z wiernymi, którzy mu towarzyszyli i przyrzekł, że on lub jego następcy znowu się tu zjawią; a wskoczywszy w łódkę zrobioną ze skóry węzów, odpłynął do tajemniczniej krainy Tlapallan, o której to tylko wiedzą, że jest na wschodzie za morzami, to jest w tym samym kierunku, jak Europa. Powieść o Quetzalcoatlu, jestże podaniem w formie cudownej, o panowaniu Tolteków, którzy przynieśli do tego kraju umiejętności i sztuki, a potem znikli? Czyli też opiera się na przybyciu jakiego żeglarza z Europy, przypędzonego wiatrami?

Cóżkolwiekby, wspomnienie błogich czasów Quetzalcoatla i nadzieja jego powrotu, tkwiła w umysłach Meksykanów i może najmocniej posłużyła Kortezowi do podbicia tej krainy. Krajowcy mający czerwoną skórę, krótką i rzadką brodę, przypominali dzieciom swoim, że ten bożek był wysokiego wzrostu, skórę miał białą, włosy czarne i długą brodę. Czyliżby inaczej kto mówił, gdyby chciał przepowiedzieć przyjście Hiszpanów?

Znajdujemy w tym narodzie tak odmiennym od europejskich, wiele podań wspólnych całemu rodowi ludzkiemu i widocznie pochodzących z biblii. Było u nich wspomnienie o matce wszystkich ludzi, a w swoich malowidłach zawsze obok niej mieścili węża. Owa niewiasta z wężem, była matką dwojga bliźniąt, które przypominają Kaina i Abła, a jedno malowidło meksykańskie dochowane w Watykanie, wystawia te bliźnięta walczące z sobą. Inne podanie mówi o powszechnym potopie, z którego tylko jedna rodzina ocalała; o piramidzie nakształt wieży babilońskiej, którą duma ludzi wzniosła, a gniew boży obalił. Możliwe byłoby przytoczyć inne jeszcze podobieństwa między religijnymi podaniami Meksykanów, a ludów Azji; najważniejszym z nich jest zniszczenie i następne odradzenie się świata. Mniemanie to, mówi pan Humboldt,

zasięga najodleglejszej starożytności na starym naszym lądzie. Księgi święte Indyan, mówią o *czterech wielkich kataklizmach*, które wygubiły ród ludzki. Podanie o *pięciu wiekach* takich samych jak w Meksyku, znajdujemy w Tybecie. Między Meksykiem jaki był w epoce podboju, a teraźniejszym Tybetem jest bardzo wiele podobieństwa, a mianowicie w hierarchii duchownej, w mnóstwie zgromadzeń religijnych i w surowym wykonywaniu dobrowolnie przyjętej pokuty. Dostrzeżono także u tego ludu, bardzo ciekawe ślady idei o grzechu pierworodnym, o chrzcie, który jest jego oczyszczeniem, o spowiedzi i eucharystyi. Meksykanie wierzyli w grzech pierworodny, uważali ród ludzki jako zesłany na ziemię dla wycierpienia kary i w modlitwach swoich błagali miłosierdzia boskiego. Przy urodzeniu dziecięcia, pisze Zurita (1), rodzice witają go, mówiąc: „Przyszedłeś tu, żebyś cierpiał; cierp więc i bądź cierpliwym”. Obmywali się z pierworodnego grzechu tak samo jak chrześcijanie, bo ich chrzest na obmywaniu polegał. Mieli obrzęd spowiedzi i rozgrzeszenia. Tajemnej spowiedzi nie wolno było nikomu wyjawiać, lecz spowiadali się raz jeden tylko w życiu, a więc najpóźniej jak tylko było można. Rozgrzeszenie religijne oczyszczało z grzechów, nawet w obec władzy świeckiej; a za panowania Hiszpanów, Indianie uwięzieni za występki, domagali się, żeby ich wypuszczono na wolność za złożeniem świadectwa, że wyspovídali się przed proboszczem własnej parafii. Nareszcie Meksykanie mieli obrzęd podobny do sakramentu Ciała i Krwi Pańskiej, na którym kapłani rozdawali ludom kawałki ciasta z kukurydzy, które pożywano, padając na kolana i z tém przekonaniem że to jest ciało bóstwa.

Wiadomość o życiu przyszlém, jest jednym z ważnych rysów ich wiary. Wierzyli w raj i w piekło. Cierpienia potępionych nie były materyalne, lecz moralne. W piekle pograżeni byli w głębokiej ciemności i dręczeni własnymi zgryzotami. W pierwszym okresie błogosławieni

(1) Alonzo de Zurita mieszkał lat dziewiętnaście w Meksyku. Polecono mu, jako członkowi audyencyi meksykańskiej, zdanie raportu o naczelnikach krajowych rodziu meksykańskich,

przepędzali życie w obec słońca i jego obiegowi po niebie towarzyszyli, tańcząc i śpiewając. Po niejakiem czasie ich dusza ożywiała świetne obłoki, albo ptaki pięknymi piórami pokryte i tam używali wiecznej rozkoszy pośród woni kwiatów. Te rajskie uciechy szczególnie były udziałem wojowników i ludzi zabitych na ofiarę.

Takie podobieństwa nie mogły ujść baczności pierwszych księży katolickich, którzy nawracali zwyciężonych mieszkańców. Łagodniejsi przypuszczali, że wiarę chrześcijańską przynieśli do Meksyku jacyś misyjonarze, których ślad zaginął, a ich nauki pomieszały się z błędami dzikich ludów; inni twierdzili, że to była znieważająca parodia czci prawdziwego Boga, którą szatan rozpostarł między bałwochwalcami, żeby ją wyszydzić i shańbić: lecz wszyscy uznawali, że tak liczne podobieństwa nie mogą być dziełem trafu.

Najbardziej zaś to zadziwiło Hiszpanów, że u tych bałwochwalczych ludów krzyż był przedmiotem czci. „Na nadbrzeżu meksykańskim, pisze kapelan wyprawy Grijalwy, na wyspie zwanój Ulua (dziś tam jest cytadela portu Vera-Cruz) ujrzelśmy krzyż z marmuru białego uwieńczony koroną złotą. Krajowcy składają mu cześć i mówią, że umarł na nim ktoś taki, który jest piękniejszy i jaśniejszy od słońca”.

Ich modlitwy tchną uczuciem tkliwego miłosierdzia, przebaczenia i zapomnienia krzywd i uraz. „Żyj w zgodzie ze wszystkimi, powiedziano było w ich modlitwach; z pokorą znoś krzywdy, a Bogu, który widzi wszystko, zdaj zemstę twoją”.

Prawidła ich moralności obudzały miłość bliźniego i można było wziąć je za wpływ chrześcijaństwa. Przy końcu spowiedzi, kapłan tak upominał wiernego: „Nakarm głodnego, odziej obnażonych, chociażbyś przez to największe ofiary poniósł: bo ciało nieszczęśliwych jest twojem ciałem; są to bliźni we wszystkim do ciebie podobni”.

* * *

Wnosząc z tych uczuć, miłosierdziem i łagodnością tchnących i zasad moralności przyjętych za prawidła postępowania, możnaby mniemać, że to był lud dobrotliwy, lud ożywiony braterską miłością. Jakże jest słabą

natura człowieka, jakież sprzeczności gnieźdzą się w jego sercu i umyśle! Te miłosierne uczucia i obrzędy, ta ludzkość i sprawiedliwość, ten wzgląd na słabość kobiet, uważane za dowód łagodności obyczajów i wyższej cywilizacji, łączyły się, skutkiem okropnego przewrotu pojęć, z zabijaniem ludzi na ofiarę i z biesiadami ludożerczemi. Mnóstwo ludzi poświęcano na ołtarzach bogów i uroczyscie pożerano ciała ofiar: były to najuroczystsze biesiady. Meksykanie mieli obrzęd podobny od eucharystyi; od pewnej epoki, chleb do niej używany zaczęli zaprawiać krwią ludzką. Pojąć nie można, jak to się stało, że te obmierzłe obrzędy nie były u nich zabytkiem barbarzyństwa przechodzącego z pokolenia do pokolenia, zabytkiem utrzymywanym przez niedorzeczne uszanowanie dla wiary przodków. Okropności te rozwinęły się między Aztekami, ze wzrostem cywilizacji. Im bardziej rozszerzały się u nich sztuki i przemysł, tém namiętniej wykonywali te barbarzyńskie i srogie obrzędy. Rzeczy można, że ich zachęcał jakiś duch piekielny, i łatwo pojmujemy, że Hiszpanie przekonani byli o ich bezpośrednim związku z szatanem.

Humboldt twierdzi, że początkiem do tych ofiar były walki między sąsiednimi pokoleniami, wzajemne rozdrażnienie i zemsta. Lecz zastanawiając się nad religią Azteków, przyznać musimy, że te ofiary zrodziły się z pojęć w gruncie swoim dobrych, lecz skrzywionych brakiem światła prawdziwej wiary i gwałtownymi namiętnościami. Meksykanie uważali pobyt człowieka na ziemi jako oczyszczenie i próbę: mniemali, że na ziemi wszyscy cierpią i potrzebują okupienia. Utworzyli sobie wyobrażenie, wspólne wielu narodom, że bóstwo uspokaja się ofiarą krwi; że krwią odwraca się gniew bogów, a zyskuje się ich przychyłność. *Solis*, autor historii podbicia Meksyku, to wyjaśnienie ofiar z ludzi, kładzie w usta kacyka z Tlaskala i opowiada, że naczelnik ten rozmawiając z Kortezem, rzekł: *moi współziomkowie nie wyobrażają sobie rzeczywistej ofiary, jeżeli człowiek nie umiera, dla ocalenia drugich.*

Ta religijna idea Meksykanów, o działalności krwi przelanej na ołtarzach, wspólna była wszystkim staroży-

tnym ludom stałego ładu. Przed Jezusem Chrystusem, wszystkie ludy, dzikie i wykształcone, szukały okupienia we krwi: bo krew, źródło życia, uważali za najmilszą ofiarę dla rozgniewanych bogów. Wszędzie i zawsze, aż do zjawienia się religii chrześcijańskiej, krew ludzku płynęła na cześć bogów, wbrew rozumowi i uczuciu; lecz u Rzymian, Greków i innych wykształconych ludów starożytności, zastąpiono ją w wielu razach, chociaż nie we wszystkich, krwią zwierząt. Tak więc ludożercze ofiary Meksykanów, wzięły początek z uczucia wspólnego całemu rodowi ludzkiemu o upadku i odkupieniu; lecz uczucie to: jak mówi J. de Maistre: i prawda pierwotna, spadły aż do stanu zgnilizny i barbarzyństwa.

Z téj także myśli wynikła niezmierna srogość meksykańskich praw karnych. Prawodawcy myśleli tak samo jak Druidowie w Gallii, że męczarnia winowajców jest miłą bogom.

Na obronę Meksykanów powiedzieć trzeba, że nie bez oporu zgodzono się na ofiary z ludzi. Wielki ich król Nezahualcoyotl, przez długi czas opierał się tym rzeziom, postawił świątynię *nieznanemu bogu, przyczynie wszystkich przyczyn*, zakazał ofiar ludzkich, a nawet zabronił rozlewu krwi zwierząt. Po jego śmierci, około roku 1470, na lat 50 przed Kortezem, świątynie królestwa Tezcucó znowu zboczyły się krwią, i mnogością ofiar walczyły o pierwszeństwo z meksykańskimi.

Ten fakt zasługuje na uwagę, że w miarę wzrostu państwa Azteków, i udoskonalenia ich cywilizacji, powiększa się liczba krwawych ofiar. Toż samo postrzegamy w historii rzymskiej: krwawe igrzyska cyrkowe, walki gladyatorów, nabrały większego rozwoju za cesarzów, obok zbytków i miękkości obyczajów. Toż samo widzimy w prześladowaniach i rzeziach za religią, które w XVIym i XVIIym wieku daleko były większe, niżeli w pierwszej i drugiej epoce chrześcijaństwa. Nareszcie terroryzm Marata i Robezpierra panował wtenczas, kiedy ogłaszano zasady postępu i ludzkości.

Tak więc, wszędzie i u wszystkich, widzimy te smutne przeciwieństwa, które nie burzą zaufania w postępie, lecz dają nam uroczystą przestrożę. Widzimy, ile jest

słabości w naturze człowieka, obok wspaniałych przymiotów, z których się chlubi; powinniśmy zatem ciągle zważać na nas samych i nigdy nie spuszczać z oczu tej bussoli wiary i sumienia, która nam wskazuje drogę powinności, prawdy i sprawiedliwości.

Cóżkolwiekby, nigdy nie padło w Meksyku tyle ofiar ludzkich, co za panowania ostatniego Montezumy. Zdobobny ten władzca, uległy kapłanom albo dręczony złowieszczemi przecuciami, mniemał, że krwią przelaną na ołtarzach, odwróci złowieszcze groźby. Towarzysze Korteza obliczyli czaszki, ustawione w kilku świątyniach jako trofea, i było ich 136,000. Według bardzo umiarkowanej rachuby, zabijano corocznie dwadzieścia tysięcy ofiar. W 1486 r., na lat trzydzieści przed zdobyciem Meksyku, przy poświęceniu wielkiej świątyni bożka Huitzilopotehli w Meksyku, 70,000 ofiar, które zgromadzano przez lat kilkanaście we wszystkich częściach państwa, zamordowano jedna po drugiej. Rzeź trwała przez kilkanaście dni bez przerwy, a szereg tych nieszczęśliwych, ciągnął się wzdłuż na cztery mile.

Ofiary składały się ze zbrodniarzy i buntowników. Jeżeli jakie miasto nie dotrzymało wierności należącej się monarsze, brano z niego na zabicie pewną liczbę mężczyzn, kobiet i dzieci. Lecz wojna najbardziej dostarczała ofiar. Korteza zapytał się Montezumy, dla czego nie podbił Tlaskalanów, którzy nie chcieli uznać jego władzy; cesarz odpowiedział: że po ukończeniu wojny, nie mógłby znaleźć dostatecznej liczby ofiar na uczczenie bogów.

Ofiary znosiły bez narzekania dolę swoją: pochodziły bowiem z narodów, które taką samą wiarę wyznawały. Lud uważał je za posłańców wyprawionych do boga, który ich przyjmie łaskawie, bo na cześć jego ponosili męczeństwo. Prosił ich, żeby zanieśli ich prośby i żądania. „Ponieważ będziecie widzieli naszego boga, mówili do nich, powiedzcie mu jakie są nasze potrzeby i proście go niech im zadosyć udźwini”. Przed zabiciem przystrajono ich i składano im podarunki; w pewnych przypadkach odbywały się tańce, do których więźniów należał, a w ostatniej chwili życia, powierzano mu ważne zlecenia do bogów.

Najmężniejsi jeńcy mieli otwartą drogę ocalenia. Na wszystkich placach po miastach, były wywyższenia okrągłe, z kamieni ciosowych na wapno związanych zbudowane, wysokie na stóp ośm. Wstępowano na nie po schodach; na wierzchu była okrągła płaska powierzchnia, a w jej środku wmurowany kamień okrągły, mający wydrążenie. Po dopełnieniu pewnych obrzędów, najznamienitszy z jeńców stawał na tém miejscu, przywiązywano go za nogi do środkowego kamienia, dawano mu miecz i tarczę okrągłą. Ten, który go wziął do niewoli, stawał przeciw niemu do walki i jeżeli jeńca zwyciężył, uważano go za najdzielniejszego wojownika; jeżeli zaś pokonanym został, występował drugi do walki. Gdy zaś jeniec siedmiu przeciwników jeden po drugim zwyciężył, wracano mu wolność i wszystko co stracił podczas wojny.

Obok tych srogich ofiar, znajdują się w religii Meksykanów rysy odznaczające się głębokiem uczuciem ludzkości. Jużesmy powiedzieli o ich wyobrażeniu o życiu przyszłym: było wzniosłe i dosyć czyste. Obok niego, tem okropniej wydają się tak krwawe i tak mnogie ofiary na wielki rozmiar wykonywane. Zwykle tak bywa, że stos zasłania ofiarę kłębami dymu, lecz u Meksykanów krew rozlewano przed oczyma niezmiernego tłumu. Ofiarę prowadzili kapłani w uroczystej processyi, powolnym krokiem, przy brzmieniu muzyki i śpiewów obrzędowych; wstępowali na piramidę, na której szczycie stała świątynia; kamień ofiarny był umieszczony wysoko pod otwartym niebem, między dwoma ołtarzami, na których w dzień i w noc palił się ogień święty, przed przybytkiem mającym kształt wysmukłej wieży, a w którego wnętrzu był posąg boga. Lud zebrany w około, spoglądał w głębokiem milczeniu na to straszliwe widowisko. Po ukończeniu modlitw, kładziono ofiarę na śmiertelnym kamieniu. Ofiarnik zrzucał czarną rozpuszczoną szatę, swoje zwyczajne ubranie, a przywdziewał czerwony płaszcz, przystępował uzbrojony kryształowym nożem poświęconym, przekrawał pierś ofiary, wrywał z niej serce, mazał krwią posągi bogów, rozlewał krew w około, albo też mieszając ją z mąką kukurydzy, robił z niej obmierzłe ciasto. A to wszystko łączyło się z zamiłowaniem kwiatów i najczy-

stszemi prawidłami moralności. I takim widokiem nasycono się pięćdziesiąt razy do roku.

Rozmaite okoliczności powiększają zdumienie nasze i wzbudzają to przypuszczenie, że źródłem tych okrucieństw była nauka o expiacyi, rozwinięta pod wpływem przestרחu: bo strach jest stokroć sroższym niżeli odwaga. Obok tylu krwawych obrzędów, były inne nacechowane prostotą i niewinnością, jakoto processyę połączone ze śpiewami i tańcami, na których młodzieńcy i dziewczęta walczyli o pierwszeństwo w ozdobie i piękności i okazywali nadzwyczajną zręczność. Dziewczyny i dzieci uwieńczone kwiatami, z radosną twarzą niesły pobożne ofiary z pierwiastków pory roku i ogromne kłosa kukurydzy, i paląc wonie składały je przed posągami bogów. Na ofiarę nie zabijano wtedy, chyba same przepiórki. Takie były religijne obrzędy Tolteków, na których Aztekowie zaszczepili swoje okrucieństwa: dochowały się one chociaż w małej części, jako świadectwo o lepszych poczuciach natury ludzkiej.

Te wymysły straszliwego mistycyzmu, urządzone były z wielkim przepychem i sztuką. Każda z tych krwawych ofiar, tworzyła dramat wystawiający przygody boga, któremu były poświęcone, a z nich wyprowadzano naukę moralną. Taką była uroczystość *nowego ognia* i bożka Tezcatlipoca, ojca wszech rzeczy i duszy świata.

Podług kosmogonii Azteków, świat uległ czterem katastrofom, wśród których wszystko zginęło. Spodziewali się piątej, przy kresie jednego z ich cyklów, mających lat pięćdziesiąt dwa, a wtedy wszystko miało także zginąć a nawet słońce. Przy końcu więc takiego cyklu, przypadającego na przesileniu zimowém dnia z nocą, obchodzili uroczystość pamiątkową czterokrotnej zaguby i odnowienia świata, a to żeby piątą katastrofę odwrócić. W tym celu, ostatnie pięć dni roku poświęcone były objawom rozpacz. Niszczono posążki bożków domowych, gaszono ogień święte jaśniejące na piramidach każdej świątyni, nie rozniecano ognisk, kruszono sprzęty, rozdzierano suknie. Wszystko pokrywało się żałobą, na przyjsie złych geniuszów, którzy zamierzali zstąpić na ziemię.

Wieczorem piątego dnia, kapłani niosąc ozdoby bogów swoich, szli w processyi na górę, o milę od miasta, i prowadzili z sobą najszlachetniejszą ofiarę, jaką można było znaleźć między jeńcami. Na wierzchołku góry czekali w milczeniu na tę chwilę, kiedy konstellacya Plejadów zbliży się do zenitu, i wtenczas zabijali ofiarę. Przez tarcie zapalano drzewo położone na jej rozdartych piersiach: był to *nowy ogień*, który natychmiast podkładano pod stos żałobny, przeznaczony na spalenie ciała ofiary. Skoro tylko zabłysnął stos rozgorzały, natychmiast wzbijały się pod niebiosa radosne okrzyki ze szczytu świątyn i tarasów, na których cały lud oczekiwał zjawienia się tego zbawczego ognia. Od świętego stosu rozbiegali się gońcy na wszystkie strony, niosąc zapalone pochodnie i rozdawali nowy ogień, który za ich śladem błyskał na ołtarzach i w domach. W kilka godzin potem, wschodzące słońce oznajmiało ludziom, że bogowie zlitowali się nad nimi, i że jeszcze na przeciąg jednego cyklu ród ludzki nie ulegnie zniszczeniu; lecz żeby okupić ocalenie na czas następny, powinni przestrzegać praw nakazanych od boga. Po tych dniach pięciu, trzynaście lub dwanaście następnych przeznaczano na radosne uroczystości. Naprawiano domy, sprawiano nowe naczynia, sprzęty, odzież, i dziękowano niebu.

Święto boga Tezcatlipoca odmienną miało cechę. Mitologia Azteków wyobrażała go pod postacią wiecznie młodego człowieka i doskonałej urody. Na rok wprzódy, wybierano między jeńcami najpiękniejszego, zwano go żeby nie miał żadnej skazy na ciele; odtąd wyobrażał boga, a kapłani do jego osoby przydani, układali jego postawę, aby odznaczała się godnością i wdziękiem. Ubierano go świetnie i wytwornie; żył pośród kwiatów, najmiłsze wonie palono przed nim, miał na usługi swoje paziów królewskich, z przepychem ubranych. Wszędzie chodził gdzie tylko chciał, zatrzymywał się na placach i grał na instrumencie, który nosił na sobie, a wtedy lud padał przed nim na kolana jak przed wielkim duchem, stwórcą wszystkich stworzeń. I tak żył w przepychu i zbytku, dopóki nie nadszedł ostatni miesiąc. Wtenczas przyprawiono mu cztery jak najpiękniejsze

dziewice, którym nadawano imiona czterech głównych bogiń. Z niemi przepędzał ostatni miesiąc i prowadził swoje niebiańskie małżonki na wytworne biesiady do najznakomitszych osób w kraju, ubiegających się o zaszczyt, żeby go ugościć i uczcić mogły jak boga.

Nareszcie nadszedł dzień ofiary; nagle nikły wszelkie uciechy i rozkosze. Żegnał się z pięknymi towarzyszami, a łódź cesarska zawoziła go nad brzeg jeziora, o milę od miasta, do podnóża piramidy poświęconej bogu, którego był wyobrazicielem. Mieszkańcy stolicy i okolic czekali tam na niego; idąc w okrąg podług zwyczaju, powoli wstępował na piętra piramidy i na każdym z nich zrzucił z siebie kilka świetnych ozdób, kilka kwiatów, albo kruszył instrumenta, na których był przygrywał. Na wierzchołku piramidy stało sześciu kapłanów czarno ubranych, prócz jednego, z rozpuszczonemi włosami. Spełniano ofiarę, a serce zamordowanego najprzód ofiarowano słońcu, a potem składano u stóp posągu. Kapłani przemawiali do ludu i z tego krwawego mitu uroczystą wyprowadzali naukę, mówiąc, że to jest godło przeznaczenia człowieka, któremu wszystko uśmiecha się na wstępie do życia, a który częstokroć kończy swój zawód w żałobie i niedoli. Powtarzali słuchaczom tę maxymę uświęconą wszędy, a tak prędko zacierającą się z pamięci ludzi, że największa pomyślność bardzo często styka się z najsmutniejszymi ciosami.

* * *

Po takim opisanu krwawych ofiar, ocenić możemy stanowisko i władzę kapłanów w społeczeństwie meksykańskiem. Skoro bogowie domagali się takich obrzędów, jakże kapłani, pośrednicy między niebem a ziemią, nie mieli wrażeń posłuszeństwa i trwogi?

Duchowieństwo meksykańskie było zgromadzeniem pobożnym, licznym i bogatym: tak dalece, że w wielkim kościele w Meksyku, gdzie oddawano cześć wielu bogom, Kortez znalazł czterdzieści przybytków i pięć tysięcy kapłanów. Do każdej świątyni należała pewna ilość gruntów na utrzymanie kapłanów i na koszt wspaniałych obrzędów przeznaczona; kapłani wypuszczali tę zie-

mię w dzierżawę, a dochód z niej i liczne ofiary pobożnych rozdawali na jałmużny. Nie szło im o zbyt kowne życie, lecz o utrzymanie i powiększanie wpływu swojego. Wychowanie młodzieży wyłącznie do nich należało. Surowo przestrzegali karności szkolnej i dobrych obyczajów. Na czele duchowieństwa stało dwóch arcykapłanów wybranych przez monarchę; godność tę otrzymywali najzdolniejsi, bez względu na urodzenie. Po monarchę, dwaj arcykapłani mieli pierwszeństwo nad wszystkimi i nic ważnego nie stanowiono bez zasięgnięcia ich rady.

* * *

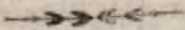
Krótki ten zarys, daje nam poznać, że cywilizacya Meksykanów posunęła się wysoko w niektórych swoich częściach. Wielu może nie zechce uwierzyć temu opisowi, a głównym ich zarzutem będzie terażniejszy stan krajowców, którzy dziś jeszcze w Meksyku składają większą część ludności. Patrząc rzekną, w jakiej ciemności i nędzy pogrążeni są potomkowie owych jak mniemacie wykształconych ludów." Ich dawny i terażniejszy byt, są to dwa udowodnione fakta, a przegląd na wypadki wytłumaczy nam ich różnicę. Jużemy powiedzieli, że bogactwo i oświata były udziałem dwóch klas uprzywilejowanych i bogatych, duchowieństwa i możnych. Te dwie klasy wyginęły w Meksyku skutkiem podboju; został więc lud prosty i cząstka upadłej arystokracji, która się do niego zniżyć musiała. Meksykanie nie mieli ksiązek i pism takich, jak nasze. Ich rękopisma hieroglificznemi i symbolicznemi znakami pisane, służyły do przypominania wypadków albo prawideł moralnych; lecz ten kto je wykladał młodszemu pokoleniu, musiał ich treść i szczegóły mieć w żywej pamięci. Skoro więc spalono rękopisma, wytepio i rozproszono kapłanów, nikt nie pozostał, któryby pospółstwu przypomniął dzieła przodków, ich nauki i umiejętności. Nareszcie, i to jest rzeczą najważniejszą, religia Meksykanów była bałwochwalczą, nie opartą na silnem uczuciu moralności. Ich bogi dopóty były otoczone czią i grozą, dopóki lud wierzył w ich potęgę; lecz gdy ujrzał, jak to pokazuje się w historii

Korteza, że obcy najezdnik stracił posągi bożyszczów, rozbił je i zatopił, że spalił ich świątynie, a za to nie uległ niezwłocznej karze znieważonych bogów; że ani ogień z niebios, ani wzburzone żywioły nie pomściły się za tak ciężką krzywdę, od razu stracił wiarę swoją; uznał, że jakiś Bóg potężniejszy zwyciężył i zniszczył ich bogów, poddał się więc przewadze i ich wiarę przyjął za swoją. Pod panowaniem Hiszpanów upadła dzielność tego ludu, jej miejsce zajęła obojętność, uległość i bojaźń. Żyje pod lepszymi prawami, wyznaje prawdziwą wiarę; lecz nie przyjęła się u niego cywilizacya europejska i jest, a może i przez długie lata będzie ludem odrętwiałym, posępnym i z dnia na dzień żyjącym.

Zapytujemy się, zkąd pochodziła dawna cywilizacya tych ludów? Niepodobna rozstrzygnąć tej kwestyi. Wykazaliśmy ślady biblijnych i chrześcijańskich tradycyj, źle zrozumianych i połączonych z obcym, krwawym i ponurym żywiołem; zamienionych w obrzędy, na które wzdryga się myśl i serce czytelników.

Można zatem przypuścić, że do Meksyku przybyło jakieś plemię z Azji wschodniej przez cieśninę Behringa, albo przez wyspy, od Chin i Japonii aż do brzegów Ameryki obficie rozsiane i to byli owi Toltekwie. Potem, jak tradycya meksykańska świadczy, przyszedł od wschodu, to jest od Europy, lud surowy i krwawy, Aztekami zwany. Mimowolnie nasuwa się na myśl, czy to nie byli niedawno nawróceni na wiarę chrześcijańską Skandynawowie, którzy burzą i prądami morskimi zapędzeni do Ameryki, zmieszali się z plemionami już tam osiadłymi, rozmnożyli się, a pozbawieni przewodnictwa i światła duchownych, przynieśli do Meksyku błędne i aż do materjalizmu i dzikości znizone wspomnienia, które u nich z wiary chrześcijańskiej pozostały. I z takichto sprzecznych żywiołów, utworzyła się ta, na pierwszy rzut myśli niepojęta mieszanina, wzniosłych idei i krwawych ludozerczych ofiar.

(Dalszy ciąg nastąpi).



CYNEGIR.

(WSPOMNIENIE Z CZASÓW STAROŻYTNEJ GRECJI).

Nad Maratonem krwawa gaśnie zorza,
W dolinie, okrzyk!... i z pod kopyt końskich
Wnet brudną falą kurz pędzi do morza,
A za nim pędem Pers z pól maratońskich.
Ha! jak był pyszny, jak w bucie wszechmożny,
Tak skruszał w klęsce! i jak nędznik trwożny,
Gdy strach ślad drogi pilnie za nim śledzi,
Przed siebie tylko błędne rzuca oczy,
Odbiegł wszystkiego prócz hańby... Ta siedzi
Na karku zgiętym i w proch czoło tłoczy...
W bałwanach nurza... ale Pers nikczemny
Nie śmie się ukryć z nią na dno powodzi;
Głowę wyrzuca z wód otchłani ciemnej,
I ciężar życia unosi do łodzi.

— Hej, do Plutona droga z Maratonu!
W morze za Persem, niech walczy do zgonu!
Taki się wykrzyk rozległ w Greków tłumie.
Za krzykiem w morze skacze młodzian z brzegu,
Ręką łódź chwyta i wstrzymuje w biegu.
Ale Pers ginąć, ni walczyć nie umie...
Do mordu gotów, miecz oburącz trzyma,
Tnie w rękę Greka.... upadła, a mściwa.
W śmiertelnych kurczach krwawe fale ima,
Szukając Persa ... Druga jeszcze żywa,
Najtęższą krew swą w grube ścięgna zbiera,
I łodzią zbiega trzęsie jak zła fala;
Lecz i ta mężna w bałwanach umiera
Jako jęj siostra od ramienia zdala....

Tak rozbrojony Grek z swych ramion obu,
Ostatnią bronią jeszcze zemstę zgrzyta;
Ostatnim zębem za łódź Persa chwyta
I ciągnie z sobą na dno wód do grobu.

Nurza się... całun już ją skryć ma wodny ...
 Gdy wtém Pers Greka tnie w czoło szlachetne,
 I krzyk tryumfu wydaje niegodny!
 Plusnęło morze... wkoło fale setne
 Zadręgały jękiem i fala go fali
 Podaje głucho do nieskończoności.
 I nieskończoność wnet się szumem żali,
 Niańcząc jak matka, w śmiertelnej bladości,
 Na krwawej tarczy ułożone ciało.
 W czułych objęciach jeszcze raz zadręgało,
 I z ocz mdlejących Persowi za gońce,
 Z zemstą na wieczność szle ostatnie błyski...
 I tak je fala kładzie do kołyski,
 I tak zagasta Maratonu słońce,
 W krwawych bałwanach z zachodzącém razem,
 I tak znów weszło na firmament czasów!

O! Cynegirze, nie zbrojny żelazem!
 Bez rąk szlachetnych do jawnych zapasów!
 Bez ramion dzielnych, zdolnych zachwiać dębem!
 Niezbrojny niczem, nawet kruchym zębem!
 O! bezbronniejszy nad spowite dziecko,
 Bo bez tchu w piersiach, mężu ty! ty przecie
 Potężnym jesteś twojej chwały mocą.
 Słabe w niej dusze wiją się i poca...
 Razi ich wielkość, a na owe drżące
 Nędznych, co w sobie shańbili człowieka,
 Blask krwi twój mężnej skier sypiąc tysiące,
 Znamię wyrodków ludzkości wypieka...
 Błogo nim dysze tylko zacne serce!
 Jako feniksa piskłę wygłodniałe,
 Święty ze-ń ogień pije po iskierce
 I w moc podrasta, na twą cnoto chwałę!

S. G.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Posiedzenie doroczne akademii nauk moralnych i politycznych. Rapport z rozdanych nagród i zadanych przedmiotów do nowego konkursu. Odczyt pana Mignet o życiu i pismach Macaulay'a. — „Żywot Wiktora Hugo opowiedziany przez naocznego świadka.” — „Ludwik XI” tragedia Kazimierza Delavigne. — Rapport dyrektora muzeów cesarskich. — Wiadomości literackie.

Najmłodsza z pięciu córek instytutu francuzkiego, akademii nauk moralnych i politycznych, coraz wyraźniej na prawo starszeństwa zasługuje; jej posiedzenie (13 czerwca) było bardzo zajmujące.

Podczas kiedy akademii francuzka przeobraża się w klub arystokratyczny; akademii nauk zabawia zbieraniem materyałów do biografii przedpotopowego człowieka; kiedy akademii sztuk pięknych nadwierzona sława nie może z zarzutów się otrząsnąć; kiedy akademii napisów wyłącznie zajęta ludami, które zamieszkiwały Indye i Chiny przed stworzeniem świata: akademii nauk społecznych sama jedna żyje w terażniejszości, troszczy się o potrzeby naszej epoki, użyteczną stroną erudycyi bada: od przeszłości żąda tylko przestrog dla przyszłości. Wszystkie najważniejsze zadania tegoczesne w jej konkursach podane do rozwiązania, figurują opatrzone powabną nagrodą pieniężną; a jeżeli często wyzwanie zostaje bez skutku, jeżeli pytanie niedostateczną odbiera odpowiedź, to wina leniwego umysłu pisarzy, nie zaś jej niepoślizliwości lub ciasnoty jej programów.

O ile cztery poprzednie gałęzie instytutu nienawidzą nowych pomysłów, o tyle ta piąta skwapliwie je chwytą, bada i wieńczy plody głów młodych, ilekroć ujrzy w nich choćby najmniejszy promyczek wyższego światła.

Polityka, administracja, finanse, prawodawstwo, filozofia, ekonomia społeczna, przemysł, historia, moralność, wszystko to rzeczy, na które akademia usiłuje zwrócić uwagę badawczych umysłów. W jej zadaniach przedmiot żywotny istnieje nawet pod osłoną historii dawniej: tak naprzykład teraz, kwestya władzy doczesnej pocichu weszła do konkursu na rok 1865 z nagłówkiem: „Badania ustaw Filipa Pięknego”.

Ważna kwestya centralizacyi dotkniętą była w zadaniu: „Wykazać przyczyny i skutki wielkiego nagromadzenia ludności”. Autor memoriału p. Mercier dowodzi, że *stolice*, rzecz nieznaną u Greków, powstały dopiero w ostatnich wiekach rzymskiej potęgi. W czasach nowożytnych pomysł stolicy nie jawi się ani we Włoszech, ani w Niemczech, ani w Niderlandach. Zachodzi tedy pytanie, czy zgromadzenie miliona lub dwóch milionów ludzi w obrębie jednego miasta, jest postępem? Czy nie jest raczej cofnięciem się do olbrzymich stolic assyryjskich? Czy nie nazbyt przypomina miasta chińskie? Czy takie rozłożenie ludności nie jest w istocie tém, czém je nazwał Lamennais: „*l'appoplexie au centre et la paralysie aux extrémités*”. Czy przy takim układzie dobry byt i swoboda są możebne?

Interpelowany przez akademią autor kończy tém, że jakkolwiek być może charakter nowych stolic utworzonych pod wpływem cywilizacyi nowoczesnej, faktem jest, że w całym pasmie minionych wieków były one społeczne ciemnocie i tyranii: kiedy przeciwnie, wolność, nauki, sztuki i byt dobry zawsze szły w parze z rozdrobieniem posiadłości, najbujniej krzewiły się w małych królestwach i małych rzeczachpospolitych.

Zbadanie przyczyn i skutków wielkiego napływu ludności na punkt jeden, było może najważniejszym przedmiotem tegorocznego konkursu akademii nauk moralnych i politycznych. Pan Mercier nie wyczerpał go do dna, dlatego tylko zaszczytną wzmiankę otrzymał.

Zadanie nadal pozostało. Inne przedmioty nagrodzone i zadane do konkursów przyszłych, są następujące:

W wydziale filozoficznym: „Określić rolę psychologii w filozofii”. Nagroda przeznaczona za rozwiązanie tego zadania (1,500 fr.) została podzieloną pomiędzy pana Nourrisson profesora logiki i pana Maurial profesora filozofii.

W wydziale prawniczym zadano: „Badać ze stanowiska filozoficznego i moralnego, jaki jest wpływ kar na umysł, czucie i obyczaje tych, przeciw którym są wymierzone”. Nagroda 2,500 franków przeznaczona temu, kto powyższy przedmiot wyczerpie, nie została nikomu przyznana; otrzymali tylko jako zachętę, w tysiąco-frankowych medalach pp. Tissot literat i Grindon adwokat z Lyonu.

W wydziale ekonomii politycznej i statystyki, przedmiotem do nagrody była rozprawa o pożyczaniu na procent: „Skreślić historią pożyczki procentowej, mianowicie w początkach wieków średnich, wskazać i ocenić wyniki praw i rozporządzeń, które rozmaitemi czasy uprawniały ją lub upoważniały”. Nagroda 3,000 franków podzielona na dwie części, dostała się panom Batbie profesorowi prawa i Mallard adwokatowi. Prace ich mają być znakomite.

Drugie zadanie tegoż wydziału, było: „Zbadanie przyczyn i skutków wielkiego nagromadzenia ludności, wykazanie skutków, jakie takowe wywiera na dolę rozmaitych class społecznych”.

W wydziale historii powszechnej i filozofii, przedmiot do nagrody był następujący:

„Wykazać z pomocą dokumentów drukowanych i nie-drukowanych, początki francuzkich zakładów w Indyach wschodnich; opisać ich postęp i wskazać przyczyny ich upadku aż do chwili ustalenia przewagi angielskiej, oznaczając udział, jaki brały w ich wzroście i upadku, państwo, kompanie i współzawodnictwo osobiste”.

Na powyższe pytania odpowiedział były uczeń szkoły politechnicznej pan Herman, i otrzymał nagrodę 1,500 franków.

Drugi przedmiot do konkursu tegoż wydziału był następujący: „Wymienić zmiany zaprowadzone lub zamierzone, za panowania Karola VII w podatkowaniu, administracyi, organizacyi wojska i stosunkach państwa z kościołem; oraz wykazać, jaki w tych zmianach brała udział szlachta, duchowieństwo i stan średni”.

Nagrodę za rozwiązanie powyższego zadania (2,500) otrzymał professor Vallet.

W wydziale polityki, administracyi i finansów, podany przedmiot był: „O podatku przed 1789 rokiem i od téj epoki”. Nagrody (1,500) nikt nie otrzymał; pan Genest dostał tylko 500 fr. za swój memoriał.

Nagrodę pięcioletnią 5,000 fr. ustanowioną przez p. Beaujour, otrzymał pan Batbie za opracowanie następującego przedmiotu:

„Instytucye kredytowe. Sposoby kredytu, ich stosunek z pracą i dobrym bytem klasy niezamożnej. Wskazać ułatwienia sposobów kredytu, mianowicie lombardu, banku szkockiego i banków kredytowych pruskich (*Vorschussbanken*)”.

Za opracowanie tegoż przedmiotu nagrodę pięcioletnią 2,000 fr. fundatora Morogues, rozdzielono pomiędzy prefekta de la Nièvre i urzędnika prefektury p. Laurent.

Bardzo zaszczytną wzmiankę otrzymał Alfons Feillet za książkę p. t. „Nędza za czasów Frondy i św. Wincenty à Paulo” (o której donosiliśmy czytelnikom).

Nagrodę Leona Faucher (3,000 fr.), której przedmiotem była „Historya handlowa związku hanzeatycznego” otrzymał prawnik Worms.

Główne przedmioty nagród na rok 1863, 1864, 1865, 1866 i 1867, są następujące:

Wydział filozoficzny. Przedmiot na rok 1863: „Badania filozofii Malebranch'a”. (Nagroda 1,500 franków).

Wydział moralności. Przedmiot na rok 1863: „Wykazać zmiany zaszłe we Francyi od czasu rewolucyi 1789 roku w warunkach materyalnych i oświeceniu klasy robotczej”. (Nagroda 1,500 fr.). Drugie zadanie tegoż wydziału: „Rozbiór rozprawy Cyncerona o Obowiązках”. (Nagroda 1,500 fr.).

Wydział prawodawczy. Przedmiot na rok 1863: „Zasięgnąć w historii i tradycjach handlu, początków i rozwoju walorów i obiegu akcyj. Wskazać, czy ten sposób negocjacyj dobrze czy źle wpływa na kredyt państwa i ruch interesów”. (Nagroda 1,500 fr.).

Wydział historii powszechnej i filozofii. Przedmiot na rok 1864:

„Zbadać charakter i dążność ustaw prawodawczych, politycznych, administracyjnych i wojskowych, Filipa IV, zwanego *Pięknym*. Jaki był wpływ tych ustaw na losy Francji? które zamiary rozwijano dalej, a które zniweczone zostały za panowania jego synów”? (Nagroda 1500 fr.).

Wydział polityki, administracji i finansów. Przedmiot na rok 1865: „O kontroli w skarbowości, przychodach i rozchodach publicznych”. Drugi przedmiot tegoż wydziału, na rok 1865: „Porównać organizacją administracyj departamentalnych i gminnych francuzkich z organizacją istniejącą w hrabstwach i parafiach angielskich. Dać poznać skład tych administracyj, a mianowicie administracye zakładów miłosiernych. Wskazać przychody i wydatki tych administracyj w obu krajach”. (Za oba przedmioty po 1,500 fr. nagrody).

Przedmiotem pięcioletniej nagrody p. Beaujon (5,000 fr.) na rok 1867, jest: „Wykazać wpływ wychowania na moralność i dobry byt klasy roboczej”.

Druga nagroda dwuletnia pana Morogues dana będzie w r. 1868 za dzieło: „O stanie pauperyzmu we Francji i sposobach zaradzenia nędzy”.

Nagroda Bordin'a w każdym wydziale rozdaną będzie, jak następuje:

I. Wydział filozofii. „Filozofia św. Augustyna, jej źródła, charakter, zasługi i błędy; jej wpływ, mianowicie w XVII wieku. (Nagroda 2,000 fr. w roku 1864).

II. Wydział moralności. „O powszechności zasad moralnych”. (Nagroda 2,500 fr. w r. 1865).

III. Wydział prawodawczy. „Wskazać reformy poczynione na skutek rozporządzeń z sierpnia 1539 roku, w procedurze kryminalnej. Wyłuszczyć zastosowania tych reform w XVI wieku”. (Nagroda 2,500 fr. w roku 1866).

IV. Wydział polityczny: „Oznaczyć wiadomości pożyteczne administratorom wychowania publicznego. Wy-studyować rozwój francuzkich zakładów przygotowawczych do nauki prawa i niektórych specjalności administracyj publicznych. Porównać je z istniejącymi w Niemczech. Wskazać ulepszenia”. (Nagroda 2,500 fr. w r. 1864).

Nagroda Leona Faucher (3,000 fr.) przyznawana co trzy lata za najlepszy memoriał ekonomii politycznej, będzie daną w roku 1866 za „Życiorys i ocenę pracy Piotra Le Pesant de Boisguillebert”.

Nagrodę Halphen'a (1,500 fr.) otrzyma w 1863 roku: „Dzieło, które się najwięcej przyczyni do postępu wychowania elementarnego”.

Nagroda pana Stassart (3,000 fr.) przeznaczona za pochwałę wskazanego przez akademią moralisty, lub jaki przedmiot moralny, będzie daną po raz pierwszy w roku 1866 za przedmiot następujący: „Wykazać, jaki był w początku XVII wieku stan moralny i materyalny ludności rolniczój we Francyi i Anglii. Jaką w tych obu krajach od owego czasu obmysłono pomoc dla téjże ludności? Wskazać w stanie obecnym Francyi i Anglii, braki istniejące w ustawach mających na celu wspieranie i oświecanie ludu wiejskiego”.

Znakomity odczyt pana Mignet stanowił główny powab posiedzenia 13 czerwea, była to rozprawa historyczna o życiu i pracach lorda Macaulay'a, zagranicznego członka akademii, zmarłego 28 grudnia 1859.

Przedmiot obrany przez sekretarza wieczystego, nie zalecał się surowością: z obcych dziejopisów Macaulay najlepiej jest znany we Francyi; każdy literat poczytywał sobie za obowiązek powiedzieć słów kilka o autorze *Historji Anglii za panowania Wilhelma IIIgo*. Słuchano przecież z wielkiem zajęciem wymownego Migneta: każdy był ciekawy, jak téż znakomity pisarz angielski zostanie oceniony przez pisarza francuzkiego, podobnego doń z miar wielu. Mignet słusznie uważany jest za francuzkiego Macaulay'a: teorye jego o sposobie pisania historyi są takież same jak albiońskiego kolegi; jego szkice historyczne przypominają bardzo te, które Macaulay ogłaszał w prze-

gładach i dziennikach angielskich, zanim wziął się do pisanja historii. Ostatni szkic Migneta do najlepszych jego monografij policzony zostanie. *Notice sur Macaulay* takim otwiera się wstępem:

„Wielki dziejopis, o którym mówić wam będę dzisiaj, zjawił się w roku rozpoczynającym poniekąd wieki historii. Przyszedł on na świat, kiedy właśnie poczęła się rozwijać era obfita w pamiętne wypadki i ogromne obrazy mogące uderzyć wyobraźnią, a odsłaniając teraźniejszość, odkryć głębokie znaczenie przeszłości.

„Przeobrażenie pojęć ludzkich pociągnęło zmianę w doli ludów, stworzyło dwa stany społeczne: jeden zakorzeniony w odległych wiekach, w których panem był silniejszy; drugi goniący za wyższą sprawiedliwością, dostrzeżoną w przyszłości. Straszne wstrząśnienia ztąd wynikły. Europa cała w konwulsjach, zwalająca lub podnosząca trony, przerabiająca swe ustawy; cały ład stały zajęty przez zdobywcę, którego geniusz obłąkała namiętność. Podczas kiedy ten zdobywca wyszły z rewolucyi ludowej, zwałął tęgiemi razy stary porządek świata, rząd arystokratyczny podpierał go środkami silniejszymi niż wojska, ze stałością polityczną, która miała zwyciężyć zręczność wojskową. Krótko mówiąc, wszystko co się stało za dni naszych w oczach dziejopisów, musiało im rozjaśnić wszystkie historyczne widownie. Natchnieni wielkim widokiem, mogli zarazem nabyć dokładnej znajomości faktów i oddać silnie, wielkie sceny jakie się odgrywały na teatrze świata. Zręcznie ożywione i mądrze osądzone pokolenia dawne, wstały z grobu ku nauce teraźniejszych pokoleń.

„Tak począł historją, świetny pisarz głęboko wtajemniczony w dawne czasy i kraj, który wskrzesił z dramatyczną dokładnością, polityk sądem, malarz kolorytem, poeta sztuką, Macaulay, któregoście poznali w pełni sławy, a którego szlachetne życie i wiekopomne prace przypomną wam dzieje.”

Po takim wstępie p. Mignet przystąpił do biografii, pokazał Macaulay'a 1800 roku, tam gdzie się urodził: w starym gmachu Templaryuszów o trzydziestu oknach z frontu, i kaplicą z boku, położonym na skraju malowniczego lasu Charnwood, gmachu, gdzie przechowywano

szacowne szczątki dawnych czasów, hełmy średniowiecznych rycerzy, puklerze i oręż, które wyjęto z pochw w roku 1588, kiedy się zbrojono na odpieranie zamierzonej inwazyi Filipa IIgo.

Wspomnienia dziecinne są najpowabniejsze w życiu ludzi wyższych: miło odgadywać w pięcioletniem dziecku lub studenciku, przyszłego męża — najmniejszy szczegół jego igraszek zajmuje. Mignet też rozwodził się szeroko nad *wczesnością* Macaulay'a, nad jego ciekawością i nadzwyczajną pamięcią. *Tysiąc nocy* były jego najmilszą lekturą: umiał je prawie na pamięć, żywą też miał niezmiernie wyobraźnią, głowę zawsze pełną pomysłów i zdolności rozmaitych, nawet poetyckich. W jedenastym roku życia już pisał sonety, oraz polityczne i historyczne rozprawy.

Dalej Mignet opowiadał powodzenie Macaulaya na uniwersytecie w Cambridge, gdzie pozostawał lat sześć. Następnie, jedyne jego niepowodzenie przed kratkami, gdzie tylko jednej sprawy bronił, poczem porzucił rzemiosło adwokata i oddał się literaturze.

Po ogłoszeniu kilku artykułów w Quarterly Magazine, zaczął drukować w Przeglądzie Edimburskim swoje obszernie studia Milтона, Machiavela, Bacona, dwóch Pitotów, Addison'a, Walpoła i innych znakomitych mężów Anglii. Z literackiego pola wszedł na polityczne, w chwili kiedy whigowie mieli obalić odwieczną przewagę torysów. Zasiadłszy w izbie Macaulay wziął czynny udział w dyskusyi bilu reformy. Pięć mów powiedzianych z tej okazji, postawiły go w rzędzie wielkich mowców. Mignet tak o wymowie jego i powierzchowności się wyraża: „Żywo przystępował do przedmiotu i natychmiast go owładał. W krótkich czy długich okresach, nie pomijał nic co wyluszczyć należało, ani się gmatwał w zbyt obszernych wywodach, nie nadużywał nigdy ani przytaczanej historyi, ani wymowy której pewne wymierzał razy. Mowy jego pilnie studyowane, zdają się poczęte w chwili kiedy przemawiał: mają doskonałość opracowania i ruch improwizacji, elegancją namysłu i swobodę niespodzianki.

„Nie posiadając powierzchownych zalet mówcy, Macaulay wywierał ogromne wrażenie swoją wymową:

wszyscy się na to zgadzają. Na silnym korpusie spoczywała potężna i wyrazista jego głowa; nogi nieruchome stały jak przykute do ziemi; lewą rękę zakładał w tył, a prawą dobitnie wtorował słowom. W tej surowej postawie, tonem poważnym rozpoczynał kwieciste i ogniste mowy, w końcu porywające wszystkich słuchaczy wartkim potokiem silnych myśli, zręcznych uwag, uczuć szlachetnych, rozumowań ścisłych i jaskrawych obrazów."

Mowy parlamentarne Macaulaya wydane w jednym tomie, nie w czytaniu nie tracą: piękną jest mianowicie, jego rozprawa o emancypacji żydów, gdzie się domaga, żeby dobrodziejstwa równości politycznej rozciągnięto do wszystkich, żeby nie było poddanego angielskiego, któryby nie był angielskim obywatelem. Wszystkie mowy Macaulaya, które sztuka zrobiła dziełami literackimi, powiada Mignet, przeżyją okoliczności, które je natchnęły i czasy, które je wydały, wieczną pięknnością języka i wiecznym czarem wymowy".

W 1834 roku Macaulay opuścił krzesło w parlamencie, został piątym członkiem rady najwyższej Indyi, i pojechał nadać stu pięćdziesięciu milionom dusz podległych Kompanii indyjskiej, kodex jednolity. Pierwszym jego czynem po przybyciu do Kalkuty było, powiada Mignet: „dać zupełną wolność druku”.

Kodex ułożony przez Macaulaya, przyjęty przez gubernatora i radę najwyższą Indyi, potwierdzony w trzech prezydenturach: Kalkucie, Madras i Bombay, jest znakomitą pracą prawodawczą. Dziś przyjęty za prawo obowiązujące w posiadłościach angielskich, na ostatecznych krańcach Wschodu, nasługuje tam cywilizacyi i sprawiedliwości, dobru Indyi i honorowi Anglii.

Ważne zajęcia nie przeszkadzały indyjskiemu prawodawcy zajmować się literaturą a nawet poezją. Macaulay pisał rozmaitego rodzaju wiersze: to opisywał poetycznie rzeczywistość, to układał fantastyczne ballady, to składał uszczypliwie wierszyki polityczne. Rymowane swoje płody puszczał zazwyczaj w świat bez podpisu. „Pewnego razu, powiada Mignet, na śniadaniu u poety Rogers'a, zebrało się kilkunastu literatów; między innymi prócz Macaulaya, byli Moore i Campbell.

Ten ostatni zaczął mówić o ślicznym wierszyku, który ukazał się w *Timesie*:—Muszisz pan, rzekł zwracając się do Moora, znać te wiersze?—Nie jestem ich autorem, odparł Moor.—Powszechnie ci je przypisują...—Nie są moje, dodał zapytany. Wtedy Macaulay rzekł:—Moje są, i wyrecytował je obecnym. Moor zaczął wnet mówić o innych wierszach, zdaniem jego wyższych, a wymierzonych przeciw kandydaturze Jana Bankes:—autora szukam na próżno, powiedział, kończąc pochwałę.—Są także moje, rzekł Macaulay. „Odkryliśmy tym sposobem, pisze Moor w swoich pamiętnikach, nową i potężną zdolność, która w Macaulayu łączyła się z mnogimi znanymi nam talentami”.

Dalej Mignet opisywał zawód polityczny Macaulaya po powrocie z Indyi, gdzie przebywał cztery lata: powtórne jego wejście do parlamentu w roku 1839. Był dwa razy ministrem pod lordem Melbourne i lordem John Russell. Jednym z najzaszczytniejszych jego czynów jest popieranie dotacyi szkoły katolickiej irlandzkiej w Maynooth. Stanowisko, jakie zajął w tej sprawie, sprawiło, iż utracił krzesło w parlamencie: na obiorach powszechnych 1847 roku w Edimburgu, nietolerancja protestancka odrzuciła go. „Ta przegrana, powiada Mignet, pociągnęła za sobą nieśmiertelne skutki: Macaulay nie odwrócił już oczu od historyi”.

W ciągu dwóch lat wydał dwa pierwsze tomy dzieł Anglii, będące epopeją wolności Wielkiej Brytanii. Mignet rozbiera skreślony przez Macaulaya obraz Anglii w czasach poprzedzających wiek XVII i rewolucyą 1660 roku; poczem analizuje następne tomy. Rozbiór ten zamknął następującą uwagą:

„Powodzenie jego dzieła dorównało wartości. Było ono nadzwyczajne. W ciągu półrocznej publikacyi miało w Londynie pięć wydań, a sprzedano go przeszło 18,000 egzemplarzy. W Stanach, wtedy Zjednoczonych Ameryki, odbito pare stereotypowych edycyj: z jednej z nich wydanej w Filadelfii, rozkupiono w kilka dni 25,000 egzemplarzy”.

Długie studyum swoje Mignet zakończył temi słowy:

...„Macaulay był wierną i roztropną podporą wolności, której żądał dla wszystkich; był obrońcą wytrwałym i nieugiętym sprawiedliwości, której domagał się pod wszelkim kształtem; był wspaniałomyślnym przyjacielem całej ludzkości. Ani w parlamencie, jako mówca, ani w Indiach jako prawodawca, ani w radzie jako minister, ani w wyrokach historycznych jako sędzia, nie poświęcił nigdy słusznego prawa; w żadnym starciu nie opuścił sprawiedliwości; pod żadnym pozorem nie wydał słuszości na pastwę interesu. Mowy jego równie jak czyny, myśli równie jak całe życie, świadczą o szlachetności jego duszy i wysokości umysłu. Jako człowiek posiadał wielkie powaby, jako pisarz dary ogromne! jako historyk mógł być dać jeszcze wiele nauk wzniosłych krajowi i światu.. Niestety! znikł smutnej nocy 28 grudnia 1859 roku, zostawiając nieśmiertelne imię i dzieła”.

Powszechność żywemi oklaskami dziękowała panu Mignet za jego studyum, uważając słusznie, że jeżeli człowiek do wielkiego talentu dołączy wielki charakter, tak jak Macaulay, życie jego nie mniej jest zajmujące jak dzieła, a może więcej: księgi jego są wzorem dla niektórych, jego żywot zbawienną nauką dla wszystkich.

Oddawna zapowiadany i zaciekawiający publiczność francuzką „*Żywot Wiktora Hugo, opowiedziany przez naocznego świadka*” wyszedł z druku 17 czerwca. Dwu tomowe to dzieło zająć może każdego, komu geniusz i charakter wielkiego poety Francyi nie obojętny; ciekawość znajdzie także obfitą strawę w tém życiu, które niepospolitą toczyło się koleją. Same listy, wiersze, powiastki i nieznany dramat dołączony do biografii, stanowiłyby już dostateczny powab téj relacji, będącej kluczem do zupełnego zbioru dzieł Hugona.

Prócz tych bogactw wyjętych ze skarbca poety, są wielkie bogactwa uczucia w opowiadaniu świadka, skreślone ze szczerą prostotą, która jest rękojmnią prawdy. Francuzi dowiedzą się nareszcie co to za człowiek ten poeta, którego wiersze umieją na pamięć; dowiedzą się jego pochodzenia, kto byli jego rodzice? jakie ich domo-

we życie? jakie wychowanie dawali synom? jakie było pierwsze na świat wystąpienie Wiktora Hugo? jego stosunki z Chateaubriandem, Lamartinem, Lamennaim, który był jego spowiednikiem, i ze wszystkimi znakomościami owego czasu. Wszystko to się przesuwają w książce świadka, ożywione pamięcią serca: poznać tam można syna, męża, ojca, przyjaciela, a nawet pisarza, bo dobrze rozumieć go niepodobna nie znając człowieka. Mając przed oczyma całe pokolenie myśli Hugona, widząc co wchodziło w jego życie, widzisz co weszło w dzieła. Mianowicie *Nędzarze* stają się zrozumialszemi, po dowiedzeniu się ile osobistej rzeczywistości autor wmieszał w młodość Mariusza.

Biografia Wiktora Hugo jest historią literacką i polityczną wieku XIXgo we Francyi. Od kolebki wmieszany w straszliwe wypadki, które wstrząsały krajem: był w Hiszpanii, kiedy gerylasy straszliwy stawili opór zaborowi francuzkiemu; był w Paryżu, kiedy wojska sprzymierzone obozowały na ulicach... Rewolucya lipcowa blokowała go w jego domu na polach Elizejskich; rewolucya lutowa przez jego przemawiała usta. W literaturze był uosobioną rewolucją. Przedstawienia jego dramatów, wyjścia na świat książek, stanowią epoki w piśmiennictwie francuzkiem. Cała sztuka była zaatakowana w sławnych walkach zwanych *Hernani*, *Lukrecya*, *Ruy Blas*, *Burgrafowie* i t. d.; cała młodzież wtedy walczyła za Hugona, wiedząc że za nią Hugo zwycięży.

W staro niemieckiej mowie, wyraz *Hugo* odpowiada wyrazowi łacińskiemu *spiritus*, technienie, duch, dusza. Wiktor Faneau de la Horie trzymał do chrztu Wiktora Hugo; od niego to poeta dostał to imię wyroczone *Wiktorra*, które w połączeniu z nazwiskiem, czy je poprzedza, czy za niem idzie, inaczej nie da się wytłumaczyć jak temi słowy: duch zwycięzki, dusza mężna, technienie zwycięzkie.

Wiktor Hugo urodził się 26 marca 1803 r. Gdzie? Jak? W jakich warunkach? Odpowiedź na te trzy pytania znajdujemy na pierwszej karcie „*Liści Jesiennych*” przez samego poetę napisaną w kilkunastu wierszach,

które wolimy tu przytoczyć, niż też samą relacją obszernie prozą skreśloną, przez świadka jego życia:

Nasz wiek liczył dwa lata: Rzym zastąpił Spartę.
 Już się w Napoleona zmieniał Bonaparte,
 I czołem cesarskiego bliskiem majestatu,
 Już rozkruszał zaciśniętą maskę konsulatu.
 W Bezanson, wśród Kantabrow starożytnych grodu,
 Dziecię, pół z Lotaryngów, pół z Bretonów rodu,
 Rzucone na igrzysko szyderczego losu,
 Przyszło na świat, bez ruchu, bez krwi i bez głosu;
 Z wątkiem istnienia, słabszym od pajęczej siatki,
 Tak, iż go porzucili wszyscy, oprócz matki,
 Która czując się słabą, prawie śmierci bliską.
 Kazala dlań trumienkę przynieść, wraz z kołyską;
 Tém dziecięciem gasnącém w pierwszej życia chwili,
 Co mu dnia jutrzejszego nawet nie wróżyli,
 Ja byłem,...

Tę ukochaną matkę, której dwa razy zawdzięcza życie, Hugo stracił nie mając lat dwudziestu. Wtedy uczuł się tak okropnie samotny na świecie, życie takim ciężarem mu się stało, że nie namyślając się długo, poszedł prosić pana Foucher, żeby mu dał swoją córkę za żonę (1). Autor biografii, osobny rozdział poświęcił temu ustępowi życia Hugona. Pod napisem *Małżeństwo*, opowiada jaki przed ożenieniem był stan duszy poety i jego pozycja socjalna.

Ojciec, generał Hugo ofiarował synom swoim Abłowi i Wiktorowi, roczną pensją, jeżeli się wezmą do rzemiosła pożywniejszego jak literatura. Wiktor odmówił, został oddany własnemu przemysłowi. Cały kapitał jego składał się z ośmiuset franków pochodzących ze sprzedaży kilku publikacyj. Z tym skromnym majątkiem rzucił się w nieznaną przyszłość. Życie jego zewnętrzne było już dość świetne: poszukiwały go znakomitości stolicy, zapraszano go wszędzie. Ale czcze

(1) Piotr Foucher urzędnik w Radzie wojennej, był przyjacielem generała Hugo. Ożenili się obaj jednego dnia. Przy biesiadnym stole Hugo napelniwszy kielich, rzekł: „Przyjacielu, miej córkę, ja będę miał syna i pożenimy ich razem. Piję za zdrowie tego przyszłego małżeństwa!” Jak powiedział, tak się stało: syn jego Wiktor ożenił się z panną Adelą Foucher.

życie salonów nie mogło wypełnić wielkiego, osierociałego serca. Chciał więc pojąć żonę: nie posiadał atoli nic prócz odwagi i serca tej, którą kochał; rodzice więc panny przez wzgląd na nich oboje, odłożyli małżeństwo do czasu, w którym pozycya materyalna Hugona będzie trochę lepsza.

Czekanie było długie i ciężkie: Wiktor Hugo z początku gorzko narzeka w listach swoich na nieszczęsność współzawodników nie mogących znieść jego rosnącej sławy. W jednym z listów do przyjaciela mówi: „Szatan mnie rzucił na tę drogę, gdzie co krok spotykam głuche zawisci i rywalizacye podle. Wstydzę się za literatów, rzecz obrzydliwa widzieć się co dzień wystawionym na nowe zasadzki nieprzyjaciół po większej części nie znanych. Chciałbym wzbudzić szacunek dla szlachetnej i wielkiej professyi literata, ale muszę wyznać, że w niej czynić można studyum wszelkich podłości ludzkich. Jestto pewien rodzaj bagna, w które trzeba się zanurzyć, jeżeli się niema skrzydeł, któreby unosiły po nad niem. Nie mając skrzydeł talentu, odosobniłem się charakterem nieugiętym; nie raz śmiech mnie bierze, kiedy widzę jak mi szkodzić usiłują... częściej jednak, na mój wstyd powiedzieć to muszę: gniewam się”.

Przebywszy ten peryod drażliwości, który nie każdy przebywa ażeby iść wyżej, Hugo zupełnie zmienił się w tym względzie. Zczasem, wyrobił w sobie owe pobłażanie wzniosłe, z którego później wysnuł swoją *Modlitwę dla wszystkich*, i cały teatr.

„Ktoby wszystko zrozumiał, wszystkoby przebaczył” powiedział Milton: tak się stało z Wiktorem Hugo. Skutkiem ciągłej walki z miłością własną, wzbiwszy się po nad niziny próżności i trzęsawiska gniewu, temi słowy maluje stan swojego ducha przyjacielowi:

„Nie wyobrazisz sobie, jak niezmierną życzliwością otaczam wszystkich braci moich w ludzkości. Wyuczyłem się szukać w wyrządzonej mi krzywdzie powodu, który popchnął do tego. Skoro go dopatrzę, chwilowy gniew mój zmienia się w głęboką litość; często mi się nawet zdarza wyszukać chwalebna zasadę w źródle złego uczynku.

W tedy pojmujesz, że niema zasługi pocieszać się po wyrażonej nam niesprawiedliwości i przebaczyć takową”.

W listach z téj epoki pisanych do narzeczonej, znajdujemy piękną definicyą poezyi i miłości.

„Poezya, powiada Hugo, jest wyrazem cnoty; prawdziwie wzniosły dar poetycki jest zawsze mową pięknej duszy: poezya z niéj tylko płynie, mogąc się objawić tak dobrze pięknym czynem jak pięknym wierszem. Rytmu nie są poezya: one są w myśli, a ta z ducha idzie: rytmy to tylko wykwiłtne fałdy na piękném ciele. Poezya może mówić prozą, wdzięczniejszą staje się tylko, skoro ją wiersz wydzwoni lub majestatycznie wypowie. Z poezyi duszy płynie natchnienie wszystkich szlachetnych czynów, równie jak pism podniosłych. Poeta nieuczciwy człowiek, daleko jest niższy i występniejszy od nieuczonego człowieka, który nie jest poetą.”

Dziwna! jak podobny bywa sąd wieszczów natchnionych.

„Poezyo! woła autor *Irydiona*, błogosławiony ten, w którym zamieszkałaś, jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidziany w każdej części jego okazały i wielki pan, przed którym uniżają się stworzenia i mówią: „On jest tutaj.” Taki cię będzie nosił, gdyby gwiazdę na czole swoim, a nie oddali się od ciebie przepaścią słowa. On będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich, a kto ci się nie dochowa, kto zdradzi, wyda na marną rozkosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę, odwrócisz się od niego, a on zwiędłemi bawić się będzie przez całe życie.”

„Poezya jest wyrazem cnoty. Najpodlejszy z ludzi ten, kto mając ją w sobie, jéj się przენiewierzy.” Definicja Hugona nie jestże treścią poetycznie wypowiedzianéj definicyi Zygmunta?

Definicja miłości, którą znajdujemy w liście do narzeczonej, równie wysoka. „Jest w nas istota nieśmiertelna, której ciało nasze jest wygnaniem. Ta istota czysta, lepszéj natury, to dusza nasza; dusza, matką wszelakiego zapalu i wszelkiego przywiązania, dusza, która pojmuje Boga i niebo. Ta dusza, tak wyższa od ciała, z którym jest związana, pozostawałaby na ziemi w odosobnieniu nie-

znośném, gdyby jój nie było wolno wybrać z pośród dusz innych, towarzyszkę zdolną z nią dzielić nieszczęście w tém życiu i szczęście wieczności. Skoro dwie dusze, które tak szukały siebie w tłumie, znajdują się nakoniec, skoro poznają iż się rozumieją, że są sobie podobne, natenczas pomiędzy nimi nastaje związek wieczny, gorący i czysty jak one, związek który zaczepia się na ziemi, żeby nieskończyć się w niebie. To połączenie jest miłością prawdziwą, taką jaką bardzo mało ludzi pojmuje, miłością która ubóstwia ukochaną istotę, żyje poświęceniem i zapałem, największe ofiary uważając za najslodsze rozkosze. Miłość w znaczeniu tego słowa boskiem, podnosi wszystkie uczucia po nad nędzną sferę ludzką: wówczas człowiek przywiązany jest do anioła, który go nieustannie ku niebu unosi."

Interesa materyalne, od których pomyslnego obrotu zależało małżeństwo Wiktora Hugo, nie szły wedle jego życzeń. Obietnice, na które liczył, nie przychodziły do skutku; nieprzewidziane przeszkody odpychały go od nieprzewidzianego celu. Literatura nie była mu pociechą; przeciwnie, wraz z rosnącą sławą, na coraz dotkliwsze wystawiała go pociski. Niedostatek uciskał także nie mało człowieka należącego do rzędu tych, co to rodzą się jak lilija Pisma, żeby nie praść i nie pracować, a być przecież wspaniałej ubrani, niż Salomon w swój chwale.

Pośród wszystkich tych dolegliwości, udręczeń i przeszkód, nadziei i niepewności, jedno tylko uczucie pozostało stale niezmiennie w młodej duszy poety: niezłomna wola dojścia do szczęścia i mienia, jedynie za pomocą środków godziwych: *zasłużyć* na szczęście tyleż pragnął, ile otrzymać je pożądał.

W następującym liście Wiktor Hugo pokazuje siebie w ciężkiej pozycji młodzieńca szlachetnego, bez majątku, kochającego więcej swoją prawdę niż kochankę:

„Jeżeli dla przyspieszenia epoki mojego szczęścia nie uczynię nic przeciwnego moim przekonaniom, będzie to dowód żem coś wart. Srogą jest pozycja młodego człowieka niezależnego zasadami, gustami i pragnieniami, a zależnego wiekiem i sumieniem. Jeżeli wyjdę z tej próby czysty, jak wszedłem, będę miał prawo do

pewnego szacunku dla siebie samego. Nie mało mam trosk do zdeptania... pracować muszę wśród nieustannych wstrząśnień.. Wszystkie drogi są mi dobre, byleby po nich stąpać można prosto, a nie czołgać się, ani nawet uchylić głowy. Dlatego wolę pracować na życie, niż wyludzać fortunę od pysznej życzliwości wielmożnych. Są wielorakie sposoby zrobienia majątku: już byłbym pewnie go zrobił z ich pomocą, gdybym chciał kupować łaski pochlebstwami. Nie jestto mój sposób. Cóż więc pozostaje młodzieńcowi, który gardzi tym awansem łatwym? Nic, prócz poczucia własnej siły i szacunku siebie samego. Trzeba torować sobie drogę szlachetnie i otwarcie, a iść tak prędko, jak można nie szturchając ani wywracając nikogo... Resztę należy zdać na sprawiedliwość Boga”.

Droga chlubna choć ciężka, zaprowadziła poetę niespodzianie do celu. Brat Abel zebrał ody i poezye Wiktora, rozsiane po rozmaitych pismach, i nie mu nie mówiąc, ułożył się z księgarzem, wujem swojego przyjaciela, żeby to wydał razem, w jednym tomie.

Odbito tomik na szarej bibule, zużytemi czcionkami, a wuj księgarz przez przyjaźń dla siostrzeńca, wystawił *wiersze* pomiędzy książkami za szybą sklepu. Ledwie wystawiono książeczkę pod tytułem „*Odes et Poésies diverses*” wszedł ktoś i kupił. Ten ktoś, był to pan Mennechet lektor Ludwika XVIIIgo. Król wziął do ręki książkę, obejrzał, popatrzył i rzekł: „*C'est mal fagoté!*”

Niepiękna powierzchowność o mało nie przeszkodziła czytaniu. Król jednak przeczytał ody; przeczytawszy, odczytywał, a nawet pisał do nich komentarze na marginesie ołówkiem: były to po większej części uwagi purytańskie, oburzały monarchę wszelkie nowatorstwa. Najlepszą wydała mu się oda mówiąca o nim; przy swojej strofie napisał: *Superbe!*

Hugo tymczasem, nie wiedząc wcale o powodzeniu swoich poezyj mieszkał w Gentilly, gdzie rodzice jego narzeczonej najeli owego roku mieszkanie. Pani Foucher z córką zajmowała pierwsze piętro dawnego klasztoru; Hugo najął celę pozostałą, w zrujnowanej wieżycze

tegoż gmachu. Właścicielka domu, kobiecina fertyczna i czynna, użytkowała wszystko, nawet sąsiadów swoich waryatów z Bicêtre. Wyjednała sobie u ich dozorczy, że niektórych nieszkodliwych, będzie przysyłał do niej na robotę. Jeden tedy gracował jej ogród, a drugi drzewo rąbał. Narzeczona para pomiędzy dwoma waryatami snuła różany wątek przyszłości; jeden z nich czarny melancholik patrząc na nich ogłupiałym wzrokiem, kiwał spuszczoną głową... drugi, rzecz jeszcze smutniejsza, śmiał się do rozpuku.

W takiej kompanii, wśród starych murów, młoda, gorąca miłość doczekała się szczęścia.

Po królewskiej pochwalie zły papier nie przeszkadzał pokupowi poezji Hugona. Pierwsze wydanie (1500 egzemplarzy) rozkupiono w ciągu czterech miesięcy, po półczwarta franka tom. Drukarz i księgarz brali trzy franki, autor miał więc z tej sprzedaży około siedmuset pięćdziesięciu franków, bo mu księgarz płacił talarami, na których po cztery *sous* tracił.

Odebrawszy tę summę, Wiktor Hugo uczuł się już bogatym; cóż dopiero kiedy przyszło zawiadomienie, że król z własnej szkatuły wyznaczył pensyi tysiąc franków.

Z tysiącem rocznego dochodu, już można się było żenić. Naznaczono tedy dzień małżeństwa. Uwiadomiony o niem Lamennais napisał następujący list do Wiktora Hugo:

„Kochany Wiktorze! Wypadek, który los twój ustala, musi mnie żywo obchodzić. Masz poślubić osobę, którą kochasz od dzieciństwa. Mam nadzieję, że Bóg pobłogosławi temu szczęśliwemu związkowi, który zdaje się, sam przygotował długim i prawdziwym przywiązaniem, miłością wspólną, czystą i słodką,

„Ale kosztując szczęścia połączenia z tą, którą twoje serce wybrało i która dochowała ci w swoim wiary, uświęć to szczęście rozmyślaniami poważnym nad obowiązkami, które na siebie bierzesz. Młodzieńcza miłość już do dzisiejszego stanu twójego nie przypada: uczucie stalsze i głębsze, choć mniej gwałtowne, powinno ją zastąpić. Jesteś małżonkiem: będziesz ojcem. Myśl, myśl często nad tém, co te dwa tytuły od ciebie wymagają.

Nie zapomnisz tego nigdy, jeżeli pamiętać będziesz, że jesteś chrześcjaninem: jeżeli szukać będziesz w religii przepisów życia, siły zniesienia trosk, od których nikt nie jest wolny, i siły zniesienia szczęścia.

„Radość twoja prawą jest, leży w porządku Bożym, jeżeli ją do Niego odniesiesz; ale pamiętaj, że to radość czasowa, równie jak czar znikoma. Jest inna radość w wieczności: ta powinna być celem wszystkich pragnień twój duszy.

„Niechaj jednak niebo zleje na ciebie, drogi przyjacielu, i na tę, której los z twoim się jednoczy, wszystko co jest najśłodsze w łaskach danych młodym małżonkom. Niechaj z twój drogi po tym świecie usunie wszystko, co mogłoby zatruć twoje życie lub spokój jego zakłócić. Oto życzenia, które tobie przesyła najszczerzy i najczulszy ze wszystkich twoich przyjaciół”.

Wkrótce po odebraniu powyższego listu od autora *Słów wierzącego*, Wiktor Hugo otrzymał od niego kartę odbytej spowiedzi, za którą wziął ślub z tą, z którą przez lat czterdzieści trzy żyje przykładnie w szczęściu i niedoli.

Trzebaby dwa tomy napisać, chcąc wymienić wszystko co znaczne i wzniosłe w tej biografii. Autor się nie podpisał, ale odgadnąć go łatwo po dokładności wspomnień rodzinnych, po wzniosłości myśli przywykłej do szerokich horyzontów i po takiej pełnym delikatności niewieściej. Powyższe zalety dają dziełu fizyognomią osobistą wcale nie książkową. Najwięcej uderza otwartą uczciwość relacji, posunięta często aż do przesady; trudno o szczerze pamiętniki.

Cóż powie na to sumienne dzieło, nieprzyjazna krytyka? Błahe jej zarzuty z góry przewidzieć można i streścić w tej polskiej gadce: „Masz cyganie świadki?” — „Mam żonę i dzieci.”

Zdanie to stósowne, jeżeli chodzi o współników zbrodni; do współnika cnoty zastosować się nie da: najbliższy świadek wtedy najsprawiedliwiej orzeka. Świadectwem geniuszu poetyckiego jest każdy utwór Wiktora Hugo; o cnotcie jego któż będzie świadczyć, jeżeli nie żona i dzieci?

Prawdziwie wielki i błogosławiony mąż, którego żywot może za życia *szczerze* przed światem opowiedzieć żona.

W Teatrze francuzkim wznowiono „Ludwika XI”, pięcioaktową tragedią wierszem, Kazimierza Delavigne. Płód ten chromy, choć sławny, na scenie bardzo mizernie wygląda. Historia fałszywa, ustrojona konwencyonalną poezją, nader prędko w teatrze starzeje; tragedia zaś Delavigna nie więcej ma literackiego życia i dziejowej prawdy, jak „Karol IX” Chénier’a.

Ludwik XI Delavign’a obarczony anegdotami prawdziwymi i temi, które na rachunek jego wymyślono, jest zarazem potworny i powszedni, straszliwy i mały: składa się z obłudy *Świętoszka* i wściekliczny *Nerona*. Taki portret Ludwika XI naszkicowany przez legendę, a następnie oszpecony przez historią przedpokojową, jest wiernie oddanem *Straszyllem*, które zna lud i dotąd go się boi; prawdziwy poeta powinien był zażegnać tego stracha, a nie wywoływać; powinien był przejrzeć archiwa spółczesne zamiast odczytywać *Quentin Durward’a*.

Niedorzecznością byłoby malować Ludwika XI, jako dobrodusznego patryarchę; większą atoli jest jeszcze czynić z niego dziką bestyą, pożerającą niemowlęta. Był to król *twardy*, ani słowa; należałoby jednak, czyniąc jego ostateczny obrachunek, położyć nieco na karb żelaznego wieku, który kuć musiał, stronnictw, które miał pokonać, i zbuntowanych książąt, których uskromić było jego zadaniem. Nie należy zapominać, że ów lis lwiego dzieła dokonał; że Francya jemu piękną swą jednolitość zawdzięcza: że genialna głowa kryła się pod śmiesznym, obwieszonym amuletami kapeluszem.

W owej epoce ojczyzna tak jest zjednoczona z królem, interesa ich tak pomieszane, przyszłość tak jednaka, iż nie można dobrze odróżnić w Ludwiku XI złego człowieka od zręcznego monarchy lub surowego sędziego. Delavigne wyrzuca mu najwięcej stracenie księcia *Nemours*. Jeżeli to jest grzechem, potrzeba wymazać z rzędu zbrodni zdradę, za którą trzy razy otrzymawszy przebaczenie, książę *Nemours* nareszcie śmiercią zapłacił. Co

do okrutnej sceny dzieci przyprowadzonych pod rusztowanie, żeby krew ojca na ich głowy spadła, jestto jedna z bajek przysługujących melodramie, ale nie poważnej tragedyi.

W ogóle portretowi temu życia brak, chociaż Delavigne przedstawił całą kolekcją przywar, zbrodni i obłudy w jednej osobie. W każdej scenie krzywoprzysięstwo, kłamstwo w każdym wierszu; dziesięć zdrad w jednym akcie, jeden nieprzerwany ciąg szalbierstw i okrucieństw. W ten sposób można pisać kronikę, ale nie historią. Nawet tyranów należy malować wedle wybitnych obrysów ich typu, a nie wedle zmarszczków i skrzywien. Czy można wyobrazić sobie naprzykład, miniaturę Tyberysza? Cóżbyśmy powiedzieli o naturaliscie, któryby się bawił liczeniem plam na skórze tygrysa, zamiast badać jego organizację i opisywać jego naturę?

Porównajmy Ludwika XI Delavign'a z Ludwikiem XI, Wiktora Hugo w Notre-Dame-de-Paris, a obaczmy różnicę osoby historycznej, odbitej w promiennej wyobraźni geniuszu i w bladym umyśle podrzędnego poety.

O stylu nie ma co mówić: wierszowanie ciężkie i mizolne, składa się z niby klasycznych przepisów, romantycznych ustępstw, ochoty trzymania się bitego gościńca i zachceń awanturnicznych.

Dyrektor muzeów cesarskich zdał ministrowi raport, w którym wymienia prace dokonane w ciągu lat dwunastu przez intendenturę sztuk pięknych. Przytaczamy tu treść raportu dotyczącą zbiorów Luwru.

Od czasu wstąpienia na tron Napoleona III, muzeum egipskie powiększyło się o 9,550 egzemplarzy rozmaitego rodzaju starożytności egipskich. Pomiedzy wymienionemi darami najznaczniesze są dary księcia Napoleona, księcia de Luynes i Saida paszy. Pomiedzy nabytkami z zakupów pierwsze trzyma miejsce wyborowy zbiór Clot-Bey'a. Wykopaliska nadesłane z Egiptu i Memfis przez pana Mariette, w czasie jego missyi na Wschodzie, dostarczyły bogactw stawiających to francuzkie muzeum w rzędzie najpierwszych.

Muzeum antyków i rzeźby powiększyło się znacznie nabyciem zbioru Campana i poszukiwaniami uczonych francuzkich, wysłanych przez rząd do Azyi Mniejszej.

Muzeum rzeźby średniowiecznej i odrodzenia, składa się dziś z czterechset posągów.

Muzeum amerykańskie składają wyłącznie starożytności nadesłane z Meksyku i Peru.

Muzeum dzieł sztuki średniowiecznej potrojiło się kolekcją złożoną z 1,500 dzieł sztuki zapisanych testamentem Luwrowi, przez pana Sauvageot.

Galerya Apollina pysznie ozdobiona, stała się szkatułą klejnotów Luwru. Przeniesiono tam także kosztowne emalie należące do rodzaju klejnotów.

Galerye obrazów zostały znacznie rozprzestrzenione i oświetlone z góry. Muzeum malarskie Luwru składa się teraz z 10,000 obrazów szkół rozmaitych. Szkoła francuzka będzie umieszczona w dwóch osobnych galeryach, nad których ukończeniem obecnie pracują.

Pod zarządem pana Nieuwerkerke zrestaurowano wiele drogocennych obrazów szkoły włoskiej i flamandzkiej; nabyto: „Poczęcie” Murilla; „Świątą rodziną” Perugin’a; *Krajobraz* Hobben’a i kilka obrazów mistrzów hiszpańskich mniejszej wagi.

Muzeum rysunków składa się z 36,000 sztuk. Wszystkie rysunki zostały oprawione i wystawione na widok publiczny. Pastele, miniatury i emalie zajmują 13 sal.

Muzeum marynarki zostało połączone z muzeum etnograficznem, z bogactwem przedmiotami przywiezionemi z Chin przez pana Montigny, którego zbiór sam przez się na nazwę muzeum zasługuje.

Druga część raportu mówi o muzeach luxemburskiem, wersalskiem i saint-germainkiem.

Do muzeum luxemburskiego, będącego stacją na drodze wiodącej dzieła sztuki do nieśmiertelnego Luwru, wpłynęły wszystkie nowe obrazy nabyte na wystawach malarskich w ciągu lat dwunastu.

Do muzeum wersalskiego przybyła „Joanna d’Arc” Ingra; *Grobowiec* Dyanny Poitiers i popiersie Ludwika XIV

wykonane w medalionie z wosku z wiernością i sztuką nadzwyczajną. Jestto bardzo ważny nabytek historyczny.

Rzędy obrazów historycznych w zamku wersalskim przedłużyły się znacznie. W sali krzyżowców malują teraz herby i zapisują nazwiska rodzin, których przodkowie byli niewątpliwie na krucyatach.

Muzeum gallo-rzymskie w Saint-Germain, założone w roku 1862, posiada już znaczne zbiory, mianowicie broni i narzędzi domowych z kamienia i brązu, znalezionych w ziemi francuskiej. Zbiór tego rodzaju podarowany niedawno przez króla duńskiego, bardzo jest piękny, jak niemniej zbiór pana Boucher de Perthes i rezultat poszukiwań dokonanych kosztem rządu w Starój Gallii. Z temi połączony będzie niebawem zbiór zabytków gallo-rzymskich znajdujący się obecnie w Luwrze, oraz odlewy wszystkich pomników historycznych uderzającej piękności, rozsianych po całej Francyi, które w tém muzeum zajmą sal parę.

Wykaz prac dokonanych w ciągu ubiegłych lat dwunastu przynosi zaszczyt panu Nieuwerkerke. Bogactwa sztuki powiększone i uporządkowane zostały przepysznie. Brak jeszcze dokładnych katalogów tych wszystkich skarbów, ale podobno już nad ich ułożeniem pracują.

—Muzeum brytańskie wydało raport o stanie swoich finansów. Z niego wynika, iż to muzeum wyłożyło w ciągu roku skończonego 31 marca 1863 r. 96,155 funtów szterlingów na swoje utrzymanie i sprawunki. Same oprawy kosztowały 1766 funtów. Bajeczne summy! Na rok przyszły przewidziane wydatki wyniosą 90,541 funtów szter. W ciągu ubiegłego roku zwiedziło brytańskie muzeum za opłatą osób 1,624,030.

Ostatnich dni czerwca wyszedł pierwszy tom dzieła Ernesta Renana zapowiadanego pod tytułem: „*Les Origines du Christianisme*”. Przedmiot i tytuł tego pierwszego tomu jest: „Życie Chrystusa”. Niemcy dotąd wyłącznie dzierżyły przywilej krytyki religijnej, do czego dawno upoważnił ich Luter. Francya zaczyna pomału rozpatry-

wać się na témże polu; pogląd jój wydaje nam się mniej materyalny. Sądząc z dzieł tego rodzaju wyszłych dotąd z pod pióra francuzkich krytyków, wnosić się godzi, że chociaż przez Niemców wywołane, badania religijne Francuzów będą miały inny charakter: cechę ducha narodowego. Znać to, mianowicie skoro porównamy „*Życie Chrystusa*” pojęte przez Renan'a, z „*Życiem Chrystusa*” napisaném przez doktora Strauss'a. Ciężko uczony doktor zagłębia się po uszy w teksta, z cytacyj robi mozaikę, suchą jak piasek Sahary, na którym rysuje się postać Chrystusa zimna i martwa. Przeczytawszy ten *majstersztyk* erudycyi, ani umysł, ani sumienie nie jest zaspokojone. Renan do wielkiego przedmiotu przystąpił z wyższego stanowiska. Studium jego czysto psychologiczne, skreślone z uszanowaniem i sumiennością, uwydatnia wielkość przeobrażenia moralnego, którego dokonał chrześcianizm. Poznawszy całość „*Początków chrześcianizmu*”, obszernie o tém ostatniém dziele pana Renan pomówimy na tém miejscu.

— Wyjdzie wkrótce z pod prasy nowy utwór Lamartina p. t. „*Fior d'Aliza*”. Jestto ułomek biografii autora: spekulując na śmierci żony, opowiada publiczności swoje konkury i pogadanki z narzeczoną. Ciekawość zaostrzona mocno w Paryżu, rokuje bogate żniwo. Zapowiedziana książka będzie *pendant* do panegiryku, który Lamartine począł układać wierszem, w chwili kiedy najdroższa córka Julia skołała. Widocznie, organizacya poetów inną jest niż reszty śmiertelników. Zachodzi pytanie czy Lamartine jest poetą? Świętej pamięci Lamennais utrzymywał, *que „c'est un crétin harmonieux”*.

— Muzeum brytańskie nabyło testament Washingtona, cały jego własną ręką napisany i podpisany na każdój karcie. Niegdyś, wojska federalne wzięwszy szturmem miasto Fairfax-Court-House, (w Wirginii), zrabowały kilka budynków publicznych, mianowicie trybunał i jego archiwa. Jeden z żołnierzy zabrał wtedy testament Washingtona i sprzedał spekulantom, którzy go teraz na wagę sto funtowych banknotów sprzedali brytańskiemu muzeum.

— Wyszło trzecie wydanie „*Historji literatury francuzkiej*” Nisarda. Cztery tomy. Także, dwa ostatnie tomy *Pamiętników* p. La Rochefoucauld. Tom IXty zawiera: „Panowanie Karola Xgo. Wrzesień 1824 i lipiec 1830”. Tom Xty „Myśli, urywki, szkice i portrety”.

— Pan Cenac Moncaut wydał w dwóch tomach „*Historję miłości w starożytnych i nowożytnych czasach*”. Autor rozbiera charakter tego uczucia w rozmaitych epokach dziejów ludzkości: wpływ jego na wielkich ludzi, politykę, literaturę i religią. Rzecz zajmująca i napisana z niepospolitym wdziękiem.

— W bezimiennym manuskrypcie znalezionym w Poitiers, odkryto pomiędzy innemi, cztery niewydane listy Jana Jakóba Rousseau, trzy listy Voltaira, oraz artykuły księdza Yvona, jednego z redaktorów *Encyklopedyi*. Towarzystwo *des Antiquaires de l'Oueste*, dokonane odkrycie uważa za nader ważne.

— Professor historii, August Trognon wydaje *Historję francuzką* w pięciu tomach. Wyszły dwa pierwsze. Autor nie chcąc być ani zbyt treściwy, ani zbyt obszerny, opowiada same ważne wypadki i ocenia takowe. Opowiadanie jego jest bardzo żywe a pogląd wysoki. Dwa pierwsze tomy doprowadzają czytelnika do końca panowania Ludwika XI; trzeci będący w druku sięga śmierci Henryka IV: dwa ostatnie wyjdą w ciągu przyszłych lat dwóch.

— Leonard Chodzko wydał pożyteczną pracę historyczną: Tytuł dzieła: „*Histoire populaire de la Pologne*”. Format wydań ludowych paryzkich: małe *in folio* ścisłym drukiem we dwie kolumny. Ilustracye robił Janet-Langè, kartę kolorowaną Dufour. Na końcu dzieła autor zamieścił spis wszelkiego rodzaju znakomitych Polaków. Najprzód idą królowie podzieleni na dynastye; następnie teologowie, filozofowie, matematycy, astronomowie, lekarze, chemicy, naturaliści, agronomowie, prawodawcy, politycy, dyplomaci, architekci, rzeźbiarze, malarze, sztycharze, muzycy, poeci, aktorowie, romansopisarze, filologowie, historycy, geografowie i t. d. Przy każdym nazwisku jest wymieniony rok urodzin i śmierci. Jestto dwunaste wydanie dociągnięte do połowy 1863 roku.

— Odkryto nareszcie i to nie żartem, źródła Nilu. Król włoski obdarzył dwóch wynalazców kapitanów Speke i Grant złotemi medalami. Po jednej stronie widać popiersie króla Wiktora Emanuela; po drugiej, dwa napisy po łacinie: *Speke legionum centurioni, honor a Nilo, 1863*, po włosku: *Al capitano Grant divise col capitano Speke gloria e pericoli, 1863*.

— Teatr francuzki przyjął do swego repertoaru czteroaktową komedię Juliusza Sandeau: będzie przedstawioną przyszłej zimy.



KRONIKA LITERACKA.

Dziennik Józefa Kopcia brygadiera wojsk polskich, z rozmaitych not dorywczych sporządzony. Z sześcioma tablicami litografowanemi i mapą Kamczatki. Berlin. 1863. Nakładem księgarni akademickiej E. Grossa. (W 8ce. Str. 263).

Imię autora tego dziennika dobrze jest znane z kampanii 1794 r. Śmiało jego przedarcie się z brygadą jazdy, historia zapisała nie-startem i zgłoskami.

Znaliśmy go osobiście i zblizka po powrocie z Kamczatki. Postać drobna i nikła, ciało wiatłe, było siedliskiem wielkiej duszy, pełnej bohaterstwa i poświęcenia.

Za przybyciem z Kamczatki pokazywał w rękopiśmie obszerny jój opis i własnych przygód wraz z rysunkami, które sam wykonał i mapą tych krain, które przebywał.

Ś. p. Edward hr. Raczyński krótki i mniej dokładny dał z rękopismów wypis i wydał w małej książeczce w 16ce, która posłużyła Mickiewiczowi do przytoczenia ustępów obszernych w prelekcjach z tego wydania (1).

Przytoczymy tu z nich, jak wielki poeta charakteryzuje pracę naszego wojownika.

„Postrzegano już podobieństwo między Kopciem a Silvio Pellico; góruje w nim także wiara religijna i rezygnacya, ale z tą różnicą, że nie traci on przez to własności: poddaje się dopuszczeniu, nie zrzekając się ani usiłowań, ani nadziei. Widać

(1) Dziennik podróży Józefa Kopcia przez całą wzdłuż Azyą, lądem do portu Ochocka, oceanem przez wyspy Kurylskie do niższej Kamczatki, a zamtąd napowrót do tegoż portu na psach i jeleniach. Wrocław 1837 r.

w nim wszakże nowy charakter Polaka skruszonego nieszczęściem. Niemcewicz w swoich pamiętnikach zachowuje ciągle nienawiść i gniew dawnych Polaków, należy jeszcze do pokolenia starego; Kopec przeciwnie, uważa się za dotkniętego przez Opatrzność, pisze, iż codziennie rano modlił się do Boga o swoje uwolnienie i nie przestawał spodziewać się lepszej przyszłości, jeżeli nie dla siebie, to przynajmniej dla ojczyzny. Ta wytrwałość pokorna i ufna już jest charakterem nowej literatury polskiej, z niej wynika siła ożywiająca nowych poetów narodowych Malczeskiego, Brodzińskiego i innych, którzy zdają się być oddzieleni od Niemcewicza całym wiekiem". (Lekcja XXIII).

Myśl ta Mickiewicza godna uwagi i rozpatrzenia głębszego, a kto znał bliżej społeczeństwo złożone ze szczątków postaci z czasów Rzeczypospolitej, a następnie z czasów pruskich i Księstwa Warszawskiego, przyzna jej wielką prawdę.

Jeżeli typowe postacie starych Polonusów dalekie od cywilizacji francuskiej, zachowały całą pobożność czystą ojców swoich, to grono literatów i mężów otaczających tron Stanisława Augusta i mających wpływ przeważny na sprawy narodu, nie miało tej wiary. Wykształcenie francuskie i filozofia francuska wypłeniła ją z serc młodego pokolenia. Było przyjętą zasadą, że można być dobrym Polakiem nie chodząc po polsku, zaniedbując ojczystą mowę, straciwszy wiarę i pobożność dawną: czas pokazał, jak grubo błądzili zwolennicy tej zasady. Z pięknych rysów narodowego charakteru zostały wybitne tylko przynioty poświęcenia i bohaterstwa na polu bitwy. Potrzeba było długich lat przejść ciężkich, zanim odzyskaliśmy wiarę i poświęcenie nie tylko w dyonie prochowym, zanim pozbyliśmy nienawiści a przyszli do pojęcia i wykonywania miłości Chrystusowej.

Kopec, ten zwrot pierwszy uwydatnia w swoim *Dzienniku*; poci późniejsi, szczególnież też Brodziński podnieśli na stanowisko dogmatu narodowego.

Nasz wojownik trapiiony chorobą bezsenności dał się namówić, że wezwał pomocy Ewangelisty.

„Zbliża się do ogniska (pisze Kopec) i kazawszy mi usiąść, zaleca pić najprzód herbatę. Gdy to czynię, przynoszą Kameczadale ze środka jurt znaczną liczbę soboli, gronostajów i wyporków jelenich. Orzeźwiony nieco, zapytuję, co to znaczy? Ewangelista czyniąc zadość méj ciekawości, powiada: „nim dam lekarstwo, muszę ci wprzód powiedzieć rzecz wielkiej wagi. Mieszkałeś przez ciąg dwóch lat w niższej Kameczatce, a niceś nie wiedział

o skarbach téj ziemi; oto (rozwijając korę brzozową, w której było kilka grzybów zawiniętych) są grzyby, mogą powiedzieć cudowne; rosną one na jednéj tylko wyniosłéj górze, blisko wulkanu i są najdroższym płodem natury. Uważ panie (rzecze daléj Ewangelista), że przyniesione futra od tutejszych mieszkańców, mam w podarunku za te grzyby: oddaliby oni nawet cały swój majątek, gdybym ich miał wiele i gdybym tylko chciał z nich wiele korzystać. Te grzyby mają szczególną własność i jakby nadprzyrodzoną: kto bowiem ich użyje, nietylko mu pomogą, ale i przyszłość swoją widzi: a że jesteś słaby, ażebyś zjadł jednego tego grzyba, da ci on sen, którego nie masz.

„Słyszając tyle osobliwości o zasłudze pomienionego grzyba, długo wahałem się nad tém, czyli go mam użyć; lecz chęć polepszenia zdrowia, a szczególniej nabycia snu przemogła we mnie obawę: zjadłem więc moje lekarstwo w połowie i natychmiast się położyłem, bo mnie sen mocny ogarniał. Marzenia senne następowały jedne po drugich, znalazłem się tak umagnetyzowany wpośród najrozkoszniejszych ogrodów, gdzie przyjemność i piękność same zdawały się panować. Kwiaty rozmaitéj barwy, kształtu i zapachu, nawijały się moim oczom, gdzie grono najpiękniejszych kobiet, w białe przyodzianych suknie, przechadzając się, zdawały się zajmować gościnnością tego ziemskiego raju, jakby rade z mego przybycia, ofiarowały mi rozmaite owoce, jagody i kwiaty. Trwała ta rozkosz przez cały mój sen, który był dłuższy o parę godzin nad mój zwyczajny spoczynek.

„Obudzwszy się z tak słodkiego uśpienia, postrzegłem, iż ta rozkosz była złudzeniem: żałowałem jednak niezmiernie zniknięcia onéj, jakby istotnego szczęścia. Wrażenie to uprzyjemniło mi kilka godzin, aż do schyłku dnia. Odebrawszy tak mamiącą posługę od cudownego grzyba, ożywiony nawet snem, którego tak długo nie znał, począłem ufać jego nadprzyrodzonéj własności (jak mię nauczał mój Ewangelista) i za zbliżeniem się nocy, prosiłem go o drugą porcyą. Rad on był z méj odwagi i natychmiast niosąc mi ofiarę swéj dobroci przyjacielskiéj, dał mi całego podobnego grzyba. Zjadłszy tę mocniejszą dozę, w kilka minut zasnąłem twardo. W kilka godzin nowe widzenie na drugi świat mnie przeniosło, zdało mi się, iż ztamtąd kazano mi powrócić na ziemię, aby mnie ksiądz wyspowiadał. Wrażenie to acz we śnie tak mocne było, że się obudziłem i prosiłem o przywołanie mego Ewangelisty. Był to właśnie czas północy, skwapliwy do posług duchownych, ksiądz natychmiast porwał stułę i wyspowiadał mnie z ra-

dością, której przedemną nie tał. Po spowiedzi w godzinę zasnąłem na nowo i aż do dwudziestu czterech godzin nie obudziłem się. W tak długim uśpieniu jakie miałem widzenia, trudno jest i prawie niepodobno opisać: *różne mnie nawet powody od tego wstrzymują*. W tych widzeniach com spostrzegał i przez com przechodził, są rzeczy którem czuł, widział, lub doświadczał niegdyś, i te, których nigdy obrazu nawet w myśli sobie nie czyniłem: mogę jednak nadmienić, że od powzięcia pierwszych wiadomości życia, to wszystko com od pięciu lub sześciu lat wieku mojego widział przed sobą: wszystkie przedmioty, osoby, które wdalszym ciągu znałem, z któremim jakie miał stosunki, wszystkie zabawy, zatrudnienia, czynności z kolei następujące, dzień po dniu, rok po roku, słowem obraz całej przeszłości, stawał się obecny oczom moim. *Co się zaś tyczy przyszłości, snuły się rozmaite obrazy, które ponieważ skutkiem są marzenia, nie zajmą tu miejsca osobnego*".

Ustęp ten ostatni pierwiastkowo Kopeć napisał inaczéj i w pierwszym wydaniu brzmi nastépnie:

„Nie śmiem o moich w tym czasie okropnych widzeniach namieniać, przez com przechodził i com widział, co mnie tém więcéj czyniło niespokojnym, że późniéj niektóre z tych sennych marzeń sprawdziły się na jawie, bo widziałem przyszłość swoją”.

Mickiewicz ten tekst przywodząc dodaje:

„Kopeć, za powrotem do kraju opowiadał często te swoje widzenia i co w nich objawiło się jemu względem przyszłych losów Polski; ale otoczony generacją nie wierzącą, gdy całą tę historię obracano w żarty, nie śmiał nawet szczegółów jéj napisać w swoim dzienniku”.

Że tak było, możemy sumiennie poświadczyć, bo zaraz w pierwszych dniach powrotu i pobytu w Warszawie, wśród grona odwiedzających go przyjaciół i znajomych, złamany trudami podróży opowiadał przedewszystkiem te swoje widzenia; ale gdy doktorzy zamiast słuchania jego opowieści brali go za puls czy niema gorączki, a drudzy kiwając głowami z niedowierzaniem, mówili mu marzenia! marzenia! Kopeć w pierwszej redakcyi swego dziennika wspomniął o swych widzeniach przyszłości wyraźnie, wdrugiej nazwawszy je także *marzeniem*, nie o tém, co sprawdził późniéj, nie wspomina.

Ale wracamy do samego dziennika; autor podzielił go na IV księgi: każda ma kilka rozdziałów. Pierwsza zawiera szczegóły od urodzenia, do wejścia w służbę wojskową; nastépnie opis kam-

panii 1792 r. i 1794 aż do bitwy pod Maciejowicami, w której wraz z Kościuszką wzięty został do niewoli.

Trzy księgi następne obejmują podróż Kopcia do Kamczatki, pobyt jego w tym kraju, opis jej i podróż z powrotem do kraju.

Nie będziemy tu wdawali się w szczegóły dziennika, który nadzwyczaj jest zajmującym i czyta się jak ciekawa powieść; musimy tu tylko przytoczyć podanie, które Kopeć napisał o *Beniowskim*, zasłyszane po przybyciu do portu *Bolszorucka*, zamieszkałego przez Syberanów i kilka rodzin wysłanych na *zsyłkę*.

Głośnóm jest u nas imię Beniowskiego: ojcowie nasi zachowali je w przysłowiu: „*Z blizka, z Kamczatki wrócił Beniowski*”, na oznaczenie dalekiego kraju, lub wielkiej odległości. Upowszechniło więc jego jeszcze inne dzieło wydane w Warszawie już w drugiej edycji 1806 r., p. n. *Historja podróży i osobliwszych zdarzeń sławnego Maurycyego Augusta hr. Beniowskiego szlachcica polskiego i węgierskiego*, w czterech tomach, które było jedną z najwięcej wówczas poszukiwanych i czytanych książek.

W ścianie kościołka Czerniakowskiego pod Warszawą, tkwi dotąd tablica z napisem:

„*Tu leży Walenty Antoni Straszewski rewizor policyi, były kapitan w wojsku polskiem, współtowarzysz niewoli znanego Beniowskiego w Kamczatce w 1771 roku. Żył lat 72, umarł d. 2 maja 1822 r.*”.

Napis ten wskazuje, za jak wielki zaszczyt uważano temu, że był współtowarzyszem niewoli Beniowskiego.

Oto ustęp o tym wojowniku w dzienniku Kopcia:

„Skoro się tylko mieszkańcy dowiedzieli, że Polak, zaczął mi opowiadać całą historję naszego Beniowskiego, którego w tém miejscu nazywają Augustem Polakiem. Każdy tam mieszkaniec napamięć umie szczegóły tyczące się rzezonego Augusta: sposób jego życia, przebywania i oddalenia się, były to przedmioty rozmowy dziennej z mieszkańcami, którzy będąc naoczniemi świadkami wszystkiego, co się w owę porę działo, wspierali się świadectwem dwóch Kamczadalów przy mnie na straży będących, których Beniowski dla niedostatku majtków z wielu innemi zabrawszy z sobą, miał przy swym boku w czasie swęj podróży i wezasie pobytu w Paryżu, a którzy później powrócili do swęj ojczyzny.

„Według tego opowiadania Beniowski, albo jak go tam nazywają August Polak, dostawszy się za barskiej konfederacyi w niewolę, gdy dwa razy z Tobolska uciekał i przesłany był do

Kamczatki, z portu Ochocka przebywając odnogę oceanu, wysadzony potém został do portu Bolszorucka, gdzie dla niewczesności żeglugi zimował. Okręt, na którym płynął z portu Ochocka nie był rządowy, lecz należący do kompanii irkuckiej, która ma swoją flotyllę z kilku okrętów złożoną. Na budowę tój flotylli wszelkie potrzebne materyały niemogące się znaleźć w Ochocku, najprzód z Irkucka rzeką Leną do Jakucka, ztąd lądem na koniach do portu Ochocka dowożą, razem z przedmiotami handlu, dla rozmaitych dzikich ludów na wyspach zamieszkałych.

„Uzbrojenie tego okrętu było zwyczajne w tém miejscu, kupcy bowiem irkucy u komendanta w Ochocku i innych miejscach kupują ludzi posłanych na zsyłkę, formują z nich strzelców, a dawszy im potrzebne zapasy żywności, obiecują im wynagrodzenie w czwartej części łupu na mogących zdobyć się wyspach, a najwięcej w zdobyczy futer.

„Powiadali mi dalej, iż Beniowski mając czas poznać tych ludzi, ile że dobrze umiał język rossyjski, wyrozumiawszy każdego z osobna, zaczął im wyobrażać niebezpieczeństwa, na jakie się puszczają. Udzielono sobie wzajem takich uwag, nie mówiąc nic majtkom ochockim, którzy w tym porcie mieli swe domy i rodziny. Mając już wszystko po sobie, oświadczył im, iż potrafi ich uwolnić z tego nieszczęśliwego stanu, jeżeli mu tylko sekret poprzysięgną i zupełnie zaufają. Stało się wszystko ze strony strzelców a tymczasem okręt zawinął do portu Bolszorucka.

„Beniowski z czterema innemi stawiony był przed komendantem, który był w randze majora, nazywał się *Nitow*: oświadczył im, iż to miejsce jest punktem ich przeznaczenia i siedliska: gaża dzienna była jeden piątak, na osobę na wszystkie potrzeby żywności i odzienia, a reszty dorabiać się pracą rąk własnych dozwolono.

„Takowy stan rzeczy nie mógł obiecywać pomyślnego skutku w zamiarze przedsięwziętym przez Beniowskiego, trzeba było samemu lepszój szukać wygody i przygotować zapasy na przyszłość; a że już poznał nieco mieszkańców, oświadczył więc komendantowi, że chce założyć szkółkę i uczyć czytać i pisać po rusku. Zezwolił na to komendant, a synowie popa, dzieci oficyalistów, majtków i mieszkańców, ucząc się pod dozorem Beniowskiego, polepszyli stan jego bytu, tak co do żywności, jako też i samój zapłaty.

„Zajmując się tym obowiązkiem nauczycielskim, Beniowski nie zapomniał o swym projekcie, mając zawsze pewne sposoby

widywania się z poprzysięgniętymi sobie strzelcami, umacniał w nich ducha, odkładając rozwinięcie rzeczy do wiosny, jako czasu sobnego i właściwego żegludze.

„Dwa miesiące tylko trzeba było czekać, gdy tymczasem sekret zostaje wydany. Ostrzeżony Beniowski widząc, że najmniejsza zwłoka może go zgubić, spuszczając się więc na los, spieszy uskuteczyć swój zamiar, lecz już trzeba było uprzedzić komendanta, aby sam nie był aresztowanym. Wziąwszy więc z sobą przyjaciela swego Chruszczowa, który razem z nim był zesłany, wpadają wśród nocy do komendanta Nitowa, aby go aresztować.

„Beniowski znalazłszy go na wznak spiącego, porywa za ręce, radząc, aby się poddał w areszt. Obudzony Nitow, chwytając Beniowskiego za chustkę na szyi, i gdyby się ta szczęściem nie rozerwała, pewnieby go udusił. Obroną tą rozgniewany Chruszczow, przebija komendanta; poczem Beniowski został panem miejsca, ogłaszając się komendantem; otoczony strażą strzelców swoich, wszystkim rozkazuje. Na odgłos takowego zdarzenia, kupcy z kantory irkuckiej uciekają, majtkowie rozpierzchają się mający żony i domy, reszta mieszkańców przyjmuje rozkazy nowego rządcy. Beniowski, zdobywszy na kupiectwie rozdał dla zagrzania mężstwa swych strzelców: oprócz bowiem wielu przedmiotów użytecznych, w składzie okrętowym będących, spirytus i tytoń największą osobliwością i wielkimi dary zostały w tym czasie. A że niedostatek majtków groził niebezpieczeństwem Beniowskiemu, myślącemu zawsze o swój żegludze, rzucił się więc do fortelu na ich zwabienie, który mu się udał należycie.

„Kazał on do cerkwi zebrać żony i dzieci kryjących się majtków, i kazawszy wkoło stosy drew rozłożyć, udawał, jakoby ich chciał wszystkich popalić na ukaranie nieposłuszeństwa mężów. Widok tak okropny, miłość ojcowska i małżeńska, zwołały rozsypanych majtków pod rozkazy nowego komendanta.

„Powiadano mi, iż po tych wszystkich czynnościach Beniowski był pewien reszty zimy, bo żaden okręt o téj porze przyjść nie mógł; oczekując wiosny do wyjścia z portu, był wszakże w obawie, aby niektóre ludy będące pod władzą komendantów rossyjskich, a nad brzegami oceanu mieszkające, połączywszy się z sobą, nieatakowały go w Bolszorucku usadowionego. Tak więc, lubo jeszcze morze nie było wolne od lodów, przeniósł się z całą swą siłą zbrojną na okręt, i w nim jakby

w jakiej twierdzy czekał odpowiedniego czasu ku rozwinięciu żagli.

„Nie zawiódł się Beniowski w swój rachubie: mniejsi bowiem rozmaitych kolonii nadbrzeżnych komendanci, zebrawszy do 1000 zbrojnego ludu, w małej części strzelbą ognistą, a więcej łukami, atakowali Beniowskiego na okręcie; lecz kilka z dział wystrzałów bez kul nawet, rozproszyło ten motłoch trwożliwy. Po tej rozprawie Beniowski, spokojnie czekał na sposobną porę opuszczenia Bolszorucka.

„Przez ten czas zdobytej spokojności, zajmował się powiększeniem liczby majtków, a że niektórzy ukrywający się jeszcze po lasach powrócić nie ehcieli, wybrał więc kilkunastu Kameczadaków, cokolwiek oswojonych z wodą, wziął także z sobą jednego ucznia, syna popa, który cały wojaż z nim odbywszy, był w Paryżu.

„Kiedy nareszcie wiosna oczyściła zupełnie przestrzeń oceanu, Beniowski rozwinął żagle i puścił się w podróż, polecając się losowi.

„Powiadali mi Kameczadale, że w czasie tej okropnej i długiej żeglugi, wiele napotykali wysp i nieznanomych ludów; że tak blisko pilnując się strony południowej podeszli pod ekwator, iż ledwo znieść zdołali gorącość słońca; że Beniowski różne czynił obserwacye i zapisywał wszystkie szczegóły; jak potem po niezliczonych trudach i niebezpieczeństwach przybył do Europy, do Francyi, a nakoniec do Paryża. Dalej rozpowiadali, że Beniowski zostawiwszy ich w Paryżu, sam wypłynął z eskadrą na morze, wspierany od rządu w celu odkrycia tych części świata i wysp, które przebywał, lub do których dotarł. Że potem Beniowski w czasie wylądowania na wyspę Madagaskar zabitym został, doświadczywszy wprzód wiele niebezpieczeństw i przypadków.

„Zadziwiony temi wiadomościami z ust rodowitych Kameczadaków wychodzącemi, a szczególnie, gdy mi wiele rozprawiając o Paryżu, w bardzo dziwny sposób oświadczyli, iż ani pojąć, ani wyobrazić sobie są zdolni, co się tam dzieje; zapytałem się, jakżeście przecie wrócili? Odpowiedzieli mi:

— Mówiliśmy wam, że Beniowski syna popa i nas dwóch, jako niezdatnych do jego morskiej podróży zostawił w Paryżu. Długośmy się błakali w tém nieszczęśliwem mieście pod przewodnictwem syna popowego. Po długim czasie odkryliśmy trafem, że w Paryżu jest pełnomocny poseł rossyjski; udawszy się więc

do niego, wzięci pod protekcją, na okrętach angielskich odesłani byliśmy do Archangielska: ztąd stawieni byliśmy do Petersburga, gdzie z naszego opowiadania *żurnal* Beniowskiego ułożono. Potem Katarzyna II dawszy nam wolność, kazała dać mieszkania z pensją, na co my się nie zgodziwszy, prosiliśmy tylko o sposób powrotu do naszej ojczyzny, co się też i stało.

Takie to szczegóły dotyczące się historii Beniowskiego, których nabyłem z opowiadania Kamczadalów dodanych mi do straży, którzy się mienili być towarzyszami trudów i niebezpieczeństw tego mężnego Polaka”.

Kopeć po powrocie swoim złamany cierpieniami i trudami, już nie był zdolny do służby wojskowej. Urodził się w powiecie pińskim; ojciec jego, pomiernej fortuny ziemskiej w tymże powiecie właściciel, nieodstępny króla Leszczyńskiego zwolennik, był jeńcem w twierdzy Gdańsku. Lubo żył długo, bo zgasł dopiero w 93 roku życia, szesnastoletniego syna Józefa a naszego autora, oddał do kawalerii narodowej, pod dowództwo i opiekę Jerzego Kołtataja, do tak zwaną brygadę petyhorskiej. Pierwsze więc tylko początki nauk mógł odebrać; resztę wykształcenia pracą własną dopełnił i doświadczeniem pomiędzy ludźmi.

Kołtataj towarzysz prac i dzieł rycerskich Fryderyka Wielkiego, podczas siedmioletniej wojny już pułkownik, sprowadzony staraniem króla Stanisława Augusta w celu podniesienia z upadku, w jakim zostawała wówczas w Polsce sztuka wojskowa, był rękomią dla rodziców, którzy ochotnie synów swoich oddawali, jako prostych żołnierzy pod jego chorągiew.

Trudnym był do otrzymania dla Kopcia stopień oficera: bo „w ową epokę (jak sam pisze) rangi były kupne, a wziętość domów, bogactwa i zabiegi dworne, zabierając plac prawdziwej zasłudze, a częstokroć zdatności, martwemi trudy i usiłowania, ludzi pomiernej mienia czyniły. Dwadzieścia lat całych zawód mój wojskowy zajmują. Po długiej ledwo pracy, po szczeblach zwyczajnych idąc, stopnia brygaderskiego podczas wojny dosłużyć się mogłem”. Pierwsze pole doświadczenia w stopniu namiestnika i działań wojennych, a raczej obozowego czuwania miał w r. 1781, kiedy część armii polskiej rozciągnęła się nad kordonem, graniczących rzek Dniepru i Bałty, strzegąc granic rzeeczypospolitej od wkroczenia i napadu wojsk tureckich.

W stopniu podporucznika, przeznaczony na adjutanta generała artylerji szczęsnego Potockiego, który dowodził korpusem obserwacyjnym nad Dniestrem, do którego wcielił oddział

wyboru kilkutyśięczny własnych kozaków. Kopeć daje mu świadectwo jako blizki i naoczny świadek, że wówczas był bez zarzutu, pełen poświęcenia i miłości dla kraju.

W r. 1791 przy pomnożeniu siły zbrojnej otrzymał stopień porucznika i dowództwo szwadronu litewskiej buławy i zostawał na nim aż do zamknięcia kampanii 1792 r. W r. 1794 skończył swój zawód jako brygadyer na polach maciejowickich.

Cała część pierwsza Dziennika Kopcia, jest raczej pamiętnikiem o dwóch kampaniach 1792 i 1794 r, dla badacza tego okresu, nieobojętnym jest materiałem. Następne właściwie są dopiero dziennikiem osobistym. Wartość dzieła stanowi treść jego równie ważna jak zajmująca, nie ma zalety ani ze stylu ani z języka: bo też autor od najmłodszych lat mając do czynienia więcej z szablą niż z piórem, nie miał czasu pracować nad wyrobieniem sobie gładszego stylu.

Sześć rycin litograficznych, podług własnoręcznych rysunków Kopcia, przedstawia główniejsze przygody i wypadki, w ciągu podróży jego do Kamczatki i powrotu: dodaną jest nadto w kroju arkuszym mapka Kamczatki i objaśniająca całą jego podróż.

K. Wł. W.

Popiel i Piast, tragedia w pięciu aktach, z podań i legend historycznych, wierszem, przez Mieczysława Romanowskiego. We Lwowie. Nakładem Karola Wilda. 1862 r.

Niedawno temu, z okoliczności *Poezyi ostatniej godziny*, oddaliśmy cześć ostatnią jednemu z mistrzów słowa, umilkłemu na wieki w połowie drogi; dziś niech nam wolno będzie rzucić kilka kwiatów na świeżej mogile poety, zgasłego w samym zaraniu dni swoich.

Nie zbyt jest liczny poczet prac jego ducha; ale bo też i nie długo gościć mu przyszło na ziemi. W tém jednak, co od czasu do czasu dawał światu z siebie, widnieje pragnienie światła i rosy ożywczej, i co za tém idzie, nasiąkanie prawdą, wzmaganie się w siły, aż i dojrzewanie stopniowe tego kwiatu duszy, który, jak słońce ku słońcu, wiecznie koroną swego czoła ku ideałowi się obraca. Kiedyś postaramy się może dać nieco zupełniejszy obraz tego tak krótkiego a tak już zapełnionego zawodu;

dziś ograniczymy się tylko na zdaniu sprawy z ostatniego dzieła młodego mistrza, w którym, sam nie wiedząc o tém, wystawił sobie pomnik grobowy.

Ale też zaprawdę, piękny to pomnik! Zwykłym to jest, jak wiemy, udziałem pracowników ducha, że długo po ich zgonie, wieki nawet, we własnych dziełach ich, niepożyтым widokiem oglądać można treść ich żywota, niby napis na mogile, który opiewa zasługi zmarłego, zwyczajnym ludziom obcą, choć życziwą dłonią kreślony. Ale są tacy co przeżyli własny swój pomnik. Niektórym Opatrzność daje umrzeć w porę. Tacy przechodzą w wieczność jak pieśń skończona. Wygląda to nieco na kazuistykę; pieśń mogła potrwać dłużej, mieć rozwinięcie jeszcze zupełniejsze, zwroty, zakończenie mniej spodziewane. Ale mógł także koniec jej nie uwieńczyć dzieła: i to się zdarzało. Mówiąc to, wyobrażamy sobie pomnik chwały w postaci obelisku. Ostry jest a iglasty szczyt jego, i wygląda cały jakby był skamieniałym promieniem wypadłym z oprawy słonecznej. Przeciwnym krańcem wrósł w ziemię, niby ogień Prometeusza wykradziony z nieba. I tylko o różowym brzasku i o zachodnich pożarach przypomina sobie słońce pokrewieństwo swoje z tym zabytkiem lepszych czasów, bo zresztą objęły go zewsząd drzewa dumającym cieniem. Niestety! niechże choć na czole jego zwiesza się z ukośsa wieniec wiecznie świeży, któryby z równym uczuciem mogła zwilżać rosa ziemską, jak całować niebieskie słońce.

Rzecz, o której mówić mamy, jest właśnie wieniec, który godnie zawiesić można pomiędzy ziemią a niebem, jako ostatnie, najwyższe słowo wieszczą kończącego arcydziełem. Nie zdaje nam się, żebyśmy powiedzieli zbyt wiele. Jest to mistrzowska robota. Nie zrobimy ujmy jej sprawcy, porównyując go z tym lub owym pisarzem, lub dzieło jego z tym lub owym utworem. Zgasły poeta myślał samodzielnie, szedł o własnych siłach, dorabiał się własnymi środkami, stworzył rzecz istnie piękną, okazałą, okrągłą w sobie, pełną świeżości uczucia, pełną prawdy i przeto potęgi. Szlachetny wzlot ducha zewsząd opromienia to dzieło w sposób jednostajnie zwycięzki. Obrazowanie tam śmiałe, więc silne; rysunek wszędzie dzielny, szeroki: zład światła i cienie zarówno energiczne. Jest to dramat wysokiego nastroju, nawet istotnie może tragedia. Taka tam potężna, pełna wagi sprawa, tacy tam bohaterowie, takie walki duchów! I co za życie, co za ruch misterny! I obok tego, jest to raczej związane słowo z wielkiej przeszłości. Niby tajemnicze

runy, więcéj jeszcze dające do myślenia niż wypowiadają wyraźnie. Akcyą wre jak rwisty potok, przedmiot rozwija się z gorączkowém wyuzdaniem rozkręcającéj się sprężyny, zajęcie wzrasta jak lodozwał pchnięty ze szczytów prujących obłoki. Jednak przemądrze obrachowany spadek téj powodzi wrażeń, miarkuje jakaś osobliwsza wstrzeniéżliwość stylu, jakiś nieujęty powab formy, wdzięk szczegółów i okrągłość całości. Rzecz prosta bardzo, i dająca się streścić w jedném słowie. Na dnie tego przeczystego źródła, z którego poeta pełną dłonią czerpał natchnienie, mieszkała prawda, wiekuiste pigtkno.

Czas wreszcie bliżéj rozpatrzyć ten utwór niepospolity.

Przedmiot do niego wzięty jest z téj skąpéj przeszłości naszéj, sterczącéj już tylko *Myszą wieżą* ponad rozsypujące się mogiły, których nawet i nie bardzo warto radzić się, tak są nieużyte. Od czasu do czasu, świętokradczy rydel wydrze im z łona: to niezrozumiałe jakieś bogi, to zagadkowe napisy, to sprzęty niewiadomego dziś użycia, to naczynia łez pełne, czyich i po kim, i z jakich czasów? któż zgadnie? Czasy te żyją już tylko w podaniu, życiem wątkém, senném, przezroczeniém, odepchniętém z pogardą przez historyków, przez kronikarzy dobrodusznie spowitém w symbola i allegorye; tak, że więcéj tam całunu jak ciała. Istotnie zaś, nie żyje już dla nas przeszłość ta, skoro się jéj nawet pieśń zaparła. Wiemy tylko, że nagrzeszyła nie mało, i że jéj za to zapłacono co się słuszenie należało. Jakieżmiż tedy słowa zdjąć z niéj czarodziejskie zaklęcie? Jakieżmiż rozmówić się z nią? w jaki sposób skorzystać z jéj zwierzeń, gdyby się je nawet podsłuchało? Dla dziejopisarza same tu bezdroża i nieużytki, bo z tradycyi nie wykroisz nic nad hipotezy, a historia jest wielką matematyką duchową, którój koniecznie potrzeba trzech danych, jeśli ma wynaleźć wyraz czwarty. Ale orli wzrok wieszca, z wysokości chmur ogląda widnokręgi, znane już tylko *widzącym* z po za świata. On, spojrzeniem nawykłem patrzeć w słońce, zagarnia je na własne państwo swoje; widzi gdzie szczyt niebotyczny, gdzie przepaści mogilne, bo mu wolno przeczuwać, wolno mu nawet stworzyć, czego odtworzyć niepodobna.

Był poeta, co w tych samych, odepchniętych daleko przestrzeniach, wypatrywał przedmioty do swójéj liry. Twórcza wyobraźnia jego umiała wysnuwać fantastyczne widziadła z téj mgły sennéj. Miały tylko wiotkie, rozplływające się zarysy; on

probował dawać im ciało. Do ciała dorabiał życie. Wkładał ogniki błędne w zagastę ich źrenice, wlewał pieśń w usta, w których mowy nawet nie było. Kazał im grzeszyć i cierpieć, kochać i rozpaczać, śmiać się i płakać. Mówimy tu o Słowackim. Przecież ten wieszcz, na podobieństwo mytycznej trumny Mahometa, wiecznie zwieszony pomiędzy dramatem i pieśnią, żadnemu z nich nie ślubował wyłącznie, nieustannie usiłował zenić jedno z drugim, zaplatać, powinowacić, wtłaczać w jeden akkord, nierzadko mniej strojnie. I potem, nazbyt go z jednej strony kusił do siebie Byron, nazbyt z drugiej pociągał Szekspir. Ostatecznie, Słowacki był raczej lirykiem z wrodzonego popędu; dramat zdaje się być tylko estetycznym jego przekonaniem. Probował nawet z pieśni tworzyć dramata (Balladyna); ale na tomiast każdy dramat jego jest tylko pieśnią podzieloną na sceny.

Powiedzieliśmy to już wprzód: nie chcemy i nie możemy porównywać Romanowskiego z kimkolwiek, tém mniej ze Słowackim. Dzieli tych dwóch mistrzów cała przestrzeń dwóch przeciwnych biegunów powołania. Romanowski urodził się poetą dramatycznym, tak jak Słowacki lirykiem. Zbliżyliśmy ich tylko przez chwilę, ze względu na wypadkowo wspólne źródło natchnienia; choć i ta jeszcze wspólność jest całkiem pozorna. To co Słowackiemu zdaje się losem tylko wypadło, tego Romanowski szukał wyraźnie; to co u pierwszego jest tylko sposobnością jedną z wielu, w to drugi włożył całą potrzebę swego ducha. Rozświecić promiennym błyskiem ten wielki przełom dziejowy, który naraz wyparł się swoich przodków, odepchnął ich w zapomnienie, na to, żeby sam tylko został protoplastą; wydobyć z rozwianego prochu życie potężne, tętniące; z prawdopodobieństwa wysnuć prawdę, z możebności przekonanie; podjąć to ogromne zadanie, wykazania wszystkich boleści porodu nowój ery, uprzytomnienia kataklizmu który pochłonął zużyte społeczeństwo dla nowych dróg w przyszłości, wysnucia z tej ciężkiej pracy ducha niepłatnej nauki dla pokoleń; zdało się naszemu wieszczowi obowiązkiem do spełnienia, należnym do przekazania potomności dziedzictwem, rozporządzeniem ostatniej woli przed zgonem.

Zaprawdę, niepoślednia to robota! Dlatego też godzien jest pracownik zapłaty święj. On dumiał i wpatrywał się wzrokiem *widzącego*; on pytał i wyraźnie słyszał odpowiedzi; on kochał i mógł co chciał.

Popiel i Piast, to zmierzch po jednej stronie widnokregu, po przeciwniej, brzask dnia nowego. To niby nagły przekrój Bożego miecza, podkreślający porachunek z przeszłością, dla rozpoczęcia nowego szeregu liczb, który będzie wartością, wszystkiego co poprzedziło. Miecz ciął, słysząc prucie, trzaskanie i łomot niepokojący dalekie echa. Stara monarchia Lechowa pada się w kęsy, oddawna już podgniły zręby tej świetnej niegdyś budowy. Spróchniały dach trzeszczy po nad głowami starych bogów, chwieje się pod nimi posada; za chwilę padną, gruchocząc się w wzajemnych objęciach. Zewsząd groza; próżno się chronić ku ścianom: tam wrogi taranami wała; próżno chceć zostać w środku: tam wichur uiezgody rozmiata ognisko domowe. Pośród trzaskawicy tej Popiel ujął berło przodków. Mniema, że je po staremu dzierży orlim szponem, ale darmo. Sprzął się z chrześcianką, zaraził zachodniemi powiewy, powalał o Niemców. Tu znajdujemy w zarodkach wszystkie przyszłe kłęski nasze: cywilizacją germańską, prywatę możnych, poniewierkę ludu wiejskiego. Co tu robić? ha! wszystką władzę w jedną dłoń zgarnąć. Tak też i radzi młoda i piękna małżonka; do tego ona czytać i pisać umie, ją uczyli mnisi łacīnscy. Dobrze to, ale z ludu wyszedł pierwiastek władzy. Więc Popiel naprzód w lud uderzy. On zegnien ten kark zbiorowy i położy na nim z razu nogę wojewodów; o karku wojewodów pomyśli z kolei. Kmiecie wiec mają, niech nie będzie wiecu. Zadumał się Piast stary, ale co tam zważać na to! A tymczasem co się to tam dzieje u Odry? To łacīnnicy zawitali ze swoim Bogiem. Niby łacīnnicy, ale właściwie Niemcy drapieźni; niby z Bogiem, ale właściwie z szatanem. Niby zawitali, ale raczėj jak zwykle, zwalili się całym brzemieniem jarzma, gwałtu, mordów, pożogi i grabieży.

W tém miejscu rozpoczyna się rzecz dramatu.

Żóraw, rycerz zaodrzański, przybywa w imieniu swoich błagać wsparcia Popiela. Jednocześnie przybywają i posłowie niemieccy, uderzyć sojusz ze świeżym sąsiadem. On? sąsiadem Niemcom? z kąd i jakim prawem? Budzi się orzeł. Popiel trzymać chce z Zaodrzanymi braćmi. Próżno Niemcy znoszą dary. Płaszcz szkarłatny widocznie jest w krwi Zaodrzan prany. I jeszcze o hołd im chodzi. Precz nędznicy! Tak więc wojna będzie z najeźdnikami Słowiańszczyzny. Wojna wybucha. Ale jak wiemy, kmieciom odjęto stare prawa; więc się mają na uboczy. Możliwoby skorzystać z tego położenia rzeczy dla własnych zysków. Tedy zmagaw się pięciu książąt stryjów Popiela, odstąpić go w najcięższej bitwie. Niby przysięgają się z Niemcami wspomagać ich, ale właściwie

radziby zgubić obie strony, wyczekując skutku, aby potem uderzyć na zwycięzców. Pogorsza niebezpieczeństwo tego położenia trzymanie się bierne trzech wojewodów, którzy zatrwożeni krzywdą kmieci, wybrali stanąć po ich stronie. Przychodzi do spotkania z Niemcami. Zdrada wypływa na wierzch. Wszakże król w przystępie słusznej wściekłości, nie wiedząc kędy ugodzić, mięsza winnych z niewinnymi i na oślep uderza gdzie trafi. W tém miejscu wzmaga się pathos dramatu. Popiel raz już zwalany krwią brnie dalej. Potęga silniejsza niż wszystkie względy, nieubłagane pcha go do działania na przebój. W tém, w czém wprzód uważał tylko umocnienie władzy, dziś widzi niezbędną polityczną, warunki bytu. Wymierza stanowczy zamach w kmieci, ale cios przechodzi im po nad głowami; uderza w stryjów i cios wraca w własne jego piersi. Zrywa się z nagłą matka jego, stara orlica, i gromem przekleństwa kruszy dumne czoło zbrodniarza. Ona z kmieci wyszła, do kmieci téż wraca; ale z nią i błogosławieństwo Boże.

Wśród tych szatańskich zapasów, niby zjawiska z lepszego świata, skaniają się święci wysłannicy Pańscy szukający męczeństwa. Odpychani wracają, aż wrócą i zostaną: bo to co oni mają z sobą, koniecznie przyda się prędzej czy później. Ozłaca téż dzieje te grozy i szamotania pełne, tkliwa miłość Ziemowita, syna kmiecego ku słodkiej królownie. W pierwszym przeblyska świt niedalekiego odrodzenia w Prawdzie; z drugiego wyjdzie narodowi odrodzenie polityczne.

Idźmy dalej.

Nie padli ci którzy byli powinni. Pozostali stryjowie, poślubwszy zemstę z osobistą korzyścią, zmówili się zwalić Popiela i podzielić się jego łupem. I jak bywa w takich razach, jeden z nich przedsięwziął potajemnie sam tylko przeżyć drugich. Jest to Zbigniew, ten sam, co już raz namówił braci do zdradzenia Popiela. Jednocześnie, po dzielnicach pomordowanych książąt, rycerstwo obwołuje władców nowych. Niektórzy téż wojewodowie ogłaszają się udziałnemi książęty. Wszczyzna się rozkład powszechny, nigdzie hamulca ni klamry, a kmiecie milczą uparcie. Ha! co tu robić. Kmieci przypasać sobie jako miecz do boku. Popiel da za żonę Ziemowitowi własną siostrę swą, która kocha dzielnego rycerza. Nic z tego. Dumny kmieć odepchnął szczęście syna, bo on żąda uczczenia praw starych, a nadewszystko czystości ofiary, ale nie wyniesienia się własnego. Także i nie na darmo dosłyszano w niebie przekleństwo Matki Rodu. I nie u bogów już wybłagać jej odwołanie przekleństwa. Oni ogłuchli już, ostygli, czy

tęz zabierają się do odejścia. Do jakiegożby tu innego Boga się zwrócić? gdzie i kiedy?

Tymczasem kamiennym, nieubłaganym krokiem, zbliża się kres fatalny. Z trzaskiem gruchoczą się ostatnie deski ocalenia, i Popiel, obezwładniony Tytan, wraz z całym niepotrzebnym już na ziemi rodem Lecha, zapada w otchłań przeszłości, która zamyka się na wieki po nad wyniosłą jego głową.

Grobowa cisza nastaje nagle po tej wrzawie tak niedawnej. Teraz dopiero, lub nigdy, dosłyszany będzie głos prawdy. Palec Boży przesunął się po krwawej karcie zaciągniętych długów i zmaszał winy. Więc na tej roli świeżo zaoranęj mogiłami, rozsiada się olbrzymi wiec społeczny, w którym naród rolniczy święci sobie uroczystość pojednania, przebaczenia i zapomnienia. Jedyna pozostała jeszcze ujemna potęga z Lechowęj rzeszy, stara królowa, kona w łasce krzyża, oddając córkę zbawcy swego narodu. Wtedy Piast wdzięcznym sercem przyjmuje dla syna ten dar sierocy, jako dziedzictwo dobrej woli i zakład nowego przymierza. Aliści oto i błogosławieństwo niebios życzy sobie spocząć na tej głowie sędziwéj. W natchnieniu proroczym, lud jak jeden człowiek, wykrzykuje Piasta królem. Najprzód lud, potem łączą się i rycerze, aż wreszcie i pojednani wojewodowie rodów. Święty mąż namaszcza błogosławieństwem ten węgielny kamień nowéj budowy, która niebawem rozednieje światłością Prawdy.

Mogliśmy dać zaledwie nagi szkielet przedmiotu; więcéj szczegółowe rozwinięcie treści uniosłoby nas zadaleko.

Jest to wspaniała, szeroka robota. Zachwycająca w szczegółach, przedziwnie okrągła w całości. Duchowa strona dramatu uderza głęboką znajomością serca ludzkiego, sumiennemi studjami namiętności, ale nadewszystko niepospolitym poglądem historyozoficznym. Osobliwsza trzeźwość nastroju sprawia tę, że pomimo całego wrzenia akcji, pomimo bardzo wielkiej liczby działaczy, nie ma tam ani wrzawy tonów, ani zamieszania w obrazach, ani choćby zbytecznego słowa. Fantazja tęz poety, acz wielce rozbujała, w związłości się kocha; i to się jéj liczy za kunszt misterny. Charaktery rysowane silnie, wprawną ręką, rzadko nawet z profilu tylko

Popiel jest ogniskiem obrazu. Niewypowiedziana energia, z jaką jest pomyślany ten duch niespokojny a wyniosły, przypomina kreacye Michała Anioła. Dziwnie jest konsekwentny. On zgnieciony nawet, zmięty jak żdźbło w pięści przeznaczenia, jeszcze nie inaczej umrzeć chce, jak wszystkich swoich zagarniając

z sobą; na podobieństwo zwalonego dębu, w pobliżu którego nie się nie ostoi. I jeszcze, on tylko z własnej dłoni umrzeć raczy. „Gdzie Popiel?” pytają wpadając rycerze. A on, unosząc się na zboczonej prawicy: „Ginie, powiada, jak królom przystało: z swęj własnej ręki”. Ten to sam duch krnąbrny, gdzieś na początku dramatu wybierając się na wyprawę, kiedy go żona trwoźnie pyta: „kogo stróżem zostawi w swęj strzesze”, powiada butnie:

Ja miano „Popiel” w powietrzu zawieszę.

A strzedz was będzie postrach tego miana.

Matżonka ta wielce ukochana, jest niby duchem złym Popie-la: albo raczěj stroną ponurego cienia, który hojnie nakłada na obrazie nieubłagany kazuizm, w osobie mnicha towarzysza królowej. Ale podobno i on sam także jest tylko marnym pędzlem w ręku przeznaczenia.

Stronami obrazu poglądającemi ku słońcu, są charaktery: staręj królowej, otulającęj się do mogiły całunem padłego już w szmaty majestatu; królowny, stanowiącęj słodki zadatek nowęj zgody ducha; Piasta, uosobiającego w sobie lud kmiecy i Ziemowita odnawiającego stare rycerstwo Lechowe wyszłe od skiby rolnęj.

Ale osobliwszą glorią dramatu jest święty apostoł Metodyusz. Nie potrafimy wypowiedzieć dziwnęj wstrzemięźliwości, z jaką nasz poeta umie tą przebłyskującą dopiero ideą odrodzenia, wyzłacać, że tak powiem, bronzowe tony staręj bohaterskięj epoki. Jest w tém jakaś dziewicza, prostoduszna, anielska prawda, jakaś pokorna ale wytrwała cierpliwość. Pozwolimy sobie załączyć tu kilka przykładów w tym względie; nie obiecując jednak dać z nich pojęcia o całości. Bierzemy je nawet na chybił trafił, taki tu kłopot w wybieraniu.

Jest to na polu bitwy, właśnie w najtęjszęj potrzebie. Święty apostoł ze swym pomocnikiem, staniają się pomiędzy walczącemi, grzebiąc poległych, usiłując nieść ratunek rannym, lub jeśli się uda i zbawienie konającym. Właśnie tylko co Popiel położył był trupem nastanego na siebie przez stryjów skrytobójcę. Napotkawszy te zwłoki, święci znoszą gałęzie z lasu i ścielą z nich łozę w ziemi. Na to król nadchodzi:

Popiel (*poglądając na nich, do siebie*).

Dziwni! lica mają smętne,

A od ich spojrzeń serce jak wosk mięknie.

Jak oni tego trupa grzebią pięknie!

Jak ptacy liście znoszą mu zielone
Na gniazdo.

S. Metodyusz (*zbliżając się*).

Królu! twe roznamiętnione
Serce, na oślepie przewala się w grzechy,
A gdy ci smutno, nie wiesz gdzie pociechy
Gdzie sobie szukać światła, które leczy.

Popiel. Światłem mi sława, troski miecz niweczy.
Lecz zkąd wy? kto was do mnie tu przysyła?

S. Metodyusz. Mój Bóg.

Popiel. Twój? który? jaka jego siła?

S. Metodyusz. Miłość u niego mądrością i siłą.

Popiel. Miłość?

S. Metodyusz. A ziemia dlań jest córką miłą.

Popiel. Lecz ja chcę poznać moc jego ramienia.
Cóż on przesyła dla mnie?

S. Metodyusz. Krzyż zbawienia,
I spokój ducha tu i tam w niebiosach.

Popiel. Ha! twój Bóg ciernie ma na płowych włosach,
I kona we krwi blade. Moje bogi,
Kiedy w niebieskie tam zadzwonią rogi,
To świat się deszczem piorunowym pali,
Kto jak ty, kij ma, a nie miecz ze stali,
Konającemu bogu niech się kłania....

Teraz z ostatniego aktu, scena śmierci Bożenny (stariej królowej):

(*Przed chatą Piasta*).

(Piast i Rzepicha prowadzą Bożennę; Kalina idzie przy Ziemowicie, za niemi kilku kmieci i rycerzy).

Bożenna (*do Piasta*).

Nikt nie kłął? (*) Na cóż przeklinaćby mieli!
Tęmy mi bólu, ni lat nie ujeli,
I onby nie wstał, aby umrzeć znowu.

Piast. Przysłuchiwałem się każdemu słowu.
Żadnych złorzeczeń nie było przy stosie.

Bożenna. Nie raz pociechę czułam w ludzkim głosie,
Dziś mi pociechę dawało milczenie.
Nie mówcie o nim nigdy! przebaczenie
Krzywd doznawanych, nigdy nie wspomina.

(*) Mówi tu królowa o pogrzebie syna, tylko co odbytym, z którego właśnie wracają przytomni.

Rzepicha. Umarłych tylko serce złe przeklina.
A jeśli zdola pocieszyć was słowo,
Powiem wam, żem łzy widziała, królowo.

Bożenna. Łzy?... Bogi!... *(do Piasta)*.

Nie — nie — pod lipę. Tu jasno
I wonno. Słońce widzę. W chacie ciasno.
Tu siądę, Piaście... Wszystkie liście w złocie....
Tu się zatrzyma jego duch w przelocie
Nad głową matki, ptak, wędrowiec smętny.
Tu bezcielesny już i beznamiętny
Umierającęj przekleństwo przebaczy.

Kalina *(u nog jej)*.

Matko!

Bożenna. Kalino! Zbądź z serca rozpaczy.

Matce twój umrzeć trudno, gdy cię słucha.
Cicho!... Czy słyszysz w górze jego ducha?
Leci pod słońce jasne, i muie woła.

Kalina *(z płaczem)*. Nie, Matko!

Bożenna *(do Ziemowita)*.

Przybliź się i pochyl czoła.
Ty dobre serce masz dla téj sieroty,
Ja błogosławię ci rycerzu złoty.

(Do Rzepichy i Piasta).

A wy téj córce bądźcie rodzicami.

(Piaś i Rzepicha kłękają).

Bożenna *(wznosząc ręce nad niemi)*.

Tak! tak!

(Wchodzi Św. Metodyusz).

S. Metodyusz. O! chwała Panu nad panami!

Jeszcze przy życiu...

Bożenna *(do Kaliny)*.

Cicho! chwilkę ciszy,

Bo przebaczenia matka nie usłyszy,
I skona smutna tak, bez przebaczenia.

S. Metodyusz *(wznosząc krzyż)*.

Nie. Tam na ciebie czeka Pan Zbawienia,
I Pan Miłości. Przytul krzyż do łona.

Bożenna *(wpatrując się w świętego)*.

Młodzieńcze! dłoń twa nademną wzniesioną,
Syna mojego głos odezarowała.
Przebaczył!... Niknie w mgle... Tam droga biała
Stacza się z niebios ku mnie... Idę!

S. Metodyusz. Z krzyżem!

Bożenna *(wgciąga rękę do krzyża i dotykając go konu)*.

Kalina *(rsucając się na nią)*.

Matko!

S. Metodyusz (*kładąc rękę na jej głowie*).

W niebiosa uszła skrzydłem chyzém.

Budowa dramatu wielce jest misterna; zewsząd symetryczna, pełna harmonii. Układa się niby w foremą piramidę równego na obie strony spadku. Akt środkowy jest istotnie najwybujalszym szczytem tego kunsztownego zbiorowiska wrażeń. Stanowi on niby przełom w tej szatańskiej gorączce, na którą ciężko się rozniemogła dusza Popiela; potem nastąpi już reakcyja.

Pomimo szczupłości zakresu, nie możemy się odjąć pokusie wypowiedzenia choć niektórych piękności tej części dramatu.

A najprzód, ponieważ głównym prawie działaczem w tém miejscu jest żona Popiela, wypadnie i o jej charakterze wyrzec słów kilka. Jak powiedzieliśmy wyżej, jest ona poniekąd złym duchem Popiela. Ale to nie Lady Macbeth bynajmniej, to nie żadna zbrodnia zimna, wyrachowana, samolubna; to kobieta młoda, pełna powabów: to raczej kusicielka w dobrej wierze, wychowanica innych pojęć, zwyczajów, form towarzyskich; dotkliwie urażana na każdym kroku: to surowością cnót społecznych obcego sobie narodu, to pierwotną prostotą jego życia, nie znającą jeszcze żadnych wymysłów zamorskiej cywilizacyi. Ona dotąd była tylko ślepem narzędziem w ręku mnicha swego powiernika.

Mnich ten zaś, Niemiec z rodu jak i ona, uosabia w zarodzie przyszłą plagę Słowiańszczyzny: krzyżactwo, pobielane groby pełne wewnątrz plugastwa i zgnilizny, Bractwo apostołów noszących na piersiach godło wielkiej idei, ale w sercu pychę tylko i chciwość. Powiadamy w *zarodzie*, bo istotnie i mnich ten niemiecki jest jeszcze w dobrej wierze. Tak dalece, ta chwala już powyżej przez nas wstrzemięźliwość sądu młodego poety, umie się i w tym razie wzniesć ponad słuszne względy narodowego rozżalenia. Wróćmy do królowej.

W chwili o której mówimy, już ona nie potrzebuje podseptów niczyich. Ziarno złego niepłonnie wprawdzie padło na tę rolę, ale też rola była żyzną. Odtąd mnich schodzi na drugi plan, królowa pójdzie dalej o własnych siłach. Stała się matką. Ona jak tygryca rzuci się teraz, zanim kto przystąpi do jej dziecka; ona teraz choćby z ołtarza weźmie, byle dała synowi:

ona dopiero matką się stawszy, stała się zupełną. Ale nie uprzędzajmy wrażeń.

Wśród wrzawy bojów, syn się rodzi Popielowi. Już tylko co miał uleźć dobrym popędem, kiedy przerażająca loika podmuchów złęgo ukazuje mu na oczy obowiązki nowe, nowe prawo do uprzątania zawad, nową drogę na przebój. Stara królowa, obstając przy dawnym zwyczaju postrzyżyn, wymagającym zebrania całej rodziny pod jeden dach wspólny, usiłuje pogodzić syna ze stryjami. Popiel ulega, ale jak tygrys walczący pod groźbą chłosty żelaznego pręta. Piast służy w tym razie za pośrednika. Królu, powiada, wracając ze swego poselstwa:

....Rycerstwo cieszy się nowiną,
I wraca do dom, z kąd wam przyszłe dary.

Popiel (z oburzeniem). Rycerstwo moje cieszy się?! Idź stary!

Wy wszyscy razem kochać nie umiecie,
I nienawidzić...

Tymczasem czuwa młoda królowa. Ona jedna kochać potrafi, ona i nienawidzić. Stryjowie zginą potrući. Sceny pasowania się, a następnie powolnego oswajania się Popiela z tą myślą, są niezrównanej piękności. Przytoczymy z nich choć jedną. Popiel tylko co się był rozszedł z żoną, wchodzi na scenę, i niespodzianie zastaje Piasta:

Popiel (spostzegając Piasta).

Z czóm kmieciu?

Piast (pokazując kosz). Z darem.

Popiel (przystępując do niego). Patrz mi w oczy, stary.

Ty—wiesz!?

Piast. Co, królu?

Popiel (chwyając go za ramię). Przez jakie ty czary

Wiesz? Czemu ty się wpatrywałeś we mnie?

Starcze! ty żywy nie wyjdiesz odemnie.

Mów.

Piast. Co mam wiedzieć? Czy to wna tak dziwi,

Że chodzę smutny? Niech się nie przeciwi

Oko tve królu smutkowi naszemu,

Smutku i bogi nie bronią.

Popiel (opamiętywając się).

Idź! twemu

Słowu ja wierzę. Idź do domu stary,

A nie patrz nigdy w królewskie zamiary.

(Piast odchodzi).

Popiel (*sam*).

Jak cicho temu starcowi na świecie!
 Patrzył się na mnie jak na zdroźne dziecię,
 A w oczach śmiech miał pomieszany z łzami.
 Gdzie ja? Gdzie Popiel, co niegdyś z bogami
 Niebios na równi, ważył moc swęj duszy?
 Dziś już oczyma kmięć mi łono kruszy,
 I może patrzeć w nie, jak w dzban rozbity. .
 Biada im za to!.. Chociażby błękity
 Jak noc zczerniały, i piorunów zdroje
 Z bogami spadły na mnie... ja dostoję!
 Duszo! (*Otwierając okno*).

Tam chmury i we mgłach dzień szary...
 Niegdyś ojcowie spełniali tu czary,
 I jak świat światem, nie slychać w narodzie,
 By kto truciznę podał gościom w miodzie.
 O nienawiści moja! wrzej mi w łonie!
 Jeśli trucizny tkną się moje dłonie,
 Niech mi się zdaje, że to miecz!...

Ale otóż zjeżdżają się książęta. Już dwóch zginęło w przeprawie przez jezioro. Uczta jest na zamku Popiela. Stara królowa gościem jest u syna, jak już dawno nie było. Adela hojnie nalewa czary.

Władysław. Nalejcież miodu! A kędyż dziecina?
 Lech tu panował, Lechem nazwiem syna.

(*Podnosząc czarę*).

Niechże wam rośnie zdrowo, niech się wślawi,
 Niech znów po sobie Lecha pozostawi:
 Imię to z szczęściem chodzi u nas w parze.

Adela (*podnosząc czarę*).

Po uczcie, syna mego wam pokażę:
 Teraz dziękuję.

Książęta (*podnosząc czary*). Na szczęście dziecinie!

Popiel (*do Adeli ze zgrozą*).

Patrzaj, wypili, i żaden nie ginie.

Adela. Tchórzcu — pij.

Popiel. Oni dziecko jadem czcili.

Nie mogę.

Adela. Pij!

Popiel (*patrzy po stryjach, podnosi czarę, potem ciska ją o ziemię i porywa miecz*).

Nie!

Bożenna (*wstając*). Miecz? Cóż ci się stało?

Popiel (*chowając miecz*).

O! nie już, matko. Mnie się przesłyszało,
Że rogi dzwonią.

Bożenna. Cóż cię róg przeraża?

Popiel. Co? kmieć mi matko buntami zagraża,
Więc postawiłem strażników na wieży.

Bożenna. Oddaj ty kmiociom co im przynależy,

A kmieć obejmie straż nad twoją głową,
I w każdą, synu, godzinę gromową
Będziesz miał z niego i broń i puklerze.

Myslisz, że długo potrważą te wieże
Pod siekierami, jeśli kmieć powstanie?

Cierpliwie znoszą kmiocie uciskanie,

Bo spodziewają się, że ja ci, synu,

W sercu rozniecę znowu miłość gminu.

Ja, która z ojca od kmieci pochodzę,

Ja ich nadzieją, ja im dolę słodzę.

A wiesz, co będzie gdy ja zawrę oczy?

Krew tu się wasza strumieniem potoczy.

A gdzie kmieć zemstą i bronią zaświeci,

Tam w proch się puklerz wasz i gród rozleci.

(*chwila milczenia*).

Adela (*do króla*).

Golębiu! Matka odpowiedzi czeka.

Popiel (*do Bożenney*).

Zrobię mir kmiociom.

Bożenna. Niech się nie odwleka

Ten mir, Popielu. Szanuj zwyczaj stary.

Adela. Zły z was gospodarz; wszędzie próżne czary.

(*Ciszéj do Popiela*).

Mężnie Popielu! To się wnet już stanie.

Popiel. O mów! mnie trzyma twoje szczebiotanie.

(*Nalewają czary*).

Władysław (*podnosząc czarę*).

Dobrze bogowie o tym synu radzą,

Któremu, królu! taką matkę dadzą

Jak twoja matka. Jak orlica biała

Pilnuje gniazda, które ukochała.

Żyjcie nam długo matko Popielowa!

(*Wypija czarę, nagle chwyta się za piersi i pada*).

Umieram! W ogniu moja pierś i głowa! (*kona*).

(*Wszyscy wstają i patrzą na Popiela, który z złożonemi rękami patrzy na umarłego*).

Bożenna. Przez bogi! Co to?

Popiel (*nieprzytomnie*). Tak! to jedno, żono:

Czy wejdzie szabla, czy trucizna w łono;

To wszystko jedno, i lepsze od wojny ..
 Patrzą! jaki starca objął sen spokoju!

Bożenna. Zbrodnia!

Przemysław i Ziemomysł. Trucizna!

Popiel (*przychodząc do siebie*).

Struciście! każdy za chwilę tu skona.
 Lecz moje serce dłużej nie wytrzyma,
 Byscie mi wadzi jak psy, przed oczyma,
 Bez walki mieczem. O! moi stryjowie!
 Ten jad nie wylął się w Popiela głowie.
 Ten jad... nie tknęły go się ręce moje!
 Ten jad... ja chciałem toczyć z wami boje...
 Gińcie rycersko!

(*Porywa ze ściany trzy miecze i rzuca między stryjów, potem sam dobywa miecza*).

Oto macie miecze!

Uderzcie! we mnie serce jest człowiecze!
 Jest krew! miecz ostry wejdzie w piersi moje!
 Do zemsty! Trzech was.. ja sam jeden stoję!

(**Przemysław, Ziemowit i Wrocisław** *rzucają się do mieczów i padają bezsilni*).

Popiel. Nie gińcie! wstańcie! ja chcę walczyć z wami!

Stało się! wszyscy cichemi trupami...

(*Porywając Wrocisława za rękę*).

Wstań ty! ha! Nic już ciebie nie ocuci?

O!... (*rzucając miecz*).

Prez!

Bożenna (*nieprzytomnie*). Czy to syn?

Popiel. To ja!... a tam wrog!

Z po za chmur na mnie nie patrzyły bogi

Oczywa słońca...

Bożenna (*przychodząc do siebie*). Kalino!

Kalina. Pójdźmy ztąd, matko!

Bożenna (*chwytając ją za rękę*). Czekaj! mnie się marzy,

Że jasny piorun w mych się piersiach waży,

I pyta: którą pierwej strzaskać głowę?...

.....

Tak mówi stara królowa, zanim pełną piersią wyrzuci potrójne przekleństwo. Jestto scena przerażającej prawdy.

W ogóle, zewnątrznie nawet rzecz biorąc, układ sceniczny dramatu nie pozostawia nic do życzenia. Z prób któreśmy przytoczyli (a nie wybraliśmy miejsc najpiękniejszych, dając tylko co się nadarzyło), widzieć można, jak potężnego byłby wrażenia, odegrany żywem słowem.

Powtarzamy, jestto rzecz zewsząd piękna, okrągła, dziwnie strojna, dziwnie skończona w sobie. Może byłoby co do zarzucenia budowie wiersza nie dość wykończonój; wszakże ze względu na porywającą potęgę dykcji, mamy to za rzecz podrzędną, zwłaszcza że w deklamacyi nie łatwiejszego jak zaradzić temu kosztem wcale małym. Najczęściej dość poprzekładać wyrazy, a harmonia sama podpływie. Widać ztąd tylko, jak dalece natchnienie wieszczą wyprzedzało u niego chłodne zastanowienie, i jak nie wiele tylko mógł dawać czasu łamaniu się z wymiarami słowa.

Na tém zakończymy nasz pobieżny przegląd niepospolitego dzieła.

Nie mamy przekonania, żebyśmy dać mogli choć słabe o niém pojęcie; dlatego śmiało odsyłamy czytelnika do jego własnego sądu, bo pewni jesteśmy, że wczytawszy się oczyma, czytać będzie sercem. Istotnie jestto utwór, do którego się przywiązać można. A cóż dopiero, pomyślawszy sobie, że to ostatnie już dzieło. Że po za wieszczem który je stworzył, zatrasnęły się już podwoje wieczności, że był młody i zaledwie na początku swój drogi. Może pociągnie przykład nasz pióro jakie zdolniejsze; myśmy tylko chcieli, ile słabych sił naszych a potężnej chęci, oddać hołd wspomnieniu wielkiej duszy i szeroko kochającego serca. Przeto na tój świeżej jeszcze mogile, niech nam wolno będzie drżącą ręką złożyć wawrzyn skropiony kilku łzami. Może wschodzące słońce przejrzy się w nich, jak w kroplach rosy mających wzbić się ku niebu..... (f).

*Jerzy Lubomirski, dramat historyczny, napisał Józef Szuj-
ski. Lwów. Nakładem Karola Wilda. 1863 r.*

Raczej z powodu niejakiego podobieństwa treści, jak z chęci porównywania co do wartości, spróbujemy zbliżyć ten utwór do poprzedniego. Nie chcielibyśmy jednak, żeby słowa te nasze, z góry niekorzystnie uprzedzać miały czytelników. Jerzy Lubomirski jest także piękną robotą, ale już nierównie umiarkowanięj piękną, powiedzilibyśmy nawet *w miarę* piękną, gdyby w tym względzie nadmiar był możebny. W miarę, rozumiemy tu po ludzku, po ziemsku, z pewnym stopniem udoskonalenia, ale i z grzechami jeszcze; z pewnym niepowszednim wzlotem ducha, ale i rozbijaniem się o te

i owe, nie dość przewidziane przeszkody: słowem, z pewną przewagą chęci nad wykonaniem. Właściwą tedy skalę porównania, jak powiedzieliśmy, stanowi tu niejaki podobieństwo treści.

Oznaczmy rzecz tę bliżej nieco.

Któż nie zna tego opłakanego ustępu w dziejach naszych, którego głównym działaczem (samowiednym, jak chcą mieć jedni, mimowolnym według drugich), był Jerzy Lubomirski. Król chciał na prawo dobra publicznego, Lubomirski pragnął, żeby zostało jak dotąd było; z tąd namiętności, prywata, aż i bratobójcze ciosy. Lubomirski, powiadają, stanął po stronie słabszej, w obronie praw, zrobił się stróżem bezpieczeństwa publicznego. Niestety! stroną słabszą był król, prawa były tylko wyłączością oligarchiczną, a niebezpieczeństwo groziło raczej od Szweda i kozaków. Z dwojga złego wolelibyśmy już rehabilitacją króla. Ten nędzarz okryty purpurą, życie swoje zużywa na bezużytecznych zapasach. Błaga z płaczem żeby go słuchano, prorokuje, nie wie już dokąd się zwrócić; wreszcie oddaje nazad koronę, która mu była tylko wieńcem z ciernia. Nieborak przybył za późno. Poprzednio już Batory nie poradzić nie mógł. A przecież miał Stefan siłę woli, tęgiego ducha i położenie mniej rozpaczliwe. Koniec końcem, wypowiedzmy prawdę nagą: Lubomirski był złym obywatelem, bo po prostu Sicińskim tylko, na większy rozmiar, i nie rozumiemy co nam przyjść może z jego rehabilitacyi. Za życia nawet byłaby zapóźną, a cóż dopiero po za grobem. Cechuje to poczciwą dążność naszego pokolenia, że radzibyśmy uszanować nawet mniej strojne głosy z przeszłości. Strzeżmy się jednak, żeby po nas nie powiedziano: żeśmy ponosili pracę Syzyfową. Wszak za dni naszych probowano nawet oczyścić pamięć Radziejowskiego.

Ale zostawmy to raczej historykom, a sami tymczasem bierzmy Lubomirskiego, jakim go nam dają poeci.

Streszczając rzecz, idzie tu o zapasy władzy królewskiej z dążeniami do jej zcieśnienia. Ośm wieków przedziela ten fakt historyczny od podobnego w dziejach naszych za dni Popiela, jak nas uczy tradycya; tylko że wtedy, prostaczy chłopski rozum odniósłszy zwycięztwo, ocalił sprawę narodową; tu zaś rozum szlachecki zdaje egzamen swojej dojrzałości. Idzie i tu o swobody, ale o swobody trochę już zaswobodne, i to nie tradycyjne, jak dawniej, ale pozdobywane różnemi czasy swawolą i targiem. Dlatego też tam kończy się walka tryumfem dobrej sprawy, tu zaś postawieniem na swoim i niewczesnym żalem. Dziwna to igraszka Nemezy dziejowej, to powtórzenie w karykaturze wielkiego niegdyś dziejowego prze-

wrotu, zaczynającego epokę. Bo ma i tu król swojego demona, w osobie żony, także cudzoziemki, i tak samo pada ofiarą jak tam padł; tylko skutki są różne. Nie będziemy porównania posuwali dalej. Bo zresztą ujmąby było Piastowi porównywać go z Lubomirskim. Pierwszy wziął koronę, bo była do wzięcia; ostatni zaś, kto wie czy nie próbował wiać ją, pomimo że miała żyjącego właściciela.

Jakkolwiek bądź, jest coś czy w przeznaczeniu tej postaci historycznej, czy też jak mniemamy, w samym założeniu chęci rehabilitowania tego co się rehabilitować nie da, że każdy kto się pokusił zrobić ją przedmiotem dzieła sztuki, koniecznie utknął mniej lub więcej. Szanowny Szajnocha, macając jeszcze drogi dla swych zdolności, spróbował na Lubomirskim dramatycznego pióra. Jest to z pewnością jedyna rzecz mierna, którą stworzył. Odynieć, na schyłku zawodu, jął się tegoż samego niewdzięcznego przedmiotu: wyszedł z tego dramat suchy, nudny, bez życia.

Szujski ma przynajmniej tę wyższość, że nie usiłuje stawiać Lubomirskiego na postumencie bezwzględnej cnoty i wielkości; przeciwnie, daje mu Achillesową piętę, może nawet więcej jak jedną, jak dwie. Zrozumiał go też, raczej jako bolesną igraszkę losów, jako człowieka pehanego fatalizmem, który zaszedł nie tam gdzie chciał, który dopiąwszy swego, przekonywa się w prostocie ducha że grubo zbłądził. Radby się zawrócić, ale już nie czas; więc siada na rozstajnej drodze pod krzyżem, i znajduje: że najlepiej zostać w miejscu, bo któż wie dokąd zaprowadzić może szlak idący w trzy strony?

Ale znowu cóż nam po takim bohaterze? Czy to ideał na złe, lub na dobre? Czy cel, w którym on tonie okiem, jest dostatecznie wielkim na tę lub na ową stronę? Wreszcie, czy ma on chociaż dość potężną wolę, żeby sam jeden był działaczem? Przeciwnie, prowadzony jest na pasku, w sposób nieraz istotnie rozpaczliwy.

Co większa, równie jego, jak i wszystkie kardynalne sprężyny dramatu, trzyma jedna (w rzeczy nader podrzędna) ręka, i to się tylko dzieje, co ona uzna za stosowne. Ona kłóci, jątrzy, popycha, rozdziela: słowem, gospodaruje jak się jej podoba. Należy ona do Grzymułtowskiego, istnej karykatury Mefistofila, któraby uszła za ledwie w melodramie. Figura ta, najmniej podobno szczęśliwie pomyślana, odgrywa tu rolę pierwiastku fatalicznego ze starych tragedj greckich. Nie raz tak go zanadto, tak jest głównym działaczem, tyle zastania sobą, że czytelnik mimowolnie zapytuje siebie: dlaczego dramat nie nosi raczej jego

nazwiska? Chciał w nim autor uosobić swawolę szlachty, rozkład społeczny, brak wszelkich zasad, tak przeważnie już wtedy gospodarujący w Rzeczypospolitej: słowem, miazmata złego, zdolne usprawiedliwić nie jeden zawrót głowy w politycznym zdrowiu Lubomirskiego. Wszystko to dobrze, i względnie rzecz biorąc, Grzymułtowski, jako figura rodzajowa, nie pozostawia nawet nic do życzenia; ale ilekroć zdrowa krytyka zażąda w Lubomirskim wyzwania bohatera, zawsze wtedy Grzymułtowski zrobi mu tę samą przysługę, jaką niegdyś zrobił Apollo Patroklowi, kiedy go obdarł ze zbroi, owszem, prawie do naga, na to tylko, żeby go tem wygodniej zabić mógł Hektor zwycięzki.

Tenże sam brak głębszego zastanowienia kierował autorem, kiedy Zamoyskiego przerzuca do partyi opozycyjnej, z tego mianowicie powodu, że się przekonał, jako mu się przemieszcza małżonka. Nie przeczę, jest to jednym więcej rysem charakteru tej epoki. Ależ znowu ta prywata, tak maluczka w stosunku do ogólnego interesu nadającego barwę dramatowi, postawiona zwłaszcza obok znaczenia takiej figury jak pan Zamoyski, obrzuca ją śmiesznością, która zapewne nie wyszła z zamiaru poety. W najlepszym razie, wojewoda sandomierski dokazał połączyć w jednej osobie Lubomirskiego z Grzymułtowskim.

Za to, wszystkie już inne postacie pozostają bez zarzutu. Są tu nawet charaktery niepospolicie ciosane od ręki. Do takich należy Czarniecki. Wchodzi on tylko ubocznie, ale to istny posąg bohatera. Nie możemy się odjąć chęci przytoczenia ustępu z trzeciego aktu, w którym on występuje. Idzie tu o sąd złożony na Lubomirskiego:

(*Wchodzi: Król, Prażmowski i Czarniecki*).

Czarniecki. Dwóch rzeczy imać czleku się nie godzi:

Szabla a statut, to ogień i woda.
Nigdy jak żyję nie byłem jurystą,
Ni nad aktami ślęczał w trybunale,
Nie mogę sądzić sprawy tej na czysto.

Król. Ale marszałka znacie doskonale.

Czarniecki. Tak. Czasem małe miewaliśmy spory;

Ale to właśnie sędziemu przeszkadza,
Bo *sine ira* ma być sędziów władza.
Dla tego z wszelką *submissyą* pokory,
Prosiłbym króla pana o zwolnienie;
Sądzić nie będę, nie da mi sumienie.

Prażmowski. Wszak sejm was wybrał, mości wojewodo,

Cofnąć się trudno, *nullo, nullo modo!*

A któż ma więcej prawa sąd wydawać,
 Jak ten, co Polsce pierwszą był obroną,
 Co zwykł był pierwszy przy tym tronie stawać,
 Aby ostatni kraju brać zaszczyty,
Pater tej sławnej Rzeczypospolitej.

Czarniecki. Sądzić i gadać mnie nie nauczono.
 Na co to wszystko? Wrogów zewsząd siła,
 A my się swarzym, klóćim, perorujem,
 Przędziem kabaly i światem wichrujem,
 Wszystko na diabła. Kiedy Polska woła,
 Wa a od klótni. Ordynkiem do boju!
 Bogu i królom schylić korne czoła,
 I bić, ażeby dobić się pokoju.
 A że wrogowi zaraz chuć urasta,
 Skoro rozpuścim język jak niewiasta,
 Toć królom większej mocy w Polsce życzę,
 A kilku królów nie lubię po kraju.
 Zgodą a z kordem! Ho! ho! najezdnicze
 Wnetby się bordy napily z Dunaju...
 A Szwed na jednej uciekalby nodze.
 Z tym katechizmem, na sądowej lawie
 Głupioby zasiąść, a i nie po prawie,
 Boć, jak Bóg miły, nie samby marszałek
 Ale i inni dekret swój dostali,
 A rejment cały zapalonych pałek
 Naprzódbym prosto posłał...

Król. Bogdaj my innych polityk nie znał.

Warszycki. Amen!

Czarniecki. Z hetmanem godnie począć radzę.
 Hetman ma wpływy, ma miłość i władzę.
 Dano mu pozew, to się wytłumaczy.
 Gdy nie, król u mnie go, gdy mu przebaczy
 Pomny affrontu, który mu uczynił,
 O związek w wojsku nie będę go winił.
 Cóż hetman winien, że żołąd nie płacony?
 Żołnierz co głodny, do polityk skłonny.
 A gdy się cała sprawa ta przewali,
 Wielką wyprawę radzę...

I znowu dalej nieco:

Warszycki. (do Czarnieckiego) Wy z dworem, panie wojewodo Rusi.

Czarniecki. Z dworem. Nieczyste sumienie mieć musi
 Hetman, gdy się jmy zrywa jego ręka.
 Kto tu (pokazuje piersi) spokojny, sądu się nie lęka.

Pan Szujski jest sam historykiem niepospolitych zdolności.
 Na co tedy nie potrzebował wysilać swady poetyckiej, tam wszę-

dzie prawda silna, czysta, surowa. Król, królowa, Warszyci, Trzebicki, Prażmowski, Czartoryski, rysowani są śmiałą, pewną, mistrzowską ręką.

Ale nad wszystkich góruje Świderski. Jest to ozdoba dramatu. Ten szlachcic istnie rzymskiej próby, opromienia swoją cnotą najzawilsze zaułki, w których się czai czarna intryga i pełzające prywaty. Jeden to już z bezdzietnych. On, konając nawet, całą tę oplakaną sprawę narzuca świetnym całunem, na którym widnieje krzyż opleciony palmą. Tacy zdarzali się jeszcze na on czas, ku szczęściu ojczyzny, szkoda że już tylko wyjątkiem. Rzecz dziwna, wygląda on na nieodrodnego potomka wojewody Mirosza (z Popiela i Piasta). Wtedy bywało jeszcze dużo takich. Za dni pochmurnych, w których żyć mu kazano, był on tylko jednym z niewielu. A prawnuk jego Mohort, był już ostatnim z swego rodu.

Koniec końcem, Świderski jest usobieniem głosu sumienia publicznego. Posłuchajmy go w ostatniej scenie, przemawia on tam słowami wyroku. Jest to pod Małtwami. Świderski, zaskaniając odwrót króla, padł ranny śmiertelnie z bratobójczej dłoni. Żołnierze unoszą go z pola bitwy:

(Kilku żołnierzy wnoszą rannego Świderskiego).

Żołnierz. A co? gdzie waszmość tak srodo raniony?

Świderski. Mniejsza o ranę, nie wiele już trzeba.

Król uszedł?

Żołnierz. Uszedł.

Świderski. Dzięk wam! wielkie nieba!

Żołnierz. Wam się podzięka od niego należy.

Słoniać odwrót padliście.

Świderski. Panie! Panie!

Przyjm tę ofiarę krwi co z piersi bieży,

Bo i ja na to dzwoniłem kazanie!

(Wchodzi Lub mirski z szlachtą i chirurgami).

Lubomirski. Pilnie opatrzeć, gdzie jeszcze tli życie.

.....

Ha! Siwo włosy strojne w wawrzyn chwały,

Idźcie w to błoto krwi! w to burz zawieje!..

Ktoś jęknął—

(Spostrzega Świderskiego)

Nieba! Tyś to stareze biały?

I twa krow czysta dziś się za mnie leje?

Świderski. Nie! jam królewski.

Lubomirski. Królewski!

Świderski. Hetmanie!

Pomnijcie waszych słów: że przy koronie,
Kto Polskę kocha, wiernie zawsze stanie;
Bo tak najwięksi czynili mężowie,
Bo ta korona jest na Polski głowie.

Lubomirski. Ha! pomnę starcze.

Głosy szlachty. Wiwat marszałek!

(wchodzą tłumnie na scenę niosąc sztandary zdobyte).

Grzymułtowski Szlachta znaki zwycięstw kładzie

U stóp hetmana.

I urocząście. prosi

Na radę związku.

Lubomirski. Wiem o tem! Tutaj odbędziem obrady.

Marszałek gotów—leży tutaj błady

Od ciosów śmierci.

Borzęcki. Świderski nasz stary!

I po królewskiej stronie?

Świderski. Po królewskiej.

Borzęcki. Konfederacyi nadłamałeś wiary

Starcze!

Szlachta *(cisnąc się do niego)*.

Świderski! Stary nasz Świderski!

Świderski. Słuchaj mnie, słuchaj o stanie rycerski!

Chwila a Pan mnie powoła niebieski,

Zdać mój rachunek przed tronem przedwiecznym;

Więc ja bezstronnym jestem i bezpiecznym.

Byłem wasz wprzód, dzisiaj z waszój dłoni

Umieram. Pocisk który mię uderzył,

Sam ja ukulem i w siebie wymierzył.

O! jeśli drogie wam imię Polonii,

Wstrzymajcie straszny bój!

Grzymułtowski. Te daje rady,

Z którego na pół krew serca wyciekła,

Nie żywy szlachcic.

Świderski. Milcz! ty synu piekła!

Tę radę daje ten, co śmiercią błady.

Co jedną nogą, już na tamym świecie,

Z tamtego świata, wie, kędy idziecie!

Idziecie w straszną toń — w śmierć — w śmierć idziecie!

Wolność się na was jak mur chwiejny zwali,

Kord wasz, skalany w braterskiej rozterce,

Od szturm wrogów Polski nie ocali,

W jój serce trafi — jak dziś w braci serce!

Gorsi od niego *(wskazując na hetmana)*

Wejdą w jego ślady,

Grzymułtowskiemi zaroją się rady. . . .
 Coraz to ciemniej — ratuj Jezu Chryste! (umiera).

Lubomirski. Mości panowie! Pękło serce czyste.
 Chodźmy! Pogrzebać godzi się uczciwie,
 Siwego starca, na ojczystej biwie,
 Którą uprawił krwią swą razy tyle.
 Są czasy, gdzie ten szczęśliw co w mogile.....

Takim jest ten dramat, smutny w sobie, przejmujący do głębi, podobny do wrzącego sposobienia się żywiołów przed wybuchem burzy.

Nie brak tam pierwszorzędných piękności pod wielą względami. Sumienne studia tajemniczych głębi serca ludzkiego, kunsztowna namiętność w stopniowaniu walk i cierpień duszy, obrazowanie zręczne, staranne, należy do celniejszych zalet tego dzieła. Nawet stro nie jego artystycznej nie wiele będzie do zarzucenia, jeślibyśmy mu osobne zastrzegli warunki. Nie jest to bowiem dramat w ścisłym znaczeniu tego słowa; ale raczej zbiór obrazów w dramatycznej formie. Układ sceniczny wielce tam dorywczy, nieloiczny, słowem, wadliwy całkiem. Akcja także bardzo nierówna, niekiedy bez miary powolna, indziej gwałtowna a przerywana. Wiele też tam dydaktyzmu, naprzemian z subtelną lirycznością. Dla tego mniemamy, że utwór ten, wprowadzony w życie, nie zrobiłby wrażenia; a przynajmniej musiałyby być skrócony i dużo przerobiony,

W ogóle, sądziłby się godziło, że robota podjęta była nie jednym ciągiem, ale jakby w dwóch epokach przedzielonych przerwą niemającą. W części według nas dawniejszej, którąbyśmy zaznaczyli prawie po połowę trzeciego aktu, nierównie jest mniej życia i doświadczenia scenicznego. Część następna przedstawia już pewne udoskonalenie pod każdym względem. Może się mylimy, może po prostu umysł autora pracował tylko w nierównych warunkach i coraz innym usposobienieniu ducha, a może, co najprędzej, w miarę postępu dzieła, wzrastało szczęśliwe natchnienie poety; i to bywa. Wszakże, na usprawiedliwienie naszego przypuszczenia, ośmielilibyśmy się przytoczyć scenę (z aktu drugiego) pomiędzy Lubomirskim i Świdorskim, która wyróżnia się od reszty wierszem trzynasto-głoskowym, nie użytym już nigdzie więcej w ciągu dramatu. Być może, że była ona próbą pióra, jądrem, z którego się urodził cały dramat. A tak znowu, to co do niej dorobiono, znacznie uprzędzić mogło resztę.

W gruncie byłaby rzeczą całkiem obojętną, ta analiza mechanizmu tworzenia, gdyby tu nie szło o estetyczne piękno, wymagają-

ce form jednostajnie nastrojonych do ogólnej harmonii, co przy niejakięj dbałości, ani jest niepodobnym, ani nawet trudnym. Dysharmonię tę spotężnia jeszcze dziwnie naganne niedbalstwo wersyfikacyi, niedające się niczem usprawiedliwić u takiego poety jak Szujski. Zarzut niepoprawności wiersza zrobiliśmy także poprzedniemu utworowi. Wszakże tam, wada ta, jak powiedzieliśmy, w części da się z łatwością uprzętnąć, w części zatrzeć, czy zagadać, palącym pośpiechem postępu wrażeń. Tu zaś, nierównie więcej jest względnego spokoju, wszelki się ma czas do zastanowienia; należało to uwzględnić, jeśli by przypuścić można jakąś w tym samowiedzę ze strony autora. Co do nas, wolimy mu przyznać raczej brak dobrej chęci.

Chętnie nawet, zarzut ten, rozciągamy do wszystkich w ogóle usterków niniejszego dzieła. Nie uratuje to jego autora, ale też i nie potępi ostatecznie. Gdyby chciał, z pewnością byłoby inaczej. Wierzmy najmocniej, że zechce i dla tego, w ubezpieczeniu ducha, śmiało czekamy od niego, skończonego, całkowicie pięknego dzieła, którego szczęśliwą próbę, pomimo pozorniej niechęci, serdecznie dziś witamy w Lubomirskim. (f).

Wiadomość o sejmie galicyjskim podług protokółów sejmowych, dla ludu napisana przez posła sejmowego. Kraków. Nakładem posłów sejmowych. Czcionkami Karola Budwejzera 1861. W 8ce. Str. 27.

Na czele autor podaje następną wiadomość o sejmie galicyjskim:

„Co się też tam działo na sejmie lwowskim? niejeden z was pyta, ktorzyście deputowanych wybierali i co szczerze pragniecie, ażeby już raz lepiej było w kraju. Czy panowie obrani na posłów przez włościan, obstawali za chłopami, a chłopci czy upominali się o swoje i gromadzkie sprawy? Czy Polacy i Rusini byli ze sobą wzgodzie, co do wspólnych interesów kraju? Cóż tam narzecie wszyscy uradzili i jaki z tych narad będzie skutek? Czy nam będzie lepiej, czy też dawna bieda pozostanie? Bo cóż nam po sejmie, któren wiele czasu i niemało pieniędzy kosztuje, jeżeli deputowani, albo nic dobrego nie uchwalili, albo Najjaśniejszy Pan ich uchwał nie zatwierdzi? Te i tym podobne pytania, słusznie nie

jeden z was uczyni, bo nas wszystkich jedna i ta sama bieda gniewa, bo wszyscy pragniemy ulgi w naszych cierpieniach, a wszyscy spodziewamy się, iż podług woli N. Pana, nasz sejm tę ulgę nam przyniesie. Otóż będąc sam wybranym na posła, powiem wam wkrótce, co się na tym sejmie działo i jakich z niego skutków spodziewać się mamy”.

Po czém z dziewięciu posiedzeń sejmowych od d. 15 kwietnia do 26 t. m. 1861 r., krótkie a jasne daje sprawozdanie. Znać w niem biegłe pióro, wprawne i umiejące jako lud nasz wyraża, *dokumentnie* rzecz każdą przedstawić.

Nie wiemy ile włościan galicyjskich będzie czytać tę książeczkę, bo jeżeli, w bliższych okolicach Krakowa, Tarnowa, Rzeszowa, znajdzie niemało chłopów umiejących czytać, to w osadach prawdziwie ruskich, dotychczas rzadki jakby raróg, któryby znał litery, a témbardziej łacińskie; gdy święto-jurcy, z szczególném zaślepieniem, mówiąc po polsku na sejmie (dając tylko zakończenie wyrazów ruskiego gwaru i lekkich zmian *g* na *h*, *rz* na *r*.) oświadczają że tego nie rozumieją języka.

Pomimo to, praca autora nie jest daremną: o ile wiemy czytała ją lud, lub kazał sobie czytać i rozumował o swoim sejmie. Zbliżenie jego do spraw krajowych nie małe ma znaczenie. Nie będziem się zapuszczać w szczegóły, bo te głównie łączą się z potrzebami jedynie miejscowemi. Jedyna rzecz, która kiedyś i u nas stanowczo rozstrzygniętą być musi, są tak zwane *sprawy służebności*, czyli co do wrębu i pastwisk. Sejm postanowił sądy polubowne, złożone, w równych częściach z włościan i dawnych dziedziców.

W.

Album J. I. Kraszewskiego. Zeszyt pierwszy. Podlasie. W 4ce podłużnej. Str. 8 tekstu i sześć rycin litograficznych oprócz tytułu. Litografia A. Dzwonkowskiego.

Zeszyt ten obejmuje głównie wieś *Romanów* na Podlasiu, miejsce, gdzie nasz autor pierwsze lata swęj młodości spędził.

Piękna to i urocza siedziba, przypominająca dawne polskie dwory, z polami żyznemi, wielkimi lasami, dostatkiem wód i przesiłcznym ogrodem, który byłby najwspanialszą ozdobą każdego pałacu.

Na małym wzgórku wznosi się nowy, murowany dom, w wieńcu starych drzew, olbrzymich olsz, a każda prawie z nich nosi na sobie gniazdo bocianie. Po za domem ów pyszny ogród, a w nim kilkaset starych świerków, co stanowią jego prawdziwy skarbiec i osobliwość.

Zwiedzałem tę uroczą ustron wiejską, aby odwiedzić szanownego jój właściciela Jana Kraszewskiego, a ojca zasłużonego tyle w Polsce pisarza. Jego gościnne przyjęcie, szlachetny charakter i rozmowa, ożywiona mnóstwem podań narodowych, przypomniała mi czcigodne postacie mężów z czasów ostatnich lat Rzeczypospolitej.

Romanów każdego obcego pięknnością widoków zachwycić musi; nie samo więc zamilowanie ojczystego gniazda, kierowało ręką autora do zdejmowania uderzających więcej urokiem swoim miejsc téj ustroni wiejskiej, ale i uczucie artystyczne, które zatrzymywało na nich spojrzenie, lubujące się niemi.

„Przyznać się muszę do grzechu (mówi J. I. Kraszewski we wstępie) do tego grzechu, że od młodości lubiłem zawsze sztukę i nie dość żem ją kochał, nie mogłem się oprzeć pokusie próbowania, czy i ja tym językiem przemówić nie potrafię. Ile się to tam papieru popsulo, czasu zmarnowało na to i zdarło prób daremnych, przykroby się spowiadać. Ale jeśli wolno innym mieć słabostki do różnych w świecie zajęć, daleko podług mnie, mniej ponętnych jak rysunek: dlaczegożby mi zabronioném być miało psuć papier i ołówki, dla tego tylko, że nie jestem z powołania artystą? Ileż godzin szczęśliwych winienem temu zatrudnieniu! ile wspomnień uwydatniły się dla mnie i przyniosły żywo na świstek papieru, kilka nieforemnemi rysami! Wszędzie gdzieś pojechał, przebył czas jakiś, podróżował, tęsknił po ludzku, lub chwilę był szczęśliwym, rysowałem dla pamiątki, co mi pod oczy podpadło. I przekonałem się najmocniej, że niekoniecznie to jest godném rysunku, co nadzwyczajną w naturze uderza pięknnością. Bóg nie poskąpił niczemu wdzięku, blasku i piękna, które od jednych przedmiotów bije snopem promieni, od drugich promienieje bladą strugą światła.

„Przebiegłem w życiu wiele stron kraju naszego w pogoni za pięknem naszym, za pomnikami, za wszystkim, co życie tak mało jeszcze artystycznie odbite, ze strony jego artystycznej wykażać może. Ze stosów mniej więcej udatnych, często nieforemnych rysunków i szkiców, zachciało się i mnie coś pokazać przed ludźmi, choćby na tę próbę ramionami ruszyć mieli. Mijam to, że nie

nam wprawy potrzebnej, ani talentu zapewne; ale spotkam może opozycją przeciw przedmiotom nawet, które to album składać mają. Niekoniecznie wybierałem te, na któreby się rzucił kto inny: przewodniczyła mi często fantazya, często serce, czasem ta wiara, że piękność przedmiotu nie zależy od jego majestatu i wielkości. Mostek na zapomnianej drodze, zajmował mnie jak pomnik historyczny, jeśli światło i cienie, linie jego i roślinność otaczająca, czyniły zeń obrazek". Sześć dołączonych rysunków, przedstawia stary dwór w Romanowie; śliczny pejzaż części ogrodu, oranżeryą, kaplicę, chatę pustą nad wodą w cieniu drzew i sernik piętrowy przy parkanie na tle ogrodu.

Każdy widok pokazuje, z jakim uczuciem artystycznym jest oddany, każdy mile zatrzymuje oko i wabi urokiem swoim. Odbicie czyste i staranne robi chlubę zakładowi litograficznemu, w którym wykonane zostało.

J. I. Kraszewski dodał tekst: krótkim, serdecznym, gorącym wspomnieniem zbywa Romanów, gniazdo rodzinne, któremu podług nas należało więcej kart poświęcić: bo i on ma swe wspomnienia, z dawnych lat jeszcze, gdy zamożni nim właściciele władali; przechodzi następnie do miasta Biały, gdzie pierwsze sam szkoły odbywał. Kreśli dzieje tego grodu i wspaniałego zamku, rezydencyi przemożnej rodziny Radziwiłłów.

Patrzył już nasz autor na pierwszy początek ruiny tego gmachu, oprócz wieży z bramą wjazdową, która do dni naszych dotrwała: „Brama wjezdna (pisze), w której wiatowe stare armaty jeszcze leżały bez osady, sparaliżowane i umarłe, zapchane śmieciem i piaskiem. Z tej wieży dzwonił jeszcze ostatni, co przeżył wszystkich w zamku, stary zegar, ale dzwonił niedawnym panom swoim, nie weselu i dostatkom: dzwonił nad głową kajdaniarzy w wieży zamkniętych, dzwonił godziny nędzy, upodlenia, występku, rozpaczy. Mój Boże! myślałem nieraz o tém, gdy godzinę uderzał zimno, równo, jednostajnie, tak jak za dawnych czasów bywało; myślałem jak się pod nim ten czas, który on mierzył tak równo, odmienił. Dawniej wesela, uczyty, biesiady, albo pacierze pobożnej starej księżnej; dziś godziny więźniów, godziny stworzeń głupich, spodzonych, występnych: a wszystko jednakowo.”

Pamiętamy wcześniejsze czasy od Kraszewskiego, kiedy zamek był jeszcze cały, jakkolwiek niezamieszkały. Na ścianach wisały obrazy Radziwiłłów, sale były zamknięte, ale można je było zwiedzać i stary odźwierny oprowadzał; pokazywano pokój,

w którym siedział zwykle ślepotą dotknięty sławny *Panie kochanku* i gdzie umarł. Pokazywano i duży kocioł, w którym wedle podania kąpał się któryś Radziwiłł w winie; „a tём winem (dodaje Kraszewski) potём szlachtę sejmikową poił. Pańskie brudy, tak jeszcze spodlonym smakowały”.

Kiedym mieszkał we dworze *Sławacinek*, w pobliżu zamku. pamiętam straszliwą burzę. Były gęste pioruny, i jeden z nich uderzył w lewą stronę zamku, w pobliżu oficyn. Zerwał część dachu, wybił kawał muru, i od tój chwili zaczęła się pierwsza ruina: sam Bóg wskazał to siedlisko możnowładców dumnych na zniszczenie.

W ogrodzie pełnym starych lip, była altana muszlami wysadzana.

Wysokie wały otaczają w około cały zamek, a przy nich głębokie fossy, które wypełniała rzeka *Krzna*. Na tych wałach rosły wtedy gęste krzewy i wyniosłe lipy; wiodąca pomiędzy niemi ścieżka, była ulubioną przechadzką pułkownika Kozietułskiego, sławnego zdobywcy wąwozów Sommo-Sierra w Hiszpanii, gdy stał ze swym pułkiem w Białym. W młodych moich latach często go spotykałem, idącego zwolna i zamyślnego. Kiedym odkrywał przed nim głowę, kłaniał mi się z uśmiechem melancholijnym i znowu zadumany, milcząco postępował dalej.

Od chwili uderzenia piorunu, rok po roku coraz bardziej niszczał zamek w Białym; przez wybite okna zaczęto wynosić obrazy rodziny Radziwiłłów: otwartemi podwojami, wreszcie weszła ruina, kiedy podrywano posadzki marmurowe i odrzwia czy ozdoby kominów. W lat kilka pusty dotąd zamek stał się ruderą, którą przywrócić do dawnego stanu było już niepodobieństwem.

Wiele lat upłynęło zanim się sposobność zdarzyła, że jadąc do Romanowa, w r. 1850, mogłem go odwiedzić. Smutek i boleść opanował mnie spojrzawszy na stary zamek białski. Widziałem go we wspaniałej ruinie, ale zachowywał jeszcze wielkości swój ślady i przechował całą strukturę: teraz wszystkie te ślady, więcej grabieżna ręka ludzka, niż czas poniszczył.

Brama wjazdowa z potężną basztą utrzymała się w całości, ale zawalona, a most przez fossę wiodący zniesiony; na obszernym dziedzińcu zamkowym pobudowali nowi właściciele dworki i zagarnęli części jego na ogródki; a sam gmach, ruderą straszna: cegła z niego posłużyła do zbudowania tych skromnych domków.

Poszedłem zwiedzić skrzydło zamkowe, gdzie pierwszy piorun zaznaczył ruinę siedliska dumnych możnowładców. Ścia-

na tylną więć rozwalona, i dach zrzucony odkrył wspaniałą salę piętrową ze sztukateriami włoskimi, w której podejmował gości swoich uroczyście książę Radziwiłł *Panie kochanku*. O nim przytacza Kraszewski kilka podań, ale nietylko do białskiego zamku przywiązanych.

W Nieświeżu *Panie kochanku* utrzymywał, jak wiadomo wojsko i artylleryą. Jednej nocy budzi się ze snu, po jakimś przestraszającym zapewne widzeniu; zwołuje ludzi, krzyczy na dworskich: zbiegają się kto żyw.

— Wojsko na koń! do broni! artyllerya za miasto! konia, panie kochanku! konia mi podać co prędzej!

Ubiera się książę, wszyscy spieszą do koni, pan wojewoda także. Gdy siła zbrojna stanęła gotowa, wyciągają w porządku za miasto. Tu rozkazy wydane: ognia! Strzelają, strzelają noc całą. Po kilku godzinach, dowódzca siły zbrojuńj zbliża się do księcia z zapytaniem:

— Czy Wasza Książęca Mość jeszcze strzelać rozkażesz: nie widać nieprzyjaciela, nikogo: ludzi tylko spokojnych straszymy, a oto dzień już świta.

— Co, już nie ma nikogo? spytał książę.

— A któż to był? — rzekł zeicha pułkownik.

— Chwała Bogu, panie kochanku, że uciekł—odpowiedział z westchnieniem wojewoda, alboż nie wiecie—że ten łotr *Celibuk* szatan o jednem oku atakował Nieśwież?

* * *

Wiadomo, że pan wojewoda, jak sam nieskończenie pozwalał sobie *polować* (wyraz techniczny) tak też lubił kłamców i gadułów, którzy mu baje pletli i jego wymysłom potakiwali. Jeden taki żartowniś, o gruby poszedł zakład z księciem, że mu tak skłamię, iż książę uwierzyć nie zechce. Książę trzymał zakład, że wszystko uzna prawdą, co ten powie. Rozpoczął dworak opowiadanie najdziwaczniejsze, jako po sznurze kręconym z sieczki, łatając się urywanym od dołu, lazył do nieba: jako tam widział wiele dziwnych a osobliwych rzeczy. Książę śmiał się i potakiwał. Nareszcie ku końcowi bajki dodał ów dworak:

— Co mnie najbardziej tam dziwiło, to, że m spotkał prapradziada Waszój Książęcej Mości pasącego świnię.

— A co to, to już bajka—zakrzyczał książę—bajka, panie kochanku; żaden tego Radziwiłł nie robił: służyłem ja wprawdzie za kuchcika u pana Gałęckiego, ale to co innego i nie bez racji.

— Wasza Książęca Mość przegrałeś zakład.

— No! no! panie kochanku, z wami to tak zawsze, jeszcze mi opaskudził mego prapradziada.

J. I. Kraszewski przywodzi podanie, jakie zasłyszał w Białym, ale to nie przywiązuje do *Panie kochanku*, ale innego Radziwiłła.

„Jeden z możnowładzców tutejszych więził za coś szlachcica w lochach, aż szlachcicowi długa broda porosła i posiwiała nędzą i niewolą, wybielała od łez, które na nią spadały, bo wspomniał zagrodę swoją i żonę i dzieci, a wyrwać się nie mógł, a umrzeć nie potrafił.

„Nareszcie przypomniał sobie pan i kazał go wypuścić, a do siebie przywołać. Kazano szlachcicowi brodę przez uszanowanie dla księcia ogolić: nie pozwolił na to; chciał ją mieć, jako pamiątkę cierpienia i z nią stanął przed panem, stary z młodego, zgrzybiały i drżący przed czasem. Trzydzieści lat pańskiego życia nie tyle zużyły pana, ile trzydzieści lat więzienia zmęczyły szlachcica. Spojrzał na uiego obrażony pan, któremu donieśli zauszniczy, że brody nie chciał ogolić; przystąpił, wziął brodę w rękę, potrząsnął nią i rzekł:

— Krótka jeszcze broda i krótka kara: nie będziesz się miał czem pochwalić.

I kazał go znowu wtrącić do podziemia”.

Podanie to, jak i tysiące innych ludowych, nie zachowały żadnych o dawnych panach polskich pamięci, jak tylko srogości, tyraństwa i podłości. Przy gruzach wspaniałych ich zamków i pałaców, przeszłość przemawia o nich krwawą zawsze tradycją, jakby usprawiedliwiała ruinę ich rodzinnych gniazd i siedzib. Lud też uważa w tym rękę Bożą, co skazała je na zniszczenie, bez nadziei zmartwychwstania; ztrata przyszła prędka a straszna, jako zwykła zapłata zbrodni przeciw społeczeństwu własnemu i ojczystej ziemi.

Autor wiele podań, które rzeczywiście należą do innych postaci możnowładzców, tu na karb Radziwiłłów wspomina: i nie dziwimy się wcale, bo ileż to podań z czasów rozkwitu rzeczypospolitej babińskiej i jej dowcipów pełnych humoru, nie przywiązano do najpopularniejszej z panów polskich postaci księcia Radziwiłła *Panie kochanku*. Wartoby się zająć tą wydatną w dziejach ostatnich lat rzeczypospolitej *figurą*: przedstawić ją w prawdziwym świetle historycznym i zarazem w podaniowym, zebrawszy

w jeden wieniec wszystkie dowcipy jego i anegdoty, które tradycya przypisuje *Panu kochankowi*.

Przy Radziwiłłowskim zamku w Biały był dawniej wspa-
niały zwierzyniec. Rzączyński (Hist. nat.) wspomina, że w nim
chowano sześćset sztuk zwierzyny, jak danieli, niedźwiedzi, wil-
ków i zajęców w osobnych dla nich poczynionych zagrodach.
Łatwo było zgromadzić tyle grubego zwierzza dziedzicowi zamku,
gdy w puszczy białskiej, która ciągnęła się mil kilka w pobliżu
miasta, po nad rzeką *Krzyną* bujały stada jeleni, sarn, dzików,
łośów i wilków. Sam zapamiętam, że strzelcy ostatniego Radzi-
wiłła, księcia Dominika, za czasów już Księstwa Warszawskiego
tak marnowali i wytępiali w tej puszczy łosie, że skórę całą
sprzedawali żydom miejscowym po dwa złote polskie. Dziś i z tej
ogromnej puszczy zostały się tylko liche zagajenia: poszły kilko-
wieczne dęby i stare sosny podcięte ręką przemysłowcy, na mar-
notrawstwo i zbytek; topór wytępiając puszcę, wypłoszył z niej
dawno grubą zwierzynę.

W zeszycie tym autor rozpoczął kreślić dzieje miasta Biały;
zapewnie w następnych doczekamy się końca, lubo już z górą
rok cały czekamy na zeszyt drugi.

K. WŁ. W.

*Akta synodu prowincjonalnego lwowskiego w r. 1564
odbytego. Z Aktów konsystorza metropolitalnego lwowskie-
go wypisał i wydał ks. Seweryn Morawski kanclerz tryoż
konsystorza. Lwów. Nakładem W. Manieckiego 1860 r.
w 8ce str. 34.*

Synod, którego akta mamy tu poraz pierwszy wydane z rękopismu, pamiętne w dziejach kościoła polskiego zajmuje miej-
sce. Był on bowiem pierwszym synodem prowincjonalnym, któ-
ry przyjął i ogłosił uchwały powszechnego Soboru Trydenckiego (1). Skoro papież Pius IVty, bullą swą dnia 26 stycznia 1564 r. zatwierdził je, nuncyusz apostolski przy dworze Zygmunta Augusta, Komendoni, dołożył usilnego starania, ażeby ogłoszone zosta-
ły w Polsce. Zaledwie otrzymał z Rzymu księgę tych ustaw, po-

(1) Z dyecezalnych synodów jeden go tylko w tém uprzedził, po-
znański, pod biskupem Adamem Konarskim, w październiku 1564 odbyty.

śpiesza na sejm do Parczowa, i tam uzyskuje d. 7 sierpnia tegoż roku ich przyjęcie. Udaje się do Lwowa i 12 września t. r. na zgromadzeniu kapituły, w obecności arcybiskupa Pawła Tarły, usilnie zaleca przyjęcie i wykonanie uchwał trydenckich. Następnie przybywa na synod prowincjonalny całej Rusi, odbywający się we Lwowie d. 8 listopada 1564 r. O nim, tak się wyraża Komendoni w swém sprawozdaniu: „Odbył się nakoniec synod w tój prowincyi ruskiej, który dosyć mi się podobał, już to, że wybadały się umysły, już że są określone właściwe granice początek i porządek tego rodzaju synodów, co nam posłuży w następnym, mianowicie w tém, co się ściąga do zaradzenia wielu nadużyciom, jakie przejeżdżając tę prowincyę, znalazłem. Pierwszego dnia rozkazałem odczytać drugą uchwałę z piątego posiedzenia trydenckiego, tym końcem, ażeby na wstępie rozbioru każdego przedmiotu, przyjęto najprzód wyroki trydenckie, oświadczone posłuszeństwo Ojcu Świętemu, wyklęto wszystkie odszczepieństwa, a osobliwie potępione przez ostatni sobór. Tu się natychmiast wykryły rozmaite sprzeciwieństwa. Wszyscy zgodnie domagali się najprzód udzielenia czasu do przeczytania i należytego zastanowienia się nad uchwałami i czynnościami trydenckimi, a przynajmniej, ażeby przyjęcie ich odłożyć do przyszłego synodu w Polsce. W ogólności, niechciano w żaden sposób zezwolić na ich przyjęcie. Tylem przecie zręcznością, cierpliwością i dowodami uczynił, że oddawszy się w posłuszeństwo Jego Świątobliwości i wykląwszy heretyków, przyjęli jednogłośnie wyroki trydenckie i t. d”.

Na nierównie większe trudności trafił Rzym w ogłoszeniu kościelném ustaw trydenckich dla reszty Polski. Przyjęcie ich nastąpiło dopiero w 13 lat później na synodzie piotrkowskim, 19 maja 1577 roku.

Synod prowincjonalny lwowski, którego akta daje nam ks. S. Morawski, zasługuje na uwagę i z tego powodu, że mało takowych odbyto. O dwóch tylko synodach prowincjonalnych dokładnie wiemy: pierwszy w r. 1532 pod arcybiskupem Bernardem Wilczkiem, drugi zaś ten, o którym mówimy. Wprawdzie Zubrzycki w Kronice miasta Lwowa, pod r. 1593 wspomina o odbytym w tymże roku synodzie prowincjonalnym, ale akta tego synodu drukiem ogłoszone, dowodzą jawnie, że to był synod dycecezalny.

Arcybiskupi lwowscy rzadko zwoływali prowincjonalne synody, dla tego, że arcybiskupi gnieźnieńscy na takowe zgroma-

dzali często całą hierarchią polską i sprawami kościelnymi całej Polski się zajmowali; na nie arcybiskupi lwowscy i suffragani wzywani byli i jak widać z pozostałych aktów tychże synodów bądź osobiście, bądź przez delegatów udział w nich brali, zastrzegając wszelako zawsze prerogatywy metropolitalne prowincyi lwowskiej, jako niezawisłej i niepodlegającej arcybiskupstwu gnieźnieńskiemu. Wydawca ks. Morawski, jak mówi w przedstępie, akta te wypisał z księgi akt konsystorza lwowskiego, obejmującej lata 1556—1618. Rękopism jakkolwiek charakterem dość wyraźnym, ale samemi prawie skróceniami i spieszno pisany, niełatwym był do odczytania i niewolnym od omyłek. Wydawca niektóre oczywiste sprostował, inne mniejszej wagi zostawił z obawy skażenia tekstu.

Od str. 13 rozpoczyna się sam tekst w języku łacińskim z nadpisem:

„*Constitutiones Synodi Provincialis celebratae Leopoli, octava Novembris, anno domini millesimo quingentesimo sexagesimo quarto*”; i kończy na str. 34 z objaśnieniami wydawcy, który przyspieszył ogłoszenie drukiem w pierwszej połowie 1860 r. w nadziei, że spodziewał się zebrania nowego synodu prowincyi lwowskiej. Jakkolwiek nadzieja ta zawiedziona została, rzecz sama ważnym jest przyczynkiem do dziejów kościoła polskiego.

r.

W numerze 195 Tygodnika Ilustrowanego czytamy zajmujący opis Olsztyna. W nim znajdujemy, że z powodu dzielnej obrony tego zamku przez Karlińskiego, zgasły niedawno nasz poeta Władysław Syrokomla, napisał znany dramat, który jednakże nieodpowiedział swemu zadaniu.

Autor pomienionego opisu, sam prawdziwy poeta (Roman Zmorski) w jednym ustępie pisze:

„Syrokomla, który w swoich utworach, tyle narodowych rozwinął tematów, podniósł także pamięć tej obrony w poemacie p. n. Kacper Karliński. Zdaje mi się jednak, iż niezbyt szczęśliwie obrał na ten cel, szeroką formę dramatu, gdy przedmiot właściwiej do epicznego lub epiczno-lirycznego nadawał się odrobienia”.

Nie znał widać obrazu dramatycznego Alexandra Fredry autor, boby się przekonał, że dla prawdziwego talentu, każda forma równie dobrze posłużyć może.

Jest to jedna tylko scena, ośmiozgłoskowym wierszem napisana, ale jakże po mistrzowsku oddana. Osoby wprowadzone są: Kacper Karliński, Helena jego żona, chorąży, żołnierze. Cały wypadek podniesiony poetycznie, głębokie wzbudza wzruszenie. Próbka, to mała drobna talentu Fredry, ale wymowne daje świadectwo, że mógł, równie być jednym z pierwszych pisarzy dramatów, jak jest pierwszym komedyo-pisarzem.

Obraz ten był drukowany wcałości w roku 1830 w piśmie zbiorowém p. n. *Haliczanin*, wydaném przez Walentego Chłędowskiego (Tom II, od str. 165 do 173). Przedstawiony na scenie, do głębi serc musiałyby poruszyć widzów.

W.



ROZMAITOŚCI.

*Ks. Jakób Ciastowski, ostatni rektor konwiktu pijarskiego
na Żoliborzu.*

Urodził się ks. Ciastowski d. 25 lipca, w sam dzień swego patrona apostoła, w r. 1791, z rodziców stanu miejskiego w Sarnowie, województwie poznańskim, w czasach najburzliwszych i najsmutniejszych dla nas, bo dogorywającej już Rzeczypospolitej polskiej.

Pacholęciami będąc pobierał początkowe ukształcenie w miasteczku rodzinnym od prywatnych nauczycieli, a w r. 1802 oddany został do szkoły przez ks. Pijarów utrzymywanej w Rydzynie, mieście dziedzicznym książąt Sułkowskich. Ta część Polski zostawała już pod rządem pruskim, który chociaż kasował klasztory, zabierał majątki duchowne, utrzymał jednak Pijarów, by zużytkował zosoby nauki i oświaty, które się między nimi zagnieździły, zwłaszcza, że szkoły pijarskie mało albo nic go nie kosztowały. Podobnie Fryderyk W., po kassacyi Jezuitów nie rugował ich na Szlązku, a Katarzyna II dała im przytułek w Rosyi, zapewne dla tych samych powodów. Ale znać się na ludziach i umieć ich użyć, przymiotem jest także niepospolitych ludzi, i na Fryderyków, Napoleonów wieki czekać trzeba. Ta jednak opieka pruskiego rządu nie wyszła na korzyść karności zakonnej, bo młodych Pijarów zapragnął on kształcić na swój sposób liberalniejszy w Berlinie.

Obdarzony z natury zdolnościami młody Jakób, przykładał się z zapałem w Rydzynie do matematyki, nauk przyrodzonych,

do języków, polskiego, niemieckiego, francuzkiego, łacińskiego i greckiego, do historyi powszechnej i polskiej, pod rektorem Józwickowskim i prefektem natenczas szkoły ks. Przybylskim Ignacym a później rektorem szkół gimnazyalnych w Poznaniu, Płocku, Kaliszu, biegłym i głośnym pedagogiem. Ks. Wincenty Jakubowski, podówczas prowincyał pijarski wizytując w 1808 r. kolegium rydzynskie, doręczył Jakóbowi pierwszą nagrodę, uczniowi już klasy piątój, który pragnąc mieć sposobność kształcenia się wyżej i pożytecznym być człowiekiem społeczności, postanowił wstąpić do zgromadzenia ks. Pijarów. Jakoż wyprawiony wnet został do Warszawy dla odbycia nowicyatu i tam przyobleczony został w sukienkę zakonną przez wspomnionego ks. Jakubowskiego prowincyała. Podczas nowicyatu i studyów odbywanych, używano już w szkołach warszawskich, do nauczania języka niemieckiego; ztąd w r. 1809 wyprawiony do Wielunia, uczył w 3ej i 4ej klasie przez lat sześć z wielką młodzieży korzyścią, nie zaniedbując pracować nad dalszém ukształceniem swoim. W r. 1814 uczył w klassach wyższych historyi powszechnej, jeometrii, niemieckiego i francuzkiego języka. Przykładali się Pijarzy pospolicie, każdy do jakiego specjalnego przedmiotu; ale kiedy wypadła potrzeba, przygotowani być musieli do wykładu i innych nauk. W r. 1815 d. 6 sierpnia wykonał uroczystą professyą zakonną, w obec ks. Stanisława Paszkowskiego, rektora naówczas kolegium wieluńskiego, i dalej obowiązki profesora *humaniorum* sprawował.

Doszedłszy wieku wymaganego do przyjęcia święceń kapłańskich, powołany został od swego prowincyała Przeczytańskiego, sławnego wtedy matematyka i kaznodziej, do kolegium warszawskiego, królewskim nazywanego, i tu pełnił obowiązki prefekta i profesora, wykładając w klassach wyższych historią powszechną i polską, literaturę polską i starożytną, grecką i łacińską. Obok tyłu i tak mozolnych zajęć studyował teologią dogmatyczną i moralną, a złożywszy egzamen chlubnie przed kompetentnemi teologami kuryi biskupiej, wyświęcony został na kapłana 8 stycznia 1816 r. przez Franciszka Remigiusza Zambrzyckiego, biskupa dardanelskiego i. p. i. suffragana kijowskiego. Pracował ks. Jakób bez przerwy, jak zaczął w zawodzie nauczycielskim i dopiero w r. 1819 przeniósł się za wolą starszych swoich do kolegium szlacheckiego, Konarskiego zwaném, na Żoliborzu, gdzie się dziś wznoszą baszty cytadeli alexandrowskiej i tam urząd prefekta i razem profesora sprawował najzaszczytniej.

W wykładzie historii powszechnój, posługiwał się najznakomitszymi dziejopisami niemieckimi i francuzkiemi. a Rys Historii Powszechnój przez ks. Stefana Sawickiego S. P. dla użytku szkolnego wydanój uzupełnił, przydając do niój najnowsze fakta od rewolucyi francuzkiój aż do r. 1817.

W programacie szkolnym za r. 1821 dla konwiktu drukowanym, zamieścił on: *wiadomość historyczną o stanie nauk i umiejętności*. Znajdują się dotąd w rękopismach pozostałych. „Uwagi nad metodą zadawania ćwiczeń w szkołach w lepszym stylu.” Kazania, które miewał do młodzieży szkolnej i wykład nauki moralnej dla klasy szóstój.

W r. 1822 na kapitule prowincyałskiej wybrany radcą (Consultor) konsystorza prowincyałskiego i rektorem szkoły wojewódzkiej radomskiej; lecz niedługo urząd ten rektora piastował, bo zaledwo pół roku i znowu na wezwanie starszych wrócić musiał do konwiktu i objąć obowiązki prefekta, których nikt zrzęczniejsz sprawować nie potrafił. On to za powrotem swoim przywrócił zaraz karność i porządek w instytucie, nieco przez ten czas rozprężone. Tak z naczelnika instytutu zeszedł bez szemrania na podwładnego, z rektora na prefekta. Sławił też ks. Kajetan Kamieński, ówczesny prowincyał pijarski, to bezwzględne posłuszeństwo ks. Jakóba, w okólnych listach swoich do kollegium. *Melior est obedientia quam victima*, jakże to wielka prawda! Mądry a sumienny naczelnik uosobieniem jest prawa, a kto go słucha, zasługuje sobie i szczęście jedna.

Przez lat sześć obowiązek ten z trafnością biegłego pedagoga spełniał; instytut, którego był duszą, zawdzięczał mu swe odrodzenie i zakwitnienie. On sam kierował instrukcją i edukacją młodzieży, a ks. Kamionowski, rektor zajmował się częścią ekonomiczną. Rzadki to dar kierowania rozumnie jaką korporacją lub zakładem, a zwłaszcza młodzieży wyborowej w kraju, napojonej różnemi przesądami z domu przyniesionemi.

Na kapitule prowincyałskiej w r. 1828 obrano prowincyałem ks. A. Kamionowskiego, a w jego miejsce rektorem kollegium Konarskiego, ks. Jakóba Ciastowskiego. I wtedy rozwinął on w całym znaczeniu, działalność światłego i rządowego zawiadowcy wychowawczego alumnatu. Przedewszystkiem starał się dobierać nauczycieli, zdolnych na uniwersytecie ówczesnym Alexandrowskim ukształconych Pijarów. Jako doświadczony w zawodzie swoim pedagog, sam układał roczny plan nauk i nad jego wykonaniem

pilnie czuwał. Co i jak gdzie nauczać, jakiego sposobu i metody użyć, to jest wielką sztuką, której się z czasem i przez długie doświadczenie nabywa. Ale ks. Jakób wytrawionemi radami swemi przychodził w pomoc zaczynającym nauczycielom i pożytecznie ich w tój mierze oświecał. Nie zbywało tóż tam na żadnych środkach i pomocach naukowych, bo oględny zwierzchnik gromadził do bogatj już ksiąźnicy, wszystko cokolwiek najnowszego i najlepszego z pod prassy na świat wychodziło. Zaopatrywał gabinet i muzea w maszyny, narzędzia, zbiory i starożytności. Do języków obcych, do sztuk, ćwiczeń gimnastycznych co najbieglejszych używał nauczycieli artystów; obserwatoryum astronomiczne opatrzył w potrzebne instrumenta.

Pragnąc powierzony sobie instytut postawić na stopniu możliwój wyższości, oszczędzony grosz od wydatków bieżących poświęcał na podróże młodych nauczycieli za granicę. Jeden z tych wybrańców szczęśliwy ks. Wręczycki, biegły matematyk, w powrocie swoim z Paryża umarł w Dreźnie. Tak za przykładem sławnych poprzedników swoich a mianowicie Konarskiego i Kamińskiego pracował ks. Jakób dla oświecenia i dobra ogólnego z całym poświęceniem i zaprzeniem siebie.

Rzadką przezornością odznaczał się ks. Jakób w zarządzie częścią gospodarczą, nie tylko że obszernie gmachy, jakie zastał, w najlepszym utrzymywał stanie i porządku, ale nadto do dawnych nowy przystawił pawilon. Z kredką i główką, jak mówi przysłowie, obliczał potrzeby i wydatki, i przy ścisłej oszczędności na wszystko starczyć musiało. Młodzieży zakonnój prócz tego sposobiacj się do zawodu nauczycielskiego w uniwersytecie warszawskim dawał życie i okrycie. Wszystko szło jak w zegarku porządnie, bo zwierzchnik naczelny dawał z siebie przykład pracy i akuratności we wszystkiem i przestrzegał tego wszędzie. Zapatrując się na taki wzór, młodzi Pijarowie dorównać mu starali się, spółubiegali się między sobą o spełnienie jak najlepiej swego zadania, nikt nie chciał pozostać w tyle a na tём zyskiwał instytut, zyskiwała młodzież. Poważali go tóż podwładni mu nauczyciele, jako męża obszernj nauki pełnego prawości i poświęcenia dla dobra ogólnego. Kochała go i posłuszną mu była młodzież szkolna, bo czuła i oceniała ojcowskie i wyrozumiałe jego postępowanie z sobą, dalekie od wszelkiej opryskliwości niewczesnej, na zwykłe wybryki wieku młodzieńczego. Rzadki tóż on posiadał takt nauczycielski i pod jego sterem nie dostrzegłś śladu niesubordynacyi lub krnąbrności ze strony młodzieży.

Zaświadczyć to mogą żyjący jeszcze uczniowie, piastujący wysokie posady stanu, lub znakomici majątkiem i cnotami towarzyskimi obywatele. Mimo ciężarów, jakie wkładał na niego ogólny zarząd instytutu, jako rektor, podług ówczesnego zwyczajów, zajmował się nadto wykładem jakiego przedmiotu naukowego. Konwikt pijarski coraz głośniejszój nabywał sławy, garnęła się do niego młodzież ze wszystkich części dawnój Polski i brakowało już dla niej pomieszczenia.

Miał poszanowanie ks. Ciastowski u panów i obywateli, ceniony był wysoko od ludzi uczonych i literatów. Przez uniwersytet królewsko-warszawski zaszczycony został stopniem doktora filozofii i magistra sztuk pięknych, a przez Komisyją Wyznań i Oświecenia mianowany członkiem Towarzystwa do układania książek szkolnych ustanowionego. Za jego to czasów już nie tylko szlachecką młodzież ale i synów bogatszych kupców i właścicieli miejskich zaczęto przyjmować do konwiktu, czego dawniej nie bywało.

Godnym jest uwagi porządek dzienny, którego się ks. Ciastowski trzymał w swoich zatrudnieniach, a którego byliśmy świadkami sprawując równocześnie obowiązki nauczyciela za jego prefektorstwa przy ulicy Długiej. O godzinie piątój rano znajdował się już w oratoryum na wspólnej modlitwie ze swą bracią zakonną; około godziny siódmej spotykał się go na korytarzach gmachu szkolnego, i młodzież, która się już wtedy gromadzić zaczęła, czuła jego obecność zachowując się najciszej a bywało jój zawsze około tysiąca lub więcej. O godzinie wpół do ósmój wychodzili uczniowie dwójkami do kościoła, na czele nauczycieli gospodarzy klass, poczynając od klasy najmłodszej; w podwojach świątyni stał ks. prefekt jako dowódzca, przestrzegając porządku i sferności defilującego przed nim tego ruchliwego wojska. Czytał potém mszą świętą, lub jój był obecny z młodzieżą, która chórem pełnym śpiewała zwyczajne pieśni kościelne, lub wykonywała mszą kompozycyi Kurpińskiego lub Elsnera. Żadna niedziela ani święto nie przeminęły bez wykładu przypadającój ewangelii, któren sam lub jeden z professorów duchownych podejmował. Po mszy świętój w tym samym porządku wracała młodzież do swoich *respective* uczelni i oczekiwała na lekcye swoich professorów, którzy za uderzeniem we dzwonek, na miejscach swoich znajdować się byli powinni.

Kiedy sam ks. Ciastowski nie był zajęty daniem lekcyi w którój z klass wyższych, przechadzał się po korytarzach szkol-

nych i kontrolował, czy wszystko i wszędzie szło swoim trybem i ładem. Szczególniej oko mieć musiał na klasy, gdzie się odbywały lekcye języków francuzkiego i niemieckiego. Ich nauczycielowie bowiem pospolicie mało rozumiejący nasz język, lub go łamiący w wymawianiu, mało przytem posiadający taktyki nauczycielskiej, najczęściej dawali pochop do swawoli i żartów lekkomyślnój młodzieży. Wchodził wtedy ks. prefekt do klasy, zwał się hałas rozchodził i gdzie wśród tumanów kurzu zaledwo było widać biednego nauczyciela z katedry, i samą powagą swoją, samém ukazaniem się we drzwiach, uciszał gawieź niesforeną siejąc strach i popłoch między winowajcami. Ale najczęściej kończyła się cała sprawa na upomnieniu ojcowiskiem i na obietnicy poprawy ze strony błędzących, bo i trudno było karać dzieci za nieudolność nauczyciela. Tak przechodził dzień powszedni na służbie szkolnej i nie pozostawało nawet czasu do przechadzki koniecznej po pracy ciągłej. Po skromnej wieczery i po krótkiej gawędzie z kolegami, oddawał się znowu studjom naukowym, które się po za północ przeciągały, przygotowaniu się na lekcye dnia następnego, poprawie ćwiczeń szkolnych. Do wykładu literatury klassycznej używał najlepszych wydań opatrzonych komentarzami biegłych filologów i wykład ten staranny równał się akademickiemu. Kurs historii powszechnój układał podług najstawniejszych autorów niemieckich i francuzkich i ten znajduje się dotąd w rękopismie. Z zajęciem słuchała młodzież tego wykładu, bo wygłaszał go zawsze z pamięci, jasno i dobitnie, piękną nadewszystko, płynną mową polską. I któżby uwierzył, że tyle pracy i trudów podejmował z największą przyjemnością, z zaprzeniem się, bezinteresownością, bo głęboko był przenikniony zasadą, godłem swego Zgromadzenia, że poświęcać się dla dobra bliźnich, dla ludzkości przez miłość Boga, najwyższą jest chwałą i zadowoleniem zakonnika i dobrego chrześcianina.

Nie mówimy tego *pro domo sua*. Byli między Pijarami młodymi, którzy nie przestając na swoich godzinach lekcyi, zastępować lubili nieobecnych nauczycieli i mieli satysfakcyą zajmować swą wiedzą młodzież. Takim był między innymi ks. Alexander Puławski, człowiek nadzwyczajnego talentu, ale razem niepohamowanego gwałtownego temperamentu, znany w wypadkach r. 1831.

Kiedy tylu i tak wysoko ukształconych mieliśmy profesorów, dla czegoż, zapyta kto, tak mało po nich zostało pomników

piśmiennych ich wiedzy i pracy? Oto wszystkie skarby nauki, które z takim trudem i znojem nabywali, przelewać oni zaraz musieli w umysły rosnącego pokolenia i nie mieli czasu do ich wykończenia i obrobienia dla potomności. Że zaś wszystkie posiadali warunki do odznaczenia się w piśmiennictwie i to w wyższym stopniu, aniżeli głośniejsi od nich autorowie, temu podobno nikt nie zaprzeczy. Chwała ich przecież jest istotniejszą i prawdziwszą, jeżeli weźmiemy na uwagę ową wielką wyrocznię Jezusa Chrystusa: „*ktoby czynił i nauczał, ten będzie zwan wielkim w królestwie niebieskiem*” (Mat. 5, 19). Wielu nawet doprawdy zamierzało opracować bogate materiały naukowe w ciągu zawodu nauczycielskiego nagromadzone, lecz zawczesna śmierć nie dała im dokończyć tak chwalebego przedsięwzięcia. Schyłek 1830 i następny rok 1831 pograżyły kraj w burzę: instytucje naukowe śmiertelnym rażone zostały ciosem, opustoszały wszystkie niemal przybytki naukowe: konwikt pijarski niezależny co do materialnego bytu swego od skarbu publicznego, własną siłą i udziałem osób prywatnych stojący, przeciągnął na czas niejaki swe istnienie. Lecz gdy w r. 1832 za postanowieniem najwyższem wychowanie publiczne przeszło wyłącznie w ręce osób świeckich, wybiła ostatnia godzina i dla kollegium Konarskiego. Nadto gdy ten krasnobrzeg (Żoliborz) nadwiślański uznano za najdogodniejszy punkt na mającą się wznieść warownią w Warszawie, wyszedł rozkaz od rządu do przełożonego, aby natychmiast ten zakład wychowawczy opuścić i wszelkie ruchomości, sprzęty, zbiory i muzea gdzieindziej przenieść. Gdzież tu znaleźć odrazu gmach, któryby taki ogrom rozmaitych przedmiotów pomieścił? Lubo nieodpowiadający we wszystkiem potrzebie i warunkom tak znacznego instytutu, wynajęto przecież na ten cel dom wielki z oficynami i ogrodem przy ulicy Zakroczymskiej, będący wtedy własnością Dobrowolskiego, później Nalepińskiego, w końcu zaś burzony dla rozszerzenia fortyfikacyj. Tu profesorów, konwiktów i wszystkie przybory naukowe pomieszczono i zwyczajnym trybem kontynuowano lekcye z młodzieżą aż do końca roku szkolnego.

Z 1833 rokiem nastąpiło rozwiązanie wszelkich szkół zostających dotąd w rękach duchowieństwa katolickiego, a zatem i konwiktu Konarskiego. Z młodych Pijarów jedni poprzyjmowali obowiązki prywatnych nauczycieli po domach obywatelskich, drugich pomieszczono przy nowo organizujących się gimnazyach świeckich, innych znowu biskupi użyli do posług kościelnych po

swoich dyecezyach. Mała tylko liczba starszych wiekiem pozostała w zgromadzeniu i miała się utrzymywać ze szczupłych funduszków, jakie posiadały jeszcze kolegia dawniejszej fundacyi. Dla ks. Jakóba nastąpiły znów kłopoty nowój ruinacyi, bo z ulicy Zakroczymskiej, gdzie czasowo ulokował się, musiał emigrować do kolegium przy ulicy Długiej z całym taborem sprzętów domowych, ogromną biblioteką, gabinetami, muzeami i zbiorami naukowemi, które dziś jeszcze znakomitą stanowią spuściznę. I tu zamieszkiwał, jako rektor kolegium tego, kiedy oto 25 stycznia 1834 r., na kapitule zwołanej przez ks. Kajetana Kamińskiego exprowincyała i regensa prowincyi od Rzymu postanowionego, po śmierci ks. Adama Kamionowskiego, wśród swego *triennium* na prowincyałstwie zmarłego, wybrany został ks. Ciastowski prowincyałem irektorem łącznie kolegium warszawskiego. Ale tu nowe obarczyły go troski i trudy. Kościół i kolegium wraz z pozostałemi im domami od ulicy Długiej i Miodowej zakwalifikowano na prawosławny sobór Świętej Trójcy i w miesiącu sierpniu 1834 r. rozkazano wynosić się Pijarom z dawniej siedziby swojej do kolegium po-jezuickiego obok katedry św. Jana, położonego przy ulicy Jezuicką dotąd zwanęj. Z rezygnacją przyjął tę wolą ówczesnego rządu ks. Ciastowski, dokonał nowych przeprowadzin w ciągu naznaczonego mu terminu dwóch tygodniowego, nie bez wielkich wysileń i pracy. Jakkolwiek kolegium pojezuickie nie było jeszcze w złym stanie, potrzebowało jednak przerobienia w niektórych częściach i urządzenia ku nowemu przeznaczeniu, co także nie mało wymagało nakładów. Dokonał tego wszystkiego ks. Jakób z wielką pracą i starannością. Przedewszystkiem urządził wewnątrz kolegium kaplicę, czyli oratoryum do odprawiania mszy świętych za otrzymaniem na to pozwoleniem od ks. Pawła Strazyńskiego kanonika, trzeciego administratora archidyecezyi warszawskiej od śmierci arcybiskupa Woronicza. Kościół bowiem pojezuicki, który teraz dostał się w posiadanie Pijarów, dawno już od służby bożej wyłączony, ze sprzętów, ołtarzy, organów ogołocony, przedstawiał istną pustkę, potłuczone okna i zwilgoczone mury, wśród których mieścił się kiedyś skład wełny na sprzedaż oczekującej. Nie zrażony żadnemi trudnościami a gorliwością o cześć Bożą zagrzany, z całym poświęceniem jął się ks. Jakób do podźwignienia i uporządkowania świątyni Pańskiej. Nie wielki zasilek skarb Królestwa na tę restauracyą wyznaczył, bo tylko 35,000 złp. a resztę wydatków poniosło ubogie zgroma-

dzenie z własnych dorobków za lepszego czasu oszczędzonych. Za spółdziąłem tedy biegłych budowniczych, artystów, rzemieślników, tyle swą usilnością dokazał, iż w ciągu ośmnastu miesięcy przybytek Pański mógł być służbie Bożej powrócony. Pokryto i oczyszczono go zewnątrz, porobiono okna i posadzkę, poustawiano ołtarze, odmalowano obrazy, poustawiano konfesyonały, lichtarze, organy i t. d., tak, iż wszystko wyglądało tam świetnie i świeżo, jakby nowo zbudowane. W końcu uwieńczając dzieło szczęśliwie dokonane, ks. Franciszek a Pauli Pawłowski biskup płocki pobłogostawił na nowo tę świątynię dnia 19 marca 1836 r. w asystencyi liczego duchowieństwa, panów i ludu pobożnego i zwyczajne nabożeństwo zaprowadził, które się dotąd odbywa. Obywatele warszawscy pamiętni zasług, jakie zgromadzenia pijarskie dla oświecenia w kraju od dwóch wieków położyły, poznosili znaczne różne dary do obrzędów i ozdoby tego domu Bożego służące, odnowili bractwo Sodalistów N. Maryi i szczególną mają tu cześć dla obrazu cudownego Najświętszej Panny Łaskawej.

Załatwiwszy się z restauracją kościoła, wziął się ks. Ciastowski do naprawy i odnowienia kolegium całego. Zajął się następnie uporządkowaniem bibliotek obudwóch, tojest żoliborskiej i kolegium warszawskiego, przybrawszy sobie do pomocy ks. Andraszka znanego filologa u Pijarów. Nie dokonał jednak tego całkowicie, bo na to było potrzeba więcej czasu i ludzi bibliotekarstwu oddanych. Na sumieniu to jednak publicznie cięży, iż te dwa znakomite księgozbiory nie ułożone i nie spisane jak należy, butwieją gdzieś pod dachem i nie są dla użytku miłośników nauki otwarte. I nietylko te, ale wszystkie biblioteki prywatne powinny być dla publiczności dostępne, bo i na cóżby je z takim mozółem i nakładem gromadzono? Teraźniejszego zgromadzenia ks. Pijarów nie można pomawiać o opieszałość w tej mierze. Nie ma ono ani środków, ani ludzi do spełnienia tej posługi ważnej dla ogółu, i oczekuje na możnych i światłych mecenasów nauki. Kiedyż do tej ofiary byłyby czas odpowiedniejszy jak dzisiaj, kiedyśmy wszyscy uczuli tak żywo potrzebę rozszerzenia oświaty w narodzie naszym? Mimo uszczuplonych funduszków kolegiijnych ks. Ciastowski z nałogu poniekąd nie przestał pomnażać biblioteki nowemi dziełami, lubił posilać ducha swego czytaniem i wśród tyłu zajęć ułożył wypisy francuzkie dla szkół wydrukowane 1834 r.

Oględny gospodarz nietylko starał się nie uronić tego, co mu po kłęskach pozostało, ale nadto pomnożyć swoją chudobę.

Za wpływem przyjaciół swoich wyjednał sobie u rządu, iż do kolegium pojezuickiego, które już zgromadzenie posiadało, dozwolono mu wcielić kamieniczkę przyległą, klasztorkiem zwaną. W tej wyrestaurował piętra na wynajem dla pomnożenia zmniejszonych funduszów, a parter urządził na pomieszczenie drukarni, którą tu przeniósł z kolegium przy ulicy Długiej. Sławną była ta drukarnia za czasów rzeczypospolitój polskiej jeszcze, i odznaczała się w ostatnich czasach taniem wydawnictwem książek szkolnych. Szkoda, że następcy ks. Jakóba upaść jej dozwolili, bo połączona z księgarnią przynosiłaby ona jakkolwiek dochód zgromadzeniu i mogła być i dla publiki użyteczną jeszcze. Zabiegami swemi tyle jeszcze dokazał, iż w wynagrodzeniu za dochód z kamienic do soboru Św. Trójcy wcielonych, wyznaczono ze skarbu dla kolegium po 8,000 złp. rocznie pobierać się mające. Pomimo nadwreżonego tyłu trudami zdrowia nie przestawał pracować około przedłużenia bytu chylącego się do upadku zakonu swego. Czuwał pilnie nad całością pozostałych w posiadaniu zgromadzenia kolegiów i kościołów, otworzył na nowo nowicyat w Warszawie za dozwoleń władzy i wstępującą do niego młodzież kształcić starał się wszechstronnie. Po dzień przygotowani na studyach zakonnych młodzi Pijarowie słuchają wykładów teologicznych w akademii duchownej i oddać mogą w czasie usługi krajowi, jako nauczyciele kapłani. Tak sprawiedliwa należy się ks. Ciastowskiemu chwała, iż od dwustu kilkudziesięciu lat poświęcające się zgromadzenie to wiecznie i bezinteresownie wychowaniu młodzieży w Królestwie Polskiem, od zupełnego rozwiązania i zagłady swoją usilnością ocalił.

Podtrzymywane z wszelką możliwą starannością kolegia i kościoły pijarskie przez ich przełożonych dotychczasowych, może kiedy powrócone zostaną za łaską Bożą dawnemu przeznaczeniu swemu. Wszakże szkoły pijarskie stosowały się zawsze do wewnętrznej organizacyi instytutów edukacyjnych w kraju naszym, szło tam wszystko według rozporządzeń magistratury oświecenia z zadowoleniem powszechnem że tak powiem. Zgromadzenie pijarskie miało wielu mężów niepoślednio ukształconych, pedagogów taktowych wykładem nauki i postępowaniem trafnym z młodzieżą o wiele wyższych od nauczycieli cywilnych. I dziwić się temu nie można, bo zakonnik z powołania zawodowi pedagogicznemu oddany, wolny od trosk o życie powszednie, nie spętany obowiązkami rodzinnymi, miał więc więcej czasu do pra-

cowania nad sobą i do wyrabiania sobie metody w zastosowaniu tego co rozmyślanem i przysiedzeniem fałdów zdobył. W szkołach też pijarskich nie słyszałeś o bezładzie i nieporządkach, z którymi tyle rząd miewał kłopotu w szkołach świeckich. Umiano tam traktować błędy dzieci, jako zwyczajne narowy temperamentów, jako usterki młodości i niedoświadczenia. Owszem szkoły świeckie poruczano nieraz pod zarząd Pijarów, gdy ich do ładu i stanu normalnego przywieść nie zdołano. Taki przypadek był ze szkołą wojewódzką kaliską, przeniesioną do Piotrkowa i oddaną pod kierunek ks. Pijarów. I od tego czasu owa burzliwa młodzież kaliska, która tyle komisyj śledczych na siebie ze strony rządu spowodowała, zamieniła się w łagodne baranki. Umiejętnie i po ojcowsku postępowali z nią księża i potrafili zjednać sobie jój miłość. Najwyższe postanowienie wyłączające duchowieństwo, w ogóle od udziału w wychowaniu publiczném dotknęło i Pijarów. Zdaniem przecież naszym można im było pozostawić szkoły i nadal za przykładem rządu pruskiego, choćby dla samój emulacyi ze szkołami świeckimi, zwłaszcza, iż one bardzo mało skarb kosztowały i miały wziętość ustaloną. Liberalniejszy sposób myślenia objawiający się między młodzieżą, niesłusznie przypisywano wpływowi edukacyi pijarskiej; był to raczej duch czasu rozlany po całej Europie. Pijarzy pracowali sumiennie i pocziwie nad ukształceniem prawych i światłych obywateli i nie powodowali się nigdy żadnemi ubocznemi względami.

Czynny i przedsiębiorczy duch ks. Jakóba, wiele jeszcze rokował dobrego dla zgromadzenia, ale znękanym tułu przeciwnościami, złamany ciężką pracą, upadać począł na siłach. Starania najbieglejszych lekarzy nie potrafiły go przywrócić do dawnego stanu zdrowia. Trapiony wodną puchliną, nagłą śmiercią zakończył życie d. 18 czerwca 1837 r., zaledwie zdoławszy przyjąć generalną absolucyą i wznieść ręce do nieba o zmiłowanie Boże nad ulatującą z ciała duszą nieśmiertelną. Żył lat 46 a w zakonie 29. Ks. Antoni Kotowski dziekan prałat metropolitalny i officyał generalny konsystorza archidiecezyi, niegdyś kolega nieboszczyka w zakonie, eksportował jego zwłoki w asystencyi licznego duchowieństwa i tłumnie zebranej publiczności do kościoła miejscowego, gdzie po odprawioném na drugi dzień uroczystém nabożeństwie żałobném złożono je w grobach na wieczny spoczynek. Był ks. Ciastowski wzrostu miernego, postawy mężnej, poważnej, usza-

nowanie wrażliwej, cery czerstwój i rumianej, włosów blond: delikatność, godność, wyrozumiałość cechowały jego postępowanie z wyższymi i niższymi. Bezinteresowny, sprawiedliwy, nigdy nie powodował się żadną stronnością lub osobistością. Dla siebie surowy a dla drugich pobłażający prowadził ostre życie cenobity. Naturalny i skromny w ubiorze i innych potrzebach, na książki tylko grosza nie szczędził. Dobroczynny aż do zapomnienia o sobie, nie odprawił nigdy biednego bez opatrzenia. Ubodzy też udawali się do niego we wszelkich potrzebach. Pisał im nawet podług ówczesnego zwyczaju prośby po francuzku a władał językiem francuzkim i niemieckim jak swoim ojczystym. Powszechnego też używał szacunku u wszystkich co go znali, lub jakkolwiek mieli z nim styczność.

Ks. A. Sz.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

Miesiąc Czerwiec 1863 roku.

DZIEŁA.

Encyklopedia Powszechna. Tom XIII. Zeszyt 118, str. od 881—983, Spisu rzeczy XII. T. XIV, Zesz. 119, str. 112, (kanclerstwo-Karlos.). Warszawa, 1863, nakł. i druk S. Orgelbranda, 8ka, okł. druk. Każdy zeszyt kop. 35.

Fałęcki J. O gimnastyce higienicznej i lekarskiej. Warszawa, 1863, druk Psurskiego, 8ka, str. 44.

Maleszewski Władysław. Dziecię Żmujdzi, powieść. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i R. Wolffa, 1863, druk J. Krokoszyńskiego, 8ka, str. 302.

Plagge F. Dr. O przyczynach chorób umysłowych i samobójstwa, zarys psychiatryczny, przełożył Dr. *Alexander Jawurek.* Nakł. autora. Warszawa, druk A. Ginsa, 1863, 8ka, str. 109. Spisu 1.

Zbiór przepisów o fabrykach kościelnych i dozorach kościelnych parafij katolickich, obejmujący obowiązujące w Królestwie Polskiem postanowienia i instrukcyje, w przedmiocie budowania, restauracyi i reparacyi budowli kościelnych i plebańskich, oraz utrzymania cmentarzy, wydany z upoważnienia Komisyi rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Warszawa, druk K. Kowalewskiego, 1863, 8ka, str. 115, szematów i spisu 10. Złp. 5.

Nabożeństwo do Najśłodszego Serca na miesiąc Serca czyli Czerwiec. Warszawa, druk ks. Missyonarzy, 1863, 12ka, str. 12.

Krótką nauką o Spowiedzi i Komunii świętej dla ludu wiejskiego z dodaniem nauki o trzeźwości, ofiarowana przez proboszcza parafii Sokoly, swoim owieczkom na pamiątkę zaprowadzenia pomiędzy nimi zupełnej trzeźwości w roku 1862 Warszawa, nakł. C. Lewickiego, 1863, druk Gazety Polskiej, 12ka, str. 53, spisu 1, okł. druk. gr. 13.

Lelewel Joachim. Dzieje Polski, które stryj synowcom swoim opowiedział, powiększone dodatkami, oraz rysem Historii literatury polskiej przez *L(eona) R(oyal)skiego*, z 12 mapkami i tablicami genealogicznymi. Wyd. 4te. Warszawa, druk S. Orgelbranda, 1863, 8ka mniej., str. 510, V, okł. druk.

Znamirowski Józef. Pszczelarz polski czyli Przewodnik praktyczny w zajęciach pasiecznych, zastosowany do potrzeb mniejszych i większych gospo-

darstw pszczolarskich, wyłożony przystępnie do pojęcia braci z ludu. 64 drzeworytów w tekście. Nakł. redakcyi Gazety Rolniczej. T. 1, 2. Warszawa, druk I. Krokoszyńskiego, 1863, Ska, str. II, 260, 2—211, 3, okł. druk. zlp. 10

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Przegląd Katolicki. M. czerwiec, 1863. NN. 22—25, zawierają:

Ojciec Feliks. Chrześcianizm i socyalizm. Początek i wzrost seminarjum w Bedonii w dycezyi Piacenza. Sprawozdanie areybraetwa nieustającej adoracyi Najświętszego Sakramentu. Nieznane kazanie ks. Wereszczyńskiego biskupa kijowskiego, p. ks. *W. P.* Kościół katolicki w Albanii. Odpowiedź ks. *Justyna Gryglewskiego*. Tajemnica przeznaczenia w obec wiary i nauki. Korespondencya. Kronika kościelna, krajowa i zagraniczna. Bibliografia krajowa i zagraniczna.

Zwiastun Ewangeliczny. M. czerwiec 1863. NN. 11—12, zawierają:

Czy w „Imię”, czy w „Imieniu” Ojca, Syna i Ducha Świętego chrześć mamy i bywamy chrzczeni. O dowodach prawdy objawionej według Pisma Świętego (c. d.). Jan Ostroróg (c. d.). Chrystus prawdziwy Bóg. Korespondencye. Przegląd literacki. Wiadomości z kościoła i o kościele.

Przegląd Europejski. M. czerwiec 1863. Zesz. 12, str. od 499—718, zawiera:

Wyjątek z Pamiełników życiorysowych Jana Piotra i Józefa Franków, spisanych przez samegoż *Józefa Franka*, tyczący się ich pobytu w Wilnie, przekład z autentycznego w języku francuzkiem rękopismu, p. *Dominika Chodźkę* (c. d.). Hiszpania pod względem politycznym, skarbowym, administracyjnym i intelektualnym, do końca roku 1862 (c. d.). Gwido Liwingstone, przez *Jerzego Alfrada Lawrence*, przekład z angielskiego *A. J.* (dok.). Przegląd rzeczy potocznych, p. *J. H.* Przegląd polityczny.

Roczniki gospodarstwa krajowego. M. czerwiec 1863. T. VI. Posz. III. str. od 349—531, tab. 1, spisu str. 2, zawiera:

Historya i prawa przyrodzone rolnictwa, p. *Justusa Liebig'a*. Gospodarstwo wiejskie w Szwajcaryi, p. *Emila de Laveleye*. O ulepszeniach rolniczych w Szwajcaryi. Pochodzenie nawozu zwierzęcego i środki jego obliczenia. O użyciu wapna w rolnictwie. Biblioteka pożyteczna, p. *P. S. D.* Rozmaitości. Bieżące wiadomości rolnicze. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. maj 1863.

Tygodnik Lekarski. M. kwiecień, 1863 NN. 14—17, maj NN. 18—19, zawierają:

Odpowiedzi na pytania umieszczone w okólniku przez komitet ustanowiony do rewizyi ustawy i organizacyi służby cywilno-lekarskiej w Królestwie, p. *Rewolińskiego*. Rolle: Nielad ruchu postępowy. Okin-czye Al: Biepharona denitis cilicaris, wyzdrowienie. Komissya balneologiczna w Towarzystwie naukowem krakowskiem. *Dymnicki*: Sprawozdanie z chorób leczonych w zdrojowisku w Busku w czasie pory kąpielowej r. 1862. *Górecki*: Listy z podróży za granicę. *A. Kremer*: O zapaleniu pęcherza moczowego. *Orkisz*: Bibliografia wód mineralnych polskich. *Przystański*: Aforyzmy. *Eborowicz*: Wiadomości z pism zagranicznych. Przegląd tygodniowy. Posiedzenia Towarzystwa Le-

karckiego Warszawskiego, Towarz. lek. podolskich, Wydziału nauk przyrodniczych i lekarskich Tow. nauk krakowskiego, Komisji balneologicznej w Tow. nauk. krakow. Postrzeżenia meteorologiczne. Nowe dzieła:

Kółko Domowe. M. czerwiec 1863. Posz. III, str. od 65—96, zawiera:

Postrzyżyny Mieczysława, p. *Władysława Chomętowskiego*. Ustęp, ze wspomnień starca, p. *L. S.* Obrona Dobrzyńskiego zamku, p. *J. Smigielską*. Powieść o dwóch miastach *Dickensa*, p. *Wład. Chomętowskiego*. Marya Klementyna Sobieska i Marya Leszczyńska, p. *J. Smigielską*. Korrespondencya z Paryża, p. *Julię Janiszewską*. Podróże badacza przyrody po środkowej Afryce. O ubiorach. Objaśnienie tablicy rysunków.

Przyjaciel Dzieci. M. czerwiec 1863. NN. 114—117, zawierają:

Rozmowy Ojca z dziećmi, p. *J. Kina*. Walek z lasu, powieść *Józefa Dzierżkowskiego*. (c. d.) Dzieje narodu polskiego, p. *Leona Rogalskiego*. (c. d.) Apelles i Protogenes, p. *J. Ch.* Historia święta, p. *Michała Szymanowskiego*. Sofokles, p. *Kazimierza Kaszewskiego*. Koza. Lis Arystomena. Pierwotne lasy Brazylii, p. *Władysława Elgensa*, p. *W. P.* Poezye. Gawędy naukowe, p. *S. K.* Staropolskie wierszyki. Anegdota historyczne. Bajeczka. Rozmaitości. Zagadka. Rebus.

Tygodnik Mód. M. czerwiec 1863. NN. 23—26, zawierają:

Hygiena wodna i gimnastyczna. Mrowin i Troek, powieść p. *Paulinę z L. Wilkońską* (c. d.) Elekya i wjazd uroczysty Henryka Walezyusza do Krakowa. Korrespondencya z Paryża. Kronika literacka i artystyczna. Gwiazdka. Poezye. Nowości zagraniczne. Mody. Opisy rycin mód, form i deseni.

Jutrzenka. Tygodnik dla izraelitów polskich. M. czerwiec 1863. NN. 23—26, zawierają:

Listy żydowskie. Ghetto w Rzymie, p. *Mathiasa Bersohn*. Sąd Syxtusa Vgo, p. *Adolfa Jakóba Cohn*. O niewolnictwie, i ismo święte w porównaniu z Rzymianami i nowoczesnym amerykańskimi stanów prawami, p. *Izaaka Rosenblata*. Życie Abarbanela, p. *B. Grünfelda*. Podroby koszerne, p. *Adama Schwarzensteina*. Jeszcze o wychowaniu. Lichwa pod względem prawnym i moralnym. Żydzi przed murem Salomona. S. Blocha, p. *L. N.* Korrespondencye. Przegląd pism krajowych. Wiadomości bieżące.

Tygodnik Illustrowany. M. czerwiec 1863. NN. 193—196, zawierają:

Stanisław Koniecpolski. Pomnik Kazimierza Brodzińskiego w kościele PP. Wizytek w Warszawie. Rzyszczow, z kościołem cudami słynącym, p. *Bolesława z Ukrainy*. Jarema, studium z wewnętrznych dziejów Galilei, p. *Jana Zacharyasiewicza* (c. d.) Illustrowane przysłowia p. *Juliana Bartoszewicza*. Kościół ks. Bernardynów w Poznaniu. Kościół w Biskupicach. Lichwa pod względem prawnym i moralnym, p. *Z. Z.* Dawne ubiory i uzbrojenia. Niektóre pamiątki po Janie IIIcim w Bawarii, p. *Alexandra Lessera*. Urwana powiastka, p. *Bogumila Aspisa*. Olsztyn. Zakrystya przy kościele OO. Bernardynów w Warszawie. Mikołaj Wolski marszałek w koronuy, p. *Juliana Bartoszewicza*. Kościół katedralny w Wilnie, p. *Wacława Przybylskiego*. Dzieła Wita Stwosza oznaczone monogramami, p. *Alexandra Lessera*. Zakłady żeglugi paro-

węj na Solcu w Warszawie. Zarys wykładu geografii mianowicie w zastosowaniu do wyższych zakładów żeńskich, p. *Juliana Kotkowskiego*. Poezye. Korrespondencye. Przegląd polityki zagranicznej. Kronika tygodniowa. Rozmaitości. Szachy. Rebusy.

Wędrowiec. NN. 21—25, zawierają:

Dahomėj (c. d.). Wiek dziecinny Wiktora Hugo (c. d.). Ostenda. Tajemnice Eleuzyńskie. Góra Bré i jezioro Lugano. Amerykańscy Flibustierowie. Olbrzymia Salamandra. Konserwowanie pokarmów. Ary-Scheffer. Lamy z gór kordyllerskich. Pleniona ludzkie. Legenda o jaskółkach. Biarits. Podróż kapitana *Burton* do kraju Mormonów. Dyadem dyamentowy, p. *Pitre Chevalier*. Trarbach. Rafael Mengs. Provins. Kamienie drogic. Psy stepów amerykańskich.

Kmiatek. M. czerwiec 1863. NN. 23—26, zawierają:

Opowiadania Goralczyka z historii polskiej. Przystawaj na swoim. Zamek królów polskich w Krakowie. O męczeniu zwierząt. Jako pszczoły kochają swego gospodarza. Kara na pijaka. Św. Alojzy. Czego kto zwyczajny, zdarzenie prawdziwe. Nieco o szkółkach wiejskich, trochę o dobrych, a w końcu i o niedobrych ludziach. Jednemu sztyła golą, a drugiemu i brzytwy nie chcą. Maciek. Jako Hryć wyszedł na trzech swoich synach. Listy.

Czytelnia Niedzielnia. M. czerwiec 1863. NN. 23—26, zawierają:

Wszech świat. Przepisy zachowania zdrowia. Kilka ustępów z życia Stefana Czarnieckiego. Józef i Paweł dwaj bracia Malińscy. Pielęgnowanie chorych. Każdy modlić się powinien, powiastka. Opowiadanie o królu Przemysławie i żonie jego Ludgardzie. Listy. Różni ści.

Gazeta Warszawska. M. maj 1863. NN. 122—145, zawierają:

Moja powieść, przekład z angielskiego *Sir Edwarda Lytton Bulwera* (c. d.). Studya o gusłach, czarach, zabobonach i przesądach (przeгляд). Biblioteka Ossolińskich (przeгляд p. *J. P.*). Fabrykacya wody sodowej, p. *W. Karpińskiego*. Wystawa sztuk pięknych w Krakowie. Wapienictwo. Przegląd literatury zagranicznej. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie, artystyczne.

Gazeta Polska. M. czerwiec 1863. NN. 122—145, zawierają:

Cywilizacya państwa Rzymskiego i ludy barbarzyńskie. Baz imienia, powieść *Collins'a*, przekład z angielskiego (c. d.). System gminny w Stanach Zjeunoczonych (c. d.). Podróż powietrzna p. *Afryce* (c. d.). Kronika paryzka, p. *Z. W.* Choroby umysłowe. Chejdery wzorowe. General *Jackson* (życiorys). *Tomasz Macaulay* (życiorys). Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie, artystyczne.

Kuryer Warszawski. M. czerwiec 1863. NN. 122—145.

Kuryer Niedzielnny. M. czerwiec 1863. NN. 22—45, zawierają:

Przełady: polityczny, brukowy, literacki, gazet i pism czasowych. Korrespondencye. Pytania i odpowiedzi.

Dziennik Powszechny. Pismo urzędowe, polityczne i naukowe. M. czerwiec 1863. NN. 122—145, zawierają:

Ukaz Najwyższy nadający Namiestnikowi król. prawo przyznawania pensyj emerytalnych. Studya nad Kodexem karnym 1818 i późniejszymi

prawami kryminalnemi, p. *Romualda Hube* (c. d.). O wychowaniu publicznem w Stanach Zjednoczonych i Anglii (dokoń.). Zdanie sprawy Banku Polskiego za r. 1862 (c. d.). Opisy zabytków starożytności, przez Delegację wysłaną z polecenia Rady Administracyjnej Królestwa zebra-
ne (c. d.). Palmy daktylowe i daktyle. Przemysł fabryczny i rękodzielny, tudzież handel Królestwa Polskiego. Osady rosyjskie w Ameryce. O ruchu pocztowym w Pocztańcu Warszawskim w m. marcu 1863. Prace statystyczne w Cesarstwie Rosyjskiem dokonane (c. d.). Sprawozdanie z najważniejszych odkryć geograficznych dokonanych w 1860 r. O nagrodach i znakach honorowych w Polsce, od najdawniejszych czasów do 1835 r. Bibliografia francuzka i niemiecka za m. maj r. b. Nowa droga morska do Syberji. Nagrody z Wystawy Londyńskiej udzielone wystawcom z Królestwa Polskiego. Jurisprudencya. Wiadomości bieżące. Wiadomości literackie.

Warszawska Gazeta Policyjna. M. czerwiec 1863. NN. 123—145, zawierają:

Śmierć kumem, podanie flamandzkie (c. d.).

Warschauer Zeitung. M. Juni 1863. NN. 121—144, zawierają:

Ueber den Adel in England. Ein Königlichs Ritterschloss. Geheimnisse des Serais, Zur französischen Bevölkerungsstatistik. Literarisches. Handel und Verkehr. Lokalbericht. Vermischtes.

Korespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. M. czerwiec 1863. NN. 39—46, zawierają:

Sztuczne wylęganie kurcząt (dok.). Owady śpichlerzom szkodliwe, mianowicie o wolkach zbożowych i o środkach na ich wytępienie służących (c. d.). Co czynić należy na wiosnę z drzewami owocowemi? Sztuczna hodowla ryb, p. *J. R. Sorgho*, p. *Henryka Sławińskiego*. Szczególny rodzaj obłaskawienia dzikiej sikorki popielatej. Główne zasady wzrostu roślin z ich zastosowaniem do rolnictwa i ogrodnictwa. Główne warunki życia roślinnego. Hodowanie olbrzymich gatunków głowistej kapusty. Czy należy dawać koniom owies przed, czy po napojeniu? O nawodnianiu łąk, p. *Classena*. Hodowla poziomek. Koniczyna nasienna. Kilka słów o uprawie szparagów. Co rozumiemy przez wyjąłowanie gruntu i jak można wyjąłowaniu temu zapobiec? Wiadomości handlowe. Drobiazgi.

Gazeta Rolnicza. M. czerwiec 1863. NN. 22—26, zawierają:

Rolnik powinien być kupcem, p. *Józefa Mrozińskiego*. Warunki ekonomiczne rolnictwa, p. *Alexandra Makowieckiego*. O wierzbach polskich, p. *Józefa Gluzińskiego* (c. d.). Ostrzenie kos. O ulach krajowych, p. *Józefa Znamirowskiego*. Kilka słów o łubinie, jako roślinie pastewnej, p. *Jana Przedpelskiego*. Przegląd krytyczny dziełka Ludwika Dąbrowskiego, p. t.: „Regulamin dla gospodarzy wiejskich”, p. *Bartłomieja Brzechwy*. O ulach krajowych, p. *Józefa Znamirowskiego*. O szkodach rolnictwu i leśnictwu przez myszy rządzących, tudzież o różnych sposobach tępienia takowych, p. *Zdzisława Niedubylskiego*. Kilka słów o humusie. Żniwiarka i zarazem kosiarka wynalazku Roberta Helarda. Karczownik łańcuchowy, p. *Hipolita Cegielskiego*. O handlu mlekiem, p. *Zygmunta Gawareckiego*. Wspomnienie o życiu i pismach Józefa Gołuchowskiego. Życzenia narodowemu rolnictwu, p. *Józefa Włczewskiego*. O produkcy i konsumcyi nawozów w gospodarstwie rolnem, p. *Leona Kąkolewskiego*. Wspomnienie o Wiktorze Kozłowskim nadleśniczym, p. *Marcymiliana Chelmińskiego*. Siewnik korny odśrodkowy. Korrespondencye gospodarskie. Nowiny i ogłoszenia gospodarskie.

MUZYKALIA.

Moniuszko Stanisław. Muzyka kościelna. Zwiastowanie, słowa A. Czajkowskiego. Warszawa, nakł. autora, lit. W. Otto, sztych G. Gebethnera i R. Wolfa, str. 7.

Lubomirski Kazimierz. „Nigdyż”, „Do gęśli”, Dwie dunki *Bohdana Zaleskiego*. Dzieło 58. Warszawa, nakł. i sztych G. Gebethnera i R. Wolfa, lit. W. Otto, str. 10. Złp. 3.

Lodwigowski E. S. Skarbiec melodyj polskich, zebranych i ułożonych w łatwym stylu na fortepian. Zesz. 3. Op. 53. Warszawa, nakł. i sztych G. Gebethnera i R. Wolfa, lit. W. Otto, str. 14. Złp. 4.

Lada Kazimierz Dwa marsze polskie utworzone na orkiestrę i przerobione na fortepian. Op. 37. Warszawa, nakł. i litogr. A. Dzwonkowskiego i spół., str. 6. Złp. 2.

Lulcken Ferd. Kwentyn. „W gaju”, mazurek sielski na fortepian. Warszawa, nakł. i litogr. A. Dzwonkowskiego i spół., str. 9.

Kalle Th. Sen i kabala, śpiew z towarzyszeniem fortepianu, słowa *Wład. Syrokomi.* Warszawa, nakł. i lit. A. Dzwonkowskiego i spół., str. 13.

Dobrzyński B. Polonez *Dąbrowskiego* ułożony na fortepian. Warszawa, nakł. J. Kaufmanna. lit. W. Otto, sztych G. Gebethnera i R. Wolfa, str. 6.

Dobrzyński Ignacy Feliks. Wyjątki z opery *Monbar*, czyli *Flibustyero-wie*, układu kompozytora na fortepian: na 2 ręce, str. 22, złp. 6; na 4 ręce, str. 31, złp. 8. Warszawa, nakł. i sztych G. Gebethnera i R. Wolfa, lit. W. Otto.

Bertini H. *Choix d'Etudes pour le piano. Nouvelle edit. Livre 1^{re} et 2^{me}. Varsovie*, sztych G. Gebethnera i R. Wolfa lit. W. Otto, str. 27, 31.

Osmanski W. Marsz *Żuaw*, ułożony na fortepian. Warszawa, lit. K. Strupczewskiego, str. 5.

 WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Lipiec 1863 r.—O żadnym ważniejszym dziele u nas doniesić nie możemy: prace zasługujące na uwagę, jedne spoczywają w tekach autorów, drugie zachowane u księgarzy wydawców, czekają na sposobniejszą dla literatury porę. Wszystkie pisma peryodyczne potraciły znaczną liczbę prenumeratorów: gazety po kilka tysięcy i zeszyły prawie do tej cyfry, nawet mniejszej, jaką liczyły w r. 1847. Pomimo tak dotkliwego upadku, żadne z pism dotąd nie przestało wychodzić. Czy dalej potrafią istnieć, czas późniejszy okaże.

— Popis Instytutu muzycznego z powodu obszerności swej sali, rozdzielonym był na dwa dni i odbyty został w dniach 26 i 27 czerwca, w sali egzaminacyjnej Instytutu.

Program dnia pierwszego rozpoczęła klasa chóralska odśpiewaniem *Introitu* z Requiem obszernego rozmiaru, dzieła Józefa Brzowskiego, wykonanie ze względu dokładności w zgodzie i efektowych odcieni zawdzięcza się p. Münchhoimerowi profesorowi tejże chóralskiej klasy.

Następnie pp. Czarnomski i Tarczyński, z klasy wyższej fortepianu odegrali z precyzją sonatę na 4 ręce Moscholesa. Dwusław na sopran i tenor Dochlera odśpiewany przez pannę Elżbietę Bogusławską i p. Ignatowskiego, dał nam poznać dwa piękne głosy rokujące na przyszłość, przy szczerzej pracy niepoślednie talenta i razem zaświadczył o wytwornej nauce, jaką zbogaca klasę śpiewu znany nasz artysta i professor Dobrski. Panna Elżbieta Nieborska również uczennica Dobrskiego, posiadając piękny głos mezzo-soprano, zwróciła uwagę odśpiewaniem arii Belliniego z opery *Montechi e Capuletti*. PP. Krygier i Demidenko wystąpili jako uczniowie klasy wyższej skrzypcowej, pierwszy w odegraniu *allegro* z koncertu Rodego, drugi w solu koncertowym Meysedera; w obydwóch zdolności zuamienite świetnie już rozwinięte niezmordowaną pracą ich profesora i zarazem dyrektora Apolinarego Kątskiego.

Nie mniejsze wrażenie sprawiła pania Thieme wykonaniem na fortepianie *ronda* Hummła z towarzyszeniem kwintetu; oraz pania Natalia Bogusławska odśpiewaniem romansu z *Roberta Diabła* Mejerhoera, obiedwie uczennice liczące się do celniejszych. *Fugę* zaś z *To Deum* Mozarta, kończącą program dnia pierwszego a wykonaną przez klasę chóralską, poprzedził duet skrzypcowy zbiorowo wykonany przez klasę niższą skrzypcową. Część ta programu wywołała w obecnych podziwienie i długo trwałe oklaski: nad dziwną zgodą, porywem pełnym energii nad wiek i objawem wyborniej szkoły, co wszystko zawdzięczają pracy i staraniu nauczyciela swego Kątskiego.

Program dnia drugiego rozpoczął chór ustępem z Oratorium *Haydna: Stworzenie Świata*. Dalej dał się słyszeć fortepian przez panny: Welinowiczównę i Gordziakowską w odegraniu na cztery ręce sonaty *Hummła* z wielkiem zrozumieniem autora i daleko posuniętym mechanizmem. Nastąpił duet na sopran i tenor z opery *Jessonda* kompozytcei Spohra; odśpiewali go pani Jakowicka i pan Mikulski. Dobry ten utwór dał nam usłyszeć zajmujący głos tenorowy, mogący być użytecznym w przyszłości, dla pani Jakowickiej, jednak nie był tak obszernym polem do wykazania całej mocy swego talentu, jak to okazało się w odśpiewaniu przez nią arii Verdego z opery *Il Trovatore*, przy towarzyszeniu chóru z ustępem tenorowym Ignatowskiego. Pani Jakowicka przy należytej wprawie, umiejętnym władaniu głosem, dobrej metodzie, posiada zarys rodzaju *Grandioso*, co właśnie w tej dramatycznej arii, wywołującej rodzaj ten sytuacją sceniczną, dała go poznać i ocenić. Bliżej jeszcze zapoznaliśmy się z jej zajmującym śpiewem, gdy dała słyszeć arją Moniuszki z drugiego aktu

Halki. Następnie dała się słyszeć na fortepianie najcelniejsza uczennica z klasy wyższej fortepianu, panna Marya Bonfils, w *triu Mendelssohna* i w *Balladzie Chopina*. Daleko już posuniętym jest talent panny Bonfils, tak w biegłości jak i odcieniach expressyi a zrozumienie myśli autora jest jej niemałą zaletą; przymioty te uwydatniły się, gdy z właściwą sobie potęgą odegrała *trio Mendelssohna*.

Z klasy śpiewu odznaczył się również p. Grzywiński pięknym głosem basowym, w melodi pod tytułem: *Wykłęty*, kompozycji *Gabryela Rożnieckiego*. Jako koncertowe solo wielki polonez Lipińskiego znamienicie odegrany przez Władysława Górskiego, ucznia klasy wyższej skrzypców. Młodzieniec ten celujący uczeń Apolliniego Kątskiego, potężnym owoładnął wrażeniem słuchaczy, niepospolitą grą swoją pokonał trudności zawarte w tém dziele, a dając słyszeć ów znany nam kiedyś polonez, niemal uobecnił zgasłego już od lat kilku naszego wirtuoza.

Zwróciły szczególnież uwagę słuchaczy dwa utwory dyrektora Instytutu, Kątskiego, pierwszym była: scena dramatyczna rozpoczynająca część drugą programu, skomponowana na kwartet li tylko skrzypcowy a wykonana przez uczni klasy wyższej skrzypcowej, to est: Górskiego, Krygiera, Ostrowskiego i Demidenkę.

J Drugim dziełem była kantata zakończająca program wykonana przez chóry, skrzypce obu klass, altówki (pp. Studziński i Liebrecht), violonczelle, (pp. Gebelt i Herman) kontrabas, (p. Lanckoroński), tenor solo (p. Ignatowski) i orgue melodium (p. Śliwiński).

Liczne grono słuchaczy z żywem uczuciem opuściło mury Instytutu, w którym tyle młodzieży z prawdziwą korzyścią oddaje się swęj sztuce. Jakkolwiek chwilowo umilknąć musiała, w ogólnym postępie i rozwoju narodowym, śpiew i muzyka poważna zajmuje miejsce i jest jednym z rysów naszej charakterystyki. Pieśń ma swą potęgę, jak muzyka przeważną władzę. Kiedy wielki bohater Stefan Czarniecki, opuszczony od lekarzy, złożony był niemocą śmiertelną, muzyka wróciła mu zdrowie i siły do dalszych prac w oswobodzeniu Polski od najazdu.

— Mało jest znane imię Szczęsnego Morawskiego, chociaż zasługuje na większy rozgłos. Artysta, malarz, jest przytem znakomitym pisarzem. W *Dodatku* do czasu, w cudnie pięknym artykule: „Wyprawa do Arabii po konie” pokazał nie tylko wysoki talent, ale mistrzowskie pióro. Jest też wydawcą *Materyałów do konfederacji Barskiej*, których tylko tom pierwszy wydał. Teraz drukuje w Krakowie dzieło p. n. *Sądeczyzna z Podhalem, Podbieszczadziem i ziemią Spiską*. Znamy niektóre tylko ustępy z tęg szacownęj pracy, i z góry możemy sądzić o nieocenionęj jej wartości. Wiele tu rzeczy nieznaných znajdziemy, wiele wiadomości i szczegółów, które pierwszy raz czytać będziemy; podania ludowe zestawia autor ze źródłami dziejowemi: na dyplomatach współczesnych opiera swoje badania. Postacie Henryka Brodatego i Jadwigi, biskupa Pawła z Przemiankowa, Gryfiny, biskupa Muskaty i wielu innych wystąpią

w nowém świetle. Oczekujemy z niecierpliwością wyjścia tego dzieła z pod prassy, abyśmy złożyli sprawozdanie staranne o niem naszym czytelnikom

— Kuryer Wileński w Nr. 68 z r. b. tak mówi o tłumaczeniu *Ifigenii* Getego, który daliśmy w tomie IIgim naszego pisma:

„Prześliczny przekład *Ifigenii w Tawrydzie* wierszem białym, jest przez redaktora Tygodnika Ilustrowanego Ludwika Jenikego dokonany. Dzięki troskliwości redakcyi mamy tu w Bibliotece do porównania wyjątki z przekładów tego arcydzieła wykonanych poprzednio przez Szabrańskiego i Paszkowskiego, a dotąd pozostających w rękopiśmie. Oba te przekłady, jakkolwiek nie próżne zalet właściwych każdemu z tych tłumaczy, słusznie musiały ustąpić pierwszeństwa nowój pracy. Niozrównana wierność we wszystkich szczegółach, posągowa powaga obok wyniosłości (na czém właśnie obu poprzednim tłumaczeniom zbywa), wreszcie piękność wiersza i szlachetność polszczyzny, zaleca to mistrzowskie odwzorowanie starożytnego świata”.

— Gazeta Polska zapowiedziała druk w odcinku swoim, nowęj powieści J. I. Kraszewskiego p. n.: *Człowieczek, czyli dola i niedola*.

— W Paryżu w drukarni L. Martineta, wydany został pierwszy zeszyt lirycznych pieśni Włodzimierza Wolskiego. Ci, którzy je czytali, przyznają im równie podniosły talent poetyczny, jak obrobienie artystyczne.

— Od kwietnia we Lwowie wychodzi dwa razy na tydzień (w poniedziałek i we czwartek) *Przegląd polityczny*. Właściwie jest to dodatek do *Przyjaciela domowego*, z którym wspólnie tworzy duży arkusz druku. Pierwszy zajmuje się głównie sprawami politycznymi, drugi mieści opowiadania i rozprawy historyczne, życiorysy, powieści, poezye, wszystko treści krajowej, do czego wchodzi i część gospodarza.

— Staraniem wydawcy Hipolita Stupnickiego, wydana będzie w formacie wielkiego arkusza *Galerya hetmanów polskich*, rysowana przez p. Swobodę a litografowana we Lwowie. Trzydziestu pięciu hetmanów są tu wizerunki, poczynawszy od Żelysława, a kończąc na Henryku Dąbrowskim. Wydawca w prospekcie mówi, że wizerunki te są zdjęte podług najlepszych portretów: powątpiewamy, czy to zapewnienie może się ściągać do Żelysława, Spytka z Melsztyna i Zawiszy Czarnego.

— Wyszło dzieło w Warszawie p. n.: *Pszczelarz polski czyli przewodnik praktyczny, wyłożony przystępnie do pojęcia braci z ludu*, przez Józefa Znamirońskiego. 64 drzeworytów w tekście. Dwa tomy. Cena złp. 10.

— Czytamy w *Gazecie Polskiej*: P. Fajans wykonał wielką fotografią wyobrażającą rzeźbiarza Oleszczyńskiego. Wystawia ona artystę w stroju, zwykle przy dłucie używanym w pracowni. Na lewo u góry stoi medalion J. I. Kraszewskiego przykryty w części niejakiejsz spadającą w fałdy firanką. Ze strony drugiej, umieszczono dwa, w małym formacie modele, z których jeden wyobraża pomnik nagrobny jednego z byłych wojskowych, drugi apoteozę Jana Sobieskiego; pod niemi stoi posąg Kazimierza Brodzińskiego; obok zaś głowa większego formatu z pomnika dla Adama Mickiewicza stojącego w Poznaniu. Na tej głowie wsparta jedna ręka rzeźbiarza. U samego dołu stoi pochyło wizerunek w płaskorzeźbie K. W. Wójcickiego. Przypominamy dawniejszą fotografię małą tegoż artysty, w chwili gdy przykłada rylce do popiersia doktora Levitoux.

— Z numerem 196 skończył się tom VIImy Tygodnika Ilustrowanego. Piękna ta publikacja zasługuje na ocenę krytyczną, nie tylko w części literackiej, ale i artystycznej. Postęp w drzeworytach widoczny i uderzający: większa część śmiało może wytrzymać porównanie z zagranicznymi, szczególnież te, które są wykonane biegłą ręką p. Jana Styliego drzeworytnika. Siedem tomów wydanych, już jasno wypowiedziało dążność i zasadę pisma, staranność głównego redaktora Ludwika Jenikego, znanego tłumacza dramatów Getego, (któreśmy w naszym piśmie ogłosili), i usilność samego wydawcy, który nie szczędzi hojnego nakładu na utrzymanie tego pisma na właściwem stanowisku i jego rozwoju. Tygodnik głównie ojczystym rzeczom poświęcony, nigdy nie zboczył z tej drogi, i przez to stał się skarbcem wielu pamiątek narodowych, o których powszechność nie zasłyszała. Życiorysy starannie opracowane, poznały rodaków z obliczem i zasługami wielu mężów, dotąd w ukryciu będących. W tomie następnym czytać będziemy obszerny opis Podola galicyjskiego z rysunkami Juliusza Kossaka, i w obszernych ramach wspomnienie o życiu Kazimierza Brodzińskiego.

— W Czechii i Morawii piękną myśl w prowadzono w życie: przy tegorocznych egzamonach, jako nagrody, mają rozdawać tak chłopcom jak i dziewczętom, medale, mające z jednej strony napis w języku czeskim: „Święty Cyryl i Metody apostołowie słowiańscy. Pamiątka z Welehradu 1863 r.”; z drugiej zaś strony, wyobrażenie tych dwóch świętych braci, którzy nawracali Słowian na wiarę chrześcijańską.

— *Kurier Niedzielny* ogłosił, że od 1 lipca r. b., oprócz zwyyczajnych numerów niedzielnych, wydawać będzie w każde święto uroczyste, oddzielny dodatkowy numer: „za co prenumeratorowie miejscy, dopłacić raczą do zwykłej dotychczasowej ceny abonamentu dziesięć groszy miesięcznie; prenumerata dla mieszkańców prowincyi, pozostaje niezmienna.”

— Stanisław Moniuszko ukończył całą operę p. n. *Straszny dwór*: libretto ułożył Jan Chęciński, treść wziął z Gawęd K. Wł. Wójcickiego.

— J. K. Żupański (jak to dawniej donosiliśmy) ukończył i wydał pisma Maurycego Mochnackiego w 5ciu tomach. Cztery tomy obejmują znane już nam prace tego wielkiego pisarza: tom pierwszy zawiera obszerny życiorys, i listy jego pisane do rodziny, wraz z listami brata jego Kamilla, i przyjaciela Michała Podczaszyńskiego, z którym Maurycy w Warszawie wydał cztery pierwsze tomy pisma, w zeszytach miesięcznych wychodzącego, *Dziennik Warszawski*. Dla biografa, któryby tę wydatną postać chciał odmalować na tle właściwych czasów, tom ten jest nieocenionej wartości. Do tego wydania są dołączone ś. p. Maurycego dwa wizerunki: jedno popiersie z lat młodszych z obrazu, drugi biust podług rzeźby wykonanej przez Władysława Oleszczyńskiego.

— Wydział nauk historycznych Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, odbył od czasu ostatniego sprawozdania, 5 posiedzeń, a mianowicie 9 i 23 marca, 20 kwietnia, 4 maja i 1 b. m., z których ostatnie było z kolei dziewięćdziesiąte szóste. Po przełożeniu darów zajmowano się następującemi przedmiotami: a) Jeden z członków zdał sprawę z dwóch powieści przesłanych Towarzystwu do ocenienia, celem przysądzenia im nagrody. Referat odnośny komisji komunikował, że powieść nadesłana przez Mieczysława z Poznania poleconą być nie może, zważywszy, że obraz czasów Piastowskich zbyt jest niejasny, a opracowanie nie dość staranne i sumienne; że druga zaś nadesłana z Kościana przez panią Pufkę, pod tytułem: „Dwaj bracia różnego wychowania” świadczy o pewnym talencie pisarskim i mogłaby przez Towarzystwo być przyjętą, oraz do nagrody przedstawioną, gdyby autorka chciała dopełnić pewnych zmian. Wydział postanowił autorce zwrócić rękopism z oświadczeniem, iż praca jej do nagrody przedstawioną będzie dopiero po uskutecznieniu tych warunków. Autorka w kilka tygodni powtórnie nadesłała swój utwór, wedle danych wskazówek zmieniony; potem wydział na mocy ogłoszenia wydanego przez Towarzystwo, w grudniu 1860 r., a zawierającego obok 4 zadań konkursowych pod Nrem 5 wezwanie, aby pisarze nasi nadsyłali utwory elementarne celem zachęcenia do kształcenia się umysłowego i rozpowszechnienia wypadku nauk pomiędzy liczną częścią społeczeństwa, która początki tylko odebrała szkolne i w skutek ogłoszenia, że autorowie za prace przez Towarzystwo otrzymują odpowiednie honorarya, uchwalila, opierając się na zdaniu komisji dawniej już przedstawionem, że powieść p. Pufkę ze względu na szlachetną tendencyą, jasne uwydatnienie głównych charakterów, żywy sposób przedstawienia rzeczy, przez Towarzystwo przyjętą być może i postanowił poprosić zarząd, iżby autorce zechciał udzielić nagrodę w ilości 50 talarów, zwrócić rękopism na własność z poleceniem, iżby go drukiem ogłosiła i z zezwoleniem położenia pod tytułem powieści wyrazów: „Praca

przez Towarzystwo przyjaciół nauk poznańskie przyjęta". Zarząd, przychyłając się do uchwały wydziału, nagrodę oznaczoną autorce udzielił. b) P. Chlebowski odczytał list wystosowany do ks. Majewskiego, którym na podstawie protokołów wydziałowych tłumaczy, iż dawniejsze korespondenccy pana Klerskiego, w przedmiocie akt ostrzeżenia i wzmianki o tychże w sprawozdaniach czynione, miały tylko na względzie sprawę samą, a nie zmierzały bynajmniej do ubliżenia ks. Majewskiemu. Wydział zgodził się na redakcyę listu i polecił p. Chlebowskiemu przesłać go ks. Majewskiemu; kopia tego pisma została do akt wydziałowych doręczoną. c) Jeden członek zdał sprawę z dzieła konkursowego: „Historya włóścian i stosunków ekonomicznych w dawniej Polsce” i w imieniu komissyi do ocenienia dzieła zamianowanej przedstawiał, że jedyna praca, która w skutek ogłoszonego konkursu nadeszła, przez Towarzystwo przyjętą być nie może. Popierając dowodami zdanie komissyi, odczytał niektóre ustępy świadczące co do rzeczy o nieznamości dziejów polskich, o niezrozumieniu zadania i co do formy zaś o wielkiej niepoprawności języka. Wydział zatwierdził uchwałę komissyi i polecił zwrócić autorowi rękopism z odnośnem sprawozdaniem. d) Sekretarz wydziału zakomunikował, że ks. Malinowski wystosował zażalenie do prezesa Towarzystwa, na wydział nauk historycznych i moralnych, z powodu, że po upływie 3 miesięcy nie złożono jeszcze sprawozdania o dziele jego, t. j. o grammatyce sanskrycko-słowiańskiej, jakkolwiek wniósł tylko zaopiniowanie, czy praca godną jest ogłoszenia drukiem; że teraz przeto zażądał zwrotu rękopismu, ponieważ ma zamiar posłać go do ocenienia Towarzystwu Naukowemu Krakowskiemu. Przewodniczący oświadczył następnie z polecenia komissyi, mającej dzieło ks. Malinowskiego rozpoznać, że komissya nie była dotąd w możności zabrać się do tak poważnej pracy i że kategorycznem żądaniem autora zniewolona jest do zwrócenia rękopismu, co następnego uczyni posiedzenia. e) Pan Wegner zwrócił uwagę na drugi jeszcze przedmiot poruszony w liście ks. Malinowskiego, wystosowanym do hr. Augusta Cieszkowskiego, t. j. opóźniony nad miarę druk Rocznika Towarzystwa. Po udzielonych przez niego w tej mierze wyjaśnieniach, że Rocznik od kilku już miesięcy mógłby być uskuteczniönym, gdyby druga część rękopismu rozprawy: „O drogach ducha” była wcześniej nadesłaną i że w skutek pisma ks. Malinowskiego, prezes Towarzystwa, hrabia August Cieszkowski, zawiadomił sekretarza o gotowości przysłania tej drugiej części w przeciągu kilku dni, wydział zaopiniował, iż jest powinnością uiścić się z długu względem wszystkich członków i publiczności ogłoszeniem Rocznika, od czego obecne okoliczności zewnętrzne bynajmniej go nie uwalniają. Naukowe prace odczytali na ostatnich posiedzeniach: 1) ks. professor Brzeziński: Żywot ks. Kidaszewskiego, ze szczególnem uwzględnieniem stanu oświaty w pierwszej połowie bieżącego stulecia, jak się uwydatnił w zakładach naukowych W. Ks. Poznańskiego. 2) P. Mosbacha Augusta odczytano pracę: o Piotrze Duńczyku czyli Duninie. 3) Pan Wegner Leon: o Adamie Ponińskim. 4) Jarochowski Kazimierz: Ustęp z Historji Augusta II jeszcze nie

drukowany, a mianowicie obraz wypadków w Polsce na początku roku 1702, kiedy życie publiczne koncentrowało się w trzech głównych ogniskach: w Toruniu u dworu Augusta II, w Warszawie naokoło prymasa Radziejowskiego, w Sandomierskiem w obozie Karola XII.

— Znane są pisma I. D. Minasowicza, wydane w Lipsku w 4 tomach. Oddzielnie w r. 1845 wyszły tegoż znakomitego tłumacza: „Głosy czasu Emmanuela Geibla: powtórzył po swojemu F. Y. Z.” Przekład ten pięknym, jędrnym, a dzielnym językiem dokonany, zwraca uwagę tem jeszcze szczególnie, że po większej części jest złożony z szesnasto-stopowych wierszy, dotychczas mało używanych przez naszych pisarzy.

— Posiedzenie Komisyi archeologicznej wileńskiej odbyło się d. 11 czerwca czyli 23 t. m., podług naszego kalendarza, pod przewodnictwem Mikołaja Malinowskiego w zastępstwie nieobecnego prezesa. Po zagajeniu posiedzenia, sekretarz odczytał członka W. Wróblewskiego (Koronowicza) artykuł p. n. „Nowy dokument historyczny i o nim słówko”. Żalujemy, że nie możemy o tym dokumencie zdać sprawy naszym czytelnikom, bo najbliższy tego posiedzenia Kuryer Wileński, dał tak krótką a węzłowatą o nim wiadomość.

— W Poznaniu u Żupańskiego, wyszedł tom trzeci ważnego dzieła p. n. *Opis kościołów parochialnych, kościolków, kaplic, klasztorów, szkółek parochialnych i t. d.* Tom ten obejmuje opis archidyakonu warszawskiego, dawniej czerskiego.

— W oddzielnym oddruku wyszedł przekład *Isigenii w Taurydzie* W. Góthego, Ludwika Jenike, któryśmy ogłosili w naszym piśmie.

— Józef Sapalski przygotował obszerny opis zamku kieleckiego i krytyczny przegląd obrazów w nim przechowanych a niedawno odnowionych starannie przez artystę naszego p. Rycerskiego. Opis ten niedługo w piśmie naszym ogłosimy.

— We Francyi i Niemczech od czasu do czasu pojawiają się nowe przekłady powieści Walter-Skotta. U nas warto zwrócić uwagę na te arcydzieła wielkiego szkockiego poety. Oprócz wybornych tłumaczeń poematów jego, jak *Pani Jeziora*, *Karola Sieńkiewicza* i *A. E. Odyńca* i kilku innych, przekłady powieści nie z oryginału ale z francuzkich mamy tłumaczeń.

— We Lwowie wyszła *Grammatyka języka Polskiego* większa i mniejsza, dla użytku szkół, prof. Ant. Małeckiego. Dzieło to jako odpowiadające na zadany konkurs przez Stany Galicyjskie w r. 1845, zostało obecnie uwieńczone nagrodą.

— *Gazeta Polska* pisze: „Na Kaszubach, Mazurach, prusko-wschodnich, obu Szlązkach i t. d. okrzyczano, ba i słusznie! *Gizewiu!*”

sza, Mrongowiusza i Lompę, jako jedynych pracowników w języku macierzystym i rozkrzewiaczów oświaty ludowej. Wszyscy już oni w grobie. Najmłodszy z nich najsamprzód nas pożegnał przed 15 laty, jeszcze w sile wieku, kiedy mógł być najczynniejszym, a tym samym najwięcej położyć zasług. Mówimy o ks. Giżewskim czyli Giżewiuszu, którego poznała i Warszawa, a który świat pożegnał w 38 roku życia. Mrongowiusz, letni starzec, później doczekał się sędziowości, bo prawie stu lat dożył. Lompa zgasł w bieżącym roku.

Niesłusznieby wszakże sądził, ktoby mniemał, że tylko ci trzej pisarze troszczyli się o rozwój języka i szerzenie oświaty. Byli oni wprawdzie najsilniejszymi ku temu bodźcami, ale obok nich, świeciło mnóstwo gwiazdek drugiej i trzeciej wielkości, które na horyzencie téjże krainy, równie im, albo podobne zasługi położyli, bo także blasku swego nie szczędzili i drogę wytkniętą z pożytkiem przebiegali.

Do liczby takich mężów, w cichości swą powinność świętą wy pełniających, należy ksiądz Mateusz Osmański. Miał on i ma także mostwo satellitów, którzy poświęcają ochoczo swe pióro oświacie współzemiań. Trudnoby ich wszystkich tutaj wyliczyć: wspomnimy więc choć niektórych, co nam w téj chwili stają na pamięci, jak Stalmach, Łyskowski, Onderka, Kręcki, Sliwka Jan, Kobyliński, Kraska, Gonddek, Piotr Gura (nie wiemy dlaczego piszący się Guhra) i wielu t. p.

Kiedy u nas od niezbyt dawna rzucono się nieco za gwałtownie do piśmiennictwa ludowego, to w stronach o których mówimy troskano się od lat prawie 50 około roli spółbratniej. Zasługa w tym względzie należała się szczególniejszemu kapłanom różnych wyznań.

Mrongowiusz i Giżewski, jako pastorowie, dbali o gminę ewangelicką, ksiądz zaś Mateusz Osmański, jako kapłan katolicki, troszczył się *nieprzerwanie o swą trzódkę wierną i pisał dla niej mnóstwo książek*, których poczet nie zostanie w dziejach literatury krajowej, ale zajmuje nie małe miejsce w historii oświaty ludu prostego.

Wiele z dziełek jego, doczekało się dwóch, trzech a nawet i czterech wydań, co stać za dowód przemawiający o ich wziętości i o czytelnictwie u ludu tamtejszego. Przytoczymy tutaj szereg tych pisemek, których wyliczenie zda się może dla bibliografa przyszłego, a zarazem przekona czytelników o pracowitości nieustającej księdza Osmańskiego. Wyszły one po większej części w Brodnicy u księgarza C. A. Koehlera.

1) Krótkie objaśnienie pacierza dla ludu katolickiego. 2) Nabożeństwo dla ludu katolickiego zebrane i ułożone, przez ks. M. O. Wydanie czwarte, 1862 r. str. 174 w 8-ce. 3) Wyborek nabożeństwa codziennego. 4) Zbiór pieśni nabożnych dla ludu katolickiego. 5) Wywód i zbiór obowiązków chrześcianina katolika, 1858, str. 102 w 8-ce. 6) Powieść o końcu życia Pilata Pontskiego. 1850, w 8-ce. 7) Maciuś, historia na ziemi Michałowskiéj z doświadczenia zebrana, skreślająca, jak to matki wychowują swe dzieci, i jak im te się odpłacają. Ku przestrodze dla zaślepionych miłością matek, a napomnieniu złych dzieci poświęcona, 1862. Wydanie 2gie, str. 156, w 12-ce.

8) Książę Almanzor i jego sługa Mustafa, czyli jak sobie kto pościele, tak się też i wyśpi. Powieść poświęcona katolikom, mająca na celu wychowanie młodzieży. Wydanie 2gie, przejrane i poprawione, 1862, str. 215, w 8-ce małej. 9) Starogrodzka kapela, czyli Poczciwych Opatrzność nie opuści. Powieść, wydanie wtóre, str. 168, w 32. 10) Losy Rejnholda, czyli Bóg cudownie się opiekuje tymi, którzy Go kochają. Powieść dla młodzieży katolickiej z czasów trzydziestoletniej wojny. Wydanie 2gie poprawione, 1862, str. 263, w 12-ce. 11) Koszyk kwiatów. Powieść dla młodzieży napisana przez ks. Christofa (sic) Schmidta. tłumaczona przez ks. M. O. 12) Donna Marya Matyaszówna czyli Zwichnięte wychowanie dziewczyny, powieść przez ks. M. O. 13) Róża z Tannenbergu. Powieść starożytna dla polskiej katolickiej młodzieży przerobiona z niemieckiego. 14) Genowefa, jedna z najpiękniejszych i najbardziej wzruszających starożytnych historyi. 15) Bolesław czyli dalszy ciąg Genowefy. Przełożył z niemieckiego ks. M. O. Brodnica. 16) Brat Józef. Powieść dla katolickiej polskiej młodzieży, przez ks. M. O. 17) Młody dobosz, przez Dra Karola Brug, przełożył z niemieckiego ks. M. O. Wydanie 2gie, str. 197, w 12-ce. 1862 r. 18) Wierność i litość. Powieść moralna dla katolików przerobiona z niemieckiego. 19) Wiara Działów-Pradziadów. 20) Krótki zbiór pieśni.

— Kuryer Wileński w Nrze 69 z r. b. z powodu umieszczonego w naszym piśmie artykułu N. Chodzyńskiego, traktującego kwestyę miejsca uchwalenia statutu Jagiełły w r. 1423, mówi, że dowody tam złożone nie są dostateczne i dalej pisze: „Rzecz ta, jak się okazuje, stanowczo jest rozstrzygniętą przez uczonych specjalistów i niepotrzebowałaby może powtarzania, gdyby szczególnym zbiegiem okoliczności raz popełniona omyłka, często gęsto nie wybiegała w dziełach podręcznych, tak, że nie uchroniła się od niej nawet znakomita Jędrzeja Moraczewskiego praca (str. 133 t. II.). Niezawadzi więc wyprowadzić z poważnych foliałów na ulotną kartę dziennika parę objaśniających tę sprawę szczegółów. Źródłem przypisywania miejsca układu statutów Jagiełły Warce, jest przekład ich polski, w kopii prawie współczesnej przechowany, a przez Lelewela w r. 1824 wydany w Wilnie. Znajdujące się tam wyrażenia: „w Warczk” i „wareczskego”, uważano za dostateczne i niezaglądając dalej, opierano się na nich, zwłaszcza w książkach popularnych. Innych dowodów przemawiających za Warką, nie było i niema; lecz i to nawet są całc nie znaczące. Wyrażenie „w Warcze,” podług współczesnej pisowni przekładu tego statutu, może zarówno znaczyć „w Warcie” jak i „w Warce;” jeżeli bowiem znajdujemy tam użycie „z” jako ostrzeżenia, że „c” niepowinno się wymawiać jak „k,” to widzimy, iż używa się także jako znak miękczący. np. przeciwnoszczy (przeciwności). Woczecha (Wojciecha), przes kmyecze (przez kmiecie) i t. p. Dowód to więc żaden dla obojg strony. Co do przymiotnika „wareczski” czyli „warecki,” ten niewątpliwie bardzo często musiał być używany wspólnie do Warki i Warty. Obie głoski przybierające tych nazwisk, to jest

k i *t*, w kształtowaniu przymiotnika, według ducha języka polskiego, zamieniają się na „c;” ztąd *warklski* i *wartski* będzie *warcki*, a z dodaniem „e” dla eufonii, której dawni pilniej od nas przestrzegali, powstanie *warecki*. Przymiotnika w tym ostatnim kształcie, stosując go do Warty, używa jeszcze bardzo słusznie Wiszniewski (Hist. lit. V, str. 98 i 99). I tu więc żadnego dowodu niema ani dla Warty, ani dla Warki w szczególności. Wreszcie odbywanie wieca złożonego z przedstawicieli Wielkopolski i Małopolski, w mieście mazowieckiem Warce, gdy Mazowsze stanowiło jeszcze pod pewnym względem państewko udzielne, byłoby na owe czasy bezprzykładnym wybočeniem. Inaczej się rzecz ma co do *Warty*. Długosz, lubo jeszcze pacholę, ale żyjący już za czasu gdy ta uchwała zapadła, przebywający potem ciągle na dworze monarchów, piszący zaledwie w lat kilkadziesiąt potem i każdy niemal krok Jagiełły notujący, powiada wyraźnie, iż zjazd, na którym uchwalono w mowie będący statut, odbył się we czwartek d. 28 października 1423 roku, pod miastem Wartą (apud opidum Vartha); wypisuje imiona główniejszych przedstawicieli wieca i podaje treść samej uchwały (ed. lipska, 472 i 473). Jako najmocniejsze stwierdzenie tej powieści ojca historyków polskich, przychodzą nam liczne współczesne niemal dokumenta. Uczony A. Z. Helcel, w szacownem swém dziele „Starodawne prawa polskiego pomniki” opisuje około dziesięciu kodeksów, w których się ten statut w oryginalnie łacińskim znajduje. Wszystkie te kodeksa są z wieku XV; pomiędzy nimi jest jeden dziś w Ccs. bibliotece w Petersburgu przechowywany, który napisany został jeszcze za życia Jagiełły około r. 1430, a więc w kilka lat zaledwie po zapadłej uchwale. We wszystkich tych kodeksach współcześni wyraźnie zapisali, że statut Jagiełły uchwalono w Warcie (in Varta, in Vartha, Varthensia statuta). W obec takich świadectw sadzić się na dalsze dowodzenie byłoby rzeczą zbyteczną. Ci, którzy dopuszczają się omyłki odnosząc ten statut do Warki, opierają się zwykle na twierdzeniu Lelwela. Lecz mądry nasz dziejopis popelniał tę omyłkę raz tylko jeden w wydaniu tłumaczenia Świętosława, z Wojeicszyna w r. 1824. Mając przed sobą kodeks tego przekładu z r. 1449 i wyczytawszy w nim: w *Warcze* i *Warczeskego*, łatwo mógł przypuścić, że podanie Długosza było przekręcone przez kopistę lub drukarza, jak tego mamy przykład na Wielonie, którą Wieluniem w druku u Długosza przezwano; a gdy wcześniejszego tekstu łacińskiego statutów widzieć podówczas nie mógł, oddał tedy pierwszeństwo pozornemu świadectwu świętosławowego przepisywacza Mikołaja Suleda, jako obywatela wareckiego. We cztery jednak lata potem, drukując swe „Początkowe prawodawstwo polskie” w Rocznikach Tow. Prz. Nauk, już wszędzie mówi o Warcie i statut ten podług przymiotnikowania łacińskiego zowie warteńskim, (I, § 50; II, 11, 59, 60, 63, 64). To samo w kilkadziesiąt lat potem powtarza w dodatkach do wspomnianego dzieła, gdzie te statuta zowie już niekiedy złym dzisiejszym przymiotnikiem wartskimi (Polska wieków śr. ed. 1851. III, str. 225: IV, 28, 29, 472 i t. p.). Nieśłusznie więc p. Chodyński winę powtarzania tego błędu

przypisuje Lelewelowi, kiedy ten własną usterkę sam najpierwszy poprawił; lecz najzupełniejszą ma słusność, gdy się o wykreślenie Warki z tytułu statutów Jagiełły domaga.

— W Nr. 155 Gazety Polskiej, czytamy wiadomość następną o ciekawym zabytku starożytności. „Bardzo szacowną pamiątkę krajową, godną, by była przedstawioną we Wzorach sztuki, ma na sprzedaż pewien kupiec starożytności i antykwaryusz (dawniej znany bardzo na Wołyniu Igieł).

Jestto wielki zegarek kieszonkowy w kształcie jaja, przepysznój złotniczej roboty, który jak się zdaje był własnością Chodkiewiczów.

Zwierzchnia koperta srebrna, wśród ozdób kwiecistych ma z obu stron dwa, nieco różne popiersia Zygmunta IIIgo w koronie z kieżą. Jedno z nich szczególnie jest bardzo pięknie opracowane. Koperta od noszenia wytarta. Odjąwszy ją, okazuje się druga grubą, lana koperta złota, później bardzo delikatnie rzeźbiona, (która ma wagi około 30 dukatów) z wyobrażeniem z obu stron zaciętej bitwy. Widać na niej ściśnione szeregi walczących, wodzów konno, nieprzyjaciół pod kopytami koni, w dali mury miasta. Wszystko to, aż do najdrobniejszych szczegółów co do rysunku i wykonania bardzo znakomitą jest pracą. Pomimo, że figury są małe, znac w nich dobrze charakter, jest wiele życia i ruchu. Pod jednym z tych obrazów w Kartuszu ozdobnym floresami, napis wypukły drobny, następujący:

Pugna
Sigismundi III.
Regis Polon, contra
Turcos ad Chocimem (sic) comissa

16 2 (rok zatarty nieco).

Po odjęciu koperty drugiej, która jest dziełem sztuki wcale niepospolitej wartości, ukazuje się w owalu złotym, po rogach kwiatami i dwoma maleńkimi figurkami aniołków przyozdobionym, cyferblat (złoto ze srebrem). Godziny wypukłe na nim przedzielają znaki zodyaku. W pośrodku koło przedzielone na cztery części zawiera z lewej u góry, orła polskiego, z prawej w górze snopek Wazów, z lewej u dołu dwa klucze nakrzyż złożone, po prawej w dole Pogoń. Pod samemi skazówkami w pośrodku, mniejsze kółko podzielone na czworo, przedstawia cztery inne herby, nie łatwe do rozpoznania. W lewo u dołu Gryf Chodkiewiczów, w prawo z dołu krzyż w księżycu lub miecz w podkowie (†). Nie mamy ani czasu, ani materyałów, aby bliżej oznaczyć herby i zrozumieć dlaczego się tu mieszczą; krytykę zostawujemy naszym archeologom.

Sam werk zegarka stary, ale dobrze zachowany ma podpis *Windmus. London.* Mogłoby i to do oznaczenia czasu, do którego należy zegarek dopomódz. Szczególniejszego interesu jest cyferblat i koperta. Pierwszy jako pamiątka, drugi jako wyrób artystyczny.

Cena tej pamiątki dosyć wysoka dla materiału koperty, nie łatwem czyni nabycie, szkoda byłaby, aby poszła w obce ręce lub do zbioru cudzoziemskiego.

Owalny kształt płaskorzeźb i niewielkie ich rozmiary trudnem czynią sfotografowanie dokładne, a rysunek musiałby być bardzo pracowity i staranny, żeby dał wyobrażenie piękności artystycznej tego dzieła.

Charakter kompozycyi przypomina medale Zygmunta IIIgo, (n. p. Smoleńska i inne), czuć wszakże staranie o charakter w strojach, orężu, ogólnym rysunku zapewne przez kogoś znającego Polskę, jeśli nie Polaka robionym.

Figury są mocno wypukłe i wydatne.

Zdaje się, że zegarek ten pamiątkowy, musiał do któregoś z Chodkiewiczów należeć, że nie jest późniejszy nad panowanie Zygmunta IIIgo, któremu zwycięztwo to z poszanowaniem jest przypisane. Mógł to być dar królewski, mogła być familii pamiątka, zawsze zabytek wielce szacowny i jedyny w swoim rodzaju.

Właściciel ceni go około 2000 złp., rachując, że sama wartość złota trzecią część wartości tej stanowi. Przywykliśmy zresztą gdy idzie o pamiątki nasze, do wysokich cen, prawie gdzieindziej niesłychanych.

Na ostatniej licytacji w Dreźnie zbioru obrazów i starożytności, po jednym amatorze tutejszym, wszystko polskie i słowiańskie dochodziło do prawdziwie niespodzianej wartości. Zegarek o którym mowa, mógłby piękne miejsce zająć w najbogatszym zbiorze.

— Nr. 72 Kuryera Wileńskiego podaje zajmujące wiadomości o drukarni dawniej w Słucku „Pomiędzy mnóstwem drukarni, szybko powstających i prędkiej lub później gasnących w wieku XVI i XVII, liczy się drukarnia słucka, przy tamiecznym zborze reformowanym utrzymywana. Epoki jej nastania dotychczas z pewnością nie wiemy: niektórzy, jak Bandtke, znajdują wzmianki o niej już w końcu wieku XVIgo; inni zaś, jak p. Michał Baliński, mniemają, iż przeniesioną była do Słucka podobno z Kiejdan około r. 1672, a potem w r. 1705 wywieziono ją ztąd do Królewca, jako, nieprzydatną już do pracy. Nim kiedyś okoliczności pomyślnie nadarzą możność wygrzebania z archiwum Radziwiłłowskiego dowodów mocniej na tę lub ową stronę przemawiających, fakta obecnie znane stoją po stronie „Starożytnej Polski”; za nią więc idąc, istnienie drukarni słuckiej jedynie do lat dwunastu zakreślamy. Lecz i w tym krótkim przeciągu czasu drukarnia słucka żyła nadzwyczaj leniwie. Zbierając do kupy rozrzucone po dziełach bibliograficznych wzmianki, znajdujemy, iż z tej oficyny wyszły zaledwie cztery książki, przynajmniej z tytułów dotąd znane. Najstarszą z nich przytacza z własnego widzenia Lelewel w księgach bibliograficznych: „Jana Hermana z Wejdenburga Ziemiańin albo Gospodarz inflancki” (1673). Drugą będącą przedmiotem obecnego artykułiku, niedokładnie na wiarę rękopismu Hoffmana cytuje Bentkowski i Bandtke: „Siedm

psalmów spowiednych jednego książećcia luzytańskiego”, (1674). Trzeci, przez tychże przytoczonem dziełem jest: „Andrzeja Maks. Fredra potrzebne konsyderacye około porządku wojennego i pospolitego ruszenia” (1675). Ostatni, wreszcie znanem piśmem, które z drukarni słuckiej się ukazało, jest: „Monarchia turecka, opisana przez Ricota”, przekład bezimienny na język polski (1678). Wszystkie te książki dziś bardzo trudno napotkać nawet w zamożnych księgozbiorach. Z pomiędzy nich jedna obecnie dostała nam się w ręce, a ponieważ jest rzadką, i przez żadnego bibliografa dotąd nie była dokładnie opisaną, kilka słów o niej podajemy.

Tytuł całkowity tego dzieła jest następujący: „Siedm psalmów spowiednych, jednego książećcia Luzytańskiego, przez ks. Marcina Kuczwarewica dziekana sreńskiego plebana kuczberskiego, wierszem polskim tłumaczone. W którym rachunek sumienia każdy mieć może, na poprawę życia swego. Wydane w Warszawie roku Pańskiego, 1667. Dnia 12 8bra; a teraz powtórny razem w drukarni słuckiej przedrukowano z przydaniem siedmiu psalmów pokutnych, w roku 1674”. Znajduje się tu oryginał łaciński psalmów prozą i przekład ich polski wierszem. Książeczka drukowana w dwunastce na całym arkuszu; karty są nieliczbowane, a jest ich 102; sygnatura oznaczona wersalikami łacińskimi i gockimi od A idzie do J; druk w oryginale łaciński, w przekładzie zaś gocki, bardzo wyraźny i dosyć piękny. Druga stronnica tytułu i pierwsza następnej karty zajęte są krótką apostrofą do czytelnika i sentencją o spowiedzi, obie w języku łacińskim. Od stronicy 4ej poczyna się oryginał psalmów spowiednych, pisanych, jak rzekliśmy, prozą i podzielonych na wersety; na następnej zaś stronnicy zaczyna się przekład polski Kuczwarewica, i tak naprzemian idzie do kartki 7mej sygnatury G. Kartka następna poczyna się od dwóch sentencyi Tomasza z Akwinu i Drexeliusza, a dalej opisanym wyżej sposobem idą psalmy pokutne po łacinie według Wulgaty, po polsku zaś wzięte żywcem z przekładu Kochanowskiego, którego w niczem tu niezmieniono, a dodano tylko inaczej przy każdym psalmie wierszowane „Chwała Ojcu”. Twierdzenie więc Beńtkowskiego, na tytule obecnej książeczki oparte, że Kuczwarewic tłumaczył psalmy Dawida, jest mylne: był on tylko tłumaczem psalmów spowiednych.

Niewymienionym na tytule autorem tych psalmów był książę luzytański don Antonio de Castro, pretendent do korony portugalskiej, do której go ubiegł Filip IIgi. Ten Antonio protegowany był przez żarliwą krzewicielkę protestantyzmu Elżbietę królową angielską i umarł w jej państwie, przeszedłszy na wyznanie kościoła anglikańskiego. To nam tłumaczy, dlaczego imienia autora pobożny katolik dziekan szremski na tytule nie położył. O tłumaczu psalmów spowiednych wiemy tylko tyle, ile sam o sobie w przytoczonym wyżej tytule powiedział, oraz że w Lublinie w r. 1650 wysłał jego „Relacya ekspedycyi zbarawskiej”, na rok przedtem odbytej; co dowodzi, iż żył jeszcze około roku 1650. Tymczasem imię ks. Marcina Kuczwarewica godnym jest pamięci w dziejach literatury polskiej. Po

zgaśnięciu świetnej literackiej plejady wieku Zygmunrowskiego, wśród nielicznych i skąpo utalentowanych lub edukacją jezuicką wykoślawionych rymotwórców z epoki Wazów, pleban kuczberski bynajmniej niepoślednie zajmuje miejsce, a czystością i dosadnością języka przewyższa najznakomitszego z téj epoki Samuela Twardowskiego. Na dowód tego, co mówimy, oraz dla bliższego zapoznania czytelnika z ks. Kuczwarewiczem, wypisujemy tu początek pierwszego psalmu:

W zdroju płacziwym moje kto zanurzy lice?
 Kto w kroplistych lez stokach ochynie źrenice,
 Abym mógł obżalować dusze mojej szkody?
 O, jak nie płakać pusty wspomniawszy wiek młody!
 Mało nieobumieram gdy w pamięć przychodzi,
 Żem był takim, jakim się człeku być nie godzi.
 Widzę jak we zwierciadle, jakim jestem teraz,
 Lecz jakim potem będę, gdy wspomnę, drże nie raz.
 A im bardziej na złości moje nie boleję,
 Tém ja bardziej troskliwy od strachu truchleję.
 Życzę jednak uprzejmie, by się opak stało,
 Bym siła za złość płakał a strachu miał mało.
 Lecz Boże że choć karzesz, a przecież mię skrucha
 Niechce zdjąć, wołasz, a ja nie naklaniam ucha;
 Kołaczysz, a ja serca nie otwieram tobie,
 Stękam na to i zdam się w pół prawie być w grobie,
 A lub mnie powierzchownie troski uciskają,
 Tych żalów, któreby mnie bawily, nie dają.
 No to łkam i ból w sercu nie wiem jak się zmieści,
 Iż bolejąc, zbawiennój nie umiem boleści.
 O, któż się twój niebieski Lekarzu mądrości;
 Kto možny nie zadziwi Królu łaskawości!
 Kto wysławi łask twoich niwę szcudrobliwą,
 W której dobrodziejstw plenne wszystkim dajesz żniwo!



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.
Czerwiec, 1863.

Czerwiec, 1863.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad 1^o14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25'',5

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1	☉	753.21	753.30	753.91	755.08	753.87	+ 5 ^o .1	+ 9 ^o .7	+ 11 ^o .6	+ 6 ^o .9	+ 8 ^o .32
2	☉	756.50	756.90	755.56	755.64	756.15	3.9	8.2	12.5	7.7	8.02
3	☉	755.19	755.06	753.83	753.55	754.41	5.7	11.0	13.7	9.5	9.97
4	☉	751.20	751.62	749.91	749.45	750.54	6.5	12.0	16.7	11.8	11.75
5	☉	747.67	747.07	744.72	743.70	745.79	9.1	14.7	19.6	14.2	14.40
6	☉	746.54	747.14	746.26	745.27	746.30	11.4	15.6	19.2	12.9	14.77
7	☉	743.17	742.60	742.84	744.54	743.29	13.3	21.1	20.4	12.0	16.70
8	☉	746.55	747.05	746.29	746.61	746.62	14.4	20.9	25.9	18.3	19.87
9	☉	747.75	750.22	750.61	751.87	750.11	14.5	18.8	22.5	15.4	17.82
10	☉	753.06	753.01	751.34	751.40	752.20	16.5	24.0	27.1	18.1	21.42
11	☉	750.95	749.94	748.08	747.37	749.08	19.8	25.6	29.5	22.4	24.32
12	☉	746.33	746.06	745.18	745.74	745.83	21.6	26.4	27.4	19.4	23.70
13	☉	742.68	742.14	741.88	744.20	742.72	18.7	25.6	24.8	12.0	20.27
14	☉	742.10	741.46	740.35	740.45	741.09	10.9	14.4	14.2	11.2	12.67
15	☉	742.22	743.67	743.84	744.52	743.56	10.4	14.1	17.1	12.3	13.72
16	☉	744.14	744.48	744.94	745.87	744.86	10.3	14.2	10.7	10.8	11.50
17	☉	746.99	747.09	746.58	747.44	747.02	10.8	16.8	17.9	13.9	14.85
18	☉	747.54	747.48	746.24	747.15	747.10	15.7	19.4	23.9	15.6	18.65
19	☉	747.34	747.89	747.61	747.86	747.68	14.2	19.7	19.2	15.7	17.20
20	☉	748.01	747.82	746.38	746.57	747.19	16.8	23.0	25.0	16.3	20.27
21	☉	749.11	750.24	750.07	749.88	749.82	14.1	18.4	22.2	17.3	18.00
22	☉	749.63	749.65	748.74	749.86	749.47	16.6	23.2	24.8	19.2	20.96
23	☉	751.58	752.37	752.53	754.11	752.65	17.1	21.8	25.6	20.0	21.12
24	☉	755.53	756.04	755.75	756.50	755.95	20.7	25.1	27.2	21.0	23.50
25	☉	757.05	756.66	755.59	754.38	755.92	19.9	25.4	29.0	20.8	23.77
26	☉	753.19	752.64	750.26	749.56	751.41	20.4	26.7	30.9	19.0	24.25
27	☉	750.06	749.94	749.10	749.14	749.56	17.1	18.9	23.6	16.4	19.00
28	☉	748.88	749.76	750.54	751.56	750.19	17.4	21.0	24.0	17.0	19.85
29	☉	751.84	751.69	749.90	750.62	751.01	16.2	21.2	28.2	20.0	21.40
30	☉	750.66	749.85	748.35	753.77	750.41	20.0	26.7	28.7	17.1	23.12
Śr.		749.22	749.36	748.57	749.12	749.07	+14 ^o .30	+19 ^o .45	+21 ^o .77	+15 ^o .47	+17 ^o .75

W Obserwatorium Astronomicznem Warszawskiem.

poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5'', długość w czasie na wschód względem południka paryzkiego.

Średnia dzienna	Wilgotność	S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim. Z	Wysok. wody na Wiśle
		6	10	4	10	6	10	4	10		
		godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.		
61.0	pogodny	napół pog.	pr. poch.	pogodny	Pn2.	Pn3.	Pn2.	Pn2.			3 0
72.5	pochm.	napół pog.	pochm.	pr. pochm.	Pn1.	PnW2.	Pn2.	PnZ2.			2 11
60.0	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pogodny	Pn2.	Pn2.	PnZ1.	PnZ1.			2 9
52.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z1.	Pn1.	PnZ2.	Pn1.			2 7
48.2	pogodny	pogodny	pogodny	pochm.	PnW1.	PnW1.	Z1.	PnZ1.			2 6
61.0	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pogodny	PnZ2.	Z2.	PdZ2.	Pd2.			2 5
72.0	pogodny	napół pog.	pr. pochm.	pogodny	PdW1.	Pd2.	PdZ2.	PdZ2.	3.1		2 4
66.7	pogodny	napół pog.	napół pog.	pogodny	Pd2.	Pd3.	PdZ3.	PnW1.			2 4
72.2	pochm.	pochm.	pr. pogod.	pogodny	PnZ2.	Z2.	Z3.	PdZ1.	0.3		2 4
54.7	pogodny	pr. pogod.	pogodny	pogodny	Pd1.	PdW2.	PdW1.	PdW1.			2 3
56.5	pogodny	pogodny	pr. pogod.	pogodny	PdW1.	PdW3.	PdW3.	PdW1.			2 2
66.5	pogodny	pogodny	pochm.	napół pog.	PdW2.	PdW2.	PdZ4.	Pd2.			2 1
68.5	napół pog.	pr. pogod.	pochm.	napół pog.	Pd2.	PdZ3.	Pd1.	Z1.	0.5		2 1
76.7	pochm.	pochm.	pochm.	poc. desz.	Z2.	Z2.	PnZ2.	PnZ2.			2 1
68.5	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pochm.	Pn3.	Pn2.	PnZ2.	PnZ2.	3.0		2 0
93.5	pochm.	pochm.	poch. des.	napół pog.	Z2.	Z2.	Z1.	Z2.	17.2		2 0
75.5	pogodny	pogodny	pochm.	pr. pogod.	Z1.	Z2.	Pn3.	Z1.			2 1
63.7	pogodny	pr. pogod.	napół pog.	pochm.	PnZ1.	Z1.	PnZ2.	PnZ2.			2 2
77.0	pochm.	pochm.	pr. pochm.	pogodny	Z1.	Z1.	Pn2.	—			2 5
75.5	pogodny	napół pog.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW3.	PdW3.	PdW2.	6.6		2 6
70.5	pochm.	pochm.	napół pog.	pogodny	Z2.	Z1.	PnZ1.	Pn1.			2 4
64.0	pochm.	napół pog.	pr. pochm.	pogodny	Z1.	PnW2.	PnW1.	Pn1.			2 4
62.5	pogodny	pr. pogod.	napół pog.	pr. pochm.	Pn1.	Pn1.	Pn1.	PnW1.			2 2
53.2	pr. pogod.	pr. pogod.	pr. pogod.	pr. pochm.	PnW1.	PdW1.	PdW1.	Pd2.			2 1
50.2	pr. pogod.	pogodny	pogodny	pogodny	Pd1.	PdZ1.	Z1.	PdZ1.			2 1
59.5	pogodny	pogodny	pogodny	poc. desz.	PdW1.	PdZ1.	Pd2.	Pn2.	1.5		2 3
74.2	pochm.	pochm.	pr. pochm.	pogodny	Pn1.	PnZ2.	Z2.	Z1.			2 4
70.2	pr. pochm.	napół pog.	napół pog.	pogodny	Z1.	Z2.	Z3.	Z1.			2 2
71.2	napół pog.	pochm.	pr. pochm.	pr. pochm.	Pd1.	PdW1.	W1.	PnW1.			2 1
70.2	pogodny	napół pog.	pr. pogod.	pochm.	PnW1.	PdW1.	Z4.	Z4.			2 1
65.4									82.2		2 56

	m	c.	l.
Srednia wysokość barometru miesięczna	749.07	27	8.060
Najwyżej barometr dochodził d. 25 o g. 6 r.	757.05	27	11.597
Najniżej — — d. 14 o g. 4 w.	740.35	27	4.194
Srednia dzienna zmiana barometru	2.31		1.024
Największa dzienna zmiana barometru d. 4—5 o godz. 10 wiecz.	5.75		2.547
Srednia wysokość barometru jest większa o od stanu normalnego z 37 lat poprzedzających	3.09		1.370
	745.98	27	6.690

Srednia temperatura czerwca wynosi	+ 17 ^o .75	C.	+ 14 ^o .20	R.
Największe ciepło dochodziło d. 26 o g. 4 w.	+ 30.90	"	+ 24.72	"
Najmniejsze — — d. 2 o g. 6 r.	+ 3.90	"	+ 3.12	"
Srednia zmiana dzienna temperatury	2.52	"	2.02	"

Największa zmiana dzienna temperatury d. 13—14 o godz. 10 rano	11.20	"	8.96	"
Srednia temperatura czerwca jest równa normalnej	+ 17.57	"	+ 14.20	"
Termometrograf wskazał: Maximum: + 34 ^o .12 C. = + 27.3 R. d. 30 po połud.				
Minimum: + 2 ^o .52 " = + 2.02 " d. 2 w nocy.				

Srednia wilgotność powietrza miesięczna jest: 65.4 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 9.89 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 3.3 setnych mniejsza od normalnej (68.7).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi: 32.2 mil. czyli 14.27 lin. par.; to jest połowę ilości wody jaka zwykle u nas w czerwcu spada (65.9 mil. czyli 29.20 lin. par.).

Stan elektryczności atmosferycznej co do jej natężenia średni miesięczny jest: 15 stopni; największe natężenie siły elektrycznej dochodziło 31 stopni d. 1 o godz. 10 rano.

Dni pogodnych było 4, napółpogodnych 22, pochmurnych 4.

Dni deszczu 7 (d. 7, 9, 13, 15, 16, 20, 26).

— gradu 1 (d. 16).

— błyskawic i grzmotów 1 (d. 16).

Wichrów 3: 1 PdZ., 2 Z.

Wiatrów mocnych 10: 2 Pn., 2 PdW., 4 PdZ., 2 Z.

Wiatr panujący: Zachodni i Północno-Zachodni.

Czerwiec r. b. był pogodny, suchy, pomimo iż co do temperatury zmienny, w ogóle jednak ciepły. Srednia jego temperatura jest 14.2 stop. R., równa normalnej. Trzy dni pierwsze i trzy środkowe: 14, 15, 16 były chłodne, przeciwnie sześć dni: 11, 12, 24, 25, 26, 30 gorące. Dnia 30 po południu ciepło dochodziło 27.3 stop. R.; pierwsza połowa dnia tego była nadzwyczaj gorąca, po południu powstał silny wichor zachodni, poczem powietrze tak się ochłodziło, iż termometr w ciągu dziewięciu godzin zniżył się do 13.6 stop. R.; tak znaczne ciepło w czerwcu w ciągu 37ciu lat upłynionych trzy razy tylko miało miejsce, to jest w r. 1830, 1841 i 1848. Największa zmiana dzienna temperatury 8.96 stop. R. przypadła d. 13 na 14. Barometr w ogóle utrzymywał się wyżej jak zwykle; najniżej stał w trzech dniach środkowych: 14, 15, 16, w których temperatura była niska. Pod względem stanu nieba miesiąc ten pogodniejszy był niż zwykle, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5.7:14.1:10.0; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 4:22:4. Powietrze było suche, srednia jego wilgotność jest przeszło o trzy setne mniejsza niż zwykle. W dniach: 16 i 20 były deszcze ulewne. W dniu 16 spadło wody z deszczu więcej niż połowę całej ilości wody miesięcznej, tegoż dnia o godz. 3, min. 40 po południu przy grzmotach i błyskawicach przez dwie minuty padał grad wielkości małego orzecha laskowego.

W nocy z d. 1 na 2 podczas Pełni, przypadło zaćmienie księżycy całkowite i takowe trwało od godz. 0 min. 19 do godz. 1 min. 23 rano d. 2. W czasie zaćmienia niebo było zupełnie pogodne, lecz powietrze tak chłodne, iż termometr w nocy zaledwo 2 stop. R. ciepła pokazywał.

W tym miesiącu liczne i wielkie plamy pokazywały się na słońcu.
Srednia wysokość wody na rzece Wiśle..... stop 2 cali 3.6 n.m. polsk.
Wysokość wody największa dochodziła d. 1..... stop 3 " 0.0 " "
" " najmniejsza " d. 25 i 26..... stop 2 " 0.0 " "

MERSEBURG

I KATEDRA BISKUPA DYTMARA KRONIKARZA.

W tej części Saksonii, którą kongres wiedeński przyłączył do Prus, niedaleko Halli i Lipska nad Salą leży niewielkie miasto Merseburg. Niczemby ono nie zwróciło na siebie uwagi podróżnego, gdyby nie katedra w XI wieku za cesarza Henryka II stawiana, chociaż wraz z zamkiem biskupim, dziś rządowym, przebudowana w wieku XV przez biskupa *Tilona z Troty*.

Zdaleka już błyszczą wysokie wieże zamkowe i kościelne, które gmachowi temu okolonemu drzewami, na wzgórzu nad rzeką nadają malowniczą, średniowieczną postać. Katedrę merseburską założył w roku 968 cesarz Otton I, w kraju Słowian, których chciał do wiary chrześcijańskiej nawrócić.

Pierwszym biskupem był niejaki *Bozon*, mnich z klasztoru św. Emmerama w Ratzbonie, który gorliwie nauczał Słowian, ale z mniej pomyślnym skutkiem. Napisał im bowiem głoskami słowiańskimi liturgiczne słowa *Kyrie eleyzon*, aby się łatwiej ich nauczyli, a oni je wymawiali *u-kri-wolsa* (w krzu, czyli w krzakach, *olsza*) i żartując, dodawali, że: *tak mawiał Bozon!* (1). Gdy ten umarł po dwóch niespełna leciach pracy apostołskiej

(1) Kronika Dytmara. Księga II, roz. 23.

w roku 970, nastąpił po nim *Giziler*, który został potem arcybiskupem magdeburskim i zgodził się na kassatę biskupstwa merseburskiego postanowioną przez papieża Benedykta VII w roku 981 (1).

Po śmierci jego dopięro, zdarzonej w roku 1104, cesarz Henryk II fundował po raz drugi biskupstwo merseburskie dla kapelana swego *Wigberta*. Ten kazaniem i nauczaniem ciąglem nawrócił wielu pogan i wyciął nawet w pień i wykarzczował pewną ustron lasu, której okoliczni mieszkańcy oddawali cześć boską pod imieniem *Zutibure* (święty bór) i wznosił na nim kościół pod wezwaniem św. Romana (2). *Wigbert* umarł w roku 1009, a po nim nastąpił *Dytmar* syn *Sifryda* hrabiego na *Walbeku*, autor szacownej kroniki, w której najwięcej szczegółów o Polsce znajdujemy, a zwłaszcza o *Bolesławie Chrobrym*. Cesarz Henryk II lubił zamek merseburski i często zwoływał do niego zjazdy książąt i panów cesarstwa; kilkakrotnie przyjeżdżał tam i nasz *Bolesław Chrobry*, niby po pas rycerski dla siebie lub dla syna, a rzeczywiście dla otrzymania ustępstwa na lenność zdobytej krainy łużyckiej.

W roku 1015 założył biskup *Dytmar* gmach dzisiejszy katedry merseburskiej, a w lat kilka później życie zakończył (3).

Grobowiec *Dytmara* nie zachował się do naszych czasów w tej *kaplicy biskupiej*, gdzie zwłoki jego spoczywają przy zwłokach poprzedników i następców jego. Tam są i portrety ich, które dał odmalować przy końcu XV wieku biskup *Filon* z *Troty*: on przez lat 48 biskupstwa swego (od roku 1466 do 1514) przebudował prawie zupełnie katedrę i zamek tym kształtem, w jakim je dziś widzimy, a po wszystkich ścianach umieścił z kamienia wykute herby swoje, to jest *kruka trzymającego pierścień w dziobie*, na podobieństwo *Słepowrona* polskiego.

Świadczy o tém pochwalny napis na wspaniałym grobowcu spiżowym, na którym leży postać biskupa

(1) *Dytmar*. Ks. III, roz. 8.

(2) *Dytmar*, Ks. VI, roz. 26.

(3) Podobno w roku 1018.

w infule i ornacie z księgą w jedném ręku, a z pastorałem w drugiem, a u nóg jego herb rodzinny z krukiem. Na pamiątkę herbu Tilon, zamek merseburcki utrzymuje po dziś dzień żywego kruka. Chowają go w wysokiej klatce drewnianej w jednym z dziedzińców zamkowych. Na utrzymanie jego przeznaczonych jest 12 korcy żyta i 12 talarów, a w razie śmierci, dozorca, który pensyą jego zawiaduje, obowiązany jest drugiego kruka dostarczyć.

Do kruka merseburckiego i do herbu biskupa Tilon przywiązana jest legenda, podobna do znaney legendy o *Sroce* złodzieju i do kilku innych w tymże rodzaju (1).

Biskup Tilon z Troty był panem wspaniałym, ale namiętym w gniewie.

Razu jednego, gdy polował w lasach swoich na jelenie, w towarzystwie sąsiednich biskupów i panów, a jeden ze strzelców biskupich zabił mu z rusznicy najpiękniejszego rogacza, na którego już biskup strzałę miał wypuszczać, strzała ta utkwiała w sercu zuchwałego strzelca.

Łatwo sobie wystawić zgrozę przytomnych i rozpacz Tilon. Biskup naumburski prawdziwy przyjaciel, potrafił rozpacz tę ukoić słowami pełnemi pociechy i namaszczenia. Obaj przyjaciele zamienili z sobą pierścienie; a później ilekroć Tilon poczuł w sobie wzburzenie gniewu, spojrział tylko na pierścień przyjaciela i spokój wracał do jego serca. Cieszył się z takiej odmiany cały dwór merseburcki i stary Jan niegdyś piastun młodego Tilon w domu rodzicielskim, dziś wierny podkomorzy biskupa,

(1) Naprzykład w mieście Fürstenwalde niedaleko Frankfurtu nad Odrą, gdzie kruk umieszczony jest w herbie miasta i w Norymberdze. Tam na jednym z ołtarzów kościoła św. Wawrzyńca, na ołtarzu spiżowym roboty Piotra Vischera widzieć można kości ludzkie, o których opowiadają następującą legendę. W XVI wieku w rodzinie *Imhof*, która dotychczas istnieje, zginął kiedyś puhar złoty. Posądzenie kradzieży padło na sługę domowego, który powieszony został i pod szubienicą pochowany. Wtém powraca z podróży syn domu i z rozpaczą dowiaduje się o nieszczęściu niewinnego, gdy on sam przez zapomnienie zamknął był ów puhar ze swojemi rzeczami, wybierając się w podróż. Niezwłocznie kazał wykopać kości męczennika niesprawiedliwego wyroku i z pod szubienicy złożyć na nowo stawianym przez siebie ołtarzu roboty sławnego Vischera, gdzie je dotychczas widzimy.

a także i strzelec Ulrych, który miał staranie o ulubionym kuku biskupim. Kruk ten, który miał gniazdo swoje na najwyższej wieży zamkowej, przylatywał do Ulrycha po jedzenie, a nauczony przez niego, jedno i drugie słowo wymawiał, co biskupa Tilonu wielce bawiło.

Ale dnia jednego zginął jakiś klejnot biskupowi z pokoju, nieco później drugi, co go wprawiło w straszny gniew, zawsze hamowany jednak spojrzeniem rzuconym na pierścień przyjaciela. Nareszcie zginął i ten pierścień: wtedy już złość Tilonu rozlała się bez zapory żadnej na cały dwór, a na najbliższych osoby jego najbardziej. Groził śmiercią wszystkim, strasznymi mękami winnemu; obiecywał nareszcie ulaskawienie byle mu powrócono pierścień.

Strzelec Ulrych, który miał zawziętość do starego podkomorzego Jana, umiał zręcznie kierować posądzenia biskupa na biednego starca. „Wszakże on najbliższy osoby pańskiej, on skąpy dla siebie wprawdzie, ale dla Elżusi wnuczki sierotki, którą przy sobie chowa, hojnym być umie: wszak tę dziewczeczkę jakby panienkę jaką stroi”. Wreszcie gdy biskup Tilon pasując się z gniewnymi myślami, w niebie szukał natchnienia, odezwał się z góry głos kruka: „Tilonie, Tilonie, Jan złodziej!” Natychmiast schwytano biednego starca, który przysięgał, że jest niewinny, a przysięgał na włosy białe i na te ręce, co pana jego wyniańczyły. W mieszkaniu jego, ani w jego rzeczach, ani w rzeczach biednej Elżusi nie znaleziono zgubionych klejnotów; ale znaleziono podrzucony zdradziecko przez strzelca Ulrycha puhar w kształcie rogu misternie z kości słoniowej rzezany, a który Tilon lubiał nosić z sobą na łowach. Tyle poszlak przeważało przysięgi starego sługi i lzy biednej Elżusi. Głowa podkomorzego Jana padła pod mieczem katowskim.

Ale żal ponury ogarnął potem serce biskupa, a zbrodniarz Ulrych wyrzutami sumienia ścigany, uciekał przed własnym nazwiskiem, gdy mu się zdawało, że je kruk złowieszczo powtarza. Wnuczka sierota modliła się do Boga, aby raczył objawić niewinność biednego dziadka.

W święto poświęcenia katedry merseburskiej, zamek po długim osamotnieniu zapełnił się gośćmi. Przybył

i biskup naumburski, ów przyjaciel Tilon, któremu pierścień pękł był na palcu w chwili, gdy spadła głowa niewinnego Jana. Wszystkich przyjął gościnnie biskup Tilon, przewyciężając smutek serdeczny.

W czasie uczty zachmurzyło się niebo, zawyła straszna burza i piorun uderzył w jedną z wież zamkowych, w tę właśnie, na której kruk biskupi miał swoje gniazdo. Pospieszono z ratunkiem od ognia; a pierwszy, który po drabinie dostał się na szczyt wieży, w gnieździe kruka znalazł klejnoty i ów pierścień, talizman Tilon.

Zajaśniała w obec wszystkich niewinność podkomorzego Jana, ale biskup Tilon nie odzyskał już spokoju sumienia. Ciągłe stawały mu przed oczyma kruk z pierścieniem w dziobie i ręce biednego Jana wyciągnięte z prośbą o miłosierdzie. Widział je we śnie, wyrobione z kamienia na ścianach zamkowych i kościelnych, widział je ulane ze spiżu na własnym grobowcu i ziszczając sen swój na jawie, przyjął w miejsce rodzinnego herbu, herb winy i pokuty, *kruka z pierścieniem w dziobie i wzniesione do góry dwie ręce* i herb ten po wszystkich ścianach zamkowych i kościelnych i na grobie własnym umieścić kazał (1).

Ale ulubionego niegdyś kruka nie chciał już widzieć Tilon. Ulrych, którego zbrodnia chociaż jemu samemu tylko wiadoma, wyniszczyła w nim zaród życia, bał się kruka jak szatana. Razu jednego, niespełna w rok po odkryciu niewinności Jana, strzelec Ulrych chodząc po lesie, usłyszał kruka wołającego go po nazwisku. „Przeklęty ptaku, zawołał, nie będziesz się już ze mnie natrząsał” i przeszył go strzałą na śmierć. A wtém ujrzał cień przed sobą na murawie; był to biskup Tilon, który grożąc mu kijem, krzyknął: „Ulrychu! wyznaj zaraz, dlaczego miałeś złość do kruka”? Ulrych padł na kolana i dręczony wyrzutami sumienia, wyznał zbrodnię, którą popełnił przez nienawiść do Jana. Tilon oburzony podnosił już kij zabójczy na głowę wpółumarłego Ulrycha, który jego samego doprowadził był do zbrodni; gdy rękę jego wstrzymała Elżusia i w imię niewinnego dziadka

(1) Ta legenda tłumaczy znaczenia herbów Tilon z Troty.

nakazała mu miłosierdzie nad dogorywającym zbrodniarzem. Wkrótce potem umarł biskup Tilon; Elżusia wstąpiła do zakonu, a kruk od półczwarta wieku na zamku merseburkim chowany jeszcze, przypomina pokutę Tilonu (1).

Wracając do historyi, w lat 31 po śmierci biskupa Tilonu z Troty, t. j. w roku 1545 wyznanie luterskie rozszerzyło się w Merseburgu tak dalece, że większa część kapituły przeszła do nowej wiary i uprosiła na administratora dyecezyi księcia Augusta saskiego.

Odtąd administracya ta pozostała dziedziczną w domu książąt saskich, których potomkowie, z młodszej linii, przenieśli się nawet do Merseburga w roku 1653 i przybrali tytuł książąt sasko-merseburkskich.

W roku 1738 księstwo sasko merseburkskie połączyło się z elektorstwem saskim, za Augusta IIIgo króla polskiego.

W kaplicy grobowej książęcej, w pięknych cynowych trumnach spoczywają szczątki członków rodziny książąt sasko merseburkskich, w liczbie trzydziestu kilku. W roku 1814 kongres wiedeński oddał pod panowanie pruskie Merseburg i Magdeburg, najdawniej zdobyte przez Sasów ziemie słowiańskie.

Tak zwany *wysoki chór* o pięć łokci wyższy od reszty świątyni i oddzielony od niej kratą żelazną, zachował jeszcze mury z XIgo wieku i zaokrągloną ścianę tylną i wysokie w kształcie kopuły sklepienie. Po środku chóru stoi ulany ze spiżu pomnik anty-cesarza Rudolfa w koronie i płaszczu cesarskim; napis z liter lombardzkich ułożony świadczy, że pomnik ten umieszczony tu został wkrótce po śmierci Rudolfa, który zginął w roku 1080 po bitwie stoczonej z cesarzem Henrykiem IVtym nad Elsterą, pomiędzy wsiami *Hohen-Mölsen* i *Gruna*.

Ciężko ranionego kopiją w brzuch Rudolfa, z ręką odciętą, wiszącą jeszcze na cienkiej skórcie, przenieśli panowie sascy z pola bitwy na zamek merseburkski, a gdy

(1) Legenda ta pięknie obrobiona jest w języku niemieckim pod tytułem: *Der Rabe zu Merseburg eine Sage der Vorzeit. Merseburg bei Herling.*

walecznego ducha wyzionął, sprawili mu pogrzeb wspa-
niały w katedrze. Odciętą rękę Rudolfa Szwabskiego
przechowują dotychczas w skarbcu kościoła mersebur-
skiego. Wysuszona, barwą i połyskiem do mahonio-
wego drzewa podobna, zachowała ona na wieki skostniały
ostatni ruch dzielnego życia.

Na pochwie umieszczono sławny napis, który jaśniał
niegdyś na koronie darowanej Rudolfowi przez papieża
Grzegorza VIIgo *Petra dedit Petro, Petrus diadema Ru-
dolfo* (opoka dała Piotrowi, a Piotr dał Rudolfowi koro-
nę). Skarbiec merseburski zawiera jeszcze inne ciekawe
zabytki, jakoto:

Kapę z wieku cesarza Ottona Igo, z czerwonego
jedwabiu wytkaną, o jednym szwie tylko, z otworem na
głowę.

Ornat z XIgo wieku, biskupa merseburskiego *Werne-
ra*, przyjaciela anty-cesarza Rudolfa, z adamaszku żółtego
i czerwonego, z krzyżem i herbem, haftowanymi niegdyś
perłami i drogiemi kamieniami, z których nie wiele już
zostało.

Płaszcz św. Antoniego Padewskiego z XIIIgo wieku.

Ornat biskupa Tilon z Troty z XVgo wieku, z aksa-
mitu brunatnego przedzierzganego złotem, z wypukło
haftowanymi postaciami Pana Jezusa i apostołów.

Płaszcz z XIgo wieku św. Kunegundy cesarzowej,
żony Henryka IIgo, fundatora katedry merseburskiej;
płaszcz ten (jak chce tradycya miejscowa) miała na so-
bie cesarzowa, gdy oczyszczając się przed mężem z fał-
szywego oskarżenia o niewinność, odbyła zwycięzko pró-
bę ognia przykładając sobie do piersi rozpalone w ogniu
lemieszce od pługów.

Płaszcz ten z adamaszku zielonego przywiózł za-
pewne do Merseburga, biskup Adolf książę anhaltński
(† 1526) z Bambergu, gdzie zachowane są wszystkie re-
likwie św. Henryka IIgo cesarza i św. Kunegundy. Do
tego płaszcza szczególne nabożeństwo miały kobiety nie-
płodne.

Tradycya miejscowa wspomina o posłaniu kawałka
z niego żonie Ludwika XVgo króla francuzkiego, Maryi

Leszczyńskiej, na jej żądanie, przed przyjściem na świat jej potomstwa.

Inne ciekawe przedmioty w tym skarbcu są: skrzynka drewniana z malowanemi gryfami z XIIgo wieku, inne z XIIgo i z XVgo wieku; ułamek strzały z pola bitwy z Hunnami; ornat, w którym Luter odprawiał liturgię w Merseburgu i t. d.

W tak zwanój *Białej wieży* umieszczone jest bogate archiwum kościelne, w którym widzieć można oryginalne dyplomata Ottonów i Henryków z X^{go}, XI^{go}, XII^{go}, wieku, po części już drukowane (1).

W nawach kościelnych i w kaplicach, w ostrołukowym stylu budownictwa XVgo wieku stawianych, pozostało jeszcze wiele zabytków, jakoto: szafistych ołtarzów, obrazów, posągów, grobowców i różnego rodzaju pomników z katolickich czasów katedry merseburskiej.

Jednym z najciekawszych jest chrzcielnica z XIgo wieku, z piaskowca czerwonego, przeniesiona do kaplicy św. Kunegundy, z dawnego kościołka św. Tomasza na przedmieściu. Na osmiokątnej podstawie wyryte są 4 postacie ludzkie i 4 zwierzęce; na około walcowatej chrzcielnicy w bizantyńskich framugach 12 proroków dźwigających na barkach 12 apostołów, na osmiokątnym brzegu kamiennym wyryty jest napis:

*Hos Deus emunda, quos istio abluuit unda,
Fiat ut interius, quod fit et exterius.*

(Oczyść tych o Boże, których tu woda zmyła, aby wewnątrz stało się to samo co zewnątrz).

Stalle kanoniczne w chórze z rzeźbionemi na drzewie obrazami z Pisma Świętego, wykonane zostały (jak świadczy napis) w roku 1446 przez księdza dominikana Kaspra Schollholz.

Do innych osobliwości katedry merseburskiej należą: posąg cesarza Henryka IIgo trzymającego model dawnego kościoła, posąg Ezykona burgrabiego merseburskiego († 1004), dzieło XIIgo lub XIIIgo wieku, posągi cesarza Henryka IIgo i cesarzowój Kunegundy z XVgo wieku

(1) *Höfer's Zeitschrift für Archivskunde.*

w kaplicy św. Kunegundy; ambona z drzewa rzeźbionego z czasów biskupa Adolfa ks. anhaltńskiego († 1526); nareszcie obraz Kranacha: *Ukrzyżowanie Chrystusa*.

Musiał być malowany przed rokiem 1521, bo z tego roku mamy dowody przyjaźni łączącej Kranacha z Lutrem; na obrazie zaś merseburskim Luter i Melancton przedstawieni są pod postaciami złego i dobrego łotra na krzyżach, książę Fryderyk saski jako Piłat, a inni książęta reformatowie, jako siepacze z jego orszaku.

Piękny park otacza zamek merseburski od strony rzeki Sali. W parku tym odkopano przed niedawnym czasem wielki grób obmurowany ceglami, ale próżny; mniemają, że zawierał niegdyś szczątki którego z Hunnów, zwyciężonych tu w Xtym wieku przez cesarza Henryka I.

Tak więc katedra i zamek merseburski przenoszą wyobraźnię widzów od zamierzchłych czasów zwycięstwa nad Hunnami, do świetnych pół wiekowych rządów biskupa *Tilona z Trety*, które kruk przekazuje potomnym czasom w bajecznej może legendzie.

Alex. Przeddziecki.



STAROŻYTNY I NOWOŻYTNY MEXYK.

PRZEZ

Michała Chevalier,

Członka Instytutu francuzkiego.

(Ciąg dalszy).

Mexyk pod władzą Hiszpanów.

Pomijamy historią podbicia téj krainy; lecz patrząc na nią z literackiego stanowiska, przyznajemy, że jéj opowiadanie podobne jest do bohaterskiego poematu, albo do rycerskiego romansu, że wypadki są daleko większe, że ludzie pokazują się wyższemi nad pospolity zakres, że nawet cudowność łączy się z pasmem tych przygód. Śmiały awanturnik wypływa z wyspy Kuba i ma 553 żołnierzy, 110 majtków, 16 koni, 13 muszkietów, 32 łuczników, 10 armat i 4 szmigownice; z tak szczerpłemi siłami uderza na państwo zamieszkałe przez naród odważny, którego monarcha może wyprowadzić do boju milion żołnierzy. Korteż, zniewala ten naród do wyrzeczenia się dawnéj wiary i zwyczajów; półtrzecia roku wystarczyło mu na wykonanie takiego dzieła.

Obok takiego przedmiotu, jakże jest drobna treść Iliady i Eneidy: żeby ją urozmaicić i rozszerzyć, Homer i Wirgiliusz musieli dołączyć do niéj mitologiczne zmyślenia, historyczne podania, opisy miejsc i ówczesne idee

filozofii. Jakoż więcej temi przydatkami, niżeli treścią przedmiotu, wzbudzają nasze zajęcie i są twórcami nieśmiertelnych pomników sztuki. Ze zdobyciem Meksyku, możnaby jedynie porównać opanowanie Azji przez Aleksandra Wielkiego: bo w obudwu przypadkach, zachodzi nadzwyczajna nierówność między siłami najeźdźców a najeżchanych, nieskończenie mniejsza liczba odnosi tryumf nad nieskończenie większą, a geniusz człowieka objawia się w całej wielkości. Ileż tam jest dowodów nadzwyczajnego męstwa, poświęcenia i rozpacz!

Nareszcie główny bohater tego podboju, Kortez, nie uwodzi się samą tylko żądzą łupów, władzy i sławy. W całym jego postępowaniu odbija się to silne przekonanie, że walczy za tryumf religii i to zaufanie, że Bóg doprowadzi go do zwycięstwa.

Wiara, jak była jednym z głównych powodów zdobycia Meksyku, tak też połączona z duchem nietolerancyi, zrzuciła upadek i zniszczenie tego kraju. W wojnach z niewiernymi i bałwochwalcami, nie szanowano żadnych praw ludzkości. Hiszpanie dopuścili się przeciw żydom i mahometanom, gwałtów, któremi szańbili swoją sławę rycerską. W wojnie z Maurami, albo zabijano wszystkich mieszkańców zdobytego miasta, albo ich zaprzędawano w niewolę; przy zdobyciu Malagi, król Ferdynand dostał w moc swoją 11,000 niewolników. Naradzano się czy nie zamordują tych nieszczęśliwych i zaledwie nalegania królowej Izabelli uratowały im życie.

Takie to wrażenia Kortez i jego towarzysze powieźli do Meksyku.

Ponieważ Amerykanów znaleziono pogrążonych w ciemności bałwochwalstwa, można więc było bez grzechu brać ich w niewolę i wysyłać do Hiszpanii: było to dla ich dobra, bo musieli nawrócić się i zostać chrześcianami.

Meksyk od czasu jak stał się prowincją zależną od Hiszpanii, rządony był tak jak wszystkie inne posiadłości hiszpańskie w Ameryce, może lepiej niż inne; posiadał większą ludność, krajowcy byli oświeceni i zdolni do użytecznej pracy; pod względem plodów rolniczych, wyróżniał krajom nowego świata najhojniej uposażonym

od natury, a pod względem bogactw kopalnych, przewyższał Peru. Więcej zatem przynosił dochodu skarbowi królestwa, niż wszystkie inne posiadłości. Żegluga do tego kraju nie była uciążliwą i trudną. Szczególną więc miano o nim troskliwość w wielkiej radzie ministrów i w gabinecie królewskim i silniej chciano powściągać nadużycia. Z większą bacznością wybierani rządcy, zaszczytzeni tytułem wice-królów, nie tak wyłącznie i chciwie zajmowali się zrobieniem majątku i nie zaniedbywali spraw królestwa (1) oddanego pod ich opiekę. Wielu z pomiędzy nich, odznaczało się rozumem i szlachetnymi uczuciami. Hrabia Revilla de Ggedo zasługuje na miano biegłego administratora, przyjaciela ludzkości i rozszerzyciela cywilizacyi.

Indyanie: takie nazwisko nadano krajowcom i dotąd je zachowano, skutkiem omyłki Krzysztofa Kolumba, który mniemał, że opłynąwszy kulę ziemską, zawinął do Indyi nie zaś odkrył ląd nowy: Indyanie większej doznali opieki w Meksyku niżeli w innych osadach. Wielka monarchini Izabella, ulitowała się nad niemi i na śmiertelném łożu poleciła ich chrześciańskiemu sercu następców swoich. Musimy przyznać, że rząd hiszpański w tym razie nie zapomniał o jój woli, a zwłaszcza co do Meksyku. Jeżeli nie zdołał pojąć jak wielkie ma obowiązki dla podbitych ludów, jeżeli nie troskał się o wzrost ich cywilizacyi, to przynajmniej powściągał ich ciemieżców o tyle, ile to można było uczynić w tak wielkiej odległości i przy systemacie politycznym, który nie mając żadnej rękojmi ani kontroli, otwierał pole do nadużyć. Usiłując być ludzkim dla Indyan, nie tylko zgadzał się z życzeniem królowej Izabelli, lecz szedł także za radą człowieka, który państwo Montezumy obalił. Ferdynand Korteż, w najmocniejszych wyrazach objawił w testamencie swoim, że trzeba sprawiedliwie i łagodnie postępować z tym podbitym ludem. Do tego dzieła znalazł król ważną pomoc w duchowieństwie, które w Meksyku pamiętało zawsze, że chrześciańska religia otrzymała od swego Boskiego założyciela, wzniosłe i święte powoła-

(1) Taki tytuł dawano Meksykowi i Peru; inne prowincye amerykańskie zwano generalnemi kapitanaryami.

nie, wspierania słabych. Dopomogły do tego celu trybunały zwane *audiencias*, które chociaż często tchnęły duchem przewodzenia nad krajowcami, jednakże wchodziły w myśl korony i nie dopuszczały ciężkich nadużyć. Dwór madrycki, powodowany szczerą ale nie dosyć umiejętną gorliwością o los Indyan, ustanowił urzędników cywilnych zwanych intendentami. Każdy z nich był rządcą nad jedną prowincją, tak samo jak prefekci w departamentach Francji, lecz z większą władzą. Na nieszczęście intendencje urządzone były dopiero w końcu XVIIIgo wieku, a wprzód nieprzeliczone złe zrzadzono temu krajowi. Ludność krajowa, godna politowania z powodu jej cierpliwój i smutnej uległości po upadku dawnego rządu i odznaczająca się zdolnością do pracy, niezmiernie wiele wycierpiała przez chciwość i srogość pierwszych zdobywców i następnych osadników. Zgnębiono ją, spoldono i już jej nie można było podźwignąć. Ludzie, którzy po dokonaniu podbicia, rzucili się na Meksyk, tak samo jak na wyspy wprzód przez Kolumba odkryte, byli łakomi, zuchwali i nie wzdrygający się użycia gwałtu tam, gdzie szło o zaspokojenie ich żądz. Ponieważ krajowcy byli jeszcze poganami, uważano ich zatém jako ludzi wyjętych z pod opieki prawa, obchodzono się z nimi bez względu i miłosierdzia, podług najsurowszego prawa wojny. Obarczono ich ciężarem pracy przechodzącym ich siły, porywano z wiosek i przeprowadzano w góry, gdzie było złoto i srebro; zagrzebywano ich w kopalniach. Ta myśl, że ci nieszczęśliwi są ludźmi i bliźniemi naszymi, nie powstała w tym pierwszym napływie osadników. Na wyspach, a mianowicie na Hispanioli i Kubie, gdzie krajowców była znaczna liczba, zaprowadzono zgubny systemat *repartimento*, a z wysp przeniesiono go do Meksyku: zależał on na rozdzielaniu Indyan między Hiszpanów, jak trzody wołów i koni. Była to czysta i prosta niewola bez żadnej opieki i zastrzeżenia. Okrucieństwa i nadużycia, w prędkim czasie wytepiły plemię krajowców na dwóch wyspach, a znaczną jej część wygubiły w Meksyku.

Przeciw takiemu wytepieniu krajowego plemienia, przez nieubłaganych i łakomych osadników, powstał kapłan, sławny ze swego miłosierdzia i bezinteresowności.

Bartłomiej *de Las Cazas* napelniał Amerykę i Hiszpanię odgłosem silnych i niez mordowanych skarg i reklamacyj. Wyjednał, że przysłano zdalnych i pobożnych komissarzy, którzyby przekonali się o złem i onemu zaradzili, jeżeli jeszcze było można. Na wyspach już nie mogli uczynić; na stałym lądzie amerykańskim, dokąd później przybyli Europejczycy i gdzie krajowcy silniejsi i rozproszeni na rozleglejszych przestworzach, łatwiej ukryć się mogli, ocalono ich od zagłady.

Systemat *repartimientos* (rozdzielanie) zastąpiono przez *encomiendas* (osadzanie), które postawiło Indyan w takiem samym położeniu, w jakim byli włościanie europejscy przykuci do roli. Zwierzchność oddawała pod moc pana, kilkadziesiąt albo kilkaset rodzin, pod warunkiem, że je przeznaczy do oznaczonej pracy, n. p. do uprawy gruntów. Tak więc, powtórzyła się w nowym świecie, kolej instytucyj socyalnych dawnego świata: najprzód niewola, a po niej poddaństwo. Już to było istotne polepszenie, lecz dalekie jeszcze od osobistej wolności, która tak jest nieodłączna od religii chrześcianskiej, że bez niej też religia zbacza z drogi i traci swoją Boską naturę. Pod takim systematem, proboszcz, którego całą parafią częstokroć składali sami Indianie, mogli łatwiej ująć się za niemi.

Panowie, między których tym sposobem rozdzielano Indyan, byli to albo zdobywcy tego kraju, albo prawnicy przysłani z Hiszpanii na rządzców prowincyi dla powściągnięcia chciwości zdobywców, albo też znaczniejsi osadnicy. Dawna tylko szlachta indyjska, pochodząca od możnowładców aztekańskich, pozostała wolna. Nie łatwo było proboszczom utrzymać zgodę i równowagę w tak rozmaitych stanach; potem zaś jeszcze trudniej, kiedy duchowieństwo stało się współnikiem właścicieli ziemskich. Na uposażenie zakonów przeznaczono wielką liczbę znacznych *encomiendas* (włości) a przez to religia, której obowiązkiem i dążnością być powinno wyswobodzenie ludu wiejskiego, sama bezpośrednio korzystała z ich ujarznienia. Krok ten przedsięwzięty dla materyalnej korzyści duchowieństwa, był bardzo nietrafnym.

Taki systemat *encomiendas*, stał się powodem wielkich nadużyć i nareszcie zniesiony został na rozkaz króla, a tę dobroczynną reformę zrządził Karol IIIci. Światły ten monarcha, który wielkie lecz bezowocne usiłowania czynił, żeby podźwignąć Hiszpanią przytłoczoną instytucjami z duchem wieku niezgodnemi, myślał także o odrodzeniu i postępie Meksyku, i w tym kraju lepiej mu się powiodło. Zniósł *encomiendas*, których część już i bez tego ustała, ponieważ ich właściciele wymarli niezostawivszy potomstwa w prostej linii, jak tego wymagało prawo nadawcze. Drugim postanowieniem zaprowadził intendentury, a to w tym celu, żeby Indyanie mieli znakomitych opiekunów, niezależnych od miejscowego wpływu, obrońców ich praw i dobra. Na intendentów, a było ich dwunastu, wybrano ludzi światłych i prawych. Nie mogli oni zmienić zasady systematu, o którym wkrótce mówić będziemy, lecz przynajmniej nie dopuszczali ważnych nadużyć.

Z tē wszystkiem, ta nowa organizacya nie wiele przyniosła pożytku podbitym plemionom. Powściągnęła jawne gorszące gwałty, ale nie mogła zaradzić drobnym i ciągle ponawiającym się nadużyciom i zdzierstwom, któremi dokuczano Indyanom. Po utworzeniu intendentury, zniesiono *alkadye* (to samo co wielkie wójtowstwa) ale czemże je zastąpiono? oto *poddelegowanemi* i tym urzędnikom zabroniono prowadzenia jakiegobądź handlu, bo to byłoby im podało sposobność krzywdzenia Indyan. Zdaje się, że przy takim zakazie należało przeznaczyć im wyższą pensyę: bynajmniej, nie dano im żadnej. Łatwo zgadnąć co ztąd wynikło. Poddelegowani dostarczili nowego dowodu, że najdrożej kosztują urzędnicy nie biorący żadnej pensyi. Szanowny prałat Antonio de San Miguel biskup dyecezyi Michoakan, przedstawił w r. 1790 królowi hiszpańskiemu memoriał i w nim tak się wyraził o postępowaniu tych ajentów:

„*Alkadowie mayores* byli sprawiedliwemi przynajmniej wtedy, kiedy nie szło o ich własny interes. Poddelegowani, mając tylko dochody z kar sądowych i opłat od wyroków, używają nieprawnych sposobów dla zaspokojenia swoich niezbędnych potrzeb; ztąd wynikają

ciągłe zdzierstwa, nadużywanie władzy przeciw ubogim, zmawianie się z bogatemi i ohydne frymarczenie sprawiedliwością”.

Karol IIIci zabronił także urzędnikom frymarki, przez którą oni tworzyli sobie gromady niewolników. Owi urzędnicy samowolnie stawali się wierzycielami Indyan, sprzedając im za cenę bardzo wysoką muły, konie i odzież. Indyanie nie mogąc zapłacić długu, musieli pracować dla nich, a gdy już raz zaciągnęli ten obowiązek pracy, czyli mówiąc po prostu poddańczą pańszczyznę, ciągle w niej utrzymywani byli przez nowe dostawy albo inne rozmaite podstępny. Lecz niestety, jakież skutek mogły przynieść rozkazy władzy tak odłonej, a do której głos uciśnionych nigdy nie doszedł!

Na początku XIXgo wieku, kiedy Humboldt zwiedzał Meksyk, Indyanie już byli w stanie wyższym nieco nad feudalne poddaństwo. Jednakże nie będąc już niewolnikami, albo poddanymi, jeszcze nie otrzymali wolności cywilnej; dźwigali więzy prawnej małoletności, w niej zostawać mieli aż do grobu. Żeby ich ustrzedz od czynności, w których gwałt mieszał się z podstępem, uznano krajowców za niezdolnych do zawierania umów o jakąbądź kwotę wyższą nad 5 piastrow (40 zł.). Lekarstwo to było gorsze od choroby, gdyż pod pozorem uchronienia ich od krzywdy, odebrano im możność nabycia jakiejbądź własności. Większą ich część trzymano w wioskach, gdzie nie wolno było mieszkać białym; lecz zkaż także Indyanom oddalić się nie dozwolano: musieli więc całe życie przepędzać w szczupłym obrębie, zakreślonym w około ich wiosek, a tam najczęściej nie mieli sposobu do życia, a nawet brakowało im roli, chociaż dziewięć dziesiątych części ziemi leżało odlogiem. Opłacali roczną daninę, a za to wolni byli od innych podatków.

Ważne polepszenie doli krajowców meksykańskich zależało na tém, że już nie byli zmuszani do pracy w kopalniach. Przymus ten zwany mira, który ustał w Peru, dopiero po wybiciu się téj krainy z pod władzy Hiszpanii, już oddawna nie istniał w Meksyku. Pracowali oni

przy tych kruszcowych żyłach w łonie ziemi, lecz z własnej woli i dostawali dobrą zapłatę.

Pewna liczba Indyan cieszyła się pomyslnym bytem. Do niej należeli kacykowie, czyli szlachta indyjska, wolni od opłacania daniny i mający osobne przywileje. Oprócz nich, niektórzy Indianie z bogacili się szczególnym trafem. Humboldt wspomina o stariej niewieście z prowincyi Cholula, która zostawiła dzieciom swoim pola zasadzone *magujem* czyli aloescm meksykańskim, wartujące przeszło 300,000 franków. Inne rodziny indyjskie posiadały 800,000, a nawet i milion franków; lecz mimo tego było bardzo mało Indyan bogatych, a przynajmniej w dobrym bycie będących. Klasy krwi mieszanej, pochodzące głównie z połączenia Indyan z białymi, a w małej części z połączenia negrów z temi dwiema rasami, nie w lepszym zostawały bycie, co krajowcy czystej rasy. Owi mieszańcy, upodleni byli w obliczu prawa, jak mówi biskup Michoakanu w podaniu swoim do króla. Opłacali także daninę, a lubo ich nie uważano jako zostających w ciągłej małoletności, cierpieli wiele krzywd i zdzierstw, popełnianych wbrew prawu, przez panującą kastę Europejczyków.

Metysowie mniej obawiali się i mniej szanowali białych, niżli Indianie. Więcej także zepsuci, niecierpliwiej znosili upokorzenie swoje. Dotąd jeszcze jest w Meksyku, nazwa malująca stanowisko Indyan. W stosunku do nich, zwano białych *gente de rason*, (plemieniem rozumnym); Indyan zaś uważano jako nie mających rozumu i tym sposobem usprawiedliwiano ich poniżenie; mieszańcy zaś liczeni byli do ludzi *mających rozum*.

Kasta metysów nie mogąc na dobre używać swego rozumu i wolności, obracała go na złe. Kradzież i rozbójce były najczęściej ich sprawą. Jeżeli uderzono na transport towarów albo na dyliżans, było dowiedziona rzeczą, że tego czynu nie dopuścili się Indianie. Z tego powodu przytoczę okoliczność, którą mi opowiedział baron Deffande, poseł francuzki w Meksyku. Wyjechał z rodziną swoją do północnych prowincyj, o kilka mil

od jeziora Chapala. Chcąc dojechać do tego miejsca, wywiadywał się o rozbójnikach, którzy od czasu niepodległości Meksyku napadają na podróżnych, z bezprzykładnym zuchwalstwem. Nie bój się pan, odpowiedziano mu: nie ma w naszej okolicy kasty rozumnej (*gente de razon*). Nie śmiem zaręczyć, że Indianie dziś już do rozumu nie przyszedli i czyli nie napadają na poczty i na odosobnionych podróżnych.

W ogólności, pomimo dobrych chęci dworu madyckiego, dola Indian składających główną część ludności Meksyku, była nędzna tak pod moralnym jak i pod materyalnym względem. Główna przyczyna ich nędzy, polegała w tym błędzie rady królewskiej, że ograniczenie ich wolnej woli uważała za opiekę i rękojmnię przeciw nadużyciom. Wszelkie rozporządzenia oparte na tak błędnej zasadzie, wychodziły na ich szkodę; a to wynikało z samej natury rzeczy. Biskup Michoakanu ocenił ten systemat roztropnie i gruntownie, i tak napisał w przedstawieniu swoim: „Wielu autorów hiszpańskich daremnie badało, dlaczego przywileje nadane Indianom zrzędzą skutki wprost przeciwne zamierzonemu celowi. Dziwię się, że nie zrozumieli, iż to wynika z natury tychże przywilejów. Takie środki, nigdy nie posłużą tym, dla których obrony przedsięwzięte zostały. Zrządziły one u Indian gnusność umysłową, obojętność i odrętwiałość, i uczyniły ich niezdolnymi do żadnej korzystnej pracy.”

Owi biedni krajowcy, pozbawieni pod pozorem opieki, wszelkich środków prawnej obrony, byli jeszcze gnębieni i obdzierani przez własnych ziomków. W każdej wiosce, wyłącznie indyjskiej, znajdowało się aż do kresu panowania Hiszpanów, kilku starych posiadaczy monopolium sądownictwa miejscowego i żyło gnuśnie kosztem innych. Opierali oni władzę swoją albo na rodowodzie bardzo często zmyślonym i urojonym, albo na zręcznej polityce z pokolenia do pokolenia przekazanej. Owi naczelnicy, sami tylko z pomiędzy mieszkańców wioski mówili po hiszpańsku. Zależało im bardzo wiele na utrzymaniu braci swoich w jak najgrubszej ciemności, przesądzie i barbarzyństwie.

Pewną liczbę Indian przyjmowano do stanu duchownego. Mężczyźni chętnie wyświęcali się na proboszczów, a dziewczęta na zakonnice; lecz ich oświata ograniczała się na samych tylko wiadomościach teologicznych, a raczej katechizmowych, bez których nie mogliby ani mszy odprawiać, ani sakramentów świętych udzielać.

Można było lękać się, że przy jakiejśbądź zmianie stosunków politycznych, krajowcy, pamiętni jeszcze, że niegdyś byli panami tego kraju, mogą porwać się do broni, a wtedy dopuszczą się wszelkich nadużyć, jakie tylko popełnić zdoła lud usunięty od wpływu cywilizacji i oświaty. Toż samo uczynić mogą metysowie.

* * *

Zdobywcy Meksyku uznali i utwierdzili nierówność stanów między krajowcami i oddzielili kacyków czyli szlachtę indyjską od ogólnej masy krajowców. Przypuścili ją nawet do przywilejów szlachty kastylskiej, lecz oni nie chcieli albo nie mogli z tego dobrodziejstwa korzystać. Nie łączyli się z Hiszpanami, woleli własnymi rękami uprawiać ziemię, którą za dawnych czasów uprawiali dla nich lennicy. Złączyli się z ludem i przyjęli jego tryb życia. Może to uczynili w tym celu, żeby usunąć się z przed oczu Hiszpanów, z którymi aż do ostatka rozpaczliwą toczyli wojnę. Krajowcy zachowali dla nich choć w części dawną cześć i uszanowanie i uważali ich za naczelników swoich. Wpływ edukacji byłby z czasem zwalczył to odosobnienie i połączył zwyciężonych ze zwycięzcami; lecz nieufność Hiszpanów nie dopuściła użycia tego sposobu, którego na chwilę chwycono się, zakładając w klasztorze Franciszkanów w mieście Tlatecolo, kolegium dla młodzieży szlachecko-indyjskiej. Ale wkrótce porzucono tę myśl i uznano, że jedyną nauką stosowną dla Indian jest katechizm. Tak więc masa krajowców została w ciemnocie, a ich szlachta zrównała się z gminem.

Jakkolwiek miała kiedyś stopień w społeczeństwie Azteków, nie weszła ani do wojskowego, ani do urzędniczego zawodu. I jakże mogła być zdolna do niego? Jej znaczenie ograniczało się w obrębie wiosek indyjskich, a tam zamiast starać się o dobry byt współziomków,

uciemieżała ich, obdzierała przy ściąganiu pogłównego i służyła za narzędzie do udręczania braci swoich, byleby tylko z tego jaką bądź korzyść odniosła. A tak przedstawiała smutny widok zupełnego poniżenia i upadku.

Była w Meksyku inna klasa ludności, złączona najściślej związkami pokrewieństwa z Hiszpanami, a którą z tej przyczyny byli powinni cenić i kochać: mówimy tu o *kreolach* czyli białych z Meksyku, nie mających w sobie ani kropli krwi Indian albo murzynów.

Dla tej klasy przyjęto mądre i trafne prawidło postępowania: przynajmniej tak mniemali ministrowie hiszpańscy; lecz skutek okazał, jak bardzo było błędne. Każde państwo europejskie przy zakładaniu wielkich osad w Ameryce, urządziło je podług własnych instytucyj. W osadach angielskich zaprowadzono zgromadzenia wybrane przez obywateli. Nic podobnego nie było w Ameryce hiszpańskiej, bo władza monarchiczna nigdzie nie doszła do tego stopnia co w Hiszpanii. Żaden rząd tak silnie nie głosił i nie trzymał się tej zasady, że ludy są zawsze małoletniemi i że użycie ich wolnej woli sprzeciwia się prawom panującego, a nawet jest buntem przeciw Opatrzności Bożej. Inkwizycya święta skruszyła w nich opór, stłumiła wszelką działalność myśli i rozpostarła milczenie grobowe. Polityka rządu hiszpańskiego w Meksyku, jako też we wszystkich jej posiadłościach zamorskich, opierała się na odwiecznej zasadzie, żeby klócić różne klasy i stany, a przez to zniszczyć wszelkie usiłowania oporu i zjednoczyć władzę w ręku kilku osób, wprost ze stolicy przysyłanych.

P. Łukasz Alaman, tegoczesny autor historyi panowania Hiszpanów w Meksyku, życzliwy i łagodny w sądzie o nich, tak pisze:

Możność drukowania nietylko zależała od zdania cenzury świeckiej i duchownej bardzo surowej, lecz nie można było wydać żadnej książki o Ameryce, bez pozwolenia najwyższej rady indyjskiej. Zakazu tego przestrzegano tak ściśle, iż Klavigero duchowny i bardzo umiarkowany człowiek, nie mógł uzyskać upoważnienia na swoją historję Meksyku i musiał ją wytłumaczyć na język włoski i wydrukować we Włoszech. Dzieła wydane

w Hiszpanii albo za granicą, nie miały wstępu do osad bez pozwolenia rady, a to w tym celu, żeby nie sprowadzano książek traktujących o przedmiotach światowych, bajecznych, ani też romansów. Sprawozdanie o książkach wysyłanych do osad, wpisane było w rejestra okrętowe; duchowni i świeccy urzędnicy przeglądali okręta i sprawdzali przywiezione dzieła.

Lecz najważniejszym środkiem do utrzymania posłuszeństwa w osadach, było bezwarunkowe pierwszeństwo nadane rodowitym Hiszpanom, a wyłączenie białych kreolów. Tak więc właściwi Hiszpanie, tworzyli oddzielną klasę, z której wyłączone były nawet ich własne dzieci, dla tego że urodziły się w Meksyku; sami tylko rodowici Hiszpanie mogli posiadać urzędy polityczne, administracyjne i sądowe. Taki pomysł przeciwny naturze, rozdzierał ojca od dzieci, brata od brata, jeżeli jeden urodził się w Hiszpanii a drugi w Meksyku: a jednakże przyjął go i przez długie lata wykonywał rząd madrycki. Tak to, we wszystkich wiekach i u wszystkich ludów, nie mogą przyjąć się i rozkrzewić proste i zdrowe zasady sztuki rządzenia.

Kreolowie przez długie wieki obojętni byli na to usunięcie ich od wszelkiego udziału w zarządzie kraju, jak na dobro, o które nie upominamy się, bo nawet nie wiemy że istnieje. W niewiedomości i prostocie, mniemali, że za ciasnym kółkiem ich widokręgu, nie ma żadnych nadziei, ani przyjemności dla rodu ludzkiego. Ich życie nie było także bez uciech i powabów: z bogacali się wydobywaniem kruszców, uprawą roli i oddawali się zmysłowemu rozkoszom. Rząd nie omieszkiał pochlebiać ich próżności. Tytuły szlachectwa nadawano tym, którzy zebrali wielki majątek. Obficie także przedawano tytuły bardzo zyskowne dla skarbu i dla prywatnej kassy wice-króla, a niemi były patenta na oficerów milicyi, za które bardzo drogo płacono. Cudzoziemiec zwiedzający Amerykę hiszpańską, dziwił się, że we wszystkich miasteczkach kupcy zamienili się w pułkowników, kapitanów, albo w wachmistrzów i w wielkich mundurach z krzyżem Karola IIIgo siedzieli poważnie za kramem i ważyli cukier, kawę, albo wanilią: „Dziwna mieszanina, mówi Humboldt, pro-

stoty i próżności". Wyswobodzenie osad angielskich i utworzenie Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, rozbudziło Meksykanów pojętniejszego i bystrzejszego umysłu i innych poddanych Hiszpanii. Wielki ten wypadek dokonany w sąsiedztwie Meksyku, zdziwił kreolów i dostarczył nieznaną podniety dla ich wyobraźni. Ciągłe wzrastająca pomysłność Stanów Zjednoczonych, ich coraz to większe znaczenie w świecie, jeszcze bardziej rozwinęło ich myśli. Zaczęli starać się o książki europejskie, a za pieniądze dostali ich pomimo zakazu i czuwań inkwizycji; czytali je ukradkiem, chwytając złe i dobre: tym sposobem nabyli wyobrażeń o swoich prawach i sile. Władze hiszpańskie nie zważały na to, a zajęte osobistymi korzyściami i dumą, nie pomyślały o nadaniu kreolom takich samych praw, jakie dla siebie samych przywłaszczyli.

A jednakże hiszpańskiemu rządowi nie brakowało zdrowej rady. Hrabia Aranda, grand hiszpański, który należał do zawarcia traktatu paryżkiego w r. 1783, kończącego wojnę między Anglią a Stanami Zjednoczonymi, przedstawił Karolowi III, że to nowe państwo wzrośnie w niedługim czasie i będzie przykładem i zachętą dla rządów hiszpańskich. Z natury rzeczy wynika, że tak obszerne krainy nie mogą bez końca zostawać pod władzą tak oddalonego rządu. Radził więc ustanowić trzy królestwa: Meksyku, Peru i Środkowych Krain, a każde z nich oddać jednemu infantowi. Król Hiszpanii przybrałby tytuł cesarza i przywiązałby do siebie wszystkie te trzy monarchie, traktatem zaczepnego i odpornego przymierza, układami handlowymi i związkami pokrewieństwa. Za to Meksyk opłacałby coroczną daninę w srebrze, Peru w złocie, a Środkowe państwo produktami, a mianowicie tabaką. Wyspy Kuba i Porto zostałyby pod władzą Hiszpanii. Plan hrabiego Aranda nie byłby utrzymywał się na wieki, lecz byłby ochronił osady od długoletnich wojen i zniszczenia. Dwór hiszpański nie rozważył jego rady, a w kilkanaście lat potem osady hiszpańskie oderwały się od ojczystego kraju.

*
Ekonomiczny systemat zaprowadzony w Meksyku istniał w Ameryce we wszystkich posiadłościach Europej-

czyków i opierał się na tój zasadzie, że kolonie służą do samego tylko pożytku metropolii i nie mogą mieć innego przemysłu ani handlu, prócz tego tylko jaki jest dogodnym dla metropolii. Zabraniano więc zakładania fabryk, żeby zapewnić odbyt wyrobom matki ojczyzny. Anglia chociaż ustanowiła swobodniejszy rząd w swoich osadach, tak samo postępowała. I tak naprzykład, uczyniono wniosek do parlamentu, żeby w Pensylwanii zakazać wyrabiania żelaza, a to na korzyść fryszerek angielskich. Oprócz tego, nie dopuszczano cudzoziemców do osad i wszelkie produkta pochodziły z fabryk matki ojczyzny. Hiszpania najsurowiej trzymała się tego systematu. Sławny Humboldt musiał osobiście wyjednać sobie u króla, pozwolenie na podróż i wybadanie krajów między zwrotnikowych Ameryki. Dwa tylko porty, Vera Cruz dla Hiszpanii i Acapulco dla wysp Filipińskich, otwarte były dla okrętów i to tylko hiszpańskich; cudzoziemskich niedopuszczano wcale, a w Hiszpanii dwa tylko miasta, Kadyx i Sewilla, mogły prowadzić handel z Meksykiem. Kupcy tych miast, aż nazbyt bogaci nie spieszyli się z wysyłką; co trzy lub cztery lata, kilka okrętów naładowanych towarami wypływało z portu Kadyxu pod nazwą floty. Wszystko co wiozły już było zawczasu przedane kilku meksykańskim kupcom, posiadającym monopolium tego handlu. Przemycanie towarów przynosiło niejaka ulgę tak uciążliwej sprzedaży. Dopiero w roku 1775 Karol III rozszerzył cokolwiek możność handlowania z Meksykiem, lecz wyłączenie cudzoziemskich kupców pozostało. Handel z Azyą i wyspami Filipińskimi ograniczał się na wysyłaniu raz na rok okrętu zwanego Galionem, o 500 beczkach ładunku.

Niepodobna wyliczać mnóstwa rozporządzeń, wynikających z błędnej zasady, z ciemnoty i osobistych widoków, któremi nie tylko ścieśniano, ale niszczo przemysł i rolnictwo w osadach. Żeby przeszkodzić wprowadzaniu bawełnianych wyrobów angielskich, zniesiono fabryki krajowe w Meksyku; żeby zapewnić odbyt winom hiszpańskim, wytępiono winnice pozakładane w Meksyku, a to pod pozorem że winem rozpijają się Indyanie. Żeby fabrykanci nie krzywdzili i nie uciemieźali Indyan, ograniczono liczbę fabryk i zamykano je za lada przekroczenie. Chcia-

no nawet zabronić uprawy bananów, które są najtańszém pożywieniem krajowców, pod pozorem żeby ich zachęcić do uprawy kukurydzy. Ale przecież ludzkość i zdrowy rozsądek, oparły się zaprowadzeniu tego środka, do którego wykonania musiano użyć przynajmniej 30,000 strażników.

Pomimo tych wszystkich ograniczeń, wzrastała za-
możność a z nią i oświata mieszkańców. Za rządów mi-
nistra Godoy, tak zgubnych dla Hiszpanii, zaprowadzono
w mieście Meksyku, w Vera-Cruz i w Guadalaxara, zgromadzenia zwane *Consulada*, pod zwierzchnictwem wice-
króla. Te zgromadzenia pobierały podatki na rachunek
skarbu i na podatki miejscowe, układały plany dróg i in-
nych prac publicznych i przywodziły je do skutku. Kup-
cy składający to *konsulado* w Meksyku i w Vera-Cruz, pra-
wie wszyscy zrodzeni w kraju, gorliwie zajęli się dobrem
publiczném. Wykopali olbrzymi kanał, który spuścił wo-
dę z jezior znajdujących się w około Meksyku i miasto za-
bezpieczył od zalewów. Zbudowali piękne gmachy publi-
czne i zaczęli robić bitą drogę z Meksyku do Vera-Cruz.
Consulado z Vera-Cruz nie dało się wyprzedzić meksykań-
skiemu i zbudowało wspaniałą drogę z tego miasta do
Zalapa, tamę portową i szpital, zajęło się zaopatrzeniem
miasta w wodę zdatną do picia, której brak nie mało
przyczynia się do rozszerzania febry żółtej.

Stowarzyszenie do wydobywania srebra, złożone pra-
wie wyłącznie z kreolów, miało obszerne i pożyteczne za-
miary, lecz nie postępowało z należytą rozważą i upadło
zbankrutowawszy na 21 milionów franków.

* * *

Duchowienstwo w Meksyku, jako w kraju wyłącznie
katolickim, było liczne i potężne; lecz nie w takim stopniu
jak w Hiszpanii. Posiadało wielkie bogactwa i podług
pana Alaman, pisarza z ostatnich lat panowania Hiszpa-
nów w Meksyku, który miał w ręku wszelkie akta rządowe,
było właścicielem połowy gruntów całego kraju. Nieró-
wny był podział tych bogactw. Arcybiskup meksykań-
ski miał 700,000 fr. dochodu, biskup z Valladolid 500,000;
a proboszczowie w wioskach indyjskich po 500 lub 600

franków. Duchowienstwo wypożyczało kapitały swoje na umiarkowany procent. Uroczystych świąt była znaczna liczba, obchodzono je z wielkim przepychem, a po nich następowały zabawy publiczne, walki byków i kogutów, na których pospólstwo traciło owoc kilkumiesięcznej pracy, a klasy wyższe występowały z niezmiernym zbytkiem i marnotrawstwem. Najpierwsze dostojenstwa duchowne były wyłącznym udziałem Hiszpanów. Sprawiedliwość nakazuje wyznać, że zakon Jezuitów uczynił wielkie przysługi w Ameryce i był głównym apostołem cywilizacyi krajowców.

* * *

Gdy tak rozszerzała się w Meksyku idea poprawy, a nawet zmiany dawnego porządku rzeczy, doszła wiadomość z Europy w roku 1808, że władza monarsza, z której wypływał cały zarząd osady, nagle znikła tak prawie jak Romulus, wśród senatu podczas nawałnicy. Na miejsce Burbonów Napoleon został niespodzianie władczą Hiszpanii. Wszystkie klasy społeczeństwa hiszpańskiego oświadczyły się z niezmiernym zapałem za Ferdynandem VII. Nie był on godzien ich poświęcenia, ale cios przeciwności, uderzający na tak młodego króla, otoczył go nadzwyczajnym urokiem.

Hiszpanie postępowali zgodnie z położeniem swoim, oświadczając najmocniejszy zapal dla tego księcia i szczerze przywiązanie do metropolii. Meksykanie poszli za nimi po części przez naśladownictwo, a po części przez politykę. Wszystkie *ayuntamientos* (zgromadzenia municipalne) przesłały wicekrólowi, w imieniu mieszkańców, oświadczenia teńące najżywszém współczuciem dla potomka ich królów, uwięzionego we Francyi. Z tęp wyrzuceniem wierności łączyła się żądza jakiegoś politycznego znaczenia. Wiedzieli, że wszystkie junty w Hiszpanii, które tak dzielny opór stawiają Francuzom, utworzyły się bez wiadomości i upoważnienia Ferdynanda, chcieli zatem, żeby w tak ważnych przypadkach zebrała się junta meksykańska, któraby kierowała sprawami kraju.

Ayuntamiento w Meksyku dało pierwszy popęd w tęp sprawie. Mieszkali tam bogaci właściciele kopalni srebra,

obszernych plantacyj trzciny cukrowej i koszenili, a mnóstwo cieszyło się dobrym bytem. Gdy więc wiadomość o uwiezieniu rodziny królewskiej i o jej wyjeździe do Francji doszła do Meksyku, członkowie *ayuntamienta* tego miasta umyślili uczynić krok stanowczy. W zupełnym zebraniu i uroczystym stroju przyjechali do pałacu wicekróla i oświadczyli, że są jak najsilniej przywiązani do rodziny królewskiej i dla niej gotowi do największych ofiar, a zarazem prosili o zwołanie zgromadzenia, złożonego z delegowanych wszystkich prowincyj. Krok ten uczynił nadzwyczajne wrażenie w całym kraju. Wicekról, don Jose Iturrigaraj, nie odrzucił propozycji, a nawet dobrze ją przyjął i odesłał do *audyencji* meksykańskiej po opinię. *Audyencya* posiadała wielką władzę i w pewnych przypadkach miała prawo kontroli nad wicekrólem i tworzyła radę, do której powinien być odnosić się w ważnych sprawach. Na nieszczęście nie poprzestano na tym, że składała się z samych rodowitych Hiszpanów, lecz jeszcze przedsięwzięto środki, żeby jak najostrzej przestrzegać przewagi Hiszpanii nad jej prowincjami. I dla tego nie wolno było jej członkom żenić się w Meksyku, bo ztąd wynikłyby stosunki sprzeczne z interesami metropolii.

Rezydenci hiszpańscy uważali się za panów kraju, oburzył przeto ich dumę i przesady, zamiar utworzenia junty krajowej, wybranej przez mieszkańców, albo przez rady municypalne, w których liczbą przeważali kreolowie. Dowiedziawszy się, że wicekról w tak nadzwyczajnym stanie rzeczy zezwala na krok, któryby z nimi porównał kreolów w prawach politycznych, postrzegli, że znikną w *massie* dwadzieścia razy liczniejszej, bo ich było sześćdziesiąt tysięcy, a kreolów milion. Naturalnym skutkiem nowego systematu, byłoby niezwłoczne przyznanie praw politycznych klasom uważanym dotychczas za podłe i bezrozumne, to jest metysom i Indyanom. *Audyencya* odrzuciła wniosek *ayuntamienty*; wicekról obstawał przy swoim; wtedy Hiszpanie uknuli spisek, schwycili wicekróla z dwoma starszemi synami, zamknęli go w więzieniu inkwizycji, a żonę i młodsze dzieci osadzili w klasztorze. Urząd wicekróla objął oficer najstarszy stopniem, po nim arcybiskup Meksyku, a nareszcie rządziła sama *audyencya*,

dopóki z Hiszpanii regencya nie przysłała nowego wicekróla.

Uwięziono wielu najznakomitszych Meksykanów, jednych wygnano do wysp Filipińskich, innych osadzono w zamku św. Jana d'Úlua, innych wysłano do Hiszpanii. Audyencya rozkazała Hiszpanom, żeby utworzyli junty ocalenia kraju i urządzili zbrojne oddziały. Chciano przez to poskromić poruszenie kreolów, lecz ten tylko skutek osiągnięto, że na zawsze rozdzielono te dwie klasy narodu, mające to samo pochodzenie, ten sam język i wiarę. *Ayuntamiento* meksykańskie chciało ująć się za byłym wicekrólem; odpowiedziano mu, że jego władza ogranicza się na utrzymaniu bezpieczeństwa i porządku na ulicach Meksyku.

Od tej chwili utworzyły się dwa wydatne stronnictwa: jedno Hiszpanów, którym nadano przezwisko Gachupinów; drugie Meksykanów czyli kreolów, zwanych najczęściej Amerykanami a niekiedy Guadelupami, od wspaniałego klasztoru zbudowanego w bliskości Meksyku, na cześć Najświętszej Panny Maryi z Guadelupy, szczególnej opiekunki i patronki Meksyku.

W prowincyach zaczęto sposobić się do wojny przeciw Hiszpanom i nareszcie poruszenie wybuchło w intendencyi Guanaxuato. Tam, w miasteczku Dolores, prawie przez samych Indian zaludnioném, mieszkał proboszcz nazwiskiem Miguel Hidalgo Costilla. Czytał był kilka dzieł sprowadzonych z Europy i ocenił postępowanie hiszpańskiego rządu. Doniesiono go do inkwizycyi świętej, lecz sprawa skończyła się na surowej naganie. Zwrócił wtedy swoją czynność do przedsięwzięć użytecznych dla jego parafii. Zaprowadził hodowlą jedwabników i założył winnice: lecz ponieważ systemat rządu hiszpańskiego wymagał, żeby Meksykanie pili samo tylko wino z Hiszpanii przywożone, rozkazano zniszczyć winnice, już znaczne przestrzenie na wzgórzach i w około miasteczka Dolores zajmujące, i ten barbarzyński rozkaz przyszedł do skutku.

Takie postępowanie jeszcze bardziej oburzyło Hidalgo. W r. 1808 miał już lat sześćdziesiąt jeden. Wmieszkał się do zmywu kreolów: odkryto ich zamiary i uwię-

ziono kilku stowarzyszonych. Wypadek ten nie zraził go i dnia 16 sierpnia 1810 r., w dwa lata po uwięzieniu Iturrigaraja zatknął chorągiew niepodległości. Ludność miejscowa złączyła się z nim i zajął dwa miasta po 16,000 mieszkańców mające. Zabrał wszelką własność Hiszpanom i rozdał ją między swoich. W kilka dni potem wszedł z licznym ale niekarnym wojskiem do bogatego miasta Guanaxuato, liczącego 75,000 mieszkańców i będącego ogniskiem okręgu najslawniejszych kopalń srebra. Humboldt powiedział, że Guanaxuato wydaje czwartą część srebra pochodzącego z kopalń meykańskich, a szóstą część z całej Ameryki.

Gromady Hidalgo po większej części złożone z Indian, dopuściły się okropnego barbarzyństwa. Zdobywcy miasta zamordowali intendenta prowincyi i wszystkich Hiszpanów. Taka sama rzeź nastąpiła w Valladolid i Guadalaxarze, a Hidalgo nie tylko nie sprzeciwiał się, lecz nawet zachęcał do niej; uważając że doprowadziwszy rzeczy do ostateczności, dopnie celu swojego. Lecz krwawa ta rachuba okazała się błędną. Oburzenie i wstręt przejął kreolów, a zwłaszcza że wielu z nich zamordowano w Guanaxuato, razem z rodowitymi Hiszpanami. Najbogatsi i najznamienitsi z pomiędzy nich, złączyli się z Hiszpanami i przyłożyli się do klęsk, które wkrótce poniósł Hidalgo. Rabunek Guanaxuaty nie wiele mu przyniósł pożytku, bo cała zdobycz wynosząca w klejnotach i srebrze przeszło 16 milionów franków, stała się pastwą tłumów. Po tak znakomitym zwycięstwie, posunął się ku stolicy, lecz uznał, że jej nie zdobędzie tak niekarnym wojskiem, i cofnął się w głąb kraju. Przegrał bitwę pod Aculeo, a w następnym spotkaniu został zupełnie pobity i 21 marca 1821 r., przez zdradę Elisonda, jednego z oficerów wojska swojego, wpadł w moc Hiszpanów. Za kilka dni potem, rozstrzelany został. Przy śmierci okazał wielką stałość i spokojność umysłu. Zasługuje na uwagę ta okoliczność, że Hidalgo prowadząc wojnę z rządem ustanowionym w Meksyku, zawsze ogłaszał w urzędowych pismach swoich, że jest wiernym domowi Burbonów, a w szczególności Ferdynandowi VII; portret jego kazał

nieść przed wojskiem, a pierwsze litery jego nazwiska wyszyć na czapkach i kaszkietach żołnierzy. Zwycięzcą Hidalgi był dowódzca wojsk hiszpańskich zwany Calleja.

Śmierć pierwszego dowódcy Meksykanów, nie przywróciła spokojności i nie zakończyła wojny. Osobne bandy utworzyły się po prowincjach. Najznamienitszym dowódcą był proboszcz Morelos, dawny przyjaciel Hidalgi, i wojna domowa ciągnęła się z rozmaitem powodzeniem przez rok 1812, 1813 i 1814. Nareszcie Morelos zwyciężony po raz ostatni, dostał się w moc Hiszpanów 5 maja 1815 r. W wojsku królewskim najwięcej odznaczył się generał, a potem wice-król Calleja, po nim zaś Iturbide kreol, oficer niezmiernie odważny, czynny i niepospolite zdolności posiadający. Obie strony dopuszczały się okrucieństw, na które aż włosy na głowie powstają i których opisywać niepodobna.

Od 1815 do 1820 r., Hiszpanię otrzymali przewagę i największa część dowódców meksykańskich albo poległa, albo dostała się w niewolę i rozstrzelana została; kilku zaledwie, jakoto: Guadalupe Victoria, Nikolas Brao, Rayon i Teran, ukryli się w odległych prowincjach wraz ze szczupłą garstką swoich stronników. W tym okresie utworzyła się junta rządząca z pięciu członków, która ogłosiła odłączenie Meksyku od Hiszpanii; lecz ofiarowała koronę Ferdynandowi VIImu pod warunkiem, że będzie mieszkał w kraju. Zamiast odpowiedzi na tę propozycją, Venegas wice-król, przysłany przez regencyą kadyxką, kazał katom spalić ją na wielkim placu Meksyku.

Rewolucya Quirogi i Riegi, w r. 1820 w Hiszpanii wybuchła, obudziła nadzieję Meksykanów. Iturbide ocenił to usposobienie umysłów i postanowił z niego korzystać. Po przywróceniu konstytucyi kortezów z roku 1812, którą także ogłoszono w Meksyku, wice-król tego kraju, nazwiskiem Apodaca, otrzymał tajemne pismo Ferdynanda VIIgo, donoszące że chce opuścić Hiszpanię i płynąć do Meksyku; umyślił więc znieść tę ustawę i przywrócić nieograniczoną władzę królewską. Do tego celu wybrał Iturbidego, który w ciągu wojny domowej okazał liczne dowody gorliwości swojej, a nawet oburzają.

cego okrucieństwa. Między innemi jego czynami pamiętano i o tém, że kazał rozstrzelać w sam Wielki Piątek, trzystu jeńców wojennych, pod pozorem że byli wyklęci przez władzę duchowną. Teraz widział on, że pośród niezgód domowych w Hiszpanii, jęj władza w Meksyku upaść musi. Zebrał zatem w Iguala zaufanych żołnierzy i ogłosił 21 lutego 1821 r. niepodległość Meksyku, przez programat znany pod nazwą *planu w Iguala*. Akt ten oznaczał się duchem umiarkowanym i pojednawczym. Oświadczone w nim, że Meksyk będzie krajem niezależnym, pod rządem monarchicznym, że monarcha nosić będzie tytuł cesarza i rządzić ma podług ustawy zastosowanej do obyczajów i potrzeb kraju. Koronę ofiarowano Ferdynandowi VIII, a gdyby nie chciał jęj przyjąć, jego braciom, a następnie Karolowi arcyksięciu austriackiemu. Hiszpanie mieli równe prawa co i krajowcy, przyrzeczono im, że zostaną na urzędach, co było bardzo ciężkiem, a może i szkodliwem zobowiązaniem. Wszyscy krajowcy nauczeni doświadczeniem przystali na ten projekt, a szczątki dawnych powstańców połączyły się z Iturbidem. Rodowici Hiszpanie odrzucili wszelkie środki pojednania. Nie mogli oswoić się z tém wyobrażeniem, żeby Meksykanów nie uważać za lud podbity. Główna ich siła była w Meksyku i tam chcieli stawić opór. Cały kraj przechylił się na stronę Iturbidego. W tym czasie przybył do Meksyku nowy wice-król przysłany przez rząd konstytucyjny: był to generał O'Donuju przyjaciel Riega i Quirogi. Iturbide wezwał go na naradę do miasta Cordova, leżącego między Vera-Cruz i Meksykiem. O'Donuju przybył tam; dwaj naczelnicy podpisali traktat na podstawie planu z Iguala i O'Donuju został członkiem tymczasowej junty, dopóki który z infantów hiszpańskich nie przybędzie dla objęcia korony, i wkrótce potem umarł. Od téj chwili niepodległość Meksyku dokonana została. O'Donuju postąpił sobie jako człowiek rozsądny, jako światły polityk i dobrze życzący krajowi swemu; a jednakże gdy komisarze meksykańscy przybyli do Madrytu, bardzo ich tam źle przyjęto. Ferdynand VIII nie chciał zamienić tronu hiszpańskiego na meksykański; kortezy

uznały umowę za nieważną i postanowiono wysłać wojsko do Meksyku, gdzie jeszcze główna forteca i port Vera-Cruz zostawały w mocy Hiszpanów. Lecz z powodu niezgód domowych, niepodobna było tego uczynić. Wtenczas, kiedy nikt z członków królewskiej rodziny nie chciał przyjąć korony meksykańskiej, wojsko ogłosiło Iturbidego cesarzem, pod imieniem Augustyna Igo a kongres obradujący pod naciskiem tłumu i żołnierzy, potwierdził ten wybór. Wyprawiono świetną uroczystość, w której naśladowano ile było można obrzęd koronacyjny cesarza Napoleona Igo, urządzone wspaniałe dwór, zaprowadzono etykietę, a pospólstwo bawiono widowiskami.

Ciężkie zarzuty z lat dawnych istniały przeciw nowemu cesarzowi i jednały mu coraz więcej nieprzyjaciół. Wznieciła się niezgoda między Iturbidem a kongresem. Generał Santa-Anna podniósł w Vera-Cruz sztandar powstania, Gwadelupe Victoria, Guerrero i Bravo przyłączyli się do niego a w marcu 1823 r. upadło cesarstwo. W maju tegoż roku, Iturbide z rodziną swoją odpłynął do Anglii. Kongres wynagradzając go za przysługi wyświadczone w r. 1820 do 1822 przeznaczył mu 125,000 fr. rocznej pensyi, pod warunkiem że nie powróci do kraju.

Duma i zuchwałość skłoniła upadłego awanturnika, że raz jeszcze chciał probować szczęścia. W 1824 r. 14 lipca przybył prawie sam jeden do portu Santa Marina. Ujęty przez generała Garze, rozstrzelany był na mocy uchwały kongresu, która wyłączyła go z pod opieki prawa.

Rząd hiszpański wyprawił w roku 1829 wojska dla odzyskania Meksyku; nie powiodło się to usiłowanie i taki z niego skutek wyniknął, że wszystkich rodowitych Hiszpanów wypędzono z tego kraju: krok ten szkodliwy pozabawił Meksyk ludzi świątłych i przemysłnych i wielkiej ilości kapitałów, które z sobą wywieźli.

* * *

Osiągnęli więc Meksykanie cel długoletnich usiłowań, lecz dalszy ciąg ich historii nie przedstawia nam tego

obrazu wzrastającej potęgi i pomysłności, jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Została im w spadku po Hiszpanach, ciemnota, nienawyknienie do samodzielnego rządzenia, niezgody między kreolami, metysami i Indyanami. Dodajmy do tego zawiść i współzawodnictwo pojedynczych dowódców i brak człowieka, któryby przewagą znakomitych dzieł, mocą i nieskazitelnością charakteru, wyniósł się nad wszystkich i ster państwa uchwycił, a zrozumiemy dlaczego od lat czterdziestu trwają w tym kraju niezgody domowe, dlaczego zmieniają się naczelnicy rządu, zbierają się i rozwiązują się zgromadzenia narodowe, dlaczego stołeczne miasto widziało przed osiemnastą laty w murach swoich zwyciężkie wojska Stanów Ameryki Północnej, a teraz Francyi, dlaczego nowa republika meksykańska straciła więcej jak połowę swojego kraju, który stał się zdobyczą Stanów Ameryki północnej.

Pod nazwą republiki panował i panuje dotąd w Meksyku oplakany bezrząd ze wszystkimi jego skutkami, z brakiem bezpieczeństwa dla własności i osób, z pogwałceniem zobowiązań rządowych, z upadkiem przemysłu, z rozbojami po drogach, z upadkiem oświaty i z ohydłym przekupstwem urzędników administracyjnych i sędziów. Prawie niepodobna zliczyć i opisać działania tych, którzy dzierżyli urząd prezydenta republiki i jedni drugich stracali, a mianowicie w ostatnich sześciu latach. To tylko powiemy, iż rozpacz ogarnęła dusze prawych obywateli.

Wśród tego zamętu, jeden człowiek góruje nad innymi, a nim jest generał Santa Anna. Łukasz Alaman autor historyi wojny meksykańskiej o niepodległość, tak o nim pisze. Po upadku Iturbidego, generał Santa Anna wstrząsał dolą tego kraju; już to sam podniecał rewolucyę, już to po ich rozpoczęciu przyłączał się do nich; dziś pracował nad wywyższeniem kogo innego, a jutro nad swoim własnym; dźwigał jedno stronnictwo, a potem go poniżał wspierając przeciwne i utrzymywał równowagę między nimi; był podległym politycznych wypadków, a los ojczyzny wiąże się z jego losem, pośród mnóstwa przemian, które oddawały mu nieograniczoną władzę,

a potem wtrącały do więzienia albo wysyłały na wygnanie. Jednakże pośród nieszczeń, które dumą i chciwością swoją ściągnął na ojczyznę, stawiał opór nieprzyjaciółom zewnętrznym, w 1829 r. nie czekając na rozkaz rządu, uderzył na wojsko hiszpańskie i zmusił je do złożenia broni; w r. 1835. bronił prowincyi Texas i o mało jęj nie odzyskał; w r. 1838 walczył z Francuzami, którzy zdobyli zamek Saint-Jean d'Ulua i weszli do Vera-Cruz, a w tęg rozprawie ciężką ranę otrzymał. Nareszcie w najniesprawiedliwszęg wojnie, spowodowanęg dumą i chciwością rzeczypospolitęg, która ma pretensyą do przewodniczenia cywilizacyi XIXgo wieku, kiedy wojsko Stanów Zjednoczonych zajęło północne prowincye Meksyku, Santa Anna walczył zaszczytnie przy Angustura; potęg z nadzwyczajnym niepojętym pośpiechem przeprowadził do stanu Vera-Cruz wojska swoje; zwyciężony, zebrał nowe siły dla obrony stolicy, a chociaż pokonanym został, zasłużył jednak na podziękowanie, jak ów konsul który nie zwątpił o ratunku ojczyzny. Dowódcza wojsk Stanów Zjednoczonych, uważał go jako jedyną przeszkodę do zawarcia pokoju, przez który miał wydrzeć Meksykowi połowę jego ziemi.

Ale przejdźmy porządkiem historycznym znacznie-sze wypadki, które zaszły w Meksyku od upadku Iturbidego, aż do końca roku 1862go.

Zgromadzony kongres uchwalił federacyjną formę rządu na wzór Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnęg. Każda prowincya miała swoje osobne zgromadzenie, które stanowiło o jęg wewnętrznych sprawach; oprócz tego wysyłała deputowanych na ogólny kongres, zasiadający w Meksyku.

Zgoda nie mogła utrwalić się w tym kraju. Mieszkańcy podzielili się na dwa stronnictwa zwane Escoceses i Jorkinos. Do pierwszego należeli majątni kreolowie i duchowienstwo, do drugiego lud uboższy, metysy i Indianie.

Pierwszym prezydentem rzeczypospolitęg meksykańskięj był Guadalupe-Victoria, zasłużony i wsławiony w walce o niepodległość. Guerrero został wice-prezyden-

tem, oba przebyli dość spokojnie trzy lata swego urzędowania, a po nich otrzymał tę godność generał Pedroza, minister wojny. Generał Guerrero obrażony, że wybór nie padł na niego, zmówił się z generałem Santa-Anna i podniósł sztandar buntu. Guerrero wzburzył namiętność pospólstwa; wojna domowa wybuchła w stolicy. Pedroza widząc że nie zdoła pokonać przeciwnika, złożył władzę a następcą jego został szczęśliwy przeciwnik, także dawny towarzysz generała Victoria de Guadalupe. Nie długo cieszył się pozyskaną władzą, padł ofiarą przeciwnego stronnictwa, dostał się w moc nieprzyjaciół i bez względu na dawne i liczne zasługi rozstrzelany został. Po nim objął prezydencją Bustamento 1829 r., następnie znowu Pedroza w 1833, a po nim Santa-Anna, któremu tytuł dyktatora nadano. W 1835 r. zmieniono konstytucyę. Takie niezgody zrzuciły jak największy nieład w kraju i upadek dochodów. Prowincye odległe od stolicy, a mianowicie Texas, wystawione na ciągłe napady dzikich i nie mogąc uzyskać pomocy i opieki od rządu, umyśliły złączyć się ze Stanami Zjednoczonymi. W roku 1836 mieszkańcy Texas wypowiedzieli posłuszeństwo rządowi meksykańskiemu. Santa Anna wyruszył przeciw nim, lecz zwyciężony przez Teksjanów, dostał się w niewolę i w niej kilka miesięcy przepędził. Wypuszczony na wolność poznał, że ta przegrana bardzo zaszkodziła jego popularności, usunął się więc od rządów i czekał pomyślniej chwili.

Tymczasem nie ustawały domowe niezgody, a do nich przyłączyły się reklamacye mocarstw europejskich o krzywdy wyrządzone ich poddanym i o niezapłacenie procentów od zaciągniętych długów państwa. Rząd francuzki za czasów króla Ludwika Filipa, nie mogąc otrzymać zadosyć uczynienia, wysłał flotę wojenną w 1837 r. przeciw Meksykowi, która zdobyła Vera-Cruz i zmusiła rząd meksykański do zaspokojenia żądań Francyi. Z tego wypadku korzystał Santa Anna i znów wystąpił na scenę, a gorliwością w stawieniu oporu Francuzom, zyskał życliwość ludu.

Stanowcze wcielenie prowincyi Texas do Stanów Zjednoczonych, stało się powodem wojny, między tém

państwem, a Meksykiem w r. 1847, która skończyła się bardzo nieszczęśliwie dla Meksykanów. Wojska Stanów Zjednoczonych zajęły Vera-Cruz, zdobyły stolicę kraju i zmusiły rząd meksykański do okupienia pokoju stratą więcej jak połowy kraju. Texas, nowy Meksyk i Kalifornia wcielone zostały do Stanów Zjednoczonych i nie straciły na tej zmianie. Czyliż potrzebujemy szczegółowo przytaczać, że cały ten przeciąg czasu napępniały niezgody domowe i nieustanne zmiany prezydentów Rzeczypospolitej, a kraj coraz bardziej upadał? Za tak ciężkie straty otrzymał rząd meksykański 18,250,000 piastrow (około 180 milionów złp.) wynagrodzenia, które posłużyły na zapomnienie skarbu i zaspokojenie pretensyi Amerykanów północnych.

Przed zawarciem tak uciążliwego traktatu, Santa Anna złożył urządowanie, nie chcąc narazić swojej popularności. I znowu niezgoda przez lat cztery panowała w Meksyku, nareszcie 20 kwietnia 1853 r. Santa Anna na nowo wezwany do steru rządu, objął go jako dyktator państwa. Nie był szczęśliwszym jak w poprzednich razach, po dwuletнім pasowaniu się z przeciwnym stronnictwem, złożył rządy w r. 1855, opuścił Meksyk i odtąd już go nie widzimy na politycznej widowni.

Owe tak częste i od lat czterdziestu ponawiane rewolucye w Meksyku, które ten kraj doprowadzą do ostatniego upadku, nazywają się po hiszpańsku *pronunciamentos*. Jest to smutny i śmieszny wynalazek; powiemy o nim słów kilka.

Pierwszy akt takiej rewolucyi nazywa się *oświadczeniem*. Oficer jakiegobądź stopnia, lecz przedewszystkiem generał, a takiego łatwo znaleźć, oświadcza się przeciw rządowi, albo przeciw jakiemubądź czynowi rządu.

Zgromadza kompanie, potem kilka, potem pułk cały, potem kilka pułków, które przystają do jego stronnictwa, i to jest akt drugi.

Ten naprędzce utworzony naczelnik, wyraża w dwóch lub trzech artykułach cel poruszenia. Jest to trzeci akt zwany *grito* (krzyk). Jeżeli idzie o ważniejszy przedmiot, *krzyk* zowie się *planem*.

W czwartym akcie powstańcy i stronnicy rządu stoją naprzeciw siebie, toczą drobne utarczki i doświadczać sił swoich, ale z wielką ostrożnością. Jednakże musi być ktoś zwyciężający i zwyciężony, a przez ten czas okoliczne miasta przechylają się do jednej lub drugiej strony. Jeżeli naczelnik powstania jest pobitym, pronunciamiento upada; jeżeli zaś jest zwycięzcą, idzie do Meksyku i to stanowi akt piąty.

W ostatniej scenie zwycięzca wchodzi tryumfalnie do stolicy, wśród okrzyków pospólstwa, a zwyciężony wsiada na okręt w Vera-Cruz albo w Tampiko i oddala się z kraju.

* * *

Zbliżamy się do obecnej epoki i do wypadków, które stały się powodem teraźniejszej wyprawy mocarstw europejskich przeciw Meksykowi.

Po oddaleniu się Santa Anna, generał Alvarez był prezydentem Meksyku, po nim nastąpił generał Comonfort. W r. 1857 kongres uchwalił nową konstytucyą. W tymże roku wystąpił na widownię Benito Juarez adwokat, rodowity Indyanin, przeciwnik arystokracji i duchowieństwa. Obrano go wice-prezydentem. Przeciw nowej konstytucji ogłosił się Zualaga. Przez kilka dni walczone na ulicach stolicy. Comonfort złożył prezydencyą, przeciwnik objął jego miejsce, a Juarez cofnąwszy się do miasta Guanajuato zaprotestował przeciw tej zmianie. Pomocnikiem Zualagi był młody oficer, mający lat dwadzieścia pięć, nazwiskiem Miramon. Zualaga, to strącony, to znowu przywrócony na urząd prezydenta, usunął się ostatecznie, a jego miejsce zajął Miramon. Działo się to w r. 1859. Juarez tymczasowo opanował Vera-Cruz i tam rządy swoje rozpostarł. Dwa stronnictwa stanęły naprzeciw siebie: zachowawcze pod Miramonem, demokratyczne pod Juarezem. Tak więc rzeczpospolita meksykańska doszła do takiego stanu, z którego nie mogła jej wyprowadzić żadna siła wewnętrzna. Bezrząd i wojna domowa stały się jej żywiołem. Juarez posiadając Vera-Cruz, główny port kraju, miał dochody z opłat celnych: Miramonowi

zupelnie brakowało funduszków i musiał uciekać się do przymusowych pożyczek i do zaborów dla opędzenia kosztów wojennych. We wszystkich prowincjach były osobne bandy, pustoszone kraj na własny rachunek i niepodobna było zaprowadzić jakibądź porządek. Przeciwnie Juarez miał w Vera-Cruz rząd dobrze urządzonej; jego bandy łatwo chroniły się w wąwozy gór i z nich wypadały na przeciwników. Po wielu dowodach waleczności, Miramon przegrał bitwę pod Siloe, po niej raz jeszcze próbował szczęścia; lecz wśród bitwy część jego wojska przeszła do nieprzyjaciela, a reszta się rozpieczęła. Wtenczas złożył władzę i z niemałym trudem zdołał uratować się ucieczką i odpłynąć do Hawanny. Juarez zajął stolicę, a pod jego naczelnictwem stronnictwo demokratyczne tryumf odniosło.

Jak poprzedni prezydent, tak i dwaj ostatni, Miramon i Juarez, nie mieli żadnego względu na zobowiązania swoich rządów zaciągnięte w Anglii i we Francji, nie szanowali własności i bezpieczeństwa osobistego Europejczyków przybywających do Meksyku za interesami handlowymi i czasowo zamieszkałych w tym kraju. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej nie poprzestając na zabranii połowy krajów meksykańskich, umiały korzystać z położenia tej rzeczypospolitej i pragnęły część kraju a z czasem i cały wcielić do związku. Już o to zaczęły umawiać się z Juarezem, uznały rząd jego i w wojnie z Miramonem stanowczo udzieliły mu pomocy przez zabranie dwóch okrętów naładowanych bronią i amunicją, a dla wojska Miramona przeznaczonych.

Juarez owładnąwszy Meksyk, zmusił zagranicznych kupców do nowej pożyczki dla zasilenia skarbu, posła hiszpańskiego i nuncjusza papieżkiego wygnał z Meksyku i oświadczył, nie uczyniwszy poprzednio przedstawienia, że zawiesza na czas nieograniczony wypłatę procentów i wszelkich summ rządowi i poddanym państw europejskich należących się, dopóki nie urządzi się i nie poprawi swoich finansów.

Takie ubliżające postępowanie, wyczerpało do reszty miarę cierpliwości mocarstw europejskich. Francja, Anglia

i Hiszpania oświadczyły, że dłużej nie ścierpią niedotrzymywania umów i krzywdzenia swoich poddanych; umówiły się, że wspólnymi siłami uczynią wyprawę do Meksyku. Głównym powodem tego kroku było ujęcie się za poddanymi swojemi i za posiadaczami papierów długu meksykańskiego; lecz każde z trzech państw miało swoje osobiste widoki i cele. Hiszpania pochlebiała sobie, że zdoła odzyskać panowanie nad Meksykiem, a na tronie meksykańskim osadzi hiszpańskiego księcia. Francya chciała położyć tamę zaborom Stanów Zjednoczonych, których zawładnięcie nad połową Ameryki, uważała jako szkodliwe wpływowi Europy na sprawy tej części świata, zwłaszcza dla tego, że południowe Stany obstające za niewolą murzynów przywróciłyby ją w prowincjach oderwanych od Meksyku. Anglii szło o wynagrodzenie pieniężne, a głównie o zabezpieczenie Meksyku przeciw Stanom Zjednoczonym. Rywalizacya z Francją skłania gabinet W. Brytanii do brania udziału w każdym przedsięwzięciu Francyi, niby to dla pomocy, a w gruncie rzeczy dla równowazenia jej wpływu. Oprócz tego, cesarz Napoleon III miał własne względy na celu. On potrzebuje zająć Francuzów coraz to nowym przedmiotem, pochlebiającym ich próżności.

Umówiono się, że Hiszpania dostarczy najwięcej wojska lądowego, które wziąć może z wyspy Kuba; Francya 2,500 żołnierzy i kilka okrętów. Anglia samą tylko flotę.

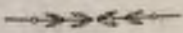
Wyprawa będąca osłoną tak sprzecznych interesów, nie mogła iść zgodnie i silnie. Hiszpania wyprzedziła sprzymierzeńców swoich. Admirał hiszpański zajął 17 grudnia 1861 r. miasto Vera-Cruz i warownią św. Jana d'Ulua. Ten przedwczesny krok obraził Anglię i Francją. Cesarz Napoleon natychmiast rozkazał wysłać więcej wojska lądowego do Meksyku, żeby wyrównywało hiszpańskiemu. Po wzięciu Vera-Cruz, dowódcy zawarli przedwstępną konwencyą z rządem Juareza, w tej treści, że kwestye, które były powodem tej wyprawy, załatwione będą na drodze umowy, ale tymczasem wojska sprzymierzonych zajmą Kordowę, Oryzabę i Tetuan. W razie gdyby zgoda nie przyszła do skutku i kroki nieprzyjacielskie zacząć się miały, wojska sprzymierzonych cofną

się do Vera-Cruz i ztamąd dopięro rozpoczną działania wojenne. Umowa ta, której głównym autorem był hiszpański generał Prim, jako dowódzca najliczniejszej części wojsk, bardzo nie podobała się rządowi francuzkiemu. Czyliż można było tracić na negocyowanie czas najstósowniejszy do działań wojennych, a potem w porze, kiedy straszliwe wyziewy z bagien rozszerzają żółtą febrę w Vera-Cruz, dobrowolnie wracać z wojskiem do tego ogniska zarazy i narażać je na śmierć nieochybną?

Korzystał Juarez z tego błędu, podniecił dawną nienawiść Meksykanów przeciw Europejczykom, a głównie przeciw Hiszpanom; zgromadził wojsko i zamiast do ukłádów, gotów był do oporu. Przybycie dywizyi francuzkiej pod dowództwem generała Lorenz, jeszcze bardziej zniechęciło generała hiszpańskiego. Anglia i Hiszpania utrzymywały, że można polegać na rządzie Juareza i z nim się układać i że w Meksyku już nie ma żadnych żywiołów monarchicznych. Gabinet francuzki przeciwnie twierdził, że władza Juareza opiera się tylko na gwałtach i okrucieństwie, że prędko upaść musi, że nie idzie o zawarcie traktatu, którego tak nie dotrzymają, jak poprzednich, lecz o postawienie Meksykanów na takim stanowisku, iżby mogli wybrać i utrzymać rząd mocny i zgodny z potrzebami kraju i cywilizacją.

Skutkiem takich niezgodnych dążeń i poglądu, rozerwała się umowa między trzema państwami. Anglicy i Hiszpanie opuścili Meksyk, zostało się samo wojsko francuzkie. Cesarz Ludwik Napoleon uznał, że bez uszczerbku honoru narodowego nie może ustąpić, nie osiągnąwszy zamierzonego celu; a przytém inne widoki rozwijały się przed nim. Anglia z radością widziała, że taka wyprawa kosztować będzie Francją wiele pieniędzy i żołnierzy i odwiedzie ją na czas niemały od spraw włoskich i tureckich; Hiszpania zaś straciwszy nadzieję odzyskania Meksyku, obojętnie spogląda, kto w nim panować będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).



O FORMUŁACH SIRMONDSKICH.

PRZEZ R. H.

Znamienity autor *Historii prawa francuzkiego*, zmarły dzisiaj Laferrière, bardzo właściwie zwrócił uwagę na ważność dawnych formuł pod względem historycznym. Bez wątpienia stanowią one jeden z najważniejszych materiałów, za pomocą których wyjaśnić możemy stan prawa w różnych częściach Francyi, w czasach, z których nie posiadamy innych a przynajmniej bardzo małą liczbę pomników historycznych.

Dotąd jednakże materiał ten nie jest jeszcze tak jakby życzyć sobie należało, krytycznie opracowany. Edycye formuł nie opisują manuskryptów, z których wzięte zostały, ani pod względem czasu, do którego manuskrypta należą, ani pod względem układu zawartych w nich pomników, ani wreszcie pod względem cech charakterystycznych, któreby naprowadzić mogły na wyjaśnienie miejscowości, dla której użytku praktycznego sporządzony był manuskrypt. Tymczasem, te właśnie tylko okoliczności wyjaśnić są zdolne względną historyczną wartość samych formuł i nadać im stosowne znaczenie w dalszych badaniach historycznych.

Jak dalece twierdzenie nasze jest usprawiedliwione, pokażą następujące uwagi nad zbiorem, tak zwanych, formuł Sirmonda.

Nabywszy w roku zeszłym dla biblioteki publicznej w Warszawie, znany manuskrypt klaromontański brawiarza Alarika, który w ostatnich czasach z biblioteki

Meermana, przeszedł był do zbioru ksiąg zmarłego profesora Kellera, i rozpatrując manuskrypt ten bliżej, aby z czasem podać dokładny jego opis światu uczonemu, między innymi, zwróciłem szczególniejszą uwagę na tę część onego, która obejmuje w sobie zbiór powyżej powołanych formuł Sirmondskich.

Przy pierwszém porównaniu manuskryptu z Kancianim i Walterem pokazało się, że zbiór formuł w nim zamieszczony, jest co do tożsamości i ilości formuł, ten sam zupełnie, który reprodukuje powołane edycye.

Formuły stoją w manuskrypcie pod napisem: *incipiunt capitula*, bezpośrednio za prawem salickim, a mianowicie po znanym epilogu prawa salickiego, zaczynającego się od słów: *quem vero rex francorum*. Pierwsza formuła w zbiorze ma napis: *donatio ecclesiae*, ostatnia *de causis commendatis*. Formuły są numerowane, numer ostatniej jest XLV, lecz przez omyłkę, bo wciągu numeracyi numer jeden jest dwa razy powtórzony; wszystkich zatem formuł jest tyle rzeczywiście, ile w wydaniu Waltera, to jest czterdzieści sześć.

Początkowym zamiarem moim było wydać na nowo formuły Sirmondskie podług manuskryptu warszawskiego; im więcej jednak wczytywałem się w ich treść, im dokładniej porównywałem początkowe formuły z umieszczonemi ku końcowi, tém więcej zyskiwałem przekonanie, że to zbiór nie jednolity, że odnosi się do różnych czasów, że mianowicie początek jest dawniejszy, a koniec późniejszy.

Aby zagadkę tę rozwiązać, uważałem za potrzebne obejrzeć inne manuskrypta, w których formuły Sirmondskie znajdują się. Mianowicie też chodziło mi o zobaczenie manuskryptu nr. 4409 biblioteki cesarskiej paryzkiej, który, jak dowiedziałem się z przedmowy Pardessus do wydania prawa salickiego, ma tylko obejmować w sobie pierwsze 33 formuły Sirmondskie.

Zamiar ten w części doprowadziłem do skutku, będąc ku końcowi roku zeszłego dni kilka w Paryżu. Pokazano mi wówczas dwa mianowicie manuskrypta, w których znalazły się nasze formuły, jeden pod nr. 4409, po-

wyżej wzmiankowany, i drugi pod nr. 2123. Jak widzę z wydania de Rozière, znajdują się w bibliotece cesarskiej jeszcze dwa inne manuskrypta, obejmujące w sobie formuły Sirmondskie, ale tych nie oglądałem. Przy obejrzeniu manuskryptu pierwszego w istocie pokazało się, że on obejmuje w sobie tylko 33 pierwsze formuły, edycyi Waltera.

Okoliczność to nader ważna, i mogłaby sama już przez się dostatecznie poprzeć powzięte domniemanie o niejednoczesném powstaniu całego zbioru formuł Sirmondskich, chociaż możnaby także powiedzieć, że to tylko proste uchybienie kopisty, który zaniedbał wypisać wszystkie formuły, tak jak stać musiały w oryginale. Wszakże, że tak nie jest, przekonywa manuskrypt drugi. Obejmuje on w sobie nader ciekawy zbiór formuł znanych pod nazwiskiem Markulfa. Nazywam go dla tego ciekawym, że po znaney przedmowie, mieści w sobie 117 formuł, bez podziału ich na księgi, tak jak to w zwyczajnych zbiorach Markulfa ma miejsce, a w liczbie tej, na samém czele znowu tylko owe 33 pierwsze formuły Sirmondskie.

Fakt ten dowodzi, że w czasie w którym Markulf zbiór swój sporządzał, istniało tylko 33 pierwszych formuł Sirmondskich, gdyż jeśliby była znajdowała się w zbiorach reszta tychże formuł, bezwątpienia nie byłby ją pomiął. Pytanie tylko powstaćby mogło, czy w istocie manuskrypt pod nr. 2123 przedstawia zbiór Markulfa. Nie miałem dosyć czasu bliżej się z nim zapoznać, sądzę jednak, że to być właśnie może zbiór oryginalny Markulfa, albo przynajmniej najwięcej zbliżony do zbioru oryginalnego, podział bowiem na dwie księgi zbioru Markulfa może być dopiero dziełem późniejszych kompilatorów (1).

(1) Wprawdzie w przedmowie Marculfa, nastrożona jest myśl do podziału na dwie księgi, tam gdzie mówi o interesach, które załatwiają się *in palatio* lub *in pago*; obok tego jednak wyraźnie powiada, iż w zbiorze swoim pomieszcza formuły, które przez innych poprzednio ułożone zostały, i takie, które sam ułożył (*ex sensu proprio cogitavi*), właśnie zaś zbiór pomieszczony w nr. 2123 zaczyna się od formuł ułożonych przez poprzedników.

Jakkolwiek się rzeczy mają, dla naszego celu to stanowcze, że 33 pierwsze formuły występują w tym zbiorze, który bezwątpienia jest późniejszym od poprzedzającego, i razem tworzą osobną grupę; musiały więc i w oryginale, z którego wzięte zostały stanowić oddzielną całość.

Tym sposobem przybywa nowy ważny dowód przekonywający, że pierwsze 33 formuł zbioru Sirmonda stanowią jego część, jeśli nie pierwotną, to przynajmniej dawniejszą.

Aliści nie dosyć na tém. Zdaniem mojem pierwiastkowy zbiór formuł Sirmondskich obejmował tylko 29 formuł i to bez dodatku do ostatniej formuły, który w manuskryptach i w edycjach napotykaemy. Ślad niewątpliwy, że początkowo cały zbiór kończył się na wyrazach: *et honorum virorum roborandum decrevi*, zachował manuskrypt biblioteki cesarskiej, pod nr. 4409, który po wyrazach powyżej przytoczonych, mieści słowo: *fiuit*.

Że w każdym razie, wszystko to co umieszczone w formule pod napisem: *et si de homicidio accusatio processerit*, nie tworzy części oryginalnej formuły, nie podpada najmniejszej wątpliwości; jest to dodatek późniejszy, obejmujący w sobie proste objaśnienie, prostą glossę.

Opierając się na tych danych, utrzymuję, iż zbiór formuł Sirmondskich, tak jak go dzisiaj przedstawiają edycye, składa się z tych części: pierwsza najdawniejsza obejmowała tylko formuł 29 (1); druga późniejsza, ale w każdym razie uprzedzająca zbiór Markulfa obejmowała w sobie formuł cztery, to jest od formuły 30 do 33 *inclusive*, a trzecia ostatnia formuł 13.

Że to nie proste tylko domniemanie oparte na kombinacjach wpływających z oznak zewnętrznych manuskryptów, przekonywa gruntowniejsze zastanowienie się nad samemi formułami, wchodzącemi w skład tych różnych części.

(1) Gdybyśmy więcej mieli bardziej starożytnych rękopisów formuł, albo przynajmniej gdybyśmy mieli więcej krytycznie obrobioną edycję formuł, nie wątpię iż formuła 27 i koniec formuły 28, przedstawilyby jeszcze materiał do dalszych wniosków, i okazałyby się także późniejszymi wstawkami.

Porównywając pierwsze 29 formuł z później dodanymi czterema, tak co do użytego w nich języka jako też co do treści, wyraźnie pokazuje się, że pierwsze układowe były pod wpływem innych pojęć; drugie zaś w obliczu zmienionego już społeczeństwa. W pierwszych formułach, język jest czystszy i poprawniejszy, a stosunki które w nich napotykamy malują jasno społeczeństwo gallo-rzymskie, które nie zetknęło się jeszcze ze światem barbarzyńskim i w którym panują wyłącznie tylko pojęcia rzymskie obok miejscowych dawnych ustanowień gallickich. Przeciwnie cztery formuły później dodane, wprowadzają nas widocznie w społeczeństwo, w którym panowanie należy do Franków i w którym prawo salickie i połączone z niem urządzenia już w całej swój mocy istnieją. Dowodem na to cały porządek sądowy, który w formułach tych napotykamy. Równie dobitnie ten sam charakter na sobie noszą ostatnie 13 formuł.

Zastanówmy się obecnie nad miejscowością, do której formuły Sirmondskie należą, i nad epoką, w której powstały.

Jak się zdaje, miejscowość ich można oznaczyć ze wszelką pewnością. Wspomina się w nich trzy razy *Turonus civitas* (c. 3, 28 i 29), to jest *miasto Tours*. Widocznie więc kompilator pierwszej części zbioru formuł mieszkał w Tours i układał formuły dla użytku prowincyi turońskiej, w której jak wiadomo, *lex romana*, obowiązywała. Nadto w formule pierwszej obejmującej w sobie wzór darowizny na rzecz kościoła, mówi się o bazylice, w której ciało św. Marcina spoczywa; jest to właśnie owe znakomite *Monasterium major (Marmoutier)* w Tours, tyle sławne w historii politycznej i kościelnej merowingkiej i frankońskiej. W zbiorze formuł Markulfa zniknęły te cytacye miasta Tours i bazyliki św. Marcina, dla tego, że Markulf jako żyjący w innej miejscowości, nie uważał za stosowne cytacye te reprodukowac.

Niemniej stanowczy dowód posiadamy na to, że i ostatnia część zbioru formuł Sirmondskich ściąga się do Turonii. Dostarcza go nam manuskrypt biblioteki warszawskiej powyżej powołany. Nie tylko zachowane w nim w formułach cytacye Tours i bazyliki św. Marcina, które

jak dopiero co wspomnieliśmy, opuszczone w zbiorze Markulfa, jako przeznaczonym dla innej miejscowości, ale nadto jeszcze pomieszczony w nim na samym końcu wzór tak zwanój *epistola formata*, w której cytują się Józef arcybiskup turoński i Fredegirius opat bazyliki św. Marcina. Z czego płynie niemniej zupełne przekonanie, że cały zbiór praw i formuł w manuskrypcie tym zamieszczonych, odnosi się do Turonii.

Niemniej i to ważna okoliczność stwierdzająca domniemanie nasze co do miejscowości, do której należą formuły Sirmondskie, że między dyplomatami zachowanymi w bibliotece cesarskiej w kolekcji Dupuy, a odnoszącymi się do kościoła św. Marcina, znajdują się dyplomata ułożone na wzór formuł Sirmondskich (n. p. Volume 828 page 85).

Takie zresztą zdanie co do miejscowości formuł Sirmondskich Bignona i późniejszych pisarzy.

Co do czasu, w którym cały zbiór powstał, rzecz tak się przedstawia.

Pierwsza część formuł niewątpliwie odnosi się do czasu, w którym w Tours, stosunki prawne między mieszkańcami, urządzono podług *lex romana*. Na nią wyraźnie powołują się formuły 20, 22, 24, 25, 29. Przy bliższem rozpoznaniu tych formuł pokazuje się, że układający je miał na widoku nie tyle sam text kodexu Teodozyusza, tak jak jest umieszczony w brewiarzu, jak raczej sporządzoną do niego przez kompilatorów gockich interpretację.

W czasach, w których powstała część pierwsza formuł, utrzymywało się jeszcze w Tours w całej swój sile rzymskie municypalne urządzenie, to jest *curia*, wraz ze swoimi *honorati cives* i z *defensorem civitatis*, jak to pokazuje formuła 2 i 3, gdzie jest mowa *de gestis municipalibus*. Toż samo potwierdza formuła 28, gdzie znowu wspomina się *forum publicum, curia publica, defensor civitatis*. Być nawet może, i to wielce podobne do prawdy, że formuła trzecia ułożoną była w czasach przed opanowaniem Tours przez Gotów, gdyż słowa, od których formuła ta w wydaniach zaczyna się: *anno illo regnante Rego illo, sub die illo*, nie znajdują się ani w manuskrypcie biblioteki paryskiej pod Nr. 4,409, ani nawet w manuskrypcie biblioteki

warszawskiej. Początek ten zdaje się dopiero pochodzić z redakcyi Markulfa.

Na tych opierając się faktach, sędzę, iż niektóre formuły pierwszej części zbioru należą jeszcze do epoki gallo-rzymskiej, a przynajmniej w układzie swoim zachowały pamięć téj epoki; inne zaś bezpośrednio odnoszą się do czasu, w którym kodex Alaryka ogłoszony został, to jest do r. 506 i do epoki nie zbyt długiej, w której Tours pozostało jeszcze pod władzą Gotów.

Nie zaprzeczamy, że niektóre z pomieszczonych w pierwszej części formuł mogły były powstać i trochę później, bo chociaż ustało panowanie Gotów nad Turonią, zachowała jednak *lex romana* i w późniejszych czasach moc obowiązującą w tym kraju, jako prawo obowiązujące całą dawną populację rzymską. Czego dowód, choćby żadnego innego nie było, już w tém leży, że w zbiorach praw dla części téj Francyi sporządzonych pod panowaniem Franków, jaki to zbiór znajdujemy w manuskrypcie Nr. 4,409 biblioteki paryzkiej, a mianowicie w manuskrypcie biblioteki warszawskiej, stoi zawsze na czele kodex Alarika, a za nim dopiero prawo salickie, jako prawo narodu panującego i w tych stronach stale osiedlonego.

Czy wspomniane w formule 28 napady nieprzyjaciół odnoszą się do wojen między Chilperikiem królem Neustrii a Sigebertem królem Austrazji, w latach 567, 568, 573 i 575, jak p. de Rozière w swém nowém wydaniu formuł twierdzi, coby mówiło za późniejszym powstaniem pierwszej części zbioru formuł, a przynajmniej formuły 28, nie uważam za twierdzenie nieulegające zaprzeczeniu, bo być może, że autor formuły miał na względzie początkowy napad Franków na owe strony, przed ostatecznym zawładnięciem onemi, a może téż wyraz *hostis* brał w zupełnie inném znaczeniu.

Tyle że pierwsza część formuł w całym prawie układzie swoim, w którym powiewa duch rzymski i jasno małuje się istota społeczeństwa gallo-rzymskiego, ułożona w czasach, w których duch ten w całej jeszcze zupełności ogarniał społeczeństwo. Stan taki rzeczy nie mógł wiele co dalej sięgać nad *dwa pierwsze dziesiątki wieku VIgo*,

choć dopuścić można, iż układacze formuł mogli i później trzymać się dawnych wzorów.

Nie wiele zapewne późniejsze są cztery następne formuły, tworzące jak powiedzieliśmy drugą część składową naszego zbioru; pochodzą przecież już z czasów, w których w Tours zaprowadzone zostały formy sądownictwa nowego Franków. Że to miało miejsce, przekonywają nas o tém liczne opowiadania Grzegorza z Tours.

W każdym razie, obie te części formuł Sirmondskich w tym składzie, w jakim nam je przedstawiają rękopisy dziś znane, odnieść można przynajmniej do wieku VIgo, bo znalazły się w połowie wieku VIIgo pomieszczone w zbiorze formuł Markulfa.

Kiedy powstała trzecia część formuł Sirmondskich trudniej oznaczyć, tyle tylko pewno opierając się na manuskrypcie warszawskim, iż trzecia ta część w całym swoim komplecie istniała i dołączoną była do pierwszych dwóch części, przed końcem wieku VIIIgo. Dowód na to stanowi owa *epistola formata*, która się w rękopiśmie warszawskim znajduje, a której utworzenie odnieść należy do pierwszych lat wieku Xgo, gdyż Józef był arcybiskupem Tours do r. 815, a *Fredegerius* nastąpił na opactwo po Alkuinie najdalej około roku 807.

Oznaczywszy tym sposobem miejscowość, w której powstały formuły Sirmondskie i dla której użytku i nadal przechowywane były, a następnie i czas, w którym pojedyncze części całego zbioru powstały, przekonany jestem, iż posunąć można o wiele badania historyczne nad sposobem, w jakim stosowane były do praktyki w Turonii, na-przód zasady kodexu Alarika, następnie zaś przepisy i pojęcia prawa salickiego. Zdaje mi się, iż do tego wyborny materiał dostarczają formuły Sirmondskie. Będzie to stanowić przedmiot osobnej pracy, która ukaże się wraz z nową edycją formuł Sirmondskich, jak tylko znajdzie sposobność porównać kilka jeszcze manuskryptów. Tymczasowo chciałem tylko uwagę zwrócić na potrzebę zebrania dokładniejszych wiadomości nad te, które posiadamy do historii powstania różnych zbiorów formuł.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Życie Chrystusa” (La Vie de Jésus), przez Ernesta Renan. — Jak pojmował Boską komedią Lamennais, tłumacz Danta. — Kilka słów z powodu „Panny Quintinie” (Mademoiselle de la Quintinie, par Georges Sand) — Doroczne posiedzenie akademii francuzkiej. — Posiedzenie Towarzystwa pomocy przyjaciół nauk. — Wiadomości literackie. — Sprawozdanie z prac około tunelu pod górą Cenis.

Pierwszy tom zakazanego kursu profesora katedry hebrajskiej w College de France, Ernesta Renan, wydany pod tytułem „Życie Chrystusa”, pozyskał wzięcie, jakiego rzadko we Francyi dzieła filozoficzne dostępują. Książka do wielu innych łączy powab zakazanego owocu: można powiedzieć śmiało, że autor trzy czwarte czytelników zawdzięcza przeciwnikom, którzy nań uwagę powszechności zwrócili.

Nowy dowód nieużyteczności hamulca słowa: pięćdziesiąt może osób byłoby słuchało kursu profesora; pięćdziesiąt tysięcy będzie czytało jego dzieło.

Dwa wieki blisko, jak krytykę biblijną rozpoczął we Francyi professor protestanckiej akademii w Saumur, Ludwik Cappel. Nietolerancya religijna zatrzymała rozwój jego pracy. Przedsięwzięte na nowo w XVIII wieku, przez doktora z Montpellier pana Astruc i zatrzymane też samą przeszkodą, wolne badanie Starego i Nowego Testamentu stało się wyłącznym przywilejem Niemców. Przez lat półtorasta wspomagali się oni wzajemnie, moloznie skrzesaném światłem w ciemnej anfiladzie minionych wieków; z czasem też wiele nie jasnych rozwidnili

kwestyj. Pisarz wielkiej nauki i talentu Michell Nicolas, umieścił w Przeglądzie germańskim, bystry rzut oka na całość studyów ewangelii, skreślonych przez teologów szkoły tubingskiej, (miasto Tübingen w królestwie wirtemberskiem). Pisma ich będące najpewniejszymi dokumentami do życia i rozwoju nauki Jezusa Chrystusa, są źródłem, z którego wiedzę swoją czerpał także pan Renan.

Od teologów tubingskich dowiedziano się, że nauka Zbawiciela nie była jednako pojmowaną przez Jego uczniów. Ci apostołowie, którzy żyli z Chrystusem, widzieli w chrześcijaństwie tylko dalszy ciąg i urzeczywistnienie nauki Mojżesza: przyjmując nowe, przestrzegali pilnie dawnych przepisów religijnych. Na czele tych wyznawców stał św. Piotr. Paweł przeciwnie, odrzucał wszystko dawne, burzył stare świątynie, a do nowych przypuszczał ludzi wszystkich wyznań, bez wyjątku, byleby wierzyli w Jezusa Chrystusa.

Pomiędzy chrześcijaństwem powszechnym św. Pawła, a judeo-chrześcijaństwem św. Piotra, rychło wybuchła walka. Praktyczny geniusz Rzymu pogodził z czasem oba stronnictwa: uczniowie Piotra i uczniowie Pawła podali sobie ręce na gruncie organizacyi kościoła. Nowa religia potrzebowała silnej konstytucyi, ażeby się oprzeć herezyi; związek dwóch wielkich szkół tę konstytucyą stworzył. Żywioły zgody wyczerpnięto z *Akt apostolskich*. Widocznym celem, przez Paulina ułożonego dzieła, pogodzić św. Piotra i Pawła w kwestyjach, w których się różnili za życia. Uspokojenie kościoła wyszło po większej części z tej księgi.

Na Wschodzie, gdzie filozoficzny duch Grecyi nie był jeszcze zupełnie umarły, dyskusya stała się jeszcze żywszą; jeżeli wierzyć mamy pisarzom niemieckim, nie ma opowieści ewangelicznej, którejby nie dyktował duch stronnicy, biorący udział w zwadzie istniejącej pomiędzy Paulinami a Piotrowinami. Massy nowowierców przyjmowały jedne lub drugie wersye. Liczne opowieści życia Chrystusa rozpuszczone w pierwszych czasach chrześcijaństwa, tak te, które były odrzucone, jak te, które w końcu IVgo wieku objęto w kanony, były skreślone przez ludzi zostających pod wpływem wrażeń osobistych i tłu-

maczących dowolnie słowa mistrza. Mnóstwo dzieł wyszło wtedy pod pożyczaną nazwą; celem nadania większej wagi swęj myśli, pisarze bez skrupułu podpisywali na swem dziele imię człowieka będącego powagą w tym przedmiocie. Ztąd w historii pierwotnego chrześcijaństwa wiele dokumentów kłamliwych.

Teologowie szkoły tubingskiej za autentyczne uważają tylko ewangelię św. Mateusza, Marka i Łukasza. Tę ostatnią cechuje wyraźnie barwa Paulińska. Ewangelia Marka wydaje się skróceniem dwóch pierwszych. Apostoł Mateusz, zdaniem pisarzy IIgo wieku, spisawszy po hebrajsku zbiór sentencyj Jezusa Chrystusa, wciągnął je później w swoją ewangelię, w której nauka Zbawiciela streszczona najobszerniej.

Co do ewangelii św. Jana, gdzie wyłożona teoria *Słowa* Bożego, teologowie tubingscy sądzą, że pojęcie mistyczne *Słowa* nie mogło wyjść z głowy rybaka z Bethsaidy, że musi być wynikiem długoletnich rozmyślań filozoficznych i religijnych. *Apokalipsę* uważają ciż teologowie tylko za świetniejszą od poprzednich *rewelacją*, które od *księgi Daniela* począwszy, utworzyły osobny dział piśmiennictwa biblijnego: kara bezbożnych, zwycięstwo sprawiedliwych, koniec świata, oto co zwykły przepowiadać. Jeżeli objawienie św. Jana z podwójną energią i wymową rozwija zwykły temat tego rodzaju utworów, to dla tego, że pierwotny chrześcijaństwo mimo prawideł miłości szczepionych przez ducha Paulińskiego, zachował w głębi starą nienawiść żydowską do poganizmu, nienawiść spotęgowaną mękami pierwszego prześladowania za Nerona.

Na takim tle uwag ogólnych pan Renan stawia figurę główną. Czy kresząc *Żywot Chrystusa* rozprzestrzenił pole wiedzy niemieckiej, czy tylko na dokonaniem żniwie poprzestał? na to pytanie, obchodzące tylko uczonych, oni zapewne niebawem odpowiedzą: wskażą niechybnie, w którym punkcie pan Renan oddalił się od krytyki niemieckiej, a w którym doń się zbliża; co odrzuca, co odrzuca, a co z własnych poszukiwań dodaje. My wskazujemy tu tylko ogólny jego myśli kierunek i szczegóły mogące ogół obchodzić.

Życie Chrystusa napisane przez pana Renan, nie jest ani utworem mistycznym, ani Wolterowskim panfletem, ani kazaniem prawowierném. „Religia, powiada Renan w którémś ze swych dzieł poprzednich, nie jest tylko filozoficzną, jest także sztuką”. (*La Religion n'est pas seulement philosophique, elle est art*). W tych słowach miejsce, z którego patrzył, autor sam wskazuje: ducha religijnego objawy obserwuje on ze stanowiska poezyi i sztuki więcej, niż ze stanowiska wiary i religii; artystę znać na każdej karcie i tém głównie pono różni się Renan od Straussa.

Książkę swoją pan Renan pisał na Wschodzie. Przebiegając szczyłką przestrzeni ziemi, na której Chrystus Pan spełnił posłannictwo swoje; patrząc na te okolice, wzgórza, miasta i gaje, które mistrz z uczniami swojemi przebiegał; pod wpływem tegoż nieba i owych krajobrazów surowych, uroczych lub straszliwych, które każdy z nas przynajmniej we śnie widział; pod wrażeniem Golgoty, pod cieniem odwiecznych drzew oliwnych, biblijnych figowców, lub osłoną namiotu, Renan pisał *Żywot Chrystusa*. Dzięki zapewne temu wymownemu okoleniu, książka zachowała wdzięk poważny i cześć głęboką, która pogląd filozofa łagodzi, a artyście nie dozwala urazić wierzącego.

Chrystus malowany przez pana Renan, nie jest innym jak w ewangelii; w kilku tylko szczegółach autor różni się od wersji apostołskiej. Wedle niego Chrystus nie urodził się w Bethleem, ale w Nazarecie i nie pochodzi z krwi Dawida. Są to, zdaniem pana Renan, szczegóły wymyślone dla potwierdzenia przepowiedni proroków i nadania Jezusowi wszystkich znamion, po których miano poznać przyobiecane Izraelowi Messyasza.

Syn cieśli z Nazaretu, człowieka nie kochanego od rodziny, bo nader dlań twardego, Jezus uczył najpierw nie swoich braci, ale krewnych. Z niemi udał się do Jana, jednego z ascetów, wówczas dość licznych, który pełen messyanicznej wiary i nadziei powtarzał ludziom: „Dobry drwal przyjdzie i przyłoży topór do drzewa. Okupcie się bogactwem, faryzeusze, kapłani, bo oto nadchodzi siewca, który wybierze dobre ziarno, a słomę spali”.

Stało się, jak mówił Jan. „Jezus przyszedł z Galilei do Jordanu naprzeciw Jana, ażeby być przezeń ochrzczony”; ale Jan opierał się temu, mówiąc: „ja to potrzebuje być ochrzczony przez Ciebie, a Ty do mnie przychodzisz”!

Stosunki Jana z Chrystusem tworzą jeden z najwięcej zajmujących rozdziałów książki pana Renan. Dopóki żył „człowiek odziany szatą z wielbłądziej sierci, przepasany skórzanym pasem, a żyjący szarańczą i dzikim miodem”, Chrystus zostawał na brzegach Martwego morza i Jordanu. Ale skoro córka Herodyada za taniec otrzymała głowę pokutnika, Jezus powrócił do Galilei i usunął się na pustynię. Wróciwszy ztamtąd, zaczął dopiero głosić *Wiesć dobrą*, nauczać gorliwie i czynić cuda: wskrzeszać umarłych, leczyć paralityków, wypędzać czartów.

Nazwanie siebie Messyaszem spowodowało, zdaniem pana Renan, umęczenie Chrystusa. Myśl nieśmiertelności duszy, nagród i kar pośmiertnych, weszła świeżo i nie jasno w umysły żydowskie. Prorok zapowiedział Messyasa doczesnego, który zebrawszy rozpieczętowane szczątki Judy, miał podnieść mury Jerozolimy i dać Izraelowi panowanie nad nieprzyjaciołmi. Chrystus ucząc, że królestwo Jego nie jest z tego świata, niweczył najdroższe nadzieje swojego narodu, podcinał jego instynkta i przesady. Ów człowiek rozmawiający tak z prostytutkami, mógłże być Messyaszem pysznych faryzeuszów? Chrystus coraz pilniej słuchany, głosząc się Messyaszem i powstając na ścisłe zachowanie dawnego prawa, ściągnął na siebie nienawiść kapłańskiej arystokracji. Ofiarnik Kaimasz tém łatwiej otrzymał przeciw niemu, jako bezbożnemu wicchrzycielowi wyrok śmierci, że ucisk gorliwych fanatyków wyznania Mojżeszowego, czynił rzymskich gubernatorów surowszemi. Popychani potrzebą objawiania wiary, którą mieli przekazać swym potomkom chrześcianom, pobożni żydowie lżyli pogan, zrywali orły i obalali tarcze pretorów. Wielu żydów skazano wtedy na śmierć, za bunt religijne: siepacze zabijający każdego kto przekroczył prawo, wówczas się zjawili.

Jak zwykle bywa, nigdy gorliwość dla dawniej religii nie okazywała się większą jak w chwili, kiedy ta zniknąć miała.

W Jerozolimie to, patrząc na ciemne a fanatyczne umysły faryzeuszów, Jezus zbrzydził ciasnotę zachowania Mojżeszowego, które wszystkie serca nauce Jego zamykało. Długo nauczał w tém mieście sekciarskiem, ale nie zdaje się ażeby w niem grono uczni stworzył. Kilku tylko przyjaciół go usłuchało, a mianowicie członkowie przybyłej z Bethanii rodziny, od której miał otrzymać ostatnią ludzką pociechę, gdyż uczniowie Jego nie byli obecni męce.

Najwyżsi sędziowie przeglądali wyrok Piłata i potwierdzili go: wyrok był zupełnie legalny. Piłat tylko przy wykonaniu okazał mniej zręczności niż jego następcę, od którego w parę lat później żydzi zażądali skazania ś. Pawła. Widząc obojętność i pogardę wysokich urzędników rzymskich dla wiary garstki nędznych żydów, pojąć można jak mało musiało kosztować Piłata skazanie na śmierć człowieka, którego życiem okupywał spokojność miasta rządowi swojemu poddanego.

Przypuściwszy, powiada w końcu Renan, że w Egipcie i Grecji nauczano, setki lat przed Chrystusem, podobnych do Jego zasad, nie ubliża to bynajmniej oryginalności fundatora chrześcijaństwa; gdyby nawet pojęcia Grecji, Egiptu lub Indyi, doleciały do niego, czego przypuścić nie można, prorok nazareński wydobyl je z ciemności i zrobił z nich religią powszechną przez samą moc i zasługę natchnienia osobistego. Z serca to i sumienia Jezusa wypłynął chrześcijaństwo, tak jak z serca i z sumienia ludzi do dziś dnia płynie, wyzwalając się zawsze z form rozmaitych, w które zakuwa go teologia. Można obciąć gałęzie drzewa, skierować je w tę lub w ową stronę, ale soki jego zawsze swobodne, prędzej czy później drzewu kształt pierwotny zwróca. Chcąc poznać naukę Chrystusa Pana, trzeba iść z Nim na górę, z kąd ujrzawszy rzesze, tak mówił do uczni swoich:

„Szczęśliwi ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie.
 Szczęśliwi strapieni, albowiem będą pocieszeni.
 Szczęśliwi dobroduszoj, albowiem ziemię posiadą.
 Szczęśliwi zgłodniałi i spragnieni sprawiedliwości, albowiem będą
 (nasyчени,

Szczęśliwi miłośnierni, albowiem otrzymają miłosierdzie

Szczęśliwi ci którzy mają czyste serca, albowiem będą oglądać Boga.

Szczęśliwi ci co dają spokój, albowiem będą nazwani dziećmi Boga.
 Szczęśliwi prześladowani dla sprawiedliwości, albowiem ich jest kró-
 (lestwo niebieskie”.

Cały chrześcijaństwo leży w tych paru wierszach, które odrodziły świat: prostota, litość, dobroć, pokora, miłosierdzie, czystość, spokój, sprawiedliwość. Chrześcijaństwo jest prawem moralnym, którego ścisłe zachowanie zbliżeniu człowieka do Boga wystarcza, prawem nie mającym nic wspólnego z duchem religii starożytnych, ani nawet z najczystszeim sekciarstwem żydowskiem, z którego je niekiedy wywodzą.

Taki jest duch i treść ogólna książki pana Renan. Boskość Chrystusa nic tam z blasku swojego nie utracą, chociaż ją autor pokazuje tylko w rzeczach, które umysł ludzki pojąć i wytłumaczyć może.

Lamennaigo francuzki przekład *Boskiej komedyi*, poprzedzony obszernym wstępem, objaśniającym słonecznie, to ciemne już dla młodych pokoleń dzieło, policzyć wypada nie tylko w poczet najlepszych przekładów Danta, ale i ksiąg najgłębszych, jakie się pojawiły w tych krytyczno-septycznych czasach.

Ze wszystkich myślicieli najzdolniejszym do zrozumienia i wytłumaczenia dzieł Danta, był niezaprzeczenie autor *Słów wierzącego*. Pomiędzy temi dwoma ludźmi, Florentynem XIVgo stulecia, a Francuzem XIXgo wieku, dziwne istnieje podobieństwo: obaj zdają się jednem oświeceni światłem... czoła obydwóch chyliły się pod brzemieniem myśli zuchwałych a posępnych... obydwóch straszliwe nawiedzały wizye... obaj, swoje polityczne teorye wykładali obrazami nadziemskiego świata, czuli świat niewidomy, w przepaściach widzieli aż do dna...

„Nie darmo geniusz dany człowiekowi! woła Lamennais; gdyby wiedziiano jak drogo potrzeba zań płacić, ktożby się czuł silny w duchu, żeby przyjąć ten dar potężny?” — obaj go dźwigali. Sumienie obydwóch było polem, na którym człek dawny stacza walki z nowym. Powierzchowność obydwóch nosi ślady tej walki wewnętrznej.

„Oto ten co powraca z piekła! szeptaly wytykając Danta palcami przestraszone raweńskie niewiasty. Portret Lamennaigo malowany przez Ary Scheffera, mógłby wywołać podobny wykrzyknik: przestrasza i zdumiewa! Twarz wydeptana śladami ostrych cierpień i globowych ciężarów, w hieroglificzne fałduje się zmarszczki: w całym obliczu czuć gorycz pojonego żółcią człowieka; do ust przyschła ironia zawodów, oko ciemne, zapadłe, zda się wlepione w zawrotną głębią... z czoła mu patrzy nieugiętość *hardego geniuszu*, który spokojem opłacił wolność, równie dłań twardą jak poddaństwo.

Powiadają, że Dante pod koniec życia zastukał do drzwi klasztoru, a skoro mnich spytał go czego żąda, odpowiedział to jedno słowo: „Pacem!” Lamennais też przez całe życie szukał spokoju i szukał go daremnie, bo prawem Bożem był skazany jak Dante, jak wszyscy wybrani, na burze i próby, będące udziałem umysłów łaknących prawdy, bo „geniusz nie darmo dany człowiekowi”.

Lamennais musiał tedy rozumieć Dantego lepiej niż inni. Znalazł we włoskim wieszcu zarysy własnego charakteru: podejrzliwość i wyniosłość, gwałtowne oburzenia, niepobłażliwość szorstką, chęć walki i oporu; męczarnie ducha, rozczarowania, zdolność widzenia czarno: znalazł nawet zastosowane do ducha czasu, też same opozycje przeciw zapominającemu przepisów Ewangelii Rzymowi.

Ztąd wynikła sympatya, której wspaniałym owocem komentarz i wspaniały przekład Boskiej komedyi, przy którym tłumaczenie francuzkie pp. Brizeux, Fiorentino i Ratisbonne, znika.

Mierzony miarą zwyczajną, przekład Lamennaigo nie jest doskonały; tłumacz nadużył przenośni, często używa wyrażeń starych, nie mających już ani powabu ani przychylny bytu; często dziwnym skrupułem powodowany, chcąc być wiernym, zostawia wyrazy w szyku włoskim, który we francuzkim języku nie ma znaczenia.

Mimo tych wad, przekład ma zalety mażące wszystkie niedostatki: tłumacz zachował myśl i koloryt poety, cały tok jego stylu. Nie jestto książka francuzka: nie ma w niej śladu ducha francuzkiego, owego ducha praktycznie zarekrutowanego na korzyść rozsądku, który na żadne

wybryki nie pozwala. Ale właśnie dla tego powiedziec można, iż Lamennais stworzył przekład oryginalny, mający *sui generis* i dozwolił czytać po francuzku włoski poemat nie zmieniawszy w nim nic prócz języka. Dante, pomimo to, utracił wiele, bo słowa u poety, to harmonia zawsze, a cóż dopiero włoskiego poety; ale zachował, jeżeli nie wdzięk, to ruchy jego, fatalne wejrzenie, jeżeli nie całkowity wyraz oblicza, chód, jeżeli nie skrzydła.

Przedmowa dowodzi jak głęboko Dante był przez tłumacza swojego zrozumiany: czasy i dzieło rozwidniają się w oczach czytelnika. Lamennais widzi *Boską komedya* pomiędzy dwoma światami: kończącym się wiekiem średnim i rodzącą się tegoczesnością. Poemat ma zarazem straszną ponurość społeczności w gruzach i rumieniec horyzontu oświeconego wschodzącą jutrzenką. Ciemność, omyłki i okrucieństwo średniowieczne, wysnute z rzymskiego i feodalnego despotyzmu, to otchłań nędzy, w której miotala się jakby w widomym piekle, ludzkość zrospaczona. Straszliwy obraz gwałtów i przerażenia, rozłożony na kondygnacyach piekła, to przeszłość. Przed nią, daleko, daleko, z pod czarnych czeluści, poeta dostrzega brzask zorzy: „Ztąd wyszedłszy, znowu zobaczyłem gwiazdy!” Te słowa zamykające pieśni piekielne, są westchnieniem ulgi, okrzykiem nadziei marzyciela wiodącego przed sobą przyszłość. Owa „łagodna barwa wschodniego szafiru, która modrzyła przestrzeń czystego powietrza”, to w pojęciu poety zmęczonego ciemnością, jest dnia przeczucie. Pod figurą czysca wystawił świat nowy, jeszcze zamroczony, ale wiodący do wymarzonego ideału, do rajy nie możebnego na tym padole płaczu, ale widomego zawsze, jako symbol postępu, który ludzkość winna gonić odważnie, a który coraz jaśniejszy się staje w miarę jak ślimacze kręgi piekła ku górze zmierzają.

Chwila, w której śpiewał Dante, była uroczysta. Srogie nawałnice niszczyły globu zaludnione strony: ślepi mniemali, że to koniec świata, ale jasnowidzący pojmowali, że są burze płodne, po których przeczyszcza się powietrze. Wszystkie wielkie kwestye społeczne były podane do rozwiązania rodzącej się ludzkości: dojrzała rozprawiała nad nimi w chaosie, bo czas rozwiązania był jeszcze

daleki; dożyła jednak chwili, w której pojęcia jasno się określiły, co jest pierwszym stopniem postępu: trzeba wiedzieć dobrze czego się chce, co się może, przed zaczęciem walki. Dante zjawił się, kiedy ludzkość wraz z inteligencją odzyskała nadzieję. Wiekiem pierwój przyszedłszy, byłby śpiewał tylko piekło: widzenie czysca i raju nie byłoby się przedstawiło jego myśli: nie byłby gwiazd zobaczył.

Silne oddziaływanie przeciw despotyzmowi feodalnemu i kościelnemu, rozpoczynało się, kiedy Dante myśleć zaczął. Idea monarchii, jako opozycja podbójczego Rzymu, kiełkowała w umysłach młodego pokolenia. We Francyi mieszczaństwo i lud pomieszał ją z pojęciem swych swobód; we Włoszech nienawiść municypalnego nierządu, który miał sprowadzić klęsk tyle, usposabiała umysły do uważania władzy cesarzów za symbol porządku i jedności. Do tych co tak myśleli, należał i Dante.

Kto zgłębia rzeczy, kto w dalekiej przeszłości szuka korzeni terażniejszości, ten, początek jedności włoskiej dopatrzy w aspiracjach i dążeniach Gibelinów. Potrzeba było wieków próby, ażeby to marzenie jedności wyprostowało się ze zgubnego załamania, które utwierdził Dante wzywając cezaryzmu niemieckiego; trzeba było straszliwych nauk doświadczenia, żeby pałace współzawodnictwo miast zgasło, i żeby Italia mogła stać się narodem. Pragnął tego Dante, ale kiedy on pisał, nic nie wydawało się niepodobniejszego do urzeczywistnienia; droga zaś, którą wskazywał do tego celu, byłaby wojnę domową zastąpiła ześrodkowaniem sztuczném, a krzykliwą swobodę poniżającym poddaństwem.

Bezplodne klótnie z fałszywego grane tonu, trzymały jeszcze *prym* w kapeli, ale młode pokolenia już na inną waryowały nutę. Podwójne znaczenie téj epoki, przerażenie stare i młode nadzieje, Dante w poemacie swoim wyraził. Podobny do Janusa z podwójną twarzą, jedną za siebie, drugą przed siebie zwraca: „*Boska komedya*, powiada Lamennais jest kolebką i grobem: przeszłość złożyła weń swą wiarę, pojęcia i naukę; przyszłość swe aspiracye oraz zawinięte w pieluchy zarodki nowego języka i wspaniałej poezyi”.

Dla tego dzieło ciemne. Piekło, jako obecną rzeczywistość, Dante wyśpiewał najjaśniej; ale w Czyscu większa już harmonia pomiędzy myślą poety i przedmiotem. Piekło jest wybuchem jego gniewu, Czyściec biciem serca jego. W Raju olśniewa go własny ideał.

Malowane z natury Piekło jest przeklęciem odchodzącego świata: wieszcz spycha rządców jego w przepaście, siarczystem zlewa deszczem, wężowemi krępuje skręty. Szatani są tam reprezentantami gwałtu, jadu i obłudy, przywar które toczyły ludzkość średniowieczną. Figury te pokutujące na pierwszym planie, rysują się na tle niewidzialnego tłumu, istnienie swoje zdradzającego szumem skargi.

W Czyscu scena widzenia zmienia się jak wiek: jest to pas półcienia, przejście z piekielnej czerni do rajskiej jasności. Duchy ledwie widome, krążą pomiędzy ziemią a niebem... zadumane, ciche, senne, nucące tajemnicze pieśni. Od czasu do czasu słychać trzepotanie bezsilnych skrzydeł i westchnienia wychodzące z uciśnionej piersi. Oświeceni blado pokutnicy w Czyscu, oddychając wonią nieznanych kwiatów, ze łzawemi oczyma wlepionemi w górę, błędzą po rozległej płaszczyźnie, przypominającej łąki Homerycznego Elizeum. Poeta patrzy na nich trwożny, ale tém się koi, że będą pocieszone. „Są to niekształtne robaki, mówi, ale się staną anielskimi motylami”. Zbliżał się czas, w którym ludzkość-poczwarka, miała dostać skrzydeł i podlecieć ku gwiazdom.

Duch odrodzony nowych potrzebuje kształtów. Dante też w cyklu rajskim poematu swojego, porzuca całą fantasmagoryę pogańską lub chrześcijańską, która zaciemniała umysły i napelniała także dwie pierwsze części komedyi. Wszystkie widma Grecyi, wszystkie legendy, mdleją na rajskim progu; Charon ognio-oki, kłusający się Minotaur, zbrojne Centaury, wszystkie strachy i poczwary minionych czasów, wszystkie obłedy ciemnych wieków, pierzchają przed czystym światłem, szeroką smugą spływającym na głowę poety. Sam Wirgiliusz, przewodnik i przyjaciel, który go wyniósł z piekielnych czeluści, nie może towarzyszyć mu dalej. Ażeby dokończyć allegoryczną wędrówkę ludzkości uosobionej w Dancie,

potrzeba już, nie geniusza minionych wieków, ale mądrości najwyższej, ideału, którego wyobrazicielką jest Beatrycze.

Sama wiara natchnęła poecie Raj: myśl téż jego nieokreślona, pływa w lazurach, wzrokowi żadnego nie przedstawiając kształtu: światło, prawda i piękno mają swoje otchłanie, których wzrok jego zgłębić nie może. Śpiewa więc cuda przeczowane, ale ich nie opisuje, bo słowo ludzkie jest bezsilne... ma przecucie przyszłości, ale jej nie zna... nie widząc, błogosławi te strefy nieznane, w które po nim ma wstąpić ludzkość zwycięzka... błogosławi, bo wierzy we wszystkie dobrodziejstwa, których nie widział na ziemi, w postęp bez końca, wolność, braterstwo i odrodzenie kościoła Chrystusowego.

Tak Boską komedią pojmował Lamennais. Wszystkie przecucia i nadzieje Danta iszczą się powoli; gdyby wstał z grobu, obaczyłby Italią swoją już w końcu cyklu: po oligarchicznych wyborach siedmiu elektorów, nastąpiły wybory powszechne; duch municypalny ustąpił miejsca duchowi narodowemu; po rozdziale prowincyi, miast i rodzin, potężna jedność zakwitła; po wojnach domowych. pokój; po Gwelfach i Gibelinach, jedno wielkie i płodne pojęcie powszechnego dobra; po ucisku małych despotów i demagogów, panowanie spokojne ustaw i rozumnej swobody; po rozdrobnieniu interesów, siła i godność jednej ojczyzny.

Dante nie mógł widzieć ani określić wypadków tych, dopełnionych wiekową pracą geniusza włoskiego, ale mu zostanie niezgasła chwała przecucia zorzy, która teraz oświeciła świat. Najwyższą zasługą ducha jest tęsknota do odgadnionego postępu i zdobywanie go pracą, która zbliża do Stwórcy.

Ostatnia powieść pani Sand „*Mademoiselle de la Quintinie*” wywołała polemiki przypominające dawne boje krytyków o zuchwałe utwory genialnej pisarki. Jedni chwałę zawzięcie, drudzy zapamiętali ganią pannę *Quintinie*. Dawno nie słyszeliśmy takiej wrzawy z powodu

dział Sanda. Rzeka stała się strumykiem i płynęła spokojnie w pięknym ogrodzie pomiędzy brzegiem usłanym miętą i tymiankiem. Salonowe sielanki opracione w botanikę, bohaterowie subtelnej szlachetności, bohaterki zbyt rozsądne i wymowne; miłostki bez wszelkich przeszkód; styl zawsze cudny; czasami jakiś charakter poetyczności dziwniej; myśli jeszcze piękne, ale już niższego i słabszego lotu: oto cecha ogólna ostatnich utworów pani Sand: *Antonia*, *Bastide*, *Valvedre*. Ciągłe atoli powodzenie częściej moralizacyi i tryumfy nietolerancyi, zbudziły dawną bojowniczą naturę autorki *Leli*. Atletę podziwiany przed dwudziestą laty, wystąpił na nowo w arenie... Paryżanie usłyszeli niespodzianie okrzyk Achillea wywijającego boską bronią.

Panna Quintinie ma podwójny charakter: jestto opowiadanie i adwokatowanie, powieść i satyra razem, satyra bardzo ostra dla obłudy okrytej welonem cnoty, i drogoskazów literackich, które wskazaną drogą nigdy nie chodzą.

Osoby tendencyjnej powieści muszą być nieco sztywne i chłodne. Takimi też są Emil i ojciec jego, niby starożytna wyrocznia odzywający się z daleka. Łucya zachwyca ilekroć nie rezonuje: za pomocą samej miłości widzi ona jasno ludzi i rzeczy; ma śmiałość którą nadaje prawość serca, a nic z owęj amazońskiej postawy pierwszych bohaterek Sanda, które się podobają jak ścieszka nad przepaścią dla wielu miłsza od bitęj drogi. Łucya jest kobietą, i może wzbudzić miłość, którą autorka zowie „najwyższym hołdem Stwórcy”. Kochać, pobijać ciemnotę, jedyną przyczynę wszech złego; ściagać kłamstwo i demaskować je; dobijać się sprawiedliwości; chować godność mężką; protegować wolność sumienia i strzedz świętego ognia małżeńskiej miłości: oto wedle pani Sand zadanie człowieka na ziemi.

Przepisy te są niezawodnie prawdziwą religią, prawdziwą moralnością i prawdziwą polityką; szkoda tylko, że autorka nie jaśniej pojmuje Boga jak Go pojmowali filozofowie greccy: „Bóg, powiada, jest prawem praw, logiką najwyższą, życiem bez przerwy, siłą bez wycięczenia, wiecznym odradzaniem postępowem tego co jest,

zatem wieczną mądrością i nieskończoną pięknnością. Być posłusznym prawu natury uszlachetniając je za pomocą kontemplacyi zdrowej świętego celu, oto praktyka doskonałości, do której zbliżać się nieustannie jest zadaniem człowieka”.

Cóż to jest ten Bóg będący *prawem praw*? co ta moralność, ograniczająca się na słuchaniu praw natury? Czy można z tego dokładny przepis życia wyciągnąć? Są to wielkie ramy, w które każdy może włożyć co mu się podoba. Mniemając stawiać zasady, pani Sand zdaje się całkowicie na instynkta natury ludzkiej, którą uważa za szlachetną i bezinteresowną. Dobrze to prawidło dla wybranych, ale z doświadczenia wiadomo, jak takie niejasne pojęcie najwyższego prawa porządku i doskonałości słabo działa w porównaniu z chrześcijańskim pojęciem osobistości Boga i omylności ludzkiej.

Pojęcia pani Sand są takie, jakie ożywiały walczących Francuzów w początku tego wieku. Czarowne słowo *wolność*, zawierało dla nich wszystkie cnoty, postęp i zbawienie. Silne pokolenie wysnute z żołnierzy Napoleońskich, z owych w mundur zaszytych tułaczy, co sieli kości po świecie; którzy pomiędzy dwiema wojnami znajdowali zaledwie wolny dzień jeden dla siebie, dla rodziny — pokolenie to mówię, przyszło na świat z chęcią odetchnienia swobodnie... z miłością awantur, z zuchwałym pociąganiem do obalenia wszystkiego co stoi, a zarazem z potężnym zapałem i potrzebą wiary podkopanej krytyką XVIIIgo wieku. Pierwsze pokolenie XIXgo stulecia, idące w prostej linii od Jana Jakóba Rousseau, zaczęło znowu kochać życie, mieć nadzieję i ufać ludzkiej naturze. W imię to tej wiary w dobroć człowieka, usiłowało wyzwolić pojęcia i przepisy trzymające go na wodzy; pragnęło, ażeby dąb miał wszystkie gałęzie, żeby człek stanął przed ludźmi ze wszystkimi namiętnościami swemi, czasem występny, ale podnoszący się nieustannie przez poczucie w sobie potężnego życia, zapału i miłości bliźniego.

Wyobrażenia pani Sand są pojęciami roku tysiąc ośmsetnego. Umysł jej, wcale nie krytyczny, przywiązuje się silnie do imponujących myśli jak postęp, miłość,

godność człowieka, prawa natury i t. p. Zmuszona szyderstwem XVIIIgo wieku, nauką i temperamentem, do opuszczenia ciasnych stanowisk religijnych ojców swoich, wybrała sobie wzgórzyste miejsce wypoczynku na połowie drogi do sceptycyzmu. Kilka zasad szerszych, a mniej określonych jak zasady religij ukonstytuowanych, pozwalają jęj patrzeć ze spokojną ufnością na pochod oświaty. Ideały *Wikarego Sabaudzkiego* są wzorem tęg dziś już prześcigniętęj filozofii. Obojętna na mniej więcęg szczerę zwrot do dawnych zasad religii, pani Sand trzyma się mądrości Jana Jakóba. Podobna do niego oratorskim tonem stylu, miłością natury i nienawiścią konwenansów światowych, także, zamiłowaniem sielskiego życia, muzyki i botaniki, lubuje się jak on, w strełach pośrednich, gdzie w harmonii więcęg poczutęj niż wyrezonowanęj, mieszają się idee postępu i wolności córki sceptycyzmu, z pewnym racjonalizmem, który zachowuje i uświęca w nowęj formie stare instynkta ludzkości.

Po tęg charakterystyce umysłu autorki, występującęj jasno z jęj ostatniego romansu i zawartych w nim pojęć filozoficznych, należy powiedzieć słowo o stylu. Tu uwielbienie nasze nie ma granic: potęga słowa dalej nie idzie. Niektóre ustępy z listów Lemontier'a i Emila, porywają jak wichur na wielkęj górze. Nigdy może pani Sand nie pisała z takim zapałem za swoją prawdę, nigdy z większą mocą przeciw nieprzyjaciółom wolności i tolerancyi. Włożyła w to całą swą duszę, całym splendorem języka owinęła to ostatnie słowo swojej wiary religijnej i politycznej, swojej miłości i nadziei.

Wbrew zwyczajowi, akademia francuzka o cały miesiąc przyspieszyła tego roku swoje doroczne posiedzenie, na którém rozdawane bywają nagrody za książki i cnoty. Zamiast 23 sierpnia, sessya odbyła się 23 lipca. Z tego przyspieszenia wynikło daleko liczniejsze zebranie jak w sierpniu, kiedy zamożny Paryż jest na wsi.

Tego roku całe wykwiłtne towarzystwo, którego jeszcze Trouville i Pyrenee nie pochłonięły, znajdowało

się w instytucie; brakowało tylko gospodarzy domu, członków akademii francuzkiej. Było ich zaledwie dziesięciu, i to szczęściu z obowiązku: przy biórze pp. Saint-Marc Girardin, Villemain i Albert Broglie; lektor ochotnik pan Patin, który wziął na siebie ciężki obowiązek czytania uwieńczonych wierszy; Mignet i Cousin, który miał do uwieńczenia czterech czy pięciu filozofów. Od niepamiętnych czasów filozofia nie dostarczyła tyle prac użytecznych i budujących; jeżeli te dzieła nikogo nie poprawią, to już nie jój wina.

Czterech tylko akademików było bezinteresownych. Mimo to, posiedzenie bardzo ożywione i różnolite, zadowolniło wszystkich. Pan Villemain, odwieczny sędzia piśmiennictwa francuzkiego, oceniając prace nadesłane na konkurs akademii, postawił kilka wzorów dobrego smaku; pan Patin odczytał z uczuciem wiersze laureata; nakoniec pan Saint-Marc Girardin, na którego przypadło sprawozdanie z rozdanych nagród cnotcie, odmienił zużyte *scenarj*, i zamiast znudzić, rozweselił całe zgromadzenie pełnemi dowcipu zboczeniami.

Pomiędzy autorami uwieńczonemi przez przysięgłych akademickich sędziów, Villemain z pochwałą wymienił kilku uczni uniwersytetu paryzkiego, autorów dzieł historyi lokalnej: p. Ferraz, profesora filozofii w liceum strazburskiem; pana Mastier, byłego ucznia szkoły normalnej i profesora Janet, który dostał pierwszą nagrodę za książkę pod tytułem „*Filozofia szczęścia*” (*Philosophie du bonheur*). Jestto praca ożywiona wybornym duchem. Znać że autor choć młody, rozmyślał wiele nad życiem, nad jego moralnemi warunkami i próbami, i z tych doświadczeń wyciągnął pogodne męstwo duszy, które najlepszym jest kordyałem zdrowia moralnego.

Otrzymały jeszcze nagrody: „*Don Karlos i Filip II*” szkic historyczny Karola Mouy; dwa przekłady wierszem, jeden „*Psalmów wedle hebrajskiego*” (*Psaumes d'après l'hébreu*) dokonany przez pana de la Jugie; drugi „*Teatr Terencyusza*” (*Théâtre de Terence*) dokonany przez pana de Belloy. Oba te ostatnie utwory pan Villemain bardzo

chwalił. Dla dzieła pana Mouy, zdaniem naszym, wcale nie zasłużone sypał pochwały.

Jeden z pierwszych medali otrzymały wydane niedawno „*Dziennik i listy Eugénii Guerin*”, w których najczystsza przebija dusza, a prócz tego talent pisarski niepospolity. Wieniec złożyła także akademja na świeżo zamkniętym grobie profesora Huguenin, autora „*Historji merowingiego królestwa Austrazji*”. (*Histoire du royaume merovingien d'Austrasie*).

Z dwóch nagród Goberta, pierwsza dostała się panu Kamilowi Rousset za *Historję ministra Louvois* (*Histoire de Louvois*) tom drugi; drugą przyznano panu Caboche za „*Pamiętniki i historia we Francji*” (*Mémoires et l'histoire en France*) dzieło krytyczne, o którym mówiliśmy w swoim czasie obszernie na tém miejscu.

Odczyt, który nastąpił po raporcie Villemain'a, wydał się nieco długi. Wyjątki z utworów pp. Topin i Michon, którzy otrzymali nagrodę wymowy, mają może wielkie zalety, ale postawione pomiędzy wymową Villemain'a i Saint-Marc Girardina musiały zblednąć. Zauważano wszakże kilka ładnie naszkicowanych portretów w studjum pana Michon. W ogóle ton tych odczytów więcej adwokacki niż literacki, nie wiele mógł wzbudzić sympatyj.

Pan Marc Girardin był w wybornym humorze. Mnóstwo konceptów przychodziło mu do głowy podczas czytania raportu z wynagrodzonej cnoty. Domagał się najprzód *decentralizacji* nagród z powodu nadużyć, jakie dziać się muszą, jeżeli tak delikatne uczucia pójdą pod śledztwo urzędowe; następnie mówił o potrzebie spostrzegania cnoty nietylko merowskiemi oczyma; uspokoił tych, którzy wyobrażali sobie, że akademja jest powołaną do oznaczenia rocznego kontyngensu cnoty we Francji. „Tego roku akademja miała tylko stu sześciu konkurentów; sto sześć dobrych uczynków na ludność trzydziesto ośmio milionową, to zaprawdę nie wiele! część każdego z nas na tym kontyngensie strasznie mała... tém się pocieszajmy, że większa część dobrych uczynków rządowemu śledztwu się wymyka”.

Daléj, skreślił pan Girardin znakomite porównanie poświęcenia nieznanego, z cnotami wybitnymi i widzianymi przez wszystkich. Na końcu opowiedział żartobliwie pierwsze rozdanie nagród cnoty w Babilonie, na którym pierwszą nagrodę przysądzono za rzadką odwagę osobie, która śmiała chwalić przed królem, ministra popadłego w nielaskę: śmiech powstał ogólny i dotąd jeszcze czasami się odzywa.

Towarzystwo pomocy Przyjaciół nauk odbyło w Sorbonie doroczne posiedzenie pod prezydencją marszałka Vaillant. Przed rozpoczęciem sessyi, marszałek w rzeczonych wyrazach uwiadomił zgromadzenie o śmierci najczynniejszego członka Towarzystwa, uczonego i żalowanego powszechnie pana Moquin-Tandon.

Wiadomo, że celem Towarzystwa tego, założonego krótko przed śmiercią, przez sławnego Thenard'a, jest nieść pomoc ubogim uczonym i ich rodzinom: potrzebują oni opieki więcéj niż inni, bo poświęcenie się całkowite nauce, nie prowadzi do majątku. W sprawozdaniu z czynności Towarzystwa, sekretarz Boudet tę myśl rozwijał. Wyliczając usługi oddane przez naukę francuzkim przemysłowcom, pan Boudet odwołał się do ich szczodrobliwości, albowiem finanse Towarzystwa nie pozwalają świadczyć wszystkiego dobra, któreby należało uczynić nie myślącym o sobie ludziom uczonym.

W skutek tego zawezwania, naczelnicy wielkich zakładów przemysłowych, sypnęli hojne składki do kassy Towarzystwa, czując mocno, że jeżeli kto, to oni powinni protegować nauki, będące dziś duszą przemysłu.

Po zdaniu sprawy, członek instytutu p. Bertrand, odczytał pochwałę Senarmont'a uczonego męża, który był jednym z zakładców stowarzyszenia pomocy Przyjaciół nauk.

Posiedzenie zakończone zostało lekcją fizyki: pan Debray robił doświadczenia ze światłem elektrycznym. Najwięcéj zwróciła uwagę kombinacya wymysłu pana de La Rive, przedstawiająca w miniaturze zorzę borealną.

Po tém widowisku, niby bukiet fajerwerku, ukazano publiczności portret Senarmont'a, za pomocą elektrycznego światła doprowadzony do rozmiarów ogromnego transparentu.

Pod tytułem: „*Światy*” (les Mondes) Amedeusz Guillemain wydał astronomią elementarną, bardzo użyteczną dla młodzieży. Jasny wykład autora daje doskonale pojęcie wszechświata. Jestto streszczenie *Mechaniki niebieskiej* Laplace'a i dzieł Franciszka Arago, samo jądro ich rozległej nauki podane w jednym tomie. Nie można go dość polecić łaknącym tego rodzaju wiedzy umysłom. Celem autora było uczynić astronomią przystępną każdemu, wyluskać wykład astronomów z formuł suchych i obrachunków potrzebnych tylko ludziom specjalnym, nadać téj ogromnej nauce kształt tak powabny, ażeby mogła nawet zwyczajne głowy oderwać od ziemi i przenieść w przestrzenie wykazujące nicestwo naszych zabiegów i naszych tryumfów.

— Wyszedł trzeci tom publikacji pana Turgan: *Les Grandes Usines de France*” zawiera: Rękodzielnia zwierciadeł w Saint-Gobain. Omnibusy paryzkie. Kopalnie węgla nad Rodanem. Kuźnia elektro-metalurgiczna w Auteuil. Piekarnia centralna szpitali paryzkich. Przędzalnia bawełny. Szkołki Andrzeja Leroy w Angers. Przenośna paryzka fabryka gazu. Fabryka gazu kompanii paryzkiej. Rękodzielnia odbijania wzorów na płótnie. Kryształarnia Baccarat. Stalarnia Jackson'a.

— Pan Cousin ma wydać wkrótce nowe dzieło pod tytułem: „*Młodość Mazarin'a*” (La Jeunesse de Mazarin).

— W chwili, kiedy smak do studyów hebrajskich zaostrzony tu został przez książkę pana Renan, uwieńczone przez akademią: „*Psalmy wedle hebrajskiego*” (Les Psaumes d'après l'hébreux) napisane przez pana de la Jugie sekretarza tuluzkańskiej akademii *des Jeux floraux*, są bardzo czytane. Jestto praca sumienna z niepospolitym talentem dokonana.

— Autor wielu szkiców obczajowych, pan Larcher, wydał obecnie aż cztery książki użyteczne. Dla nauczy-

cieli i ojców: „Zdania starożytnych i nowożytnych o wychowaniu.” Dla nauczycielek i matek: „Zdania starożytnych i nowożytnych o wychowaniu dziewcząt”. „Nauka praktyczna życia” higiena fizyczna i moralna, nakoniec „Anglicy, Londyn i Anglia”.

Dwie pierwsze prace są rodzajem słownika nader potrzebnego ludziom poświęcającym się wychowaniu: znajdują tam liczny zbiór pięknych zasad, całą treść mądrości starożytnej i nowoczesnego rozsądku, treść wszystkiego co napisali w tym przedmiocie mędrzy filozofowie i pastarze, począwszy od Platona, aż do biskupa Dupanloup.

„Nauka praktyczna życia” jest użytecznym przewodnikiem dla młodych ludzi, którzy mimo rodzicielskie przestrogi, gotowi rozpocząć cały szereg ojcowskich błędów. Od obcego rada przyjmie się czasem łatwiej niż od swego.

Czwarta nakoniec praca pana Larcher: „Anglicy, Londyn i Anglia” wtajemnicza w życie angielskie. Jestto ze świadomością napisane studjum obyczajów i ustaw narodu, którego Francuzi nie mogą w żaden sposób dobrze poznać ani ocenić, jako swój we wszystkim, antitezy. Nawet ci, którym się wydaje, iż dobrze znają Anglików, mogą się czegoś nowego z pracy pana Larcher dowiedzieć. Książkę tę poprzedził obszerną przedmową pan Emil de Girardin.

— W raportach swoich do Cesarza, generał Montauban naczelnik wyprawy chińskiej, wyraził żal, że niema z sobą przyrządów fotograficznych, któreby mogły dać dokładne pojęcie powierzchowności kraju i jego pomników. Minister wojny zadekretował natychmiast, iż kompania fotografów będzie dodana każdemu idącemu na wyprawę korpusowi wojska francuzkiego.

Kilka albumów wykonanych w Meksyku przez fotografów sztabowych, nadesłano teraz do ministerjum wojny. Jestto początek wielkiego dzieła, więcej zajmującego niż fotografie z kampanii włoskiej, odbywanej w znanych powszechnie okolicach. Dla większego rozpowszechnienia widoków tych odległych krajów, urządzono zakład taki jak kalkografia Luwru, która za bezcen daje fotogra-

fowane kopie galeryi. Rozmiary fotografii meksykańskich będą mniejsze od widoków z kampanii krymskiej, włoskiej, Egiptu i Nubii, wykonanych przez p. Méhédin nie dla powszechności, a wystawionych w 1861 roku w pałacu wystawy.

— Lamartine napisał ładną powieść, podobno z własnych wspomnień wysnutą, pod tytułem „Fior d' Aliza”. Jestto imię włoskiej góralki, której wzniosły charakter i dziką prostotę z talentem uwydatnił sławny poeta.

— Z ostatniego obrachunku dokonanego w administracyi ogromnego przedsięwzięcia przebijania góry Cenis, podajemy tu następujące szczegóły:

Robota dokonywana przez maszyny o ściśnioném powietrzu, zaczęta w 1861 roku, szła bardzo wolno: w marcu powyższego roku było dopiero zrobionego tunelu 9 metrów 70 centimetrów. Przez cały rok 1861 przebito 170 metrów 54 cent. w ciągu 209 dni pracy.

W 1862 roku praca szła regularniej: pracowano przez 325 dni, a galerya podziemna postąpiła o 380 metrów.

W końcu 1862 roku cała dokonana praca wynosiła 2199 metrów: 1274 od strony francuzkiej Bardonnèche; a 925 od strony włoskiej Modane, gdzie działano zwykłymi sposobami.

Ciąg całkowity robót obrachowany jest na lat *dwanaście*, a wydatek na 50,000,000 franków. Pomędzy Surą i Bardonnèche będzie 40 kilometrów drogi żelaznej, z rozmaitemi galeryami potrzebnymi do wymijania, z których najdłuższe będą miały po 170 i 100 metrów.



PIEŚNI,

PODANIA, BAŚNIE, ZWYCZAJE I PRZESĄDY LUDU

Z MAZOWSZA CZERSKIEGO.

Kornel Kozłowski.

II.

ZALOTY, WESELA.

Bardzo jest rzadkim przykładem, ażeby parobczak później się ożenił jak w dwudziestym lub dwudziestym pierwszym roku życia; wczesne to wstępowanie w stan małżeński, powodowane było przez długi czas chęcią zyskiwania sobie jakiegokolwiek obrony od wojska, aż w końcu zamieniło się to w zwyczaj.

Każdy chłopak miał to sobie za wygraną, kiedy mu się udało jak najprędzej mieć żonę, a tém bardziej jeszcze kiedy pozostał ojcem. Skoro parobek powezmie zamiar ożenienia się, wówczas upatrzwszy sobie dziewczkę, któraby nie była znaną ze złych przymiotów, udaje się do znajomiej sobie podeszłej jakiej kobiety i przez nią stara się wybadać zamiar rodziców lub dziewczyny i dowiedzieć się, jak on też im się *udał* (podołał).

Uproszona i uczęstowana kobieta udaje się więc na tak zwane *dowiedziny*.

Obrawszy na to dzień czwartkowy, zaopatrzona przez parobka flaszką wódki, udaje się do rodziców, lub jeżeli dziewczka jest sierotą, albo w służbie, to i do niej saméj; i opowiedziawszy swój interes, jeżeli pomyslną otrzyma odpowiedź, dobywa ukrytą w zanadrzu gorzalkę, i uczęstowawszy nią obecnych, zapowiada na dzień sobotni przybycie swatów.

Na takowych parobek uprasza jednego lub dwóch starszych chłopów w gromadzie, albo swoich jakich pokrewnych, albo też wreszcie *kumów* jakich ojcowych.

W dzień sobotni, zwykle wieczorem, po ukończeniu wszelkich robót, wybierają się swatowie wraz z parobkiem na *zaloty*. Iść na zaloty, jest to samo co oświadczyć się rodzicom i pannie o jej rękę.

Dawniej, gdy lepsze bywały czasy, zaloty takie odbywały się z wystawnością. Spraszano wówczas to tego, to owego do towarzystwa parobkowi; na przedzie zwykle szła muzyka, a dziewosłab piastował ogromną flachę gorzalki. Ale dziś czasy się zmieniły i zaloty odbywają się cicho, skromnie, w towarzystwie tylko dwóch swatów i nieodstępnej flaszki z wódką.

W chałupie tymczasem gdzie jest dziewczka, do której zmierzają zaloty, starają się nieco poprzątnąć, umieścić, dziewczka staranniej się nieco ubiera, a w końcu drzwi ze dworu dobrze zamyka.

Przybywszy przed chałupę i zastawszy drzwi zamknięte, starszy swat, zwany zwykle *dziewosłębem*, zaczyna stukać:

— A chto tum? cego chceta? — odzywa się głos gospodyni.

— To jo, biedny podrózny: chciołem przed słotom skryć się u wos.

Drzwi się otwierają, a swat wszedłszy do sieni, powiada:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków. Amen.

— A Maryś je duma? (Czy jest w domu).

— A cegóz ta chceta od ni?

— No nic; ino mi powidźcie, cy wos (wasz mąż) je duma?

— A je.

— To prowadźcie me do nigo, słychołem ze mocie jałoskę na przedoz a jo mum kupca.

Gospodyni otwiera wówczas drzwi do izby i wprowadza swata, na którego przyjęcie wychodzi gospodarz i na pozdrowienie *pochwalonym*, odpowiada jak zwykle:

— Na wieki wieków. Amen.

Przybyły swat rzuca nieznacznie okiem po izbie, i uśmiecha się do dziewczki, która czerwona i zawstydzona, kryje się za zapieckiem.

Tu nie robiąc długich ceremonij, swat powiada:

— Ot gospodozu, ślieny, urodziwy chłopok upodoboł se w wasy Marysi, i jo niby to dziwoślumb, przychodzę wos pocęstować gozolką za zdrowie poństwa młodych.

— A chtóz to tuki?— zapytuje gospodarz niby o niczem nie wiedzący.

Tu dopiero swat wymienia parobka z imienia i nazwiska, zachwalając jego dobre przymioty, *stotek* (rzędność) i jego ojcowiznę (majątek ojcowski).

— No i jakze, pijecie gospodozu za igo zdrowie?

— Ha,— odpowiada gospodarz, drapiąc się w głowę, — kaj juz tak koniecznie tygo chceta, to spytojtaz się Marysi, boć to tu o niu idzie. Swat obejrzawszy się po izbie, i wzięwszy stojący gdzie na podorędziu kieliszek, nalewając go wódką, powiada:

— No dziwecko, wypijno ty ten kilisecek wódecki.

Dziewka wzdragając się niby, wstydząc i zakrywając oczy fartuchem, lub końcem chustki, bierze kieliszek, a obróciwszy się tyłem do obecnych i wypiwszy gorzałkę, czémprędzej ucieka i chowa się za piec.

Najlepszą to jest wróżbą dla swatów, dla tego bez wzdragania się już dalszego, piją po kieliszku obecni, gospodarz, gospodyni; wchodzi na pewne parobek, i tak przy gorzałce, przy kawałku chleba, sera, i co jest więcej w chałupie, umawiają się wzajemnie o zapowiedzi, które najczęściej na drugi dzień w niedzielę wychodzą.

Zwykle wesela odbywają się w czasie przed adwentem lub w zapusty, zaraz po zalotach i wyjściu zapowiedzi;

zdarza się jednak czasami, że gdy zaloty się spóźnią, zwlecze się jeszcze po nich i parę miesięcy do wesela, a to jeżeli stanie na przeszkodzie adwent lub post wielki.

Przeciąg czasu pomiędzy zalotami a weselem, użytym bywa z jednej jak z drugiej strony na przygotowania do niego.

Pan młody dobiera sobie družbów, kupuje nowy pas, sukmanę, kapelusz ozdobiony pawiem piórkiem, różnokolorowemi sznurkami i szychem, stara się o grajka, jeżeli możniejszy to o dwóch; rodzice panny młodej, u których odbywa się wesele, zaopatrują się w stósowną liczbę kieliszków, misek, garnków, łyżek, przygotowują jadło składające się zazwyczaj z kapusty, grochu, pasternaku, flaków i mięsa.

Jeżeli to są gospodarze zamożni, to nie pożałują na taką fetę zabić krowy, wieprza, sprowadzą beczkę piwa, kilkanaście garncy wódki i przygotowują ulubiony i najwytworniejszy u chłopów napój zwany *krupnikiem*, składający się z wódki grzanej z miodem, pieprzem, cukrem i słoniną.

Koszt jednak takiej uczy, zwłaszcza na trunki, musi w części ponosić i pan młody, szczególnie jeżeli długo bardzo przeciągną się zabawy.

Panna młoda przed weselem szykuje dla narzeczonego weselny rańtuch czyli ręcznik, oraz bukiet z białą wstążką, piecze ciasto i namawia trzy druchny, które tak samo dla družbów powinny przygotować białe rańtuchy i bukiety z czerwoną wstążką. Wreszcie, jako ostateczne przygotowanie, oboje państwo młodzi, na parę dni przed ślubem chodzą wieczorami nie raz do półnoka po okolicznych wioskach, zapraszając gości na wesele.

W niedzielę od rana już cała chałupa rodziców panny młodej powinna być przygotowana, izba do tańca uprzątnięta, sprzęty wszystkie prócz stołu i ław powinny być do komory przeniesione, podwórko piaskiem wysypane, a jeżeli wiosna, to zielonemi gałęziami brzeziny przystrojone i wóz do ślubu przygotowany.

Zaraz też od rana, drogą przez wieś prowadzącą jednokonna w gałęzie zielone przystrojona podąża furka,

na niej grajek skrzypkowy i trzech w granatowe kapoty ubranych družbów.

Tuż obok na małej szkapinie, bijąc ją po bokach nogami, w nowe buty przystrojonemi, spieszy *wyaligantowany* Jaśko pan młody.

Za niemi dopiero sypią się jedna za drugą furki zwożące to ojców pana młodego, to krewniaków, to kumów, to swatów, to swachny, a wszystko to zatrzymuje się przed chałupą rodziców Marysi panny młodej.

Powylegały z chałup dzieciaki, powłaziły na płoty, cisną się do okien chałupy, w której się odbywa wesele, ażeby tylko widzieć w świąteczne szaty postrojonych, przypatrzeć wielkiej i niezwykłej uroczystości.

Gospodarstwo tymczasem oczekując zebrania się całej drużyny, częstują przybyłych to wódką, to serem, to chlebem, a grajek przygrywa wesołe oberki i szoty.

Kiedy tak cała kompania już w komplecie, druchny za oknem zaczynają śpiewać:

Wyńdź do nos naso panno młodo, wyńdź do nos;
Jeżliś rado num, do swygo dumu prośze nos.

Wychodzi Maryska, a tymczasem w izbie zaczynają się krzątać około pierwszego obrzędu *rozplecin*.

Wniesiono do izby i postawiono na środku wielką dziecę służącą do zarabiania ciasta na chleb, a przewróciwszy ją do góry dnem, starszy družba przyprowadził Marysię i posadził ją na dzieczy.

Druchny wzięły się sypląc jej warkocz, poczem starszy swat czyli *dziwostab*, który urząd ten pełnił już na zalotach, biorąc tęgi batog do ręki, rozkazuje starszemu družbie rozplatać warkocz Marysi, grożąc potężnym skarceniem za roztargnienie lub wyrwanie choćby jednego włoska z warkocza.

Kiedy družba rozplata, druchny tymczasem i swachny przy odgłosie skrzypków śpiewają:

Usiuńdź ze naso panno młodo na dzizy,
Niech ci się złoty warkoc rozpizy;
Jesceć ci to Maryś było rość,
Rozpuściłaś złoty warkoc na złość;

Rozpuściłaś go nibogo,
 Juz ci to twygo pięknogo chodu nie długo;
 Chodzi druzebka po sieni
 Tzymo gzebicusek w kieseni:
 Stary druzebko, służko mój,
 Ty mi rozplacies warkoc mój”

Gdy po rozplecinach druchny ubierają Marysię w komorze do ślubu, družbowie i Jaśko pan młody, szykują tymczasem wozy i konie, zielonemi strojąc je gałązkami, ażeby z tém większą paradą zajechać przed kościół.

Ubiór panny młodej składa się zwykle z białej spódnicy, niebieskiego lub zielonego gorsetu, białego fartucha, głowę całą opiętą ma różnokolorowemi wstęgami, których długie końce wiszą puszczone z tyłu; nad czołem mały wianeczek ze złotych nitek, włosy zaś rozpuszczone i z tyłu głowy zaczesane: strój druchen też podobny z wyjątkiem wianka złotego.

Mogą też druchny brać na siebie wstęgi lub gorsety czerwone, który to kolor w dzień ślubu z ubioru panny młodej zupełnie jest wyłączonym.

Tak ustrojona panna młoda wyszedłszy z komory, przypięła swemu narzeczonemu do piersi bukiet z rozmarynu, albo też z innych jakich drobnych listeczków, związanych białą wstążką, za pasem przewiesiła mu biały ręcznik własnej roboty, a tak samo uczyniły druchny z družbami z tą różnicą, że wstążki ich bukietów były koloru czerwonego.

Kiedy tak wszyscy już do ślubu poubierani, wnet cała gromada daje znać, że już czas jechać do kościoła, śpiewając wraz ze skrzypkami:

Przedewroty, kamień złoty
 Lelijs—
 Zaprowadź nos do kościoła
 Najświętsza Panno Marya.

Wówczas po mnogich już i tak poprzednio spełnionych kieliszkach, dla dodania lepszej ochoty družynie, gospodarstwo wynoszą nowy zapas gorzałki lub krupniku, i większa połowa kompanii, a szczególnie ojcowie łączącego się stadła, przy wzajemnych a ciągłych pocałunkach i uściskach piją na zabój.

Nie jednemu wówczas dobrze w głowie zaczyra, tak, że przybywszy do kościoła, w kącie gdzie lub za ołtarzem, leży nieprzytomny.

Kiedy się cała kompania dobrze gorzałką uraczy, starszy družba, który jest tak jakby rządcą lub naczelnikiem całej drużyny, ogłasza chwilę wjazdu.

Dopieroż więc grajek sięga za skrzypki i wtoruje śpiewowi:

Rozgłasaj panie muzykaucie, rozgłasaj,
A ty dziwecno ojca, matkę pseprasa;
Pseproś ojca, pseproś matkę, pseproś całą rodzinę,
By ci Poo Bóg doł, Matka Najświętsza tę szczęśliwą godzinę.

Następują więc błogosławieństwa rodziców i wszystkich obecnych, którym państwo młodzi wszystkim jak są, schylić się winni do kolan i prosić o przebaczenie wszelkiej urazy, jeżeli na takową kiedy zasłużyli.

Jeżeli idąca za mąż dziewczka jest we dworze na służbie, przychodzi zwykle i przeprasza państwa i cały ich dom, a zwyczaj ten zachowuje się nawet i względem ofcjalistów dworskich i innych liczących się do wyższej klasy wioskowego społeczeństwa.

Skoro cała czereda wyruszy do kościoła, w chałupie pozostaje tylko jedna kobieta, która przyjmuje na siebie obowiązek kucharki i ta powinna przygotować weselną ucztę.

Na czele spieszącej drużyny, harcuje konno pan młody w towarzystwie družbów, za niemi na wozie pośród zielonych gałęzi, panna młoda, druchnami otoczona; dalej swat starszy i grajek co raźnie wycina oberki, potem suną furki z rodzicami młodych państwa i cała czereda zaproszonych swatów, już na furkach, już pieszo.

Wesoło dążą do kościoła, całą drogę ścigają się wózki, radosno rozlegają okrzyki i piosenki; starszy družba dodaje wesela i śmiechu, a z nim pan młody nasunawszy baranią czapkę na ucho, to rzeżko na koniu wyskoczy, to wesołe wykrzykuje oberki.

Wszedłszy do kościoła gromada udaje się prosto przed wielki ołtarz i oczekuje końca mszy świętej, a przez

cały ten czas oczekiwania, panna młoda powinna według prawideł przyzwoitości płakać, chociaż zdarza się często i to, że nie czując w sobie po temu inklinacyi a chąc tak postąpić, żeby to i wilk syty i owca była cała, wielkie udawszy nabożeństwo i smutek, pochyliwszy się twarzą ku podłodze, śpi jak najmocniej, na odgłos tylko śpiewu księdza lub organisty, mocne z siebie dobywając westchnienie.

Po mszy św., ojcowie lub starszy družba, miejsce ich pijanych zwykle zastępujący, załatwia wszystko w zakrytych, poczem państwo młodzi prowadzeni, ona przez družbę, on przez druchnę przystępują do ślubu: przecież i teraz nim uklękną, powinni trzy razy obejść ołtarz dokoła, za każdym razem całując krzyż podany im przez księdza.

Wyszędłszy z kościoła po ceremonii ślubnej, dopiero to radość, wrzawa, wesołe okrzyki, różne piosenki.

Zwykle przy wiejskim kościółku znajduje się w pobliżu usłużna karczma, do niej więc cała czereda weselna hurmem uderza, choć po jeden kieliszek gorzałki, ażeby ducha w sobie nie studzić i nabrać sił do nowej ochoty.

Nie długo się tam przecież bawiono, a powracając do domu przy odgłosie skrzypków, druchny zaczęły śpiewać pieśń następującą:

W polu ogródeczek,
W polu malowany,
Chtóż ci go zmolcwoł?
Jasienko kochany;
A w tym ogródecku
Czerwone goździki,
Zapsegaj, zakładaj,
Te kare koniki.
Jakże ich zapsegac?
Kiedy się pluntają,

Cięzki zol dziewczynie
Kiedy jój ślub dają.
Wysia z kościelecka
Juzci nie dziewecka,
Świeci się i świeci
Na głowie'siotecka.
Siotko mojo, siotko,
Ciężys mi na głowie,
Wiozku mój ruciany,
Juz mi nie po tobie.

Na rozstajnej drodze pod figurą, przystanął przodem jadący starszy družba i zbliżywszy się do panny młodej, ofiarował jój kołacz, pytając co woli: kołacz, czy pana młodego?—Panna młoda odpowiada:

Kołoc i pona młodego,
Zeby robił na niego.

Zbliżając się do miejscowej karczmy przystanęli i znowu rozległ się śpiew:

Wyńdź de nos noso poni korcmorecko,
 Wyńdź do nos;
 Weź gozolecki,
 We dwie flasecki:
 Cęstuj nos.

Ucieszona karczmarka z licznych gości, wybiegłszy przed sień, poczęła ich zapraszać, ażeby weszli do izby; goście też niedługo czekając, hurmem rzucili się do drzwi, a gdy nareszcie i grajek dotłoczył się zdołał do ławy w kącie stojącej, rozpoczęły się tańce przy wesołych śpiewkach i wykrzykach.

Tymczasem druchny przypominając o potrzebie posiłku zaśpiewały:

Pzeleciol siwy gołumbek bez dumbek,
 Zróbze storsy družbo kole stola pozundeck.

Družba więc z karczmarką zaczynają się krzątać i stół zastawiać, gdy druchny śpiewają:

Druzebko starsy ,	Ty bundź najdbalsy ,
Ty bundź najdbalsy ,	Stoly zastowiajcie ,
U stolika stój ,	Ludzi zasodzajcie ,
Pozondecek strój ;	Bo juz cas .
Druzebko starsy ,	

„We słowie naso karcmarocko, we słowie,
 Rozposterła bioly obrus na stole”.

Jest zwyczaj, że do uczyty takiej w karczmie się odbywającej, wszystkie zaproszone na wesele swachny powinny przygotować zawczasu kołacze i przyniosłszy je ze sobą, złożyć na stole dla wspólnego użytku. Gdy więc družba zastawia stół różnemi potrawami, kobiety śpiewają:

Z wiecora pod ciemne nocce,
 Wyjnuicie swachny na stół kołoce.

Zdarza się czasem, że ta lub owa nie przyniesie ze sobą kołacza, wstyd to wielki; dlatego też takie starają się jak mogą najnieznaczniej, gdzieś tam hyłkiem po podścianą zająć, albo za drzwi, żeby ich nie uważano: nie

zawsze się to uda a skoro tylko spostrzegą takiego dezertera, zaraz na całe gardło wołają:

Jak do gozołki to swochny były,
Jak do koloey, to się pokryły.

Ukończono przygotowania do obiadu, starszy družba posadził na pierwszém miejscu rodziców panny młodej, dalej rodziców pana młodego, państwa młodych, starszego swata, a gdy się się potém kręcić zaczął, komuby następane miejsce ofiarował, druchny zanuciły:

Prosiemy cię storsy družbo, prosiemy,
Niechze my tu karcmareckę za ciosowym stołem widzimy.

Kłopot starszego družby przy rozsadzaniu kompanii jest wielki, albowiem o każdym musi pamiętać, nikogo mu opuścić nie wolno, a jeżeli przypadkiem kogoś brakuje lub w tyle się został i dla niego stosowne miejsce musi pozostawić. Żartując z tych kłopotów biednego družby, druchny przyspiewują:

Sam se rod storsy družba, sam se rod,
Uwią się kole swachnów kieby dziod;
Rozłożył nos storsy družba, rozłożył,
Buty mu się porozporoły i wiecheie wyłożył.

Tańce i obiad zajmują kilka godzin czasu, kiedy więc družyna powstanie od stołu, już się dobrze zmierzchać zaczyna; wtedy śpiewają:

Dziękujemy Najświętszy Pannie Maryi,
Po obiedzi, po dobrem,
I ponu ojcę, poni matce, ponu młodemu, ponnie młody,
Dziękujemy po dobrem.

Tymczasem rodzice panny młodej wysunawszy się z karczmy cichaczem, naprzód podążają do domu, dla przyjęcia powracających weselników, cała zaś družyna postępuje wolniej przy śpiewie:

Zabierojcie się moje swocikowie juz nom cas,
Daleko drogo, głęboko wodo, ciemny las;
Do domu swacikowie, do domu,
Nie zastumpiajcie w tej austeryi nikomu.

Panno młodo bieście,
 Do dumu się spiescie,
 Zabiroście się swocikowie już nom čas,
 Do pona ojca, do poni motki na popas.

Przybywszy przed chałupę rodziców panny młodej, znajdują wrota od podwórka zamknięte. Zwyczaj to jest taki, że przybyli naprzód rodzice umyślnie się zamykają; nie zraża to bynajmniej weselników, ale zaczynają się targować o otwarciu wrót, śpiewając:

Od górza naso družyna od górza,
 Uprasamy się u pona ojca u poni matki podwóza.

Wrota się otwierają, lecz nowa przeszkoda, bo drzwi do chałupy zamknięte; znowu więc śpiewają.

Z jesieni nase wesele, z jesieni,
 Uprosimy się u pona ojca u poni matki do sieni.

To znowu:

Od wizby nasa družyna od wizby (wierzby)
 Uprosimy się u pona ojca, u poni matki, do izby.

Wpuszczono ich nareszcie do izby, lecz tu starzy rodzice udają, że z nich są nie kontenci, że nie wiedzą po co tu przybyli, a więc nowy śpiew:

Od Worki naso družyno, od Worki,
 Uprosimy się u pona ojca u poni matki gozołki.

Nowa biada, bo gorzałkę postawiono z gąsiorem, ale kieliszka znów nie ma; więc śpiewają:

Od Gdońska nasa družyną, od Gdońska
 Uprosimy się u pona ojca u poni motki kiliska.

Dopiero wynoszą kieliszki, szklanki, garnki, podają do stołu dawno przygotowane potrawy, dla których kobieta pełniąca obowiązek kucharki, cały dzień w domu zostawała, a po uczcie przy towarzyszeniu grajka zaśpiewano chórem:

Dziękujemy Ponu Bogu po obiedzie, po dobrem
 I ponu gospodozowi z ponia gospodynją dziękujemy po dobrem;

- A były to picenie
A wszystkie jelenie.
Dziękujemy ci ponie gospodozu z ponią gospodynią, po dobrem:
A były to kołoce,
A wszystkie z psenice.
Dziękujemy ci ponie gospodozu z ponią gospodynią, po dobrem:
A były tu talize,
A wszystko poliwa.
Dziękujemy ci ponie gospodozu z ponią gospodynią, po dobrem:
A były tutaj uoze,
A wszystko stolowe.
Dziękujemy ci ponie gospodozu z ponią gospodynią, po dobrem:
A były tutaj łyżki,
A wszystko stolowe.
Dziękujemy ci ponie gospodozu z ponią gospodynią, po dobrem:

Poczem skłaniają się rodzicom panny młodej:

Powiedzielo synkorko,
Ze je piwo, gozolko;
Powiedzielo trenico,
Ze je piwo piwnico.

A dajciez nam, naliwojciez tego piwka dobrego.

Późno w noc przeciągają się tańce, dopiero kiedy to ten, to ów zmęczony całodziennym ruchem, śpiewem, wesołością, rozmarzony licznymi kieliszkami wódki, piwa, krupniku, zacznie się na nogach słańać i szukać gdzieś spokojniejszego kąta, to na przypiecku, to na ławie, to pod ławą, to w sieni, to w stodółce, to na poddaszu; kiedy nareszcie i państwo młodzi zamysłają udać się do przygotowanej dla nich komory, wówczas cały chór swachen przy odgłosie skrzypeków wyśpiewuje następującą pieśń:

Dobronoc Matce Boski, dobronoc;
Dobłą nockę oddajemy,
Sami służką ostojemy:
Dobronoc.

Dobronoc Ponu Jezusowi, dobronoc;
Dobłą nockę oddajemy,
Sami służką ostojemy:
Dobronoc.

Dobronoc poni matce, dobronoc;
Dobłą nockę i t. d.
Dobronoc ponu oju, dobronoc;
Dobłą nockę i t. d.

Dobronoc storsemu swatowi, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc storsy swochnie, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc ponu młodymu, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc ponnie młody, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc młodszym swatom, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc młodszym swochnom, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc storsenu druzbie, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc storsy druchnie, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc młodszym druzbom, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc młodszym drucknom, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc muzykontowi, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.

Przed odejściem jeszcze po kieliszku wódki, po kawałku chleba i sera, przy śpiewie:

Kiedy zastukom zapukom,
 Do ty nowy budki,
 Wynieś-ze nom naso ponno młodo
 Chuć po kilisku wódki;
 I tok stukomy, i tok pukomy
 Az nom ustala siła:
 Wynieś-ze nom naso ponno młodo
 Chuć po kowołku syra.

Za chwilę rozchodzi się cała drużyna. Kilku młodszych i nie bardzo napiłych parobczaków, mówiący się, zwykle gdzieś ukryci, gdy posłyszają mocne wszystkich chrapanie, dopieroż wylazłszy z kąta ściągać temu pas, temu buty, temu czapkę, a temu sukmanę. To potem do dziewcząt: téj fartuch, téj trzewiki, téj chustkę; jeden wyprowadza z obórki zadziwioną krowę, drugi ciągnie na postronku kilka kwiczących prosiąt, trzeci toczy ogromną pustą beczkę od kapusty, a przewróciwszy dnem do góry i postawiwszy na środku podwórza, dopieroż tę krowę i prosięta koło niej wiązać, a rzeczy

wszystkie ściągnięte w najdziwaczniejszy sposób, po płocie, po drzwiach, po dachu, po kominie, po drzewach rozwieszać. Uporządkowawszy tak całą chałupę, sami się kładą, a za chwilę przy bladém świetelku stojącego w popiele na kominie zarzewia, zupełne nastaje milczenie, często przerywane silném westchnieniem podpiętego parobka, lub serdeczném chrapaniem i przewracaniem się drugich.

Nazajutrz rano, gdy słońce wyjrzało na śpiących weselników, zbudzili się wszyscy; ten spogląda po sobie: nie ma sukmany, nie pamięta czyli ją gdzie schował; drugi nie wie gdzie swoją czapkę zostawił, tamten szuka pasa, ten butów, dziewczęta znowu swojego.

Wiedzą wszyscy o figlu, który nastąpił, ponieważ jest on w powszechnym zwyczaju, dlatego każdy kładący się spać, o ile mu jeszcze słaba pamięć wódką zalana pozwoliła, starał się ukryć w pewnym miejscu, ażeby mógł być bezpiecznym od rabunku.

Nic nie pomogło, wszystkich wynaleziono, każdemu coś brakuje; dlatego to teraz dziwy, wrzask, hałas: ten się ogląda po sobie, ów się odgraża.

Na podwórku tymczasem składają rzeczy zabrane około beczki. Parobczak wlaższy na nią zapowiada wielkim głosem jarmark, zapraszając i zachęcając wszystkich do kupowania swoich własnych rzeczy.

Często się zdarza, że dla lepszego rozweselenia kompanii i odwrócenia niechęci za wyrządzony figiel, parobek zapowiadający jarmark wpadłszy w zapal oratorski, silnie uderza nogą w dno beczki na której stoi.

Umyślnie słabo urządzone dno załamuje się a nie szczęśliwy orator spada nagle ze swojej wysokości, i ku ogólnemu rozweseleniu obecnych, kryje się we wnętrzu beczki, zkąd zaledwie przy pomocy drugich wydostać się może.

Po ogłoszonym jarmarku powstaje ścisk, wrzask, hałas; każdy spieszy z wykupnem za kilka groszy co swojego, ażeby czempredzój się ubrać i nie wstydzic z podejścia.

Uzbierany ztąd fundusz przeznaczony jest dnia tego na wspólną hulankę; posyłają zaraz do karczmy i przy-

noszą kilku-garncową flaszkę gorzałki, przy której na tańcach i wesołości upływa czas aż do obiadu, w ten sam sposób co i wczorajszy się odbywającego.

Przed wieczorem następuje ważny obrzęd oczepin panny młodej.

Na środku izby postawiono stółek, na tym ogromną pierzastą poduszkę a swachny zaczęły śpiewać:

Juz słuńce zasło w rogu zapiicka,
Zabirój się mój Maryś do cypecka.

Wtém grajek odezwał się dziarskim oberkiem, a starszy družba ująwszy pannę młodą do tańca, jednym silnym zamachem stara się posadzić ją na poduszkę.

Maryś, o ile może chce tego uniknąć, w końcu jednak ulega. Tu dopiero następuje ścisk, wrzask, szarpanie: będąc raz obecny téj ceremonii, sądziłem że to bitwa jakaś nastąpiła, i gdym chciał wdaniem się mojem strony uspokoić i pogodzić, stara jedna kobieta widząc to, z uśmiechem zadowolnienia powiedziała:

„Niech się wielmożny pon nie boi, tu nic złego nie będzie: to zwycoj taki, to zwycoj”.

Był to obrzęd zdejmowania pannie młodej trzewików: o trzewiki te powstaje spór między družbami i druchnami; zwyczaj jednak każe, ażeby te pozostały przy druchnach, a družbowie muszą je pieniędzmi wykupić.

Nowy śpiew:

Juz słuńce zasło; je w rogu sieni;
Wyjmujcie swochny cypki z kieseni.

Każda z kobiet starszych zaproszonych na wesele, powinna ze sobą przynieść jakikolwiek czepek, jako podarunek dla panny młodej; jeżeli nie wszystkie pamiętały o zwyczaju, muszą wysłuchać następującej przy-mówki:

Jak do gozółki, to swochny były,
A jok do cypka, to się pokryły;
Nase swochnioki zjodły pól krowy,
Nie okryły nasy ponnie młoděj nim głowy.

A wy swochny, swochniecki,
 Złóćcie się i na cypecki,
 Niech nie siedzi między nami
 Jako kolek uciosany.

Do oczeplin przeznaczają się zawczasu ogromny czépiec tiulowy, uszyty staroświecką modą polską, z ogromną stojącą główką i wysokiem podwójnem garniowaniem; w czéпки bowiem takie, jakie teraz noszą od święta, wiejskie kobiety, w okolicy Czerska, jako też przeznaczone do oczeplin, widzimy na portretach przystrojone wszystkie niemal nasze babki i prababki.

Czépek ten przybrany jest w szerokie i długie wstęgi.

Najpiękniejszy dar jaki można złożyć pannie młodej, stanowi właśnie ów czépek; dlatego bywa on często darem albo samęj dziedziczki, jeżeli dziewczka służyła we dworze, i odznaczała się dobrém sprawowaniem; albo też kogoś innego, jak np. pani ekonomowej, pisarzowej, karczmarki, owczarki, gorzelanęj: w ogóle kogośkolwiek z arystokracji wioskowęj.

Jeżeli zaś nikt z powyższych osób daru tego nie ofiaruje, w takim razie kobiety starające się o czépek, udają się z nim zwykle do pani ekonomowej lub innej podobnej prosząc o przystrojenie czepka podług swojego gustu.

Nim ten czépiec dostanie się na głowę pannie młodej, kładą jęj po rozpleceniu warkocza, różne czéпки ofiarowane przez swachny, które ona zdejmuję i chowa pod fartuch; następnie swachny wydzierają chłopom czapki i te pakują na głowę Marysi: dopiero ci datkiem pieniężnym, każdy z osobna musi swoją czapkę wykupić, a pieniądze ztąd uzbierane są już wyłączną własnością panny młodej.

Kiedy jęj włożą czépek weselny, uważa się wówczas za oczeploną, a swachny śpiewają:

Nasa Marysia, nasa
 Będzie gozółki fłasa;
 Przyjdz ponie młody du nas;
 Wykupis se juz od nas,
 Nasa Marysia, nasa

Będzie gozółki fłasa,
 Warta Marysia, warta
 Będzie gozółki kwarta.
 Walec Marysia, walec,
 Będzie gozółki gorniec;

Zrobiliśmy ci panią,
Pięknie ci patzyć na nią;

Wśródzie bendzie siodoła,
Gozoleckę spijola.

Przystępuje potem pan młody trzymając w rękę dwie flaszki: jedną z wodą, drugą z wódką; nalawszy kieliszek wodą podaje go pannie młodej, lecz ta wzięwszy kieliszek z wodą wylewa go na pana młodego, mówiąc: iż nie zwyczajna pijać wody kieliszkiem.

Obrażone niby swachny takim lekceważeniem względem panny młodej, zaczynają się dopominać zadosyćuczynienia; więc pan młody nalawszy kieliszek wódką, przy ciągłych okrzykach: „Wiwat! pije zdrowie Marysi”, kieliszek od niego przechodzi do starszej swachny, od tej do panny młodej, następnie do starszego swata i tak dalej wszystkich kolejno obchodząc.

Tymczasem grajek zaczął grać pieśń zwaną *chmielem* i starszy družba, włożywszy pannie młodej trzewiki, poszedł z nią w taniec, przy śpiewie druchu i družbów:

Zebyś ty chmielu na tycki nie laźł,
Nie robiułbyś ty z ponienek niewiast;
Oj chmielu, oj nieboze,
Niech ci Pon Bóg dopomoze:
Chmielu nieboze.

Ale ty chmielu po tyckoch łazis,
Nie jedną ponnę z wionecka zdrazis;
Oj chmielu, oj nieboze,
Niech ci Pon Bóg dopomoze:
Chmielu nieboze.

Oj chmielu, chmielu, ty bujane aiele,
Nie bandzie przez cię zadne więsiele;
Oj chmielu, oj nieboze,
Niech ci Pon Bóg dopomoze:
Chmielu nieboze.

Oj chmielu, chmielu, ty rozbójniku,
Rozbinieś dziewecynę na pastewniku;
Oj chmielu, oj nieboze,
Niech ci Pon Bóg dopomoze:
Chmielu nieboze.

Przy tym śpiewie panna młoda przetańczywszy ze dwa razy około izby ze starszym družbą, każdemu

z obecnych powinna skłonić się do nóg i prosić z sobą do tańca, niepomijając najmniejszego dziecka: byłoby dla niej wielkiem zmartwieniem, gdyby ktoś odmówił jej prosić. Nieraz w chałupie znajduje się gromada złożona z sześćdziesiąt lub osmdziesiąt ludzi, ze wszystkimi jednak, choć parę razy wkoło izby trzeba przeńczyć: to też pot strumieniem się leje z czerwonej twarzy Marysi, ale za to gdy skończy taniec, rozpoczyna się pocieszająca dla niej ceremonia, albowiem starszy družba biorąc przygotowany talerz białą okryty serwetą, każdego z gości obchodzi w towarzystwie druchen, które śpiewają:

Tseba jěj doć, nie załowac,
Tseba jěj doć ciele z kojca;
Odstępuje matki, ojca:
Tseboć jěj, tseboć jěj,
Bo juz idzie od maci.
Tseboć jěj dać na sitko,
Bendzie miola na wsytko;
Tseboć jěj dać na wzečiuo,
Powi Jasio: dobre zuno.
Tseboć jěj dać na nieculkę

Bedzie miola kompoć córkę,
Tseboć jěj doć na gornusek
Bedzie jodoł bębłusek (chłopiec).
Tseboć jěj doć na floseckę:
Una lubi gozoleckę.
Tseboć jěj doć na miskę,
Tseboć jěj doć na lyzkę,
Tseboć jěj doć na wszytko,
Na gospodarstwo nie załowac.

Poczęły się sypać złotówki i dziesiątki, każdy z jakim mógł, spieszył datkiem; starszy družba zgarnął zebrane pieniądze, które zwykle kilkadziesiąt złotych, a czasem i nierównie więcej wynoszą i na nowo obchodzić zaczął, zaczynając od rodziców panny młodej:

Pani matko nie załujze,
Chuć talorka podarujze.

a gdy mu dano miedziaka:

Oj nie tego, nie tego,
Tseba jěj doć bialygo.
Ponie ojce nie załujze,
Chuć talorka podarujze.
Starsy swocie nie załujze
Chuć talorka podarujze,
Starsa swochno nie załujze
Chuć talorka podarujze.
Młodse swoty nie załujciez
Chuć talorka podarujciez.

Młodse swochny nie załujciez
Chuć talorka podarujciez,
Starsa druchno nie załujze
Chuć talorka podarujze.
Młodse družby nie załujciez
Chuć talorka podarujciez.
Młodse druchny nie załujciez
Chuć talorka podarujciez.
Muzykonce nie załujze
Chuć talorka podarujze.

Panie młody nie załujze
Chuć talorka podarujze.

Oj nie tego, nie tego
Tseba jěj doć białygo.

A gdy pan młody ociąga się z datkiem:

Panie młody nie bundź głuchy,
Bo jěj tseba na pieluchy,
Panie młody nie załujze,
Chuć talorka podarujze.
Oj nie tego, nie tego
Tseba jěj doć białygo.

Pan młody oddaje więc swój woreczek z pieniędzmi, czyli jak chłopci nazywają *kalotkę*, musi jednak wysłuchać przymówkę:

Ceber wody wychleptola
Nim selunzek wydeptola.

Rozmaite sceny miewają prócz tego miejsce, jakoto: kulenie panny młodej, gdy kto mały datek położy, podkuwanie jěj nóg głównią i t. p., wszakże sceny te nie należą do obrzędu, a zależą raczej od wesołości, humoru bawiących się i wystawności wesela.

Następuje w końcu kolacya, w czasie której posługują družbowie; ci wnosząc misy z potrawami, za każdą razą pozdrawiają biesiadujących *pochwołonym* i śpiewają stosownie do potrawy, jaką niosą:

Niesiem rosół z gajdokami (kartoflami)
I różnemi mięsiami.
Niesiem miskę pełną jogły (kaszy jaglanej)
Zeby się druchny najodły.
Niesiem gajdy z kapustą.
Smačno słono i tłusto.

Zasiedli potem družbowie, a druchny zaczęły im nawzajem usługiwać.

Na ostatnie danie wnoszą ogromny garnek przykryty miską i stawiając go na stole, śpiewają:

Niesiem wam zwiezynie, zwiezynie,
Jakiejście nigdy nie jedli.

Starszy družba wstaje z ciekawością, zdejmuje pokrywę z garnka, a wtém ogromny kot wyskakuje na stół

i przestraszony zmyka prosto na zapiecek lub do sieni: śmiech i wrzask powstaje wielki.

Sagan krupniku kończy tę kolacją, a nim goście od stołu powstaną, starszy swat wzięwszy do ręki warząchew, uderza nią w stół i woła:

Naso kuchorecko gotowało piepsuo, słono;
Tera prosi zeby jój co dano.

Sypią się wówczas piątki, groszaki, trzygroszniaki, i kucharka znajduje w tém wynagrodzenie za swoją pracę.

Na tém zwykle kończy się obrzęd weselny, chociaż jeszcze przez dni kilka, zazwyczaj rozochoceni ludziska piją i hulają. Przed laty, ku wielkiemu zawsze zmartwie niu rządców i ekonomów, wesela nigdy krócej nie trwały nad tydzień; najpilniejsza choćby była wówczas w polu robota, jeżeli we wsi lub w drugiej było wesele, nie było co robić, tylko poddawszy się losowi, cierpliwie czekać, póki nie przejdzie weselny tydzień i wódka z głowy nie wyszumi.

Po weselu dopiero następowały częste i gęste razy; ale wszystko to naprożno: był to już taki zwyczaj, a zwyczaj u chłopca, zwłaszcza taki, do którego wchodziła zabawa lub wódka, był prawem świętém, nietykalnym, którego strzegł jak oka w głowie i obstawał za niem tak, jak dawniejsza drążkowa szlachta krzychała za swoim *liberum veto*.

Dzisiaj, czegoby wówczas nic w świecie nie oduczyło, tego po części bieda, a głównie zmiana stosunków włościańskich oducza. Rzadko już dzisiaj usłyszeć o weselu, któreby tydzień trwało: po większej części ograniczają się teraz na *trzydniówce*.

Radykalna zmiana, jakiej od pewnego czasu uległ odwieczny byt naszych włościan, przez zniesienie pańszczyzny i usunięcie ich z pod władzy dziedziców, nie mogła pozostać bez ogromnego wpływu na ich zwyczaje i tradycje; zerwany został węzeł patryarchalny, który niegdyś łączył pana z chłopkiem; pilno temu ostatniemu zakosztować nowej swobody, jakiej się wreszcie doczekał, i ani chce wiedzieć o zwyczajach, jakich się względem swoich panów trzymali dawniej ojcowie.

Tak np. bywał przed laty zwyczaj, który jeszcze zapamiętam, przed rokiem 1846, że ojcowie łączącej się pary, przed weselem przychodzili do dziedzica, radzić się, jak powiadali *starszej głowy* i prosić o pozwolenie i błogosławieństwo dla dzieci.

Po weselu zaś, trzeciego dnia, to jest we wtorek, zwykle oboje państwo młodzi przychodzili z rana do dwora, przynosząc państwu w ofierze kawałek ciasta pszennego i sera.

Nazywało się to *stólinami*, jako pochodzące ze stołu, to jest z wieczerzy pożywaną drugiego dnia, czyli w poniedziałek, i za ofiarę tę nowożeńcy hojnie bywali obdarowani. Najpierwsza ofiara, ta, jaką odbierał dziedzic od nowożeńców, sięgała może jeszcze odwiecznych czasów przedchrześcijańskich pogańskiej kunicy.

Ale zwyczaj ten pewno już poszedł w zapomnienie, a tak samo wiele innych tradycyji i pamiątek, dawnych stosunków dawnego społeczeństwa, pojęć, wyobrażeń, instytucyji i przesądów, które przez ciąg mnogich wieków pomiędzy naszym ludem się kołatały, bezpowrotnie dziś ginie i wiecznemu ulega zapomnieniu.

III.

NIKTÓRE ZWYCZAJE I PRZESĄDY.

Mieszkanie.

Spojrząwszy na chałupę poznać to zaraz można, jeżeli w niej jest dziewczka, mająca chęć pójścia za mąż: są to białe znaki, któremi dziewczka całą chałupę od dołu do góry pod poszycie dokoła wapnem obznacząją.

Około chałupy tak obznaczonej i widnej z daleka, bywa zwykle porządniej nieco jak około drugich: przede drzwiami codzien zamiecione, pod okienkiem kilka kwiatków, najczęściej żółtych nagietków, chruscianym płotkiem ogrodzonych.

Porządek ten bywa rekomendacją dobrych przymiotów dziewczki, przed okiem parobczaka szukającego żony gospodarniej.

Na progu chałupy przybitą być powinna podkowa końska, dla ochrony mieszkańców domu od uroków i czarownic.

Zwyczajem też jest powszechnym, w wigilią św. Jana obwieszać poszycie chałupy, czyli dach gałązkami bylicy, której kilka wiązek wraz z piołunem, zarzuca się także i na poszycie.

Wewnątrz mieszkanie gospodarza jest następujące:

Wchodząc z sieni, po jednej stronie jest mieszkanie ludzi, a po drugiej bydła, zwłaszcza krówki lub najczęściej świnki albo wieprza.

Prosto z sieni wchodzi się do izby: tu znajduje się komin, piec do chleba czyli szabaśnik, murek czyli zapiecek, będący w ziemie siedzibą kur, oplacających się za to wczesnym znoszeniem jaj i wysiadywaniem kurcząt.

Stoi tu łóżko zasłane niebieską lub różową pierzyną, czasem dwa; parę stołków czerwono malowanych, stół na krzyżowych nogach, pułki do zatykania łyżek, stawiania mis i garnków, a na ścianach kilka obrazów częstochowskich i palma z Kwietnej niedzieli.

Jest to dla chłopka wystarczające: w tej izbie on prześiaduje, sypia, jada wraz z żoną, dziećmi i parobkiem, a codziennym tam bywa gościem i wieprzak, któremu gospodyni ładuje szaflik ciepłych pomyjów.

Jeżeli przytém przybędzie gospadorzowi wśród zimy ciele lub gromadka prosiąt, wychowują się one wspólnie korzystając wzajemnie z ciepła, z jednego pochodzącego ogniska.

Z tyłu chałupy, za izbą jest komora, czyli alkierz, zwykle ciemny, bez okna, tylko używający światła z wyciętej dziury w ścianie, zamykającej się odpowiednim kawałkiem bala osadzonym na czopie.

Komora ta jest właściwie tak, jakby skarbem włościanina: tam się przechowuje odzienie, płótno, przedziwo, zboże w worku, beczka z kapustą, często pieniądze w garnku, w kącie piaskiem przygrzebane. Stoją tam skrzynki

malowane w żółte i czerwone kwiaty i tam sypiają dorosłe dziewczki, jeżeli te znajdują się w chałupie.

Wychodząc z mieszkania na robotę, zwłaszcza wśród lata, lub do kościoła, albo na jarmark lub wesele, gospodarze zamykają chałupę na kłódkę, jeżeli w izbie są małe dzieci: bywa to często dla nich powodem nieszczęśliwych przypadków śmierci z oparzelizny lub spalenia, przez rozgrzebanie ognia przysypanego popiołem na kominie i brak ratunku.

Zamykanie to nie chroni nawet mieszkania od złodzieja, gdyż takowy dostaje się najczęściej do izby wystawwszy okno, słabo na zewnątrz wsadzone, i tylko gwoździem ze dworu przybite.

Zaraz za chałupą pod oknem znajduje się dół albo piwnica ziemią obsypana, w której zamożniejsi gospodarze trzymają produkta takie, których w izbie lub alkierzu pomieścić nie mogą, jak kartofle i kapustę: w pewnym zaś oddalenia od chałupy, jest stodoła i obórka.

IV.

U B I Ó R.

Ubiór włościanina jest następujący: letnią porą, w dnie robocze, najczęściej chodzą boso, w spodniach płóciennych z wyciągniętą na wierzch koszulą zapiętą w biodrach paskiem skórzannym, u którego wisi na rzemyku *cyganek* albo *kozik*, to jest nożyk w drewnianej osadzie.

Na głowie kapelusz niski filcowy, obciągnięty u dołu białymi i czerwonymi sznurkami, złotym szychem i przyozdobiony na przodzie pawiem piórkiem.

Kobiety zameżne noszą spódnice w białe i niebieskie pasy, z tak zwanego szorcru, także fartuchy, na szyi kolorowe bawełniane chustki; głowa związana w chustkę białą lub kolorową.

Tak samo chodzą i dziewczki, nadto kładą na ramiona fartuch szorcrowy na podobieństwo płaszcza zawiązując go na piersiach.

Dzieci nieodmiennie zimą i latem chodzą w jednej tylko koszuli, bez czapki i boso; starsze dopiero, które zaczynają bydło lub swinie pasać, odziewają się fartuchami matczynemi; kładąc je na głowę, zawiązują pod szyję: tym sposobem robią sobie rodzaj płaszcza, mając zarazem i nakrycie na głowę; na nogi wdziewają stare ojcowe buty, ztąd chód wieśniaków od lat najmłodszych staje się powolnym i ociężałym.

Zimową porą wieśniacy na codzień kładą kozuchy, na które wdziewają sukmany z grubego siwego sukna; kobiety ubierają się w długie kaftany kolorowe na wacie: z resztą ubiór ich nie tyle jest ciepły co męzki.

Na święto używają granatowej kapoty, długiej do kolan z czarnymi guzikami, bez żadnej innej ozdoby ani czerwonych kłapek, jak to ma miejsce pod Warszawą; na wierzch przepasują się wełnianym pasem w kilku kolorach: najczęściej w czerwonym i zielonym. Koszula karbowana u szyi zawiązana na ponsowy faworek czyli wstążeczkę, buty z długimi cholewami ściągnięte u kolan rzymkiem, jak podwiązka.

Na głowie najczęściej kapelusz powyżej opisany, czasem wysoka barania czapka, a dosyć często tak zwany kaszkiet czyli furażerka, to jest zwyczajna czapka z daszkiem.

W ogóle strój ten nie jaskrawy wygląda poważnie i porządnie.

Strój kobiet świąteczny jest taki: spódnica albo *kiecka* powinna być kwiecista; na kartonowej koszuli gorset ponsowy lub niebieski, albo innego koloru byle jaskrawy; na szyi kilkanaście sznurków koralu i paciorków z bursztynu lub szkła kolorowego; szkaplerz na czarnej tasiemce: chustka kolorowa na ramionach.

Na głowie u kobiet zamężnych duży czepiec z białego tiulu, u dziewcząt chustka biała lub kolorowa z puszczoneym z tyłu końcem, za którą zatykają w lecie kwiatki, jak: żółte nagietki, włoskie piwonie, bez i t. p.

W zimie bogatsze gospodynie używają tak zwanych *przyjaciółek* sukiennych, jasno zielonych z mosiężnymi guzikami, podbitych barankiem z klapami i kołnierzem lisywym; uboższe noszą *przyjaciółki* granatowe bez futra,

lub jak pod te drogie czasy, używają najczęściej długich watowych kaftanów.

W innych okolicach kraju, wiejskie kobiety są gospodarniejsze, jak w Czerskiem: wyrabiają same płótna, pasy dla mężczyzn, a nawet sukno na sukmany i szorc dla siebie na kiecki.

Ale w okolicy Czerska rzadko która z kobiet umie robić płótno, a wszelkie odzienie kupuje się na jarmarkach w Gorze Kalwaryi, Grójcu i Warce.

Dostarczycielami są żydzi, cena zaś odzieży w czasach obecnych nieproporcjonalnie się podnosi. Za sukmanę, za którą płacono przed laty kilkunastu złp. 18, dziś potrzeba dać zł. 40; buty męskie kosztują dziś zł. 24, trzewiki dla kobiety zł. 8, kozuch zł. 80.

Jeżeli mieszkańcy miast narzekają na drożyznę, widzimy, że wieśniacy témbardziej drogo muszą opłacać swoje potrzeby. Parobek biorący dziś w Czerskiem rocznie zł. 150, a w innych okolicach kraju po zł. 120, a nawet taniej, w żaden sposób nie jest w stanie za jedno-roczną płacę sprawić sobie całkowitego ubrania.

V.

U M A R L I.

Jeżeli ktoś w chałupie umrze, wtedy jako znak tego, przede drzwiami przewracają kołami do góry wóz ten, który ma służyć do wywiezienia ciała.

Jeżeli to gospodarz czy parobek zmarł, wówczas znajomi jego schodzą się, myją go, czeszą, ubierają w koszulę i spodnie, często na nogi kładą pończochy, bardzo zaś rzadko wdziewają buty, ponieważ to nie jest we zwyczaju.

Jeżeli zapisanym był do bractwa, to mu kładą do ręki krzyżyk, albo szkaplerz, i tak chowają.

Trumna bywa zwykle zbita z desek niemalowanych, z czarnym krzyżem, na wieku węglem narysowanym.

Kobiety zmarłe ubierają tak, jak się za życia nosiły, stosując się nawet do upodobania zmarłej w ubraniu głowy.

Kolory, w jakie zmarłą kobietę godzi się ubierać, są: żółty, biały i niebieski; kolor czerwony jak do ślubu, tak i do trumny wcale się nie używa.

Długi czas po śmierci rodziców, krewnych a nawet i kumów, staraniem żyjących jest dawać za nich na przypominki, które po kilka lat nawet się ciągną.

Mogiły zabitych.

Na mogiłach przypadkowo zabitych czy to po lasach, czy przy gościńcach, każdy z przechodzących winien zawsze porzucić gałązkę; tworzą się ztąd dość znaczne kupy, które kompanie pobożnych udające się do miejsc świętych, palą.

Znaczenia zwyczaju tego lud dzisiaj już nie rozumie, ale go tradycyjnie aż dotąd przechowuje.

Samobójcy.

Przykłady samobójstwa u ludu, lubo nie dość częste, ale się zdarzają. Wieśniak nie wiele wagi przywiązuje do życia, skoro na niego napadnie ciężka jaka turbacya, na którą nie może sobie poradzić.

We wsi pod Czernskiem, kobieta niezbyt dawno wyprawivszy dzieci do lasu na jagody, kiedy mąż pracował u żniwa, zamknęła się w chałupie, wypila pół kwarty wódki i położywszy się na murku, kosą gardło sobie przerznęła.

W innej znowu wsi, pastuch jesienną porą gdzieś zginął; znaleziono go dopiero przypadkiem na wiosnę, powieszzonego i wyschłego już na górze nad wozownią, na którą nikt przez całą zimę nie zaglądał: był to pijak i włóczęga.

Wisielników takich, jak ich lud nazywa, chować się powinno na rozstajnych drogach i jest powszechna wiara, że djabli ciągnąc do piekła duszę człowieka powieszzonego, sprawiają mocny wicher na świecie.

Upiór, Strzyga.

Upiór a strzyga jest wszystko jedno. Są różne sposoby zaradzenia temu, ażeby upiory nie szkodziły.

Jeżeli o zmarłym jest pewność, że będzie upiorem, to można go położyć w trumnie twarzą na dół, a plecami do góry, albo też należy mu uciąć głowę i włożyć między nogi.

Jeżeli ktoś pochowany już z grobu wstaje i przeszkadza, należy grób odkopać i trumnę postawić naodwrot: tam gdzie była głowa, to nogi, a gdzie nogi, to głowa, albo jeżeli nie to, trzeba przebić trupa kołkiem osikowym.

Strzyga po śmierci we dnie niewidzialna, najczęściej przebywa nad kościołem, nad chórem kościelnym i ztamtąd różnemi głosami się odzywa. Ktokolwiek z rodziny strzygi pokaże się w kościele, a strzyga go zobaczy, ten w krótkim czasie musi umrzeć.

Ludzie, którzy są strzygami, takimi się już urodzili: poznać to można po dziecku, które przychodzi na świat z zębami.

Z m o r a.

Jeżeli kobieta, która przyjdzie trzymać dziecko do chrztu, a będąc pijana, i mówiąc za księdzem pacierz, zamiast powiedzieć Zdrowaś Marya, powie po pijanemu *Zmorać*: taka zostaje zmorą.

Chodzi ona zawsze blada i nędzna w nocy, choć sama o tém nie wie; wstaje zawsze i cokolwiek wówczas napotka, to dusi.

Jeżeli napotka bydłę, to dusi bydłę; jeżeli drzewo, to drzewo, a jeżeli człowieka a najczęściej mężczyznę, to się kładzie na niego i dusi.

Nikt zmory zobaczyć nie może, ponieważ ona w rozmaite rzeczy potrafi się przedzierać, a najczęściej w słomę.

Kto już nieraz doświadczał duszenia zmory, a chciałby się od niej uchronić, powinien idąc spać położyć się

głową tam, gdzie były pierwój nogi, a nogami tam, gdzie była głowa.

Zmora przyszedłszy myli się i myśli, że człowiek tak samo śpi jak dawniej; kładzie się i nogi mu dusi.

Można też zmorę omylić i innym sposobem, idąc spać gdzieindziej, a na dawnym miejscu zrobiwszy posłanie, uwiązać pęczek słomy i przykryć go: zmora wówczas myśląc, że to człowiek, dusi słomę.

Upewniano mnie, że to wszystko o zmorach jest prawda najświętsza.

Czarownice.

Można poznać czarownice następującym sposobem: wieśniak, któryby chciał to zrobić, powinien w ostatni wtorek zapustny schować kawałek sera i ciągle go przy sobie nosić, ażby wysechł; dopiero w samą wielkanocną niedzielę będąc w kościele, powinien wleźć na chór, a włożywszy ser w gębę, będzie mógł widzieć wszystkie czarownice, które są tylko w kościele: przekona się wówczas, że nie wszystkie siedzą w szkopkach na głowie, tyłem do ołtarza i żadnych świątobliwości nie widzą, tylko przed każdą stoi kostór i pomiotła, choć na oko zdają się być takimi kobietami, jak drugie.

Kto się jednak odważy na to, powinien być wytrwałym, gdyż w czasie tym kiedy będzie ser przy sobie nosił, różne go będą nawiedzać choroby, strachy, kolki, ale nic na to zważać nie powinien.

W czasie processyi około kościoła, nigdy czarownica trzy razy kościoła nie obejdzie, ale tylko dwa, a za trzecim pod jakim bądź pozorem, albo się zostanie na boku, albo też nieznacznie gdzieś się wymknie.

Czarownice, jak wiadomo, odbierają krowom mleko, ale mają one taką moc, że jeżeli mleka dla jakichbądź powodów odebrać nie mogą, to potrafią go zepsuć tak, że albo będzie się doilo czerwone jak krew, albo też choćby go zaraz nawet po udojeniu przystawić do ognia, to się natychmiast zwarzy.

Chcąc odwrócić czary od krów i wrócić im mleko, potrzeba świeżo przyniesione od krów przelać, albo przez

dziurę z wypadłego sęka w wiórku lub desce jakiej, albo przez rozpalony sierp, albo przez rozpaloną podkowę końską.

Ktoby też chciał zmusić czarownicę do powrócenia krowom mleka, przytęm ukarać ją i dowiedzieć się zarazem, która to z nich psotę zrzędziła, powinien powązkę, przez którą się mleko cedzi, włożyć w nowy garnek, włożyć w nią *trzy dziewięci* (zapewne trzy razy po dziewięć) szpilek, nalać wodą i pod szpuntem gotować.

Przyleci wówczas czarownica i będzie się kręciła koło ognia, będzie zaglądać, będzie się dopytywać, co to w tym garnku się gotuje, a koniecznie będzie go chciała wyrwać, gdyż tyle kolek ją męczy, ile szpilek włożonych jest w powązkę; ale trzeba garnka dobrze pilnować, żeby go czarownica nie mogła przewrócić.

Cyganie.

Cyganie uchodzą powszechnie za czarowników. Oprócz ciągnięcia wróżb z ręki i kabał, któremi zajmują się cyganki, lud utrzymuje, że cyganie posiadają sztukę wypalania starych pajęczyn w stodółach, oblegających belki, krokwie iłaty, a to bez zapalenia słomianego poszycia.

Roznoszą oni także pomiędzy ludem a szczególnie pomiędzy dziewczętami korzonki jakieś zwane *lubkiem*, mające niby służyć do obudzenia miłości w mężczyźnie.

Ztąd wyrażenie *zadać komuś 'ubka*, znaczy czarami zmusić do miłości.

Owczarze.

Wielkimi także czarownicami są owczarze: lud wierzy w ich znajomość sztuki lekarskiej, w moc czynienia złego przez czary, oraz w to, że umieją choroby zażegnawać czyli tajemniczemi słowami je leczyć.

Sami owczarze uwiedzeni tym powszechnym o nich rozgłosem, oddają się nieraz zabobonnym praktykom.

Przed laty kilkunastu pamiętam jednego owczarza, który dla tego aby się uchronić od wojska, udał się do czarów; głośno się już w końcu odzywał, że przyszedł do tego, iż nie tylko wojska ale samego djabła się już nie lęka. Los jednak zrządził inaczej, owczarek wzięty został do wojska.

W jakiś czas potem ludzie wyrzucając gnój z owczarni, znaleźli schowaną w nim ludzką głowę nie zupełnie jeszcze z ciała opadłą; pokazało się, że owczarek zmówiwszy się z drugim z sąsiedniej wsi, poszli raz w nocy we dwóch na kierkut żydowski do miasteczka Góry Kalwaryi, a dobywszy zmarłego niedawno żyda, głowę mu ucięli i dla zaprzyjaźnienia się z djablem, różnym z tą głową oddawali się po nocach przesądnyim praktykom.

Gadki i baśnie.

Łatwo bardzo pomiędzy ludem tworzą się przesądne gadki i baśnie: w każdym zdarzeniu niezwykłym wieśniak rad upatruje przyczyn nadprzyrodzonych.

Komety będące zawsze przepowiednią wojen, pomoru lub innych klęsk, zaćmienia, zjawiska meteorologiczne, lata zbyt mokre lub suche, cholera, wywołują po wsiach proroków, o których w okolicy długi czas rozpowiadają.

W czasie mokrych lat pomiędzy rokiem 1845 a 1855 pamiętam, że opowiadano w okolicy Czerska o liście z nieba spadłym i znalezionym pośród lasów, na jednym polu zwanym Upadek, do dóbr Czaplinka należącym.

List ten zawierać miał przepowiednie klęsk, i był groźbą na zbyteczne zepsucie, jakie się zagęściło pomiędzy ludźmi.

Opowiadano także w czasie grassującej cholery w roku 1852, jakim sposobem cholera dostała się pod Czersk.

W okolicy miasta Warki mieszka szanowny bardzo obywatel pan G. S.; otóż jednego razu, w r. 1852, pan

G. S. jechał z kądciś z za Pilicy, a przejeżdżając przez most na rzece pod Warką czy pod Mniszewem, zobaczył stojącą na tymże moście pannę, całą w bieli. Panna poprosiła przejeżdżającego żeby ją zabrał z sobą na bryczkę, a ujechawszy z nim kawałek drogi, niespodzianie stanąć kazała, zesiadła, podziękowała za grzeczność, oświadczyła że jest cholera i zdziwionemu panu G. S. z przed oczu zniknęła. Rozumie się, że pan G. S. który w tej gadce odegrał rolę najważniejszą, o niczem podobnym nie wiedział.

Sposoby szkodzenia.

Nic łatwiejszego, jak komuś, do którego się ma urażę, zaszkodzić; dosyć jest tylko zakupić na niego świecę do kościoła, a wówczas ten, na którego świeca została zakupioną, dopóty tylko żyć będzie, dopóki się ta świeca nie wypali: poczem w najokropniejszych męczarniach musi życie zakończyć.

Ale potrzeba być człowiekiem złym i zawziętym, ażeby się do tego sposobu uciekać.

Złodzieja zgładzić można ze świata podłożywszy rzecz podobną do tej, jaką ukradł, pod umarłego, a niezawodnie w krótkim czasie umrze.

Można także komuś zaszkodzić, narazić go na chorobę lub na upadek w dobytku, spojrzawszy na niego źle; można oczami lub słowem w złej chwili wymówionem kogoś *urzeknąć* czyli *zadać mu urok* zupełnie nawet pomimowoli.

Na to są różne sposoby odczyniania uroków, praktykowane przez kobiety doświadczone i wytrawne.

Potrafią one także chorobę do mieszkania podrzucić.

Szmaty u krzyża.

Częstokroć widzieć się dają szmaty uczeplone u figury, czyli krzyża przy wsi stojącego: są to szmaty pochodzące z bielizny osób chorobą złożonych, które tym sposobem chcianoby z choroby wybawić.

Ktoby się przypadkiem połakomił na szmatę u figury związanej, do tego przeniosłaby się choroba osoby, do której szmata należała.

Złe, czyli djabeł.

Siedzibą djabłów czyli niejściem gdzie zwykle przebywać złe, są bagna i ługi w pośrodku lasów lub w miejscach odludnych położone. Stare kopce, mogiły i wzgórki jakie się po lasach znajdują, były podług mniemania ludu przez diabła sypane na pamiątkę, czyli téż w posagu dla córki jego, kiedy ją za mąż wydawał.

Wianki i Ziola.

Ziola potrzebne do wianków, jakie się święcą na Boże Ciało są następujące:

Boże drzewko, kopytnik, grzmotek, rozchodnik, macierzanka, nawrotek, rosiczka i czosnek borowy.

Wianeczek taki poświęcony w kościele, powinien dotrwać do nowego; dobrze jest okadzać nim jeżeli się *bolak* (wrzód) jakiś wyrzuca na ciele lub jeżeli bydło słabuje.

Na Matkę Boską Zielną dają święcić powiązane w pęczki ziola następujące: piołun, bylica, trzoscek, wrotycz, marchew, buraki, pietruszka, pasternak, żyto, pszenica, proso i groch.

Jaskółka, skowronek, kukułka, bocian, niedźwiadek.

Lud przekonany jest o tém, że jaskółki zimują w wodzie: na wiosnę stare jaskółki w niej pozostają i giną a tylko młode powracają. Pan Bóg dopuścił na jaskółki tę karę za to, że one łapią pszczoły.

Skowronki także na zimę nie odlatują, ale zimują pod kamieniami.

Kukułka na zimę przemienia się zawsze w kobusa, nigdy ona jak wiadomo gniazda dla siebie nie uściele i jaj swoich nie wysiaduje; ale je składa do gniazd innych drobniejszych ptasząt i te zmusza do wysiadywania.

Gniazdo bocianie, znajdujące się we wsi chroni ją od gradów i piorunów. Zakładając nowe gniazdo dla bociana, potrzeba mu włożyć koniecznie kawałek lusterka, żeby się przeglądał i pieniądze, żeby sobie rachował; inaczej bocian gniazda nie przyjmie. Zabijać bociana nie godzi się; zbyt liczne deszcze w r. 1855, przypisywali niektórym temu, że chłop jakiś zabić miał bociana.

Kto pierwszy raz zobaczy na wiosnę bociana w locie, jest to dobrą wróżbą: czasem to wróży podróż, najczęściej dobre zdrowie; złą jest wróżbą, jeżeli się zobaczy bociana siedzącego.

Chcąc w czasie suszy sprowadzić deszcz, należy złapać robaka w ziemi siedzącego, zwanego *niedźwiadkiem* i takowego na gałęzi powiesić: pomaga to niezawodnie.

Robak nazwany *maik*, który się znajduje tylko na wiosnę, moczony w oliwie, jest najskuteczniejszym środkiem przeciwko wściekliwości.

Nietoperz.

Kto złapie *latoperza*, to jest nietoperza, niechaj go zaniesie nocną porą do lasu i tam zagrzebie w mrowisku; po kilku dniach przyszedłszy do tegoż miejsca, znaleźć można tam kościane grabki i widełki. Pragnąc sobie kogoś zjednać, dosyć jest temi grabkami nieznacznie go ku sobie pociągnąć, tak samo jak odepchnąwszy kogo widełkami, można go na zawsze od siebie oddalić.

Grzechotki, święcenie bydła i owsa.

Zwyczaj jest powszechny w Czerskiem, że chłopcy w Wielki Piątek przez cały dzień biegają koło kościoła z grzechotkami i grzechoczą.

W dzień św. Rocha bydło się dogania przed kościół i tam się święci; na św. Szczepan święcić się zwykł w kościele owies: dawanie poświęconego owsa bydłu, chroni go od chorób i upadku.

Mierniki.

Jest przesąd u ludu, że jeometra, który za życia nierzetelnie wymierzał pola, wskazany jest po śmierci na błąkanie się nocną porą po tychże samych polach, a wtedy oczy mu się świecą jak latarnie, czyli lud powiada jak u wilka; zobaczywszy więc w oddaleniu światełko jakie, którego sobie wytłumaczyć nie umie, powiadają że miernik idzie.

Skarby, pieniądze zakopane.

Pieniądze w ziemi zakopane bywają dwojakie: *złe* i *dobre*.

Dobre są te, które się palą przed południem i po południu; *złe*, które coś złego pilnuje, palą się w południe samo i wśród nocy.

Pieniądze paląc się wydają zawsze płomień niebieskawy, który się unosi po nad ziemią; poznać można miejsce w którym się pieniądze paliły, po okrągłych dziurach w ziemi, przez ogień wypalonych, na podobieństwo tych jakie powstają od robaków.

W jednej wsi pod Grójcem, widzieli raz ludzie w samo południe jak się pieniądze w borze paliły; zebrała się cała wieś, przyszedł także i ksiądz ze święconą wodą i zaczęli kopać. Wykopali dół ogromny i zobaczyli w ziemi wielką skrzynię żelazną; już, już mieli ją dostać, sięgnęli po nią rękami, aż skrzynia z łoskotem głębiej w ziemię zapadła: odskoczyli wszyscy na bok, patrzą aż skrzynia znowu na wierzch wychodzi; sięgnęli drugi raz, na próżno, głębiej się jeszcze zapadła i znowu potem na wierzch wyszła! Widząc że pieniądze te muszą być złe, ksiądz wziął święconej wody z kropidłem i skrzynię pokropił: wtedy z ogromnym hałasem skrzynia całkiem w ziemi przepadła.

Przerazili się bardzo obecni, a widząc że nic przeciwko złemu duchowi nie poradzą, dół zasypali i nikt już więcej do tych pieniędzy się nie dobijał.

Miejsce cudowne w Czerskiem, zabytek pogaństwa, kamień Matki Boskiej.

Wież Pieczyńska odległa mil dwie i pół od Czerska, w której jest murowany kościół Matki Boskiej, znana jest powszechnie jako miejsce słynące cudami; liczne ściągają tam ze wsi okolicznych kompanie, udające się na głośne, na całą tamtejszą okolicę, odpusta.

W kościele tamtejszym, jako świadectwo cudu, zawieszony jest sierp już do połowy rdzą zjedzony. Tym sierpem, dziewczka jedna miała kiedyś w dniu Matki Boskiej Zielnej, nie zważając na święto, rznąć trawę dla krów: za karę, z dopuszczenia Bożego sierp przyrosł jej do ręki. Chodziła potem i tu i owdzie, modliła się po kościołach, ale nic nie pomagało, aż przyszła do Pieczysek, zaczęła się modlić gorąco do Matki Boskiej, a sierp zaraz odpadł jej od ręki: na pamiątkę dziewczka sierp ten pozostawiła w kościele.

W kruchcie tegoż kościoła znajduje się kość z jakiegoś zwierzęcia przedpotopowego, długa przeszło na cztery łokcie i dosyć gruba: lud utrzymuje, że to jest zebro z *wielko-luda*, ale z kąd ono się tam wzięło i na jaką pamiątkę, tego nikt nie wie.

Rzeczą jest bardzo do prawdy podobną, że w miejscu tym, niegdyś za czasów pogańskich, w pośród rozległych lasów krainę tę zalegających, znajdować się mogła świątynia bogom pogańskim poświęcona, a cudowność do miejsca tego tradycyjnie została przywiązana. Na domysł ten wprowadza niewątpliwie pozostałość pogaństwa znajdująca się tu, która dziś cześć chrześcijańską odbiera i do której z dalekich wiosek lud ściąga.

Opodal od kościoła, na polu pod lasem jest kamień, na którym w przekonaniu ludu są ślady wędrówki Matki Boskiej, kiedy w tych stronach po świecie chodziła. Powiadają, że jest na nim znak od wysiedzenia taki, jaki na poduszce się robi gdy kto usiedzie, jest ślad wyciśniętej nogi i także kijka którym się Matka Boska podpierała, oraz kotka który chodził za Matką Boską po świecie.

U tego kamienia w każdy odpust mnóstwo ludu na klęczkach się modli i powiadają że choćby największe bywały deszcze i wody, nikt z modlących się podówczas zmoczonym nie będzie.

Wiadomo jest każdemu zajmującemu się mitologią starożytnych Słowian i rozpatrującemu się w pozostałościach owych czasów, w podaniu i baśni ludowej, że lud dawne swoje pogańskie tradycje o bogach i boginiach przeobraził z czasem na baśnie niby to chrześcijańskie, nie zmieniając bynajmniej pierwotnego ich i bałwochwalczego wątku.

Ztąd powstały cudowne opowieści o Panu Jezusie, o Matce Boskiej, o świętym Piotrze, o św. Mikołaju, których wyobraźnia ludowa podstawiła w tradycyi w miejscu dawnych bogów i bogiń.

Wiadomo jest między innymi, że dawne tychże wędrówki po świecie, lud przypisał później świętym chrześcijańskim i tak się właśnie rzecz ma z wędrówką Matki Boskiej, która po różnych stronach Polski, według przekonania ludu miała dawniej przebywać.

Chodził za nią w podróży tej, podług jednych piesek a powszechniej lud utrzymuje że kotek.

Znaną jest baśń litewska o pewnej bogini *Lajmie* opiekującej się płodami ziemskimi, która litując się nad pewną kobietą od myszy w dobytku swoim napastowaną, z rękawka swego stworzyła kotkę.

Gdy następnie Matka Najświętsza zajęła miejsce owej bogini Lajmy, przeto lud litewski do tego czasu nazywa kotkę rękawkiem Matki Boskiej.

Jak na Litwie tak samo i w Polsce, również coś podobnego musiało mieć miejsce.

Chrześcijaństwo nie mogło krzewić baśni o Panu Jezusie, siwym dziadku dającym się wiskać dziewczętom podróżującym po polach i lasach wraz z świętym Piotrem i narażonym na różne przypadki; o świętym Mikołaju otoczonym wilkami, przesiadującym po lasach i zamieniającym żarzące węgle na złoto; o Matce Boskiej mającej w niebie trzy pokoiki i trzymającej w nich cudowne jabłuszko, błakającej się samotnie po lasach z kijkiem i kotkiem i zaglądnącej czasami do chałup wiejskich.

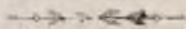
Lud to pamiętał dzieje dawnych bogów i o nich do dzisiaj prawi, a nawet co więcej, miejscami czci pamiątki po nich, okrywając je wiarą i mianem chrześcijańskim.

Byli niegdyś bogowie dobrzy i bogowie zli, jedni przeszli na świętych, drudzy zmienili się w djabłów lub czarowników; z dawnych pozostały jeszcze strzygi, upiory, i t. p.

Jak Pan Jezus zastąpić mógł dawnego Jesse, lub podług niektórych Radogosta, jak św. Piotr miał zastąpić Dadźboga, bóstwo dobre i wymierzające ludziom sprawiedliwość, karzące złych; tak Matka Boska musiała także zastąpić boginię dobrą, szczególnie u ludu czczoną, niegdyś z nim przebywającą i która po wielu miejscach w kraju miała swoje świątynie.

Taka właśnie znajdować się musiała we wsi Pieczyskach, a kamień na którym lud upatruje ślady Najświętszej Panny i czcią świętobliwą go otacza, równą cześć odbierać musiał jeszcze za czasów naszego pogaństwa.

W każdym razie rzecz warta jest bliższego zastanowienia, i dla tego zwracamy na nią uwagę starożytników i znawców krajowej archeologii.



DZIEJE KIJOWSZCZYZNY,

PRZEZ

Eligiego Piotrowskiego.

HISTORYCY MAŁOROSSYJSCY (*).

Powszechnym pisarzy małorossyjskich jest zwyczajem zarzucać Polakom i rządowi polskiemu, ucisk mieszkańców małorossyjskich czyli Kijowianów i wiary greckiej prześladowanie, a w opisach swoich wystawiać Polaków, jako okrutnych tyranów, jak muzułmańskich fanatyków.

Pisma te osobistą wyjawiają niechęć, błędzą nierozróżnieniem podań rzeczywistych od fałszywych, nierozróżnieniem epok, braniem powieści gminnych za prawdziwe zdarzenia, zupełnym brakiem krytyki, zupełnem zapomnieniem, iż szukanie ścisłej prawdy jest powołaniem dziejopisarza.

Nie znam historyka małorossyjskiego, któryby od powyższych zarzutów był wolny (1). Radbym, aby ni-

(*) Jestto ustęp z dzieła już ukończonego, pod tymże napisem.

P. R. B. W.

- (1) Krótka historia Małorossyi, przez Rubanowa. Peters. 1777 r.
Historya Małorossyi, przez B. Kamińskiego . . . Moskwa. 1822 r.
Opisanie kijowo-pieczerskiej cerkwi, przez wielce uczonego
metropolitę Eugeniego . . . Kijów. 1825 r.
Historya Małorossyi, przez M. Markiewicza . . . Moskwa. 1842 r.
Historya Russów, przez Jerzego Koniskiego arcybiskupa
białoruskiego . . . Moskwa. 1846 r.
Kronika Grabianki . . . Kijów. 1854 r.
Bohdan Chmielnicki, przez Kostomarowa, dzieło, które od powyższych
oddzielić potrzeba, bo Kostomarów opiera się nie na Koniskim i jego
kopiistach, lecz podania porównywa z dziejopisarzami polskimi,

niejsze dzieje Kijowszczyzny choć w części posłużyły do sprostowania błędów przez nich ogłoszonych, a jako szczególony dowód mojego twierdzenia, wyłożę w tym rozdziale zboczenia zawarte w dziele pana Markiewicza.

Oparł on je najwięcej na historii Russów Jerzego Koniskiego arcybiskupa białoruskiego (1). Lecz Koniski nie przywodzi, na którego dziejopisarza powieści twierdzenia swoje opiera; owszem, są one najczęściej przeciwne podaniom historycznym; mniemać więc można, że dzieło jego jest szczególnie na powieściach gminnych oparte. Sam sposób wykładu przedmiotu nie okazuje w Koniskim pisarza, któryby za zasadę do następnego historycznego dzieła mógł służyć (2).

W pierwszym zaraz rozdziale swojego dzieła pan Markiewicz zupełnie nową dał nam wiadomość, że „Gedymin wielki książę litewski, nie jak zdobywca wszedł z wojskiem do księstw ruskich, a mianowicie do Kijowszczyzny, lecz jak sprzymierzeniec pomógł Kijowianom do zrzucenia tatarskiego jarzma”. Znani dotąd wszyscy dziejopisarze polscy i ruscy twierdzą, że Gedymin z książętami ruskimi krwawe staczał boje, a mianowicie z księ-

(1) Rękopism tej historii Koniskiego służącej za źródło do wszystkich dzieł historycznych o Małorossyi, jakoby był ugruntowany na dzienniku utrzymywanym przez generalnych hetmańskich pisarzy. Tymczasem sami małorossyjscy historycy przyznają, iż ten dziennik pisany był dopiero od hetmaństwa Chmielnickiego, to jest od roku 1649; między tedy tą datą a początkiem utworzenia się wojska kozackiego, które oni odnoszą do roku 1506, nie ma żadnego pisma, dzieje wojska kozackiego wystawiającego. Cała ta epoka opisywana jest z powieści gminnych, co jest przyczyną błędnego opisanie tych dziejów pod panowaniem Polski.

(2) Ten arcybiskup Koniski przed przyłączeniem Białej Rusi do cesarstwa rosyjskiego pod panowaniem w Polsce Stanisława Augusta, miał proces w sądach relacyjnych z metropolitą unickim Wołodkiewiczem o dobra Peczersk, Cwirków, Borsuki i Tarasowicze. Były to dobra metropolitalne, lecz gorliwy o prawosławie metropolita Piotr Mohyla, gdy dóbr funduszowych nie mógł darowywać, a pragnąc jakkolwiek uposażyć arcybiskupa białoruskiego Horbackiego, którego katedra była przez unitów posiadana, zawarł z nim w roku 1639 umowę, niby o zamianę dóbr Peczerska na wieś Nowahora, która nigdzie nie istniała. Koniski w r. 1767 na mocy tej umowy zrobił proces o oddanie mu peczerskiego klucza; lecz dekret, Wołodkiewicza przy posiadaniu tych dóbr zachował; bo w zamian metropolici miałby Nowahorę na papierze, ale nie na ziemi istniejącą.

ciem kijowskim Stanisławem, z którym Tatarzy przeciw Litwinom walczyli; że Gedymin nad połączonemi obiema wojskami, około rzeki Irpienia otrzymawszy zupełne zwycięstwo, Kijów opanował. Co i najpoważniejszy z dziejopisarzy Karamzin utwierdza w słowach: „Gedymin panując nad Litwą i zawojowaną Rosyją” (1).

Dalój pisze p. Markiewicz: „Małoruś czyli Kijowszczyzna za Gedymina przyłączyła się dobrowolnie do Litwy, jak to dowodzą traktaty, *pacta conventa* i przywileje”.

Lecz p. Markiewicz nie przywodzi żadnego traktatu i przywileju, któryby to twierdzenie dowodził, a panowanie wielkich książąt nad Litwą było dziedziczne, więc nigdy *pactów conventów* z narodem nie zawierali.

Następnie pisze pan Markiewicz, że „Ruskie судные стати Gedymin zebrawszy razem, dał prawom tym nazwisko Statutu litewskiego”. Co całkiem jest mylne. Litwa za Gedymina nie miała praw pisanych, mieć je dopiero zaczęła od epoki przyjęcia wiary chrześcijańskiej (2). Pierwszy statut obiecany przez Zygmunta Starego 1522 r. dopiero ogłoszony został w roku 1529. Przed ogłoszeniem zaś statutu wydawane były przywileje, lecz jak to świadczy przywilej 1457 roku (3), sądy obowiązane były stosować się do praw polskich, a nie do *sudnych statij*.

P. Markiewicz twierdzi, że „za Władysława Jagiełły połączyła się z Polską nietylko Litwa, lecz i Małoruś; że w trzech połączonych narodach Władysław ustanowił trzech hetmanów z prawami królewskich namiestników; że ruskiemu hetmanowi nadane były Czerkasy, a kozakom wsie nazwane rangowemi; że hetmani i wszyscy publiczni urzędnicy wybierani byli przez naród, a potwierdzani przez króla: senat zaś wybierany był przez członków sejmowych, który sejm składał się z posłów z wspomnianych trzech narodów”. Wszystkie te podania są mylne

(1) *Historja Karamzina*. Tom III, kar. 191.

(2) O litewskich i polskich prawach Tadeusza Czackiego, w Warszawie 1801 r.!

(3) W przywileju 1457 r.: „Kotoryz po takowomu sude i po potiahaniu wedlub obyczaja i prawa korolestwa Polskobo, majut buty karany”. Wydanie Działyńskiego w r. 1841 w Poznania (zbiór praw litewskich).

i z dziejami niezgodne. Wielcy książęta litewscy podbiwszy księstwa ruskie, zostawili je we władaniu dawnych książąt, lub nadawali je książętom ze swego rodu pochodzącym, a to prawami lennemi. Gedymin księstwo kijowskie dał Mindowdowi księciu holszańskiemu, a następnie książętom słuckim aż do zgonu księcia słuckiego Symeona Olelkowicza i Kijowszczyzna oddzielném była księstwem. Jagiełło był panem zwierzchnym, lecz namiestniczej nikomu nie dawał władzy, ani stanowił hetmanów w kraju rządzonym przez udzielnego księcia; wybór hetmanów, wybór senatorów w Polsce i Litwie do królów należał, a sejmy nie miały do tego żadnego wpływu. Warunki o oddanie tronu polskiego Ludwikowi królowi węgierskiemu dały początek sejmom, a wyniesienie na tron Władysława Jagiełły, były to pierwszego sejmu okazyje (1). Lecz Kijowianie do niego nie wpływali, bo wówczas rządzeni jeszcze byli przez udzielnych książąt.

P. Markiewicz pisze o pomocach, jakie wojska małosyjskie dały Jagielle w wojnie z Krzyżakami i przywodzi przywilej króla w nagrodę tych zasług narodowi dany, oraz o 43,000 wojska małosyjskiego, które pod Warną z Władysławem królem znachodziły się a nawet i mianuje nazwiska dowódców. Wprawdzie ani Pray, ani Boufini, ani historycy polscy o posiłkach ruskich nie wspominają; polskiego nawet wojska mała pod Warną znajdowała się ilość (2), bo król odnowił tę wojnę po zawartym traktacie i rozpuszczeniu wojska, a rozpoczął ją z samemi niemal Węgrami; lecz ja tak dobitnemu twierdzeniu pana Markiewicza przeczyć nie śmiem. Żałuję tylko, że zaniedbał czytających zawiadomić, z jakiego dziejopisarza arcybiskup Koniski powziął te wiadomości. W jakich aktach znajduje się ów przywilej Jagiełły narodowi małosyjskiemu dany, bo konstytucye sejmowe nie zawierają go, nie ma go w archiwum białoruskiem w Moskwie 1824 r. wydrukowaném.

(1) Naruszewicz. Tom VII, księga 1 i Czacki w wyżej przywiezioném dziele.

(2) Nadto z Polaków, którzy przy królu byli, wielu wyjednawszy sobie glejt, poodjeżdżało. Wojsko nad 20,000 ludzi nie przechodziło. *Kromer, kar. 564.*

W następnych rozdziałach V i VI pan Markiewicz twierdzi, „że w roku 1592 był synod w Brześciu, na którym postanowiono połączenie cerkwi greckiej z kościołem rzymskim; że ówczesny hetman kozacki Kosiński pisał do króla i synodu z przełożeniem szkodliwości owego zamiaru; że gdy wezwany przez synod Kosiński do Brześcia przybył, duchowieństwo rzymskie i greckie zjednoczone żywcem zamurować go kazało; a następnie przybyłych do Warszawy ze skargami na prześladowanie, jakie prawosławni cierpią, Łobodę, Mazepę, Kizima i Nalewajkę hetmana zamknięto w miedzianego wołu i spieczono na małym ogniu”.

Cały ten opis jest poetyczny a nie historyczny. I jeżeli się znalazł łatwowierny Niemiec który go ogłosił (1), ostrożnym być należy w powtarzaniu podobnych baśni; oba te, w dziele pana Markiewicza rozdziały są dowolnie pisane i z prawdą niezgodne: był synod w Brześciu nie 1592, lecz 1591 roku. Na nim biskupi prawosławni nie o rzeczach zjednoczenia naradzali się, a o prośbie do króla w przedmiotach dobra prawosławnej cerkwi dotyczących się (2).

W roku zaś 1592, Kosiński zebrawszy kozaków robił po Ukrainie grabieże i opustoszenia a najwięcej w dobrach księcia Ostrońskiego; nie za zjednoczenie więc, bo go jeszcze nie wprowadzono; nie za ucisk wiary prawosławnej, bo niszczył majątność najgorliwszego cerkwi greckiej syna; wojsko w największej części z osobistych księcia Ostrońskiego żołnierzy złożone (bo kwarcianego zupełnie tam nie było, zwyciężywszy Kosińskiego pod Piatką), lecz choć przebaczenie otrzymał i poprzysiągł kozaków więcej nie zwolywać i żyć spokojnie, gdy powtórnie z zebranymi kazakami napadł na Czerkasy w posiadaniu księcia Wiszniowieckiego będące, mszcząc się za pomoc przez niego, księciu Ostrońskiemu daną, tamże pijany przez sługi księcia Wiszniowieckiego, zabity zo-

(1) Geschichte der Ukraine von Engel 1796 r.

(2) Słowa Kronograf: Ныне убо мы умыслихомъ все душно приложитя въ то и проситя короля и сия рѣчь люба быть всѣмъ.

stał (1). To wszystko działo się w roku 1592 i 1593, w roku zaś 1594 dnia 2 grudnia, na powtórny w Brześciu soborze, traktowano o zjednoczeniu, które doszło do skutku 1595 roku (2). A co się tyczy Nalewajki, on nie za ucisk wiary oręż podniósł, bo sam cerkwie prawosławne grabił i palił, jak tego mamy świadectwo w skardze mieszczan mohilewskich do króla Zygmunta IIIgo podanej (3). Lecz cesarz Rudolf mając z Turkami wojnę, przysłał tajemnie posłów, którzy umówili go do zebrania kozaków i dania przeciw Turkom pomocy; prócz pieniędzy obdarzyli Nalewajkę i jego drużynę wojskowemi chorągwiami, trąbami i kotłami. Nalewajko przebrał się do Siedmiogrodu, lecz niczem się w tej wojnie nieodznaczywszy, z powodu zawiązaną z cesarskimi wojskami waśni, wrócił do Polski przez Pokucie, a bojąc się ukarania za samowolne z kraju wyprowadzenia kozaków, drużynę swoją utrzymywał grabieżami po nad brzeżem Litwy czynionemi. Żółkiewski wystąpił przeciw niemu z kwarcianem wojskiem, a po kilku różnym losom staczanych potyczkach, kozacy oblężeni pod Lubnami poddali się i Nalewajko odwieziony do Warszawy ściety tam został (4).

Podobneż zboczenia zawarte w rozdziale VII na stronie zostawiam; lecz gdy on odnosi się do hetmaństwa Piotra Konaszewicza, następnej uwagi ominąć nie mogę. Według wszystkich współczesnych świadectw, Konaszewicz był biegłym i walecznym wodzem, wiernym królów polskich poddanym, najgorliwszym cerkwi prawosławnej synem. Gdyby tyraństwo i ucięmżenia, o któ-

(1) Heidensztejn współczesny tak pisze: „Inter quos prima ut Imperio Cosacorum in perpetuum se abdicaret. Verum juramento violato, Alexandrum Visniovecium ulcisci cogitans, manu iterum colecta, Circasium se confest; ubi in hospitio ebrius a familiaribus Visniovecii interlicitur”. Fikcyi tej poetycznej o zamurowaniu żywcem Kosińskiego, Scherer nawet nie wspomina.

(2) Roczne dzieje kościelne przez księdza Jana Kwiatkiewicza, karta 292.

(3) Бѣлорускій Архивъ. ВЪ Москвѣ, karta 73.

(4) Nalewajko cum sociis Varsoviam deductus capitis supplicium subiit. Kronika Piaseckiego i Heidenszteina, może naocznygo świadka, bo był sekretarzem królewskim.

rych historycy małowossyjsy piszą, były rzeczywiste, gdyby fanatyzm religijny dopuszczał się tych zbrodni, jakie duchowieństwu rzymskiemu i rządowi polskiemu zarzucają; Konaszewicz nie służyłby ojczyźnie, własne dzieci uciskając. Lecz on spory między duchowieństwem prawosławnem a zjednoczonem, poczytywał za kwestye religijne, przy których obstawano, lub przez gorliwość o swoje wyznanie, lub przez ponęę posiadania bogato uposażonych biskupich katedr. Widział on słabość rządu, często zdarzające się nadużycia pojedynczych osób, lecz je ważył z dobrodziejstwami, jakie prawa krajowe, dobroczynność panujących, hojność panów ludowi przynosiły. Długi zawód jego publicznego życia jest nie tylko nieprzerwanem pasmem dzieł walecznych, lecz razem ciągłym świadectwem wierności dla króla, przywiązania do ojczyzny, pilnego przestrzegania pokoju wewnątrz kraju. Żywot Konaszewicza jest dowodem niesprawiedliwości zarzutów Polakom czynionych.

Następnie p. Markiewicz, maluje obrazy okrucieństw w Małowossyi przez Polaków wywieranych, męczarnie jakie dla wskazanych na śmierć wymyślano. Zbijając tego nie widzę potrzeby. Sama przesadność opisów, ostrzeże czytających, że to są baśnie. Ciągłe jest jedno powtarzanie, że kozacy oręż podnosili za wiarę i uciemżenia, a żaden z historyków małowossyjskich przyznać nie chce, że to utrzymywane przez rzeczpospolitą wojsko, w wycieczkach do państw tureckich zasmakowawszy w grabieży i łupieztwach, i wewnątrz własnego kraju od nich się nie powstrzymało. Rząd musiał ścieśniać kozackie wolności dla zachowania nadal bezpieczeństwa w kraju i uchylenia powodów do wojen, które Turcyja Polsce nie jednokrotnie wydawała za napady przez kozaków czynione.

Lecz przypuściwszy, że te moje uwagi są płonne i niesłuszne, pan Markiewicz jednak na naganę zasługiwać będzie. Nigdy on nie gani kozackiemu wojsku robionych buntów, łupieztw i pozogów; owszem pisze o nich z pewnym rodzajem zadowolenia i wystawia je jakby bohaterskie dzieła. Za co ta p. Markiewicza i wszyst-

kich małorossyjskich pisarzy do Polaków nienawisć? pojąc tego nie mogę.

Pod panowaniem nad Kijowszczyzną udzielnych książąt, wszystko było własnością panujących: mieszkańcy płacili podatki, odbywali służbę wojskową, budowali i naprawiali fortece: wnosić więc można, że byt ich nie był dobry i pomysłny. Gdy Małorossya przeszła pod panowanie polskie, królowie wyrzekli się prawa sądownictwa a przekazali je ludowi w miastach głównych, przez ustanowienie magdeburiów, w kraju przez sąd ziemiański i trybunał przez obywateli wybierany, w wojsku, przez zostawienie kozakom wolności sążenia się podług ich zwyczajów. Nadania królów polskich opatrzyły potrzeby wielu monasterów i cerkwiów (1).

Nadania królów wzbogaciły kijowską szlachtę. Akt dobrowolnego połączenia się z Królestwem Polskiem roku 1569 największe przyniósł mieszkańcom dobrodziejstwa. Zygmunt August zrzekł się prerogatyw panującym nad Kijowszczyzną służących: kraina ta ze szczętem przez Tatarów zniszczona zaludniła się i zakwitła, jak to widzieć się daje z powieści dziejopisarzy, z inwentarzy miast, z lustracyi starostw. Polskie więc panowanie Małorossyanie wspominać powinni nie z goryczą, lecz jak epoki szczęśliwości kraju. Z przodków matki mojej jestem starodawnym Kijowianinem; obstawali oni najgorliwiej przy wyznaniu prawosławném, jak o tém pismo metropolity Mohyły przeświadcza (2), a choć następnie do wyznania rzymskiego przeszli, czyż przeto ziomkowie moi Małorossyanie mają się mnie wyrzekać i mnie zlorzeczyć? Światło nauk dziś w Kijowszczyźnie szerzone oczekiwać każe, iż znikną przesady, iż różnica wyznań nie będzie rozrywać związków społecznych; że Kijowianie prawosławnego wyznania, Kijowianom wyznania rzymskiego,

(1) Po przyłączeniu Kijowszczyzny do państwa rossyjskiego, w każdej prośbie do carów od duchowieństwa podawanej, oraz we względzie tegoż duchowieństwa podawanych od hetmanów, zawsze proszą o zachowanie praw i nadań przez królów polskich uczynionych.

(2) W przypisanym Fedorowi Proskurze dziele: „Zerkalo prawoslawnoj „Jewanhelye”. W Kijowie 1637 roku.

podadzą braterskie dłonie, jako praprawnukom jednego z nimi szczepu a w pismach swoich sprostują błędy i potwarze przez przodków rozsiewane.

Rodowód Bohdana Chmielnickiego, powody do podniesionego przez niego buntu, szczegóły prowadzonej przez niego wojny, pan Markiewicz opisał niezgodnie z podaniami dziejopisarzy, z pamiętnikami współczesnych; ja zamykam przegląd historyi pana Markiewicza, przeciwniem się jego sądowi o hetmanie Chmielnickim, którego on poczytuje za męża największej chwały godnego, za tworcę swobód i pomyslności Małorossyi.

Jako człowiek prywatny, Chmielnicki był obyczajów nagannych, barbarzyństwa swego dał dowód przymuszając wojnę hospodara Lupulę do wydania córki w zamężcie jego synowi; mszcząc się krzywd osobistych zapalił wojnę domową; na wiarę nie zasługiwał, bo ją zdradzał, jak tylko to dogodnym dla swoich interesów znachodził; zastał Ukrainę ludną i kwitnącą, zostawił ją pustynią, krwią ludzką zlaną i w tak powikłanych z sąsiednimi państwami stosunkach, iż trzeba było więcej niż półwieku do zagojenia ran temu krajowi zadanych. Pamięć więc Chmielnickiego zasługuje nie na błogosławieństwo, lecz na złorzeczenie potomnych.



MARYA DELORME.

WIKTORA HUGO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

MARYA DELORME.

DIDIER.

LUDWIK XIII.

MARKIZ de SAVERNY.

MARKIZ de NANGIS.

ANGELY.

Pan de LAFFEMAS.

Książe de BELGARDE.

MARKIZ de BRICHANTEAO,

Hrabia de GASSÉ,

Vice-hrabia de BOUCHAVANNES,

Kawaler de ROCHEBARON,

Hrabia de VILLAC.

Kawaler de MONTPELAT,

SCARAMOUCHE,

MILUCHNY,

TAILLEBRAS,

Woźny.

Kapitan straży w mieście Blois.

Dozorca więzienia.

Pisarz trybunału.

Radca przy trybunale.

Róża.

Dwoizanie i panowie dworu.

Wyrobnicy.

Aktorowie wędrowni.

Straże.— Lud.

Pazie i pokojowcy królewscy.

} Aktorowie
wędrowni.

Operowie
z pałku ande-
sawedkiego.

Scena we Francji roku 1638.



I.

SCHADZKA.

AKT I.

(Scena w Blois.— W miejskim domu, pokój sypialny.— W głębi odemknięte okno na balkon.— Na prawo stół z lampą i krzesło.— Na lewo, drzwi zakryte firanką.— W cieniu widać łóżko).

SCENA PIERWSZA.

Marya Delorme, w gustownym negliżu siedzi przy lampie i haftuje na kanwie, margrabia de Saverny bardzo młody człowiek, jasno-włosy, bez wąsów ubrany według ostatniej mody 1638 r.

Saverny,

(zbliżając się do Maryi i chcąc ją pocałować).

No! Na zgodę, Marysiu, dziewczę lubę, płoche!...

Marya, *(usuwając się).*

Dobrze, niech będzie zgoda, tylko dalsza trochę.

Saverny, *(jak dawniej).*

Raz jeden pocałuję.

Marya, *(z gniewem).*

Ależ proszę pana....

Saverny.

Dawniej miałaś kaprysy, lecz miłsze, kochana!

Marya.

Zapominasz pan....

Saverny.

Cóż znów? przypominam właśnie.

Marya *(na stronie).*

Niežnośny!

Saverny.

Niech się pani wytłumaczy jaśnie,
Co mamy myśleć o téj ucieczce z Paryża
Bez wiadomój przyczyny? A, nam to ubliża.
Gdy cię tam wszędzie szuka młodzież dworu liczna,
Znajduję cię ukrytą? Bałamutko śliczna,
Cóż możesz dwa miesiące robić tu, o! nieba?

Marya.

Co robię? robię co chcę, a chcę co mi trzeba;
Sądzę, że jestem wolną.

Saverny.

Wolną! Spytać muszę,
Czy i ci także wolni, którym wzięłaś duszę?
Ja, Gondi, co pół mszału opuścił w potrzebie,
Spiesząc na pojedynek, który miał za ciebie:
Nesmond, Pressigni d'Arquien i oba Caussad'y,
Każdy po twym odjeździe zły, smutny i blade,
Tak, że ich żony wreszcie, chcą twego powrotu,
By z nudami swych mężów nie mieć już kłopotu.

Marya *(uśmiechając się).*

A Beauvillain?

Saverny.

Tyś zawsze dla niego jedyna.

Marya.

Sevēst, Pous?

Saverny.

Pierwszy wielbi, drugi cię przeklina!

Marya.

Jedyny, który kocha. A prezydent stary

(śmieje się).

Jak wspomnę, już się śmieję...

Saverny.

Ten pali ofiary

Przed twoim wizerunkiem. Dałaś mu go przecie.

Marya.

Tak; długie już dwa lata kocha mię w portrecie,

Saverny.

I nic cię nie rozczuła? Powiedz, któż tak stroni
Od tyłu sobie wiernych?

Marya.

Właśnie, wszyscy oni,

Jeśli mam szczerze mówić, ucieczki powodem;

Wszystkie te świetne grzechy, w mojem sercu młodem

Były kiedyś radością: dziś niemi się trwożę.

Schroniłam się do Blois; jutro w celi może,

Będę już opłakiwać dni zgrozy, zgorzenia...

Saverny.

W tem jest nowa miłostka; to bez zaprzeczenia.

Marya.

Pan sądzisz...

Saverny.

Że nie zechcesz w zakonnej zamroczy

Ukrywać swoje śliczne błyskawiczne oczy.

No! kochasz na parafii i wzbijasz ją w pychę?

Dla ślicznego romansu—zakończenie liche.

Marya.

Tak nie jest.

Saverny.

Zakład?

Marya.

Różo! spojrz, która godzina?

(Róża z drugiego pokoju).

Północ blisko.

Marya *(na stronie).*

Już północ.

Saverny.

Tak się przypomina

Gościom, że czas już odejść.

Marya.

Siedzę ciągle w domu...
Nie przyjmuję nikogo, nieznana nikomu...
Miejsce to jest odludne. O tak późnej porze,
Napadnięty, obdarty, łatwo pan być może.

Saverny.

Mniejsza; niech mnie obedrą.

Marya.

Zabijają nie raz . .

Saverny.

Niech zabijają.

Marya.

Lecz panie....

Saverny.

Śliczna jesteś teraz!

Lecz przecie nim odejdę, przyznasz mi się szczerze:
Jaki szczęśliwy pasterz po nas spadek bierze?

Marya.

Nikt.

Saverny.

Przyrzekam ci sekret, sekret przed wszystkimi!
Nas dworaków zwą zawsze ludzie szalonymi;
Sądzą, żeśmy paplarze, ciekawi bez granic.
Prawda: paplać potrafić, ale mówić—za nic.
Cóż, milczysz?

(siada).

Więc zostaję.

Marya.

Mniejsza, że się gubię!

Tak: kocham,— oczekuję.

Saverny.

O! tak, to cię lubię.

Dobrze! i gdzież nań czekasz?

Marya *(niecierpliwie).*

Ah! tutaj... mój Boże!

Saverny.

Kiedy?

Marya.

Właśnie w téj chwili.

(Idzie do okna i przysłuchuje się).

Już nadchodzi może.

(Wraca od okna)

Nie. Więc pan kontent teraz?

Saverny.

Nie arcy.

Marya.

Idź sobie...

Saverny.

Powiedz jego nazwisko, a zaraz to zrobię;
Niech wiem, kto mnie wypędza, kiedy tu tak mile...

Marya.

On nazywa się Didier i wiem tylko tyle:
Dla niego jestem Maryą—nic więcej.

Saverny.

O! tylko

Czy to prawda?

Marya.

Najświętsza.

Saverny.

Aż pachnie idylką

Taka miłość. Już widzę: tu słowik, tam róże...

Ale, by wejść do ciebie, drapie się po murze?

Marya.

Może. Niech pan odejdzie.

(*Na stronie*).

A to uprzykrzony!

Saverny (*poważnie*).

Przynajmniej wiesz, czy on jest dobrze urodzony?

Marya.

Nie wiem.

Saverny.

Jak to?

(*Marya go powoli posuwa ku drzwiom*).

Już idę, idę.

(*Powraca*)

Jeszcze słowo.

Zapomniałem: poeta, ze sławą nie nową,
(*wyjmując z kieszeni książkę i oddaje Maryi*),
Napisał dla cię książkę; straszliwie jest głośna.

Marya (*czytając tytuł*)

„Ślicznej Marysi Delorme girlanda miłośna”.

Saverny.

Ta girlanda w Paryżu całym rozstawiona:
Dwa wielkie powodzenia dziś: to *Cyd* i ona.

Marya (*bierze książkę*).

Myśl grzeczna. Dobrzej nocy.

Saverny.

Być na szczycie takim
I w idylliczną miłość bawić się z prostakiem?

Marya (zawołała Różę).

Weź światło i margrabię przeprowadź troskliwie.
(Wychodzi).

SCENA DRUGA.

MARYA sama, zamyka drzwi za Savernym.

Marya.

Idź, idź... Ach! Jakżem drżała by Didier...
(Idzie do okna).

Noc głucha....

(Zegar miejski wybija północ, Marya liczy).

Północ.... już być powinien....

(Idzie do balkonu i patrzy w ulicę).

Ni żywego ducha!

(Wraca do krzesła i nieukontentowana, siada).

Już spóźnia się, mój Boże!

(Didier zjawia się za poręczami balkonu, lekko je przeskakuje, wchodzi i składa, obok okna, na krzesło płaszcz swój i szpadę. Ubiór skromny, cały czarny. Postępuje krok naprzód, zatrzymuje się i patrzy przez chwilę na Maryę, która zadumana ze spuszczonej oczyma, siedzi).

SCENA TRZECIA.

MARYA i DIDIER.

Marya, (sposstrzegając go).

A!

(z wymówką)

Dać mi, zboleiałem

Sercem liczyć godzinę...

Didier, (poważnie).

Wejść tu się wahałem.

Marya (urazona).

A! panie...

Didier. *(niepostrzegając urazy Maryi).*

U twych progów, tu, przed chwilą małą,
 Serce moje bezmierną litością wezbrało.
 Tak, litością dla ciebie! Ja, nędzny, przeklęty,
 Nim wszedłem, pomyślałem, w żal jakiś ujęty:
 „W tym domu, we swój cnocie i w swojej jasności
 Czuwa niewieści anioł dobroci, piękności;
 Istota rajska, czysta, a którą na ziemi
 Tłum winien witać klęcząc, z dłońmi wzniesionemi.
 Czemu jestem, nieznany śród tej ludzkiej trzody,
 Bym śmiał mącić świetlaną przejrzystość tej wody?
 Mogę zerwać tę lilię? w nieczyste oddechy
 Mamże skazić tej duszy błękitne uśmiechy?
 I, gdy mój szlachetności zwierza się, dziewicza,
 Ona, na którą patrzę, jak w świętych oblicza;
 Mogę ten dar miłości przyjąć, bez sumienia,
 I stracić jej dni jasne w mojej nocy cienia?

Marya, *(na stronie).*

Zdaje się z teologii ustęp mi wyklada;
 Byłżeby Hugenotem?

Didier.

Lecz twój głos posiada
 Moc kojącą; dźwięk jego zleciał ku mnie, cucił,
 Rozproszył me zwątpienia i do stóp twych rzucił.

Marya.

Jakto? głos mój słyszałeś?

Didier.

Głos, ale nie słowa.

Lecz mówił i ktoś drugi...

Marya.

To z Różą rozmowa.

Róża ma dziwną mowę, trochę nieprzyjemną;
 Głos twardy, jakby męzki. Lecz kiedyś już ze mną,
 Zapominam urazy. Siądźmy, jam znużona.
(Siada i pokazuje kochankowi miejsce koło siebie blisko)
 Tu.

Didier.

Wolę u stóp twoich.

(Siada na taborecie u nóg Maryi i patrzy na nią przez chwilę w milczącym zachwyceniu).

Słuchaj, ubóstwiona!

Imię moje jest Didier. Ja nie znałem zgoła
 Matki mojej ni ojca. Na progu kościoła
 Nie wiem kto mnie porzucił, nagie, biedne dziecko;
 Winienem wszystko prostej, ubogiej kobiecie

Z ludu: tam litość we krwi. Przez nią byłem wzięty;
 Była mi mamką, matką, dała mi chrzest święty,
 Chowala według Boga; zmarła i swe imię
 Mnie w spadku zostawiła. Więc całe istnienie
 Wziąłem i biorę od niej. Żywot mój sierocy
 Był pełen ciężkich smutków, goryczy, niemocy.
 Zwiedzałem kraje; ludzi chciałem znać téj ziemi,
 I jednych nienawidzę, pogardzam wszystkimi:
 Bo w tém mętném zwierciadle, co ludzkim obliczem,
 Świeci pycha lub nędza, niezrównana z niczem.
 I oto, mnie młodemu, ciężą życia lata,
 Jak starcowi, co wkrótce ma odejść ze świata;
 Czego dotknę się tylko, tam rana mnie czeka;
 Znajduję świat niedobrym, lecz gorszym, człowieka.
 Tak żyłem, ja sierota, biedny i znudzony;
 Gdyś zesłała mi jak anioł pociechy wcielony.
 Nie wiem nawet kto jesteś.

Szczęściem dla mnie rzadkiem
 Ujrzałem cię w Paryżu, w ulicy, przypadkiem;
 Spotykałem cię znowu i, za każdym razem,
 Pieściłem się twym wzrokiem, postacią, wyrazem;
 Bałem się cię pokochać, uciekłem.... Któż zdoła
 Wyrazić me zdumienie, gdy mego anioła,
 Ciebie, ujrzałem tutaj?

Szalałem! nareszcie,
 Chciałem ci odkryć wszystko: miłość i boleście;
 A ty? ty pozwoliłaś, kończąc me katusze.
 Teraz masz moje życie, me serce, mą duszę!
 Wszystko, co mi rozkażesz, na wszystko się zgodzę.
 Gdzie człowiek, albo rzeczy co stoją ci w drodze?
 A może masz chęć jaką, której czyniąc zadość
 Potrzeba, by kto śmierć wziął jak bierze się radość.
 I błogosławił cię ostatnim oddechem
 I czuł się nagrodzony stokroć twym uśmiechem?
 Trzeba ci? daj znak tylko słów twoich szelestem,
 Rozkaż skinieniem choćby jedném... Oto jestem!

Marya, (*uśmiechając się*).

Dziwnyś, ale cię takim serce moje kocha.

Didier.

Kochasz mię!? strzeż się Maryo! nigdy mowa płocho
 Niepowinna w morderczych słów wpadać zawilość!
 Kochasz? lecz czy wiesz sama, co to znaczy miłość?
 Miłość, co jest krwią ciała a słońcem dla ducha,
 Która długo tłumiona w płomienie wybucha
 I jak pożar się pali, i duszę oczyszcza!
 Co jedna w naszym sercu unicestwia zgliszcza

Leżących tam żądz, zmarłych w zawodów kolei!
Miłość, co jest bez wiary, chociaż bez nadziei,
I po szczęściu trwa jeszcze wieczna w swój żałobie!
Powiedz: o niej mówiłaś?

Marya (*wzruszona*).

Prawdziwie.... Co tobie?

Didier.

Al! nie wiesz, jak cię kocham! Istniałem, jak w grobie,
Kiedy zstąpiłaś ku mnie, uczułem co życie;
I wzrok twój mnie nauczył, czym jest serca bicie.
Od téj chwili, jam inny. Jesteś dla mych oczu
Istotą cudną, bożą, w świetlaném przezroczu.
Te dni, dla mego serca tak ciężkie, nieznośne,
Dziś mi są prawie piękne, lekkie i radośne.
Bo do twojego przyścia me losy, złowieszczę:
Tylko walka i bóle! Nie kochałem jeszcze!

Marya.

Biedny, luby!

Didier.

O! Maryo!

Marya.

Kocham, kocham ciebie,
Tak, kocham! Więcej niż ty! świadkiem Bóg na niebie!
Sama ciebie szukałam wszędzie, zawsze, śmiecie;
Jestem twoją, na wieki!...

Didier, (*upadając na kolana*).

Nie zwódź mię aniele!
Daj méj czystéj miłości, ukochań twych dary,
A uczynisz szczęśliwym! bez granic, bez miary;
Dni me rzucę na ścieżkę, po której ty chodzisz;
Takie będą me życie... Och! jeśli mię zwodzisz?!

Marya.

Wszystko, wszystko dla ciebie zrobić jestem zdolna.

Didier.

Daj mi dowód.

Marya.

Mów jaki?

Didier.

Pewno jesteś wolna?

Marya (*zakłopotana*).

Tak...

Didier.

Połącz z mojem życiem, twego życia zorze;
Bądź mą żoną!

Marya *(na stronie)*.

Jam jego niegodna, mój Boże!

Didier.

Milczysz?

Marya.

Lecz...

Didier.

Ha! rozumiem. Biedny i sierocy;
Wymagania me dzikie! Zostaw mię w mój nocy,
W mój żałobie, w mój męce, w mojej samotności!
Bądź zdrowa.

(Chce ołchodzić, Marya go zatrzymuje).

Marya.

Ach! ty bluźnisz!...

(gorzko płacze).

Didier, *(wracając)*.

Przebacz mi, z litości!

Ale czemu się wahasz?

(zbliżając się do niej).

Czyż nie dosyć na tem:

Być dla siebie wzajemnie ojczyzną i światem,
I niebem! uciec w jakie samotne ukrycie;
Tam zagrzebać swą miłość, swe szczęście, swe życie...

Marya.

Ach! to raj.

Didier.

Mieć go będziesz.

Marya *(na stronie)*.

Za grzech straszna kara!

(głośno)

Nie mogę, nigdy! nigdy!

(wrywa się z objęć kochanka i upada na krzesło).

Didier *(zimno)*.

Nie zgrabna ofiara

I wcale nie szlachetna. Wstręt to, dość pojęty.

Lecz nie mówmy już o tém.

Marya *(na stronie)*.

Niech będzie przeklęty

Dzień, w którym mnie pokochał.

(głośno)

Głos twój serce rani....

Ja ci się wytłumaczę....

Didier (*oziębłe*).

Co czytałaś pani,

Kiedy przybyłem do niej?

(*bierze ze stołu książkę i czyta tytuł*)

„Girlanda miłości
Ślicznej Marysi Delorme”.

(*gorzko*)

A, to piękność głośna!

(*rzuca na ziemię książkę gwałtownie*)

Ha! nikczemne stworzenie; kazi ród niewieści!

Marya (*drżąca*).

Panie....

Didier.

Co tutaj robi ta książka bez części?

Zkąd ją wzięłaś?

Marya (*cicho, opuszczając oczy*).

Przypadkiem...

Didier.

Czy wiesz, z czystym czołem:

Ty, z okiem wniebowziętym, z sercem-archaniołem,

Czy wiesz kto ta Marysia, ze sławą swą marną?

Kobieta z pięknym ciałem, a z duszą poczwarną,

U której wszędzie, zawsze, każdy kupić może,

Miłość brudną, podlącą!

Marya (*chowając twarz w dłonie*).

O! Boże! mój Boże!

(*za sceną słychać śpieszne kroki, szczęk broni i wołanie*).

(*Głos za sceną*)

Na pomoc!

Didier (*zdziwiony*).

Zdaje mi się, ktoś woła pomocy?

(*Głos za sceną, wśród szczęku broni*).

Gwałtu! ratunku!

Didier (*spoglądając z balkonu*).

Kogoś mordują wśród nocy.

(*Bierze szpadę przerzuca nogę za balkon. Marya biegnie i stara go się zatrzymać*).

Marya.

Didier! Jeśli mię kochasz! chcesz, by cię zabili?..

Didier (*skacząc na ulicę*).

Lecz tam jego zabijają, biedaka!...

(*Za sceną głośno*).

W tej chwili!

Trzymaj się pan tam śmiało....

(Słysząc szcęk oręża).

Dobrze! Cios korzystny!

(Ciągły szcęk broni i głos stąpań ludzkich).

Marya *(patrząc z balkonu, z przerażeniem).*

Boże! na nich dwóch, sześciu!

(Głos za sceną).

A to szatan istny!

(Szcęk broni powoli ustaje; odgłos biegnących kroków ginie w oddaleniu. Pokazuje się Didier przełazący przez balkon).

Didier.

(Na poręczy balkonu, zwrócony do ulicy).

Jesteś pan już bezpieczny: możesz iść w swą drogę.

Saverny *(z ulicy).*

Ale przecie uściskając rękę pańską mogę,
I podziękować panu?

Didier *(z niecierpliwością).*

Idź pan, droga znana.

Ze wszystkich podziękowań kwituję ztąd pana.

Saverny.

Ja muszę podziękować!

(Przeskakuje przez balkon).

Didier.

Zamiast tu się wprosić,

Mogłeś pan zdoła krzyknąć: dziękuję, i dosyć.

SCENA CZWARTA.

Ciż sami i SAVERNY.

Saverny *(wbiega do pokoju z dobytą szpadą).*

W takiej tyranii trudno byłoby oddechać,

Ocalić komuś życie i za drzwi wypychać!

Za drzwi, raczej za okno! czyż do uwierzenia,

By człek mego nazwiska, mego urodzenia,

Tego, kto go ocalił, nie raczył pozdrowić,

I nie rzekł: panie hrabio.... Zkim mam zaszczyt mówić?

Didier.

Imię moje jest Didier.

Saverny.

A dalej?

Didier.

Nic dalej.

Chcą pana zamordować? dobrze, ktoś ocali,
Tém lepiéj. Żegnam pana.

Saverny.

A! to pańskie zdanie?

Trzeba było pozwolić zabić mię, mój panie,
Nizeli tak przyjmować! Bez pańskiej pomocy,
Trup byłem. Sześciu zbójców, ja jeden śród nocy,
Zginałbym! sześć sztyletów, moja jedna szpada!
(*Spostrzega Maryę, która starała się być niewidzialną.*)
Aleś pan tu zajęty; odejść mi wypada;
Rozumiem. W takich razach nieznośni nieznani.
Przepraszam....

(*na stronie*)

Lecz zobaczmy damę.

(*zbliża się do drżącój Maryi, poznaje ją i z cicha*)

A! to pani?

(*Wskazując na Didiego*)

Więc-to-on?

Marya, (z cicha)

Gubisz mię pan.

Saverny (kłaniając się ceremonialnie)

Pani niech przebaczy..

Marya, (z cicha)

Ach! ja pierwszy raz kocham!

Didier (na stronie)

Na Boga! co znaczy

Że ten człęk tak się śmiało Maryi przypatruje?
(*uderzeniem ręki zrzuca lampę ze stołu*)

Saverny.

Jakto, gasisz pan lampę. Na co?

Didier.

Bo znajduję

Że odejść nam obydwom wypada w téj chwili.

Saverny.

Jam gotów.

(*kłaniając się z uszanowaniem Maryi*)

Żegnam panią.

Didier (na stronie)

I jak się to mili,

Ten gagacik!

(*do pana de Saverny*)

Idziemy!

Saverny.

A pomnij pan wszędzie,
 Żeś mi ocalił życie. Gdy potrzebny będzie
 Kiedy panu miecz bratni i przyjaciel wierny...
 Paryż-Hôtel de Nesle Margrabia Saverny.

Didier.

Dobrze.

(na stronie)

Widzieć te oczy na nią wypatrzone!...
 (wychodzą przez balkon, za sceną słychać głos Didiego)
 Pańska droga jest tędy, a moja w tę stronę.

SCENA PIĄTA.

MARYA. RÓŻA.

Marya.

Różo! Różo!

(Róża wchodzi. Marya pokazując okno)

Zamykaj.

Róża

(zamyka okno, obraca się i spostrzega jak Marya ociera z łez oczy,
 na stronie).

Płacze? czy nie chora?

(głośno)

Czas pani się położyć.

Marya.

Tak, to wasza pora;

Bo sypiacie.

(rozpuszczając swe włosy)

Rozbierz mnie.

(Róża rozbierając Maryą).

To nie z ciekawości;

Lecz tak: ten pan dzisiejszy będzie wart miłości?
 Bogaty?

Marya.

Nie,

Róża.

Przyjemny?

Marya.

Nie. Niegrzeczny trocha.

Róża (szumiona).

A więc na co on pani?

Marya (zamyślona).

Cóż? serce go kocha.

II.
SPOTKANIE.

AKT II.

(Scena w Blois.— Drzwi otwarte do oberży.— Przed niemi plac miejski.— W głębi widać miasto Blois w kształcie amfiteatru i wieżę kościoła św. Mikołaja na wzgórku okrytym domami miasta).

SCENA PIERWSZA.

Hrabia de Gassé, margrabia de Brichanteau, wice hrabia de Bouchavannes, kawaler de Rochebaron, siedzą przy stołach ustawionych przed drzwiami oberży; jedni palą fajki, inni piją i grają w kości. Później przychodzi kawaler de Montperat, hrabia de Villac, później Angely; nakoniec woźny i tłum mieszkańców miasta.

Brichanteau (wstając, do p. de Gassé, który wchodzi).

Gassé!

(Ściskają się za ręce).

Więc tu—do pułku odesłali ciebie?

(Kłaniając mu się).

Przyjmij powinszowanie:—jesteś po pogrzebie.

(Opatrując ubranie jego).

A!

Gassé.

To moda: z złotawém błękit się przeplata.

(pokręca wąsy i staje z rękami nakrzyż założonemi).

Czy wy wiecie, że Blois jest na końcu świata?

Brichanteau.

Istne Chiny.

Gassé.

Żon naszych krzyk wielki przy dworze:
Że, chcąc być z nami, muszą jechać jak za morze.

Bouchavannes (przerywając grę).

Pan przyjeżdżasz z Paryża?

Rochebaron (przestając palić).

Jakież są nowiny?

Gassé (kłaniając się).

Żadnych. A! w modzie zawsze jest Korneil jedyny.

Guiche ma krzyż; Ast jest księciem; reszta: bagatele;

Trzydziestu Hugonotów wieszano w niedzielę.

Pojedyneków bez liku. Trzeciego, d'Angeun'a

Z d'Arquien'em, o koronki podobno d'Arquien'a;
 Lavardain z Pous'em mieli spotkanie szalone,
 Bo ten Pous'owi zabrał Sourdis'ową żonę;
 A Sourdis bił się z d'Ailly o wdzięki dziewczyny
 Z teatru; znów z Nogant im Lachâtre, z tój przyczyny,
 Że w przepisaniu wierszy zrobił mytek wiele;
 D'Jumier z Gondim o miejsce pierwszeństwa w kościele;
 Gorde z Margailan'em o to, która jest godzina;
 Brissac'ów z Soubis'ami sprawa jest jedyna,
 Bo o zakład psa z koniem. A w ostatniej dobie
 De Caussade z Latournell'em bili się, tak sobie,
 Z przyjemności. I Caussade zabił Latournell'a.

Brichanteau.

Lubię Paryż! Przynajmniej rozrywek udziela.

Gassé.

Rzecz to mody.

Brichanteau.

Miłości, pojedynki, bale;
 Prawdziwie za Paryżem, żyć nie można wcale.

(Ziewając).

Ale tu za to nuda, jak mgła się wydziela.

(Do p. de Gassé).

Powiadasz więc, że Caussade zabił Latournell'a?

Gassé.

Dość zgrabnem pchnięciem szpady.

(Przypatrując się rękawom sukni p. de Rochebaron).

Cóż to za krój dziki?

Nikt już tego nie nosi. Pętlice? Guziki?

Ach! mój drogi, zepsucie gustu oczywiste!

Mamy wstęgi, kokardy!

Brichanteau.

Powtórzo nam listę
 Tych drogich pojedynków? a król, co powiada?

Gassé.

Kardynał karą grozi i we wściekłość wpada.

Bouchavannes.

Z obozu nie ma wieści?

Gassé.

A! była z niedzieli;

Zda się wzięliśmy Figuière, albo nam ją wzięli;

(Przypominając sobie).

Tak,—to nam ją zabrano.

Rochebaron.

Król pewno zmartwiony?

Gassé.

Kardynał bardzo, bardzo niezadowolniony.

Brichanteau.

A dwór? a zdrowie króla dobre do tej pory?

Gassé.

Nie! Kardynał jest mocno na pedogrę chory;
W lektyce spaceruje.

Brichanteau.

A! to oryginał;

My pytamy o króla, on, prawi kardynał.

Gassé.

To moda.

Bonchavannes.

Nowin żadnych?

Gassé.

Jest jedna, wspaniała!

Wydarzenie, cud prawie, katastrofa cała,
Która Paryż wprowadza w ciekawości drzenie!
Odjazd skryty i nagły, ucieczka, zniknięcie...

Brichanteau.

Czyje?

Gassé.

Maryi Delorme, tej pięknej, jedynj,
Cudownej!

Brichanteau (*tajemniczo*).

Posłuchajże i naszej nowiny:

Ona tu jest.

Gassé.

Tu—w Blois?

Brichanteau.

Sama incognito.

Gassé (*wznosząc ramiona*).

Wolne żarty, margrabio. Znam się z tą kobietą

Ona, Marya—tutaj? ona, pani mody?

Pomyślcie, po Paryżu,—Blois—antypody!

Wszystko tu stare, stęchłe, nudne, niepowabne;

(*Pokazując na wieże kościelne*).

Nawet wieże kościołów jakieś są niezgrabne!

Rochebaron.

Nie przeczę.

Brichanteau.

Lecz Saverny dostrzegł ją w tym czasie,
Skrytą tu i z kochankiem już nowym w zapasie;

Kochanek ten ocalił Savernemu życie,
Gdy go zbójcy napadli.

Gassé.

Czyż prawdę mówicie?

A to—cała historia.

Rochebaron (*do p. Brichanteau*).

Czyś pewny nowiny?

Brichanteau.

Pewny, jak sześć Bezanów w herbie méj rodziny.
Savernego jedyne jest dzisiaj marzenie,
Znaleźć człeka, któremu winien ocalenie.

Bouchavannes.

Niech szuka u Marysi.

Brichanteau.

Napróżne staranie.

Od téj pory zmieniła imię i mieszkanie:

Ślad zupełnie stracony.

(*Marya i Didier przechodzą powoli w głębi sceny, nie spostrzeżeni przez rozmawiających i wchodzą do poblizkiego domu bocznymi drzwiami*).

Gassé.

A! to mi, jak śni się!

W Blois—tu—na parafii odszukać Marysię!

(*Wchodzą panowie de Villac i de Montpesat prowadząc główną sprzeczkę*).

Villac.

Nie,—nie,—jeszcze powtarzam!

Montpesat.

Tak i tak—sto razy!

Villac.

Korneil wart jest nie wiele.

Montpesat.

Niestłuszne wyrazy,

Traktować tak autora *Cyda* i *Melity*?

Villac.

Melity—tak! to utwór dosyć znakomity;
Lecz po niej ciągle Korneil utracił znaczenie:
Niestąpiło już talentu. Robię wysilenie
I to dla ciebie tylko. Mówię o *Melicie*,
O *galeryi w pałacu*. Ale, na me życie,
Cyd—nędzota i mówić nawet o nim szkoda.

Gassé.

Pogodzę was panowie: za Korneilem moda!
Po Garniem przyszedł Korneil do wzięcia na świecie,
Jak pilśniowy kapelusz przyszedł po birecie.

Montpesat.

Ja trzymam się Korneila, jak i kapelusza.

Gassé.

Za daleko zachodzisz.

(Do p. de Villac).

Sprawiedliwość zmusza
Czcic Garniego; lecz Korneil jest nie zły czasami.

Villac.

Na to zgoda.

Rochebaron.

Zupełnie dzielę zdanie z wami:
Korneil—człowiek dowcipny, i tak uważany.

Brichanteau.

Lecz jego ród szlachecki dosyć podejrzany.

Rochebaron.

Imię cuchnie zapachem mieszczańskiej natury.

Bouchavannes.

Rodzina sądownictwa i adwokatury,
Która zebrała grosze, oskrobując złoto.

(Wchodzi Angely i usiadła w milczeniu i odosobniony przy stole).

Villac.

Jeśli rapsodye jego czytają z ochotą,
Sztuka tragi-komedyi rozleci się w pyły
I teatr zejdzie na nic,—jak mi honor miły!
I tu Richelieu także. Nie macie pojęcia...

Gassé *(pokazując na Angel'ego).*

Albo nie mów tak głośno, lub mów Eminencya.

Brichanteau.

Do djabła, z Eminencyą! w ręku swoim trzyma
Skarb i wojsko, i wszystko i dosyć mu nie ma;
Chciałby i mowę jeszcze ująć w swe pazury.

Bouchavannes.

Niech zginie ta dłoń krwawa i szata z purpury!

Rochebaron.

Do czegoż mamy króla?

Brichanteau.

Lud w ciemności kroczy,
Na pochodnię, co świeci, obrócił swe oczy;

On—pochodnią, król tylko jak latarnia służy,
Co ochrania te światło od wiatru i burzy.

Bouchavannes.

Gdyby wielu zechciało, to łatwe zadanie!...

Brichanteau.

A tak: wspólnemi siły...

(Do p. de Bouchavannes).

Margrabio! twe zdanie?

Bouchavannes.

Moje zdanie jest waszém: znane są me chęci.

Angely *(wstaje; ponurym głosem).*

Spisek?! Śmierć Marillac'a miejcie na pamięci!
(Wszyscy wzdrygnęli się i zamilkli zmieszani, patrząc na Angelego, który usiadł w milczeniu).

Villac *(do p. de Montpesat na stronie).*

Przed chwilą o Korneilu rozmawiając ze mną
Głos twój dał mi sensacyą jakąś nieprzyjemną;
Pozwolisz, że w tym względzie ja tobie przełożę
Słów parę?

Montpesat.

Szpadą?

Villac.

Dobrze.

Montpesat.

Pistolety może?

Villac.

To i to.

Montpesat *(biorąc go pod rękę).*

Miejsce znajdziem; pierwsza lepsza chwila ..

Angely *(ponuro powstawszy)*

Pojedynek? pomnijcie na śmierć Boutevill'a.

(Nowe zmieszanie się otaczających. Villac i Montpesat rozchodzą się, spoglądając na Angelego).

Rochebaron.

Kto to? dreszczem przejmuję, chociaż niepozorny.

Angely.

Jestem Angely, błazen królewski nadworny.

Brichanteau *(śmiejąc się).*

Dla tego to król smutny, jakby pod męczeństwem.

Bouchavannes *(śmiejąc się).*

Dziwny błazen, kardynał jest jego szaleństwem

Angely (*stojąc*).

Ha! ostrożnie panowie! z ministrem zła sprawa:
Jest to kosarz; a z kosy płynie struga krwawa.
Później wszystko nakrywa szkarłatną sutaną,
I cisza.

(*wszyscy milczą*)

Gassé.

Śliczny obraz!

Rochebaron.

Djable powiedziano!

Brichanteau.

A! przy tym błaznie Pluton jak śmieszek wygląda.
(*Wchodzi tłum ludu, otaczając woźnego, który siedzi na koniu, mając przy sobie czterech pacholców miejskich; jeden z nich trąbi, drugi uderza w bęben*).

Gassé.

Czegoż to cały tłum ten i ten woźny żąda?
Jakim nowym edyktem ucho nam zatruje?

Brichanteau,

(*do ulicznego słoczek, który niesie na sobie matkę*).

A który z was którego w mieście pokazuje.

Montpesat, (*do p. de Rochebaron*).

Zobaczmy czy kart naszych talije są kompletne?

(*Ukazując na pacholców miejskich*).

Ręczę, że z nich zabrano te niżniki świetne.

Woźny (*mówi przez nos*).

Mieszczanie, baczność!

Rochebaron (*do p. d. Gassé*).

Słyszysz, ta figura tłusta,

Gdy mówi, nos swój więcej zużywa niż usta.

Woźny (*czyta*).

Ludwik XIII Burbon i król z Bożej łaski...

Bouchavannes (*do p. de Brichanteau*).

Płaszcz w lilje, skrywający Riszelięgo blaski.

Angely.

Uważajcie panowie!

Woźny (*czytając*).

„Król Francyi, Nawarry”...

Brichanteau (*do p. de Bouchavannes*).

Tytułów mu nie szczędzi nasz minister stary.

Wózny (*czytając*).

„...Wszystkim którzy obecni, nasze pozdrowienie!“
(*kłania się*)

„Zważywszy, że nie jedno już rozporządzenie
Karało pojedynków nieszczęsną swawolę;
I że pomimo przodków naszych, królów wolę,
Pojedynki się mnożą; więc rozkazujemy
I głosimy publicznie, iż odtąd mieć chcemy:
Walczący w pojedynku, jawnie lub w ukryciu,
Czy z nich jeden zostanie, czy oba przy życiu,
Będą więzi pod strażą sądowniczej oko,
Sądzeni i wieszani krótko, a wysoko,
Bez względu na stan, godność. Że to ważna sprawa,
Zrzekamy się niniejszem naszej łaski prawa.
Taka jest wola nasza i rozkazy nasze”.
„Król Ludwik”.

(*oburzenie między panami*)

Brichanteau.

Mamy wisieć jako Barabasze?

Bouchavannes.

Nas wieszać? Radbym wiedzieć kto miejsce odkryje,
Gdzie się kręcą postronki na szlachecką szyję?

Wózny (*głosząc*).

„Aby wszyscy i każdy był uwiadomiony,
Edykt na miejskich placach będzie rozwieszony”.
(*Dwóch pacholków przytwierdzają papier oprawiony w ramy, do ha-
ka, w pobliskim murze*).

Gassé.

Więc to edykt ma wisieć? to już rzecz nie nasza.

Bouchavannes (*z cicha*).

Po edykcie minister, co edykt ogłasza.

(*Wózny odjeżdża. Tłum się rozchodzi. Zbliża się p. de Saverny.
Dzień ma się ku wieczorowi*).

SCENA DRUGA.

Ciż sami. MARGRABIA de SAVERNY.

Brichanteau (*do p. de Saverny*).

Cóż kuzynku? znalazłeś gołąbków ukrycie
I człowieka, co tobie uratował życie?

Saverny.

Nie. Próżno szukam w mieście, ogłaszam przygodę,
Złodzieje, człek, Marysia wpadli jakby w wodę;
I wszystko jak sen znikło.

Brichanteau.

Źleś sobie poradził:
Było mu się przypatrzyć, kiedy cię prowadził,
Jak chrześcijańskiego jeńca z niewoli Turczyna.

Saverny.

Ba, naprzód światło zgasił.

Brichanteau (*śmiejąc się*).

A to rzecz jedyna!
Ale poznasz go przecie, gdy spotkać się zdarzy?

Saverny.

Bynajmniej, nie dojrzałem nawet jego twarzy.

Brichanteau.

Imię?

Saverny.

Didier.

Brichanteau.

Czyż człowiek zwie się tak na świecie?
Chyba mieszczanin jaki?

Saverny.

On tak zwie się przecie.
Ba! wysoko zrodzeni możni patrycyusze,
Mają większe imiona, lecz nie większą duszę.
Byłem ze złodziejami, on z Marysią boską.
I porzucił ją dla mnie! ten dług moją troską;
Zapłacę mu krwią wszystką, za takie przysługi.
To mało.

Villac.

Więc margrabia już płacisz swe długi?

Saverny (*z dumą*).

Długów, co krwią się płacą nigdy nie odkładam;
Bo każdej chwili krew mą w gotówce posiadam.

(*Noc zupełna. Okna przyległych domów zaczynają się oświetlać. Wchodzi zapalacz lamp, który latarnię nad edyktem zawieszoną zapala. Poboczne drzwi w które Maryja i Didier weszli otwierają się: wychodzi przez nie Didier, wolnym krokiem, zamysłony z rękami skrzyżowanymi pod płaszczem.*)

SCENA TRZECIA.

Ciż sami i DIDIER.

Didier (zbliża się niepostrzeżony).

Margrabia de Saverny!... Dałbym za to wiele,
By go spotkać. Jak w oczy zaglądał jój śmieie?
Czuję wzrok ten!

Bouchavannes,

(do p. de Saverny, który rozmawia z p. de Brichanteau).

Saverny!

Didier (na stronie).

Aha! to on właśnie.

(Zbliża się wolnym krokiem z utkwionemi oczyma na panów dworu i siada u stołu, stojącego przy latarni, na której zawieszony jest edykt, blisko przy Angelim, który siedzi milczący i nieruchomy).

Bouchavannes *(do p. de Saverny).*

Znasz edykt?

Saverny.

Jaki?

Bouchavannes.

Który wyraźnie i jaśnie
Wzbrania nam pojedynków.

Saverny.

Ma poparcie we mnie.

Brichanteau.

Ale pod karą stryczka.

Saverny.

Szydzisz sobie ze mnie.

Niech wieszają pospólstwo; o tém się nie gada....

Brichanteau *(pokazując edykt).*

Czytaj sam: on nad tobą.

Saverny *(sposstrzegając Didiego).*

Ta figura blada

Przeczytać mi go może.

(Do Didiego podnosząc głos).

He! człowieku suchy!

Przyjacielu! kochanku!

(Do p. de Brichanteau).

Brichanteau, on głuchy!
(Didier, który nie spuszczał z oka p de Saverny, podnosi powoli głowę).

Czy to do mnie pan mówisz?

Saverny *(do towarzyszy)*.

Mily, daję słowo!

(Do Didiego).

Zapłacę ci; przeczytaj, co tam masz nad głową.

Didier.

Ja?

Saverny.

Ty. Cóż? nie znasz nawet i elementarza?

Didier *(powstając)*.

Ten edykt zawadyakom stryczkami zagraża.
 Panom, równie jak biednym.

Saverny.

Głowa twa nie tęga,
 Wysoko urodzonych stryczek nie dosięga;
 I na całym tym świecie, w którym my panami,
 Pospółstwa tylko szyja zna się ze stryczkami.

(Do towarzyszy).

Lud coraz jest zuchwalszy!

(Do Didiego szyderczo).

Złe czytasz, nieboże!

Może cię oczy bolą? wzrok krótki masz może?
 Zdejm kapelusz, spójrz lepiej; zdejm go: mówię tobie!

(Didier, wyracając stół przed sobą).

Strzeż się pan! ja ubliżać nie pozwolę sobie!

Czytałem ci; masz płacić! to była umowa:

No, margrabio, zapłatą— krew twoja, twa głowa!

Saverny *(uśmiechając się)*.

Naszych pochodzeń cechy jasne, jak się zdaje:

Ja w nim motłoch, on we mnie margrabie poznaje.

Didier.

Margrabia często duszą jest niżej motłochu;

A gdybyśmy krew naszą zmieszali potrochu?

Saverny *(aeryo)*.

Dobrze, panie, lecz bądźmy i tradycjom wierni:

Ja się nazywam Gaspar margrabia Saverny.

Didier.

Mniejsza o to.

Saverny *(zimno)*.

A teraz. To moi świadkowie:

Hrabia Gassé, o którym każdy chlubnie powie;

Drugim, kawaler Villac z La Feuilla'dów domu.
Gotowem służyć, tylko pragnę wiedzieć komu?
Czy pan jesteś szlachcicem?

Didier.

Cóż cię to obchodzi?

Nie! ja jestem podrzutek; nie wiem kto mnie rodzi;
Nie mam wcale nazwiska; ale chętnie za to
Krew przeleję, gdy twoja będzie jój zapłatą.

Saverny.

To nie wystarczy, panie, w żadnym świata kraju.
Lecz podrzutek szlachcicem w naszym obyczaju,
Ponieważ nim być może; a więcej godności
Uszlachcić choćby chłopą, niż z nieświadomości
Odjąć komu szlachectwo. A więc niech się stanie;
I kiedy pan zażądasz.

Didier.

W tej chwili, mój panie!

Saverny.

Dobrze pan utrzymujesz ród swój domniemany,
Więc broń teraz wybierzmy, gdy już czas obrony.

Didier.

Szpady!

Saverny.

Pan nie masz szpady? a to niestychana!
Za Bóg wie kogo ludzie gotowi wziąć pana.

(Oddając Didiemu swoją szpadę).

Przyjm moją; wierna, ostra i nie dla parady.

(Angely, wstaje dobywa swoją szpadę i daje ją Didiemu).

Angely.

Jeśli masz głupstwo czynić, użyj błazna szpady.
Jesteś mężny, więc dla niej cześć będzie nie lada.

(szyderczo)

A za to mi na szczęście, jak ktoś tam powiada,
Pozwolisz dotknąć stryczka, co posłuży tobie.

Didier *(biorąc szpadę, gorzko).*

Zgoda.

(Do p. de Saverny).

Bóg będzie wsparciem dobremu w tej dobie.

Brichanteau *(z radością).*

Pojedynek! to radość!

Saverny *(do Didiego).*

Miejsce, gdzie w oddali...

Didier.

Nie, pod latarnią: tutaj.

Gassé.

Czyście zwaryowali?
Oczy powykalacie: ciemno, światła gasną.

Didier.

Aby trafić do śmierci, zawsze dosyć jasno.

Saverny.

Brawo!

Villac.

Tu nic nie widać.

Didier.

Jasność będzie w oku,

A szpada błyskawicą stanie się śród zmroku;

No, margrabió

(Oba rzucają płaszcze, zdejmują kapelusze, któremi ukłon sobie czynią a później ciskają je po za siebie i dobywają szpad).

Saverny.

Jam gotów.

Didier.

A więc w dobrą porę!

(Skrzyżowali szpady i walczą w milczeniu, ale zacięcie. Nagle boczne drzwi przyległego domu otwierają się i pokazuje się Marya w bieli).

SCENA CZWARTA.

Ciż sami i MARYA.

Marya.

Szczęk broni.

(sposzrzega Didiego)

Didier! Boże!

(do walczących).

Stójcie!

(walczący nie przestają).

Marya *(biegnąc krzyczy)*

Gwałtu! gore!

Saverny.

Kto ta pani?

Didier *(glądając się).*

Ach! ona!...

Bouchavannes (*nadbiegając do p. de Saverny*).

Wszystko jest stracone!

Ta kobieta krzyczała; straże przebudzone:
Już pachołkowie miejscy suną tu jak cienie.

(*Wchodzi straż miejska*).

Brichanteau (*do p. de Saverny*).

Udaj trup; bo nim będziesz.

Saverny (*padając*).

A!...

(*Z cicha do p. Brichanteau który się pochyła nad nim*).

Twarde kamienie!

(*Didier, któremu się zdaje że zabił pana de Saverny, zatrzymuje się*).

Kapitan straży.

W imie króla!

Brichanteau (*do panów dworu, pokazując na pana de Saverny*).

Trzeba skryć go. Bo utaskawienia

Nie będzie, gdy go wezmą.

(*Panowie dworu otaczają pana de Saverny*).

Kapitan straży.

Nie do uwierzenia!

Biją się pod latarnią, gdzie edykt nad niemi?

(*Do Didiego*).

Podдай się pan!

(*Straż chwytą i rozbraja Didiego, który sam pozostał*).

Kapitan straży (*pokazując na p. de Saverny*).

A drugi, co leży na ziemi,

Kto jest?

Brichanteau.

Gaspar Saverny, w piersi ugodzony;

Już skonał.

Kapitan straży.

Trup? więc proces szczęśliwie skończony;

Lepiej tak, niżli zażyć stryckowej słodyczy.

Marya (*przestraszona*).

Co on mówi?

Kapitan straży (*do Didiego*).

Ta sprawa dziś pana się tyczy.

No, chodźmy!

(*Straż uprowadza Didiego w jedną stronę, gdy panowie dworu unoszą pana de Saverny drugą stroną*).

Didier (*do Maryi nieruchomej z trwogi*).

Maryo luba! zapomnij! bądź zdrowa!

(*wychodzą*).

SCENA PIĄTA.

MARYA i ANGELY.

Marya (*biegac, aby go zatrzymac*).

Didier! To pożegnanie? te okropne słowa?

Zapomnieć?!

(Zołnierze ją odtracają; ona wraca z rozpaczą ku Angelemu)

Ach! wytłumacz! ach! powiedz mi panie!

Co to jest? co on zrobił? ach! co z nim się stanie?

Angely*(Bierze ją za rękę i prowadzi pod latarnię, pokazując na edykt).*

Przeczytaj!

Marya (*czyta i odsuwa się z przerażeniem*).

Śmierć! o Boże! Boże! gdzie Twa siła?

Ocał go! jam go własnym mym krzykiem zgubiła!

Ach! wołałam pomocy, a na me wołanie

Śmierć przyszła, skryta w cieniu, straszna, niespodzianie!

Nie! to niepodobieństwo! Pojedynek? Dziwnie

Zań karać! On nie będzie stracony?..

Angely.

Przeciwnie.

Marya.

Ale on uciec może?

Angely.

To trudno—z więzienia.

Marya.

Gdy on—zbrodniarz, to pewno przez me przewinienia!

Za mnie Bóg go uderza! moj Didier!

(Do Angelego).

Czy wiecie:

Że dla niego bym wszystko zrobiła na świecie?

Więzienie! śmierć! okropność! i tortura może?...

Angely.

Zapewne, jeśli zechcą.

Marya.

Lecz król? król! mój Boże!

I królewskie w nim serce, przebacza wspaniale...

Angely.

W królu litość być może, lecz nie w kardynale.

Marya (*zrozpaczona*).

Radź mi! Cobys pan zrobił?

Angely.

Bardzo trudna rada:
Kto jest na spadzistości, ten w przepaść upada.

Marya.

Ach! okropnie! pan w ranie obracasz mi noże!
O! kto jesteś, straszliwy?

Angely.

Ja? błazen przy dworze.

Marya.

Mój Didier! jam niegodna, jam grzeszna, splamiona;
Ale co Bóg rękami niewiasty dokona
Zobaczysz!... Idę, ale...

(Ochodzi w stronę, w którą wprowadzony został Didier).

Angely *(smutnie za nią patrząc).*

Biedna!

(Podejmuje swoją szpadę zostawioną na ziemi przez Didiego).

Kto rzec może,
Widząc to: że ja błaznem pośród nich, mój Boże?!

(Wychodzi).

(Dalszy ciąg nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

Legendy historyczne przez Bronisławę Kamińską. Wydanie drugie przejrzone. Poznań. Nakład i własność J. K. Żupańskiego. 1863. Tom jeden. Str. 321.

Legendy p. Bronisławy Kamińskiej, pierwszy raz ogłoszone w r. 1852, po latach 11 doczekały się drugiego wydania. W każdym razie drugie wydanie książki jest dowodem jej wartości i zdolności autora. O znakomitej zdolności p. B. Kamińskiej zaraz za ukazaniem się jej utworów nikt wątpliwości mieć nie mógł. Twórczość utrzymywana w obrębach rzeczywistości, myśli nowe, trafne, uczucia serdeczne, moralność anielska, dobro kraju i ludzkość, jedyny przedmiot pracy, styl nadzwyczaj lekki malowniczy i miły, oto są główne zalety autorki naszej.

Legendy historyczne napisane są dla młodych dziewcząt, do których autorka tak się odzywa. „To, co w myśli i uczuciu miałam najlepszego, to com z nauki dziejów i serca wyniosła, tom dla was dzisiaj w legendy uplotła. Chciałam aby te powieści były zwierciadłem, w którymby się nasze dusze odbić mogły; chciałam aby były podporą przy waszej pierwszej nad sobą rozwadze; chciałam aby wam były dobrym przyjacielem, od którego pocziwiej rady macie prawo żądać”. Cel zamierzony w znacznej części osiągnęła autorka. W serca młodych dziewcząt, dla których świat jest zupełną tajemnicą, legendy z niezwykłą siłą rzucają niebieskie ziarna wiary, miłości, nadziei, przedstawiają wypadki przekonywające o potędze religii, przykłady dobroci nadzwyczajnej, miłosierdzia, poświęcenia się dla kraju i bliźnich, wytrwałości nagrodzonej i ukaranej zbrodni. Tytuł książki może nie jest stosowny, nie znajdzie tam czytelnik legend w właściwem znaczeniu tego

wyrazu. Nie są to legendy historycznym kronikarskim stylem pisane, nie są legendy kościelne mową biblijną opowiedziane, ani legendy ludowe właściwym uroczym językiem ludu odadane: są to tylko osnovy z legend wszelkiego rodzaju, przetworzone w obrazki nadobne i osypane nauką moralną, która świeżością, wyższym poglądem musi wrażenie robić na umysłach młodych i serca do dobrego przeciągać. Treścią legendy jest najczęściej cudowność, dla tego prawie we wszystkich legendach p. Kamińskiej zjawiają się cuda po cudach. Zdawałoby się, że ta ciągła cudowność monotonością swoją szkodzi książce, tymczasem tak nie jest. Ta widoma opieka Opatrzności, która przy nadzwyczajnych wypadkach zjawia się z pomocą uciśnionym, musi zająć młody umysł, bo mu wskazuje potęgę Najwyższą, która jest najdzielniejszym kierownikiem życia. Jakież wrażenie z cudu, który przedstawia legenda *Pięciu męczenników!* Paganie zbrojcy, w nadziei zdobycia złota zabijają w pustyni pięciu kapłanów i apostołów opowiadających ludowi słowo boże. Bolesław Chrobry na widok takiego morderstwa, uniesiony gniewem chciałby zbrodniarzom największe zadać męki, rozkazał więc do grobu wystawionego zakonnikom, przykuć złoczyńców okutych w łańcuchy, aby w takiej męczarni życie skończyli. Lecz zaledwie to dokonano, o dziwo, pękają łańcuchy, spadają ku ziemi a zbrodniarze stają wolno. Bóg im przebaczył a monarcha wielki poznał boskie miłosierdzie i ukorzył się przed niemi, bo się przekonał, że takie miłosierdzie zbrodniarzy nawet na drogę cnoty poprowadzić musi. Legenda *Zosia* jest prześlicznym obrazkiem anioła dobroci, jaki tu na ziemi zjawić się może. Córka Szymona Mościckiego urodziła się już jako kwiatek dobroci. Tak ją autorka legend opisuje:

„Był to cud piękności, oczęta miała jasne, któremi wpatrywała się w człowieka z taką dobrocią i miłością, żeby niemi przebiła najtwardsze piersi. Twarzyczka okrągła z lekkim rumieńcem zdawała się zdradzać jakiś wyraz rzewnego smutku, tęsknoty za niebem, za aniołkami, od których odeszła. Bo kiedy usnęła, śnać po głowie chodziły marzenia z tamtego świata: na ustach przelatywał uśmiech, jakby pozdrowienie tego co się kocha, i rączka drobniuchne wyciągała w górę, jakby się chciała witać, połączyć i ulecieć z tym rojem niebieskich mieszkańców, którzy do niej we śnie po złotych promyczkach słońca się spuszczaali. Było to kochanie całego domu, rosła prędko i chodziła. A w około niej szerzyła się jakby wonna atmosfera spokoju i miłości, bo gdziekolwiek weszła, wszyscy patrzyli na tę główkę, którą płowe

włoski wieńczyły złotą koroną, na tę istotę wiotką, przezroczy-
stą, że ludzie mówili, że kiedy łyzy spadają z oczu Matki Boskiej,
to takie dzieci się rodzą". Tak utworzona istota od małego
uczula gwałtowną miłość dla Boga i bliźnich, których kochała jak
własnych braci. łyzy cudzej znieść nie mogła, nie było granic w po-
święceniu tam, gdzie tego cierpienie wymagało. Biegła wszędzie
z pomocą, z pociechą, bez względu na wszelką przyzwoitość dzie-
cka szlacheckiego i bez względu na niebezpieczeństwo ofiary. Bóg
i wiara święta, to dla niej jedyne życia przedmioty. Na granicy
wioski wykryła w zaroślach zrujnowaną kaplicę. Wśród zwaliska
do wiszącego na ścianie krucyfiksu woła z płaczem: „O mój Boże!
Ciebie tutaj ludzie zapomnieli, sam jesteś i ani Cię modlitwa ludz-
ka nie rozweseli, ani nie usłyszysz westchnienia pobożnego. Zapom-
nieli o Tobie ludzie, zostawili Cię w pośród walących się ścian,
a Ty za nich cierpisz na krzyżu." Rodzice Zosi na jej prośby
wyrestaurowali kaplicę. To ustronie było dla niej najmilsze.
Lecz autorka utworzywszy w małej dziecinie taki ideał dobroci,
czuła że nie może mieć dość sił, aby przedstawić dalsze życie Zosi
w wyższym a nawet w równym stopniu. Kończy więc autorka
tę, że małej dziecinie Chrystus Pan powiedział iż umrze jutro,
a ta ustrojona na śmierć kładzie się w trumienkę i umiera w wie-
ku dziecinnym, aby to co było niebieskim wróciło do nieba.

Równiej prawie wartości są dwie legendy: Ojciec Luboni i Pa-
tron kmiotków. W pierwszym obrazku Maciej stary sołtys, ofiara
przesądu a zarazem ofiara najszlachetniejszych uczuć, w przekona-
niu jak wróżba głosiła, że morowa zaraza ustanie, jeśli dwie osoby
śmierć dobrowolnie poniosą, chcąc od grasującej zarazy uwolnić oko-
licę, ukochaną wnuczkę swoją żywcem w grobie zakopał i sobie no-
żem życie wydarł. W drugim obrazku występuje Korsak bogaty
dziedzic włości na Litwie, który pełen dobroci i miłości dla bliźnich,
pomimo uczynków szlachetnych, sam z sobą walczy, bo nie jest pe-
wny, czyby się nie zmienił za zmianą osób, które go otaczają i ze
stratą majątku jaki posiada. Niedługo czekał na sposobność
przekonania się o swojej nieugiętej woli. Tatarzy napadają oko-
licę, on ich odpięra; lecz raz przy napadzie nocnym zrywając się ze
snu, zamiast swój odzieży, porywa odzież wieśniaczą, w tej wal-
czył, w tej otrzymawszy kilka ran w twarz, padł i leżał na pobo-
jowisku niepoznany; odcuony spojrzął na siebie: widzi siermięgę
wieśniaczą, spostrzega że go unikają, że się nim wcale nie zajmu-
ją: przyjmuje to za wolę Bożą i za podaną pomoc do rozstrzygnię-
cia wątpliwości, które go męczyły i za wskazówkę dalszego życia.

Ukrywa więc swoje nazwisko i pochodzenie, wyrzeka się dobrowolnie majątku, a wyleczony z ran i niepoznany przez nikogo, w własnych swoich dobrach służy u włościan i tam pracując ciężko i znosząc wszelkiego rodzaju cierpienia i poniżenie, daje z siebie przykład, jak cnota i praca bez względu na stan poniżony rolnika wznosi człowieka nad wszystkich do świętości prawie i zapewnia mu szczęście niewysłowione, bo rokosz duszy. Przy zgonie Korsak odkrył spowiednikowi tajemnicę, którą gmin poznał i zadziwiony cnotami cierpliwością i poświęceniem Korsaka, uznał go w swych podaniach za patrona kmiotków.

Dla młodego pokolenia piękne są wspomnienia historyczne w legendach. *Matka Boska Częstochowska*, gdzie walka ks. Kordeckiego za wiarę i kraj; *Piast*, w której Opatrzność wynagradza gościnne przyjęcie; *Piotr Dunin*, któremu jako niewinnemu i dla ogółu cierpiącemu wydarte oczy i mowę niebo przywraca; *Napady Tatarów* przedstawiają świetne postacie św. Jadwigi, św. Czesława i księcia Henryka, do tej legendy dołączyć należy drugą tegoż rodzaju: *Święta Jadwiga i klasztor trzebnicki*. Legenda: *Pierścień Kunegundy* przypomina wykrycie żup solnych w Polsce. Wszystko to znane są dobrze zdarzenia a przecież dla młodych dziewcząt, które po raz pierwszy zbliżają się do nich, opowieści takie stylem serdecznym i z stosowną nauką przedstawione, przyjemność i użytek moralny zapewniają. Z legend kościelnych piękną jest legenda *Święty Krzysztof*, z legend ludowych legenda górnicza *Złoty kilof* najmiłszy dla serc obrazek, a *Jaskinia Złójcy* chociaż przerobiona z niemieckiej legendy *Der schwarze Fritz*, jest bardzo skutecznym lekarstwem na słabość serca dziewic, które bez rozwagi i rady rodziców przywiązują się do pierwszego lepszego przedmiotu. Zamieszła się pomiędzy innymi legenda sądowa: *Krucyfik w Trybunale Lubelskim*, scena z dawnych wieków. Przekupieni deputaci w trybunale wydają wyrok najniesprawiedliwszy i bezprawny, którym nakazują wieś, cały majątek biednej wdowy i dzieci, zabrać i oddać bogatemu sąsiadowi, a po takim wyroku natychmiast wszyscy jadą do bogacza na pohulanek jego kosztem. Lecz zaraz po ich oddaleniu się, kiedy jeszcze pisarz sądowy wyjść nie zdołał, przybywa komplet czarłów po niemiecku przebranych, którzy jako sędziowie zatrzymują pisarza, zasiadają na audyencyi, nakazują powtórnie sprawę publicznie wprowadzić: czar woźny przywołuje sprawę. Stają jako mecenas i czarci, którzy każdą ze stron najgorliwiej i z wielkim podziwieniem publiczności bronią. Pomimo matactw obrońcy bogacza, prawda nie znikła z przed oczu sprawie-

dliwości. Panowie czarci wydają wyrok sprawiedliwy, unieważniają pierwszy wyrok, przysądzają wdowie i dzieciom majątek a skazują bogacza na wynagrodzenie szkód i kosztów. Pisarz wyrok taki napisać i ogłosić musiał. Wówczas Chrystus Pan na krzyżu, słysząc oba te wyroki, z boleści głowę swą przeniósł na inne ramię i odwrócił od sądu. Obrazek to satyryczny, utworzony z przysłowia szlacheckiego z dawnych wieków, które pozostało jako dowód obrzydzenia niesprawiedliwości.

Wskazaliśmy zalety książki p. Kamińskiej, a drobne usterki pomijamy, bo te każdy z czytelników pozna, jak na przykład twierdzenie autorki w *Napadzie Tatarów* „że ród Tatarów wyginął ze szczętem”; uważamy jednak, że chociaż tytuł legendy zapewnia, że to drugie wydanie jest przejrzane, to i to zapewnienie zdaje się być mylnem. W przejrzaniu nie tylko wszystkie drobne usterki byłyby sprostowane, lecz i z większych błędów wydanie to zostałoby oczyszczone; większymi błędami zdaje nam się to, że autorka nieraz epizodami rozwlekłymi zmniejsza wrażenie, jakie chce nadać swym obrazkom. Czasem wyrażenie nasuwa myśli rążące czystość dziewiczą, jak w legendzie *Dojutrek*, gdzie żona oświadcza mężowi, że jest przy nadziei; w legendzie *Kara niebios* kapelan opowiada jak ojciec Hansa, zaniechał żony a matki Hansa, pokryjono zawiązywał miłości pokątne, których owocem była dziewczynka później zakonnica, którą Hans porwał i poślubił. Wyrażenia takie można zastąpić innym zwrotem a w każdym razie opuszczenie całkowitej tej legendy niemieckiej niechybnie zaszkodziło całemu zbiorowi; niekiedy autorka zdaje się jakby odstępowała od własnych raz już przyjętych zasad, a ztąd pewna nasuwa się sprzeczność, jak na przykład w legendzie *Dojutrek*, gdzie chęć rodowości jest potępioną i ukaraną, a w legendzie *Kniaź Ostrogski*, gdzie rodowość antenatów tworzy cud i młodego kniazia z rozpusty i występku na drogę cnoty sprowadza; w legendzie *Praca i modlitwa* p. Kamińska chce wsunąć w serca młodego pokolenia tę najważniejszą prawdę, że modlitwa sama bez dobrych uczynków, bez pracy nie wystarcza do doskonałości moralnej. Tworzy sobie i pragnie zbić to własne zdanie jako mylne „że rękom nigdy tyle dobrego nikt nie zrobi, ile go zrobi słowem i modlitwą”, nieoględnie wmieszane tu jest słowo. Bo praca słowem jest najwyższą pracą umysłową i fizyczną i staje się wyższym czynem od wszelkiego dzieła pracą rąk ludzkich dokonanego, a najlepszym na to dowodem są własne prace autorki.

Kobiety z sercem, obdarzone wyższym talentem, same tylko są zdolne tworzyć najużyteczniejsze dziełka dla wychowania kobiet. Bo one znają najlepiej tajemnice uczuć i myśli kobiecych, znają wszystkie słabości tej pięknej połowy stworzenia i potrafią na każdy wypadek podać radę i pomoc. Pomiędzy znaczną liczbą znakomitych naszych literatek góruje p. Kamińska trafnym na świat poglądem, zasadami wyższemi i nadzwyczajnym urokiem stylu prostego, jasnego, pełnego słodyczy i pieszczot. Chcielibyśmy wszystkich użyć bodźców, aby p. Kamińską znuwolić do tej tak ważnej pracy dla naszego kraju. Ta jednak jedna myśl powinnaby do tego celu wystarczyć dla niej, że zapewnienie kobietom naszym moralnego ukształcenia, silnego charakteru i uczuć narodowych stanowi szczęście i błogostawieństwo dla przyszłych naszych pokoleń.

A. J. S.

Araukania i jej mieszkańcy. Wspomnienia z podróży po południowych prowincjach rzeczypospolitej chilijskiej. Przez Ignacego Domejkę, członka uniwersytetu chilijskiego, profesora kolegium w Coquimbo. Tłumaczone z hiszpańskiego przez Jana Zamostowskiego. Wilno nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1860 r. W 8ce. Str. 227.

Trzeci rok już ubiega od wydania tej pełnej treści i zajęcia książki, a żadne z pism naszych nie podało obszerniejszego o niej sprawozdania, zbywszy ją tylko ulotnym wspomnieniem. Wydawca, z niezwykłą starannością zabrał się do jej ogłoszenia. Tłumacz poprzedził wstępem pracę Domejki, w którym (str. 60) podaje wiadomości o przeszłości i dziejach Araukanii, doprowadzając do chwili, w której autor rozpoczyna swój opis: w końcu Michał Baliński skreślił nam życiorys Domejki.

Nie będziemy zajmować się opisaniem bogactw ziemi cudownych, nadmienimy tylko, że r. 1535 można uważać za datę pewną odkrycia Chili, a niedługo Hiszpanie poznali się ze strasznym dla siebie i najbitwiejszym plemieniem Araukanami. Valdivia dzielny wódz Hiszpanów, spotkawszy ich pierwszy raz na polu bitwy, zwątpił o zwycięztwie. Straszne ich oblicza, długie lance i stałość z jaką nieustraszenie wytrzymali pierwszy strzał muszkietów i atak nieznanej sobie konnicy, nie małe zrobiły na Hiszpa-

nach wrażenie. Valdivia po kilkakroć razy był w wielkiem niebezpieczeństwie, zwłaszcza gdy padł pod nim rumak ugodzony w łeb maczugą. Rzeź straszna trwała kilka godzin, gdy wódz Araukanów, *Aillivitu* poległ od kuli karabinowej, cofnęli się w najlepszym porządku, zostawiając pole bitwy Hiszpanom, którzy ich ścigać nie śmieli.

Przerywamy następne dzieje, aż do pojawienia się pomiędzy Araukanami jeniałnego wodza *Kaupolikana*.

Wynalazł on nowy sposób wojowania, przeciw dobrze wyćwiczonemu i uzbrojonemu żołnierzowi hiszpańskiemu, i nim odnosił zwycięstwa. Tworzył zbite kolumny z tysiąca ludzi, które szły do ataku jedna za drugą, i każda z nich pobita lub znużona, rozsypując się, ustępowała miejsca następnej, a sama formowała się z tyłu, zajmując za innymi swą kolej, tak, że mała liczba Hiszpanów, mając zawsze do czynienia ze świeżym nieprzyjacielem, pod tym nieprzerwanym bohaterским naciskiem, w końcu upadać musiała.

Kaupolikan uderza na uzbrojoną działami fortecę *Arauco*, i zdobywa, po niej drugą *Tucapelu*. Zrujnowawszy je, obozował wśród dymiących palisad i budowli, oczekując na Valdivię, który niebawem nadszedł na czele dwustu Hiszpanów i 5000 sprzymierzonych Indian.

Długo oba wojska patrzyły na siebie, nie śmiejąc zetrzeć się z sobą, gdy dowódzca lewego skrzydła Araukanów *Maviantu*, uderzył na prawe hiszpańskie, którego wódz *Babodilla* pada zabity. Kaupolikon uderza na lewe i bitwa stała się powszechną. Pod strzałami kartaczowemi dział padają szeregi Indian: rozsypują się i formują na nowo. Po strasznej rzezi już myślały ustępować z pola walki w zwyczajnym sobie porządku, gdy sześćnastoletni Araukanin *Lautaro*, którego Valdivia wychował i trzymał przy sobie jako pazia, słysząc hasło wojenne ojczyste, widząc walczących braci, porywa lancę i przybiega do swoich, zapewniając ich, że Hiszpanie znużeni i prawie wszyscy ranni, nie są w stanie już walczyć dłużej.

— Za mną, bracia! — krzyknął, — za mną! zwycięstwo wyciąga do nas ręce!

Ożywieni zapalem, głosem i pewnością młodzieńca, wracają kolumny Araukanów do boju i straszną klęskę zadają Hiszpanom. Lautaro wcześniej przed końcem bitwy kazał zająć wszystkie drogi i przesmyki, aby niedobitkom odciąć wszelką możliwość odwrotu. Z całych zastępów, które Valdivia wywiódł w pole 5,000

Indyan i 200 Hiszpanów: dwóch tylko uciekło Indyan; Hiszpanie wszyscy wymordowani zostali; sam tylko Valdivia pragnący się wypowiedzieć przed śmiercią, z kapelanem swoim dostał się do niewoli.

Lautaro poruszony niedolą dawnego swego pana, chciał mu życie ocalić. Już przychodziło do umowy, mocą której Valdivia z całym wojskiem zobowiązywał się wrócić do Europy, gdy jeden ze starych kacyków porwawszy maczugę, rozbił mu na miazgę głowę, wołając:

— Co za szaleństwo puszczać takiego wroga, który wydobyszy się z rąk naszych, szczyłby z przysięg swoich, a zarazem z naszej głupoty i łatwowierności.

Ciało jego i pojmanego z nim mnicha w kawałki rozszarpanem zostało. Tak zginął Don Pedro de Valdivia 1553 r., towarzysz Pizara, jeden z najwaleczniejszych i najgienialniejszych zdobywców nowego świata.

Araukunie z kości Valdivii porobili piszczałki, a ucztę zwycięzką zdobiły piramidy z uciętych głów hiszpańskich. Kaupolikan przybrany w zielone aksamitne szaty, haftowane złotem zdarte z Valdivii trupa, Lautarę pomimo tak młodocianego wieku, mianował swoim zastępcą i oddał mu dowództwo nad osobnym oddziałem.

Po zgonie Valdivii objął naczelne rządy kolonii Villagran, który zebrawszy ogromne siły sprzymierzonych i co mógł Hiszpanów z siedmiu działami ruszył naprzód. W ważkim przesmyku spotkał oddział Araukanów: po trzygodzinną krwawą walkę odparł go do obozu Lautary. Ten przywołał jednego z kacyków *Lencotona*, rozkazał mu zabrać działa hiszpańskie. Lencoton uderza i pomimo morderczego ognia wszystkie siedm armat zdobywa. Lautary odnosi stanowcze zwycięstwo: 3,000 sprzymierzonych z Hiszpanami Indyan kładzie trupem na pobojowisku. Villagran zwalony z konia, ledwie uszedł niewoli. Otrzymawszy posiłki z Lima, uderza niespodzianie na obóz Lautary, który wychylając się za palisady dla rozpoznania nieprzyjaciela, strzałą na wskroś przeszyty poległ. Towarzysze jego nie przyjmując ofiarowanego sobie życia, przyparci we własnym obozie, położywszy trupem wielu nieprzyjaciół, wyginęli do ostatniego. Tak zginął w kwiecie wieku bohater Araukonii Lautary, którego pisarze hiszpańscy Annibalem chilijskim nazywają.

W r. 1557 Mendoza, który objął rządy chilijskie, sprowadziwszy 2,000 żołnierzy hiszpańskich pieszych i jazdy, ruszył

na ziemię Araukanów. Ale żył dzielny Kaupolikan; ten ufał męż-
twu i dzielności swoich i broni, którą dzielnie władać umieli.
To też kiedy żołnierz hiszpański uciektszy od swoich, radził
Araukanom, aby zdobywszy na placu boju tyle broni palnej po
Hiszpanach, użyli jej, a on nauczy użycia muszkietów i robienia
prochu; przeszli go bezzwłocznie strzałami, oskarżając, że chce
ich porobić tchórzami i odebrać im ufność we własne ich dłonie,
którymi dotąd bronili ojczyzny.

Kaupolikan przyjął bitwę, chociaż z tak przeważnemi siła-
mi Hiszpanów. Wydał rozkaz aby unikając o ile można strzałów
armatnich, co prędzej przyjść na walkę ręczną. Jakoż w pierw-
szém natarciu, Araukanie na swych lancach wytrzymawszy atak
kawaleryi, zmieszali i złamali szyk hiszpański. Taktyka europej-
ska odniosła zwycięztwo jedynie użytą w miejscu i czasie stoso-
wnym rezerwą; Kaupolikan jednakże zdołał się cofnąć w po-
rządku.

Dzielne to plemię nagle ciosy wielkie nieszczęść dotknęły:
z zaniedbania rolnictwa powstał głód, a Hiszpanie sprowadzili im
ospę. Wymierali tysiącami wśród niedostępnych lasów.

Mendoza schwytanemu kacykowi Galvarino, kazał uciąć
obie ręce i puścił do domu na postrach Araukanom. Widok tego
kaleki, który przebiegał ojczyznę swoją, jako wymowne świadec-
two okrucieństwa Hiszpanów, zapalił wszystkich, nawet kobiety
nieubłaganą zemstą. Rzucono się na wrogów z dziką zaciętością,
ale bez porządku i rozwagi, co było przyczyną strasznych klęsk
dla Araukanów.

W nowo zbudowanej twierdzy *Canète*, postanowił dowódcą
Don Alonza Reinoso, który pałał niepohamowaną zemstą prze-
ciw Kaupolikanowi, za doznane dawniej klęski: wódz ten araukań-
ski napadłszy i zniszczywszy nadsyłane téj twierdzy posiłki,
obległ ją z wielkimi siłami. Nie mogąc zdobyć z przyczyny lic-
nej artylleryi, odstąpił na chwilę, postawszy kacyka *Pran*, który
udając dezertera wpuszczonej został do fortecy.

Pran spostrzegł, że Hiszpanie najczujniejsi w nocy, mieli
zwyczaj spoczywać w południe, umyślił tedy urządzić atak na
miasto o téj porze. Ale nieroztropnie zaufał ochrzczoneму Indy-
aninowi Andresillo, który go zdradził. Otworzył wprawdzie
bramy Araukanom, ale co weszło, przez Hiszpanów wymordowane
zostało; stojący pod bramami, tegoż losu doznali od mordercze-
go ognia z armat kartaczami. Wypadła kawalerya rzeź strasz-

nę zadała. Kaupolikan z dziesięciu towarzyszami nieodstępującymi go nigdy, uszedł w pobliżkie bagna: towarzyszyła mu jak zwykle żona, z dzieciąciem u piersi. Reinoso dowiedziawszy się o miejscu schronienia jego, kazał go otoczyć i pojmał po zaciętej obronie; wtedy żona Kaupolikana, rzucając mu w oczy ssącą dziecią od swych piersi, zawołała: „Masz tchórze! nie umiałeś umrzeć, niczego nie chcę, coby mi po tobie miało zostać i ciebie przypominało”.

Mściwy do nikczemności Reinoso skazał jeńca na wbicie na pal.

— Nie będziesz miał generale wielkiego owocu z mojej śmierci-- rzekł Kaupolikan— większą tylko zemstą zapalisz mój naród, który bynajmniej nie straci odwagi, losem nieszczęśliwego wodza swojego: znajdzie on tysiące lepszych odemnie Kaupolikánów. Poślij mnie do Hiszpanii, niech ja zobaczę twój król i niech go się spytam, czy onby inaczej postępował na mojem miejscu, gdyby kraj mu powierzony, zagrożonym został w niepodległości.

Przekonany, że wyroku swego zacięty Hiszpan nie zmieni, zapragnął umrzeć chrześcianinem i odebrawszy potrzebną naukę od kapelana i upragniony sakrament, z odwagą wszedł na rusztowanie; lecz widząc kata Murzyna, zbliżającego się do niego, dawna araukańska obudziła się w nim duma. Kopnąwszy go nogą, rzucił na ziemię wołając:

— Nie masz pomiędzy wami człowieka i nie macieź miecza, aby mi odebrać życie: postępowanie takie nie jest sprawiedliwością ale podłą zemstą.

Lecz uspokojony przez kapłana, z rezygnacją poddał się okrutnej śmierci, której sami Hiszpanie nie mogli przebaczyć Reinosie.

Tak skończył jeden z największych bohaterów pomiędzy Indyanami, który umiał zwycięzko gromić, straszne dla innych zastępy hiszpańskie.

Syn Kaupolikana został ogłoszonym najwyższym *Toki*, sprzymierzonych Indyan: płacił on krwawemi kłeskami śmierć ojca: lecz w końcu pobity, sam sobie odebrał życie, ażeby niedostać się w ręce Hiszpanów.

Nie będziemy dalszych losów Araukanów kreślili, ale musimy wspomnieć, że pomiędzy Hiszpanami znalazł się znakomity poeta, który uczcił wielkim poematem olbrzymią postać Kaupolikana. Tym poetą jest Don Alonzo d' Ercilla'y Zunniga (ur. 1533 r.

syn znakomitego szlachcica, paź królewicza, który później panował jako Filip II).

Przy Mendozie walczył w siedmiu walnych bitwach. Za powrotem do Europy dał poznać swój wzniosły utwór złożony z XXXVII pieśni oktawami, jak *Orland* albo *Jerozolima wyzwolona Tassa*. Współcześni uważali go za hiszpańską iliadę.

Cerwantes, *Araukanę* Ercilli, bo taki dał tytuł autor swemu poematowi, nachwalić się nie może, a Wolter uznał ją za jedną z najklassycyjszych epepei.

Ercilla był największym wielbicielem Araukanów, główną też wartość i interes niesłychanie zajmujący stanowi sam przedmiot i pełne ognia uwielbienie i miłość poety dla tego dzikiego ludu. Po trudach dziennych w obozach, układał on swój poemat nocami, na kawałeczkach zbieranych papierów, a niekiedy na skórze zabitego barana, na cholewach lub rękawicach. O wbiciu na pal Kaupolikana ze zgrozą wspomina i klnie się, że gdyby był wówczas w Canéte, ta egzekucya nigdy nie byłaby przyszła do skutku.

Tłumacz, w swym ustępie wspomina o dwóch jeszcze poematach hiszpańskich poświęconych Araukanii i o znakomitym dramacie Lope de Vegi, p. n. *Arauco domado*. „Trudno sobie wyobrazić (mówi) wspanialszą fantazyę, czarowniejsze obrazy, liryczniejszy polot, doskonalsze przeprowadzenie scen i charakterów, jak te, które Lope w swym dramacie rozwinął, a który do najwspanialszych utworów tego poety należy. Wprowadził on Ercillę bijącego w bęben i wiodącego Hiszpanów do boju.”

Kreśli następnie dalsze losy Araukanii i doprowadza swój przegląd historyczny, do dzisiejszej epoki pozostawiając ziomkowi skreślenie stanu teraźniejszego, tego bitnego narodu, który wiekowemi walkami, umiał dotąd z taką stałością i heroizmem utrzymać niepodległość swoją.

Teraz (od str. 61) zaczyna się właściwy opis Araukanii przez Domejkę. Pracę swoją podzielił na trzy części: w *pięroszłej* opisuje położenie fizyczne i naturę ich kraju; w *drugiej* stan moralny w jakim się dziś znajdują Araukanie, ich zwyczaje i obyczaje; w *trzeciej*: przyczyny jakie stawiają przeszkody w cywilizacyi Indian araukańskich i środki najwłaściwsze do osiągnięcia tego celu.

Domejko zna dokładnie poemat Ercilli, to też w opisie Araukanii częste z jego poematu przywodzi ustępy.

Araukanie (pisze) są i dziś takimi, jak ich przed trzema wieki opisuje poeta:

„Silni, choć bez brody,
Kształtni są ciałem i wysocy wzrostem;
Szerokie karki, piersi podniesione,
Potężne członki, pełne nerwów ciało,
Zwinni i szybcy. Są to Achilesy
Duchem, odwagą, siłą i zuchwalstwem:
W pracy niezłomni, znoszą ze stałością
Śmiertelne zimna i głód i upały.

Cera ich ciemna ale mniej czerwona i jaśniejsza niż innych Indyan amerykańskich; twarz cokolwiek pociągła, oko duże lub zwyczajnej wielkości, żywe, wyraziste, brwi wązkie i w kształtny łuk zagięte, oblicze zbliżające się więcej do rasy kaukazkiej niż do mongolskiej. Nos zwyczajnie mniej szeroki, wydatniejszy niż u dzikich na północy, niekiedy nawet orli; usta kształtne, chociaż spodnia warga cokolwiek wystaje: włos czarny, ostry i gruby, ale nigdy kędzierzawy. Charakter oblicza wyniosły, twardy i nadzwyczajny, ale przytem ma wiele pokoju i powagi.

Nie mają żadnych obrządków religijnych, ani kapłanów, ani świątyń, ani bałwanów, ani ceremonij religijnych: mimo to wierzą w Boga, Stwórcę nieba i ziemi, i w nieśmiertelność duszy. Obok tego pełni są przesądów. Nieustraszony Araukanin, który w bitwach z niestychaną odwagą stawia czoło śmierci, drży na widok puszczyka albo sowy. Chrześcijaństwo nie potrafiło w tę krainę przeniknąć, pomimo usilnych prac gorliwych missyonarzy. Zostały pomiędzy Araukanami tylko imiona chrzestne, między tymi co w dzieciennych latach ochrzczeni byli; a wszyscy mają szczególną cześć dla krzyża Chrystusowego. korzą się przed nim, chociaż znaczenia jego nie pojmują. Na cmentarzach, na grobach szczególnież swoich kacyków, stawiają zawsze krzyże. Na miejscach umów i zawieranych traktatów, sami się domagają, aby na pamiątkę tego co zaszło, krzyż postawiono, i póki go widzą, z niezłomną wiernością i uszanowaniem, wszystkich dotrzymują obietnic.

Posłuchajmy jak opisuje Domejko Araukanów dzisiejszych: „W pięknej dolinie przy ujściu rzeki Imperial, w okolicy oddalonej od wszelkich stosunków ze światem chrześcijańskim, oczekiwało na mnie piętnastu kacyków, z kilkuset konnej młodzieży, ażeby mnie godnie przyjąć, myśląc, że mi się ta cześć należy, ponieważ znajdowałem się w towarzystwie kapitana Indyan,

i jednego żołnierza, gdyż szybko rozeszła się wieść, że ze stolicy przybywa podróżny, w chęci zwiedzenia araukańskiej ziemi. W środku téj doliny stoją dwa starożytne krzyże, nachylone już ku sobie, zieleniejące się mchem wieków, zbutwiałe i spróchniałe, i z leżącym już na ziemi drzewem, które stanowiło ich ramiona. Cudna łąka, zarosła bujnym zielskiem i kwiatami, rozciąga się aż do zapienionego bałwanami morza piasku. gdy tymczasem szeroki widokraż od północy i wschodu naznaczony jest sosnowemi wzgórzami, zakrywającemi czarne szczyty Kordylierów.

„U stóp tych krzyżów stali Araukanie rzędem jak do boju i z grzecznością i uszanowaniem właściwem ludom ucywilizowanym, wezwali mnie na to miejsce. przez kilku wystanych z pomiędzy siebie. Długie były wojenne ewolucye i oznaki uprzejmości na cześć nowego gościa. Stanęli potem w szerokie koło otaczające krzyże, i stary kacyk, który swą postawą atletyczną, potężnym głosem i obliczem pełnem szlachetności, przywiódł mi na myśl tych mówców sławnéj rady zebranéj przez Kaupolikana, z przyczyny odniesionego zwycięztwa pod Mariguenu, odezwał się do mnie w te słowa:

— „Oto jest miejsce, na którym przed wielą laty zawarliśmy pokój z Hiszpanami: świadkami tego są te krzyże, które widzisz, i któreśmy po dziś dzień szanowali; pragniemy pokoju i zachowywać go będziemy święcie, jak go dochowywali ojcowie nasi”.

W inném miejscu, w pośród Indyan najburzliwszych, koło fortecy *Tukapel*, istniał od dwóch wieków skromny klasztor misyonarzy. W czasie wojny o niepodległość, został spalony, a straszne trzęsienie ziemi r. 1835 zniszczyło go ze szczerem. Przeszło 20 lat stały samotne jego ruiny. Kilka lat temu, grono Indyan udało się do naczelnika prowincyi z prośbą o odbudowanie klasztoru i przywrócenie starodawnéj missyi. Rząd wyznaczył kapłana, z poleceniem spełnienia tych życzeń. Ale Araukanie położyli warunek, żeby obcych rzemieślników nie sprowadzał, że sami pomogą do budowy. Przeszło 800 zebrało się Indyan, postawili krzyż przyjmując *padrę* i missyę.

— Ależ wy nie umiecie pracować, aniście nigdy nie budowali domu jaki ja zamierzam postawić—rzekł im kapłan.

— Ty nas nauczysz—odrzekli. Zobowiązali się co tydzień przysyłać pewną ilość robotników, jakich *padre* zażąda; dozwo-

lili nawet, ażeby jeden pozostał człowiek, którego kapłan sprowadził z sobą dla fabrykacyi cegły i dachówek.

„Mam przed oczyma (pisze Domejko) tego pobożnego ojca, urodzonego nad brzegami Tybru, ubranego w sukienkę reformowanego zakonu św. Franciszka, niskiego wzrostem i słabowitego, jak się obracał pomiędzy swojemi robotnikami ciężkimi i olbrzymiej postaci, nauczając ich, gniewając się, walcząc do upadłego z wstrzymywaną niecierpliwością. Postawił na swoim, i za powrotem moim z podróży do Valdivii, znalazłem i kościół i klasztor wybudowany, oraz początki wznoszącej się szkoły, i słuchałem mszy świętej, świeżo przybyłego na tę misję ojca Cherubina Bracamoros, kapłana godnego ze wszechmiar uszanowania i wdzięczności”.

Gościnność zachowała się w pierwotnej prostocie. Jakikolwiek gość przybywa do mieszkania Araukanina, nie wyjmując ani krewnych ani sąsiadów, nie odważy się nigdy wejść prosto do domu, lecz zatrzymuje się wraz ze swym koniem, przed poprzeczną belką, opartą na dwóch lub trzech słupach, która służy za granice dziedzicowi, i której nikt przekroczyć nie może, bez wiedzy i pozwolenia gospodarza.

Skoro tylko pan domu dowie się zkąd przybywa podróżny i co go sprowadza, wychodzą krzątające się kobiety dla zamienienia dziedzińca i przygotowania wszystkiego co jest potrzebnem do przyjęcia gości. W sieniach albo w szałasie zrobionym koło drzwi domu, stawiają ławki nakryte futrami dla osób wyższego znaczenia, a dla równych sobie lub domowych, rozściełają baranią skórę na ziemi. I skoro to wszystko ukończonem zostanie, gospodarz zbliża się do swych gości, podaje każdemu rękę wzywając aby zsiadli z koni, i nie mówiąc ani słowa, wskazuje im siedzenia i sam siada przed nimi z niestychaną powagą i jakby zamyślony. Zaczyna się potem długa i poważna rozmowa, pełna komplementów i ceremonii, która trwa zawsze najmniej pół godziny.

Gospodarz zaczyna od ogólników, głosem cichym, gardłowym, stłumionym i nieco smutnym, odmawiając słowo po słowie, jak się odmawiają psalmy w kościele, z tą tylko różnicą, że na końcu każdej frazy, ton się podnosi o oktawę albo wyżej i ostatnia sylaba przedłuża się na sposób śpiewu. Podobnym głosem gość mu odpowiada, sam lub przez tłumacza. Gospodarz domu, nietylko się pyta o zdrowie gościa i jego całej rodziny blizkiej i dalszej, ale także o pomyślność narodów, które

przebywał, ich trzód, zasiewów i t. p. Gość nawzajem wypytuje o zdrowie wszystkich w domu i za domem, krewnych i powinowatych gospodarza domu. Wszyscy obecni zachowują głębokie milczenie z uszanowaniem, jak gdyby się odbywał najwyższy obrzęd religijny. Młodzież biegnie po wyszukanie jagnięcia lub barana, którego zabijają i przyprawiają zaraz, w głębi zaś domu skrzętne kobiety rozpalają ogień, obierają kartofle, siekają jarzyny, nastawiają garnki, i nim minie godzina, warzy się i piecze przy ogromnym płomieniu smaczne i obfite jedzenie.

Gospodarz zmienia ton uroczysty mowy, rozpogadza oblicze, wstaje, zbliża się do gościa, i jeżeli uznaje go za godnego zaszczytu, ściska go po trzy razy, kładąc swą głowę, raz na prawe, drugi raz na lewe jego ramię i zaprasza na ucztę.

Obok tak wielkiej gościnności, smutno patrzeć na poniżenie wielkie kobiet araukańskich. Domejko maluje nam smutny a rzewny obraz tego poniżenia.

„Wśród nocy burzliwej (pisze) szukając przytułku przed deszczem i zawieją, znalazłem się w chacie kacyka, zbudowanej nad samym brzegiem morza. Indyanin był grzeczny i przyjął mnie z otwartą i szczerą gościnnością. Uwalniając od zwyczajnej etykiety i ceremonialnej rozmowy, co prędzej przy dobrym usadowił mnie ogniu. Odrazu znalazłem się w środku chaty z towarzyszem podróży, dwoma kacykami, którzy mnie odprawdzali, kapitanem indyjskim i trzema innymi ludźmi. Posadzeni w około ogniska i zanurzeni w grubym obłoku dymu, zapomnieliśmy prędko o niepogodzie, nie zważając i na szum gwałtowny południowego wiatru pod snopami słomy gościnnego dachu. Ożywiła się rozmowa, kiedyśmy paląc cygaro, suszyli przemokłe nasze *ponchos* (płaszczki). Piękna kobieta z dużemi, czarnemi żarzącemi się oczyma, z włosami, których sploty stóp jej sięgały, zadawała sobie wiele pracy, ażeby przygotować nam wieczerzę. Sama zaczęła znosić drzewo, skorośmy tylko weszli, rozpalać ogień i żywa dusza nie poruszyła się, aby ję jakąkolwiek pomoc przynieść w tej pracy. Nikt na nią nie zważał, a ona bez spojrzenia nawet na gości, krajała mięso, obierała kartofle, przyniosła wody, nastawiła garnki, rozdmuchiwała ogień, chodziła, kręciła się bez najmniejszego znaku niechęci lub niecierpliwości, brzęcząc tylko ustawnie swojemi paciorkami i dzwoneczkami.

Siedząc obok mego poważnego i zamyślnego gospodarza domu, zapytałem, wiele ma żon? odpowiedział mi, że jedną tylko.

Zdziwiony, myślałem, że jest chrześcianinem; lecz Indyanin odrazu zrozumiał moją wątpliwość i zapewnił, że nie, i dodał, że jeżeli na jednej poprzestaje małżonce, pochodzi to ztąd, że kobiety są bardzo drogie między nimi.

— Widzisz pan, — rzekł do mnie drugi Indyanin, który mi służył za tłumacza, — co za niesprawiedliwość? nietylko, że żeniąc się, musimy zapłacić ojcu za dziewczynę ośm, dziesięć i dwadzieścia *datków* (1), ale jeszcze ośm lub dziesięć musimy zapłacić ojcu, braciom i krewnym żony, jeżeli ta umrze: nie pozwalają jej pochować i musi zgnić w chacie, tak, że biedny mąż sam nie wie co począć.

Na to kacyk poruszając głownię kawałkiem żelaza, dodał:

— A jeżeli się zdarzy, że człowiek zabije kobietę, to się nie okupi ani za dwunastym, ani za czternastym datkiem, tak, że człowiek zostaje zrujnowany na całe życie.

— Ileż to razy, — odezwał się drugi Indyanin, — dzieje się to samo, chociaż i mężowi dowieść nie można, że ją zabił. Ot! często baba umrze z pierwszego lepszego uderzenia, albo z jakiej rany zadanej nie chcąc.

— Tak, tak, — dodał kacyk, — często i dowieść nie można, a przecież złość ludzka turbuje męża.

Tymczasem biedna niewiasta służyła nam wszystkim i skoro się skończyła wieczerza, pierwszy kacyk rozciągnął się na swoim łożu na ziemi; kładli się i goście i domowi, każdy szukając sobie jak mógł najlepszego miejsca. Gasnął pomалу wielki rozłożony ogień i jego ruchome płomienie, rzucając niepewne światło, ukazywały te niezwykłe twarze, i te atletyczne ciała Indyan rozciągniętych na ziemi. Araukanka tylko z rozplecionym włossem, z pięknymi swemi oczyma wlepionymi w ziemię, stała sama jedna, opierając prawą rękę o łożo swego despoty. Wstyd i wrodzona skromność trzywały ją obudzoną, i wzbraniały jej zabrać zwyczajne sobie miejsce, aż zupełnie wygasło ognisko i w głębokim śnie nie zostali pogrążeni podróżni”.

To upodlenie kobiety, przeważnie wpływa na stosunki rodzinne: poważne i święte imię matki nie ma tu znaczenia i powagi, jak i godność małżonki znieważona. Brak światła chrześcijańskiego zagraża zupełnym rozstrojem silnej niegdyś organizacji Araukanów. Badając uważnie stan ich dzisiejszy Domejko,

(1) Jeden datek składa się z krowy, konia, płaszcza, pary ostróg i wędzidła.

przepowiada niedaleki ich upadek, bo rok za rokiem tracą dawne ojców swoich zasady, a nie w postępie i rozwoju ku lepszemu nie zyskują. Już naczelnicy pokoju nie radzą wspólnie nad dobrem kraju, dawna władza kacyków upada; wplątani w zręczną politykę hiszpańską, nazwyczajili się do przyjmowania grzeczności i podarunków: „straszniejsza broń (jak dobrze wyraża Domejko) przeciw ich piersi, niżeli z sławnego hartu żelazo kastyljskiej szabli”. Jedni z nich pobierają żołąd niktzemny od swych dawnych nieprzyjaciół, drudzy cieszą się otrzymanemi kaftanami lub laskami, jako oznakami ich osłabionej godności i powagi, inni znów krzykliwie domagają się tychże samych oznak, które im odmawiane są jedynie dla tego, że są ludźmi, których się nikt nie lęka.

Co jest najsmutniejszym objawem pomiędzy Araukanami, że zatracili narodowe tradycje. Jak zagasty na ich wzgórzach hasła wojenne ze stosów ognistych, zwołujące do boju pokolenia bitnych, tak zagasty imiona bohaterów takich, jak waleczny Lautaro i nieustraszony Kaupolikan; przeżyli oni tylko w pamięci poetów hiszpańskich: Zginęły między niemi wspomnienia miejsc, nawet słynnych krwawemi bojami i zwycięztwami. Mimo to Araukanie nie zmienili głównych w sobie rysów charakterystycznych, chociaż pod wpływem czasu, okoliczności i egoizmu, zniżają się ich naczelnicy. Wśród obecnego ich upadku rozbudza się wyniosła araukańska waleczność, w chwili walki ukazuje się dzikość i nieugiętość. Ten sam Indyanin w pokoju gościnnie, uprzejmy i kochający domowe ognisko, zmienia się nagle na hasła wojenne. Z obnażonem ciałem, z pomalowaną twarzą, z włosem wzniesionym do góry, z przeraźliwym krzykiem rzuca się rozpaczliwie na szeregi nieprzyjacielskie, lub szuka sposobów napaści zniecka w chwili spoczynku lub snu głębokiego. Z niezłomnem mężstwem łączy chytrość i okrucieństwo, nie przebacza jeńcom, jeżeli oszczędza płęć słabszą, to przez podłe wyrachowanie i w celu zaspokojenia najnikczemniejszych popędów.

Osobną część III poświęca Domejko, podając środki, zbadawszy pilnie stan dzisiejszy i ziemi i ludu araukańskiego. Szlachetne myśli, wzniosły duch chrześcijański w nich przewiewa. Zwraca uwagę rządu chilijskiego i radzi, aby się nie starał o podbicie tego dzielnego ludu, ale starał się o rozkrzewienie zasad moralnych i religijnych, o ukształcenie starodawnego charakteru araukańskiego, o oswojenie sobie tego Indyanina, a nie zamienienia w niewolnika. „Rzeczpospolita ma najwyższą władzę (mówi Domejko), ma

siłę i środki, aby utrzymać w karbie tego syna, bez udawania się do surowości macochy” i wskazuje jako jedyną i główną w tém pomoc chilijskiego kapłana.

Nie będziemy powtarzali szczegółów życiorysu naszego autora, które na końcu tej zajmującej książki podaje Michał Baliński; znany on jest tegoż pióra z Encyklopedyi Powszechnej. Dodamy tu, że Domejko piszący dziś po hiszpańsku, w ojczystym języku dał się poznać dawniej z listów, które pisał do swój rodziny i do przyjaciela swego Adama Mickiewicza. Opuściwszy Paryż w r. 1837, malował w nich swe wrażenie podróży, przebyte lądy i morza: wreszcie rzeczpospolitę chilijską, gdzie osiadł stale, znalazł spokojne ognisko; tu pojawiaszy małżonkę, w kółku rodzinném, w tęsknocie za ojczystém gniazdem, objął katedrę chemii w uniwersytecie w Saint-Yago, żywém słowem i pismami rozszerza naukę tyle użyteczną. Pismo nasze (Biblioteka Warszawska. T. II z r. 1851) ogłosiło list jeden Domejki pisany w r. 1842 z Chili; Dodatek *Czasu* wydrukował zbiór cały jego listów, od chwili gdy wstąpił na pokład okrętu, które pisał do Mickiewicza, z którym go wiązały ogniwa ścisłej przyjaźni. Wydane razem stanowiłyby całość równie zajmującą, jak nauczającą.

R.

Mappa Królestwa Polskiego, pod względem jeograficznym, administracyjnym, duchownym, naukowym, sądowym i przemysłowym, ułożona na zasadzie źródeł urzędowych przez M. Nipanicza, urzędnika oddziału statystycznego Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych. Warszawa. 1863.

Praca ta naukowa i sumienna składa się ze czterech arkuszy. Wskazuje granice pod względem administracyjnym, dekanatów i okręgów sądowych. Oznaczone istniejące koleje żelazne i zamierzone drogi bite (szosse) oraz gościńce pocztowe i pomniejsze z oznaczeniem ich odległości od kolei żelaznych i stacyj pocztowych; rzeki spławne i niespławne; miasta wsie i osady. Rozpatrując uważnie pracę p. Nipanicza, widzimy, że niedokładności jakie się dają w niej postrzegać, wynikają z tego głównie źródła, że chciał być nawet w drobiazgach szczegółowym, a zaszczupłe obmyślił ramy swój mappie. Dla oka, żeby zbyt tła nie zaciemnić, opuścił góry, lasy i błota, pomimo to nie wszystkie wsie i osady oznaczone widzimy; pragnąc odpowiedzieć tytułowi da-

nemu, oznacza troskliwie kościoły katedralne, kolegiaty, rezydencje władzy dyecezalnej, parafie, kaplice nawet prywatne, zakony męskie i żeńskie; również jak pod względem naukowym szkoły wszystkie i zakłady naukowe; sądy cywilne i kryminalne, więzienia, komory celne, fabryki i kopalnie. Mniemamy, że tyle szczegółów pomieścić na mapie w takich rozmiarach jak wydana, niepodobienstwem, ale autor mógł łatwo temu zaradzić, gdyby do niej dołączył chociaż arkusz tekstu. Wszystko więc, co zbyt ją może przeciążać w rysunku, odniósłby do tekstu, a za to co właściwie do mapy należy, pomieścił. Tym sposobem (naszem zdaniem) znalazłaby miejsce na oznaczenie gór, lasów i błot, a zarazem wszystkie wsie i osady, których nie małej liczby brakuje, pomieszczone byćby mogły. Patrzący na mapę, nie potrzebowaliby ze znaczków badać, gdzie jest kościół katedralny, gdzie sądy, jakie fabryki lub zakłady naukowe, bo w dodanym tekście łatwo by znalazł. Dobre przyjęcie tej mapy, pomimo stagnacji handlu księgarskiego, może służyć autorowi za wskazówkę, jak była pożądaną i zachęcić do dalszej pracy, ulepszeń i dokładności w następnych wydaniach

W.

KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W krótkim życiorysie ks. Jakóba Ciastowskiego umieszczonym w sierpniowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej” za rok bieżący, czytamy co następuje: „Zajął się następnie (Ciastowski) uporządkowaniem bibliotek obudwóch, to jest żoliborskiej i collegium warszawskiego, przybrawszy sobie do pomocy ks. Andraszka znanego filologa u Pijarów. Nie dokonał jednak tego całkowicie, bo na to trzeba byłoby więcej czasu i ludzi bibliotekarstwu oddanych. Na sumieniu to jednak publicznem ciąży (?), iż te dwa znakomite księgozbiory nie ułożone i nie spisane jak należy, *butwieją gdzieś* pod dachem i *nie są dla użytku miłośników nauki otwarte*” (?). Oświadczamy jako blisko rzeczy stojący, że biblioteka tak zwana collegijna ułożona jest i utrzymana o ile na to fundusze pozwalają, a więc układania nie potrzebuje; że nie wiemy, czemuby nieulożenie jakiejś biblioteki miało *ciężać na sumieniu publicznem*, kiedy każdy zakład może i sam dbać o utrzymanie w porządku sweich pozostałości. Nie *butwieją też gdzieś* pod dachem, bo biografowi wiadomo, gdzie się znajdują. Czy zaś *„nie są dla miłośników nauki otwarte”*, to również szanowny biograf wie najlepiej, pożyczając nie raz książek ze wzmiankowanych bibliotek.

F. Krupiński S. P.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

Miesiąc Lipiec 1863 roku.

DZIEŁA.

Otto Leopold ks. Zakon Boży w dziesięciu przykazaniach wyłożony. Warszawa, nakł. J. Kaufmanna, 1863, druk J. Krokoszyńskiego. 8ka, str. 123.

Goethe W. Ifigenia w Taurydzie, Dramat w pięciu aktach, przełożył *Ludwik Jenike*. Warszawa, druk Gazety Polskiej, 1863, 8ka, str. 72.

Karwacki Aleksander. O durze, czyli tyfusie zaraźliwym. Warszawa, druk J. Krokoszyńskiego, 1863, 8ka, str. 48.

Krzewski Adolf. Grammatyka francuzka teoretyczna i praktyczna dla użytku młodzieży polskiej. Część 1. Warszawa, 1863, druk S. Orgelbranda, 8ka, str. 1V, 152, spisu 2. Złp. 4.

Dziesięciogroszowa Biblioteczka dla dobrych i pilnych dzieciek zaczynających się sposobie do nauk: 1. Proboszcz w Powsinie, powiastka z drzeworytem. Warszawa, nakł. C. Lewickiego, 1863, druk Gazety Polskiej, 12ka, str. 34

Program Zakładu wyższego naukowego prywatnego o pięciu klassach dla pól męzkiej przez Jana Nepomucena Leszczyńskiego w Warszawie utrzymwanego, na popis roczny w dniach 2 i 3 lipca 1863 r. Warszawa, druk A. Liefeldt, 18r3, 4ka, str. 10.

Nabożeństwo do miłosierdzia Boskiego. Warszawa, druk ks. Missyonarzy, 1863, 12ka, str. 12.

Wiadomość o szkaplerzu Niepokalanego Poczęcia N. Maryi P. z dodatkami stosownych modlitw. Warszawa, druk ks. Missyonarzy, 1863, 12ka, str. 71, spisu 1, okł. druk.

Uczta święta. O częstiej komunii. przez ks. *Segur*. Przekład z francuzkiego. Warszawa, nakł. i druk ks. Missyonarzy, 1863, 12ka, str. 49 spisu 1, okł. druk

Katechismus, das ist Unterricht in der christlichen Lehre in Fragen und Antworten. Warschau, Buchdruckerei v. A. Liefeldt, 1863, 8ka mniejsza, str. 72.

Wilczkowski W. Dr. Przewodnik do pielęgnowania chorych. Warszawa, w drukarni przy Komisji rząd. sprawiedliwości, 1863, 8ka, str. 101, spisu 2. Zł. 3.

Dutkiewicz Walenty. Program do egzaminu z Historii praw, które w Polsce przed wprowadzeniem kodeksu Napoleona obowiązywały. Zeszyt 2. Warszawa, 1863, druk Gazety Polskiej, 8ka, str. od 79—162.

Encyklopedia powszechna. T. XIV, Zeszyty 120 i 121, Warszawa, nakł. i druk S. Orgelbranda, 8ka, str. od 113—224, 225—336. (Karios—Kastracya). Zeszyt kop. 35.

Programma quaestionum ex scientiis theologicis ac philosophicis, in seminario Varsaviensi ad S. Crucem aëro dimidio anni scholaris expositis, compendiose contractorum et per examen publicum alumnorum die 11 Julii 1863 anno solvendarum. Varsaviae, ad S. Crucem, 4to, p. 13.

Thiers Adolf. Historia konsulatu i cesarstwa. Dzieło ozdobione 20 rycinami. Warszawa, nakł. i druk S. Orgelbranda, 1863, 8ka, str. od 281—360, okł. druk.

Józef z Mazowsza. Judyta, poemat biblijny. Warszawa, druk J. Jaworskiego, 1863, 8ka, str. 41.

Sto zadań małego rachmistrza dla nauki i zabawy dzieci. (Wyd. 2). Warszawa, nakł. S. H. Merzbacha, druk A. Ginsa, 1863, 12ka, str. 156, VIII, okł. druk.

Sprawozdanie Zarządu żeglugi parowej za rok 1862. Warszawa, 1863, druk Gazety Polskiej, 8ka, str. 11.

Krótką nauka na spowiedź generalną, tojest: z całego lub z jakiej znacznej części życia gotującym się, osobliwie podczas kilkudniowych rekolekcyj duchownych potrzebna i pożyteczna dla dorosłych. Warszawa, druk ks. Missyonarzy, 1863, 12ka, str. 64.

Zegarek czyscowy. Nabożeństwo codzienne za dusze w czyscu cierpiące dla wszystkich na śmierć pamiętnych. Warszawa, druk ks. Missyonarzy, 1863, 12ka, str. 72, okł. druk.

Ćwiczenia duchowne czyli rekolekcyje na dziesięć dni rozłożone przez Bł. Leonarda z Porto-Mauricio Missyonarza. Przekład z włoskiego przez H. S. Warszawa, nakł. i druk ks. Missyonarzy, 1863, 8ka, str. 388, okł. druk.

Starożytności greckie czyli obraz politycznego, społecznego i prywatnego życia starożytnych Greków. Dziełko szkolne E. F. Bojesena, z tłumaczenia niemieckiego J. Hoffa, przeł. Ignacy Boczyński. Warszawa, nakł. H. Natanson, druk J. Jaworskiego, 8ka, str. XI, 178, XV.

Krasicki Ignacy. Satyry, z drzeworytami. Wydanie A. Matuszewskiego. Warszawa, 1863, druk A. Ginsa, 8ka mniejsz. str. 16.

Nowa metoda nauce się łatwym sposobem pierwszych zasad języków: polskiego, rossyjskiego, francuzkiego i niemieckiego dla młodzieży praktycznie wyłożona w wokabulach, rozmowach i przykładach, z dodaniem niezbędnych prawideł prozodyi. Wyd. 12te starannie poprawione. Warszawa, nakł. J. Błaszczkowskiego, 1863, druk A. Ginsa, 4ka mała, str. 203, okł. druk.

Wilkońska z L. Paulina. Mrówin i Trock, powieść, T. 1—2. Warszawa, nakł. redakcyi Tygodnika mąd., 1863, druk K. Kowalewskiego, 8ka mniejsza, str. 167, 144.

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Przegląd Katolicki. M. lipiec 1863. NN. 26—30, zawierają:

Rozprawy Izby wyższej nad prawem o kapelanach więziennych w Anglii. Tajemnica przeznaczenia w obec wiary i nauki (dok.). Odpowiedź ks. *Justyna Gryglewskiego* na rozbiór krytyczny Małego katechizmu (dok.) Dekreta świętej kongregacji odpustów. Po co u nas mowa o ultramontanach? Cyryll i Metody. Ojcowie święci i pisarze kościoła. Stowarzyszenie rozszerzenia wiary w roku 1862. Kościół św. Stanisława w Rzymie. Siostry Miłosierdzia w Stanach Zjednoczonych. Missye w Kochinchinie. Korrespondencye. Kronika kościelna, krajowa i zagraniczna. Bibliografia krajowa i zagraniczna. Statystyka kościelna.

Zwiastun Ewangeliczny. M. lipiec 1863. NN. 13—14, zawierają:

Duch Święty. Święci apostołowie Piotr i Paweł. O dowodach prawdy objawionej według Pisma świętego (dok.). Jan Ostroróg (c. d.) Powstanie Taipingów w Chinach (c. d.). Stworzenie świata. Wniebowzięcie Maryi Panny. Ewangelicy w Hiszpanii.

Roczniki gospodarstwa krajowego. Okres IV, T. VII. Poszyt I. M. lipiec 1863. str. 157, tab. I, zawiera:

Środki upowszechnienia postępu rolniczego między wieśniakami. O zasadzie ludności. Przegląd dzieła: Praktyczne budownictwo wiejskie i przewodnik praktyczny dla budujących, przez budowniczego p. Aleksandra Zabierzowskiego. Rozmaitości. Bieżące wiadomości rolnicze. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. czerwiec.

Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego. Serya IV, T. III, Zesz. 6, czerwiec 1863, str. od 395—508, spisu 17. zawiera:

O badaniach topograficzno-lekarskich kraju naszego. Szkic higieny Podola, oparty na jego statystyce, p. dr. *Józefa Rollego* Sprawozdanie z czynności kliniki chirurgicznej przy C. K. Warsz. Akademii med. chir. w r. 1860 61, p. prof. dr. *Le Brun*. Kronika lekarska zagraniczna, p. dr. *Juliana Kulskiego*. Wiadomości zakrajowe. Krytyka dzieł: „Rys zasad chirurgii wojennej” p. *Hipolita Korzeniowskiego* „Literatura fizyografii ziemi polskiej”, p. *St. Janikowskiego*. Rozmaitości. Czynności Towarzystwa lekarskiego warszawskiego. Wiadomości urzędowe.

Tygodnik Lekarski. M. maj, czerwiec, 1863 NN. 20—24, zawierają:

Gorecki: Listy z podróży za granicę. *Chołakowski Leon*: O upuszczaniu krwi w zapaleniu płuc. *Eborowicz*: Cechy odróżniające eklampsję od zalewu mózgowego i od padaczki. *Jakubowski L.*: Lekcje o ranach postrzałowych. *Jeżewski Wł.*: O trądzi. *Seifmann*: O środkach zaradczych przeciw wściekliznie samorodowej. *Sciborowski*: Wiadomości z dziedziny farmakologii. *Kremer A.*: Zanik wątroby ziarnkowaty. *Orkisz Józef*: Pęknięcie serca. Posiedzenia Towarzystw lekarskich: warszawskiego i wileńskiego, Komisyi balneologicznej w Tow. nauk. krakowskim. Przegląd tygodniowy. Nowe dzieła. Spostrzeżenia meteorologiczne.

Kółko Domowe. M. lipiec 1863. Posz. IV, str. od 97—128, zawiera:

Wiedn w początkach bieżącego stulecia, p. *Sz. Grzegorzewską*. Powieściopisarka hiszpańska, p. *Alexandrę z Chomętowskich Borkowską*. Wy-

cieczka do Siewierza, p. *Józefę Szmigielską*. Podróże badacza przyrody po środkowej Atryce (c. d.). Fijolki, wiersz z czeskiego *Jana Nerudy*. () ubiorach.

Przyjaciel Dzieci. M. lipiec 1863. NN. 118—121, zawierają:

Święty krzyż na skale smoczej, p. *A. B.* Walek z lasu, powieść *Józefa Dzierzkowskiego* (c. d.). Pierwotne lasy Brazylii, p. *Władysława Etgensa* (dok.). N edźwiedź, p. *W.* Dzieje narodu polskie o, p. *Leona Rogalskiego* (c. d.). Igrzyska cyrkowe i Gładyatorowie rzymscy. I olowanie na lwa, wspomnienie z podróży do Afryki. Dyogenes. Historia święta, p. *Michała Szymanowskiego* (c. d.). Dwie siostry, powiastka p. *Józefa z Mazowsza*. Cuda oceanu Karpuckie góry (c. d.). Lis. Poezye. Staropolskie wierszyki. Rozmaitości. Rebusy. Zagadka.

Tygodnik Mód. M. lipiec 1863. NN. 27—30, zawierają:

Elekeya i wjazd uroczysty Henryka Walezyusza do Krakowa (dok.). Korrespondencya z Taryża (c. d.). O strojeniu dzieci, list *J. E.* Elekcyja i koronacya Augusta IIIgo. Stary motyl, wspomnienie p. *M. Mrówin* i Trock, powieść p. *Paulinę z L. Wilkońską* (dok.). Poezye. Gwiazdka. Nowości zagraniczne. Mody. Szarady. Opisy rycia miod, wzorów i form.

Jutrzenka. Tygodnik dla izraelitów polskich. M. lipiec 1863. NN. 27—31, zawierają:

O lichwie. Szkoły czy Chedery? Chedery wzorowe, p. *Ben Izaaka*. Jatki, podroby, delegacya. Pismo święte w porównaniu z rzymskiem i nowoczesnem amerykańskich stanów prawami o niewolnictwie, p. *Izaaka Rozenblata*. Generał Grant w Ameryce. Projekt utrzymania Zakładów dobroczynnych gminy żydowskiej w Warszawie, p. *B.* Przymus i dowolność w nauce elewentarniej (z Rozcz. gospod. krajow.). Reorganizacya głównego domu schronienia ubogich i sierot starozakonnych w Warszawie, projekt *Jakóba Lewenberg*a. Oskarżenia o krew. Wyciąg ze sprawozdania delegacyi do kontroli sprzedaży mięsa koszerne go z okolicy Nalewek za m. czerwiec r. b. p. *Adama Schwarzensteina*. Korrespondeneyne Wiadomości bieżące. Bibliografia.

Tygodnik Ilustrowany. M. lipiec 1863. NN. 197—200, zawierają:

Piotr Tomicki biskup krakowski p. *Juliana Bartoszewicza*. Pińsk i Pińszczyzna, p. *Antoniego Bądzkiewicza*. Kaplica loretańska na Pradze. Dom ziemstwa kredytowego w Poznaniu. Miłość i baseota, wspomnienie z czasów studenckich, skreślił *Józef Dzierzkowski*. Domy dla rzemieślników i wyrobników w Warszawie, p. *E. K.* Zamłody, powiastka rymowana, p. *Jana Chęcińskiego*. Krzysztof Opaliński, p. *Wojciecha Grochowskiego*. Kilku słów o przedmieściu krakowskiem Kazimierzu. Dawny herb Pragi. Kościół parafialny w Rejowcu. Faust i siedem duchów, scena z Fausta Lessinga, p. *Karola Pięnkowskiego*. Miłość świat cały wiążąca, rzeźba *J. Manzla*. Luszcza Białowieżka i żubry, p. *Wacława Przybylskiego*. Przegląd polityki zagranicznej. Kronika tygodniowa. Szachy. Rebusy.

Wędrowiec. M. lipiec 1863. NN. 26—30, zawierają:

Podróż kapitana Burton do kraju Mormonów (c. d.). Walka niedźwiedzi. Diabelski wylot. Rybactwo morskie Bougainville w Taiti. Fontanna luksemburska. Wyprawa dr. Kane w okolice podbiegunowe. Angielskie Tawerny. Ogień gregoryański. Mały handlarz miotek, powiastka hiszpańska, p. *Caballero*. Georginia kartowata. Toujourra.

Luxenburg. Czyń swoją powinność, Bóg opatrzy, powiastka hiszpańska, p. *Fernana Caballero*. Jady roślinne. Yak. Zaczarowane węże. Olbrzymia tlocznia pospieszna. Dolina Gietaz w Sabaudyi. Wnukowie Jana Barta, p. *G. de Landelle*. Karykatury Chama.

Kmiatek. M. lipiec 1863. NN. 27—30, zawierają:

Klemens Janicki, p. *Kazimierza Góralczyka (Wład. Ludw. Anczyca)*. Rozmowa księdza proboszcza z radnym o dawaniu jałmużny i żebrakach. Święty Paweł apostoł. Chrzestna matka. Święty Szymon z Lipnicy. Przestrogi dobrego przyjaciela. Niewdzięczny syn. Kościółek na Koszykach, p. *E. Leja*. Tajemnicze kwiaty. Święty Cyryll, biskup gortyński. Historia o siemieniaciej kokosze, co wysiedziała krowę biednej Matysowej z Borowina. Opowiadanie o Litwie, napisał *Janko Korabicz*. Paweł Cholewa. Św. Jakób większy apostoł. Najłatwiejszy sposób robienia złota i srebra, którego się każdy wyuczyć może. Listy.

Czytelnia Niedzielnia. M. lipiec 1863. NN. 27—30, zawierają:

Opowiadanie o królu Przemysławie i żonie jego Ludgardzie. Dwaj żebracy. Gawęda warsztatowa. Pielęgnowanie chorych. Narody i kraje starożytne. Stanisław Pacanowski, powiastka. Adam Sędziwoj Czarnkowski. Zmęczenia słońca i księżycy. Uczony wędrowiec. Sprytny Jasio. Piast królem. Wiersze.

Gazeta Warszawska. M. lipiec 1863. NN. 146—172 zawierają:

Moja powieść, przekład z angielskiego *Sir Edwarda Lytton Buhoera* (c. d.). Przegląd literatury zagranicznej. Most stały na Wiśle pod Warszawą, p. *I. M.* Sprawozdanie Zarządu żeglugi parowej za r. 1862. Wielkopolska w czasie pierwszej wojny szwedzkiej od r. 1655 do 1657. Korespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie, artystyczne.

Gazeta Polska. M. lipiec 1863 NN. 146—172, zawierają:

Bez imienia, powieść *Collins'a*, przekład z angielskiego (c. d.). Tomasz Macaulay, życiorys (dok.). Rys dziejów piśmiennictwa polskiego, przegląd *Hipolita Skimborowicza*. Kronika paryzka, p. *Z. W.* Przesuwanie przęsła mostu warszawskiego, p. *J. S.* Prawo własności i prawo dziedziczenia, p. *Władysława Więckowskiego*. Wiktor Hugo, życiorys. Sprawozdanie Zarządu żeglugi parowej. Roczniki gospodarstwa krajowego z m. czerwca r. b. p. *Al. R.* Don Karlos i Filip IIgi. Gazomotor. Korespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące, literackie i artystyczne.

Kuryer Warszawski. M. lipiec 1863. NN. 146—172.

Kuryer Niedzielnny. M. lipiec 1863. NN. 26—29, zawierają:

Przeglądy: polityczny, brukowy, literacki, gazet i pism czasowych. Korespondencye z miasta.

Dziennik Powszechny. Pismo urzędowe, polityczne i naukowe. M. lipiec 1863. NN. 146—172, zawierają:

Opis zabytków starożytności, przez Delegację wysłaną z polecenia Rady administracyjnej Królestwa zbranych (c. d.). O nagrodach i znakach honorowych w Polsce od najdawniejszych czasów do 1835 r. (c. d.). Przemysł fabryczny i rękodzielny, tudzież handel Królestwa Polskiego (c. d.). Studya nad kodeksem karnym 1818 r. i późniejszymi prawami

kryminalnemi, p. *Romualda Hube* (dok). Objaśnienie przepisów obowiązującego kodeksu cywilnego w przedmiocie użytkowania z lasów. O progach dniewprowskich. Miasto stołeczne Warszawa (statystyka). Sprawozdanie z ruchu handlowego w Gdańsku za marzec i kwiecień r. b. Rys historyczny działań Dyrekcyi edukacyjnej narodowej, następnie Komisyi Rządowej Wyznań i Oświecenia publicznego, przez dziesięcioletni przeciąg czasu od początku roku 1812 do końca r. 1821. Kilka słów o działalności odeskiego Towarzystwa historyi i starożytności. Bibliografia: warszawska, rossyjska, francuzka, niemiecka, za m. maj i czerwiec r. b. Zbiór wiadomości o dawnych miarach długości i powierzchni przy pomiarze gruntów w Polsce używanych. O ruchu pocztowym w Pocztańcu Warszawskim w m. kwietniu, maju i czerwcu 1823 r. Przynęta do historyi obrączek i pierścieni. Produkcya zbożowa w Rossyi, oraz środki zmierzające do uczynienia tej produkcyi tańszą i powiększenia zagranicznej sprzedazy zboża. Wyższe szkoły w Anglii. Jurisprudenca. Wiadomości literackie. Wiadomości rozmaite.

Warszawska Gazeta Policyjna. M. lipiec 1863. NN. 146—172, zawierają:

Śmierć kumem, podanie flamandzkie (dok.). Przygoda w sali anatomicznej. Nocleg w dylizansie. Aktor szkocki Mac-Gregor.

Warschauer Zeitung. M. Juli 1863. NN. 145—171, zawierają:

Das Erdbeben auf Rhodus im Mai. — Parlamentarischer Comment. — Der Pariser Corso. — Eine Reise durch den Süden der Union. — Des St. Elmsfeuer. — Eine schöne Schläfferin. — Sicilien im Mai dieses Jahres. — Der Protestantische Friedhof in Rom. — Theater in Rom. — Die Universitäten Deutschlands und die deutsche Bildung im Herzogthum Schleswig. — Leben oder Sterben? eine wunderliche, halb betrubete, halb humoristische Vorlesung gehalten von der „Warschauer Zeitung“ vor ihren hochverehrten Abonnenten und solchen die es werden könnten. — Sonnet. — Jägerlied. — Des Schulknaben. — Späne. — Extrazüge auf der Gedankenbahn. — Blicke auf Mexiko, die Hauptstadt und ihre Umgebung. — Handel und Verkehr. — Lokalbericht — Vermischtes.

Korespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. M. lipiec 1863. NN. 47—53, zawierają:

Główne warunki życia roślinnego (dok.). O uprawie lnu. Co rozumieny przez wyjalowienie gruntu i jak można wyjalowieniu temu zapobiedz? (dok.). O robieniu siana brunatnego. Roboty gospodarskie w lipcu. Uprawa Pasternaku. Kucie koni. Mszyce. Wytępienie kaniaki, czyli wylubu. Palenie wódki z bulwy. O zakładaniu zagajen polowych i ochron dla zwierzyny, p. *H. T.* Reguly doświadczynskiego przy hodowli bydła, przy karmieniu i pielęgnowaniu zwierząt domowych, p. *K. K.* Przechowywanie roślinnych pokarmów sposobem p. *Masson.* Paraliż jagniąt, p. *W. L.* O podlewaniu ogrodowin. Korespondenca. Wiadomości handlowe.

Gazeta Rolnicza. M. lipiec 1863. NN. 27—30, zawierają:

Ważność buchalteryi gospodarskiej i stan jej u nas, p. *Aleksandra Makowieckiego.* Przegląd dzienników gospodarskich zagranicznych z kwartału II, 1863 r. Nowy siewnik rządowy. Nowa pluczka do kartofli, zarazem oddzielająca kamienie, p. *Hipolita Cegielskiego.* Tegoroczny jarmark wełn any w Warszawie. O podziale pracy w przemyśle rolniczym, p. *Janusza Ostrowskiego.* Na co zważać należy przy ustawianiu i użyciu naszych młockarni, p. *Hipolita Cegielskiego.* Machina do robienia mat słomianych, p. *Edmunda Brykczynskiego.* O słomie, p. *Karola Bie-*

łańskiego. Piece wodopalne. Księgosusz u owiec. Pogląd ogólny na dzieło: „Rolnik polski, przez Zygmunta Gawareckiego i Albina Kohna”, p. *Artura Krakowskiego*. Przyrządzenie paliwa torfowego na maszynie do wyabiania cegły, wynalazku Schlickeysena. Korespondencye gospodarskie. Nowiny i ogłoszenia gospodarskie.

MUZYKALIA.

Głos duszy. Zbior pieśni religijnych na głos mezo-sopranowy, z towarzyszeniem fortepianu lub organu N. 12, *Ch. Gounod: Zdrowaś Marya. (Ave Maria)*. Warszawa, nakł. J. Kaufmanna et F. Hosick, lit. W. Otto, sztych Gebethnera i Wolfa, str. 5, zlp. 1 $\frac{1}{2}$.

Stankiewicz M. F. Hetman Zamojski, Polonez skomponowany na fortepian. Warszawa, nakł. J. Kaufmanna, lit. W. Otto, sztych Gebethnera i Wolfa, str. 6, zlp. 2.

Malik Jan. Polonez: „Cześć gościom”, napisany na fortepian. Warszawa, str. 5.

Lubomirski Kazimierz. Pierwiosnek, poezya *Adama Mickiewicza* z muzyką. Dz. 3, Warszawa, nakł. i sztych G. Gebethnera i R. Wolfa, lit. W. Otto, str. 11, zlp. 3.

Teichmann Antoni. Trzy kwiaty, śpiew z towarzyszeniem fortepianu, słowa *Amalii Pruszk.* Warszawa, nakł. i sztych Gebethnera i Wolfa, lit. W. Otto, str. 6, zlp. 2.

Lodwigowski E. S. Skarbiec melodyj polskich na fortepian. Op. 53. Zesz. 4ty. Warszawa, nakł. i sztych G. Gebethnera i R. Wolfa, lit. W. Otto, str. 14, zlp. 4.

Lubomirski Kazimierz. Uno dei due. Jeden z obu, sonet włoski z nadbrzeżu Teterowa, słowa *Gustawa Olizara*. Op. 57. Warszawa, nakł. i sztych Gebethnera i Wolfa, lit. W. Otto, str. 8, zlp. 2 $\frac{1}{2}$.

F. Chopin'a. Melodye najulubiejsze, ułożone do śpiewu z towarzyszeniem fortepianu, przez celniejszych muzyków. N. 6. Terkotka, słowa *K. Ujejskiego*, podkład *L. Grossmann'a*. Serya pierwsza. Warszawa, nakł. J. Kaufmanna, lit. W. Otto, sztych G. Gebethnera i R. Wolfa, str. 6, zlp. 2 $\frac{1}{2}$.

MAPPY.

Mappa Królestwa Polskiego pod względem geograficznym, administracyjnym, duchownym, naukowym, sądowym i przemysłowym, ułożona na zasadzie źródeł urzędowych przez *M. Nipanicza*. Warszawa, lit. A. Dzwonkowski i spół., 1863, fol. w 4ch sekcjach, rs. 3.



WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Warszawa, sierpień 1863 r.— Otrzymałą odezwę od J. K. Żupańskiego w całości podajemy: „Za porozumieniem się z spadkobiercami ś. p. Joachima Lelewela, postanowiła podpisana księgarnia ułożyć w następujący porządek, pisma tego uczonego męża tak wydrukowane, jako i drukować się mające, aby złożyły *zbiór dwudziestotomowy*, zawierający materiały do historii i rzeczy polskich.

Cały ten zbiór będzie miał tytuł: *Polska, dzieje i rzeczy jej, rozpatrywane przez Joachima Lelewela*. Wyszle dotąd tomy będą szły tym porządkiem: Pięć tomów *Polski wieków srednich* włącznie z tomem wstępnym, obejmującym *Narody na ziemiach słowiańskich*, otrzymają za główny tytuł: *Polska dzieje i rzeczy jej*. Tom zaś pierwszy dzieła noszącego dotąd miano: *Polska, dzieje i rzeczy jej*, będzie z kolei tomem VI. Tom drugi będzie VII, tom trzeci będzie VIII, tom czwarty będzie IX, tom piąty będzie X, tom szósty będzie XI, tom siódmy będzie XII. Tom ukończony obejmujący *Dzieje Polski do Stefana Batorego*, jest w tym zbiorze *trzynastym* (Cena 4 tal.).

Następnie wyjdą kolejno, albo o ile rękopism przygotowany będzie do druku: Tom XIV i XV Książ bibliograficznych dwoje, nowe powiększone wydanie. Tom XVI Historia bibliotek. Tom XVII i XVIII Rozbiory dzieł. Tom XIX Rozmaitości. Tom XX Pisma polityczne, testament.

Oby Bóg dozwolił i sił i życia do ukończenia tego zbioru, aby potem można przystąpić do wydania bogatej korespondencyi autora. W tym celu uprasza podpisana księgarnia osoby posiadające jakie listy tego wielkiego męża, o nadesłanie ich w oryginale lub kopii.

Poznań, w miesiącu lipcu 1863 r.

J. K. Żupański.”

— Professor uniwersytetu krakowskiego, znany z wielu prac wysokiej wartości Karol Mecherzyński, który niedawno bawił w naszym mieście, wykończy już ogromną pracę, której lat cztery bez przerwy poświęcił, tłumaczenie na język polski dziejów Długosza. W ciągu czterech miesięcy skończy ostatnią księgę jako gotową do druku. Jest więc nadzieja, że pomnikowe to wydawnictwo, które zawdzięczamy gorliwości obywatelskiej Alexandra Przeddzieckiego, w niedługich latach wyjdzie w całości z pod prasy drukarskiej. Szczegółowe sprawozdanie o postępie w wydawnictwie dzieł Długosza, skreślone przez J. Łepkowskiego, wkrótce ogłosimy w naszym piśmie.

— W r. b. pojawiły się tanie wydania utworów Krasickiego przez A. Matuszewskiego. Wyszły najprzód *Bajki* z 36 drzewory-

tami, obecnie arkusz pierwszy satyr, ilustrowany także. Krasicki, szczególnie jego bajki, satyry, listy i poemata komiczne zasługują na wydanie ilustrowane z całym przepychem, a obok tego co do tekstu wydanie krytyczne. Wiele utworów jego potrzebują już niemałych objaśnień, bo społeczność nasza, jeżeli co do lat (chronologicznie biorąc) nie tak odległa, to co do zmian w pojęciach i rozwoju, o kilka odsunęła się wieków. Dziś nad Krasickim potrzeba studyów umiejętnych; utwory jego godne są prac sumiennych: ani oceniono je należycie, ani zblizka rozpatrzone dokładnie. Po nich zajmie Krasicki właściwe stanowisko dopiero w dziejach literatury ojczyźnej, na jakie zaprawdę zasłużył wzniosłym talentem swoim i wyższą zawsze myślą nad wiek współczesny. Są to życzenia: wiele lat upłynie, zanim doczekamy się tak upragnionego wydania które nie jest tak łatwem zadaniem. Możemy znaleźć hojnego nakładcę, ilustratorów utalentowanych nie brak, ale o objaśniaczy tekstu coraz trudniej.

— W Przeglądzie Poznańskim z r. 1862 (poszyt 1, 2, 3 i 4) pomiędzy innemi artykułami jest obszerna rozprawa stanowić mogąca sporą książkę, p. n. *Biblioteka pisarzy assystencyi polskiej Towarzystwa Jezusowego* powiększona dwoma dodatkami, z których pierwszy zawiera polskie i rossyjskie tłumaczenia, drugi wydania pisarzy Towarzystwa Jezusowego do innych assystencyj należących w Polsce i Rossyi. Napisana we Lwowie od r. 1852 do 1855 przez ks. *Józefa Brown* prowincyi najprzód białoruskiej, potem galicyjskiej kapłana. (Przekład z łacińskiego ks. Władysława Klejnowskiego kapłana Towarzystwa Jezusowego).

Spis pisarzy polskich Jezuitów i ich prace, jest początkiem alfabetycznym ułożony. Przy zakończeniu litery *Z* zapowiedziano dwa dodatki, które jeszcze nie wyszły. Praca to mozolna, a ubogacająca niemało bibliografią polską. Pragnąć należy, żeby wyszła w oddzielnój odbitce jako książka; Przegląd bowiem poznański zbyt mało jest upowszechniony i znany: praca zaś pomieniona dla wszystkich badaczy dziejów literatury ojczyźnej jest wysokiej wartości.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa wyszły: 1) *Cicha Iza*, książka do nabożeństwa dla katolików. Wydanie trzecie, w 18cc, z dwoma chromolitografowanemi rycinami w zakładzie M. Fajansa. 2) Książka do nabożeństwa dla wszystkich katolików, potwierdzona przez Najprzewielebniejszego arcybiskupa warszawskiego ś. p. A. M. Fijałkowskiego. Oba dzieła odznaczają się tak pięknym papierem, jak drukiem; ażeby mieć taki papier, musieli wydawcy za granicą drukować: jakoż pierwsza drukowaną jest w Naumburg'u, w typografii G. Pätz'a; druga w Lipsku u F. A. Brockhansa. Jakkolwiek zakłady nasze drukarskie mogą równie dobrze jak zagraniczne odbijać, i niżej od nich nie stoją, wszelako papieru podobnego i w tej cenie, ani w takim gatunku fabryki krajowe nie potrafią dostarczyć. Papiernia w Jeziornie bankowa utrzymuje się monopolem, jak można daleko

rozciągniętym, bynajmniej nie dobrocią wyrobu; inne, mając zbyt ciągły, nie troszczą się o podniesienie i polepszenie takowego. Dla tego nie możemy winić wydawców troskliwych o ozdobne wydania, że jedynie dla braku dobrego papieru muszą przesyłać za granicę rękopisma do druku.

— Daniel Neufeld redaktor Jutrzenki wydał tom II dzieła: *Pięcioksiąg Mojżesza*, dla żydów Polaków. Księga wyjścia. Exodus. Sam przekład tekstu obejmuje str. 103, drugą część str. 44, składa *Światło zakonu*: uwagi i objaśnienia przez tłumacza dodane, które oprócz erudycyi okazują jego pojęcie o samém dziele. Praca ta zasługuje na głębsze zastanowienie. Na końcu czytamy: „Pomimo licznych przeszkód, materialnych udało mi się przy pomocy przyjaciół postępu, wydać niniejszy tom 2 Pięcioksięgu. Mam nadzieję, że szanowni prenumeratorowie zechcą pospieszyć z odebraniem tego zeszytu, od pośpiechu tego bowiem zawisło prędsze i regularniejsze wydawanie dalszych tomów. Czekać, aż całe dzieło będzie kompletne, jest to samo, co odwlekać wydawnictwo, bo tylko brak funduszków był powodem ogłoszenia przedpłaty. Każdy więc przyczyniający się swoją cząstką do kosztów wydawnictwa, każdy rozszerzający dzieło to tak pożyteczne, nakładając drugich do współdziałania w prenumeracie, ma wielką zasługę w skutkach spodziewanych z upowszechnienia piśmiennictwa żydowsko-polskiego.”

— Mija lat 17, jak b. księgarz Gustaw Leon Glücksberg, wydał nowy przedruk, Kroniki Macieja Strykowskiego w Warszawie 1846 r. we 2 tomach w wielkiej 8-ce. Wydanie to kroniki, pomnożone innemi pismami tego pisarza, było zapowiedzą publikacyi, która miała obejmować wszystkie kroniki polskie Kromera, (w tłumaczeniu Błazowskiego) Marcina Bielskiego, i Gwagnina (w przekładzie Paszkowskiego). Umiejętna i zdolna ręka kierowała tém wydawnictwem, żalować przychodzi, że piękny ten zamiar spełził na niczém: księgarz wydawca zamknął już swój zakład, kto inny może chyba zajmie się kiedyś wydaniem pozostałych kronik. Jako wzór w tym rodzaju publikacyi stoi zawsze kronika Strykowskiego, tak starannością korekty, jak dołączeniem wszystkich pism tego pisarza. Marcin Bielski mógłby oprócz kroniki, w nowém wydaniu, wzbogaconym być drobniejszemi pismami, które ścisły związek mają z kroniką, bo malują jeszcze dokładniej życie domowe przodków naszych. Do Kromera warto i inne prace jego dołączyć, tak polskie jak tłumaczone z łacińskiego języka. Wszakże na to potrzeba jeszcze długie lata poczekać.

— Niektóre z pism naszych doniosły, że pp. wydawcy kalendarzy, już się krzątają, w zamiarze ich drukowania. W stagnacyi powszechnój handlu księgarskiego, dotąd nie widzimy tego krzątania, lubo każdy prawda że myśli, ale i namyśla się, i ociąga, oczekując jakiej zmiany w tej ogólnej stagnacyi. Przed rokiem już rozpo-

czynali drukować, dziś ani J. Unger, ani J. Jaworski i A. Dzwonkowski, nie zebrali takich materyałów, żeby we wrześniu druk mogli rozpocząć. Wróżyć możemy, że wydawnictwo kalendarzy w r. b. będzie bardzo opóźnione. Kalendarz przez Towarzystwo Dobroczynności wydawany, w r. b. drukowanym nie będzie: publikacya na późniejszy czas odłożona.

— *Encyklopedia powszechna* bez przerwy postępuje dalej. Litera K, w r. b. ukończoną zostanie, i można powiedzieć że z jej ukończeniem, już większa połowa tego dzieła wydana zostanie. Z obliczenia przybliżonego wnioskować możemy, że całość wyniesie do 30 tomów. Wydawca, pomimo nieprzychylniej chwili i upadku liczby prenumeratorów, usilnie się stara, ażeby co dni 10 zeszyty wychodziły, jakoż od pewnego czasu, tę punktualność znouwu widzimy. Wpływa ona przeważnie, na przyspieszenie tak do upragnionego końca, tej olbrzymiej publikacyi, jak zarazem obudza wiarę, że dzieło to żadnej przerwy niedoznając, ukończonem zostanie, pomimo wielu nieprzychylnych wieści, jakie w początku rozsiewano, o niepodobieństwie ujrzenia całości. Dziś te wieści wytrwałością redakcyi i wydawcy ucichły, tom XIV wkrótce zamknięty będzie, w XV zdaje się że cała litera K, jedna z większych pomieszczoną w nim zostanie.

— Professor gimnazyum Wojciech Grochowski, znany z wielu rozpraw historycznych, pracuje obecnie nad dziejami Polski. Znając naukę i stanowisko z jakiego bada przeszłość narodową, możemy rokować, że dzieło to będzie niemałego pożytku, dla młodego pokolenia, pragnącego gruntownie poznać dzieje ojczyste.

— Czytamy w *Jutrzence*, że Dr. Jastrów, kaznodzieja synagogi w Warszawie przetłumaczył na język polski IV tom dzieła Dr. Grätz p. n. *Geschichte der Juden*, które wychodzi w Lipsku nakładem stowarzyszenia żydowsko-literackiego; obecnie zajmuje się przekładem tomu III, tegoż dzieła. P. Cyków syn nauczyciela talmudu przy b. szkole Rabinów, przetłumaczył na język polski: „proroctwo Jezajasza.”

— Wr. 1861, w Krakowie, nakładem księgarni D. E. Friedlejna wyszedł tom I ważnego dzieła Dr. W. Szokalskiego p. n. *Fantazyjne objawy zmysłowe*. Tom ten obejmował w treści: *Sny, widma i przywidzenia*. Obecnie tom II wyszedł zamykający całość pracy, poświęcony badaniom: *Sennyich marzeń*. Dzieło pełne nauki, oparte na doświadczeniach rozlicznych, zasługuje na ścisły rozbiór, jako owoc sumiennej pracy uczonego doktora.

— Czytamy w *Gazecie Polskiej* o fajce króla Jana III. „Miasto Wiedeń odzyska teraz szacowną dla siebie pamiątkę historyczną: jest to fajka, z której palił Sobieski podczas odsieczy Wiednia, a która

w swoim czasie sprzedaną została wraz z rzeczami pozostałemi po marszałku Oudinot. Nabył ją teraz pewien Wiedeńczyk, mieszkający w Paryżu i postanowił ofiarować w upominku miastu rodzinnemu."

— Kuryer Wileński w Nr. 81 pisze: „Encyklopedyi Powszechnej doszły do Wilna zeszyty 119-ty i 120-ty, rozpoczynające tom cztertnasty całego zbioru, którego ważności w literaturze polskiej pewno żadna współczesna publikacya nie dorównywa. Główniejsze artykuły w tych dwóch zeszytach są następujące: Kapistran Jan święty; kapitał w znaczeniu ekonomiczném, rzecz obszernie i umiejętnie traktowana przez p. Lewestama; kapitol; kapitulny wikaryusz; kapituła; kaplica, kapłaństwo; Kapodistrias; Kapolna; kaptur, kapturowe sądy, przez J. Bartoszewicza; Kapucyni; kapusta; kara pod względem filozoficznym i prawodawczym, monografia odznaczająca się wzorową ścisłością; Karajci albo Karaimi, szkoda, że tu nie uwzględniono szczegółów podanych przez ś. p. Władysława Syrokomłę w jego „Wycieczkach,” szczegółów tém ważniejszych, że pochodzą od biegłego znawcy przeszłości Karaimów Abrahama Firkowicza; Karakalla; Karaman, uczony dałmacki, Karamzyn, biografia napisana przez pana Bartoszewicza, godna zwłaszcza uwagi z powodu ocenienia zawodu pisarskiego sławnego historyka Rossyi; Karaś Kazimierz, kasztelan; karaś, ryba; karbonaryzm; karbunkuł; Karczew; Karczewski trzech tego nazwiska; karczma, przez K. Wł. Wójcickiego; karczochy; Karczówka; kardynalskie kongregacye; kardynałstwo; kardynałstwo polskie i kardynałowie polscy, rzecz gruntownie wyczerpana przez J. Bartoszewicza; Kargowa; Karliński; Karlos, kilku tego imienia; Karlowingi; Karlsbad; karlsbadzkie rezolucye; Karlstein, a raczej Karlów Tyń, znakomity zamek w Czechach; Karlsruhe, nieco za krótko, jak na miasto stołeczne, opisane; Karlstadt (Andrzej Bodenstein); Karlszperka, poeta czeski; karm pod względem fizyologicznym; Karmaniuk, słynny niegdyś rozbójnik na Podolu; Karmel, Karmelicy i Karmelitanki; Karnatyk; karnawał; karne prawo, rzecz historycznie i teoretycznie z wyższego stanowiska, równie jak powyżej wspomniona kara, przez Kaz. Kaszewskiego traktowana; Karnkowski Stanisław arcybiskup; wreszcie od str. 158 do str. 224, to jest do końca, idą biografie rozmaitych cesarzów, królów i książąt, noszących gęsto używane w Europie środkowej i zachodniej imię Karola.”

Prostujemy mylnie tu podanie: karne prawo jest pióra Kazimierza Kalinki, a nie Kaszewskiego.

— Wyszedł z pod prassy: *Rocznik leśniczy*, dzieło zbiorowe. Tomu IV część druga, obejmuje: 1) O zakładach aplikantów na oficyalistów leśnych. 2) Pomysły do nauki życia. 3) O hodowaniu ryb w Finlandyi. 4) O hodowaniu lososi w Finlandyi. 5) Nauka przyrody, zastosowana do potrzeb życia praktycznego i produkcyjnego. 6) Odpowiedź na recenzję artykułu: O ważności przyrostu drzewnego, stosunkowo zmniejszającego się. 7) Przegląd literatury leśniczej z r. 1863. 8) Rozmaitości. 9) Przysłowia rusińskie do la-

sów odnoszące się. W *rozmaitościach* czytamy trafną uwagę, dlaczego w Polsce kongresowej, nie sprowadzono żubrów z puszczy Białowieskiej, kiedy je z tej puszczy otrzymane hodują w Anglii, Austrii i Prusach, pomimo, że Kommissya Rządowa przychodów i skarbu, miała w tym przedmiocie kilkokrotne przedstawienia.

Na Litwie, Żmudzi, Wołyniu i Podolu znajduje się mnóstwo trufli, (czytamy w tychże *rozmaitościach*) do wyszukania których używane są psy wyżły. Dla przyuczenia do tego psów młodych, dają im najprzód frygi z papieru samego a potem w papier zawijają kawałek trufli silny zapach mającej. Kiedy się nauczą psy podawać taką frygę, rzucają im samą trufkę do podania, a gdy szczenię ma już 10 miesięcy wieku, w obecności jego zakopują trufkę w ogrodzie w ziemię i każą mu odkopać i podać, wreszcie zakopują trufkę skrycie i na znak ręką, każą mu ją wyszukać. Gdy pies już to wszystko umie, bierze się rydel lub szpadel i z psem idzie się do lasu, gdzie trufle rosną, a gdy je pies odkopywać zacznie, należy mu pomódz szpadlem, bo inaczej prędko zmordowałby się i zniechęciłby się do szukania.

— W Poznaniu, nakładem J. K. Żupańskiego wyszedł tom III dzieła p. n.: *Krótki opis historyczny kościołów parochialnych, kościołków, kaplic, klasztorów, szkółek parochialnych, szpitali i innych zakładów dobroczynnych, w dawnej diecezyi poznańskiej, przez Józefa Łukaszewicza*. Tom ten zamyka całość tego ważnego dzieła, i w końcu opatrzony jest skorowidzem alfabetycznym.

— Gazeta Polska w Nr. 166 ogłosiła zajmującą korespondencję z Genewy, z której podajemy ustęp: „Szwajcarya, mimo swych drobnych rozmiarów, zasługuje aby się jej bacznie przypatrzeć.

Z małemi stosunkowo siłami uczyniono tu wiele, kraj nie bogaty z siebie, wystarcza nawet na większe prace użytku publicznego, jak uregulowanie biegu rzek (Renu i Rodanu), na koleje żelazne, na budowy i gmachy, na szkoły i uniwersytety.

Rzeczpospolita szwajcarska do r. 1848, pomimo imienia związku (federacji), mało była spójną, sejmy, złożone z deputowanych kantonów z władzą ograniczoną, zbierały się w Bernie, Lucernie i Zurich; koniec wojny Sonderbundu, przypominającej w pewien sposób meksykańską, sprowadził nową ustawę związkową, w której zasady niezależności kantonów umiano pogodzić z potrzebą silniejszego ich połączenia. Ustawa ta ogłoszona w r. 1848 dnia 12 grudnia, składa się z następujących głównych zasad: „Związek ma na celu obronę wspólną od zewnętrznego nieprzyjaciela, utrzymanie wewnętrznego porządku, opiekę swobód i praw federacji, i wzrost pomyślności pojedynczych części. Kantony są panami siebie o tyle, o ile ich nie ogranicza ustawa federalna. Wszyscy Szwajcarowie są równi w obliczu prawa, bez względu na urodzenie, wyznanie i t. p. Konfederacya poręcza kantonom ich ustawy, o ile one zapewniają prawa polityczne obywatelom wedle form w rzeczypospolitej przy-

jętych; oraz gdy są przez ogół uznane i gdy w razie potrzeby ogólnem głosowaniem zabezpieczono ich zmianę. Konfederacya zastrzega sobie wyłączne prawo ogłaszania wojny, zawierania pokoju i traktatów z państwami ościennymi. Układy o służbę wojskową w obcych krajach (kapitulacye) są wzbronione. Władze federalne, urzędnicy cywilni i wojskowi, reprezentanci i komissarze federalni, nie mogą przyjmować ani dekoracyi, ani tytułów, ani podarków od państw obcych. Wojska stale nie mogą istnieć w Szwajcaryi; każdy Szwajcar obowiązany jest do służby wojskowej.

Do konfederacyi należy urządzenie poczt w całym kraju, z zastrzeżeniem tajemnicy niepogwałconej listów. Ustawa zapewnia także swobodę prassy, prawo zbierania się i stowarzyszenia, prawo petycyi. Konfederacya zastrzega sobie prawo wygnania cudzoziemców, którzyby spokojowi kraju byli szkodliwi. Zakazuje się w całej Szwajcaryi pobyt Jezuitom i stowarzyszeniom z zakonem tym będącym w związku.

Władzę najwyższą ma *Zgromadzenie federalne*, złożone z *Rady narodowej* i *Rady stanów*.

Rada narodowa składa się z deputowanych ludu szwajcarskiego, wybranych po jednym z 20,000 ludności. Każdy kanton i półkanton wybiera najmniej jednego. Wybory są proste; każdy Szwajcar mający lat dwadzieścia i używający praw wyborcy, jest nim; wybranym być może każdy wyborca, świeckiego stanu, mający prawo głosowania. Rada narodowa wybiera się na lat trzy.

Rada stanów składa się ze czterdziestu czterech deputowanych kantonów, po dwa z każdego kantonu. Zgromadzenie federalne wydaje prawa i rozporządzenia, mianuje Radę federalną, trybunał, generała dowódcę głównego, szefa sztabu, zawiera traktaty, wypowiada wojnę, zawiera pokój, ma prawo amnestyi i łaski, rozporządza wojskami federalnemi, posiedzenia jego są publiczne. Rada federalna jest władzą wykonawczą, złożoną z siedmiu członków, mianowanych przez Zgromadzenie federalne na lat trzy i wybranych z ogółu obywateli. Rada kieruje sprawami federalnemi, wedle praw i rozporządzeń konfederacyi, czuwa nad zachowaniem ustawy i praw, i wszystkim co obchodzi spójność wewnętrzny, niezależność i neutralność Szwajcaryi. Trybunał federacyjny rozpatruje sprawy federacyjne i t. d.

Takie jest zadzierzgnięcie tego węzła, który się zowie federacyą; pojedyncze kantony wszakże, każdy są niby państwami oddzielnymi, mającemi osobne prawa i rząd, i różniącemi się ustawą zasadniczą. Sześć kantonów są czysto demokratyczne, dwa mięszane, pięć reprezentacyjnych. Wszędzie władza sadownicza zupełnie jest oddzielną od administracyjnej, sędziów wybiera lud, w kilku kantonach są sądy przysięgłych."

— W témże piśmie czytamy: „Jeden z pisarzy polskich skreślił *Historyę Biblii polskich* lub w Polsce kiedykolwiek wydanych. Ciekawość ten i spory rękopism udzielono nam do przejrzenia, dla tego

ośmielamy się tu z niego skorzystać i kilka ważniejszych podać szczegółów.

Praca podobna, zdaje się całkowicie już wyczerpywać ten najznamienszy w bibliografii wydział. Autor położył następną dewizę: „Biblia, ta księga ksiąg zawiera przeszłe i przyszłe dzieje ludzkości.”

W przemowie znajdujemy pogląd ogólny autora, usuwającego z przed oczu swoich część do teologii należącą jak wykłady, parafrazy, skrócenia, wierność przekładów i t. p. biorącego zaś pod rozbiór krytyczny stronę literacką, to jest językową i dziejową, tyczącą się wydań i wydawców, opisów kolei, krytyk błędów piszących, polemik i t. d.

Część bibliograficzną ujrzelśmy tak obrobioną, tak dokładnie i porównawczo do opisów innych księgoznawców skreśloną, że istotnie nie nie pozostaje do żądania. Widać z tej pracy jak najwyraźniej, że piszący miał w rękę każdą książkę, o której mówił, i że zna z gruntu swój przedmiot. W opisanu naprzykład Biblii Leopolity, trzydzieści źródeł przywodzi i każde z nich jak najszczegółowiej rozbiera.

Obrócz zbijań błędów popełnionych przez cudzoziemców, jak Jakuba Le Longa, Sotuela, Eberta, Brunnetta, Ringeltaubego i t. d., nie przebacza i naszym pisarzom, owszem troskliwiej poprawia Jocheera, Bentkowskiego, Maciejowskiego. Bartoszewicza, Węgierskiego i innych. Szkoda tylko, że z recenzyj swoich, autor nie sformował osobnego rozdziału krytycznego, rozbiegającego poprzedników swoich. Bo szukanie pod każdą biblią lub jej częścią, zdania innych i poprawy ich zbłądzeń, utrudza poszukiwania szperacza, pragnącego na jeden rzut oka widzieć wszystkie ujemności piszących. Wprawdzie każdy jest panem swojego układu, ale według nas, prostszy byłby podział na trzy części, to jest na bibliografijną, krytyczną i literacką. Zdałby się tutaj i czwarty dział teologiczny, dla zaokrąglenia całości, ale autor słusznie utrzymuje, iż do tego trzeba wyłącznie biegłego i bezstronnego teologa.

System piszącego zupełnie inny. Mówi najprzód o rękopismach i przekładach, które naszych czasów albo nie doszły, albo tylko z urywków o nich wiemy. Potem najobszerniej zastanawia się nad wydaniem całkowitych Biblij. Ta część *con amore* obrobiona, najbogatszą, jest w zdrową krytykę i bardzo wiele uchybień poprzedników prostuje. Dalej idą opisy wydań Nowych Testamentów i części różnych Pisma Świętego.

Ważną stroną tej rozprawy są dwa względy, na które piszący zwrócił szczególniejszą uwagę, a mianowicie, na życiorysy tych wszystkich, którzy się dotykali rozbieganego przedmiotu i krytykę, o której już wyżej wspomnieliśmy. Nie jestto jednak owe bezzasadne zoilostwo, o którym nam tak często i szeroko prawią pisarze dwóch minionych wieków; nie jest to nawet krytyka burząca i nic na to miejsce nie stawiająca; ale przeciwnie, recenzja umiarkowana, trzymająca się karb słuszności i poprawiająca ze skromnością nietylko grube błędy, ale i pomniejsze piszących uchybienia.

Wiele tu nowych zupełnie rzucono domniemań, wiele odkryto faktów nieznanych, wiele objaśniono rzeczy, o których albo nie wiedzieli księgoznawcy, albo ich tak sumiennie i krytycznie w jeden punkt zgromadzonych nie mieli. Naprzykład wyjaśniono, dla czego Jan Maletius czyli Małeczki nie wydawał dalej Nowego Testamentu z r. 1552; zbadano i wykryto kto był wydawcą naukowym Nowego Testamentu drukowanego w Toruniu 1585 przez Melchiorą Neringa i t. d.

Śmiałoby można powiedzieć, iż od czasów Ringeltaubego (a to już dobiega lat 120) nie było w piśmiennictwie podobnego dzieła: ale cóż? kiedy Ringeltaube wydał swą książkę po niemiecku; autor zaś, o którym mówimy, napisał swą rozprawę po łacinie!

Zdaje się, że piśmiennictwo polskie skorzystałoby na tém, gdyby oprócz tekstu łacińskiego, mogła ta książka wyjść na widok powszechny i w języku polskim jako najprzeważniej traktująca o przedmiocie polskim i jeszcze do tego w dziale nauk, miejsce najpierwsze zajmującym.

— *Tagblatt* wychodzący w Lucernie, donosi, że p. Błotnicki inżynier w Genewie, zajmuje się nowym projektem kolei żelaznej przez Alpy mającej przechodzić. Razem z innymi inżynierami i ludźmi znającymi kraj, zwiedził niedawno okolicę góry św. Gothard'a i poczynił badania na gruncie. P. Błotnicki utrzymuje, że można przeprowadzić kolej przez górę św. Gothard'a, tak, iż tunel umieszczony u góry nie byłby dłuższy nad jedną milę. Dla okrycia drogi od śniegów i lawin p. Błotnicki projektuje ją pokryć całą i zasklepić jak galerią. Wedle jęgo planu nie ma podnoszenie się drogi przechodzić $5\frac{1}{6}$, a maszyny parowe mają mu podolać z łatwością. Osobny rodzaj lokomotyw ma być użyty ku temu. P. Błotnicki porozumiał się o ich budowę z dyrektorem warsztatów mechanicznych kolei głównej w Olten p. Riggensbach. Uznano ideę nie tylko bardzo szczęśliwą, ale do wykonania dosyć łatwą.

— Franciszek Idzikowski w Opolu po niemiecku wydał *Dzieje miasta Opola*, z widokami w wiekach dawnych tego miasta. Dzieło ważne, do dziejów Górnego-Szlązka niezbędne.

— Czytelnia Niedzielną starannie redagowana wychodzi stale w oznaczonym czasie. Pismo to oddało już niemałe usługi czytelnikom swoim i potrafiło zdobyć sobie uznanie w tej klasie naszych współziomków, którzy nie czytali, albo jedynie znali tylko Kuryera Warszawskiego.

— *Przyjaciel Dzieci*, doborem artykułów i starannością redakcyi, coraz więcej odpowiada tytułowi swemu. Współpracownictwo znanego z talentu Jana Chęcińskiego przeważnie wpłynęło na ulepszenie pisma, które w kółkach rodzin naszych nie małego jest użytku.

— Dr. J. Caro nasz rodak, syn rabina z Włocławka wydał w Gotha 1861 r. rozprawę p. n.: *Das Interregnum Pohlens im Jahre 1587*. Obecnie wydał także tom drugi, jako dalszy ciąg swej pracy, ale sięgający wcześniejszych dziejów Polski, bo czasów od r. 1300 do 1380.

— Zapowiadano nam, że przygotowano tłumaczenie dzieła Dr. R. Röpella profesora wrocławskiego: *Geschichte Pohlens*. Uczony badacz zbierał u nas w Warszawie materyały do ciągu dalszego rozpoczętych badań; dowiadujemy się teraz, że sam zaniechał zamierzonej pracy, a zasoby swoje oddał Dr. J. Caro. Co do przekładu ogłoszonego przez Röpella dzieła, nie mamy bliższych wiadomości.

— Tom II Rocznika Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego, kończy się w druku i będzie zawierać następujące prace: 1) Część grammatyki praktycznej sanskrytu z Franciszka Boppa, opracowanej w kierunku porównawczym, z wykazaniem związku organicznego języków litewskiego, starosłowiańskiego i polskiego ze sanskrytem, księdza Malinowskiego. 2) O niektórych utworach Adama Mickiewicza, przez prof. Cybulskiego. 3) Wiadomość o życiu generała Ponińskiego, p. Leona Wagnera. 4) Ustęp historyczny z archiwum miasta Wrocławia wyjęty, p. Augusta Mosbacha. 5) O drogach ducha, Augusta Cieszkowskiego.

— Druk tomu V seryi trzeciej, Rozrywek dla młodocianego wieku, pod redakcją Seweryny z Żochowskich Pruszkowej już jest na ukończeniu. Przy nim załączony zostanie spis z XV tomów, składających całość tej ważnej i pięknej publikacji.

— Pisaliśmy już o Morawskim Szczęsnym czyli Feliksie, który nie tylko jako artysta malarz, ale zarazem odznaczył się jako pisarz. *Gazeta Polska*, podaje o nim następne zajmujące szczegóły. „Wielu mamy autorów, którzy obok pióra dobrze władają ołówkiem, pędzlem lub rylcem. Do takich należą Józef Ig. Kraszewski, Antoni Oleszczyński, Lucjan Siemieński, Adam Gorczyński, znany pod mianem Jadama z Zatora i wielu innych, że nie wspomnimy o już zgasłych. W tej liczbie mieści się i p. Szczęsny (Feliks) Morawski, pisujący do dzienników krakowskich pod pseudonimem Bartłomieja Arbuzowskiego. Niedawno wspomnieliśmy o jego wkrótce wyjść mającém dziele w Krakowie p. t. „Sądyczyna z Podhalem, Podbieszczadziem i Ziemią Spiską”. Do tegoż rodzaju pracy należą dawniej wydane „Materyały do konfederacji barskiej r. 1767 i 1768 z niedrukowanych dotąd i nieznanych rękopismów,” we Lwowie odbite 1851 i 1852 r. Pomagały mu podobno ku temu źródła ś. p. Batowskiego; reszta leży w rękopismach.

Ale pióro Arbuzowskiego nie do dziejów stworzone: jego zadaniem humorystyka.

Do liczby utworów pełnych humoru, należą w *Czasopiśmie* p. t. „*Dziennik Warszawski*” następujące: „*Góral na obidzy*,” „*Górale*

Krepaku;" „Wróbel;" „O przesądach sekt Izraela;" „Głos z prowincyi o wystawie krakowskiej 1859 roku;" i „Badaczom dziejów."

Od r. 1856 do włącznie 1859, umieścił w Dodatku literackim krakowskim liczny szereg artykułów, z których Biblioteka Warszawska z bież. miesiąca przytacza jedną tylko „Wyprawę po konie do Arabii" fotografującą anglomanią dżokejską wielkich panów. Wszakże tu jeszcze należą: „Wyprawa na jarmark do Sadogóry," „Reorganizacya małżeńska, obrazek galicyjski," „Amulety od cholery;" „Obrazek sądecki;" „Szwedzi w Nowym Sączu 1655 roku;" „Groby Lipskich z Lipia" i „Uzbrojenie rycerstwa polskiego."

Właścicielowi Szczawnicy Szaleyowi, ułożył opis do wydania drugiego Album Szczawnickiego; pierwsze bowiem wyszło litografowane w Wiedniu bez tekstu.

Styl jego nie zbyt gładki, niedość potoczysty, jakby urywany, ale za to widać, że piszący jest malarzem à la prima; że nie sili się na dowcip, lecz humor bezwiednie wylewa się z pod pióra, nawet wtedy kiedy poważniejsze kreśli rzeczy. Dlatego i w portretach jego, których mnóstwo oglądaliśmy w zbiorach ś. p. Aleksandra Batowskiego, Mieczysława Pawlikowskiego i H. Sk., widać pierwsze rzuty ołówka lub kredy nie poprawiane, ale mimoto poprawne i wielkiem odznaczające się podobieństwem. Do tego szeregu prac, które może nie prędko będą wydane, należą wizerunki osób następujących:

Gwalberta Pawlikowskiego, Leszka Borkowskiego (kredą). Karola Brzozowskiego. Ant. E. Koźmiana (dwie kredkami); księdza Chodynickiego autora „Dykeyonarza uczonych Polaków," Augusta Bielowskiego, Aleksandra Batowskiego i jego matki, Udalryka Cieńskiego, Mieczysława Darowskiego, Jana Dobrzańskiego redaktora, Józefa Dzierzkowskiego, Bartusa malarza, Reussa profesora uniwers. lwow., Blocha Salomona autora Jeografji starożytniej, Kapuścińskiego, Wiśniowskiego i wielu innych.

Do wydanego przez Szmitta „Rokoszu Zebrzydowskiego," zrobił był jeszcze dla ś. p. Batowskiego, z którego zbioru rękopismów szan. autor korzystał. udatną kartę tytułową z wizerunkami Aleksandra Borkowskiego, Bielowskiego, Batowskiego i własnym, ale ta na świat nie wyszła. Rysował Zamek w Rzeszowie (piórem), Pomniki Ostrogskich w Tarnowie (w kościele katedralnym będące) i t. d.

W r. 1855 na wystawie krakowskiej oglądaliśmy jego obrazy olejne wystawujące Zienowicza pod Chocimem i dwa odpowiednio malowidła wyobrażające brańców i branki pędzonych w jassyr tatarski.

P. Morawski urodzony w Rzeszowie, długi czas przebywał we Lwowie, od roku zaś 1853 gospodaruje w górach pod Sączem, w Stroniu, mieszkał i w Jasielskiem.

— Nakładem J. K. Żupańskiego, w zbiorze: Polska dzieje, i rzeczy jej, rozpatrywane przez Joachima Lelewela, wyszła Historia Polska do końca panowania Stefana Batorego. Dzieło pośmiertne przy-

piskami pomnożone i wydane przez E. Rykaczewskiego. We wstępie czytamy:

„W pozostałych po Joachimie Lelewelu papierach, znalazła się *Historya Polska*, jeszcze r. 1813, w przeciągu trzech niespełna miesięcy napisana, ale tylko do śmierci Stefana Batoroego doprowadzona; o tym pierwiastkowym prac swoim owocu mówi autor, kresząc swe przygody w poszukiwaniu i badaniu rzeczy narodowych polskich. „Nagle w r. 1813, znacznej części dziejów polskich skreślenie, stało się wczesnym przygotowaniem do kursu jaki podjąć miałem. Rozważając sprawy i rzeczy Polski, usiłowałem rozpoznać różnicę onych od spraw innych ludów, aby wydobyć własny narodowy żywioł, odróżniając go od cudzoziemskiego: usiłowałem widzieć Polskę niewyosobnioną, ale w związku, położeniu i postępie powszechnym ludów i mocarstw europejskich. Mało zważając na to, co inni widzieli przedemną, snułem własne widzenie. Poznając cudze, nie kwapiłem się napadać na nie bez nadarzonej pory. Snując swoje, pamiętałem na to, że w dalszym dopiero długim rozważaniu, a wszechstronnym rozpatrywaniu, nie zaś pierwszym poglądem istotę rzeczy zgłębić, i na czysto wyprowadzić można. Pootwierałem tedy sobie dalsze poszukiwania widoki, wewnętrzną i zewnętrzną politykę Polski na cztery dzielące okresy.” Część tego rękopismu rozszerzył i wydał Lelewel w r. 1821 p. t.: *Ostatnie lata panowania Zygmunta Starego i początek panowania Zygmunta Augusta*, i miał na myśli resztę podobnie rozszerzyć, a co brakowało dopełnić, ale do tego nie przyszło. Reszta pozostała jak była napisana, i niemasz śladu żeby ją autor obrabiał, oprócz niektórych dodatków na marginesie, z których jedne gładko weszły do tekstu, drugie niepodobne do wyczytania z żalem opuszczone zostały, tudzież wielu bardzo miejsc podkreślonych, które zapewne miał kiedyś w stylu poprawić, co wydawca, nienaruszając jego myśli, nie tylko w tych podkreślonych miejscach, ale w całym dziele dopełnił. W dodanych przypiskach miał na celu, albo wskazać źródła, z których autor czerpał, albo z nich sprostować niekiedy jego opowiadanie, albo rozwinąć i uzupełnić co autor, dla szczupłych, obrębów, jakie sobie zakreślił, niemogąc wdawać się w szczegóły, zbyt krótko opisał.

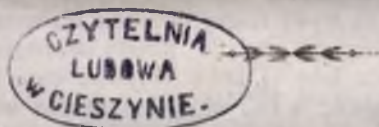
Paryż, d. 29 listopada 1862 r.

E. Rykaczewski.

— We Lwowie wyszedł tom IIIci Biblioteki Ossolińskich, pisma przez dyrekcją Zakładu wydawanego, zawierający następujące artykuły: *Ziemia lwowska za rządów polskich w XIV i XV wieku*, we względzie społecznych stosunków, rozpoznana przez Alexandra hr. Stadnickiego; *Studia estetyczne* przez Stanisława Pilata; *Kadmea*, ustęp z dziejów greckich przez Adama Pajgerta, *depesze ambasady polskiej w Kopenhadze z lat 1789, 1793*, z autografów przechowujących się w Bibliotece Ossolińskich. *Zdobycze fizyki nowoczesnej (Ekonomia świata)* przez Dra Wojciecha Urbańskiego. Ocenienie przez Augusta Bielowskiego, Igo tomu dzieła Ignacego Daniłowicza, wydanego w Wilnie przez Jana Sidorowicza, pod tytułem: „Skar-

biec dyplomów papieżkich, cesarskich, królewskich, książęcych, uchwał narodowych, postanowień różnych władz i urzędzeń, posługujących do krytycznego wyjaśnienia dziejów Litwy, Rusi litewskiej i ościennych im krajów.

† Zakończył życie w pierwszych dniach czerwca r. b. Henryk Dmochowski, znakomity rzeźbiarz polski, urodzony w Wilnie d. 26 października 1810 r. Życiorysy obszerne tego artysty podała Encyklopedia Powszechna, przez Michała Balińskiego i Tygodnik Ilustrowany wraz z wizerunkiem. W r. 1861 po długiej pielgrzymce w obcych krajach, osiedlony początkowo w Filadelfii, wrócił do miejsc rodzinnych. Kommissya Archeologiczna Wileńska powierzyła mu wykonanie pomnika dla Barbary żony Zygmunta Augusta w katedrze wileńskiej. Wiele prac piśmiennych pozostawił w rękopiśmie. Zgon jego przedwczesny żałobą nas okrywa!



Redakcja Biblioteki Warszawskiej,

Wolno drukować.—Warszawa, d. 19 (31) Sierpnia 1863 r.
Cenzor, *Paweł Lachmanowicz.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Lipiec, 1863.

Lipiec, 1863.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad
1°14'45",7 czyli w łuku 18°41'25",5

w Obserwatorium Astronomicznem Warszawskiem.

poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie
na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stusstopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1	Perig.	756.48	757.70	757.69	759.36	757.81	+14°8	+1°0.2	+21°1	+14°6	+16°67
2		760.75	760.65	758.55	757.16	759.28	10.7	17.3	22.8	15.2	16.50
3		754.85	753.03	749.70	750.00	751.92	14.2	22.7	26.8	17.4	20.28
4		750.76	751.26	750.80	751.58	751.10	14.1	18.1	20.4	12.5	16.27
5	Rów.	752.13	752.58	752.95	753.48	752.79	12.3	16.2	17.1	12.3	14.48
6		755.30	755.74	755.80	755.72	755.64	10.6	16.0	13.5	12.9	13.25
7		755.81	755.90	754.52	752.14	754.59	12.2	16.8	19.8	15.8	16.15
8		753.91	753.72	752.81	753.17	753.40	11.4	19.6	21.5	16.5	17.25
9		751.11	753.69	753.14	754.07	753.75	11.4	17.5	19.4	13.5	15.45
10		753.95	754.09	753.29	754.56	753.97	13.5	19.8	22.6	19.0	18.72
11		755.59	755.99	755.89	755.56	755.71	15.4	22.6	25.4	20.7	21.02
12		755.99	755.52	753.67	753.58	754.69	17.3	24.9	24.1	19.8	21.52
13		753.55	753.15	750.95	750.86	752.12	17.3	23.0	26.3	18.1	21.30
14		750.81	750.53	749.93	748.82	750.02	14.3	18.9	17.1	12.9	15.30
15	Apog.	746.53	746.76	746.23	745.00	746.13	15.6	17.0	17.9	15.2	16.40
16		743.97	744.40	744.64	744.80	744.45	13.8	14.6	15.2	9.7	13.32
17		744.86	744.84	744.83	745.83	745.09	8.5	12.1	16.0	8.5	11.27
18		743.94	742.47	740.08	738.50	741.25	10.9	16.8	19.0	17.0	15.92
19		729.90	741.23	743.11	745.76	742.50	10.6	11.8	16.0	8.5	11.72
20	Rów.	747.27	747.91	747.65	746.85	747.42	12.5	17.0	18.5	15.2	16.55
21		746.76	747.57	749.05	749.93	748.33	14.1	18.5	18.5	14.6	16.42
22		750.05	748.75	747.06	747.50	748.34	15.2	23.4	26.2	18.3	20.77
23		748.41	750.06	750.19	749.47	749.53	19.0	22.4	26.6	20.0	22.00
24		746.09	746.59	748.06	749.89	747.66	17.1	21.0	17.0	14.4	17.37
25		750.61	750.82	749.40	749.20	750.01	13.5	18.1	21.2	14.7	16.37
26		748.82	748.95	748.37	749.12	748.81	11.1	18.2	21.8	15.6	16.70
27		750.14	750.12	749.71	750.57	750.13	13.7	19.8	20.8	15.5	17.45
28		751.44	751.30	750.51	751.39	751.16	12.2	19.4	23.4	18.1	18.27
29		752.40	752.44	750.54	750.17	751.46	15.6	22.0	26.2	20.4	21.05
30	Perig.	750.12	749.47	747.78	749.68	749.26	16.2	25.4	28.6	16.4	21.65
31		751.02	751.64	751.35	751.53	751.39	13.7	17.2	18.7	11.4	15.25
Sr.		750.85	750.93	750.28	750.51	750.63	+18°64	+18°77	+20°97	+15°31	+17°17

Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim.		Wysok. wody na Wiśle	
	6	10	4	10	6	10	4	10	dess.	śnie- czu	do gu	cali
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.				
73.0	napół pog.	poc. dész.	pr. pogod.	pogodny	PdZ1.	Z1.	PnZ2.	PdZ1.	9.0			2 1
68.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z1.	PnZ2.	Z1.	Z1.				2 1
66.2	pogodny	pogodny	pochm.	napół pog.	PdW1.	Pd3.	PdZ3.	Z1.	3.0			2 0
66.2	pogodny	pr. pogod.	napół pog.	napół pog.	Z2.	Z3.	PnZ2.	Z2.				1 11
66.5	napół pog.	napół pog.	pochm.	pochm.	Z2.	PnZ3.	Pn2.	Z1.				1 10
77.0	pogodny	pochm.	poch. dész.	pr. pogod.	PnZ1.	PnZ2.	Pn2.	Pn2.	3.6			1 9
64.7	pochm.	pr. pogod.	napół pog.	pogodny	Pn1.	Pn2.	PnZ2.	Pn1.				1 8
56.0	pr. pogod.	napół pog.	napół pog.	napół pog.	Pn1.	PnW2.	Pn2.	PnW1.				1 8
57.0	pogodny	napół pog.	napół pog.	napół pog.	PnW1.	Pn2.	PnW2.	Pn2.				1 8
53.7	pochm.	napół pog.	pochm.	pr. pogod.	PnZ1.	Pn2.	Pn2.	Pn1.				1 7
45.5	pogodny	pogodny	pogodny	pr. pogod.	Pn1.	PnW2.	Pn1.	PnW1.				1 6
57.7	pogodny	pogodny	pochm.	napół pog.	PnW1.	PnZ1.	Z1.	PnZ1.	1.0			1 6
56.0	pogodny	pogodny	napół pog.	pochm.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ3.	Z1.				1 6
71.5	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	Z2.	Z2.	Z3.	PdZ1.				1 5
70.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z3.	Z3.	Z3.	Z2.				1 5
60.2	pochm.	pochm.	pochm.	pr. pogod.	Z3.	Z3.	Z3.	Z3.				1 5
63.0	napół pog.	pochm.	napół pog.	pr. pogod.	Z3.	Z3.	Z3.	PdZ1.				1 5
42.5	napół pog.	napół pog.	pochm.	pochm.	PdZ2.	Z3.	Z3.	PdZ2.				1 5
70.2	pochm.	pochm.	napół pog.	pr. pogod.	Z3.	Z3.	Z3.	PdZ2.	3.0			1 4
57.7	napół pog.	napół pog.	pochm.	pochm.	Z2.	PdZ2.	Z2.	Pd1.				1 3
64.2	napół pog.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	PdZ2.	Z1.	PdZ1.				1 2
76.5	pochm.	napół pog.	pochm.	dészcz.	PdW1.	PdW2.	PnW1.	Pd1.				1 2
67.5	pogodny	pogodny	pr. pogod.	pr. pogod.	Z2.	Z3.	Z2.	Pd1.				1 2
86.5	poc. dész.	pr. pochm.	pochm.	pr. pochm.	PnZ1.	PdZ2.	Z2.	PnZ1.	5.1			1 2
58.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	PnW1.	Z1.	Pd1.				1 2
60.5	pr. pogod.	pr. pogod.	pr. pogod.	pr. pogod.	Pd1.	PdW1.	PnW1.	PnW1.				1 2
57.0	napół pog.	pr. pogod.	pochm.	pr. pogod.	Pn1.	Pn2.	Pn2.	Pn2.				1 1
56.7	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pogodny	PnZ1.	Pn2.	PnZ3.	Pn1.				1 1
54.5	napół pog.	pogodny	napół pog.	pr. pochm.	PnW1.	PdZ1.	Z1.	PdZ1.				1 1
57.5	pochm.	napół pog.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	Pd2.	Z2.	1.0			1 1
67.2	pochm.	napół pog.	napół pog.	pogodny	PnZ1.	Z2.	Z2.	Z1.				1 1
63.1									25.7			1 5.3

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.63	27	8.751
Najwyżej barometr dochodził d. 2 o g. 6 r.	760.75	28	1.237
Najniżej — — d. 18 o g. 10 w.	738.50	27	3.174
Średnia dzienna zmiana barometru	2.18		0.966
Największa dzienna zmiana barometru d. 2—3 o godz. 4 wiecz.	8.85		3.920
Średnia wysokość barometru jest większa o	1.77		0.784
od stanu normalnego z 37 lat poprzedzających	748.86	27	7.967
Średnia temperatura lipca wynosi	+ 17 ^o .17	C.	+ 13 ^o .74 R.
Największe ciepło dochodziło d. 30 o g. 4 w.	+ 28.60	"	+ 23.08 "
Najmniejsze — — d. 17 i 19 o g. 10 w.	+ 8.50	"	+ 6.80 "
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.82	"	2.26 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 30—31 o godz. 4 wiecz. w czasie pełni	9.90	"	7.92 "
Średnia temperatura lipca jest mniejsza o	+ 1.84	"	+ 1.31 "
od stanu normalnego z 37 lat poprzedzających	+ 18.81	"	+ 15.05 "
Termometrograf wskazał: Maximum: + 30.0 C. = + 24.0 R. d. 30 po połud.			
Minimum: + 6 ^o 5 " = + 5.2 " d. 19 w nocy.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 63.1 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 9.16 gramow na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 7.1 setnych mniejsza od normalnej (70.2).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi: 25.7 mil. czyli 11.38 lin. par.; mniej o 64.2 mil. czyli o 28.15 lin. par. od ilości wody jaka zwykle u nas w lipcu spada (89.9 mil. czyli 39.83 lin. par.).

Stan elektryczności atmosferycznej co do jej natężenia średni miesięczny jest: 11.4 stopni; największe natężenie siły elektrycznej dochodziło 28 stopni d. 25 o godz. 10 rano.

Dni pogodnych było 4, napółpogodnych 16, pochmurnych 11.

Dni deszczu 7 (d. 1, 3, 6, 12, 19, 22, 24, 30).

— gradu 1 (d. 19).

— błyskawic i grzmotów 2 (d. 3, 24).

— błyskawic bez grzmotów 1 (d. 22).

Wichrów 1: 1 Z.

Wistrów mocnych 11: 1 PdZ., 9 Z., 1 PaZ

Wiatr panujący: Zachodni.

Lipiec r. b. był mniej pogodny i cieplej jak zwykle, przytem wietrzny i nader suchy, o 1.31 stop. R. chłodniejszy niż w stanie normalnym, a nawet o jeden stopień miał niższą temperaturę jak w r. z. Najcieplejsze dni były: 3, 11, 12, 13, 22, 23, 29 i 30 ich temperatura dzienna dochodziła do 17 stopni R.; najchłodniejsze d. 5, 6, 9, 14, 16, 17, 19, 31; dzień 17 szczególnie był chłodny. Zmiany temperatury były częste i znaczne; największa zmiana dzienna wynosząca 7.9 stop. R. przypadała d. 30 na 31 w czasie pełni i przy największym zbliżeniu się księżyca do ziemi. Barometr utrzymywał się najwyżej w pierwszej połowie miesiąca; najniżej stał między d. 15 a 19 to jest w czasie panujących silnych wiatrów zachodnich. Największa zmiana dzienna barometru 3.92 lin. par. przypadała d. 2 na 3 po pełni księżyca. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykle, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napółpogodnych i pochmurnych jest jak 6:12:12; w r. b. stosunek tyżże dni jest jak 4:16:11. Powietrze było nader suche; wody z deszczu spadło blisko cztery razy mniej jak zwykle; grzmoty i błyskawice rzadko dawały się słyszeć. Przez sześć dni to jest od d. 14 do 19 panowały ciągłe silne wiatry zachodnie, przytem powietrze było suche i chłodne co jest przeciwnem zwykłemu prawidłu, gdyż zwykle u nas wiatry zachodnie sprowadzają powietrze wilgotne i ciepłe. Stan elektryczności atmosferycznej był słaby.

Plamy na słońcu od d. 5 do 17 i w czterech ostatnich dniach miesiąca, pokazywały się liczne; przeciwnie w dniach: 4, 25, 26, i 27 słońce było zupełnie czyste.

Z powodu panującej suszy stan wody na Wiśle był nader niski.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stóp 1 cali 5.3 n.m. polsk.
Wysokość wody największa dochodziła d. 1 i 18..... stóp 2 " " "
" " najmniejsza " od d. 27 do 31.... stóp 1 " " "

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

z r. 1863.

Materyały historyczne.

	Stron.
Badania w przedmiocie historyi dziesięcin kościelnych w Polsce, szczególnie pod względem tak zwaney dziesięciny swobodnej i dziesięciny oddawanej w gonitwę, przez <i>Antoniego Zygmunta Helcla</i>	1
Polska w roku 1646, a Polska w roku 1648: Opowiadanie historyczne przez <i>Karola Szajnochę</i>	181
Merseburg i katedra biskupa Dytmara kronikarza, przez <i>Alexandra Przędzieckiego</i>	377
Dzieje Kijowszczyzny, przez <i>Eligiego Piotrowskiego</i>	482

Biografia.

Ks. Jakób Ciastowski, ostatni rektor konwiktu pijarskiego na Żoliborzu, przez <i>Ks. A. Sz.</i>	341
---	-----

Prawo.

O formułach sirmondskich, przez <i>R. H.</i>	416
--	-----

Opisy.

Starożytny i nowożytny Meksyk, przez <i>Michała Chevalier</i> , Członka Instytutu francuzkiego.....	238, 386
---	----------

Powieści i opowiadania.

	Stron.
Janko Hajduk. Wspomnienia z Turcyi.....	78

Literatura.

Pieśni, podania, baśnie, zwyczaje i przesady ludu z Muzowsza czerskiego, zebrał <i>Kornel Kozłowski</i>	61, 445
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa obrazów.—Komedia pana Langle „Un homme de rien.”—Spór uczonych o przedpotopowe kości.—„Cyklop” pana Autran wedle Eurypidesa.—„Joanna d'Arc” przez pana Villiamé.—Wiadomości literackie...	118
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Posiedzenie doroczne akademii nauk moralnych i politycznych. Rapport z rozdanych nagród i zadanych przedmiotów do nowego konkursu. Odczyt pana Mignet o życiu i pismach Macaulay'a.—„Żywoł Wiktora Hugo opowiedziany przez naocznego świadka.”—„Ludwik XI” tragedia Kazimierza Delavigne.—Rapport dyrektora muzeów cesarskich.—Wiadomości literackie.....	272
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. „Życie Chrystusa” (La Vie de Jésus), przez Ernesta Renan.—Jak pojmował Boską komedią Lamennais, tłumacz Danta.—Kilka słów z powodu „Panny Quintinie” (Mademoiselle de la Quintinie, par Georges Sand)—Doroczne posiedzenie akademii francuzkiej.—Posiedzenie Towarzystwa pomocy przyjaciół nauk.—Wiadomości literackie.—Sprawozdanie z prac około tunelu pod górą Cenis.....	424

Poezja.

Przysłowia ukraińskie w pieśniach, przez <i>Jana Prusinowskiego</i>	56
Siewca, przez <i>Kazimierza L.</i>	235
Zawód, przez <i>Kazimierza L.</i>	236
Cyneżir. (Wspomnienie z czasów starożytnej Grecyi), przez <i>S. G.</i>	270

Dramat.

Marya Delorme. Wiktora Hugo dramat w pięciu aktach, przełożył <i>Apol. N. Korzeniowski</i>	491
--	-----

Rozbiory.

Biblioteka Ossolińskich. Poczet nowy. Lwów. 1863. Przez <i>G. E.</i>	144
Pamiętniki z wojny amerykańskiej 1862 r. Ludwika Żychlińskiego. Poznań. 1863. Przez <i>K. Wł. W.</i>	151

	Stron.
Stanisław Staszic. Szkic biograficzny przez Władysława Zawadzkiego. Lwów. 1860. Przez <i>K. Wł. W.</i>	159
Geografia Królestwa Polskiego podług najnowszych źródeł, skreślona przez B. Kołodzińskiego. Wydanie drugie poprawione i powiększone, z mapą Królestwa Polskiego. Warszawa. 1863. Przez <i>W.</i>	160
Dziennik Józefa Kopcia brygadiera wojsk polskich, z rozmaitych not dowodczych sporządzony. Z sześcioma tablicami litografowanymi i mapą Kamezatkki. Berlin. 1863. Przez <i>K. Wł. W.</i>	298
Popiel i Piast, tragedia w pięciu aktach, z podań i legend historycznych, wierszem, przez Mieczysława Romanowskiego. Lwów. 1862. Przez <i>(f)</i>	307
Jerzy Lubomirski, dramat historyczny, napisał Józef Szujski. Lwów. 1863. Przez <i>(f)</i>	322
Wiadomość o sejmie galicyjskim podług protokółów sejmowych, dla ludu napisana przez posła sejmowego. Kraków. 1861. Przez <i>W.</i>	330
Album J. I. Kraszewskiego. Zeszyt pierwszy. Podlasie. Przez <i>K. Wł. W.</i>	331
Akta synodu prowincjonalnego lwowskiego w r. 1564 odbytego. Z aktów konsystorza metropolitalnego lwowskiego wypisał i wydał ks. Seweryn Morawski kanclerz tegoż konsystorza. Lwów. 1860. Przez <i>r.</i>	337
Opis Olsztyna w 195 Nrze Tygodnika Ilustrowanego z r. b. przez Romana Zmorskiego. Przez <i>W.</i>	339
Legends historyczne przez Bronisławę Kamińską. Wydanie drugie przejrzone. Poznań. 1863. Przez <i>A. J. S.</i>	521
Araukania i jej mieszkańcy. Wspomnienia z podróży po południowych prowincjach rzeeczypospolitej chilijskiej. Przez Ignacega Domejkę, członka uniwersytetu chilijskiego, profesora kolegium w Coquimbo. Tłumaczone z hiszpańskiego przez Jana Zamostowskiego. Wilno. 1860. Przez <i>R.</i>	526
Mappa Królestwa Polskiego, pod względem jeograficznym, administracyjnym, duchownym, naukowym, sądowym i przemysłowym, ułożona na zasadzie źródeł urzędowych przez M. Nipanieza, urzędnika oddziału statystycznego Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych. Warszawa. 1863. Przez <i>W.</i>	538

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>F. Krupińskiego</i> S. P.....	540
<i>Kronika bibliograficzna</i>	162, 353, 541
Wiadomości literackie.....	168, 368, 548
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatorium astronomiczném warszawskiem :	
za miesiąc maj r. b.....	177
— — czerwiec r. b.....	373
— — lipiec r. b.....	561

